

JAN DOBRACZYŃSKI

KLUCZ
MĄDROŚCI

PAX WARSZAWA 1955

Biada wam, uczeni w Prawie,
Że posiadliście klucz mądrości,
A sami nie wchodzicie, i tym,
Którzy by wnijsć chcieli, zabraniać
(Łk. 11, 52)

BOLESŁAWOWI PIASECKIEMU

I nie przez pamięć
na dni jasne,
pogodne i łatwe,
ale na pamiętkę
tych chmurnych i trudnych
jak tamten — pamiętasz?
— beznadziejny i szary ranek,
gdy niebo
nad Krakowskim Przedmieściem
zdawało się nam
walić na głowy —

OFIARUJĘ TĘ POWIEŚĆ

CZĘŚĆ PIERWSZA
SAINT-JEAN D'ACRE

1

W suchym, rozpalonym, zamartym w bezruchu powietrzu dzwony poczęły bić sextę. Ich głosy płynęły z rozmaitych stron miasta, ale zlewały się w jeden dźwięk, który zdawał się spadać z góry na podobieństwo szklanego deszczu. Brat Tomasz Agni de Lentino oderwał się od okna, przez które patrzył na błękitną zatokę, i od swych myśli, które wędrowały daleko. Zsunawszy z głowy kaptur począł się modlić: *Ave Maria, gratia plena, Dominus Tecum...* Ale myśli nie dały się odgonić. Wkradły się w modlitwę. Miał wrażenie, że wrócił znowu do Rzymu, że nie słyszy dzwonienia z katedry św. Andrzeja, z kościołów: św. Krzyża, św. Marka, św. Jana, św. Dionizego, św. Sarkisa, lecz że rozlega się nad nim świergotliwy, srebrny dźwięk dzwonów z tak ukochanej bazyliki Matki Boskiej Śnieżnej. *Et benedictus Fructus ventris Tui...* Spod jej to łagodnych łuków rozpiętych nad mozaiką wyłożonymi ołtarzami wyruszyli kiedyś obaj, on i przyjaciel jego serdeczny, Piotr z Werony, na nakazaną im przez Ojca świętego niewdzięczną pracę wśród ludności północnej Italii, zarażonej grzeszną i ponurą religią Gazzarich. Uparta herezja tępiona od lat w Langwedocji przesaczyła się za Alpy i wkradła między chłopów lombardzkich. Trатовani przez każdą z wojen, która przelewała się przez półwysep, w ostatecznej rozpaczycy poczęli skłaniać ucha na nieludzkie wezwania czarno ubranych nauczycieli i oddawać im nakazane *melioramentum*. Piotr podjął zażarty bój z rozsiewanymi błędami. Mętną wiarę głoszącą walkę nieziemskiego Jezusa z szatanem-Jehową zwalczał głoszonym słowem, modlitwą różańcową, uwielbieniem dla Maryi Panny oraz wyrokami surowymi, lecz rozważnymi. Aż pewnego dnia, gdy wędrował samotnie drogą z Como do Mediolanu, „wierni” nowej wiary zamordowali go skrytobójczo. *Et in hora mortis nostrae...* Panno Święta — myślał brat Tomasz — cóż to za szczęście tak zginąć w obronie wiary! Dowłókszy się ostatkiem sił do cembrowiny przydrożnej studni wypisał na niej palcem umoczonym we krwi: *Credo...* Tomasz widział ten napis w wiele dni po zabójstwie. Studnia była ubrana przez okoliczną ludność kwiatami i mó-

wiono mu, że woda z niej leczy teraz chorych. W niespełna rok po śmierci Piotra Ojciec święty wprowadził go na ołtarze. To było dziwne uczucie, ta świadomość, że przyjaciel, który jadł i pił, bywał zmęczony i zniecierpliwiony, stał się nagle orędownikiem niebieskim. Brat Tomasz nieraz myślał: „Gdybym to ja tak zginął?” Bogata wyobraźnia podsuwała mu obrazy najokrutniejszych męczarni, które umiałby znieść z wybaczącym uśmiechem na ustach. Gdy jednak w parę lat później w Neapolu usłyszał propozycję wyjazdu, wbrew tym marzeniom o męczeństwie poczuł w piersiach chłód zamierania. To było coś zgoła innego wyobrażać sobie chwalebłą śmierć — a nagle być zmuszonym do odpłynięcia na skrawek ziemi zagrożony, wydaje się, wszystkimi klęskami Apokalipsy. Stojąc na zawieszonym nad wodą krążanku Castel dell'Ovo, mając przed sobą omroczoną mgłą zatokę z dwugarbem Capri pośrodku i dymiącą górą po lewej stronie, powiedział drżącym głosem: „Wasza Świątobliwość, wasz poprzednik zdecydował, by żaden z braci zakonu kaznodziejskiego nie sięgał po godności kościelne...” Ale Aleksander poruszył tylko lekceważąco ręką. On tu decyduje — nie kto inny. Wybór, który dokonał się tak szybko w atmosferze popłochu przed zbliżającym się Manfredem, padł na jedyne go człowieka gotowego stawić czoło ciężkiej sytuacji. Kardynał Rainold, książę Segni, biskup ostyjski, nie należał do ludzi, których powstrzymują drobne wątpliwości. „Jedź — powiedział, kładąc Tomaszowi po przyjacielsku rękę na ramieniu — zajmij się nimi. Wieści są stamtąd złe. Znowu podobno Saraceni im grożą. A do tego ci przekłęci Tartarzy! Dodaj ducha Pantaleonowi. Pewnie zdziażdżał już zupełnie wśród tyłu trudów. Powiedz mu, że o nich nie zapomniałem. Może potrafię zebrać jakąś krucjatę. Będę naciskał Ludwika. Żeby mi się tylko udało poskromić tego przekłętego bękarta! — wyciągnął zaciśniętą pięść w stronę południa, skąd od Nocery mógł w każdej chwili nadejść Manfred na czele Saracenów. — Prawdę mówiąc, obawiam się o los tej resztki królestwa...” — „Czy jednak ja... — zaczął znowu Tomasz. — Tak wielka godność...” — „No, no, mój drogi! — przerwał mu papież. — Skoro ja cię wybrałem, możesz nie mieć skrupułów”. Jeszcze raz poklepał go po ramieniu, po czym odszedł w głąb zamku, a grube frydrycjańskie mury odpowiadały echem na jego energiczne kroki. Tomasz został sam ze swoją godnością i ze swoim lękiem.

Płynęli parę tygodni po morzu rozhuśtanym i kapryśnym, tłukąc się w swej ciasnej kajucie lub odprawiając mszę św. bez kanonu, jak należało

czynić w niepewnych okolicznościach podróży morskiej. Lentino myślał bez końca o tym, co zastanie na ziemi palestyńskiej. Gotował się do lądowania niby do wyjścia na brzeg dziki, zamieszkały przez krwawych pogan. Bał się, bał się coraz bardziej... Tartarzy i Saracenowie, Saracenowie i Tartarzy — te straszne nazwy wciąż mu dzwoniły w uszach. Przypominał sobie wszystko, co mu opowiadano o okrucieństwach jednych i drugich. Odetchnął dopiero nieco lżej, gdy zahaczyli o Cypr. Życie w królestwie Lusignanów płynęło pogodnie i wesoło, wśród róż i bogactw. W parę dni po odbiciu z Limassol ujrzeni na horyzoncie szarą linię stałego lądu. Lentino klęczał w swej kajucie i modlił się: „Panno Święta, wspomagaj!” Walcząc z wicherą, która starała się ich odrzucić z powrotem na pełne morze, całym wysiłkiem wiosła wpłynęli w zatokę. Łańcuch z chrzęstem zanurzył się w wodę otwierając wejście do portu. Jakiś człowiek wychylił się z okna stojącej na skraju mola wieży i zawołał po włosku:

— Hej, *capitano*, wysiadaj ostrożnie. Wasi znowu dostali...

Genuineńczyk podniósł na tamtego gniewny wzrok znad steru. Nie wiedział, czy człowiek drwi, czy naprawdę przestrzega. Potem rozejrzał się po porcie. Już stąd widać było porozwalane domy i okopcone mury. Marynarze stojąc u burty pokazywali sobie palcami zrujnowane miasto. Cała dzielnica nadmorska leżała w gruzach.

Tomasz, który wyszedł właśnie na pokład, zobaczył to także. Lęk ścisnął mu gardło. Nie mógł powstrzymać drżenia. „Matko Boża, Matko Boża — bełkotał w duchu. — Saracenowie w mieście?” Podniósł wystraszony wzrok na kapitana. Ten stał na swoim statku i kłął obrzydliwie: — *Per Baccho!* — Ich okręt zataczał łuk na wygładzonej powierzchni zatoki.

— Dalej, chłopcy! — krzyknął z góry. — Broń w garść!

Załoga skoczyła po miecze i piki. Lentino oparł się o burtę. Nogi pod nim zwiotczały. Płynęli teraz wzdłuż portu aż na jego południowy kraniec. Coraz więcej zniszczeń odkrywało się ich oczom. Nieco dalej od brzegu, na wzgórzu stał stary klasztor; nad nim zwisała bezsilnie w upalnym, omdłym od skwaru powietrzu złoto-purpurowa flaga św. Marka.

— *Per Baccho!* — zaklął znowu kapitan. Zaciskając pięści burknął: — Ścierwa! Nieskrobane bydło! Żeby ich dzuma i trąd! Wsiadłszy na ląd brat Tomasz — a w tej chwili także legat Ojca świętego i tytularny biskup Btlejemu — z biciem serca rozglądał się naokoło. Miasto wyglądało, jakby się w nim niedawno toczyły ciężkie walki, w czasie których każdy dom

przechodził koleino z rąk do rąk. Ludzie, którzy wyszli im naprzeciw, a teraz pomagali niemrawo w przycumowaniu okrętu, robili wrażenie inwalidów. Niektórzy mieli ręce na temblakach, inni obandażowane głowy lub szyje. Krzykliwie odpowiadali z brzegu na zapytania marynarzy. Ale dwaj dominikanie — brat Jan był towarzyszem Tomasza — nie słuchali ich. Nie mogli oderwać oczu od ruin. Po chwili spostrzegli jednak, że nie całe miasto było zniszczone: nad zburzonymi dzielnicami małych domków widać było nie zniszczone wielkie zamki i dwory. Potężny budynek stał nad samą wodą, tuż obok okopconych ruin, sam nietknięty, wspaniały, dumny i groźny.

Mały braciszek franciszkański, widać wędrujący po kweście, nawinął się im pod rękę. Szedł z workiem pod pachą, podśpiewując wcale nieżałośnie.

— *Laudetur Jezus Christus* — powitał go Tomasz. — Witaj, bracie...

— Maryja! — odpowiedział tamten. Zatrzymał się przed dominikanami, z gapiowatym wyrazem twarzy. — Witajcie, bracia — powiedział i podrapał się w nos.

— Przybywamy prosto z Italii — zaczął Tomasz — nie znamy miasta. Wskaż nam, bracie, nasz dom zakonny.

— A, o tam, widzicie? — pokazał palcem. Szeroki rękaw opadł ukazując chudą, ciemną rękę. — Widać, żeście dopiero przyjechali — powiedział na poły naiwnie, na poły złośliwie.

— Dziękuję, bracie. Bóg ci zapłać. — Powoli, wciąż rozglądając się ruszyli we wskazanym kierunku. Franciszkanin stał z otwartymi ustami, patrząc za nimi. Zrobiwszy kilka kroków Tomasz zatrzymał się i obejrzał.

— Powiedz nam jeszcze, bracie, — zapytał — dawno to Saracenowie na was napadli?

Mały braciszek uśmiechnął się znowu tym samym naiwnym, lecz nie pozbawionym ironii uśmiechem. Powtórzył:

— Widać, żeście dopiero przyjechali. Jacy tam Saracenowie! Ot, Wenecjanie bili się z Genuńczykami. Trzy tygodnie łoili sobie skórę, a kiedy pół miasta zburzyli, zawarli pokój. Ale pobijają się znowu, tylko patrzeć.

— Wenecjanie z Genuńczykami... — powtórzył mechanicznie Tomasz. Niepokój, który go dręczył, ustąpił miejsca zdumieniu. — Wenecjanie z Genuńczykami... — szepnął raz jeszcze. „To dziwne — pomyślał — wydaje mi się, jakbym był ciągle w Italii...”

„Użyj, Boże miłosierny, osłony dla ułomności naszej, abyśmy, którzy czcimy pamięć Boga Rodzicielki, dzięki Jej orędownictwu powstać mogli z nieprawości naszych.” Biskup Tomasz zakończył swoje modlitwy. Dzwony także przestały bić. Upał wisiał po staremu w powietrzu; nad zatoką polatywały białe mewy. Dominikanin wsparł głowę na rękę i zamyślił się. Tak, inaczej wyobrażał sobie pobyt tutaj. Drugi dzień przebywał w Acre, a ciągle nie czuł się jak na straconej pozycji. Zupełny a niezrozumiały pokój panował w tutejszej atmosferze Arabskie karawany wchodziły jak gdyby nigdy nic do miasta i rozkładały swoje towary na rynku. Nie bez zdumienia Tomasz słyszał asr śpiewany z wieży meczetu przy Wolim Źródle i z drugiego, znajdującego się przy kościele św. Krzyża. O Tartarach nikt nawet nie wspominał: wydawać się mogło, że są o wiele dalej, niż można było przypuszczać patrząc z Neapolu. Nie było nic takiego w powietrzu, co by mówiło, że miasto jutro, pojutrze może wpaść w ręce wroga...

Jeśli jednak wojna nie zbliżała się do murów miejskich, było jej dosyć w samym mieście. Walka Wenecjan z Genuńczykami wybuchła niedawno z nową siłą po kilkuletniej przerwie. Przez trzy tygodnie przedstawiciele obu republik mordowali się wzajemnie. Ale Tomasz z kilku odbytych rozmów zrozumiał, że za wojną o klasztor św. Saby kryją się inne jeszcze konflikty, gotowe wybuchnąć przy łaďa okazji.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł jeden z braci, by powiedzieć, że przyjechali dwaj dostojni goście:

— Bohemund, książę Antiochii, ojczę, i sire Ibelin, pan Jaffy...

— Poproś ich tutaj, bracie.

Przybysze weszli. Wydawali się zaprzeczeniem siebie: Bohemund — piękny chłopiec o ciemnej cerze Kreola, i Ibelin — stary i brzydki mężczyzna, mający ruchy powolne, nacechowane dostojnością. Świeża twarz księcia Antiochii odbijała tym bardziej od zaszuszonej twarzy pana z Jaffy.

— Niech Pan będzie z wami, dostojni panowie — witał ich Tomasz.

Schylili się do jego ręki — był legatem Ojca świętego. Potem zasiedli na ciężkich dębowych fotelach o wysokich rzeźbionych oparciach.

— Ojciec święty przesyła wam, książę, swe pozdrowienia i błogosławieństwo — Lentino zwrócił się do Bohemunda. — Pozdrowia także waszą matkę, a swoją kuzynkę, księżnę Łucję, oraz jej brata, Pawła, biskupa Tripoli...

Książę Antiochii skłonił grzecznie głowę. Do Tomasza doszło już, że

między matką a synem stosunki były naprężone. Ambitna Rzymianka zbyt długo chciała Bohemunda trzymać pod fartuszkim. Gdy w końcu za pośrednictwem króla Ludwika nastąpił podział władzy, księżna-wdowa nie bez urazy odsunęła się do Tripoli pozostawiając synowi Antiochię w niepodzielne władanie.

— Wam także, sire — mówił teraz do pana z Jaffy — jego Świątobliwość przesyła swe ojcowskie błogosławieństwo. Jesteście regentem królestwa, prawda?

— Nie, to mój kuzyn. — Mówił odpowiednio do swego wyglądu: z ledwo rozchylnych ust padały słowa niby uderzenia młotka, suche, urywane, pełne wyniosłej godności. Z wyczerpującą dokładnością przedstawił rozgałęzione linie pokrewieństwa w rodzinie Ibelinów. — Regentem jest sire Jan Ibelin z Arsuf, młodszy syn sire Jana z Bejrutu. Moim ojcem był sire Filip, niegdyś regent królestwa Cypru... Byłem tutaj zresztą regentem, zanim przekazałem tę godność kuzynowi... — Odchylił głowę w tył, nastroszył brwi. — Odbyło się to zgodnie z prawami królestwa — dorzucił.

— Mówiono mi — Tomasz przypomniał sobie — że regent jest chory.

— Ciężko chory. Umiera.

— A któż pełni jego powinności?

Stary Ibelin rozsunął kolana, wsparł na nich swe zwiotczałe, jakby nie-rycerskie dłonie.

— Jeśli nie ma rodziców panującego, prawo wymaga, aby było dwóch regentów. U nas drugim regentem jest rycerz de Sargines, którego nam zostawił król francuski. Ale rycerz de Sargines jest wśród nas obcy. Nie mamy nic przeciwko niemu: dzielny i ofiarny. Ale nietutejszy! My, „pullanie”...

— Jak powiedzieliście, sire? „Pullanie”? Co to znaczy?

— Tak nas nazywają przybysze z Europy. — Zaśmiał się, jakby zaskrzy-piał pulpit. — Że to niby hodowlą cieląt i prosiąt się zajmujemy... Nie uchyl-bia to jednak czci rycerskiej, że się troszczymy o ziemię i o stada.

— Oczywiście, oczywiście — przyznał Tomasz; nie bardzo jeszcze ro-zumiał, o czym chce mówić pan z Jaffy.

— My, „pullanie” — ciągnął wolno Ibelin — chcemy mieć rządców spośród swoich. Nie przybysza, który się na niczym nie rozumie. Widzieliśmy już takich, co napadali kupieckie karawany pod bramami miasta lub palili wsie na obszarze królestwa, dlatego że tamtejsza ludność czciła Ma-

hometa! Sargines — dobry rycerz, nauczył się wiele... To prawda. Lecz nam potrzebny jest władca. Od czasów Jana de Brienne jesteśmy bez króla...

Tomasz popatrzył uważniej po swych gościach. Sądził, że przybyli, by go po prostu powitać. Z rozmowy jednak wywnioskował, iż przynieśli ze sobą jakąś wielką sprawę królestwa.

— Proszę was, panie, wytłumaczcie mi wszystko.

Lewa ręka pana z Jaffy leżała na płaszczu, prawa wykonywała spokojne, lecz wymowne gesty. Na jego twarzy malowała się nieskończona pewność siebie oraz niedbałość w rozrzucaniu okruchów swej wiedzy.

— Przez księżniczkę Jolantę tron przeszedł na cesarza Fryderyka.

Sucha dłoń zamknęła się nagle i zacisnęła mocno niby pod wpływem obudzonych uczuć. Tomasz przytakująco skinął głową. Pojmował nienawiść, jaką budziło w ludziach samo wspomnienie o cesarzu zmarłym przed dziewięcioma laty. Był dla swej epoki zagadką, którą można było jedynie uwielbiać lub nienawidzić. Tomasz dobrze pamiętał lata, gdy cała Italia żyła w trwodze przed nim. Uważano go za czarownika, za wcielonego szatana. Przecież to Fryderyk kazał swej straży saraceńskiej palić oskarżonego o herezję! Dominikanin nie mógł zapomnieć ujranej kiedyś lisiej twarzy i szmerzącego głosiku, który przechodził zupełnie nieoczekiwanie w histeryczny skowyt. W życiu Kościoła czterdzieści lat panowania Hohenstauffa było jak otwarta rana, która wciąż nie może się zasklepić.

— Cesarz koronował się sam w bazylice Grobu Pańskiego... — ciągnął Ibelin tonem sławnego magistra. — Potem odplynął. Walczyliśmy z jego wodzem Filanghierim i gdyby nie mój stryj, pan Bejrutu, wolność królestwa byłaby zdławiona przez włoskich kondotierów!

W tych słowach zabrzmiała duma i głębokie poczucie łączności z rodem, który „ocalił wolność królestwa”. Biskup Betlejemowi ciągle nie wiedział, czego od niego oczekują dostojni goście.

— Czas najwyższy, aby został wybrany senior królestwa. Księga naszych praw dozwala uczynić to lennikom królestwa pierwszego i drugiego stopnia oraz konfraterni św. Andrzeja. I nikt tego wyboru nie potrzebuje zatwierdzać.

— Jeżeli tak mówią prawa...

— Tak mówią — Ibelin potwierdził to głosem nie znoszącym najlżejszej wątpliwości. — Mamy jednak w królestwie lennika, który się wyparł swych obowiązków...

— Filip de Montfort! — wtrącił żywo Bohemund.

— Nie będziemy się wypierali, że jego matka należała do rodu Ibelinów — zauważył pan z Jaffy takim tonem, jakby ta wiadomość była niezmiernie ważna. — Ale choć przebywa między nami od dwudziestu lat, sire Montfort pozostał obcy naszym obyczajom. Nie szanuje praw królestwa! Nie chce złożyć hołdu z Toronu, który uzyskał w wianie swej żony, a który był od samego początku jednym z czterech głównych lenn królestwa!

— To rzeczywiście przykre... — odrzekł, aby coś powiedzieć. Nie miał jeszcze swego zdania. Wbrew jednak pewnemu siebie tonowi głosu starego Ibelina trudno mu było przyznać rację przeciwko seniorowi Tyru. „Ten Montfort — myślał — to przecież bratanek tamtego, pogromcy heretyków, zwycięzcy spod Muret, autora statutów z Pamiers tchnących taką gorliwością o chwałę i dobro Kościoła...” — Powinność lenna jest świętym obowiązkiem wasala — powiedział jak z ambony. — Gdy jej poczyna braknąć, następuje anarchia, jak w ziemiach hrabiów Tuluzy. Ale czy nie należałoby przemówić do pana de Montfort, przekonać go w imię sprawiedliwości chrześcijańskiej?

— Nic z tego! — wybuchnął Bohemund. — Filip jest chytry jak lis. Odmawia hołdu, bo chce się sam wypchnąć na regenta!

„Aha — pomyślał dominikanin. Wydało mu się, że nareszcie zrozumiał, o co chodzi jego gościom. — Więc są dwie partie, walczące o władzę. Tak samo jak we Florencji, Pizie, Sjenie, Rzymie.”

— A kogóż wy, panowie, wysuwacie na regenta? — zapytał.

Bez pośpiechu Ibelin podjął swój wykład: — Królestwo Jerozolimskie — dowodził — związane jest ściśle z królestwem Cypru. Od czasów króla Amalryka oba królestwa miały jednego władcę. Jest rzeczą wskazaną powrócić do dawnego obyczaju. Jeśli nawet ze względu na roszczenia syna cesarza nie można ukoronować króla Hugona koroną Grobu Pańskiego, należy go jak najspieszniej powołać na seniora królestwa.

— Ale król Hugo jest przecież dzieckiem... — zauważył legat.

— Tak — przyznał pan z Jaffy. — Władzę jednak w jego imieniu sprawuje królowa Plezencja, siostra księcia Bohemunda. Mogłaby ją pełnić dla obu królestw.

— Rozumiem — Tomasz skinął głową. Lecz równocześnie powstało w nim tysiące oporów. W tej fortecy zagrożonej tyłoma niebezpieczeństwami władczynią miałyby być młoda, przystojna kobieta? Słyszał o niej dziś

rano od arcybiskupa-patriarchy. „Bawi tutaj — mówił Pantaleon — królowa Plezencja, sam nie wiem, czy dlatego, by znowu próbować związać Cypr z Jeruzolimą, czy żeby po prostu zobaczyć się z rycerzem Balianem Ibelinem.” Znowu Ibelin, całe królestwo Ibelinów!

— Tylko osoba królowej zdolna jest połączyć w jedno całą Syrię — podkreślił ze stanowczością pan z Jaffy. Podniósł rozchyloną dłoń i majestatycznym gestem nakreślił nią w przestrzeni linię mającą przedstawiać wąski pas wybrzeża. — Byłaby wtedy jedność: królowa Plezencja na Cyprze i w Acre, książę Bohemund w Antiochii i w Tripoli (oczywiście dłoń przeskoczyła w przestrzeni zaporę Tyru), król Hettum w Armenii.

To imię nie było mu także obce. Jeszcze przed wyjazdem, kiedy się zaznajamiał ze sprawami Syrii, powiedział do niego Aleksander: „Zwróć uwagę na Armenię. Jej poprzedni król był naszym sojusznikiem przeciwko Grekom. Uznał zwierzchność Stolicy Apostolskiej. Teraz władzę zagarnął jakiś miejscowy baron. Ale piszą mi, że gotów jest również nam się poddać. Ich katolikosowi był wysłany w swoim czasie palusz... Czas wreszcie zniszczyć monofizytów! Jakżeż się nazywa ten król? Jakoś tak: Ko... Mo..., nie pamiętasz?” — papież zwrócił się do swego sekretarza. „Król Hettum, wasza Świątobliwość” — odpowiedział tamten. „O, widzisz — ucieszył się Aleksander — tak mi właśnie chodziło po głowie. Hettum!”

Ale już i tutaj ktoś mu wspomniał to imię. Kto mógł mu mówić? Nasłuchując bakałarskiego gadania Ibelina szukał w pamięci. Aha — słusznie. Pantaleon. Patriarcha narzekał. Robił wrażenie zgorzkniałego. Trąc brodę mówił: „Wszyscy oni tutaj mali ludzie... Byle złapać jakieś miasto, byle wspiąć się wyżej niż inni... Bądź mi miłościw, Panie Boże — samobójcy! Jeden Hettum ma olej w głowie...” — „Lecz to Armeńczyk i schizmatyk!” — powiedział ze zgorszeniem Lentino. Patriarcha umilkł; gestem pełnym smutku rozczesywał swą siwą brodę.

— Czy król Hettum jest człowiekiem, na którego można liczyć? — zapytał.

— Sądźmy, że tak — odpowiedział Ibelin. — Jego siostra była moją żoną — brzmiało to jak poręka. — Córka króla Hettuma jest żoną księcia Antiochii.

— Ach, tak... — dominikanin uśmiechnął się do Bohemunda. Wolał jego obrazkowo piękną twarz od mumiowanej maski Ibelina. Ale pod uprzejmym uśmiechem był niesmak. Wszyscy tutejsi panowie to widać tylko kukły

w rękach Ibelinów! Wyżej się stawia byle Armeńczyka od bratanka Szymona de Montfort. — Rzeczywiście — przyznał z głęboko ukrytą ironią — byłaby to jedność całej chrześcijańskiej Syrii. Przypuszczam, że jest ona potrzebna?

— O, tak. Z Egiptem mamy wprawdzie pokój, a sułtan Damaszku nie ośmieli się nas zaatakować... Jednakże byłoby lepiej...

Pokój z Saracenami! Więc oni w to wierzą? Biskup Betlejememu wciąż na nowo uświadomił sobie, że rzeczywistość tutejsza była zgoła inna, niż ją sobie wyobrażał odpływając z Italii. Królestwo nie żyło innym życiem niż wszystkie republiki włoskie — życiem do jutra. Życiem, które wciąż na coś czeka i na coś liczy.

— Sądzę — powiedział — że wasz plan, dostojni panowie, jest słuszny...

— I zechcecie go, wasza miłość, poprzeć? — zapytał pan z Jaffy. Z tym niewątpliwie przybyli do niego.

— Jeżeli tak się spodoba Opatrzności... — rzekł wymijająco. Z gniewem myślał o Pantaleonie, że potrafi tylko narzekać i biadać. Jeśli ci są tacy — de Montfort musi być inny. Tamten, jego stryj, potrafił zmiażdżyć heretyków razem z ich potężnymi poplecznikami: hrabią Tuluzy i królem Aragonu. Senior Tyru musi być innym całkiem człowiekiem, a już to, że zwalczają go ludzie Ibelinów, budzi do niego zaufanie. W poczuciu rozpoczynającej się gry zatarł ręce. Goście powstali. Odprowadził ich do drzwi.

2

Gromada ludzi zaczajonych poprzednio za murem wypadła teraz z bojowym okrzykiem. Nie atakowali może zbyt zuchwale, ale za to hałasowali ze wszystkich sił. Celem ich uderzenia były sklepy weneckie, ciągnące się wzdłuż ulicy Carcasserie płaszczyzną wykładanych ład, na których piętrzyły się stosy towaru. Napastnicy rzucali w rynsztok wałki sukna i połyskujące brokaty; rozsypywali worki ze wschodnimi korzeniami; tłukli o kamienie cienkie naczynia z opalizującego szkła. Ich krzyki zaczęły się mieszać z lamentem kobiet, z piskiem dzieci, ze szczękiem broni. Ten i ów kupiec porwał się do obrony. Kłęb jaskrawo poubieranych ludzi miotał się wśród murów niby pochód masek w dzień „święta szalonych”. Tam, gdzie właściciel zdołał zamknąć sklep i zabarykadować się w nim, szły w ruch drągi

i siekiery. Pył wapienny podnosił się tworząc w ciężkim od upału powietrzu białą mgłę.

Bohemund, który właśnie jechał ze swym pocztem przecinającą Carcasserie ulicą, gwałtownie zatrzymał konia. Oparłszy się o wysoki łęk siodła patrzył na bitwę starając się zorientować, kto z kim walczy. Widok żółto-fioletowych kaftanów genueńskich w weneckiej dzielnicy powiedział mu wszystko. Na pięknej twarzy młodego księcia ukazał się wyraz rozdrażnienia i gniewu.

— Do licha! — uderzył pięścią w łęk. — Genueńczycy złamali pokój!

W jego obecności balius Giustiniani i konsul de Marino poprzysięgli wstrzymywać swoich od walki na przeciąg trzech tygodni, to znaczy do czasu, gdy odbędzie się wielka rada baronów królestwa. Gniew począł rozdymać nozdrza Bohemunda. Otaczający go rycerze pokazywali to sobie wzrokiem. Znali swego seniora, wiedzieli, że jest w nim namiętne pożądanie ładu, posłuchu i porządku. Może zawdzięczał to rzymskiej krwi odziedziczonej po matce. Mieniając się na twarzy patrzył na Genueńczyków, którzy z coraz większą zapalczywością zapuszczali się w głąb ulicy i niszczyli wszystko przed sobą. Nagle porywczym ruchem uderzył konia ostrogami, a ten z chrapaniem rzucił się naprzód. Księżę w strzemionach; przyłożywszy dłonie do ust huknął:

— Precz, hałastro! Precz! Cofnąć się!

Nikt jednak jego wezwaniu nie myślał być posłuszny. Genueńczycy nacierali coraz gwałtowniej; gnali przed sobą wyrzuconych ze sklepów kupców. Bohemunda ogarnęła wściekłość. Mrużąc oczy zatoczył koniem. Zatrzasnął przyłbicę, wyrwał swą kopię z ręki giermka.

— Antiochia za mną! — zawołał gromko.

Baronowie niechętnie spojrzeli po sobie. Nie śmieli się jednak sprzeciwiać: ten młodzik był nieopanowany w narzucaniu swej woli. Z chrzęstem pozasuwali przyłbice, zasadzili się mocniej w siodłach, sięgnęli po kopie. Konie już poczuły walkę, tupwały niby rozzłoszczone dzieci, przysiadły na zadach, tuliły uszy, podrywały się do galopu. Kładąc kopię w pół ucha końskiego Bohemund obejrzał się na swoich. Stali za nim ławą, z pochylonymi kopiami. Tylko jeden z rycerzy cofnął się do tyłu, jakby chciał uniknąć walki. Miał zapuszczona przyłbicę, ale Bohemund wiedział po znakach, kto to taki.

— Bertrandzie — zawołał — tu, do mnie!

Tamten niechętnie wyjechał spoza towarzyszy. Gęsta krata przyłbicy nie zdradzała wyrazu twarzy pana z Gibelet. Patrzyli na siebie chwilę — dwie żelazne maski bez wyrazu. Potem książę zrobił gest zapraszający tamtego, by zajął miejsce u jego boku. Był to zaszczyt, na który nie wolno było odpowiedzieć odmową. Bertrand skinął głową, podjechał i powoli zniżył kopię.

— Bij! — krzyknął zza przyłbicy Bohemund. — Antiochia za mną!

Spięli konie i runęli żelazną masą w ciasną uliczkę. Byli jak taran, który miażdży wszystko, co napotka na swojej drodze. Jeszcze nie przebyli połowy drogi dzielącej ich od walczących, gdy już napastnicy rzucili się do panicznej ucieczki lub przywarli do murów zasłaniając się tarczami. Tupot kopyt grzmiał niby burza. Pan z Gibelet wysforował się na czoło galopujących. Zanim dopadł Genueńczyków, przewinał kopię młyńcem i odwrócił ją ostrzem do siebie. Unosząc nieco pokrywy przyłbicy, wołał:

— To ja, Bertrand z Gibelet! Na bok! To ja, Bertrand z Gibelet!

Kto się nie ukrył w czas pomiędzy załomy murów, ten padł stratowany. Banda genueńska została w jednej chwili rozproszona i zmieciona. Na pustej uliczce pozostała tylko sterta zniszczonych towarów, kilka ciał i porzucona przez uciekających broń. Rycerze musieli przegalopować przez całą dzielnicę, zanim zatrzymali rozpędzone konie. Pachołcy biegli za nimi ile sił w nogach, by wziąć z rąk rycerzy kopie i przytrzymać rozgorączkowane rumaki.

Ledwo się zatrzymali, Bohemund zwrócił się do swego najpotężniejszego wasala. Cisnął na ziemię kopię. Podniósł przyłbicę. Na jego bladej twarzy paliły się rumieńce gniewu. Musiał mocno zaczerpnąć tchu, jakby był nurkiem, który wynurzył się z wody.

— Bertrandzie! — wybuchnął.

Tamten także podniósł przyłbicę. Miał cerę ciemną i czarny zarost. Oczami zdawał się przebijać swego seniora.

— Czego chcecie, sire?

— Kazałem ci uderzyć...

— Czyż nie uderzyłem?

— Odwróciłeś kopię!

— Nic mi ci ludzie nie zrobili!

— Kazałem ci... Ty, zdrajco!

W porywie gniewu naparł koniem na Bertranda, zbliżył rozzłoszczoną twarz do twarzy tamtego. Ale pan z Gibelet uderzył swego konia ostrogami i oba wierzchowce zaczęły się na siebie cisnąć, podobne do bodących się byków. Pozostali rycerze zatrzymali się z boku nie mieszając się do sporu.

— Kto zdrajca?

— Ty! Wspierasz Genuńczyków.

Bertrand pochylał się w siodle i nagle chwycił za miecz. Szerokie żelazo zatoczyło krąg nad jego głową, ale Bohemund zdążył zastawić się tarczą, która stuknęła głucho pod uderzeniem.

— Embriaco! — wykrzyknął imię rodowe i runął po raz drugi na swego seniora. Znowu złożył się do uderzenia. Wszystko dokonywało się niebywale szybko. Nowy cios odbił brzeg tarczy, miecz spadł na ramię księcia. Bohemund zwałił się twarzą na grzywę końską, a potem zsunął się na ziemię. Z kręgu rycerzy nikt się nie ruszył. Lennicy patrzyli na bunt jednego spośród swego grona, jak patrzy stado wilków, gdy ich przywódca rzuca się na przybysza z obcego stada. Bohemund upadł, ale zaraz zerwał się na nogi. Był ranny i bezbronny, ponieważ miecz, którego nie zdążył wydobyć, pozostał przy siodle. Bertrand groził mu znowu, w drapieżnych oczach wasała łatwo było wyczytać wyzwoloną i gotową na wszystko nienawiść. Bohemund nie wzywał pomocy. Przyciskając dłonią rozcięte ramię rzucił się pod mur, wcisnął w futrynę wielkiej bramy. Jego ręka szukając broni trafiła na krótki sztylet zawieszony na szyi. Zacisnąwszy zęby ujął go w dłoń. Ale zanim go użył, brama, o którą był oparty, uchyliła się wciągając go do środka.

— Witajcie, książę — usłyszał obok siebie. Ktoś przesunął ciężką zasuwę. Spoza zamkniętej bramy dochodziły wrzaski Bertranda. Bohemund rozejrzał się — nie wiedział w pierwszej chwili, gdzie się znalazł. Ale wystarczyło mu zobaczyć stojących wokół niego rycerzy, wysokich, barczystych, w jednakowych białych płaszczach z czerwonym krzyżem naszytym na lewej piersi i w kapturach z misiurki skrywających włosy i czoła, by sobie uświadomić, że został ocalony przez templariuszy. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po surowych, zamkniętych twarzach. Jedna z nich nie była mu obca.

— Ach, to wy, wielki preceptorze — powiedział poznawszy rycerza de Pignans. — Dziękuję. Także wam, rycerze. Ocaliliście mi życie.

— Jesteście, książę, naszym seniorem — de Pignans skłonił nisko głowę. Nie było to ściśle prawdą. Główny dom rycerzy Templum Salomonis

nie podlegał księciu Antiochii. Tylko templariusze z Gaston, Port-Bonnel i Roche de Roissel byli lennikami Bohemunda.

— Dziękuję — uściśnął dłonie rycerzy zakonnych. — Będę waszym dłużnikiem. Bertrand z Gibelet — powiedział tonem wyjaśniającym — pokazał zęby. Gorszy zdradziecki lennik niż otwarty wróg. Ale dostanę go jeszcze! — po chłopięcej twarzy Bohemunda przebiegł wyraz zawziętości.

— Pozwólcie, książę, do środka — zapraszał de Pignans. Miał czerwone jak marchew włosy i wąski, długi nos opadający na wargi. — Brat Patryk opatrzy wam zranione ramię. Wielki mistrz oczekuje was. Gościmy go u siebie.

W progu natknęli się rzeczywiście na Tomasza Bérard. Nie przebywał on stale na zamku templariuszów; mieszkał samotnie w małym obronnym dworze na przedmieściu Montmusard. Nikt nie znał prawdziwej przyczyny takiego trzymania się na uboczu. Templariusze opowiadali o niezwykłej pobożności wielkiego mistrza, uliczni natomiast waganci wyśpiewywali piosenki o diable, którego Bérard miał trzymać zamkniętego w szklanej ampułce i którego zwykł był wypuszczać, by z nim prowadzić uczone rozmowy. Bérard był niemłodym człowiekiem, o twarzy chudej, ściągłej i ponurej. Zaprowadził Bohemunda najpierw do brata znajdującego się na leczeniu ran, a po zrobieniu opatrunku zaprosił go do wielkiej sali na górnym piętrze zamku. Łukowe sklepienie pomimo słonecznego dnia spowite było w mrok. Izba miała wysokie okna podobne do zacięć w murze, przez które widać było z jednej strony miasto, z drugiej — ołowiano-błękitną płaszczyznę morza.

Zasiedli przy ciężkim stole rozpartym na krzyżakach. Bérard klasnął w dłonie i rzucił rozkaz ubranemu na czarno pachółkowi, który zjawił się na odgłos kłaśnięcia. Pachółek wyszedł.

— Cieszymy się, że w takich chociaż okolicznościach możemy was, książę, gościć — powiedział. — Wielki to dla nas zaszczyt. Lecz sire Bertrand...

— Nie mówmy o nim! — przerwał mu porywczo Bohemund. — Popamięta swoją zdradę!

— Uczynicie słusznie. — Pachółek wrócił niosąc na tacy dzbanek i kubki. Zapachniało złotym winem z Butron. Zanim po nie sięgnął, Bohemund popatrzył spod oka, czy obaj templariusze upili ze swoich kubków; mimo

dobrych stosunków, jakie go łączyły z zakonem, pamiętał o ostrzeżeniach, że w winie templariuszy można znaleźć truciznę.

— Podobno, książę, rozpędziłeś bandę Genuieńczyków? — spytał Bérard.

— Tak, napadli na weneckie fondaco.

— To początek. Lada chwila zaczną walczyć na nowo.

— Przecież zawarty jest rozejm.

— Genuieńczycy nie będą się na niego oglądać. Wiedzą dobrze, że gdy za kilka dni rada baronów wybierze siostrzeńca waszego, książę, na seniora królestwa, Wenecjanie zdławią do reszty genueński handel. Postawili więc na hrabiego Montfort. Nie dałbym głowy, czy nie szykują się do jakiejś awantury. I to nie sami. Przed paru dniami ukradkiem wyjechał z miasta Chateaneuf z całym pocztem swoich. Ich zamek jest zamknięty i pilnie strzeżony.

— Sądzicie, że Filip...?

— Jestem pewien, że Montfort, szpitalnicy i Genueńczycy będą się sturali nie dopuścić do wyboru. A pan z Gibelet musi coś o tym wiedzieć, skoro ośmielił się rzucić na was, książę.

— Nie mówmy o nim! — powtórzył Bohemund. Powrócił do sprawy: — Myślę jednak, wielki mistrzu, że się mylicie. Filip nie ośmieli się uderzyć mając wszystkich przeciwko sobie.

— Jeśli będzie trzeba, hrabia Montfort gotów jest zawrzeć sojusz z sułtanem Damaszku lub z dworem Mansura. Wiemy dobrze, że wysyła do nich swoich posłów!

Bohemund otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz zamknął je bez słowa.

— Mam wiadomość — ciągnął Bérard — że Montfort i Chateaneuf wyznaczili sobie spotkanie w Vigne-Neuve...

— To by oznaczało wojnę — zauważył Bohemund.

— I to będzie wojna! — zapewnił stanowczo wielki mistrz. Po jego ponurej twarzy przemknął jaśniejszy błysk. Nieznacznie przesunął końcem języka po wargach, jakby się delektował czymś przyjemnym. Bohemundowi przypomniła się pogłoska o diable w ampułce. — Musimy być przygotowani — ciągnął — i rozbić ich, gdy tylko odkryją swoje zamiary. Szkoda, że nie ma króla Hettuma.

Bohemund poczuł na sobie badawczy wzrok obu templariuszy. Niewątpliwie byli ciekawi jego tajemnicy. Czyżby diabeł z ampułki nie umiał jej odkryć wielkiemu mistrzowi?

— Będziemy musieli — powiedział — dać sobie radę bez mego teścia.

— Czy to prawda — Bérard przestał patrzeć na Bohemunda, jakby chcąc nadać swemu pytaniu ton zupełnie obojętny — że król Hettum, książę, znowu powędrował do Tartarii? Coś mi o tym pisali bracia z Gaston.

— Być może — uciał krótko, pamiętając o danym przyrzeczeniu — Musimy — powtórzył — dać sobie radę bez niego...

— Rozprawa nie będzie łatwa — rzekł Bérard. — My z Bożą pomocą weźmiemy na siebie szpitalników. Giustiniani powinien dać sobie radę z Genuńczykami. Ale wy, książę, musicie zająć się Ibelinami. Ci będą hałasowali najwięcej. Ale mają atrament w żyłach zamiast krwi i potrafią być silni tylko w gębie. Przed siłą skapitulują pierwsi.

— Czyżby?

— Wiercie mi, dłużej niż wy patrzę na nich.

Wszedł pachołek i powiedział coś cicho do Bérarda. Ten skinął głową i zwrócił się do Bohemunda:

— Wasi rycerze, książę, stoją przed bramą i proszą, by wam powiedzieć, że chcą wam służyć.

Pogardliwie wydał usta. Znał ich dobrze — tych swoich wasali. Gdy Bertrand napadł na niego, patrzyli na to obojętnie; żaden nie pośpieszył mu z pomocą. Gdy ocalał — wracają do niego ze słowami wierności.

— Dobrze — rzekł — niech czekają. Każcie, wielki mistrzu, wpuścić na podwórzec moich giermków z koniem.

3

Palce młodej kobiety dotykały falujących włosów Bohemunda drapieżną pieśczętą.

— Ach, jak go nienawidzę! Zranił twoją rękę... Czy cię nie boli, najdroższy? Powiedz. Naprawdę cię nie boli?

— Naprawdę, Sybillo.

— Jeszcze cała się trzęsę. Ten głupiec przybiegł, by powiedzieć, że on

rzucił się na ciebie i że ty spadłeś z konia. Zaczęłam krzyczeć i podrapałam sobie twarz. O, tu... teraz nie widać, zamalowałam bielidłem. Krzyknęłam na Litę, aby zaraz biegła zobaczyć, co się z tobą dzieje, czy żyjesz. Szła tak powoli, że ukłułam ją szpilką. Może i mocno ukłułam — ta głupia ciągle jeszcze beczy... Ale to wszystko nic, skoro ty żyjesz, Bohemundzie. Tak okropnie cię kocham!

Zaśmiał się i ogarnął ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego jak spragniona pieszczoł kotka. Byli już pół roku po ślubie, a on odnajdywał ciągle nowe dowody miłości, jakby nie było im końca.

— Moja droga...

— Ale ty mu nie darujesz, prawda? Ukarzesz go! Nie tak jak ten głupi Villehardouin... Obiecay mi!

Była to sprawa, o której mówiono ostatnio na całym chrześcijańskim Wschodzie: rycerz Godfryd de Bruyéres, pan Kariteny, dla poparcia swego teścia, rycerza de la Roche, pana Aten, wystąpił przeciwko swemu seniorowi, księciu Morei. Ale Villehardouin był człowiekiem wielce pobożnym i potrafił wybaczyć zwyciężonemu w walce wasalowi.

— Na pewno! — powiedział twardo. Nie znosił myśli o bezładzie i nieposłuszeństwie. Za dużo tego widział od dzieciństwa. W Antiochii wszyscy walczyli ze sobą: Grecy z Syryjczykami, Syryjczycy z Frankami, „pullanie” z rzymskimi pupilami matki.

— Tak cię zranić! — mówiła znowu. Dotykała ustami zabandażowanej ręki. — Tak cię zranić! — powtarzała. Zaglądała mu w oczy. — Czy będziesz mnie, Bohemundzie, zawsze kochał? Umierałam z trwogi, że gdyby ciebie zabili, nikt by mnie już nie kochał i nie pieścił. Modliłam się do świętego Sarkisa. Ofiarowałam mu te paciorki, które mi dał Giustiniani.

— Będziesz teraz musiała zanieść je do kościoła.

— Zaniose! Czego bym nie ofiarowała za ciebie? Żebyś był żywy, nie ranny i żebyśmy, Bohemundzie, mój najdroższy, mieli prędko syna! Wtedy wiem, że mnie już nigdy nie przestaniesz kochać.

— Czemuż miałbym cię przestać kochać, Sybillo? Rycerz ślubuje miłość do śmierci.

— Mówisz jak prowansalski trubadur. Miło jest słuchać, kiedy tak mówisz. Ale w życiu bywa inaczej. Nie mam miłosego napoju jak Izolda.

— Nie potrzeba nam napoju.

— Nie wiem, Bohemundzie. Może się mną znudzisz? Mówiła mi matka, że jeśli żona okazuje mężowi zbyt wiele pożądania, prędko przestanie mu być droga.

— Twoja matka tak ci mówiła?

— Tak, kiedyś. Czemu tak na mnie spojrzales? Daj mi rękę. Niech ją pocałuję.

— Czy twoja matka, Sybillo, nigdy nie okazywała miłości ojcu?

— Matka? — podniosła na niego oczy człowieka obudzonego z mocnego snu. Przez chwilę mrugała powiekami. Nagle zachichotała, jak chichoczą dziewczęta doprowadzone do śmiechu przez towarzyszki podczas zabawy w niebo i piekło. — Skąd ci to przyszło do głowy, kochany?

— Tak sobie... — wysunął zranioną rękę z jej dłoni. Odczuła to od razu.

— Czemu oddalasz się ode mnie?

— Nie oddalam. Więc nigdy nie okazywała mu miłości?

— Chyba nigdy. Ale nie wiem, doprawdy, czy ojciec tej miłości pragnął.

— Tak sądzisz?

— Tak mi się zdaje. Zawsze był zajęty tylko wojnami, układami, podróżami do tej swojej Tartarii. Nie wiem zresztą... Po co o tym mówimy, Bohemundzie? Nigdy nie rozumiałam, jak jest między nimi naprawdę. To wiem tylko, że gdybyś był dla mnie taki, jaki jest ojciec dla matki, zabiłabym się chyba.

— Jest dla niej niedobry?

— Nie, nie, to nie! Patrzy na nią często, jak ty na mnie patrzysz. Ale nie mówi, że ją kocha. Chodzi po komnacie i milczy. Czasami spiera się... A gdy coś powie, zaraz odchodzi do swoich spraw. Ale nie mówmy już o tym. Kocham cię i nie tęsknię wcale za Sis. I teraz, kiedy już się wszystkiego dowiedziałeś, daj mi rękę! Niech ją pocałuję.

Pałacowy ogród przed nimi mienił się zielenią. W środku trawnika był basen, a na nim srebrna, prześwietlona słońcem fontanna. Zza murów słychać było jakieś wrzaski. Między grotami cyprysów unosił się w górę szary słup dymu.

— Znowu się biją — powiedział.

— Niech się biją! — rzuciła prędko, mocniej całym ciałem przyciska-

jąc się do jego piersi. — Niech się biją i zabijają! Podli, zranili ciebie. Nie idź już więcej do nich. Co cię oni obchodzą? Co cię obchodzi Acre?

— Mówił mi Ibelin, że flota genueńska z Tyru zbliżyła się dziś do miasta, ale Wenecjanie z Pizańczykami popłynęli jej naprzeciw.

— A niech się wzajem wytopią! Po co tu do nas przyjeżdżają? Niechby się mordowali u siebie, w Europie. Poproszę ojca Grzegorza, aby odprawił za nich żałobną mszę. Poszaleli! Życie mogłoby być takie miłe, a przez nich jesteście tacy...

— My?

— No tak! Ty, ojciec. Ty tutaj, ojciec ze swymi Tartarami...

— Nie mów o tym.

— Czemu?

— Wiesz przecież, że to tajemnica.

— Ależ wszyscy o niej wiedza.

— Być może. Ale nie wszyscy wiedzą, jak jest naprawdę.

— Ty jednak wiesz, prawda?

— Wiem.

— Tak, ty wiesz. Wie pewno także stryj Sempad i patriarcha Konstantyn. Tylko mnie nic nie chcecie powiedzieć.

Wzruszył ramionami. Ciągnęła dalej:

— Matkę to nie obchodzi. Ale ja jestem inna. Mnie powinieneś mówić wszystko. Powiedz. Nie zdradzę nikomu. No powiedz, Bohemundzie... Jestem taka ciekawa! Nie chcesz powiedzieć? A na pewno powiedziałeś wszystko Plezencji, ona zaś wyśpiewa to zaraz Balianowi.

— Nic jej nie powiedziałem.

— No, to powiedz mnie.

Jej zielone oczy patrzyły mu prosto w twarz. Gdy mówiła o miłości, matowiały i stawały się miękkie, przyciągające. Ale teraz iskrzyły się ciekawością. Miała brwi wyskubane, policzki pociągnięte bielidłem, ciemne z natury włosy pomalowane na kolor dojrzałego banana. Z powierzchowności przypominała do złudzenia swą prababkę Izabellę, córkę króla Amalryka, żonę kolejno Onufrego de Toron, Konrada de Montferrat, Henryka Szampańskiego i Amalryka Lusignan, którą włoski malarz wymalował na jej grobowcu w Famaguście. Z wyglądu należała bardziej do kobiet wyrosłych

z przeszczepionej tutaj krwi normandzko-frankońskiej niż do swych sióstr, księżniczek armeńskich.

— Nie, nie powiem ci nic, Sybillo. Mogłabyś powtórzyć.

— Nie powtórzę, daję ci słowo. Jak cię kocham. Jak kocham jego.

— Kogo?

— Małego Bohemunda, twego syna. Urodzę ci go, zobaczysz.

— Mógłby ktoś usłyszeć...

— Kto usłyszy? Nikogo nie ma w ogrodzie. Mów, mów.

— Po cóż ci to wiedzieć?

— Chcę wiedzieć wszystko, co i ty wiesz.

Jej mała, lecz silna dłoń chwyciła niebacznie za ranne przedramię. Syk-
nął. Wydała okrzyk przerażenia:

— Och, święty Symeonie! Sprawiałam ci ból! Wybacz, drogi — rzuciła się na kolana, przywarła ustami do jego dłoni. — Jestem okropna, ohydna, wstrętna, nieznośna. Dobrze, masz rację, nic mi nie mów. To będzie kara. Mój najdroższy, mój słodki... Czy cię bardzo boli? Uderz mnie, uderz za to. Albo każę się dziś osmagać dyscypliną. Wbiję sobie całą szpilkę, jak tej głupiej Licie...

Śmiejąc się podniósł ją z kolan i posadził przy sobie na ławce. Rozbra-
jała go swoją żywiołową miłością, gotową na wszystko. Nie oczekiwał tego. Gdy ustalał swoje małżeństwo z Hettumem, myślał raczej o wielkim planie króla niż o uczuciach swej narzeczonej, której wówczas nawet jeszcze nie widział.

— No, no, nic nie boli. Żebyś mi żadnych głupstw nie robiła, Sybillo.

Pochylił się nad nią. Ręce Sybilli owinęły się wokół jego szyi. Objął ją ramieniem i pocałował. Jej wargi nie ustępowały: oddawały mu pocałunek z równą siłą. Za murem wzmógł się wrzask walczących. Jeszcze czuł jej usta przyciśnięte do swoich ust, gdy już poryw miłości począł w nim ustępować fali gniewu i pożądania walki. Podniósł wzrok, utkwił go w głębi ogrodu, jakby sądził, że zobaczy poprzez grubą, wybrzuszoną, ułożony z ciężkich głazów mur, co się dzieje w mieście. Dłoń rozpostarta na plecach kobiety zbiegła się w pięść. Otworzyła oczy. Ale próżno cisnęła się całym ciałem do męża. Był już daleko — w walce. Zawołała ze złością:

— Znowu! Przekleńci Włosi! Zaraz dam na mszę żałobną! Bohemundzie... — mówiła żałośnie — co cię oni obchodzą?

— Nic, nic — ale jego roztargniony wzrok przeczył słowom.

— Znowu chcesz iść ich uspokajać?

— Nigdzie nie pójdę.

— Wróćmy już raz do Antiochii. Co cię obchodzi Acre i ich skłócone królestwo? Tak ci zależy na tym, aby mały Hugo był królem?

— Sprawy są ważne, Sybillo...

— Ach, sprawy!

Kolorowo ubrany pachołek szedł ku nim od strony zamku. Zatrzymał się o parę kroków przed ławką. Skłonił się nisko.

— Czego chcesz? — zapytał Bohemund.

— Przybył pan z Jaffy i chciałby mówić z wami, książę.

Bohemund powstał. — Idę... — Zrobiwszy kilka kroków odwrócił się do żony. Powiedział: — Zostań tutaj, wróć zaraz — i uśmiechnął się. Odpowiedziała mu tym samym. Ale nie miała ochoty się śmiać. Zaledwie znikł za krzewami, zanosła się płaczem. Wiedziała, że prędko nie wróci. Miała ochotę kasać, bić, drapać. Zawsze, zawsze jakieś tajemnice, nasłuchiwanie, gdy się inni tłuką, gadanie z tym drewnianym Ibelinem! Wcisnęła pięść w usta, by nie krzyknąć na głos ze złości. To było nie do zniesienia w domu rodziców, tego nie zniesie u siebie. Chce mieć Bohemunda na własność. Są dopiero parę miesięcy po ślubie, a już od niej odchodzi. Co będzie potem? Zrobi się jak ojciec, obojętny na wszystko, co jest w domu. Obojętny? Czasami przychodziło jej do głowy, że u ojca to nie była obojętność, ale jakby jakaś dalekość. Obojętny! — tupnęła nogą. Nie czuła nic dla ojca. W jej myślach był tylko symbolem braku miłości. Ale teraz obudziła się w niej niechęć do niego, jakby był winien odchodzeniu Bohemunda. Odżyły w niej niektóre słowa matki — ziarna, które kiełkują w czas właściwy. Jeszcze raz tupnęła nogą. Nie miała ochoty zrezygnować z czegokolwiek.

4

Przed udaniem się do katedry zeszli się u patriarchy. Ranek był szary, słońce przebijało się ciężko przez nisko kłębiące się chmury. W powietrzu wisiała dławiąca oddech parnота. Jakub dyszał i raz po raz obcierał zroszone potem czoło. Czasami kierował bolesne spojrzenie na rozłożone obok szaty liturgiczne, które miał za chwilę włożyć.

— Siądź, ojcze. Jeszcze chwila, jeszcze chwila... — wachlował się chustką. — Czeką nas ciężki dzień.

— Tak sądziecie, wasza dostojność?

Zamiast odpowiedzi Pantaleon zrobił tylko beznadziejny ruch ręką. Był człowiekiem doświadczonego. Życie zeszło mu na stawianiu czoła niekończącym się trudnościom. Syn małego szewca z Troyes nie bez trudu dobył się godności archidiacona w Liège. Ta godność uczyniła go jednym z najbardziej zawziętych bojowników sprawy papieskiej przeciwko roszczeniom cesarza. Innocenty znał dobrze jego oddanie. Powierzywszy mu na czas krótki biskupstwo w Verdun, zabrał go do siebie i przeznaczył do niekończących się legacji. By zmobilizować Europę przeciwko Fryderykowi, Jakub zjeździł ją całą od Bizancjum do Portugalii. Ostatnio przed przybyciem do Acre przebywał w Polsce, przewodniczył na synodzie we Wrocławiu, załatwiał spór między biskupem chełmińskim, Henrykiem, a teutońskim zakonem krzyżowym. Te lata w ciągłych podróżach stargały jego siły. Czuł się zmęczony. Pisał już o tym do Aleksandra. Pragnął teraz tylko jednego: wrócić do Europy i tam osiąść spokojnie na jakimś biskupstwie, najchętniej w Liège, gdzie swą pracę rozpoczął i gdzie tak dobrze się czuł. Całe życie mógł być w Liège pozostać. Wędrowki po świecie nie były mu potrzebne. Wymówiłby się od nich, gdyby nie Ewa... Tak, gdyby nie pustelnica spod kościoła św. Marcina, inaczej ułożyłoby się jego życie. Nie dopłynąłby nigdy do Ziemi Świętej — chyba dla przelotnej pielgrzymki. Co się z nią dzieje? Od dawna nie miał już żadnych wiadomości. Pewnie umarła... Więc tym większy powód, by wrócić znowu do kolegiaty św. Marcina, do ciszy, do spokoju, do ksiąg i pogodnych jesieni, z których jakaś przyniesie wreszcie śmierć... Po tylu latach pełnego hałasów życia, myśl o Liège wydawała mu się jak przytulny, słoneczny port dla skolatanego burzami okrętu.

— Oby tylko nie skończyło się walką! Wszystkiego można oczekiwać, zwłaszcza po zniszczeniu floty genueńskiej. Wenecjanie z templariuszami to straszny sojusz.

— Lecz hrabia de Montfort... — zaczął Lentino.

Pantaleon wzruszył pogardliwie ramionami.

— Montfort, Montfort! Wyobrażasz sobie nie wiadomo co! Synowie Szymona także nie przypominali ojca. Zobaczysz go zresztą za chwilę. Wierz mi, nie taki człowiek jak on mógłby tu coś zrobić. Zresztą nie ma wśród nich nikogo, kto by patrzył dalej niż na długość własnego nosa. —

Nie wymienił imienia Hettuma, bo i po co? Jego nie ma, a gdyby nawet był, czy naprawdę potrafiłby coś zdziałać? Czy mógłby coś zrobić, nie będąc lennikiem królestwa, nie będąc Frankiem, on, Armeńczyk czystej krwi...?

— Wasza dostojność wątpi w szlachetne zamiary pana de Montfort?

— Muszę ojcu wyznać, że zwątpiłem tutaj we wszystko. We wszystkich! A wydaje mi się chwilami, że wątpię w ogóle w człowieka. Ojciec był inkwizytorem, niech mnie ojciec sądzi. Bo mam uczucie że człowiek doznał dzisiaj jakiegoś strasznego załamania; jakby po raz drugi popełnił grzech pierworodny. Dostał wiele... Chrześcijaństwo zdobyło Europę. Ojciec święty jest władcą królów i książąt. A tymczasem... — stary arcybiskup zacisnął mocno dłonie na rękojeści pastorału — a tymczasem — uśmiechnął się gorzko, herezje, schizmy, rozbicie, walka wszystkich ze wszystkimi. Walka nie z wrogiem chrześcijaństwa, ale między sobą. Wszędzie, gdzie byłem... w całej Europie... królowie z baronami, baronowie ze sobą, panowie z biskupami, chrześcijanie z chrześcijanami. Myślałem: tutaj lepiej. Tutaj jesteśmy przednią strażą. Wzorem. Ładny mi wzór! Zobaczysz za chwilę. Chyba zbliża się jakaś nowa epoka.

— Wasza dostojność — Lentino odezwał się tonem pouczającym — nasz brat, Tomasz z Akwino, obalił wywody „Wiecznej Ewangelii”, a Ojciec święty potępił tę książkę. Zwłaszcza jeżeli chodzi o twierdzenie...

— Wiem! — Pantaleon przerwał niecierpliwym machnięciem ręki. Zapragnął wypowiedzieć wszystko, czego zwykle nie mówił nikomu poza swym spowiednikiem. — Nie powtarzam przepowiedni brata Joachima, ani ich nie słucham. Ale patrzę... Czym my tu jesteśmy, my, chrześcijanie? Siłą? Wielkością? Światłem w mroku? Nie! Nie! Saracenowie są coraz mocniejsi. Zwyciężają nawet najlepszych spośród nas. Każda wojna — to nasza klęska. Teraz znowu Azja wypłula jakiś dziki lud, niby Hunów Atylli. Straszni są. Widziałem w Polsce kraj zamieniony przez nich w jeden cmentarz. Tak samo jest na Węgrzech. Ruś zdławili i osiedli na niej. Przed rokiem stratowali Persję. Zbliżają się do nas. Lada chwila tu będą. A my co? Stoimy i czekamy. Czekamy, by nas pobito!

Zabrakło mu oddechu. Siedział dysząc; pot pasemkami spływał z czoła na jego starcze, pocięte drobnymi zmarszczkami policzki. „Ten kaznodzieja nie rozumie mnie — myślał. — Pełen jest złudzeń i pięknych słów. Nie dotarł do odkrycia prawdy stojącego w miejscu człowieka. Nie ma nic straszniejszego — prowadził dalej w duchu swój namiętny, szarpiący serce wy-

wód — jak człowiek, który stanął. Nie idzie dalej. Zrezygnował ze wszystkiego. Zrezygnował z Jerozolimy. Banda Charyzmenów zajęła ją przed piętnastu laty bez walki. Wymordowano bezbronną ludność. Pod Gazą rycerstwo broniło swoich zamków — nie Jerozolimy! Człowiek stanął, a gdy stoi — to się cofa...”

Dzwony katedry poczęły bić wolno i przejmująco. Wiedział, że trzeba już będzie iść na zebranie rady. W tej chwili przed katedrę zajeżdżają baronowie królestwa, rycerze cypryjscy, księżę Antiochii, senior Tyru. Choć skłócenie ze sobą, zajmują obok siebie miejsca naprzeciw ołtarza. Nie łączył żadnych nadziei z projektem wyboru małego Hugona. Czego można oczekiwać po chorowitym chłopaczkę, synu młodej, marzącej o nowej miłości kobiety? Czyż o to tylko chodzi, aby królestwo miało seniora jedynie z imienia?

— Wasza dostojność — posłyszał głos Lentiniego — człowiek raz upadł na początku i dlatego zawsze będzie upadał. Lecz żeby go podnieść...

„Kaznodzieja! — oburzył się. — Będzie mi tu mówił nauki!” Ale nie przerwał tamtemu ani słowem. Poznał się już na legacie: to był człowiek porywów. „Myśli, że jestem joachimitą” — przeżuwał w sobie uwagę dominikanina bez gniewu, lecz z wielkim smutkiem. Nie, nie myślał o trzeciej epoce Ducha Świętego i o antychryście, którego przedtem wielu widziało we Fryderyku, a teraz widzą w Alfonsie Kastyljskim. Nowa epoka — to nowi ludzie. Czyż nie należałoby być śmielszym w ich dobieraniu? On sam jest synem szewca, a został patriarchą. Baronowie tutejsi nie obronią królestwa. Ludzie z Europy — jeśli nawet tu przyjadą — nie obronią go także. Czy nie należałoby zaufać komuś nowemu? Komuś — jak Hettum?

Nie wiedział, skąd się w nim zrodziło to dziwne zaufanie do władcy Armenii. Rozmawiał z nim raz tylko, właśnie tu. Hettum przybył wtedy do Acre — rycerz jak oni wszyscy: barczysty i postawny; strojem i językiem nie różnił się od baronów królestwa. Tylko czarne, połyskliwe włosy, ciemne oczy pod gęstymi brwiami i oliwkowa cera mówiły, że nie jest Frankiem. Miał także — to Pantaleon zauważył od razu — zachowanie nie całkiem królewskie. Dawne wasalstwo pozostawiło na nim swoje rysy: wydawał się człowiekiem, który bardziej ufa sobie niż swemu rozkazowi Ludzie tego pokroju — tacy jak Renald z Chatillon czy Guy de Lusignan — byli w tradycjach Syrii nieszczęściem dla królestwa. Ale tamci przybywali z Europy. Panowie z Lampronu należeli do Azji. Ich przodek, asbed Oszin, był emigrantem Kancag, wodzem nieszczęśliwego króla Gagika, ostatniego władcy Wielkiej Armenii. Brat Oszina, Toros, odebrał Edessę z rąk Saracenów, by

ją potem oddać dobrowolnie Baldwinowi. Sam Oszin władał Adaną. Bez walki uznał seniorem Tankreda, gdy ten stanął ze swą garstką nad Seihunem. Służąc z konieczności bazileusowi, Armeńcy mieli serca otwarte dla przybyszów z Zachodu. Pantaleon miał wrażenie, że tę samą gotową na wszystko przyjaźń wyczytał w twarzy Hettuma. Była to twarz na pozór spokojna, ale pod tą powierzchnią zapalały się na niej i gasły nagle błyski. Czarne oczy spoglądały nieśmiało. Czytało się w nich łatwo. Rozmawiali ze sobą. Jakub pytał, czy Hettum pragnie powrotu kościoła armeńskiego do jedności z Kościołem rzymskim. „Oczywiście” — odpowiedział król. W jego słowach była szczerść „Lecz królu — zauważył Pantaleon — wasi księży szerzą błędną naukę Eutychesa...” Hettum słuchał ze zmarszczonymi brwiami; nie były to na pewno sprawy, na których się znał. Patriarcha skorzystał ze sposobności, by go przekonać o błędzie. „Potępiona nauka Eutychesa głosi, że w Panu naszym, Jezusie, jest tylko jedna natura, to znaczy, że jest On tylko Bogiem. My jednak wiemy, i tak każe nauczać Ojciec święty, że Chrystus był Bogiem, ale także i człowiekiem. Ciało Jezusowe знаło głód i zmęczenie; można Go było dotykać nawet po Zmartwychwstaniu. Także dusza Jezusowa była czymś innym niż boskość. Była duszą człowieka, człowieka, który kochał i cierpiał, cieszył się, smucił i gniewał. Chrystus mógł zbawić świat aktem swej Boskiej woli. Lecz On zaprzagnął go ocalić ofiarą swej ludzkiej Krwi. Chciał nas uratować nie tylko jeden raz. Ocala nas codziennie, zawsze, ilekroć się do Niego o pomoc zwrócimy.” Miał uczucie, że ostatnie zdanie było słowami, które powtórzył za kimś. Może to było jeszcze echo tamtych słów spod zamurowanej celi? Hettum słuchał zamyślony. Jego szeroka, twarda dłoń przesunęła się po włosach. „I tak każe nauczać Ojciec święty?” — zapytał. Jakub skinął głową. Rycerz niezgrabnym gestem założył dłonie za pas. — „To jest piękna nauka” powiedział. Ale to nie było tylko nieobowiązujące odezwanie się. Usiłował wyrazić swoją myśl: — „Bóg chciał uczynić swoje dzieło po ludzku, prawda? Ludzkimi rękami? To i człowiek, wasza dostojność, może uczynić coś Boskiego?” „Tak” — potwierdził. Jego myśl znowu uciekła w przeszłość. Zdawało mu się, że słyszy cichy, szmerzący głos pustelnicy: „Jezus czeka cierpliwie na każdego...” Po twarzy króla Armenii przemknął błysk. — „I dzieło Boże okupuje wiele?” — zapytał, ale takim tonem, jakby już nie potrzebował odpowiedzi. — „Na pewno” — rzekł żywo Pantaleon. To była także jego własna myśl. Z sympatią patrzył na ciemną twarz Hettuma. Ten człowiek marzył. Jakub czuł słabość do ludzi marzących. Twarz Armeńczyka rozjaśniała się coraz bardziej. Była teraz wcielonym zapalem. Z takimi twarzami musieli

tu przyjeżdżać niegdyś Tankred czy Godfryd. Inni wyglądali inaczej. Patrzyły im z oczu lenistwo, chciwość i pięć pozostałych grzechów głównych. „Trzeba ratować królestwo” — rzekł nagle Hettum. Jakub poczuł, jak mu serce bije. Ktoś jednak pamiętał o starej idei. „Trzeba” — poparł gorąco. „To można zrobić...” — Hettum zaczął i zaraz urwał. Uśmiechnął się tylko. Trochę później Jakub zapytał go: „Czy to prawda, królu, żeście wędrowali daleko, do samej Tartarii?” — „Tak, wasza dostojność.” — „Po cóż?” — Zażmiał się, jakby nieco zakłopotany. „Zobaczyć, poznać...” — „I długo tam trzeba jechać?” — „Pół roku, nie zsiadając z konia.” Przyszło mu wówczas do głowy: „Nie każdy chce kupować znajomość świata takim wysiłkiem”.

Wszedł archidiakon w otoczeniu księży.

— Wasza dostojność, czas iść. Wszyscy baronowie zebrali się już w katedrze.

Nie bez cichego westchnienia rezygnacji pozwolił ubrać się w szaty pontyfikalne. Archidiakon włożył mu mitrę na głowę. Pod tymi szatami schorowany starzec zdawał się rosnąć na olbrzyma. Ale smutek w nim pozostał. Podeszedł do progu. Dwa sznury zakonników z zapalonymi świecami w rękach czekało na niego tworząc szpaler przez cały pałac, aż do wyjścia. Archidiakon dał znak, zakonnicy odwrócili się i wolno ruszyli naprzód. Śpiew zahuczał niby dźwięk trąb. Szedł między nimi wspaniały — biskup — następca tamtego Jakuba, „brata” Pańskiego. Smutek go ciągle nie opuszczał. „Stanęliśmy i stoimy — kołatało mu w mózgu. — jak ruszyć? Jak pchnąć znowu ludzi na Jerozolimę nie odbitą ani bohaterstwem Ryszarda, ani wielkością ducha Ludwika?”. Zakonnicy poczuli wychodzić z pałacu na plac przed katedrą. Ich głosy zmieniły ton: z ponurego zawodzenia pomiędzy murami śpiew wyrwał się w powietrze, nabrał lekkości, szerokości i pogody. Chmury rozstały się, słońce zalewało miasto i ludzi stojących przed katedrą. Płomienie świec targały się na uwięzi knotów niby strzępki złotogłowiu. Wąż idących wbił się w różnobarwny tłum. Ludzie rozstępowali się, lecz patrzyli ciekawie. Jakub widział tysiące twarzy różnorakich jak i stroje. Całe chrześcijaństwo miało swoich przedstawicieli na tym rynku. Kiedy się zbliżył, ludzie poczuli klękać. Powierzchnia głów i ramion opadała niby morze. Podniósł rękę do błogosławieństwa. Wysiłkiem woli zagłuszył w sobie troskę i smutek. Wobec schylonych głów poczuł się sobą — pośrednikiem. Nie było nikogo między nim a Bogiem, między nim a tymi ludźmi. Dawał im błogosławieństwo, lecz myślał: „A gdyby tak, jak się tego natarczywie domagała pokutnica Ewa, wynieść ludziom na rynek, do ich codziennych

spraw Jezusa? Świat — wydawało mu się — przeszedł od zadurzenia się człowiekiem do niewiary w człowieka. Lecz przecież — właśnie na samym dnie słabości ludzkiej czeka na człowieka Chrystus”.

5

Nad zebranymi na placu tłumami unosił się gwar coraz bardziej Potężniejący, niby huk morza pod wieczór wietrznego dnia. Zrywały się krzyki, wybuchały śmiechy, padały wymysły, tu i tam dochodziło do bijatyki. Nie mniejszy zgiełk panował w katedrze, lecz w otoczeniu murów, pod łamiącymi się w górze ostrołukami brzmiał on groźniej i bardziej ponuro. Od wielu już godzin ważyły się tutaj losy królestwa. Obrady rozpoczęły się rankiem, teraz zbliżał się już wieczór. Baronowie siedzieli na wyściełanych ławach ustawionych półkolem w prezbiterium. Byli głodni i źli: zbyt już długo czekały na nich pieczenie szpikowane czosnkiem, polewane sosami z octu, pietruszki, imbiru, pieprzu i szafranu, kaczki, indyki i pawie w winnym sosie, granaty i cytryny antiocheńskie, banany z Beisanu, wina z Sydonu, z Kajfas, z Casal-Imbert. Ale nawet głód nie uczynił ich skłonniejszymi do ustępstw. Przerywali mówcom, wygrażali sobie wzajem. Odżyły stare urazy i niezatarte nienawiści. Coraz trudniej było z utrzymaniem porządku obrad.

Teraz przemawiał pan z Jaffy. Podtrzymywany wybuchającym co chwila aplauzem wszystkich swoich krewniaków mówił, zwracając się wprost do hrabiego de Montfort. Ten siedział po przeciwnej stronie półkregu ławek, owinięty w płaszcz, otoczony swymi wasalami. Błada jego twarz wydawała się jak wykuta z kamienia, wąskie wargi wwinięte do środka tworzyły płytką szparę. Raz po raz podnosił rękę do ust i przygryzał paznokcie. Ze swego miejsca w stallach, siedząc między biskupami Askalonu, Bejrutu, Tyru, Tripoli i Nazaretu i biskupem maronickim, Lentino nie spuszczał oczu z księcia. Śledził go już przedtem podczas uroczystej mszy odprawianej przez Pantaleona i podczas kazania, które sam wygłaszał. Za temat wziął sobie werset: „Kto nie jest ze mną, przeciwko mnie jest”.

— Upieracie się, sire — mówił Ibelin. — Póki książe Konrad nie został ukoronowany królem jerozolimskim, póty nie posiada u nas żadnej władzy. Jesteśmy wolni i mamy swoje prawa — uderzył dłonią w rulon, który trzymał w drugiej ręce. — One mówią, że gdy królestwu potrzeba władzy, rada baronów — wyraźnie akcentował każde słowo, jakby czytał — zbierze się

i po wysłuchaniu dwóch mszy świętych i wezwaniu pomocy opiekunów królestwa: Świętej Dziewicy Maryi, św. Jana Chrzciciela, św. Jakuba i św. Andrzeja, dokona wyboru seniora królestwa spośród rycerzy tutejszych albo też obcych, którzy zobowiążą się na cześć rycerską rządzić królestwem i bronić go od niewiernych. Tak mówią nasze prawa.

Obejrzał się ku swoim. Potakiwali ruchem głów. Był tutaj cały poczet Ibelinów: Jan i Hugo, panowie Bejrutu, Guy, syn starego pana z Jaffy, sene-szał Baldwin i konnetabl Guy, panowie z Cypru, uczestnicy wyprawy Ludwika, Balian z Arsuf, syn umierającego regenta, a także ich synowie, ich wasale, wreszcie kuzyni Ibelinów — panowie Cezarei i Sydonu. Królestwo było całkowicie w ich rękach. Aż dziwne, że woleli mieć seniorem Lusignana, a nie jednego spośród siebie. Lentino patrzył i nasłuchiwał, co powie Montfort. Filip mało dotychczas mówił: krótko i ostro przeciwstawił się tylko kandydaturze Hugona. Teraz siedział dumny, skamieniały, pogardliwy.

— Mamy prawo — podjął pan z Jaffy — wybrać seniora i po tośmy się zebrali. Wy, sire, niesłusznie sprzeciwicie się temu.

Siadł bez pośpiechu, jak ktoś, kto wie, że dobrze wypełnił zadanie. Ława Ibelinów wybuchnęła przyjaznymi okrzykami. Spodziewano się, że odezwie się teraz Filip. Ale zamiast niego podniósł się wielki mistrz szpitalników, Hugo Revel. Dawny komtur z Selefke i z Bethsura zaledwie przed kilku tygodniami został wielkim mistrzem po nagłej śmierci swego poprzednika. Rycerzem był doświadczoneym, ale wesołe życie, jakie pędził, nie przyczyniła mu sławy dobrego zakonnika.

— Sire Jan Ibelin — zaczął — miałby słuszność, gdyby korona królestwa była wolna. Tak mówią prawa, które on sam spisywał, więc je zna na pewno lepiej od nas wszystkich. Ale ponad prawami stoi król, wnuk cesarza.

— Dość mieliśmy niemieckich cesarzy! — zawołał jakiś głos.

Podchwyciły go zaraz inne:

— Nie chcemy niemieckich cesarzy!

— Nie chcemy wyklętych!

Ironiczny uśmiech ukazał się na twarzy Revela. Był mężczyzną łysawym, o jasnych włosach leżących pasmami na nagiej czaszce. Wąski, ptasi nos zwisał nad mięsistymi wargami. Uniósł brwi.

— Słyszę krzyki — powiedział — lecz ich nie rozumiem. Jestem jak i wy, panowie, wasalem królestwa i wiem, że z moich obowiązków wobec

seniora zwolnić mnie może klątwa. Ale przecież księżę Konrad nie jest wyklęty!

— Jeśli nie jest, to będzie! Wszyscy Staufi tacy sami! — zerwały się głosy.

— Wyklęty czy nie wyklęty, wiadomo, komu służy! Nie będzie naszym królem!

— Kiedy nim jest... — sprzeciwił się Revel.

— Jeszcze nim nie został — padło z przeciwnej strony. To odezwał się Bérard.

— Mylicie się, wielki mistrzu — pod pełnym fałszywej słodczy głosem kryła się nienawiść. — Wiadomo wszystkim, że król Konrad przekazał koronę jerozolimską synowi, a Ojciec święty przyrzekł mu ją dać.

— Ale mu jej nie dał!

— To tylko zwłoka.

— Dla was może zwłoka, dla nas najważniejsze, że Konrad ukoronowany nie został.

Byliby się dalej spierali, gdyby się właśnie nie zrobił rumor przy wejściu do katedry. Otaczający ławy tłum rycerzy rozstąpił się przepuszczając królową Plezencję, która nadeszła w towarzystwie księżnej Sybilli. Obie kobiety były młode i piękne. Idąc uśmiechały się i odpowiadały na ukłony skinieniem głów obciążonych dwurożnymi czepcami. Otaczał je liczny zastęp dworek. Przeszedłszy między rycerzami zajęły miejsca na przygotowanej dla nich ławie. Sargines powstał, by je powitać. Przemowa, choć bardzo krótka, wypadła nieszczęśliwie. Drugi regent królestwa nie umiał mówić, jękał się niemożliwie; był dzielnym rycerzem, ale znał się tylko na wojnie. Na początku swej oracji bąknął coś o bogini Wenus i zaraz urwał przypominawszy sobie, że przemawia w kościele. Ten niefortunny początek pozbawił go do reszty zdolności wypowiedzenia swych myśli, wystękiwał więc coś zupełnie niezrozumiałego; zaciskał przy tym z chrzęstem swe ogromne dłonie, jakby mu to miało pomóc do ruszenia z miejsca, oraz rzucał gniewnym wzrokiem po baronach, z których żaden zresztą nie odważył się uśmiechnąć. Wreszcie dobrnął jakoś do końca. Plezencja uśmiechnęła się wdzięcznie i podała mu rękę do ucałowania. De Sargines rękawem wytarł z rozmachem wąsy, które nosił wbrew powszechnemu obyczajowi, przyklęknął i z głośnym cmoknięciem ucałował podaną dłoń. Plezencja rozejrzała się po ławkach: odnalazła wzrokiem rycerza Baliana Ibelina. Skinęła mu głową, on

zaś wstał, gestem trubadura położył rękę na sercu i złożył jej niski ukłon. Lentino posłyszał, jak Pantaleon sapnął niechętnie.

Znowu zwrócił wzrok na seniora Tyru. Ten nie stracił nic ze swej marmurowej obojętności. Wciąż nie wiadomo było, jakie myśli kryją się za jego surowo zmarszczonym czołem. Obaj synowie księcia, Jan i Onufry, siedzieli obok niego równie nieruchomo jak ojciec. Dalej, na tej samej ławce widać było konsula de Marino. Właśnie Genuńczyk pochylił się i za plecami Onufrego powiedział coś do Filipa. Montfort odpowiedział mu basowym „tak”, a słowo jak krótki grzmot przeleciało przez kościół.

Znowu odezwał się wódz rodu Ibelinów:

— Zbyt już długo trwają nasze obrady. Trzeba się na coś w końcu zdecydować. Wy, sire, sprzeciwiacie się zgłoszonej przez nas propozycji. Czegóż jednak sami chcecie?

— Wiadomo — podniósł się jakiś głos — regencji dla siebie, władzy dla szpitalników, a przywilejów dla Genui...

Rozległ się hałaśliwy wybuch śmiechu. Rycerze uderzali się po udach, tak im się spodobał usłyszany dowcip.

— Ha, ha, ha! — powtarzali — przywilejów dla Genui... Żeby miała, jak w Tyrze, połowę dochodu z portu.

— I żeby każdy okręt, który wpływa do Acre, musiał opuszczać flagę przed flagą Genuńczyków — zawołano z grupy ubranych w czerwono-żółte szaty kupców weneckich.

— Także pewnie postanowienia — dodał Bérard — by każdy, kto umiera w Szpitalu zakonu św. Jana, musiał pozostawić braciom całe swoje mienie. Aby nie musieli się modlić jak teraz: panowie chorzy, umierajcie prędko i nie zapominajcie o nas.

Śmiech ogarnął cały kościół i trwał długo. Ucichł jednak, gdy powstał ze swego miejsca Revel.

— Nie zaglądamy do banku braci Templum, nie wtrącajcie się, wielki mistrzu, do spraw Szpitala...

— Wtrącać się zawsze będę do tego, co jest sprawą królestwa.

— A co jest według was sprawą królestwa?

— Jego bezpieczeństwo!

— Nie myśmy zaszkodziłemu temu bezpieczeństwu lecąc szaleńczo za księ-

ciem Artois i nie my przepraszaliśmy króla Ludwika za tajne pakt z sułtanem Damaszku!

— Służymy królestwu — nie Kapetom i Staufom!

— Ale i wtedy zdradzacie!

— Coś powiedział?! — ryknął Bérard. — Wiadomo wszystkim, kim się to posługuje hrabia de Montfort, gdy pisuje do swoich przyjaciół w Egipcie...

Lentino spojrział z niepokojem na pana z Tyru. Ale jego twarz nie wyrażała oburzenia.

— *Pax*, wielcy mistrzowie! — odezwał się Pantaleon — *Pax!* Na rany Chrystusa zaklinam was: zapomnijcie choć na chwilę o swoich urazach. Tak dłużej być nie może. Czyż zapanuje kiedyś pokój wśród baronów królestwa, jeśli wy, rycerze zakonni, toczyć będziecie ze sobą wojnę? Robimy z siebie ucieszne widowisko dla niewiernych!

Obaj skarceni spojrzeli na siebie złym wzrokiem, ale usiedli bez słowa. Pantaleon skinął na pana z Jaffy, by mówił dalej.

— Odpowiedzcie mi, sire, czego chcecie? — podjął Ibelin. — My pragniemy mieć seniorem miłościwie panującego króla Cypru, Hugona, a do czasu, aż dojdzie do lat męskich, regentem jego matkę, dostojną królową Plezencję.

— Niech żyje król Hugo! — zawołało kilka głosów.

— Niech żyje królowa Plezencja! — zawołali gromko Ibelinowie, zaś Balian zerwawszy się z miejsca podbiegł do Plezencji i ucałował jej rękę. Wiadomo było powszechnie, że ta para zawarła przed paru dniami ślub wobec biskupa Bejrutu, ale patriarcha nie chciał uznać ważności tego związku. Radosna wrzawa przerywana wiwatami trwała znowu czas dłuższy. Dopiero kiedy przycichła, de Montfort zebrał bez pośpiechu fałdy płaszcza i powstał. Biskup Betlejemu nastawił uszu, oczekując niecierpliwie jego słów.

— Nie zgadzam się na waszą propozycję — powiedział tubalnym głosem Filip. Wodził wzrokiem po siedzących naprzeciw Ibelinach i raz po raz podnosił rękę do ust, by przygryźć paznokcie — Władcą królestwa jest najmiłościwszy książę Konrad...

— Konradino! — wrzasnął ktoś zuchwale.

— Nie uznajemy wnuka Fryderyka! — odezwało się kilka głosów.

— Nikt was o to nie pyta — powiedział zimno de Montfort. — Musicie go uznać! — gwałtownie tupnął nogą. Wywołało to burzę na ławie Ibelinów.

— Nie tupać! — posypały się okrzyki. — Nie tupać! Cóż to takiego!/? Ktoś ty, żebyś tupał na nas?

— Obrażacie wszystkich, sire — odezwał się Bérard.

— Słyszeliście, sire? — Revel uśmiechnął się złośliwie. — Obraziliście najczciodszych rycerzy Templum. Chyba wam przyjdzie ich przeproszać. Strasznie są obrażliwi i mściwi. Przecież to właśnie wielki mistrz, sire Bérard, gdy cesarz Fryderyk zabrał dla Niemców Wieżę Dawida, powiedział publicznie, że wsadzi cesarza w takie miejsce, z którego już nigdy głowy nie wytknie.

Teraz zaczęli się śmiać stronnicy pana z Tyru, szpitalników i Genuńczyków.

— Wsadził go, czy nie wsadził? — zapytał ktoś szydlerczo.

— Wsadził... diabła do butelki, ale nie Fryderyka!

— Hej — krzyknął któryś ze szpitalników — a cóż robi wasz Bafomet, wielki mistrzu?

— A co robią wasze dziewczęta? — zapytał zjadliwie de Pignans. — Wiele ich podobno macie w każdym zamku.

— Nie robimy jednak czarów. A w Atlith, wszyscy powiadają, czci się czarnego kota zamiast krzyża.

De Pignans wybuchnął hałaśliwym śmiechem, pod którym czuło się furie.

— I co jeszcze powiesz? Wasze dziewczki nauczyły was pytlować ozorami, jakbyście byli przekupkami, a nie rycerzami.

— Ej, milcz! Żeby tak się do was zabrała inkwizycja...

— Wpierw zobaczy, jak wyłudzącie testamenty!

— Spiskujecie z sułtanem Damaszku!

— A wy z Egipcjanami!

— Zamknij pysk, ty krętaczu!

Rycerze poderwali się z ław. Podniosła się wrzawa, tupot nóg nappełnił katedrę. Zduzione krótkie okrzyki mieszały się z chrzęstem wyciąganych z pochew mieczów. W zamieszaniu przewrócono kilka świec w wielkich lichtarzach, które stały pośrodku zgromadzenia. Ale nad tumultem zapanował rozpaczliwy, starczy głos Pantaleona.

— Na Boga, dosyć! Spokój! *Pax! Pax!* Rycerze Templum i Szpitala,

przez posłuszeństwo zakonne, żądam od was ciszy! Wróćcie wszyscy na miejsca! Schowajcie miecze! Kto wyjmie miecz, tego wy klnę!

Patriarcha stał trzęsąc się cały. Twarz mu zsiniała od krzyku. Podniósł rękę z pastorałem i uderzył nim w ziemię.

— *Pax!* — zawołał raz jeszcze. — Siadźcie! Czy wam nie wstyd? Przyszliście tu radzić o zachowaniu królestwa, a zamiast tego do gardła sobie skaczeć. Wielki mistrzu Bérard, wielki mistrzu Revel, upominam was... Dajecie zły przykład...

— Wybaczcie, wasza dostojność — Bérard skrzyżował ręce na piersiach i skłonił głowę — trudno jest ścierpieć tyle czelności.

— Czelności?! Wasza dostojność, was gotów jestem przeprosić sto razy — wybuchnął Revel — ale tym łotrom nie daruję! Jestem rycerzem.

— Spróbuj! Skończysz nędznie jak Chateauf. —

— Widzicie, wasza dostojność, sam przyznaje się, że to oni go otruli.

— Nikt go nie tru! Zdechł ze strachu, gdy mu się zdrada nie udała!

— Dość! Zabraniam wam więcej mówić! Nie przepraszajcie i wróćcie na miejsca. — W głuchej ciszy, jaka nastąpiła, słychać było kroki obu przeciwników. — Sire de Montfort — Pantaleon zwrócił się do Filipa — przedstawiajcie dalej swoje racje.

— Nie ma już co więcej mówić, wasza dostojność — pan Tyru stał ciągle gryząc paznokcie. — Nie zgadzam się na wybór króla Hugona i królowej Plezencji. Tylko wnuk cesarza może być moim seniorem. Hrabowie Leicester i Tuluzy tacy sami dobrzy jak Lusignanie albo i lepsi...

— Leicester i Tuluzy! — Balian wybuchnął urągliwym śmiechem. — Słyszycie, czego mu się zachciewa?!

Wśród rycerzy rozległy się wrogie pomruki. Tu, na ziemi palestyńskiej każdy z nich uważał się za równego drugim. Wyblakłe tytuły z Europy nikomu nie imponowały.

— Pozwólcie, dostojni panowie — stary Ibelin dźwignął się z ławy. Jego drewniany głos skrzypiał w nagle zapadłej ciszy — pozwólcie, że postawię hrabiemu Tyru jedno pytanie. Sire Filip broni tu wobec nas praw księcia Konrada. Dobrze. Ale czy on sam posiada prawo do zabierania głosu?

Suche dłonie pana z Jaffy uniosły się i rozpostarły we wspianym geście, który zapowiadał cios najpotężniejszego argumentu.

— Jesteśmy tu wszyscy wasalami królestwa. Lecz sire de Montfort nie

uznaje swoich obowiązków. Nie widzieliśmy go nigdy składającego hołd lenny.

— Bo nikt poza mną nie ma prawa do Tyru! — de Montfort uderzył dłonią w rękojeść miecza. — Sam wydarłem go cesarskim!

— Zrobiliście to z naszą pomocą, sire — zauważył przymrużając jedno oko pan z Jaffy. — To były stare, dobre czasy, gdyście bronili z nami wolności królestwa przeciw uzurpatorom. Dziś, niestety, jest inaczej. Lecz przecie trzymacie w lennie Toron.

— Gdy wnuk cesarza przybędzie tutaj, złożę mu hołd z Toronu.

— Niech przybędzie! — krzyknęło kilka głosów.

— Łatwo jest — wmieszał się Bohemund — obiecywać hołd komuś, kto jest daleko.

— Milcz, książę! Jesteście za młodzi, by tak do mnie mówić. Hrabowie de Montfort byli lennikami tylko cesarzy i królów.

— Seniosem królestwa — zauważył biskup Askalonu — jest sam Chrystus.

— Nie widzę rąk Chrystusa, by w nie włożyć swoje dłonie — odparł drwiąco Filip. — A pośredników nie uznaję!

— Nadto śmiałe słowa! — podniosły się oburzone głosy na ławie biskupów.

Lentino z coraz większym niepokojem patrzył na kamienną twarz pana Tyru. Filip był dzieckiem, gdy Szymon padł z roztrzaskaną czaszką pod murami Tuluzy. Ale wciąż żyła o nim pamięć jako o bohaterze chrześcijaństwa, który zwyciężył ogarniętych herezją baronów Langwedocji i przywrócił Kościołowi jego prawa. Wprawdzie już syn Szymona, Amaury, był innym zupełnie człowiekiem. Lecz Tomasz tyle oczekiwał po Filipie! Jeszcze ciągle chciał wierzyć, że wszystko, co mówią przeciwko niemu, to tylko nieporozumienie. Nad jego głową toczył się spór między biskupami występującymi przeciwko hrabiemu de Montfort a arcybiskupem Tyru, który usiłował go bronić.

— To heretyckie słowa! — zawołał biskup Nazaretu.

— Nie heretyckie, nie... — przeciwstawił się temu konsul geneueński de Marino. — Pan Tyru jest prawym chrześcijaninem...

— Co tutaj kupcy geneueńscy mają do gadania!?! — wrzasnął Bérard. — Nie tak dawno wasza flota groziła miastu!

— Nie miastu! Nie walczymy z miastem, a tylko z Wenecjanami — terkotał de Marino.

— Toteż od nich dostaliście w skórę! — triumfalnie zaśmiał się balius republiki św. Marka.

— Hej, uciekaj, *giustizio*, Giustiniani gada! — krzyknął ktoś spoza pleców rycerzy Szpitala, udając głos przerażonej kobiety.

Zerwały się śmiechy i okrzyki.

— Wenecjanom udało się zwyciężyć naszą flotę tylko dzięki rycerzom Templum. W czasie walki objęli oni straż nad ich fondaco — de Marino mówił prędko gestykulując i obracając się na wszystkie strony. — Tak być nie powinno. Templariusze są w zмовie z Wenecjanami. Pożyczają sobie wzajem pieniędzy. Wspierają się. Bank Templum ma swoje udziały w okrętach weneckich.

— A komu pożyczają Genuieńczycy? — ryknął de Pignans.

— Wiadomo — odpowiedział mu jakiś głos — Grekom!

— Bazileusowi! — zawołał ktoś inny.

— Despocie Epiru!

— Na walkę z cesarzem Baldwinem! — Giustiniani wyskoczył na środek prezbiterium i bijąc się w piersi wrzeszczał: — Na św. Sabę upewniam was, panowie, że spiskują. Mają swoje fondaca we wszystkich portach egipskich.

De Marino nie był mu dłużny. Wymachiwał rękoma nad głową i krzyczał:

— Milcz, ty bękarcie! Zrabowaliście nam relikwie św. Saby, a teraz ją nazywacie swoją opiekunką, Ale i tak wszyscy wiedzą, jacy są Wenecjanie. Kto handluje z Tartarami? Co? Kto? Nie tak dawno przecież przysłali trzy okręty chłopów chrześcijańskich znad Wołgi do portu w Aleksandrii.

— Ach, ty łotrze! Jeszcze śmiesz o tym mówić?! — zaperzył się Giustiniani. — Nie zapłaciliście nam połowy należności za ładunek!

— Bo połowa niewolników pomarła zaraz po przywiezieniu. Zamorzyli chrześcijan głodem, dostojni panowie!

Bérard uderzył pięścią w ławę.

— Ładnych się tu rzeczy dowiadujemy: Genuieńczycy handlują chrześcijanami!

— Wasi bracia z Mont Pèlerin, wielki mistrzu, kupili także kilkoro dzieci.

— To nie były dzieci chrześcijańskie!

— Dzieci nie dzieci — zahuczał de Montfort — czas z tym skończyć! Templariusze i Wenecjanie obsiedli Acre i chcą robić, co im się podoba.

— Wolelibyście pewnie — krzyknął Bohemund — aby tu siedzieli szpitalnicy i Genuńczycy i robili, co wam się podoba!

— Dość! Książę Antiochii nie ma tu nic do gadania!

— Wy, sire, także nic! — wybuchnął Balian Ibelin. — Nie składaliście hołdu na ręce regenta — nie jesteście wasalem królestwa...

— Ibelinom hołdu składać nie będę! Gdy książę Konrad przyjedzie...

— Nie przyjedzie! A jakby przyjechał, wyrzucimy go jak Filanghierich!

— Hej, młodziku! W głowie ci się pomieszało! Myślisz może, że z królową uda ci się złapać koronę królewską?

— A cóż to? Ibelinowie zły ród?

— Zły — nie zły: „Pullanie” od macania kur...

— Słyszeliście? Ibelinowie! Znieważa nas! Do broni! Chartres i Jerozolima!

Stary okrzyk rodowy Ibelinów wstrząsnął murami katedry:

— Chartres i Jerozolima!

Znowu wszyscy zerwali się na nogi. Kilka ław upadło na posadzkę wywołując łoskot podobny grzmotowi. Ciżba rycerstwa zaczęła przeć ku środkowi. Tu i tam błysnęły miecze, gdzieś ludzie złapali się za pasy lub stękając poczuli się wodzić objęci wół. Potracono lichtarze, jeden z nich potoczył się na ławę kobiet. Dworci wrzeszcząc, jakby je obdzierano ze skóry, rozbiegły się na wszystkie strony; Sybilla gdzieś zniknęła, królowa Plezencja pozostała sama. Ale zaraz nadbiegł Balian Ibelin i stanął przy niej. Wymachując mieczem i nie dając nikomu zbliżyć się do Plezencji krzyczał raz po raz:

— Chartres i Jerozolima! Arsuf do mnie!

— Bić cesarskich! — padło z tłumu dawne hasło zjednoczonych baronów syryjskich.

— Bić szpitalników! — dał się czerwonołoso de Pignans.

— Śmierć Genui! — słyhać było histeryczny skowyt Giustinianiego.

W zamięcie ktoś podniósł ławę i począł nią obracać w powietrzu nad

głowami ludzi. Coraz więcej padało świec, toteż mrok nappełnił kościół. W ciemności tłum miotał się i walczył; słychać było jęki rannych czy też deptyanych. Baronowie nawoływali się krzykiem:

— Chartres i Jerozolima! Bejrut za mną!

— Antiochia! Normanowie naprzód! Kyrie elejson!

— Sydon! Sydon!

— Chrystus zwycięża! — było to zawołanie, z którym na ustach Szymon de Montfort wdzierał się na mury Béziers.

— Bij! Bij!

Nagle nad całym tym zgiełkiem zapanował straszny, ochryply głos. To patriarcha trzymając w jednej ręce pastorał, a w drugiej świecę rzucił się w środek miotającego się tłumu. Świecę wytracono mu z ręki, mitrę strącono z głowy. Wśród popychania i bijatyki biskupia kapa sfałdowała się na karku patriarchy niby garb. Chciał wołać, ale głos zamarł mu w krtani, oczy zaś wyszły na wierzch od wysiłku. Wreszcie udało mu się krzyknąć. To był głos nieludzki: coś, niby rozpaczliwe rżenie konającego zwierzęcia.

— Stójcie!

Może dziwaczny dźwięk tego głosu sprawił, że jednak ludzie zatrzymali się wśród walki. Pantaleon chciał zawołać jeszcze raz, ale już nie mógł. Z tamtym zawołaniem uszły zeń wszystkie siły. Stał, słaniając się jak samotna palma smagana wiatrem. Ale pospieszył mu z pomocą de Sargines. Olbrzymi rycerz wyskoczył z cizby na środek prezbiterium, z mieczem w dłoni i zakrećwszy nim nad głową, aż zafurczało powietrze, zaczął wołać:

— Jak... jak... kto... nie... nie... posłucha... za... zabiję!

W całej Syrii wiedziano, że gdy Sargines wpadnie w szal bojowy, nikt nie potrafi się z nim zmierzyć. Walka lub pokój ważyły się jeszcze przez chwilę. Potem podniosły się głosy:

— Sire de Sargines ma rację.

— Wstyd! W kościele jesteśmy!

— Dajcie spokój.

— Arcybiskup zemdła!

— Arcybiskup ranny!

Pantaleon jednak nie był ani ranny, ani też nie zemdłał. Siły go tylko tak bardzo opuściły, że gdyby go byli nie podtrzymali najbliższej stojący ry-

cerze, byłby upadł. Doprowadzono go do tronu i posadzono na nim. Dyszał ciężko z głową nisko opuszczoną. Suche jego dłonie drżały na pastorałe, a pierścień biskupi cicho podzwaniał. Służba zaczęła podnosić lichtarze i zapalać świece. Baronowie wracali na swoje miejsca: słychać było stukot stapań, szcęk ostróg, chrzęst zasuwanych do pochew mieczów. Tylko de Sargines stał dalej pośrodku, wsparty na nagim mieczu, fukając z oburzenia i bojowego gniewu, aż płowe wąsy poruszały się za każdym sapnięciem.

Patriarcha dyszał ciągle. W ciszy, jaka się zwolna poczęła robić, jego jęklive dyszenie wydawało się sapaniem stortuowanego człowieka, na którego zeznania czekają oprawcy. Wreszcie dźwignął głowę. Jego starcza twarz miała wyraz oszołomienia, nieomal całkowitej tępoty. Rozwichrzone siwe włosy spadały mu na czoło pokryte potem. Ktoś podniósł jego mitrę i podał mu ją, ale on nie włożył jej na głowę, tylko trzymał w rękę w taki sposób, jakby nie wiedział, co ma z nią zrobić. Zatoczył błędnym spojrzeniem swych dużych, wyblakłych oczu. Zatrzymał wzrok na ławie, na której siedzieli biskupi. Patrzył teraz wprost na legata. Lentiniemu wydało się, że patriarcha przywołuje go do siebie. Wstał i podszedł do tronu. Było w nim jeszcze przerażenie wywołane oglądaną walką; idąc miał świadomość słabości swoich nóg. Pantaleon dał mu przyzywający znak głową, więc chciał czegoś rzeczywiście. Bezgłośnie, samym ruchem warg powiedział:

— Mów...

Mówić? Parę godzin temu przemawiał z kazalnicy. Ale wtedy nie miał jeszcze świadomości całej tej przerażającej pasji, jaka żyła w piersiach siedzących przed nim ludzi. Mówić? Jak ma do nich mówić? Przez całe dotychczasowe życie wierzył w piękne słowo. Mieszkańcy Lombardii byli raczej nieszczęśliwymi, których trzeba było pocieszać, tłumaczyć im, że świat nie jest taki zły, ale jak każde dzieło Boga posiada na sobie także znak Jego dobroci. Ci ludzie przyjęli okrutną naukę katarów, bo im się wydawała w swej beznadziejności wyższa niż samo życie. Gdy się im przynosiło pogodną prawdę ludzkiego rozsądku, zawartą w naukach brata Alberta i Tomasza, witali ją jak wyzwolenie. Pocieszające myśli przychodziły z pocieszającymi słowami.

Ale jakimi słowami przemawiać do tych, co krzyż Pański nosząc na piersiach zapomnieli, co on oznacza? „Matko Boża — myślał Lentino — jakżeż jest wszystko proste, gdy można powiedzieć: Patrzcie, tak trzeba żyć, jak żyją chrześcijanie. Ale wstrząsnąć chrześcijanami, pokazać im, że nie żyją, jak powinni?” — Nie był człowiekiem naiwnym. Znał prawdę wiecz-

nego upadku. Ale znał także zakłęcie wielkiego słowa. Zakłęcie, które tak bardzo uspokaja. Baronowie patrzyli na niego czekając, co powie. Widział ich twarze pełne niewygasłego gniewu. Z ich ust buchało czosnkiem, którym się nażerali. Czuł, że jeśli nie zacznie zaraz mówić, porwą się na nowo do bijatyki. Teraz już nie ufał żadnemu nich: taki sam był Montfort jak i inni. Nie było tutaj nikogo, kto by pamiętał, czego oczekuje od nich chrześcijaństwo. Do kogo mówić? A mówić trzeba. Wciąż miał suchość na wargach i pustkę pod czaszką. Namiętnie, zarliwie począł wzywać pomocy Maryi: „Pomóż mi — szeptał — daj znaleźć właściwe słowo.” Ale żadna myśl nie przychodziła mu do głowy. Napięcie ciszy przewlekało się nieznośnie. Ciągnęło się ono już zbyt długo. W tłumie baronów poczęły się szepty, rozmowy — od razu ostre, napastliwe, mogące lada chwila zrodzić nową burzę. Lentino zrozumiał, że jeśli natychmiast nie zacznie — za chwilę będzie już za późno.

— Dostojni baronowie — podjął gwałtownie — dostojni baronowie! — Zdawało mu się, że nie wybrnie poza to wezwanie. W końcu udało mu się uczepić strzępka tematu: — Jesteście tutaj, by mieczem służyć sprawie Krzyża. Jak wspaniały Karol Młot, jak świątobliwej pamięci Godfryd z Bo-uillon podjęliście walkę z Saracenami. Każdy z nas wziął swój krzyż. Ofiarował swe życie. Przyszliście tutaj, by ukorzyć dumnych, tych, których „ręce splamione krzywdą, a dłoń pełna przekupstwa”. Nie zapominajcie o tych wielkich celach! Nie odchodźcie od nich dla małych sporów! Błagam was — bądźcie wielkiego serca i wspaniałego ducha, bądźcie takimi, jakimi was widzi cały świat chrześcijański!

Mówił tak, ale nie miał poczucia, że jest słuchany. Głosy nie cichły: rozlegały się ciągle. Groźne słowa dyszały w tłumie niby płomienie pod popiołem niewygasłego ogniska. Słowa... — po raz pierwszy czuł ich całkowitą nicość. Próżno wyszukiwał najpiękniejsze przykłady, próżno cytował słowa psalmów. Nagle uświadomił sobie z przerażeniem, że ten cyzelowany język, za który tyle otrzymał pochwał, nie budzi tutaj żadnego echa. Głosy przeszły w krzyk, masa ludzka poczęła falować. Teraz nic już nie mogło jej powstrzymać. Postyszał, jak woła Balian Ibelin:

— Dość gadania! Kończmy!

— Kończmy, kończmy! — odezwali się inni. — Już słyszeliśmy kazanie.

— Dość słów! Wybierajmy króla!

— Wybierajmy!

Musiał przerwąć — głos jego zatonął w chaosie. Balian wyskoczył przed baronów.

— Kończmy! — zawołał. — Niech mówi pan z Jaffy.

— Niech mówi Ibelin!

— Byle prędko!

Głos starego Ibelina zaskrzypiał pośród ciszy:

— Racja: trzeba prędko. Nie ma o czym wiele mówić. Wybieramy seniorem króla Hugona, czy nie wybieramy?

— Tak! Tak! Wybieramy!

— Król Hugo naszym królem!

— Cypr i Jerozolima razem!

— Niech żyje! Niech żyje!

— Nie! — Hrabia de Montfort zaprotestował potężnym basem. — Nie! Nie zgadzam się!

— Obejdzie się bez tej zgody!

— Książę Konrad...

— Precz z Konradem! Niech żyje król Hugo!

— Precz z Filipem!

— Nie zgadzamy się!

— Precz ze szpitalnikami!

— Nie ustąpimy!

— Zobaczymy, czy nie ustąpicie!

W tej chwili w krzyk i zamęt wbiło się wołanie kogoś od drzwi kościoła. Wieść podawana z ust do ust wędrowała wśród zgiefku, a pod jej wpływem tłum baronów, którzy zerwali się z ław, potoczył się w stronę wyjścia. Nie można było zrozumieć, co się stało. Musiała się dopiero przewalić większość wychodzących, aby głosy dobiegające z placu stały się zrozumiałe we wnętrzu katedry. Zebrany przed kościołem tłum krzychał:

— Wszyscy na Genuńczyków!

— Bić zdrajców!

Na tle czerwieniejącego się nieba widać było kłęby dymu unoszące się nad dzielnicą genueńską. Za Wenecjanami popędziła tym kierunku liczna

rzesza żądnych rabowania w porozbijanych sklepach. Wybiegający z kościoła baronowie siadali na konie chwyтали kopie i tarcze. Walka wisiała w powietrzu. De Marino stojąc na placu obok Revela, który już dosiadł konia, krzyczał coś do niego przejmująco. Wielki mistrz odpowiedział mu skinieniem głowy. Potem wspiął konia i w otoczeniu swoich ruszył galopem ku północnej dzielnicy miasta, gdzie znajdował się Szpital i zamek szpitalników.

— Poleciał zbroić swoich! — Powiedział do Bérarda Anno von Sangershausen, wielki mistrz rycerzy teutońskich. Dobre czasy niemieckiego zakonu skończyły się razem z Fryderykiem. W Syrii nie lubiano ich i niewiele brakowało, żeby ich zmuszono do opuszczenia kraju razem z Filanghierimi. Chcąc pozostać, związali się ściśle z templariuszami. Schlebiali im, nigdy nie podtrzymywali sprawy, której templariusze byli przeciwni; za to mogli utrzymywać przy banku rycerzy Templum swój kantor, prowadzący wcale niezłe interesy handlowe z królestwem Sycylii. Część zysków odsyłali do Prus, które były teraz ich główną prowincją.

— Więc i my będziemy gotowi — odrzekł Bérard. Oczy mu się świeciły, gdy to mówił. — Bracie de Pignans — rozkazywał — śpiesz wezwać naszych. I wy, wielki mistrzu, każcie się uzbroić rycerzom teutońskim. Skończymy raz wreszcie z tymi złodziejami testamentów. Do broni! Templum Salomonis!

— *Heilige Maria!* — zawołał von Sangershausen. Uderzył konia ostrogami i pomknął wąską ulicą. Jego różowa obwisała twarz drgała, w jasnobieskich, wylupiastych oczach był wyraz chciwości. „Dość dziadowania” — myślał przyciskając swój wielki brzuch do przedniego łęku siodła. Oni, zakon Najświętszej Maryi Panny Jerozolimskiej, byli tu, w Syrii, najbiedniejsi. Posiadali jeden tylko zamek. Musieli się wysługiwać innym. Ale gdyby się tak przetrzepało skórę szpitalnikom, może przy sposobności udałoby się złapać jakieś poważniejsze lenno?

Katedra była pusta. Ostry blask chylącego się ku zachodowi słońca bił w rozetę nad wejściem i przesiany przez nią kładł się kolorowymi plamami na ścianie nad ołtarzem. Kto żyw: rycerze i biskupi, panowie i służba — pobiegł do miasta, patrzeć na bitwę Wenecjan z Genuęńczykami i templariuszów ze szpitalnikami. Przed chwilą dopiero rozhuczana wielu głosami katedra pełna była teraz ciszy. Głucho tu było jak w grobowej krypcie. Na-

wet hałasy walki, które przesączały się przez mury, wydawały się jakieś stonowane, jakby nierealne, niby dźwięk dzwonu we mgle.

Nawa i prezbiterium przypominały pobożowisko: poprzewracane ławy, połamane świece, zmięte, skopane kobierce, tu i tam zapomniany płaszcz, nie rozproszona jeszcze woń ludzkiego stada

Teraz dopiero Pantaleon podniósł twarz, dotąd ukrytą w dłoniach. Nie pozostał przy nim nikt, nawet jego kapelan. Był sam w pustyni kościele, z goryczą w sercu. Lecz nie — nie był sam. Oparłszy dłonie na poręczach swego tronu, podźwignąwszy się nieco w górę Jakub skierował wzrok na ołtarz. Czerwony ogieniek palił się tak, jak palił się w tej chwili w Liège, w Verdun, w Walencji, w Canterbury, we Wrocławiu, w Rzymie, jak palić się będzie na pewno — w to Pantaleon nigdy nie wątpił — do końca... Jego blask mówił patriarche o obecności Tego Kogoś, kogo również opuszczono, lecz kto nigdy nie opuszcza. Przewyciężając słabość ciała Jakub zsunął się z fotela i szedł przez rumowisko ławek ku ołtarzowi. Chwiał się na nogach i całym ciężarem wspierał na pastorałe, jakby to była zwykła laska. Doszedłszy do schodów ukląkł, a potem wyciągnął się twarzą do ziemi, z szeroko rozkrzyżowanymi ramionami.

„Boże. Boże” — zaczął się modlić. Czuł się zmiażdżony. Wszystko wysuwało mu się z rąk i staczało w przepaść jak cegła po pochyłości dachu. „Dlaczego musiałem tego dożyć?” — myślał z żalem. Był stary, mógł wiele razy umrzeć i nie zobaczyć tych wszystkich szaleństw. Lecz umysł podsunął mu nagle wyjaśnienie: „A jeśli to wszystko z powodu t a m t e g o ?” Ściągnął brwi. Niby na kolorowej wstędze, którą ktoś przesuwa szybko przed oczami, widział znowu całe swoje życie: początkowo sensne w Liège, a potem gorączkowe, wypełnione podróżami z krańca na kraniec Europy, gorącymi przemowami, perswazjami, namiętymi słowami, klątwami. Nie wahał się ich wiele razy używać. W tym pośpiesznym biegu spraw nie było czasu na zatrzymywanie się przy słowach cichych. Ani czasu, ani chęci...

„I przecież — dźwignął głowę — nie służyłem własnej chwale. Nie szukałem jej. Nie za własną obrazę ciskałem anatemami. Chciałem, by Bóg był wreszcie ponad światem. Żeby przed jego namiestnikiem gięli kolana cesarz i królowie. Prawda — odszedłem z Liège. Ale to, czego chciała ta kobieta, było zbyt trudne. Miałbym wszystkich przeciwko sobie: prałatów, biskupów, może samego papieża. A zresztą odchodziłem dla sprawy ważniejszej. Szedłem służyć...”

Przycisnął twarz do pokrywającego schody dywanu. Co jest ważniej-

sze: ukorzyć królów, książęta, baronów, być wykonawcą woli papieża, czy walczyć przeciwko wszystkim, może przeciw samemu papieżowi, o ideę zamurowanej pustelniczy? Jej słowa były w nim ciągle jak żarzące węgle. Wiele razy przychodziły do niego kobiety i mówiły: „Pustelnica chce was widzieć”. Odpowiadał pośpiesznie: „Dobrze, dobrze, pójdę do niej, jak tylko będę miał czas”. Tego czasu zawsze brakło. Wreszcie jednak postanowił się uwolnić od ciągle wiszącego nad nim zobowiązania. Niechętnie podszedł pod zamurowaną celę. Kobiety nie mógł widzieć, otwór znajdował się wysoko, za ledwie wspinając się na palce można było podawać rekluzie jedzenie. „To ja, archidiakon Pantaleon — powiedział. — Czego chcesz ode mnie? Mówią mi kobiety, że mnie ciągle przyzywasz.” „Tak, Panie — posłyszał głos — wzywam cię. Cieszę się, że znalazłeś chwilę, by mnie wysłuchać. Jestem tylko wielka grzesznicą, niegodną, byś rozmawiał ze mną. Lecz to, o czym chcę ci powiedzieć, Jezus kazał mi, abym tobie powiedziała.” „Cóż to takiego?” — pytał bez przekonania. Odstąpił na dwa kroki od ściany: z otworu spływała ku niemu niemila woń.

„Mój Kościół, powiedział Pan — mówiła pustelnica, a jej głos brzmiał jak szemranie strumyka sączącego się po kamieniach — pełen jest cierpień. Ma wrogów na zewnątrz, ma także wrogów pośród swoich.” „Tak — przyznał stawiając nogę na kamiennej ławie opartej o mur; brzmiały mu jeszcze w uszach uchwały synodu lyońskiego, zakończone solennym aktem depozycji Fryderyka — tak, zły cesarz! Cesarz niegodny, heretycki, krzywoprzysięzca, zdrajca chrześcijaństwa.” „Wiec to cesarz — zapytała — prześladowuje Kościół?” „Tak! — wybuchnął, jak wybuchał wobec książąt Kastylii, Norwegii, Anglii, Turynгии, Polski, Czech... — cesarz-antychryst!” „I to cesarz — pytała dalej — staje przeciwko Bogu? I on, człowiek, zwycięża Boga?”

„Pleciesz!” — oburzył się. A jednak nie wiedział, co ma jej na to odpowiedzieć. Na zrębie muru nad głową zobaczył dłoń. Była ciemnoszara, jakby wykuta z kamienia, niepodobna do dłoni żywego człowieka. „Kościół — rzekł wreszcie — doświadczany jest rozmaitymi plagami. Heretycy, schizmatycy, poganie.” „Kościół Pański — doszło go z góry — cierpi, bo Chrystus w nim został ukryty.” „Jak to?” „Prześciancie mnie ukrywać, kazał ci powiedzieć Pan. Odkryjcie mnie ludziom. Wszystkim. Pokażcie, że byłem człowiekiem, jak wy, cierpiałem, jak wy cierpicie, i za was wylałem krew. Pokażcie ludziom moje rany, które nie przestały krwawić.” „Mówimy o nich nieustannie.” „Pan nie powiedział: mówcie. Powiedział: pokażcie”. „Lecz jak Pan chce, abyśmy je ukazali? Zresztą komu to mówisz? Jestem tylko tu-

tejszym archidiaconem. To są sprawy, o których mógłby decydować jedynie Ojciec święty. Jeżeli Pan Jezus mówi do ciebie naprawdę, niech pozwoli, byś przekonała papieża.”

„...Jak chcesz, abyśmy je pokazali ludziom?” — powtórzył teraz. Odjechał z Liège, nie chcąc dłużej słuchać nalegań Ewy. Jej żądanie było zbyt trudne do spełnienia. Ale pozostała w nim, niby wyrzut, świadomość, że niczego w tej sprawie nie dokonał, niczego nawet nie próbował dokonać. Po prostu uciekł. „Boże, Boże — szeptał — a jeżeli?... Pojmuję, że nie chcesz być tylko Imieniem. Symbolem, Ideą, za którą się walczy, bo brzmi wspaniale, ale chcesz być sobą. Nie chcesz mieszkać w pustym kościele, ale chcesz wyjść z kościoła w życie. Lecz któż tego może dokonać? Ja? Dlaczego ja? Kim jestem, bym się tego mógł podjąć? Czy wystarczy wnieść Cię w życie takim, jakim dla nas jesteś: ukrytym w opłatku — by to życie odmienić?”

Milczenie było wokół niego, tylko zza murów dochodził nieustanny zgiełk walki, niby szum wzburzonego morza.

„Czy wystarczy — podjął po chwili — zrobić gest, gest wyniesienia na słońce Twego Przenajświętszego Ciała? Czy wystarczy...”

„A czy trzeba ci czegoś więcej, by chleb stał się Bogiem?” — posłyszał. Głos rozległ się w nim, ale był tak wyraźny, aż Jakub dzwignął głowę, aby się upewnić, że nie powiedział tego ktoś drugi. Nie zobaczył nikogo. Katedra była pusta. Tylko blask rozety wędrował coraz wyżej po ścianie i wspinał się już na sklepienie kościoła. Dźwięk usłyszanych słów nie zawisł w powietrzu, jak zawisa głos ludzki. Niby sen, z którego zostaliśmy zbudzeni, zatarł się natychmiast pozostawiając tylko migotliwą pamięć swej treści.

CZEŚĆ DRUGA

TARTARZY

1

Stojąc na wzgórzu patrzyli na miasto przed nimi. Zza murów wysunęły się gałęzie palm i chwiały podobne do rozpostartych dłoni. Cienkie niby igły wieże minaretów godziły w niebo. Bliżej, za pasmem płowych wydm ciągnęła się zielona linia drzew towarzysząca biegowi rzeczki Kwajk.

Raz po raz odwracał głowę od tego widoku, by spojrzeć na Kitbukę. Nojon siedział na małym, łaciatym, podobnym do krowy koniku, o wiele niższym od królewskiego ogiera. Miał na głowie spiczastą czapkę obszytą futrem. Nad połyskującymi policzkami wodza rysowały się dwie krechy oczu, ku którym zbiegła się gęsta sieć zmarszczek. Od długiego, spadającego na kolana kaftana biło mocnym zapachem dymu, zjełczałego tłuszczu, potu i końskiego moczu. Długi bat z surowego rzemienia zwieszał się z przegubu ręki; jego koniec leżał na ziemi. Nojon siedział w siodle odchylony w tył, z kolanami podniesionymi wysoko.

Przed sobą mieli zachodnią ścianę miasta skąpaną w słońcu. Na tle różowego muru rysowała się Bab Antakija — Brama Antiocheńska. Załoga widziała ich z murów i krzycząc pokazywała ich sobie palcami. Dla tamtych byli tylko czarnymi sylwetkami, zabawnymi może w swej odrębności: mały Mongoł na kudłatym koniku i wielki rycerz w hełmie z pióropuszem na olbrzymim rumaku bojowym.

— Patrz, szoggunie — powiedział Kitbuka wyciągając rękę, u której wisiał bat — tę bramę zdobędziemy jutro. Tak rozkazał chan. Nojon Arkatu uderzy na Bramę Żydowską od północy, nojon Sunjak na Bramę Damasceńską od południa.

— Sądziś, że ją zdobędziemy?

— Chan rozkazał.

— Lecz czy zdołamy ją zdobyć?

— Zdobędziemy. Chan rozkazał.

Wciąż w tej samej niezgrabnej pozycji, jakby siedział w kucki na poduszce, Kitbuka przyglądał się polu jutrzejszej bitwy. Co chwila rzucał jakąś szybką uwagę stojącemu przy koniu człowiekowi w mycce z pomponem na głowie i z czarnym warkoczem spadającym na plecy, który zapisywał usłyszane słowa pędzelkiem na długim pasemku żółtego jedwabiu. Małe oczy nojona błyskały znad wydatnych policzków. Łaciaty jego koń raz po raz wyciągał szyję i raptownym kłapnięciem pyska usiłował schwytać za skórę na piersi konia Hettuma. Gdy mu się to nie udawało, wyrzucał łbem, na który opadała grzywa, i wydawał zły wizg. Wystarczyło jednak, by Kitbuka podciągnął bat w górę, a już koń kładł uszy po sobie i niespokojnie przysiadł na zadzie. Wreszcie nojon skończył swe obserwacje. Skinął głową:

— Dobrze — powiedział. — Możemy wracać.

Zawrócił konia. Ledwo ruszyli, mongolski konik rzucił się w swój zwykły, nie znający zmęczenia galop. Wracali ku obozowi, który leżał po drugiej stronie pasma wzgórz — wielkie, podobne pasiece, skupisko okrągłych namiotów. Ger wodza nie różnił się niczym od innych, które Hettum widział tu, nad Wołgą i w Karrakorum: ściany z wołjoku obszywane kolorową taśmą, rozpięte na drewnianych palikach; w górze otwór do wypuszczania dymu z ogniska; przed namiotem błoto z rozdeptanego końskiego nawozu i z krwi zabijanych zwierząt; ze środka ziało odorem tłuszczu. Małe postacie żołnierzy mongolskich pojawiły się niespodziewanie, jakby spod ziemi. Byli do siebie podobni niby krople wody: mieli szpiczaste czapki spadające na uszy, długie kaftany, kabłąkowate nogi, rozplaszczone nosy. Śmierdzielili tłuszczem i starą krwią. Zręcznie pochwycili konie przy pysku. Jeden z żołnierzy szybko ukląkł i pochyliwszy się głęboko podstawił plecy, by po nich mógł zsiąść z konia wielki bahadyr.

— Pojadę do siebie — rzekł Hettum.

— Nie, nie, zsiądź z konia i bądź moim gościem — zaprosił Kitbuka. — Chcę z tobą porozmawiać.

W namiocie zaduch był dławiący. Pośrodku stał piecyk o trzech nogach, na którym żarzyły się gałęzie i kawały suchego nawozu. Obok niskiego posłania ze skór leżały dwa łuki, dwa kołczany, skórzana tarcza pokryta polewą z czarnego laku, krzywy miecz i dzida. Przy posłaniu warował wielki, szary pies tybetański o krwią podeszłych ślepiach. Na widok swego pana uderzył parę razy o ziemię ogonem i wyciągnął do niego pysk. Kitbuka zdjął czapkę, zrzucił tułub. Był teraz do pasa nagi: jego żółta skóra opinała się na kościach i wydawała się cienka, niby woskowany chiński papier. Trudno

było określić wiek wodza, ale ociekające tłuszczem włosy były miejscami szpakowate. Mruczając coś pod nosem wydobyl z kąta namiotu duży garnek nakryty płatem płótna. Postawił go obok siebie na ziemi; odkrył. Gęste powietrze namiotu przeszło kwaśną wonią kumysu. Kitbuka zanurzył w biały, pianisty płyn czerpak o długim uchu.

— Pij — podał czerpak Hettumowi — pij, szoggunie.

Ten tytuł nie odpowiadał na pewno jego godności. Ale wołał o tym nie myśleć, wołał tego nie spostrzegać. Tak go nazwał wtedy Mongka, tytuł zaś nadany przez kagana obowiązywał wszędzie, gdzie tylko dotarły mongolskie tumany.

Kumys miał smak ostry, cierpki, nieporównany. Gdy go Hettum pił po raz pierwszy przed laty w namiocie Sartaka, nie był zupełnie pewien, czy nie robi rzeczy grzesznej. Mnisi, którzy wracali z Mongolii, twierdzili, że kumys jest płynem diabelskim odbierającym człowiekowi panowanie nad sobą i oddającym go w moc złego ducha. Nestorianie śmiali się z tego i zapewniali, że jest to taki sam dobry napój jak wino. Trzeba było powziąć jakąś decyzję i ponieść jej ryzyko. Młody Sartak pochylony do przodu patrzył uważnie, jak się zachowa przybysz. Dla niego była to również sprawa rozstrzygająca. Świta chanowego syna śledziła niemniej bacznie twarz Hettuma. Dotąd jeszcze nie widzieli kogoś takiego; przybywali do nich mnisi, kupcy, śpieszący z hołdem wasalskim emirowie, malikowie i bekowie. Ale władca z kraju Franków, który jechał do wielkiego chana, był kimś nowym. Dawali mu wtedy tytuł armeński: tagawor.

Teraz już wiedział, jak ma postąpić. Upiwszy z czerpaka oddał go Kitbuce. Nojon wypił resztę przechylając głowę w tył. Cmoknął, obtarł dłonią szerokie usta, rozchylone niby nabrzmiąta rana nad rzadką brodą. Długi czas nic nie mówił. Pies zasnął i sapał ciężko. Spoza wołokowych ścian dochodził gwar obozu.

Ciężka atmosfera namiotu zaczęła dławić Hettuma. Próżno robił wysiłki, aby przemóc słabość. Drażniło go to: nie mógł znieść myśli, że sprawy najważniejsze cierpią dla takiego głupstwa. Gdy Bohemund zwykł był mówić: „Daj spokój, teściu, nie dam rady; chce mi się rzygać od tego smrodu...” — wzruszał gniewnie ramionami. Chwila była za poważna na takie wymówki. Trzeba było koniecznie poznać, kim jest Kitbuka. Nie czuł się jednak dobrze. Także przeciągająca się cisza wprawiała go w stan jakiegoś oszołomienia. Chwilami był bliski zapomnienia, gdzie jest.

— Chan więc wykonał wszystko, co obiecał... — powiedział nagle Kitbuka. Hettum przemógł się, podniósł głowę. Zobaczył, że nojon wpatruje się w niego uważnie świdrującym wzrokiem, który wydawał się tym bardziej przenikliwy, iż w wąskich szparach powiek nie było widać źrenicy. — Przyznaj, szoggunie, nie oczekiwałeś tego. Nie spodziewałeś się jeszcze miesiąc temu, że dziś stać będziemy pod murami Aleppo.

Rzeczywiście — nie spodziewał się tego. Wezwanie, jakie mu przyniesiono, wydawało się po prostu przechwałką. Postanowił być jednak w porządku: pchnął zaraz gońców do Bohemunda i Dawida; oni dwaj byli wtajemniczeni w sprawę. W tydzień potem na czele połączonych wojsk zbliżali się do Harranu. Ale już po drodze mogli się przekonać, że straszliwi przybysze rozpoczęli naprawdę swój marsz. Wsie były puste, ludność uciekła w popłochu w góry lub na południe, ku granicy sułtanatu egipskiego. Niedługo potem napotkali mongolskie podjazdy przebiegające w galopie cały kraj. Do Harranu przybyli w dzień po zjawieniu się tam głównych sił Hulagu. Chan wezwał ich zaraz do siebie. Hettum był zdania, że powinni się tam udać z należytą godnością. Wyruszyli więc pochodem: najpierw służba niosąca dary, za nią dwaj zakonnicy: Wilfryd i Andrzej, ubrani w liturgiczne szaty i śpiewający pobożne pieśni, na końcu Hettum, Bohemund i Dawid w otoczeniu swoich rycerzy. Tłumy Mongołów stały wzdłuż drogi i gapiły się na nich. Trzeba było iść przez cały obóz, gdyż biały namiot wodza znajdował się pośrodku Ordu.

Hulagu przyjął ich łaskawie. Służba przyniosła im zaraz poduszki do siedzenia oraz do wyboru: kumys lub ryżową wódkę do picia. Następnie chan wezwał swoich wodzów: wchodzili jeden za drugim, padali przed Hulagu na twarz, a potem odwracali się ku Frankom i podnosząc dłonie wymawiali słowa powitania: „Mendu”. Chan mówił ich imiona: Bajdu, Sonkor, Sunjak, Arkatu, Kitbuka. Niektóre z nich były już znane Hettumowi. O starym Bajdu wiedział, że zwyciężył Seldżuków i sprawował nad nimi bezlitosną władzę, o Kitbuce mówiono, że to on był właściwym zdobywcą Bagdadu, a przedtem wstąpił się w wojnie z dalekim ludem Song. Ci krępi, krzywonodzy ludzie w wytłuszczonych kaftanach nie wyglądali na znakomitych wodzów niezwykłego wojska. Hulagu był wśród nich najmniejszy; wyglądał chuderlawo, brudne spodnie wyzierały spod naszywanego błyskotkami kaftana. Kiedy Hettum ujrzał go pierwszy raz w namiocie kagana i kiedy usłyszał, że mały brat małowładnego Mongki ma być wodzem wyprawy — wydało mu się to zrazu zabawnym nieporozumieniem. Dziś już

tak nie myślał. Przekonał się, że wygląd chanów i wodzów mongolskich nie przeszkadza im zwyciężać — pewnie i zawsze. Zwłaszcza trudno w to było wątpić teraz, gdy cała Persja leżała u nóg Hulagu, Bagdad znajdował się w jego rękach, zaś kalif umarł, zagłodzony we własnym skarbcu.

W namiocie chana smród panował nie mniejszy niż w innych namiotach i Hettum widział, jak nozdrza księcia Antiochii rozdymały się znacząco. „Czy Bohemund — myślał z niepokojem — zachowa się należycie? Byłoby szaleństwem obrazić Mongołów.” Hulagu zdawał się jednak niczego nie dostrzegać. Zajęty był wydawaniem rozkazów; rycerstwo armeńskie, antiocheńskie i gruzińskie miało być włączone do oddziałów środkowej armii prowadzonej przez Kitbukę. Chudemu Chińczykowi z pieczęcią zawieszoną na szyi, ubranemu w jedwabny chałat, kazał zająć się zaprowiantowaniem i zafurazowaniem sprzymierzeńców. Potem zwrócił się do Hettuma; powiedział: „Cieszę się, że dotrzymałeś słowa. Przybyłeś na czas i przyprowadziłeś swoich braci. Jutro jeszcze damy koniom odpocząć. Ale pojutrze ruszymy na Edesę”. To było zaledwie przed dziesięciu dniami. Dziś stali pod Aleppo.

— Tak — przyznał — nie oczekiwałem tego. Chan jest szybki jak sokół myśliwski.

— Kiedy padnie Aleppo, ruszymy na Damaszek. A za miesiąc — ciągnął Kitbuka — odbijemy z rąk tadżyków święte miasto. Największy z waszych władców nie mógł tego dokonać.

Hettum zmarszczył brwi. Tak było istotnie. Nie zwyciężąc głosiły dzwony w Acre, gdy były na powitanie Ludwika powracającego z niewoli na genueńskim okręcie. A w parę lat później odbył się wielki zjazd, na którym król zawiadomił baronów o śmierć swej matki, Blanki, o swej decyzji powrotu i o tym, że mimo zaproszenia Saracenów nie odbędzie pielgrzymki do Jerozolimy. „Postąpię jak król Ryszard” — rzekł, ale głos mu zadzwięczał jak pęknięty miecz.

Kitbuka zaczerpnął znowu kumysu. Podał naczynie Hettumowi.

— Pij, szoggunie — zachęcał — pij. — Chwilę milczał. Podjął, jakby snuł przerwana myśl: — Jeśliś ty nie oczekiwał, że tak szybko tu przyjdziemy, to my nie mieliśmy żadnej nadziei, że będzie nam dane walczyć o wydarcie Ziemi Świętej z rąk niewiernych...

— Wy? — podniósł zdziwiony wzrok.

— My, chrześcijanie — Kitbuka położył dłoń na piersi. — Może ci sza-

man Wilfryd powiedział, szoggunie, że ja też wierzę w Jezusa. Mam także chrześcijańskie imię: Chungan. On wprawdzie mówi, że nasza wiara nie jest całkiem jak wasza. Ale przecież i wśród was są różnice. Ty wierzysz inaczej niż szoggun Bohemund, a szoggun Dawid jeszcze inaczej. Ale przecież wszyscy wierzymy w Jezusa, który za grzeszników umarł na krzyżu, a potem zmartwychwstał. Prawda?

— Myślę, że masz słuszość, nojonie — trochę niepewnie przyznał Het-tum. — Nie rozumiem się i ja na tych sporach mnichów i biskupów. Podobno jedynie prawdziwą wiarą jest ta, której naucza papież z Rzymu. Chciałem, aby u mnie księża takiej tylko nauczali. Ale teraz jesteście w walce.

— Tak, tak — żywo podchwycił Kitbuka — jesteście w walce. Potem powiedzą nam, jak naucza papież i jak trzeba wierzyć. Przedtem jednak trzeba zwyciężyć. Chyba rozumiem cię, szoggunie?

Uśmiechnął się. Mimo szumu w głowie i dokuczliwych nudności miła mu była świadomość, że ten człowiek go pojmuje. Rzadko bywał rozumiany.

— Tak — potwierdził. — Póki nie ma zwycięstwa, trudno jest doglądać prawdziwości wiary.

Wódz nie spuszczał z niego wzroku.

— Dlatego też — powiedział — dobrze się stało, żeś nareszcie przybył. Czekaliśmy na ciebie.

Przesunął dłonią po czole pragnąc zebrać omroczone myśli.

— Czekaliście... — powtórzył. — Kto? — zapytał.

— My, chrześcijanie — nojon położył dłoń na połyskującej piersi. — Czekaliśmy, aż wreszcie ktoś z was przyjdzie i wskaże chanowi nowy kierunek. Nasz zwykły szlak wiedzie na wschód, ku ciepłym krajom Kin i Song. Gdybyś nie był przyszedł, nie wyruszylibyśmy na tadżyków. Otworzyłeś bramę na zachód. Wprawdzie chodziliśmy tam niedawno na wezwanie synów Dżioczego, ale nie była to dobra wyprawa. Chan Batu nie lubi chrześcijan.

— Zniszczyliście ziemię chrześcijańskie.

— Tak, to była zła wyprawa. Nie mieliśmy języka, by mówić ze sobą.

— Czemu jednak nie powstrzymujecie chana przed napadami na ziemię chrześcijan?

Pies sapał i popłakiwał przez sen; spoza ścian namiotu dochodziły gardłowe krzyki Mongołów. Słysząc było także żałosne „bla! bla!” — ryk juczych wielbłądów.

— Może masz słuszość, szoggunie, gdy tak mówisz. Ale niełatwo nam jest kierować chanem. Nie zapominaj, że chrześcijanie wśród Mongołów — to piasek w rzece: wiele go, a biegu rzeki nie zmieni. Jest nas wielu, więcej, niż się może wydawać. Byłeś wśród nas, widziałeś... Nie my jednak decydujemy, gdzie skieruje chan swoje tumany.

— Czemuż więc nie mówicie chanowi o chrześcijaństwie? Czemu go nie skłonicie, by uwierzył w prawdziwego Boga?

— Widziałeś kiedy, szoggunie, niebieski kamień, który ciągnie ku sobie noże i szpilki? Chanowie są jak nóż, który czeka, by go pociągnął taki kamień. Niełatwo jest przekonywać temu, kto jest blisko. Słowo skutkuje, gdy przychodzi z daleka. Tyś z nim przyszedł. I dlatego tu jesteśmy.

— Ja?

— Tak! Przyszedłeś z większymi sprawami niż każdy z nas: Przyniosłeś coś, co zmieniło myśl Mongki. Naszym koniom nie brak sił, by dobiegły granic świata, naszym żołnierzom nie brak męstwa, by zwyciężyli każdego wroga. Ale dlaczego mamy biec aż na granice świata, tego nie umiały u nas powiedzieć nikt. Tego nie wiedział także wielki Temudżyn. Szukał... Pamiętam go! Widziałem go, gdym jechał na wyprawę na lud Si-Hia. Nie jestem już młody. Urodziłem się w roku kury, gdy toczyła się walka z Ongchanem. I wierz mi, szoggunie — pochylił się, położył dłoń na ramieniu Hettuma — gdybyś był rozmawiał z Czynngis chanem, a nie z jego wnukiem, sam kagan stałby dziś pod murami Aleppo.

— Przyszedłby tu z wszystkimi siłami?

— Przyszedłby z wszystkim, co zrodził step. Stratowałby tadżyków, gdziekolwiek by byli. A potem podążyłby do wielkiego szamana Rumu i zawarł z nim sojusz. Słyszałem, że władca wszystkich władców chrześcijańskich walczy z papieżem. Temudżyn ukarałby go! On sam stałby się największym władcą chrześcijaństwa! Ale cóż, my go prawdy nie mogliśmy nauczyć! Niemocne jest nasze chrześcijaństwo — wyznał.

Zamilkł i zrobiła się cisza. Nawet gwar obozu ścichł, czy też stał się niewyczuwalny. „Czy ja o tym myślałem?” — przemknęło Hettumowi pod czaszką. Nie umiał na to odpowiedzieć. Uświadomił sobie tylko, że ogarnia go uczucie jakiegoś przerastania samego siebie — uczucie przypominające zawrót głowy nad przepaścią. Dotychczas jego myślenie miało swój własny, zamknięty krąg. Ale teraz znowu wydało mu się, że ten krąg przestał istnieć, on zaś znalazł się poza nim i leci w dal jak strzała wypuszczona z łuku. Pod-

niósł rękę, pełnym zastanowienia ruchem odgarnął włosy w tył. Ogień na palenisku trzasnął, pies wyprężył się, wyciągnął sztywno swe muskularne łapy. „A gdyby naprawdę tak się miało stać? — pomyślał. — Gdyby Hulagu zamierzał uczynić coś więcej, niż tylko zwyciężyć Saracenów — i odejść, skąd przyszedł?” Powrócił do niego ten sam niepokój, jakiego doświadczył przed ujrzeniem Mongki: czy Tartarzy ograniczą się do tego, czego on chciał od nich? Znowu przesunął dłonią po czole. Z Hulagu, myślał, nie łączy go nic poza interesem, poza pragnieniem rzucenia go na Saracenów.

— Niemocne — powtórzył nojon. — Oderwana gałąź, która usycha... Tyś to pojął, szoggunie.

Spod półopuszczonych powiek spojrzął uważniej na Kitbukę. „Czego on chce ode mnie?” — zastanowił się. Wydało mu się, że nojon drwi z niego. Ale na twarzy wodza była tylko dobrotliwa serdeczność. Jakby to nie był ten sam człowiek, który poprzedniego wieczora kazał zasieć batami kilku żołnierzy mongolskich, ponieważ dopuścili się rabunku, i bez zmrużenia oczu patrzył na nich, gdy umierali pokornie.

— Zdaje ci się, nojonie — mruknął.

— Nie! Nie! — zaprzeczył żywo. — Nie! Ja wiem, żeś ty to zrozumiał — zapewnił z wiarą w głosie. — Szaman Wilfryd mówił nam nieraz o chrześcijanach, że są ludźmi gotowymi ofiarować wszystko dla chwały swego Boga. Dlatego tylko odbyłeś tę wielką podróż. Proszę: nie ukrywaj przede mną twoich prawdziwych myśli, szoggunie.

Spuścił głowę, aż włosy opadły mu po obu stronach twarzy niby kłapy na oczach lekliwego konia. Bezmyślnie przesunął palcem po kolanie.

„Czego on chce ode mnie?” — znowu wróciło do Hettuma niechętnie pytanie. Nie, zdawał sobie dobrze z tego sprawę, że tak wielkich myśli nie było w nim ani wtedy — ani dziś. Chciał zwyciężyć — oto wszystko. Nie wystarczało mu panowanie w zdobytej Armenii, a po najdłuższym życiu oddanie tronu synowi. Coś kazało mu zrobić więcej — przerosnąć siebie. W tej chwili jednak wydało mu się, że wyrasta ponad swe zamierzenia. A także — ponad potrzeby. To był powód do niepokoju. Kitbuka wstał i Hettum śledził go uważnie, nie podnosząc głowy. Widział, jak podchodzi do posłania, sięga po cuchnące baranie skóry. Pies obudził się, lecz nie zmieniając pozycji zaczął tylko uderzać ogonem o ziemię. W rękach wodza zamigotało błękitnie wspaniałe sobolowe futro. Odwrócił się, zbliżył znowu

do piecyka. Ogień oświecał od dołu jego twarz, że wydawała się maską pełną tajemniczych cieni. Z powagą w głosie zaczął:

— Słuchaj, szoggunie, odgadłem, jaki jesteś. Nie omyliło się moje serce. Wiem, czego chcesz. I pewien jestem, że to potrafisz zrobić. Trzeba było, byś przyszedł. Schylam przed tobą głowę. Jesteś prawdziwym chrześcijaninem. I dlatego, proszę cię, zechciej przyjąć ten dar.

Rzucił futro w ręce Hettuma. Było miękkie, ciepłe i puszyste jak mały kociak. Niepewnie zanurzył w nim palce.

— Dziękuję ci, Kitbuko. Lecz...

— Nie odmawiaj mi — przerwał mu gorąco — weź je. Będzie je mogła nosić twoja katum.

— Lecz dlaczego mi je dajesz?

— Nie wiesz? Ach, więc nie wiesz, co ono oznacza? Słuchaj, szoggunie: to błękitne futro jest znakiem braterstwa. My, Mongołowie, dajemy je człowiekowi, którego chcemy mieć bratem, bratem z przybrania — andą.

Dłoń Hettuma, która pieściła futro, zatrzymała się w powietrzu. Uczucie przerastania wydawało mu się teraz zbyt ciężkie do zniesienia. Znowu spuścił wzrok ku ziemi, patrzył pod nogi na brudną matę, na której walały się odłamki niedogryzionych kości.

— To wielki dar... — powiedział.

— Przyjmij go — głos Kitbuki stawał się coraz żarliwszy — nie odmawiaj. Nie mam nikogo bliskiego poza synem. Jestem ostatnim księciem najmańskim. Możesz bez hańby zostać moim andą.

— Ależ tak! — zapewnił z przekonaniem. Ale jeszcze się wahał. W milczeniu rozliczał się z siłami. Zawrzyć braterstwo z tym Mongołem? Woń namiotu, do której już się przyzwyczaił, z nową siłą zaatakowała mu nos i gardło. Nudności, niby robactwo, chodziły po przełyku. „Sojusz — myślał — to już dużo. Wprawdzie i Mongka mówił o »wieczystej przyjaźni«, ale któż bierze poważnie tego rodzaju zapewnienia wypowiedane przez władcę przy zawieraniu układu?” Przyjaźń, braterstwo — on z tymi słowami wiązał głęboką treść. Był jak człowiek, którego nędza zrobiła dumnym. Może naprawdę za wiele żądał od ludzi? Dać przyjaźń, w jego języku znaczyło dać wszystko, ale i żądać wszystkiego. Palce Hettuma skubały lekko miękkie kudły. I jeszcze to oczekiwanie... Nieznacznie obrzucał Kitbukę nieufnymi, krótkimi spojrzeniami. Wódz stał przed nim w gotowości. „On spodziewa się po mnie Bóg wie czego” — przebiegło Hettumowi przez głowę. Ale to

nagle odkrycie zdecydowało. Gorzkie uczucie przerastania samego siebie, które w nim rodziła walka, domagało się także upojenia. Nie doświadczył go dotychczas nigdy. Miał poczucie, że jest istotą ukaraną od niemowlęctwa za cudzy grzech: niby za grzech pierworodny. Bóg skazał go na wiele klęsk. Ale one wszystkie mogły być kiedyś wyrównane jednym triumfem. Podniósł głowę, powiedział:

— Dobrze, Kitbuko, chcę być twoim andą.

Nojon wydał okrzyk radości.

— Jak się zostaje bratem z przybrania? — pytał Hettum. Futro zwisało mu z ramienia niby upolowana zwierzyna.

— Powinniśmy wypić kubek kumysu, w który padnie kropla krwi każdego z nas. Dobędziemy ją z ramienia. Masz nóż, szoggunie. Oto podstawię kubek.

Purpurowe krople zatrzymały się chwilę na spienionej powierzchni mleka, zanim w nią wsiąkły.

— A teraz mów to samo, co ja mówię: na tę krew, którąśmy wypili, przysięgam być ci andą w szczęściu i nieszczęściu, w wojnie, w łowach i w pokoju. Wszystko moje jest twoim, wszystko twoje — moim: broń, namiot, psy i konie. Niech peri i divy będą świadkami mojej przysięgi. Niech błogostawi jej wielki Tengri — I-sa... A skóra, którą ci dałem, niech ci będzie znakiem mego oddania i wierności.

— Lecz ja ci nie dałem sobolowej skóry. Ale za to dam ci to! Masz... — pośpiesznie zdjął z szyi złoty krzyż na ciężkim łańcuchu, jeden z klejnotów armeńskiego skarbcza wykonany na wzór starożytnego krzyża z Varak.

— Masz... — Krzyż ten nosił od lat, od dnia, gdy oglądając skarbiec wyjął go ze skrzyni i powiesił sobie na piersi, a Zabel widząc to powiedziała drwiąco: „Pięknie ci w nim, jakbyś się urodził królem”. Kitbuka wziął krzyż w obie dłonie złożone jak do czerpania wody. Patrzył na niego czas jakiś ze złością.

— Oto dar godny ciebie, mój ando — powiedział. Dotknął krzyża ustami i czołem, a potem powiesił go na swej nagiej piersi.

Dumny jestem, żeś zgodził się zostać moim bratem. Jutro doświadczymy braterstwa w walce. A teraz uczcijmy nasz związek tańcem przyjaźni. Czyn, jak ja.

Pies podniósł głowę. Ze spokojną uwagą patrzył na dwóch mężczyzn kołyszących się w blasku żarzącego się ognia.

2

Hettum galopem dopadł Kitbuki siedzącego jak zawsze z wysoko podniesionymi kolanami na swym łaciatym koniu.

— Twoi uciekają, anda! — krzyknął. — Daj mi uderzyć!

Drobna, szara jazda mongolska uciekała rzeczywiście w popłochu, łamiąc szyki i rozprasząc się na wszystkie strony niby stado drobiu, na które uderzył jastrząb. Kawaleria Muazzana Turanszaha runęła z miasta przez szeroko otwartą bramę. Rozciągnęła się w szeroką linię białych turbanów, kolorowych płaszczy, lśniących misiurek, połyskliwych kolistych tarcz. Bismillahi, rrahmani, rrahim! — zahuczało nad równiną. Olbrzymie wspaniałe konie z damasceńskiej stadniny, które rokrocznie Jussuf wysyłał na galilejskie łąki, szły podobne smokom. Widać było rozgorzałe oczy, rozwiane grzywy, rozdęte chrapy, wyrzucane w górę smukłe, nerwowe nogi. Każdy z tych koni był dwa razy prawie większy od mongolskich koników. Była to jakby pogoń wielkich kotów perskich za burymi szczurami. Bissmillahi! — gnająca masa jazdy arabskiej zrównała się już ze wzgórzem, na którym stali Kitbuka i Hettum. Krzywe saraceńskie miecze uniesione nad głowami zapalały błyskawice, które zdawały się spadać na karki uciekających Mongołów. Ci leżeli na szyjach swych koni, w każdej chwili bliscy roztratowania przez ścigających ich przeciwników, a mimo to ciągle jeszcze utrzymujący się przed nimi niby kłęby żółtobrudnej piany na czole morskiego bałwana.

— Uderzę, zatrzymam pogoń — gorączkował się Hettum. — Wtedy zbierzesz swoich...

— Nie trzeba, anda — powiedział spokojnie Kitbuka. Odwrócił głowę wiodąc spojrzeniem po uciekających Mongołach i jeździe arabskiej, która coraz dalej ścigała tamtych. Jedni i drudzy przeszli już poza linię wzgórz, minęli obóz, niknęli z oczu. Tylko bijący w niebo słup złoto-białego pyłu pokazywał, gdzie są teraz. — Nie trzeba — powtórzył. — Przyjdzie dzień, gdy będę potrzebował ciebie. Ale nie teraz. Patrz zresztą...

Pole przed nim było puste, wałało się na nim kilka ciał i kilka koni galopowało bez jeźdźców. Zgiełk walki zapadł za wzgórze. Załoga miasta z wysokości murów śledziła ostateczną porażkę napastników. Radosne okrzyki

rozlegały się raz po raz. Inni obrońcy wylegli przed otwartą bramę. Rozglądali się na wszystkie strony. Zobaczywszy na wzgórzu postacie obu wodzów poczęli w ich stronę strzelać z łuków i rzucać kamienie.

Nagle nad murami przeleciał okrzyk zdumienia. W dali, gdzie kawaleria Muazzana powinna była dobijać rozgromionych Mongołów, dał się słyszeć teraz wysoki pisk kościanych gwizdków dziesiętników, setników i tysięczników mongolskich. Hettum ani Kitbuka nie widzieli walki, ale z krzyku na murach wynikało jasno, że szala bitwy przechyliła się teraz na drugą stronę. Co się stało? Nie bez zdumienia patrzył na uśmiechniętą twarz Kitbuki. Nojon ze spokojem oczekiwał rozwiązania zagadki, jakby ona nie była dla niego niczym nieoczekiwanym.

— Patrz, anda... — powtórzył.

Ostry pisk świstawek złał się w jeden przejmujący dźwięk, przypominający skowyt stada bitych psów. Równocześnie doszedł ich uszu krzyk — dziki, nieludzki, zaczynający się niebywale nisko, a kończący straszliwie wysoko. Wydawał się splątana mieszaniną wszelkich głosów zwierzęcych, groźnym wołaniem pierwotnej puszczy. Kłęb pyłu podniósł się tuż poza wzgórzami, a zaraz potem spoza pomarańczowych wydm wyskoczyła garść jeźdźców i pomknęła co koń wyskoczy w kierunku murów. To galopowały znowu wielkie konie z damasceńskiej stadniny, a na ich karkach leżeli ludzie w białych turbanach. Nowa grupa wpadła na pustą równinę, znowu nowa, jeszcze jedna, a potem przewaliła się poza wzgórze reszta zwycięskiej przed chwilą jazdy, uciekającej teraz na łeb na szyję z powrotem ku miastu. Zamiast mieczów powiewały nad głowami białe zawoje. Za uciekającymi wysypali się Mongołowie. To sunęli ci sami jeźdźcy, którzy przed chwilą umykali w popłochu. Ich małe koniki z łatwością dopędzały wielkie arabskie wierzchowce i zabiegały im drogę. Obraz zmienił się w jakiś niepojęty sposób, niby czarodziejskie widowisko. Ścigający wyglądali teraz jak wilki, które pędzą przed sobą wielkie, lecz bezbronne stado bydła. To oni wydawali ten przejmujący zwierzęcy wrzask, który do reszty odbierał ducha Alepińczykom. Skórzane arkany świstały w powietrzu, złapani na nie jeźdźcy zlatywali z siodeł. Inni Mongołowie w pełnym cwale strzelali z łuków; ich lekkie o kościanych grotach strzały, lecąc, wydawały syk niby podrażniona żmija. Cała ta splątana masa konnych, w której goniący pomieszali się z uciekającymi, zbliżała się ku otwartej bramie miasta.

— Wspaniale! — Hettum nie mógł ukryć zachwytu, a jego koń, czując bitwę, kręcił się niespokojnie i wyrzucał zadem — wspaniale!

Raz po raz uderzał pięścią w otwartą dłoń. Nigdy jeszcze nie widział Mongołów w walce na otwartym polu i był olśniony. Nie brakło mu doświadczenia, walczył już z różnymi przeciwnikami, ale to było jednak coś, z czym się dotychczas nie spotkał. Czyż można było przypuszczać, że rozbita, rozproszona kolumna mongolska zdoła się oderwać od przeciwnika, zawrócić, przejść do natarcia? Prawdziwe czarodziejstwo!

— Wasze konie są cudowne! — wybuchnął. — Nie pojmuję, jak mogły zdobyć przewagę nad końmi Turanszaha!

— Tam jest piasek, miękki piasek — Kitbuka wskazał ręką ręką bata niewidoczne stąd miejsce za łańcuchem wzgórz, gdzie przełamał się los bitwy. — Koło tamtych trzech palm.

— Wiedziałeś o tym?

— Wiedziałem, anda. Po to przyjeżdżałem tu wczoraj.

Na murach wybuchnął krzyk. Obrońcy zobaczyli, jak klin mongolski wysuwa się z prawa przed uciekających i wcześniej niż oni dopada murów. Rzucono się zamykać wielką, okutą bramę. Zatrzasnęła się tuż przed nosem nadlatujących żołnierzy Kitbuki. Ale jeśli oni nie zdołali rozpędem wpaść do miasta, jednocześnie zamknięcie bramy było wyrokiem zguby dla pozostałej na polu kawalerii arabskiej. Masa jezdnych wpadła na mury z taką siłą, iż zdawało się, że je obali. Uniosła się w górę niby bałwan morski walący w zaporę. Niekończące się wycie Mongołów zlało się w jedno z kwikiem koni, krzykiem ludzi, łomotem walki, rozpaczliwymi nawoływaniem z murów. Ludzie i konie spiętrzyli się pod murami. Widać było setki uniesionych w górę nóg końskich. Na zwał leżących wpadali inni. Wśród kłębiących się ciał toczyła się zaciekle walka: konie tratowały ludzi, ludzie deptali po koniach.

Nieźródlna jazda Muazzana przyparta do murów ginęła, ale ginąc broniła się jeszcze bohatersko.

Lecz Mongołowie, wycinając broniących się kawalerzystów, nie zapominali o wydanym przez chana rozkazie zdobycia miasta. Dwadzieścia maszyn oblężniczych — wszystkie, jakie posiadała armia Hulagu — ustawiono obok siebie. Katapulty i balisty poczęły równocześnie bić w mury miasta. Próbowano rzucać pomosty, które załoga miasta podpałała. Zgiełk walki pod murami został zagłuszony hałasem szturmów. Gwałtowność natarcia nie ustawała ani na chwilę. Mongołowie padali, ale parli ofiarnie jeden za drugim. Z drugiej strony miasta musiano atakować równie zaciekle —

wrzawa dochodziła także z tamtej strony. Wśród powszechnego zamętu nikt prawie nie zauważył małego oddziałku Mongołów, którzy zeskoczywszy z koni i nakrywszy się zasłoną ze świeżo zdartych skór podsunęli się pod samą bramę miasta. Jeden tylko Kitbuka śledził uważnie ich ruchy. Żołnierze dotarli do samej bramy, coś koło niej przez chwilę robili, potem cofnęli się zabierając jednego ze swoich, którego trafiła strzała obrońców. Gdy już byli dość daleko, stała się rzecz niebywała: powietrzem targnął huk, spod bramy trysnął ogień i wzniósł się kłęb czarnego dymu. Można było pomyśleć, że piorun z jasnego nieba strzelił prosto w bramę Aleppo. Połowa wielkich drzwi wysadzona z zawiasów zatrzęsała się, a potem ciężko padła podnosząc tuman kurzu.

— Teraz! — zawołał gwałtownie Kitbuka chwytając Hettuma za ramię — teraz, anda! Uderzaj! Prędko! Teraz! Ty zdobądź miasto!

Nie czekał na powtórzenie zachęty, nie tracił ani chwili na próżne słowa. Zwolnił wodze, dotknął konia ostrogami, a ten rzucił się ślepo przed siebie, niby wyzwolony z klatki ptak. Choć lecieli jak na skrzydłach, Hettum ponawiał uderzenia ostrogami. Było mu pilno. Cwałował przez pole ogarnięty gorączką walki i zwycięstwa. Myśli przemykały mu przez głowę podobne błyskawicom. Zdobędzie Aleppo! Nigdy krzyżowcy nie mieli miasta w swoim ręku. Z niczym odeszli spod jego murów Tankred, Roger, Baldwin, bazileus. Nigdy za Aleppo nie sięgła krucjata. Lecz teraz on je zdobędzie. Magiczny gest przyzywający Mongołów okazał się gestem skutecznym. Nie przypuszczał, że tak szybko przyniesie zwycięstwo. Prędeż! Prędeż! Poganiał konia bijąc go po zadzie płazem miecza, aż ogier począł chrapać nie mogąc już wydobyć z siebie szybszego pędu. Prędeż! Prędeż! Nareszcie... Nareszcie — czuł — skończą się wszystkie wątpliwości...

Dopadł kotliny, w której ukryta stała jazda armeńska, gruzińska i antiocheńska. Rząd ubranego w kolczugi i misiurki rycerstwa z kolorowymi znakami na tarczach i kopiach czekać musiał również niecierpliwie, kiedy mu wolno będzie wystąpić, bo wszyscy już byli w siodłach, gotowi do walki. Widząc zbliżającego się Hettuma, Bohemund i Dawid pogalopowali mu naprzeciw. Zrównawszy się z nimi osadził konia w miejscu, aż ten zarył się w piasek kopytami i dotknął pyskiem ziemi.

— Uderzamy! — krzyknął. — Miasto nasze!

Wyrwał kopię z ręki pacholka. Królewski znak Armenii i stary znak baronów z Lampronu zafurkotały mu nad głową. Zatoczył koło. Po rycerstwie przeleciał radosny szmer. Z chrzęstem poczęły opadać przyłbice. Las kopii

zniżył się. Ruszyli tęgim kłusem. Wyjechali z kotliny, a za chwilę byli już na wzgórzu. Przed nimi leżało miasto z rozwaloną bramą, pod którą toczyła się zażarta walka. Hettum podniósł kopię w górę. Dawid i Bohemund powtórzyli ten znak. Odkąd ich przywiódł do Harranu i wprowadził do namiotu chana, milcząco poczęli w nim uznawać jakby swego seniora. Przerósł ich w tym samym czasie, w jakim przerastał samego siebie. Teraz uważali to za zupełnie słuszne, że on ich prowadził do walki. Konie przeszły w galop, potem w cwał. Krzyk przeleciał przez szeregi — stary okrzyk frankoński, który przed dwoma wiekami zabrzmiał po raz pierwszy na ziemi syryjskiej. Tak samo wołali rycerze antiocheńscy: panowie de Mansel, de Tirel, Sourdeval, tak samo rycerze armeńscy, panowie z Anazarbe, Mamistry, Servantikar, tak samo rycerze gruzińscy, a wśród nich Iwan i Piotr, książęta riazkańscy:

— *Deus lo volt!* Bóg tak chce!

3

Miasto zostało zdobyte. Część załogi pod dowództwem starego Turan-szaha zdołała jednak dopaść cytadeli i zamknąć się w niej. Za rycerstwem frankońskim, które przeszło przez Aleppo jak burza, zatupotały w ciasnych uliczkach małe kudłate konie, a dziki wrzask Mongołów nappełnił mieszkańców śmiertelną trwogą. Zdobywcy w galopie zeskakiwali z siodeł, wpadali do domów, szybko mordowali ludzi nie okazując litości ani nad dziećmi, ani nad kobietami, chwyтали, co im wpadło pod rękę, i pędzili dalej. Inni, spostrzegłszy uciekających, gonili za nimi wymachując nad głową arkanami. Co raz więcej ciał leżało na ulicach i w pootwieranych na oścież domach. Krew tworzyła kałuże. Bezpańskie, oparszywiałe psy wyszły z ukrycia i chleptały ją chciwie kryjąc się na widok galopujących Mongołów.

Kto z mieszkańców mógł jeszcze uciec, biegł na południowy skraj miasta, ku cytadeli. Rozkrzyczana fala ludzi, zadyszanych, mokrych od potu, nieprzytomnych z przerażenia dopadła bramy twierdzy. Ale stary emir zabronił ją otwierać. Próżno tłum bił pięściami, próżno prosił i groził. Żołnierze wołali z murów: „Uciekajcie gdzie indziej!” Słyszając to ludzie rozpoczęli lament. Kobiety podnosiły dzieci w górę i błagały o litość przynajmniej dla nich. Tu i tam widać było dłoni pełną złota zebrzącą o względy. Gdzie in-

dziej wyciągała się zaciśnięta pięść i razem z kamieniami leciały w górę ku słończonym za blankami żołnierzom słowa przekleństwa.

Tymczasem z ulic otaczających plac przed cytadelą wypadli mali jeźdźcy w spiczastych czapkach. Widząc ich tłum zawył ze strachu. W szale trwogi ludzie poczęli znowu bić w bramę dłońmi i ramionami, jakby ją chcieli wyłamać. Dzieci zanosily się przeraźliwym krzykiem: „szejtan! szejtan!” — i wciskały twarze w brzuchy matek.

Mongołowie galopowali w tę i w tamtą stronę, jakby nie wiedzieli, co robić z tłumem przyciśniętych do muru ludzi. Przybywało ich coraz więcej. Wreszcie nadjechał jakiś starszy wlokąc na arkanie człowieka w podartym ubraniu, z pokrwawioną twarzą. Był to jeden z imamów. Zmuszony do biegu za koniem Mongoła, zgubił swe haftowane pantofle. Jego wybałuszone oczy zdradzały zwierzęcy strach, palce trzymał na rzemieniu, który wrzynał mu się w szyję. Żołnierz wysunął się przed tłum. Kopnął swego jeńca i wydał mu jakiś rozkaz. Tamten nie wykonał go dość szybko, więc dostał jeszcze przez twarz uderzenie batem z surowego rzemienia. Upadł, ale zaraz zerwał się na nogi. Z przeciętego policzka lała się krew. Zdawał się tego nie czuć. Zaczął krzyczeć wysokim głosem przestraszonej kobiety:

— Ludzie, słuchajcie! Wielki sułtan Tartarów każe wam powiedzieć... — łapał gwałtownie oddech, twarz mu się zrobiła fioletowa — każe wam powiedzieć... — Mongoł coś do niego krzyknął. Usta imama otwierały się i zamykały kilkakrotnie niby pysk ryby, ale żaden dźwięk nie wydobył się z nich. Wreszcie odzyskał głos. Wykrzyczał, że szyjci, żydzi i politeiści — tak nazywał chrześcijan — mają stanąć po jednej stronie, wierni po drugiej. Ludzie poczęli spoglądać na siebie nie wiedząc, czy mają temu wierzyć.

— Róbcie to prędko! — piał imam. — Tartarom nie można się sprzeciwiać!

Część stojących oderwała się spieszenie od muru: skupili się po prawej stronie patrząc uważnie jedni na drugich; już całą Syrię obiegła wieść, że w zdobytym przez Mongołów mieście zły los czeka tylko wiernych wyznawców Proroka. Toteż nagle wszyscy poczęli się pchać ku stojącej na prawo grupie. Mahometanie wciskali się między jakobitów trzymających krzyże w podniesionych w górę rękach. Ale tamci wybuchnęli oburzeniem: „Precz! Nie litowaliście się nad nami!” — „Dziecko, dziecko!” — „Precz!” Jedna z kobiet chrześcijańskich szybkim ruchem chwyciła kędzierzawego chłopczyka, którego wypychała przed siebie Arabka o pełnych ustach z wielkimi złotymi kołami w uszach, i usiłowała go ukryć pod płaszczem. Ale zobaczył

to jej mąż. Podskoczył, uderzył ją w policzek, wyrwał dziecko spod płaszcza, kopnięciem wyrzucił je z gromady chrześcijan. „Głupia! — wrzasnął. — Chcesz, żeby nas Tartarzy zabili za ukrywanie niewiernych?” „Dziecko, weź dziecko!” — skomlała matka. Rzuciła się na kolana, odrywała od siebie małego, który wczepił się kurczowo w jej włosy. „Weź go, ochrzczij, weź go...” — „Precz!” — odpowiadał jakobita pieniąc się i wygrażając kobiecie pięściami. Spośród mahometan wyskoczył jakiś stary kupiec dźwigający na plecach worek tak wielki, że cały zniknął pod nim. Wpadł między małych rzemieślników szyickich, zaszył się w największy gąszcz ludzki. Zaczęto go wypychać. Zaparł się nogami, wrzeszczał: „Jestem wasz! Słyszycie! Jestem wasz! Pluję na kalifa! Słyszycie? Pluję na kalifa!” Kopnięto go, poleciał głową naprzód; padł przywalony workiem, z którego wysypały się srebrne dzbanki i miski. Ale zerwał się zaraz. Pośpieszными gestami zebrał wszystko, co leżało koło niego. W oczach paliło mu się szaleństwo. Popędził ku kupcom żydowskim, usiłował wtargnąć między nich. Poczęli go także odpedzać. „Idź stąd! Idź stąd! — wymachiwali rękami. — Idź? Odejdź! Ty szykse! Ty nieczysty!” „Ratunku! — rozkrzyczał się — litości!” Padł na kolana, uczeplił się płaszczą jednego z Żydów, czołgał się za nim. Przekonywał: „Będę wasz, jestem wasz! Będę chował Zakon. Co chcecie... przykazania... Bierzcie pieniądze... bierzcie... tylko ratujcie!” Jeden z Mongołów podszedł do niego. Powolnym ruchem podniósł bat i mocnym smagnięciem powalił starego kupca na ziemię. Potem bił jeszcze jakiś czas, aż rozciągnięte na ziemi ciało przestało się poruszać. Inni żołnierze uderzeniami batów odpedzili mahometan usiłujących przerwać się do grupy ocalonych. Kilka osób zostało zaćwiczonych na śmierć, jakieś dziecko, które matka próbowała oddać żebrakowi-szyicie, Mongoł wziął za nóżki i roztrzaskał mu głowę o mur.

Znowu rozległ się koguci głos imama. Wołał, aby wszyscy rzemieślnicy, skórnicy, sukiennicy, kowale, murarze, złotnicy wystąpili z tłumu. Ich rodziny miały obiecanie życie. Ludzie zgłaszali się bez ociągania. Ustawiono ich w kolumnę i odprowadzono. Odeszli także ocaleni: chrześcijanie, szyici, żydzi. Pod murem cytadeli pozostała reszta; przeważnie kobiety, dzieci i starcy. Patrzyli wyczekująco na otaczających ich Mongołów. Słońce paliło, od miasta dochodziły krzyki i długie wycie zdobywców. Tu i tam nad płaskimi dachami domów uniosły się kłęby czarnego dymu. Spokojnie, jakby przystępował do pracy, Mongoł trzymający imama na arkanie wyjął zza cholewy buta nóż i przejechał nim po gardle swego więźnia. To było hasłem: Mongołowie ruszyli ku otoczonym błyskając nożami i szablami. Ludzie już

nieco uspokojeni nagle zrozumieli, że zbliża się śmierć. Ogluszający wrzask uderzył w niebo. Wszyscy od razu w najwyższym pośpiechu poczęli wydobywać ze swych węzłków i spod płaszczy, co tylko mieli cennego. Wyciągnięte przedmioty wysuwali przed siebie obronnym gestem. Wykrzykiwali trzy mongolskie słowa, które nie wiadomo skąd znali i które jedne tylko, wydawało im się, mogły ich ocalić:

— *Altan, munggan, aurasum!* Złoto, srebro, jedwab!

Nie powstrzymało to jednak tamtych! Ciągłe nie śpiesząc się rozpoczęli rzeź. Starannie mordowali człowieka po człowieku. Kobiety zwalali najpierw — w kałuże krwi i ekskrementów. Nie broniły się. Przywalone śmierzdzącymi ciałami oczekiwały życia. Ale potem noże tak samo zagłębiały się w ich gardła. Z murów rozlegał się skowyt zamkniętej w cytadeli załogi.

4

Nie mógł znieść widoku rzezi. Ponuro jechał przez miasto w otoczeniu swej drużyny, dręczony obudzonymi na nowo wątpliwościami. Zapał, z jakim szturmował bramę, zniknął bez śladu. Nie oczekiwał tego, co zobaczył. Miasta, które Mongołowie zajmowali poprzednio, poddawały się im bez walki i nie były niszczone, a ludzie mordowani — nie podejrzewał nawet, do czego są zdolni przybysze ze stepów. Teraz czuł w sobie rosnącą odrazę, wstręt i gniew. Wydawało mu się, że słodki zapach rozlanej wszędzie krwi stopił się w jedno ze smrodem kozuchów i namiotów mongolskich. Jadąc ulicami napotykał wszędzie trupy, kałuże krwi, powywalane drzwi, porzucany dobytek. Pojedynczy jeźdźcy mongolscy przelatywali galopem, często ciągnąc za sobą po kilku ludzi na arkanie. Dzikie ich krzyki rozlegały się wszędzie. Nagle wydało się Hettumowi, że nienawidzi tych swoich sojuszników, że wszystko było lepsze niż ten sojusz. „Po co ich przywołałem? To krwawe diabły” — myślał widząc przemykające się małe brzydkie postacie, których kozuchy wydawały się sierścią. Znowu przyszło mu do głowy odkrycie, które go tyle razy niepokoiło: „Popełniłem straszny grzech”.

Niespodziewanie z mrocznego zaułka wyskoczył jakiś człowiek. Podbiegł do Hettuma, chciał położyć rękę na karku jego konia. Ale rozgorączkowany walką ogier stulił uszy i stanął dęba. Hettum sądził, że to jakiś fanatyk-muzułmanin rzucił się na niego. Podniósł więc miecz i byłby rozrąbał głowę tamtemu, gdyby go nie powstrzymał widok wystraszonych oczu oraz

wielki, zbity z dwóch kawałków drzewa krzyż wiszący na piersi człowieka. Miał przed sobą mężczyznę niemłodego, z rozwichrzoną brodą, w podartym ubraniu; jego nagie stopy były uczerwione, jakby tamten był wyciskaczem wina i wyszedł prosto z kadzi.

— Panie, dostojny panie! — powiedział prędko po grecku. Nie wiedział niewątpliwie, do kogo mówi. Trząśł się cały. — Ratuju...

— Czego chcesz?

— O, niech będą dzięki Pannie Przczystej i św. Symeonowi, że mnie rozumiesz! — wykrzyknął. Mówił dalej gorączkowo: — Ratuju, panie! Mongołowie napadli nasz kościół. Zabijają ludzi, palą...

— Co pleciesz! — Hettum nie schował miecza do pochwy, położył go na płask na przednim łoku. — Mongołowie nie zabijają chrześcijan. Pewnie nimi nie jesteście, ty i twoi...

— Nie! Nie! — zawołał tamten. Począł bełkotać w najwyższym pośpiechu: — wierzę w Boga Ojca, Stwórcę wszech rzeczy i Jego Syna, Jednorodzonego, narodzonego z Maryi Panny, oraz w Ducha Świętego, który pochodzi od Ojca... Jestem naprawdę chrześcijaninem, panie! Wierz mi!

— Jesteś Grekiem?

Człowiek skurczył się cały. O tym, że był Grekiem, mówiły jego rysy i jego język. Złożył jak do modlitwy dygoczące dłonie.

— Jesteśmy chrześcijanami — jęczał. — Wierzmy w Jezusa Chrystusa, który został umęczony za wszystkich ludzi. Za wszystkich... Ratuju nas, panie...

Uważnie mierzył go wzrokiem, a pod dotknięciem jego oczu Grek małał, kulił się, zda się rozplaszczał na ziemi jak oczekujący bicia pies. Grecy, pamiętał, byli śmiertelnymi wrogami Armenii. To oni zniszczyli Wielką Armenię, to oni potem przez stulecia grozili zagładą, nowo powstałemu za górami państwu Rupenów. Grek, który pojawiłby się na ulicy w Sis, byłby rozdarty na sztuki przez ludność. Z Saracenami toczyły się wojny, ale były także okresy sojuszków. Wobec Greków istniała tylko nienawiść. On sam — nie żywił jej. Wojny z Grekami były już dla niego historią. Jeden wypędzony do Nicei, drugi zepchnięty w góry Epiru — dwaj kandydaci do tronu bazyleusa nie wydawali się już groźni dla Armenii. Lecz niechęć pozostała. Uderzył konia ostrogą, chciał minąć żebrzącego pomocy człowieka. Lecz w tej chwili uświadomił sobie, co tamten mówi. Tartarzy napadli na kościół? To była wprawdzie cerkiew grecka, ale Hettumowi nie o Greków chodziło,

lecz o Mongołów. To tak wyglądają ich obietnice? „Każdy kościół chrześcijański...” — zapewniał Mongka. Cały gniew, jaki w nim wezbrał, przelał się w tę jedną sprawę. „Ładni mi sojusznicy! Zbyt wiele trzeba, aby ich znieść, ich smród, ich mordy i okrucieństwa. Czy zdobyte Aleppo warte tego sojuszu?” Gwałtownie osadził konia. Chwycił człowieka za ramię i brutalnie przyciągnął do siebie. Krzyknął tak groźnie, że tamten przysiadł, przekonany, że za chwilę zginie.

— Prowadź!

— Gdzie, panie? — wyjąkał Grek.

— Do waszego kościoła. Mówisz, że go Tartarzy napadli.

— Tak! Tak! Już prowadzę... — człowiek odzyskał równowagę i wskazywał ręką kierunek. — Już idę... Tylko prędko, panie. Jeśli się nie pośpieszysz, nie zostanie nikt żywy.

Nie zastanawiając się dłużej podążył za nim. Smród kozuchów i kaftanów mongolskich rozwlókł się po ciasnych uliczkach niby woń drapieżnika po domu, w którym zwierzę przebywało. Gniewnie przynaglał konia do szybszego stępa. Człowiek szedł przed nim drobiąc nogami, jakby miał ochotę biec. Musiało mu się bardzo śpieszyć. Dzielnica, w którą skręcili, zamieszkała była przez ludność ubogą. Mówiły o tym domy ciasno zbite, uliczki węższe jeszcze niż gdzie indziej. Przez poroztwierane drzwi mieszkań widać było ciemne wnętrza woniejące tanim tłuszczem i nędzą. Grek ciągle pośpieszał, prawie biegł, wskazując drogę Hettumowi.

— To tu już, panie, to tu. Tylko prędej! — nawoływał.

Skręcili w jakiś zaułek zakończony ślepo. W głębi był niski budynek, oblepiony z zewnątrz kramami. Przed domem stały konie mongolskie. Ze środka dochodziły krzyki i szamotanie.

— Idź, panie, ratuj! — Grek uczepił się płaszcza Hettuma. — Tylko prędko, prędko...

Zeskoczył z konia i skinął na swoich. Poszli za jego przykładem. Razem wkroczyli do środka. Znaleźli się w małej greckiej kaplicy, pełnej obrazów i złocen. Zapelniał ją tłum ludzki ściśniętych ciasno w głębi, pod kolumnami tworzącymi rodzaj bramy i na stopniach ołtarza. Ludzie nie wrywali się, przywarli tylko do siebie krzycząc przeciągle i żałośnie, bez żadnych zmian w głosie. Ich krzyk wydawał się dziwnym śpiewem, niby chorał potępieńców: brzmiały w nim strach i rozpacz, lecz nie było nadziei. Dzieśięciu Mongołów pracowało obok z właściwą sobie systematycznością. Po-

suwali się od drzwi, podobni sznurowi kosiarzy wycinających pole jęczmienia. Zagarniali coraz to nowe ofiary z tłumu. Ich miecze pracowały szybko i niezawodnie: stos zabitych rósł za nimi. Krew pokrywała posadzkę. Mdły odór jatki dławił.

— Ratuj, panie — skomlał z tyłu Grek, który wszedł za Hettumem — ratuj! Widzisz, nie skłamałem... mój syn... moja córka..

— Stać! — Hettum zawołał rozkazująco po mongolsku. Żołnierze zatrzymali się i bez pośpiechu zwrócili ku niemu. Z ich krzywych szabel spływała krew. Twarze wydawały się obojętne. Do zabijania zrzucili ubrania, byli nadzy, obrośnięci, umazani krwią. Tylko na głowach pozostały im spiczaste czapki. Długie, żylaste ręce zwisały nisko, aż do kolan. Przypominali jakieś okropne karty z opowieści trubadurów lub szatanów z rzeźb kościelnych.

Nieruchomy tłum, który dotychczas tylko zawodzeniem wyrażał swoją twogę, na widok wchodzących począł się nagle miotać i kłębić. Dziesiątki dłoni podniosło się w górę, w każdej był krzyż. Wybuchnęła burza głosów wołających po grecku, syryjsku, armeńsku, arabsku, frankońsku:

— Jesteśmy chrześcijanami! Ratujcie nas! Jesteśmy chrześcijanami! Ratuj, kyrie! Ratujcie, Ratuj!

Zobaczył w ciżbie greckiego księdza ubranego w kościelny strój, małego i tłustego, który krzyczał rozdzierająco, trzymając przed twarzą złoty krucyfiks z relikwiami. Ale choć ludzi było wielu, a Mongołów tylko dziesięciu, nikt i teraz nie zrobił najmniejszego gestu obrony. Błagano o życie, lecz nie próbowano go bronić.

Po spince na czapce Hettum poznał dziesiątnika. Surowo powiedział do niego:

— Czy nie wiesz, że nie wolno zabijać ludzi, którzy wierzą w Chrystusa? Dlaczego ich zabijacie?

Mongoł popatrzył na swoich. Potem rzekł pogardliwie:

— Nie jesteś chanem.

Zuchwała odpowiedź sprawiła, że gniew w Hettumie przerodził się we wściekłość. Grecy nabrawszy widać przekonania, że jednak przybyli mogą ich uratować, krzyczeli coraz bardziej rozdzierająco. Człowiek za plecami Hettuma wydawał dźwięki przypominające barani bek: „Ratuj, panie, ratuj! Widzisz, że nie skłamałem! Ratuj! Moje dzieci...”

— Chan zapewnił im bezpieczeństwo! — rzucił ostro postępując ku Mongołowi.

Ale harbanunojon powtórzył tym samym pogardliwym tonem:

— Nie jesteś chanem! — Z pełną lekceważenia obojętnością odwrócił się, chwycił za włosy stojącą w tłumie dziewczynę, wyrwał ją, odgiął jej głowę w tył, podniósł miecz. Jego towarzysze przystąpili także do przerwanej roboty. Hettum posłyszał za sobą nieludzki wrzask: „Moja córka! Ratuj!” Twarz dziewczyny była wykrzywiona trwogą. Palce Mongoła wczepiły się w jej włosy. Szybko — szybciej niż tamten — podniósł miecz i rąbnął dzieśniętnika przez głowę. Mongoł poleciał twarzą w przód, zwałił się na ziemię przygniatając sobą swą ofiarę.

Na ten widok jego towarzysze wydali krótki okrzyk i rzucili się na Hettuma. Ludzie z drużyny królewskiej chwycili także za broń. W jednej chwili rozpętała się walka. Mongołowie natarli, podobni dzikim kotom wymierzającym z nieprawdopodobną szybkością uderzenia pazurami. W ciasnocie ich krótkie, krzywe miecze działały jak sierpy. Nie szukali pojedynczej walki: uderzali wspólnie, w kilku na jednego, zasypywali przeciwnika błyskawicznymi ciosami, oszalałiali go krzykiem i dzikimi grymasami. Któryś z Armeńczyków cięty przez pierś upadł. Hettum widząc, że w ciasnocie Mongołowie mają nad nimi przewagę, krzyknął na swoich, aby się wycofywali z kościoła. Przywarci do siebie ramionami, odpierając ataki Mongołów ustępowali krok za krokiem. Wreszcie znaleźli się na ulicy. Mongołowie wyskoczyli za nimi. Ale teraz Armeńczycy przeszli do natarcia. Tutaj, na szerszej przestrzeni ich długie niemieckie miecze były bronią skuteczniejszą. Po gwałtowności, z jaką rzucili się na Mongołów, widać było, że nie walczą wbrew chęci, ale w starciu dają folgę niezrozumiałej nienawiści do sojuszników. Przyparli Mongołów do muru: jeden i drugi przeciwnik padł zalewając się krwią. Ale któryś z Mongołów wsadził w usta kościaną gwizdawkę i zaczął z niej dobywać ostre, wysokie dźwięki. Zaraz te same gwizdy odpowiedziały mu ze wszystkich stron. Rozległ się tętent. Teraz Armeńczycy ledwo mieli czas cofnąć się pod mur. Nadbiegająca cwałem gromada rzuciła się na nich. Mieli przed sobą już nie kilku, ale ponad setkę przeciwników nacierających na nich całą masą.

Hettum walczył z zaciekłością. Jego ciężki miecz kilkakrotnie grzązał w ciałach. Sam był także ranny. Bił się bez hełmu, który został, gdy wchodził do kościoła, w rękach pacholka, bez tarczy, której nie odczepił od siodła. Poczęło go opanowywać zmęczenie. Niesłychana szybkość, z jaką mu-

siał odparowywać ciosy żołnierzy mongolskich, sprawiła, że miecz ciążył mu coraz bardziej. Widział, a raczej czuł, że jego ludzi ubywa: padali jeden po drugim. Krąg Mongołów zaciskał się. Ohydne, wykrzywione twarze były wciąż bliżej jego twarzy, mdła woń kozuchów napierała na niego ze wsząd. Ale złość, która w nim była, stanowiła bodziec nie pozwalający mu osłabnąć do reszty. „Ach, wy — warczał przez zęby — toście tacy? Przyszliście ratować chrześcijaństwo?” Znowu udało mu się ciąć przez głowę jakiegoś Mongoła. W tej samej chwili ze świstem przeleciała mu koło ucha strzała. „Strzelają z łuków! Podli!” — uświadomił sobie. Kątem oka zobaczył, że dwie strzały tkwią mu w ramieniu; w zapale walki nie poczuł bólu ani upływu krwi... Inna strzała przelatując tuż obok twarzy otarła mu się o policzek; było to tak, jakby skóry dotknęło rozpalone żelazo. Zakołysał się na nogach. Kilku przeciwników doskoczyło, ale odpędził ich potężnym młyńcem. Jeden z Mongołów upadł mu pod nogi. Wyrывая miecz z jego ciała poczuł słabość w całym ramieniu. Coś niby woal opadło na oczy. Tym razem czuł, jak strzała utkwiała mu w boku. Ciało przebiegł dreszcz bólu. Przygiął się. Zdawał sobie sprawę, że teraz nie nadaży już z odpowiadaniem na ciosy przeciwników. Nogi mu omdlały, oparł się ciężko o ścianę. Lecz zdołał jeszcze poderwać miecz do góry. Mgła przed oczami była coraz gęstsza. Ludzie, których miał przed sobą, wydawali mu się cieniami. Miał wrażenie, że odstąpili. Cofają się? „Grób Święty i Lampron!” — wybełkotał. Z mieczem nad głową zrobił krok naprzód. Krótka i szeroka mongolska twarz zamajaczyła przed nim. Chciał rąbnąć. Tamten schwycił go za przegub ręki.

— Anda...

— Giń! — zawołał. Ale kolana ugięły się pod nim i padł ciężko u nóg Kitbuki.

5

Kiedy otworzył oczy, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była pochylona nad nim połyskliwa twarz o wąskich szparach oczu i cienkich, długich wąsach. Od razu wróciło mu wspomnienie walki. Odruchowo zasłonił się ręką. Usiłował chwycić tamtego za gardło.

— Anda... — mówił człowiek.

Lecz jemu wydawało się ciągle, że ma przed sobą nieprzyjaciela. Chciał

z nim walczyć. Tylko że w ramionach i we wszystkich członkach czuł omdłałość i obcość, jakby to nie było jego ciało. W biegu wydarzeń, które pamiętał, powstała luka. Nie rozumiał, dlaczego leży na posłaniu i dlaczego ma nad sobą niski, ciemny dach namiotu, a nie jasne niebo, pod którym zamknął oczy.

Człowiek pochylony nad nim powtórzył: „Anda” — i wtedy do Hettuma poczęły wracać inne, dalsze wspomnienia. Sprężone ciało zmiękło, dłoń, która błędząc wędrowała do gardła przeciwnika, opadła. Zapytał:

— Gdzież są... ci... Tartarzy?

Ale język mu się zaplątał.

— Nie mów jeszcze nic, anda — posłyszał znowu. — Spokojnie, spokojnie. Wszystko będzie dobrze... Jeszcze się nie podnoś. Nie tak prędko...

Nie odrywając głowy od posłania rozejrzał się wokoło. Był w swoim namiocie. Leżał na swoim posłaniu. Otaczali go rycerze antiocheńscy i armeńscy w hełmach, wsparci na mieczach. Zamajaczyła przed nim postać Bohemunda. Kitbuka siedział na brzegu futra okrywającego posłanie. Wąskimi szczelinami oczu nojon wpatrywał się w Hettuma. Wyraz czułości podobny do wyrozumiałego uśmiechu błąkał się po błyszczących policzkach. Ale od tułuba biła ostra, znana dobrze Hettumowi ohydna woń. I ta woń obudziła w nim natychmiast uczucie niechęci, gniewu i nienawiści.

— Słuchaj, Kitbuko — ciągnął ostro — twoi napadli...

Ale nojon przerwał mu:

— Wiem wszystko, anda. Nie trzeba, abyś mówił. Mimo tych słów podjął po chwili — język pracował nieco sprawniej:

— Chciałem ich zatrzymać. Mordowali chrześcijan. Rzucili się na mnie. Musiałem się bronić. Strzelali z łuków. Potem... — nie mógł przypomnieć sobie, czym się to skończyło. — Potem nie wiem...

— Spokojnie, anda — żółta i mała dłoń nojona dotknęła ramienia. — Spokojnie...

Ale on nie mógł zapanować nad podnieceniem. Przypomniał sobie o strzałach, które widział utkwione w swym ramieniu. Chciał poruszyć ręką i poczuł ból.

— Sądziłem, że mnie zabiją — powiedział.

— Tak — rzekł Kitbuka — byłbyś zginął. Ale zdążyłem przyjechać na czas.

Stojący kołem rycerze podeszli bliżej do posłania Hettuma. Przynosili na swych pancerzach zapach walki: suchego pyłu, krwi i potu. Ich męskie, grube głosy rozlegały się hałaśliwie.

— Mówisz, to już dobrze, teściu.

— Będziecie zdrowi, tagawor.

— Wypij wina i zjedz coś — zaraz ci wszystko przejdzie.

Uśmiechnął się do nich. Wiedział, jacy są, i nigdy nie uważał ich za swoich przyjaciół. Nawet ci rycerze frankońscy, którzy byli lennikami królestwa Armenii, patrzyli na niego z góry. Nigdy nie pojmowali jego zamiarów. Szli za nim tylko z posłuszeństwa dla przysięgi i z pragnienia łupów. Ale w tej chwili poczuł dla nich życzliwość. Byli mu przecież bliżsi, niż ci mali, kosmaci przybysze z azjatyckich stepów.

Bohemund skinął na pacholka, który przyszedł z dzbanem wina i z kubkami na tacy. Rycerze wzięli je w dłonie.

— W twoje ręce, teściu — powiedział książę Antiochii — i za twoje zdrowie.

— Żyj długo, tagawor!

— I zwyciężaj zawsze, jak dziś!

— Aleśmy ich rozgromili!

— W Acre takie oczy postawią, gdy się dowiedzą, żeśmy w jeden dzień zdobyli Aleppo.

— Ba, pokazaliśmy Saracenom, co to są chrześcijańskie miecze.

— Dobrze stawał każdy.

— A kto teraz, tagawor, dostanie Aleppo?

— Piękne lenno...

— Nie lenno! Księstwo udzielne!

— Chan będzie chciał mieć do niego prawo.

— Też! Tartarzy siedzieć tu wiecznie nie będą. Przyszli i pójdą sobie.

Wykrzyknąwszy to rycerz de Sourdeval nagle urwał przypomniawszy sobie o obecności Kitbuki. Mały nojon wyglądał między nimi niby dębczak pośród wyniosłych sosen. Inni rycerze zaczęli się śmiać i uderzać po ramionach jak żacy, gdy jeden z nich wyrwie się z czymś niepotrzebnym. Hettum zobaczył, że Bohemund, który stał blisko Kitbuki, znacząco marszczy swój piękny, duży nos. Ci, którzy to spostrzegli, wybuchnęli jeszcze głośniejszym

śmiechem. Po raz pierwszy nie miał do zięcia urazy za ten żart. Nojon, można by myśleć, nie zauważył niczego; stał spokojnie na szeroko rozstawionych nogach, z jedną ręką założoną za pas.

Znowu łyknęli wina. Śmiali się ciągle, ale zaczęli także na siebie mrugać i spoglądać. Pierwszy odezwał się Bohemund.

— Wybacz, teściu, ale już pójdę. Muszę dojrzeć karmienia koni. Zawołali, że cię niosą rannego, więc rzuciłem wszystko. A część moich ludzi jeszcze w mieście.

— Mnie również, tagawor, pozwólcie odejść — rzekł sire Tirel.

— I mnie...

— I mnie. Ludzie mi się rozproszyli. Nie wiem nawet, ilu z nich straciłem.

Jeden po drugim wymykali się z namiotu. Każdy miał inną wymówkę, ale wszyscy biegli do jednego: z powrotem do miasta, gdzie teraz można było nachwytać się zdobyczy. Czy wszystko ma wpaść w łapy Mongołów? Przez ściany namiotu słychać było, jak krzyczą na pachołków, by śpiesznie podciągali popręgi koniom. Potem odjeżdżali galopem.

W namiocie pozostał tylko Kitbuka. Nojon nie zamierzał widać zaraz odchodzić. Usiadł znowu w nogach posłania. Na jego szerokiej twarzy osiadł wyraz troski. Odruchowym gestem odsuwał tłuste pasma włosów za uszy. Złoty krzyż, dar Hettuma, kołysał mu się na piersiach, odcinając się od burego tła tułuba.

— Twoi bracia, anda — rzekł po chwili milczenia — nazywają nas Tatarami. Ale my nie jesteśmy Tatarami. Tatarów zniszczył Czyngis chan mszcząc śmierć pradziada chana Ambakaja. Jesteśmy Niebieskimi Mongołami — Koko Monggol.

Wysunął do przodu wargi wyrażając tym grymasem lekceważenie dla słów nojona.

— Oni nic nie wiedzą o Tatarach.

— Mówisz prawdę — przyznał Kitbuka — oni nie wiedzą nic o Tatarach. Oni nas tak nazywają, bo w waszym języku tak się nazywa zło, piekło. Prawda? Oni nas nie lubią, anda...

Nie próbował zaprzeczyć. Zawsze dbał o to, by nie zrażać Mongołów. Ale widok rzezi Aleppa dokonał w nim zmiany. Czuł, że nie panuje już teraz nad niechęcią, którą przedtem umiał w sobie przewyciężyć. To nie była

tylko niechęć. Razem z nią wróciły wszystkie przeżyte wątpliwości i upokorzenia. Na ich wspomnienie z gniewem zaciskał zęby. Nie łatwo przychodziło wykonanie wielkiego zamysłu! Już sam plan napotykał na opór i na kpiny. Tam, w Karrakorum, i tu, w Harranie, stał wobec chana zupełnie samotny. Brał na siebie zobowiązania za innych. Gdybyż „choć Tartarzy umieli to zrozumieć! „Lecz na to — mówił sobie z żalem — nie mogę liczyć. Ten Kitbuka jest taki sam jak i inni.”

— Czemu tak jest? — ciągnął nojon. — Czy nie przyszliśmy tu, aby walczyć o to samo? Czy to nie ty przywołałeś nas? Powiedz...

Milczał, choć odpowiedź miał na ustach. Może walczyli o to samo, ale nie walczyli tak samo. Oni, rycerze frankońscy, nie rzucali się w stu na jednego, nie mordowali bezbronnych, nie używali żadnej nieznannej, nierycerskiej broni; ich stosunki z niewiernymi cechowała szlachetność.

— Milczysz, anda? — zapytał Kitbuka. — Czemu nic nie odpowiadasz? Między braćmi nie powinno być takiego milczenia.

Poruszył się niechętnie na posłaniu; syknął poczuwszy ból w ramieniu i w boku.

— Jesteście okrutni — powiedział wreszcie. — Rzuciliście się na bezbronną ludność.

W wąskich oczach Kitbuki zamigotało zdumienie.

— Czy nigdy — zapytał — nie tępicie waszych wrogów?

Krzywiąc się, bo mu ból znowu bardziej dokuczał, mówił:

— Zdarzało się tak dawniej. Rajmund de Gilles pozwolił wymordować ludność Jerozolimy, król Ryszard — obrońców Acre, którzy mu się poddali. Ale zwykle nie walczymy z bezbronnymi. Zwycięzamy żołnierzy, a ludność odsyłamy.

Kitbuka pochylił głowę na ramię i patrzył czas jakiś na Hettuma.

— My zaś — powiedział — zabijamy wszystkich. Trawa nie porośnie, gdzie przeszedł koń mongolski. Tylko wówczas zwycięstwo jest zwycięstwem. Gdy się jest wykonawcą świętych rozkazów chana, nie wolno ustępować przed żadnym oporem.

W słowach Kitbuki czuło się mocną wiarę. Nie odpowiedział, wyciągnięty na posłaniu patrzył na zwisające mu nad głową sklepienie. „Kto z nas ma rację? — myślał. — Ja czy Kitbuka i...: ojciec?” To sire Konstantyn posiadał we wszystkich swoich postępkach tę nieustępliwą pewność siebie, która mu

pozwalala działać bezwzględnie. Nie wahał się, gdy usuwał Filipa. On — nawet nie kochając Zabel, tak ją kochał — nie zrobiłby tego. Uległ sile wydarzeń. A przecież brutalny postępek ojca przyniósł owoce: Armenia była dziś bogatym, kwitnącym i potężnym krajem. „Jaki będzie skutek mego gestu, gdy wyrzekać się będę każdej przemocy?”

— Żal ci, anda, tadżyków? — podjął po chwili Kitbuka. — A jednak, wierz mi, niczego wielkiego nie zbuduje się bez krwi. — Powstał, przeszedł przez namiot, podniósł wołok zakrywający wejście. — Świat potrzebuje jej zawsze — ciągnął. — Wielki Temudżyn zdeptał kiedyś nas, Najmańczyków. Tylko ja jeden — dziecko wówczas — pozostałem przy życiu spośród książąt najmańskich. Lecz dziś jestem wiernym sługą kagana. Bo wiem, że tak było trzeba, aby powstał wielki naród mongolski, który przyniesie zbawienie światu.

Odsunął wołok i patrzył gdzieś poza namiot. Nadchodził wieczór. Czerwony blask zachodzącego słońca szedł w zawody z czerwienią pożarów bijących znad zdobytego miasta. Purpurowe drgające smugi leżały na pomarańczowych wydmach i opływały długie cienie palm i tamaryszków. Kilka sępów krążyło majestatycznie nad obozem. Inne odleciały w stronę murów miejskich.

— Tak, anda — mówił cicho, jakby nie chcąc spłoszyć czegoś, co miało przyjść — z rozkazu Czynngis chana zginął mój ojciec i moi starsi bracia. Wszyscy wyznawali wiarę w Jezusa.

Pozwolił opaść płachcie zasłaniającej wyjście. Powoli, z rękami założonymi na piersiach podszedł z powrotem do posłania Hettuma.

— Nie ma co żałować krwi — powiedział. — Ani tadżyków, ani naszej. Ważne jest zwycięstwo. Ale to nie za krew twoi bracia mają do nas niechęć. Ja wiem, anda... — Wyciągnął przed siebie dłonie jak kapłan błogosławiący ofiarę. — Ja wiem... — powtórzył. — Wasze ręce są białe, a nasze żółte. Prawda? — Gdy Hettum milczał, ciągnął dalej: — Ale I-sa nie mówił: niech biały panuje nad żółtym. On sam wzywa, kogo chce, na władcę świata. To On wezwał Temudżyna i cały świat będzie należał do jego synów. Ty, anda, to pojąłeś. Ale twoi bracia nie rozumieją.

„Nie! — miał ochotę zawołać — wcale tak nie będzie! I wcale tak tego nie rozumiem!” Ale nie odezwał się. Leżał zboląły. Mrok, jaki zapanował w namiocie, pochłoniął postać nojona. Wołok przy wejściu odchyłał się i przez szparę wlewał się do wnętrza namiotu strumień szkarłatnej łuny.

Dochodziły także odgłosy: dalekie krzyki, zawodzenia kobiet, głuchy tupot kopyt końskich. Lecz nagle ponad inne dźwięki wybił się jeden: poważny i niezrozumiały. Hettum nie uwierzyłby, gdyby Kitbuka nie powiedział w ciemnościach:

— Słuchaj, anda.

Dźwięk ten szedł od miasta.

Hettum podźwignął się na łokciu, zmarszczył czoło. Ciągłe nie mógł uwierzyć własnym uszom. To było coś, co przechodziło najbujniejszą wyobraźnię. Bam... bam... — dźwięk powtarzał się. Uderzenia rozchodziły się metalicznymi kręgami w stężonym powietrzu wieczoru. Bam... — Dzwony? — szepnął. Poczł dreszcz na całym cieie. Dzwony? Dzwony w Aleppo? Od setek lat, od niepamiętnych czasów ich głos był tutaj zakazany. Lecz jakiś dzwon przetrwał wieki. I dziś dzwonił...

Na odlewanych dla katedry w Sis dzwonach patriarcha Konstantyn kazał napisać: *errantes revoco*. Taki napis nosiły podobne dzwony w cudownym kościele św. Jagona w Kompostelli. *Errantes revoco...* „Kto są ci błądzący?” — myślał nieraz Hettum. Dźwięk dzwonu przypomniiał mu to pytanie. Ściągając do bólu brwi począł szukać na nie odpowiedzi. Ale nie była ona ani łatwa, ani prosta.

Długo leżał twarzą do ziemi, aż wreszcie usłyszał nad sobą krótki, podobny do bojowego zawołania rozkaz:

— Wstań i mów!

Wyprostował się, lecz pozostał na kolanach.

— Jak to było? — pytał Hulagu. Miał brwi zmarszczone, usta ściśnięte. Gruba żyła wystąpiła mu na czoło podnosząc wyszywany brzeg kolorowej krymki, którą miał na głowie.

— Nasi żołnierze — Kitbuka mówił chrypliwie, z trudem wyrzucając słowa z zeschniętego gardła — napadli chrześcijan. W ich obronie stanął szogun Hettum.

— Zabił Mongoła?

— Zabił wielu...

Smagłe palce chana splecione na kolanach zacisnęły się gniewnie. Jego głos stał się jeszcze ostrzejszy.

— Wiesz, co rozkazał boski Temudżyn?

— Wiem. Nie wolno żyć temu, kto wylał krew mongolską...

— Co uczyniłeś?

— Kazałem zabić wszystkich, którzy patrzyli, jak szoggun Hettum walczył z Mongołami.

Hulagu tupnął nogą.

— Jak śmiałeś!! Znam twoją słabość dla Franków. Tym razem jednak przebrałeś miarę. Wiesz, na co zasłużyłeś?

— Wiem, eczige...

— Ciebie każę zabić!

— Jestem ci posłuszny, eczige...

— Nie będę miał litości nad tobą, choć jesteś wielkim wodzem!

— Jestem ci posłuszny.

— Nie zobaczysz miasta, które wy, chrześcijanie, nazywacie świętym!

— Będzie, jak powiedziałeś.

— Nie poprowadzisz mego wojska na wrogów krzyża!

— Skoroś tak powiedział, eczige, tak być musi. Jestem ci po słuszny. Niech ci je poprowadzi Hettum.

— Hettum? Oszalałeś? Mam dość wodzów mongolskich! Hettum... — zatrzymał się nad tym imieniem. Uważnie patrzył czas jakiś na wielkiego bahadyra, który przed nim klęczał. Ostry, lodowaty ton głosu, podobny nocnemu wiatrowi nad pustynią, zmiękł. Hulagu zdjął dłonie z kolan, przeniósł je za siebie. Wsparty na nich odchylił się w tył. Innym zupełnie głosem, jak ktoś, kto zadaje pytania swoim myślom, rzekł: — Dlaczego sądzisz, że to on powinien je poprowadzić?

Kitbuka wybuchnął prędkimi słowami:

— Tylko on zaprowadzi ci armię, gdzie trzeba.

— Kto wie, gdzie ją trzeba zaprowadzić? — na w pół do siebie na w pół do swego wodza powiedział Hulagu.

— On — pośpieszył nojon — będzie wiedział!

Chan Persji uśmiechnął się z nieoczekiwaną łagodnością.

— Widzę, że ci jest droższy niż pierwsza katum. Bardzo trzeba kogoś kochać, aby weń tak wierzyć. Dałeś mu swoje serce?

— Tak, eczige. Jest moim andą.

— Obyś się na nim nie zawiódł. Wydaje mi się człowiekiem słabym, który czyni gest nad miarę wielki.

Odchylił głowę w tył; patrzył w górę wprost w wyszywane sklepienie geru.

— Skoro mu jednak wierzysz — rzekł, jakby po zaczerpnięciu natchnienia z kolorowych kwadratów — niech tak będzie. Nie chcę twojej krwi. Masz być z mego ramienia władcą tej ziemi. Co zarządzisz — to zatwierdzi moja pieczęć, a potem ty i Hettum pójdziecie przede mną na tadżyków. Kiedy zaś poprowadzicie moją armię do ostatecznego zwycięstwa, wtedy... — przesunął dłoń po piersi i znowu się uśmiechnął. Nie dopowiedział swojej obietnicy. Pochylił się nad Kitbuką, wziął w dłoń krzyż wiszący na szyi nojona. — Piękny masz znak — powiedział. — To nazywacie krzyżem, prawda? Do tego mieli przybić waszego Boga, Jezusa, ale On potem zmartwychwstał. I nigdy już nie umarł. Dziad Temudżyn pytał mędrca chińskiego, co ma robić, by nie umrzeć, ale on mu odpowiedział, że na śmierć nie ma lekarstwa. Zamyślił się. Jego żółte palce przesuwaly się po krzyżu, bardziej jeszcze żółte od bijącego ze złota blasku.

6

Kitbuką przychodził codziennie, czasami nawet po parę razy do namiotu Hettuma i siedząc przy jego poślaniu opowiadał mu o wszystkim, co działo się w mieście i w obozie mongolskim. Walki już ustały, gwałty i rabunki były surowo zakazane. Ludność wszelkich wyznań odzyskała wolność, nad którą czuwał żelazny, bezlitosny dla łamiących go jassak mongolski. Kto by go naruszył, musiał umrzeć, kimkolwiek by był. Aleppo otrzymało swego zarządcę — miejscowego Araba szytę z dwoma doradcami: chrześcijaninem i żydem.

Pierwszym zarządzeniem Kitbuki, jako władcy kraju, było polecenie, aby wszystkie meczety, które kiedyś były kościołami, wróciły do chrześcijan. „Słyszysz, anda, te dzwony?” — pytał co wieczór Hettuma odchylając jak najszerszej zasłony namiotu. Pogodne, różowe niebo grało jak wielotonowy instrument. Każdy kościół, każda kaplica miała już swój dzwon. To był znak zwycięstwa Chrystusa. Były także i inne: w uroczystej procesji patriarcha jakobicki Bar Hebreus przybył do obozu mongolskiego, by podziękować zwycięzcom za wyzwolenie chrześcijaństwa. Odwiedził także

Hettuma w jego namiocie. „Twoje imię, tagawor — powiedział siedząc obok posłania, w miejscu, gdzie zawsze siadywał Kitbuka — pozostanie w wiecznie wdzięcznej pamięci tutejszych chrześcijan. Będziemy się modlili za ciebie. Setki lat pozostawaliśmy w niewoli, pod butem niewiernych. Umieraliśmy z trwogi o każde pokolenie naszych dzieci. Lecz ty uczyniłeś rzecz wielką i sprowadziłeś obrońców. Niech cię Pan błogosławi.” To samo mówili mu duchowni greccy, maronicy, nestoriańscy, armeńscy klękając przed nim, całując go po rękach.

On jednak czekał na odezwanie się Kościoła Rzymskiego. Czekał niecierpliwie i niespokojnie. Rozwazał: wieść o zwycięstwach Mongołów musiała już dotrzeć do Acre. Już powinni tu byli przybyć: patriarcha, legat, regenci, przedstawiciele konfraterni św. Andrzeja, baronowie, rycerze. Dlaczego nie przybywają? Wiele razy na dzień wysyłał pachołka do Bohemunda. „Pytaj księcia — rozkazywał — czy nie przybył nikt z wybrzeża?” Chłopak wracał, stawał milczący w progu; z wyrazu jego twarzy poznawał od razu, że wraca z niczym. „Nikt nie przyjechał, tagawor...” — mówił, jakby przyznawał się do winy. I znowu biegły godziny pełne hałasów obozu, chrapliwych, zwierzęcych głosów tartarskich, zawodzenia muezzinów i muzyki wież kościelnych. Te bijące łacińskim obyczajem dzwony zdawały się wołać o to samo, o co i on wołał. „Na co oni czekają?” — zapytywał siebie wciąż. Czy nawet to błyskawiczne zwycięstwo ich nie przekonało? Zostawiono go samego z rozradowanymi chrześcijanami Wschodu i — z Tartarami! Niechęć do tych ostatnich jeszcze w nim przez czas leżenia wzrosła. Nie mógł się jej pozbyć. Cuch mongolskich tułubów przesączył się do namiotu, otaczał Hettuma, dławił go. Gdy Kitbuka siedział przy nim, towarzysząca mu woń płoszyła myśli. Z półodwroconą twarzą słuchał nieuważnie słów wodza. Nojon zdawał się jednak nie dostrzegać zmiany. Mówił dużo i mówił serdecznie. Opowiadał o stepach, o wielkich chanach, o wojnach, o sobie. Kiedyś najniespodziewaniej zapytał:

— Czy jesteś szczęśliwy, anda?

Hettum poruszył się na posłaniu. Nie wiedział doprawdy, co odpowiedzieć. Szczęśliwy? Nie czuł się szczęśliwy. Na jego życiu leżał jak brzemień postępek jego ojca. Cóż z tego, że dzięki niemu zyskał wszystko, o czym mógł tylko marzyć? Był królem, był mężem Zabel. Lecz to, co zdobył, zwłaszcza to ostatnie, uczyniło go jakimś niepełnym, niby kościół bez wieży. Narzuciło mu potrzebę wyrastania. Zostawszy królem Armenii, nie mógł być zwyczajnym tylko królem. Posiadłszy wbrew jej woli kobietę, którą kochał,

musiał ją zdobywać. Potrzebny mu był, jak w kanconie, czarodziejski gest, który przemienia wszystko: śmiecie w złoto, odrazę w pożądanie.

— Nie wiem — wyznał.

— Nie wiesz? — Więc nie jesteś — powiedział z przekonaniem Kitbuka. — Przeczuło to moje serce. Ludzie jak ty, anda, nie mogą być szczęśliwi.

Spod opuszczonych powiek śledził oczy Kitbuki. „Cóż on o mnie wie?” — myślał. Czy zna tę całą historię zamachu, ucieczki do Selefke, pojmania, małżeństwa w Tarsie, koronacji w katedrze w Sis? Konstantyn z Lampronu działał szybko i zdecydowanie. Umiał wyzyskać niechęć ludności armeńskiej do króla łacinnika, a jednocześnie zachować poparcie frankońskich lenników królestwa, dawnych emigrantów z Antiochii, z czasów, gdy Antiochia znajdowała się przelotnie w rękach Lewona Wielkiego. Gdy tłum przed pałacem krzyczał: „Precz z Frankami! Precz z łacinnikami! Niech żyją panowie z Lampronu! Niech żyje król Hettum” — aspabeth królestwa, sire de Sermin, prowadził Hettuma i Zabel przed ołtarz, zaś thagadir, sire Memendon wkładał im korony na głowy. Potem siedzieli oboje, para ukoronowanych dzieci, w swych sztywnych drapiących szatach na wspólnym tronie. Wasalowie królestwa jeden po drugim podchodzili ucałować rękę nowego władcy. Między nimi mignął biały płaszcz komtura templariuszów z Gaston i czerwony — komtura szpitalników z Fernand de Barras. Gdy ten ostatni pochylił głowę przed królową, Zabel z gniewem odwróciła twarz.

Za komtura z Selefke nie wybaczyła szpitalnikom — za Konstantyna nie wybaczyła Hettumowi. Pogodziła się z przemocą. Była posłuszna, rodziła królewskie dzieci. Kolejno przychodziły na świat: Lewon, Sybilla, Eufemia, Toros oraz dwie młodsze, Maria i Rita. Dziećmi opiekowała się starannie, ale swej miłości nie rozdzielała między nie równo. Jej gorące oczekiwanie na pierworodnego Lewona zamieniło się nagle we wrogi prawie chłód. Chłopiec urodził się nieco przed czasem. Gdy kobiety odbierające przyniosły go matce, krzyczącą kukłę z czarnymi, lepiącymi się do ciemienia włosami, Zabel wydała gniewny okrzyk: „Zabierzcie! Zabierzcie go! Jaki wstrętny!” Pozostał dla niej dzieckiem niekochanym, obcym, drażniącym. Inna już była dla córek, ale gdy przyszedł na świat Toros, stał się od razu jej najdroższym dzieckiem. Nie chciała go wypuścić z rąk. Z niechęcią, gdy skończył siedem lat, zgodziła się dzielić nad nim opiekę z konetablem Sempadem, bratem Hettuma, który obu synów królewskich uczył władania bronią, i z patriarchą Konstantynem, który zabierał ich do prowadzonej przez siebie przy katedrze szkoły. Toros był nie tylko jej najukochańszym dziec-

kiem — traktowała go także jak swego przyjaciela i powiernika. Prowadziła z nim nieskończenie długie rozmowy. Raz Hettum usłyszał strzępek słów, które mówiła do syna: „Wtedy, Torosie, będziesz królem i wszystko należeć będzie do ciebie”. „Chce zbuntować syna przeciwko mnie!” — pomyślał. Głośno rzekł: „Nie płacz mu w głowie takim mówieniem. Wiesz przecież, że tron należeć będzie do Lewona”. „Toros — powiedziała, jakby snuła jakieś marzenie jej tylko i synowi znane — zdobędzie sobie inne królestwo, inny tron.” Poczul w tych słowach wyrzut. Zaczął się zastanawiać. Może Zabel ma słuszość? Dlaczego dla Torosa nie miałyby się znaleźć królestwo czy księstwo? Stary król Lewon, zaniepokoiło go, pamiętały o każdym członku rodziny. A on? Jego myśli układały się niepostrzeżenie w kształt oskarżeń Zabel. Musi coś zdobyć dla młodszego syna! Gdyby tak Edesę? Wyrwawszy ją z rąk Saracenów nie miałby powodu oglądać się za potomkami ostatnich jej władców, Jocelinów.

— O czym ty myślisz, Kitbuko, gdy mówisz, że ludzie tacy jak ja...? — zapytał. Był wtedy dzień biały od żaru, blask słoneczny wdzierał się do namiotu i rozlatywał kawałkami po dywanie przyniesionym ze zdobytego pałacu Jussufa. Nojon z tajemniczym uśmiechem na grubych policzkach kiwał głową. Robił wrażenie człowieka, który wszystko wie.

— Masz dzieci, synów — powiedział, jakby to stwierdzenie miało starczyć za odpowiedź. — Ja, anda, mam tylko jednego syna. On jest całą moją nadzieją, całą radością moich oczu...

Nie myślał tak o dzieciach. Tylko jeden Lewon zajmował więcej miejsca w jego pamięci, będąc dziedzicem tronu i planów. Poza tym kochał je wszystkie jednakowo, tą samą daleką miłością, pełną trosk. Chciał, aby im było lepiej, aby nie ciążył na nich śmiertelny grzech ojca. On sam dość cierpiał wykupując się z niego całym swoim życiem.

— Czy kochasz swoją katum? — zapytał innym razem Kitbuka.

— Kocham — odpowiedział bez wahania. Ale walczył z pokusą powiedzenia więcej. Tylko jeden człowiek — od lat zagubiony — wiedział o nim wszystko: o cichej miłości chłopca do królowny, o tym, jak chłopiec zdobył swoją wymarzoną Izoldę, lecz ona postanowiła być dla niego wrogiem i pozostała nim. Swoją żal zamieniła w truciznę, którą zatrąła jego marzenia. Kiedy wyrastał, ona zamykała oczy na to wyrastanie. Gdy po trzyletniej prawie podróży do Karrakorum powrócił do Sis, ci wszyscy, którzy wiedzieli, gdzie i po co jeździł, wybiegli mu naprzeciw. Miał przed sobą pełne niespokojnej nadziei twarze brata Sempada, patriarchy, najpoważniejszych baro-

nów królestwa. Ale Zabel zeszła na podwórzec pełna lekceważenia dla spraw, które przywoził. „Witaj, mężu” — powiedziała i podała mu do ucałowania czoło. Robiła tak zawsze wobec ludzi. Można było pomyśleć, że chce uchodzić za pokorną i poddaną żonę. Widział jej małą twarz w okolu zakrywających szyję i sięgających wysoko pod brodę chust, twarz, która zawsze wydawała mu się równie piękna i równie obca. „Gdybym był trubadurem — myślał nieraz — mógłbym przez całe życie śpiewać na cześć Zabel i sławić jej urodę. Ale moja miłość nie potrafi zamienić się w kanconę. Muszę ją zdobyć, ale nie słowami, jak też nie chciałem użyć wobec niej siły. Ona wreszcie zobaczy — musi zobaczyć — że to o nią walczę, porywając się na największe rzeczy.”

Ale mówić to wszystko Kitbuce? Ten człowiek pociągał go jednocześnie i odpychał. A rozstanie z tajemnicą serca wydawało się takie ciężkie. Leżał milcząc z zaciśniętymi nozdrzami odpychając od siebie przybyłą z nojonem woń jurty.

— Twoja katum musi być kobietą piękną i godną miłości — powiedział Kitbuka. — Czy nie przyjedzie tu za tobą, anda?

Często o tym myślał ostatnimi czasy i często wyobrażał sobie ten przyjazd. Przecież ona już na pewno wie o tym, co się stało. Gońcy musieli od dawna dojechać do Sis. „Może teraz — marzył, zapominając, że tego samego oczekiwał powracając z Karrakorum — zrozumie, zechce zrozumieć bezsłowne wyznanie”. Aleppo — to była jego kancona bez słów.

7

— Zjeździłem konie, teściu, zanim was dogoniłem! Pędzicie jak wiatry i ci twoi sojusznicy w prześmierdłych kozuchach. Bałem się, że trzeba mi będzie za wami drałować do Egiptu czy może do samych Murzynów.

Julian, pan Sydonu, zaśmiał się z własnego dowcipu i tyknął pełen kubek wina. Dla tego zięcia Hettum nie miał zbyt wielkiej sympatii. Julian niewiele był od niego młodszy, a wesołe życie, jakie wiódł, sprawiło, że wyglądał jeszcze starzej. Jasne włosy z rzadka już tylko porastały czaszkę, pod oczami miał ciężkie wory, na obwisłych wargach wyraz smakoszostwa. A przecież był on beniaminkiem całej Syrii. „Julian, Julian...” — o nim mówiły z równym zachwytem piękne damy na syryjskich dworach i kobiety w haremach sułtanów czy emirów. „Julian” — z pobłażliwą życzliwością wy-

mawiali jego imię baronowie. Spokrewniony z Ibelinami, siostrzeniec pana Tyru z każdej strony znajdował pomoc i poparcie. To stary Ibelin z Jaffy namówił Hettuma, by wydał Femę za Juliana: „Wiecie, tagawor, jak wszyscy go kochamy — mówił swym skrzypiącym głosem. — Jest trochę lekkomyślny, to prawda. Ale jaki rycerz! I uczony...” Rycerskich czynów Juliana Hettum dotychczas nie widział, natomiast jego uczoność była powszechnie znana. Czytał naprawdę księgi i miał ich kilka. Podobnie jak jego dziad, interesował się wiarą muzułmańską, i jak Renald, który roztrząsaniem sur Koranu wobec Saladyna ocalił niegdyś Sydon przed zwycięzcą spod Hattim, lepiej znał naukę Proroka niż prawdy chrześcijaństwa. Poza tym dzielnie grał w kości, co go w końcu oddało w ręce templariuszy. Hettum sądził, że Julian, dostawszy w ręce bogaty posag Femy, spłaci nim długi zaciągnięte w banku Templum, których gwarancją było miasto Sydon. Ale zięć wołał tymi pieniędzmi próbować na nowo szczęścia.

— Uff! — odsapnął. Podjął znowu: — Na dobitkę ci Tartarzy Rozleźli się wszędzie jak robactwo: na każdej drodze można ich spotkać. Jedzie, wyobraźcie sobie, naprzeciw nas takich trzech, z drogi nie zjeżdżają, tylko walą wprost na mnie. Patrzą na nich: prawdziwe dzikusy! Ci Murzyni, których ma w swej służbie sułtan Egiptu, bardziej po ludzku wyglądają. I lepiej pachną, wiercie mi! Cała Syria będzie niedługo od tych twoich Tartarów, teściu, śmierdziała niczym barani tyłek. Ale słuchaj. Podjeżdżają do mnie i jeden z nich zaczyna coś gadać. Słucham — gada niby po grecku. Pyta, skąd jadę i dokąd. Odpowiedziałem mu, żeby pilnował własnego nosa. Mnie się będzie pytał? Saraceni, jak mnie spotkają, kłaniają się tylko pięknie i ustępują mi z drogi. Powiedziałem, żeby sobie szedł do diabła. Ale on zamiast posłuchać, wziął kościany gwizdek i zapiszczał. Ani się obejrzałem, jak już przygalopowała do nas cała kupa tej hałastry. Smród zrobił się taki, mówię wam, że małym z konia nie zleciał. Znowu zaczynają pytać: skąd i dokąd jadę? Co miałem robić? Pozwolić się udławić smrodem? Powiedziałem im, że jadę do ciebie. Od razu zrobili się grzeczni. Widzę, teściu, żeś w łaskach u tych koboldów. Może to prawda, co mówią w Acre, żeś ślubował chanowi nie myć się do końca życia.

— Coś powiedział?!

— Och, nie gniewaj się, to tylko żart. Zresztą czy to moja wina, że tak mówią? Więc ci Tartarzy, kiedy im powiedziałem, że chcę jechać do ciebie, puścili mnie zaraz, a nawet dali mi jednego ze swoich na przewodnika. Śmierdział mi pod nosem, że jeść nie mogłem przez całą drogę, choć się

cały polałem olejkim, który mi kiedyś ofiarowała sułtanka Shajar al-Dorr. Tu, u ciebie w namiocie, teściu, jeszcze można wytrzymać. Ale w ich obozie nos po prostu odpada. Jakby cię zamknęli w dzień odpustu w wychodku przy katedrze św. Andrzeja.

— Przestań pleść! Powiedz mi lepiej, po coś przyjechał.

— Jak to po co? Czyż nie powinienem być tutaj — błaznował — gdzie walczy mój teść i szwagier — najwięksi rycerze Syrii?

— Więc przybyłeś bić się? Bez kłamstw! Przyjechało z tobą wszystkiego dwóch pachółków i czterech żołnierzy.

— Jechało ze mną kilku rycerzy, którzy przybyli do nas z Europy z pobożną pielgrzymką, a towarzyszyło im czterech braci zakonu teutońskiego. Cóż, kiedy przeraził ich smród tartarski. Powiadali, że takie wonie to tylko Lucyfer puszcza w piekle. Zresztą oni mają z Tartarami na pieńku. Podobno ci wpadli do ich kraju, pomordowali ludzi, pohańbili kobiety, a ich księcia zabili i obcięli mu głowę. Jak zobaczyli Tartarów, aby nie mieć pokusy, zawrócili do Beaufort i tam na mnie czekają. Więc przybyłem sam. Ale czyż moje ramię nie jest warte wszystkich moich wasali, którzy, mówiąc między nami, robią co im się podoba i nie chcą mnie słuchać? A wreszcie — po cóż bić się, kiedy to chętnie robią Tartarzy? Przyszedłem zwyciężać nową broń: tartarskim smrodem!

— Dość kpin. Powiedz, z czym naprawdę przyjechałeś. Czy może Fema...

— Nie, nie, teściu. Twoja córka miewa się znakomicie. Jest w Beaufort. Kazała cię pozdrowić.

— Więc co przywiozłeś?

Julian założył nogę na nogę. Przeciągnął dłonią po swej długiej, końskiej szczęce.

— Pędzisz mnie, że się mogę zadławić winem, a pieczeń barania, którą mnie poczęstowałeś, gotowa mi stanąć sztorcem w brzuchu. Z czym przyjechałem? Przede wszystkim z wieściami z Acre. Po wtóre zobaczyć, co się tu dzieje, by mieć o czym opowiadać. Wiesz, że lubię zadziwiać, ludziska u nas aż na palcach z niecierpliwości stają tacy są ciekawi tutejszych nowin. Kiedy przyszedł list Bohemunda o zdobyciu Aleppo — po prostu jakbyś patyk wetknął w mrowisko. A już teraz, kiedy się Damaszek poddał i Hama...

Znowu pił wino i klepał się dłonią po swym brzuchu wiszącym miękko pod aksamitnym kaftanem.

— Nawet Bajbars przysłał do mnie gońca z zapytaniem, co tu słysząc.

— Bajbars? — Hettum zmarszczył czoło. Nie podobała mu się ta zażyłość Juliana z wodzem Mameluków egipskich. Ale taki już był pan Sydonu: odwiedzał sułtanów, grał w kości z emirami, handlował końmi, wazami i złotymi cackami, wykradał kobiety z haremów, a jak opowiadano, miał nawet ukrytą gromadkę czarnych dziewcząt, które umiały grać i śpiewać.

— Tak. I on ciekawy, jak Tartarzy podkurzyli Jussufa. Podobno uciekał przed nim, aż się ostał dopiero w Gazie. Bardzo się z tego cieszę. Pamiętasz pewnie, teściu, że domagał się ode mnie trzystu bezantów. Głupia sprawa... Chodziło mu o te konie, które mu wtedy sprzedałem, a które potem gdzieś się zagubiły... No, ale jeśliście go zwyciężyli, to już nikt o tych pieniądzach nie będzie mógł pisać. Wróg Tartarów jest twoim wrogiem, a twój wróg — musi być moim. W ten sposób mam już pierwszy łup. Niewiele wprawdzie z niego zysku, bo i tak bym Jussufowi tych pieniędzy nie dał. Choćby słuszość była po jego stronie. Z czego miałbym mu je oddać? Czy to ja jestem tobą, teściu, żebyś opływał we wszystko? Ale myślę, że skoro jest wojna, to mi dasz tu coś zarobić: jakieś miasto, jakieś stadko... Tartarzy zrobią dla ciebie wszystko.

— Nie ma o czym mówić — powiedział sucho Hettum. — Wojna z sułtanem Damaszku skończona. Jussuf uciekł. Damaszek oddał się w ręce chana. Jego mieszkańcy otrzymali jassak, kto by chciał ich skrzywdzić, miałby do czynienia z Tartarami.

— To źle — zmartwił się Julian — szkoda. A czy twoi Tartarzy, teściu, dochowują obietnic?

Potwierdził stanowczo:

— Dochowują. Mówię ci, nie ma o czym gadać. — Zmienił temat. — Powiedz lepiej, co słysząc w Acre?

— Po staremu. Wenecjanie spławili Genuńczyków i zajęli ich fundaco. Teraz jeśli okręt genuński chce wpłynąć do portu, musi spuścić flagę. Zgrzytają zębami, ale nie mogą inaczej. Templariusze przetrzepali skórę szpitalnikom. Było sporo trupów. Revel ledwo wyszedł cało. Poprzysiągł zemstę Bérardowi i zapowiedział, że za każdego szpitalnika templariusze dadzą trzech. De Sargines choruje. Kiedy odjeżdżałem, był u niego patriarcha ze świętymi olejami. Szkoda chłopca, gdyby miał umrzeć. Głupi był bo głupi, ale pocciwy. Jak mu tam będzie na Sądzie Bożym, kiedy się zacznie jąkać — strach pomyśleć. Królestwem rządzi królowa, to znaczy Balian.

Arcybiskup nie chce ciągle uznać ich ślubu; uparł się jak kozioł. Kanonicy Grobu wymyślili nowy cud: pokazują pielgrzymom, jak Duch Święty zstępuje na prostaczków pod postacią dymu. I templariusze chwalać się nową relikwią: zębem mlecznym Pana Jezusa, który świeci w mroku niby próchno. Sam więc widzisz: wszystko, jak było.

„Rzeczywiście — myślał Hettum patrząc z odrazą na zięcia — tam nic się nie zmienia. Tu Mongołowie idą od zwycięstwa do zwycięstwa: zmiotli sułtanat damasceński, lada chwila przejdą granicę sułtanatu egipskiego. Świat odmienia swoje oblicze z dnia na dzień. A tam: szpitalnicy drą się jak dawniej z templariuszami, Genua z Wenecją, Ibelinowie z Montfortem, niższy kler wymyśla cuda, by wyłudzić pieniądze od przybyszów z Europy, a nad tym pływa, jak korek po morzu, ulubieniec wszystkich, przyjaciel wszystkich — Julian! — Zięć Julian!”

Odruchowo westchnął.

— Westchnąłeś, teściu? — W głosie Juliana była żartobliwa czułość.

— Nie! — odrzucił gniewnie. Ale myślał; „Więc to ma być odpowiedź? Więc na to czekałem?” Miał trochę nadziei, że na wieść o zwycięstwach przybędą tu wszyscy. A przynajmniej najważniejsi, najlepsi. Zamiast nich — przyjechał Julian.

— Zamilkleś jakoś, teściu? — zauważył pan z Sydonu. Ziewnął, wstał, przeszedł się tam i z powrotem po namiocie. Jego cienkie łydki, jedna w czarnej nogawce, druga w białej (jakby na znak, że Julian jest w połowie Gibelinem, a w połowie Gwelfem), wyglądały żałośnie przy zbyt otyłym ciele. — Popędzałeś mnie, aż mi się teraz odbija. — Czknął rzeczywiście. — Mówi arabska pieśń: człowiek gada, a sokół leci; sokół schwytał zająca, a ten, co gadał, zamilkł; sokół pożywił się, a człowiek głodny. Tak i ty. Gorączkowałeś się, jakbyś oczekiwał, że ci przywiozłem Bóg wie co. Czego się spodziewałeś? Może listu od swej małżonki?

Spod oka spojrzął na Juliana. Ten gagatek musi wszędzie wetknąć swój długi nos. Historia zdobycia tronu przez baronów z Lampronu była znana w całej Syrii. Wtedy — przed dwudziestu z górą laty — całe ibelinowskie bractwo, wróciwszy z zakończonej klęską wyprawy na Egipt, odgrażało się szeroko i długo, że pomści śmierć Filipa i pośpieszy na pomoc córce wielkiego Lewona. Ale okazało się to tylko częścią gadaniną. Nikt się do czynów nie ruszył. Zresztą niedługo potem przybyła do Syrii krucjata Fryderyka, która zjednoczyła całe rycerstwo syryjskie przeciwko cesarzowi. Silna Ar-

menia stała się nagle potrzebna baronom. Bez sojuszu z Hettumem ledwo śmieli się wlec z tyłu za armią bezbożnego krzyżowca, niby szakale za karawaną, nie decydując się na zetknięcie z wyklętymi i nie rezygnując ze zdobyczy, które mogły być tamtych udziałem. Pośród walk z Filanghierimi zapomniano o niedoli Zabel, nad której losem roztkliwiały się niedawno damy syryjskie i trubadurowie. Siostra Hettuma wyszła za mąż za Ibelina z Jaffy, krwawa nieprzyjaźń między dworem armeńskim a antiocheńskim została załagodzona. Teraz już nikt nie śmiał się wtrącać między niego a Zabel. Gdyby ją nawet oddalił, baronowie nie ruszyliby palcem. On i królestwo byli im potrzebni — nie ona. Poza tym nie istniał już żaden żyjący pretendent do tronu Armenii: stryjeczny wnuk Lewona Wielkiego, Rajmund-Rupen, nie żył także, stary Konstantyn umiał usuwać z drogi syna każdego, kto mógł się stać jego przeciwnikiem. W oddaleniu Zabel nie miałyby żadnych trudności. Mógł nawet liczyć na pochwałę niektórych. Niski, czarnowłosy Paweł Segni, biskup Tripoli, powiedział doń kiedyś z brutalną szczerością, uderzając w stół swą upierścienioną dłonią: „Ślub z córką Rupena był ci wówczas potrzebny. To było rozsądne. Ale słuchaj, tagawor, rozsądni ludzie nie utrudniają sobie życia przez jedną podstarzałą babę. Spławiają ją. Oczywiście tak robią tylko ludzie rozsądni. Nie będę cię zresztą uczył. Powiedziałbyś potem, że cię biskup namawia do złego. Jako kapłan mogę ci powiedzieć tylko tyle: postępuj tak dalej. Masz moje błogosławieństwo. Ale jako człowiek rozumny mówię: miej głowę na karku!” Nie kończąc de Segni podniósł w górę swoje rzymskie brwi, uderzył Hettuma w ramię i wybuchnął śmiechem. Z gniewem słuchał tych słów. Pojmował, że nie ma co tłumaczyć Pawłowi swej miłości do Zabel. Nie zrozumiałby go. Zresztą wobec tego kuzyna Ojca świętego odczuwał pewną nieśmiałość. Rzym pozostał dla Hettuma magicznie przyciągającą siłą. Nawet to mało budujące gadanie Pawła Segni nie mogło wpłynąć na zmianę stosunku do stolicy Apostoła. Pod tym względem Hettum rozumiał się doskonale z Konstantynem, i gdy patriarcha powoli — nie chcąc zrazić ludności — usuwał z wyznania armeńskiego potępioną naukę, król patrzył na to okiem życzliwym. Bizancjum nie stanowiło teraz zapory dla stosunków z Ojcem świętym: przeciwnie, cesarz Baldwin widziałby z zadowoleniem powrót Królestwa Armeńskiego do jedności z Kościołem. To wzmacniało jego własną pozycję wobec roszczeń i zakusów bazyleusa z Nicei.

Cyniczne rady biskupa Segni spływały po nim jak woda po ptasim pieczu. Hettum miał własny pogląd na sprawę: opierał się on na poczuciu winy

jego i ojca. Był pogodzony z myślą, że ta wina ściągnęła na niego karę. I wydawało mu się, że tylko przerastanie, które się w nim dokonywało, mogło go kiedyś od niej wyzwolić. „Gdy ona powie — myślał nieraz — że mi wybacza, znaczyć to będzie, że Bóg mi wybaczył”. Ale sprawa nie szła szybko. I dziś, gdy doświadczył w sobie pierwszego dotknięcia starości, mocniej czuł także niezagojoną ranę.

— Nie — powiedział spokojnie, mierząc wzrokiem Juliana — nie oczekiwałem tego. Lada dzień zresztą powróci goniec, którego wysłałem do Sis.

— Wiem, że teściowa jest zdrowa — powiedział Julian — Fema miała od niej wieści, gdy odjeżdżałem. Lewon podobno domagał się, aby mu matka pozwoliła pojechać za tobą.

Hettum pomyślał: Lewon? W pewnej chwili poczuł zdziwienie, które zaraz ustąpiło. „Chłopak ma już siedemnaście lat; powinienem był go wziąć na wyprawę. To źle, że go tu nie ma”. W godzinach, w których decyduje się los całej chrześcijańskiej Syrii, kto wie, może i całego świata, syn-następca nie powinien być z dala. Trzeba go było zabrać. Lecz pamiętał dobrze, dlaczego tego nie zrobił. Może to była zbytnia ostrożność, ale on nie ufał do ostatniej chwili swemu gestowi. A co będzie, jeżeli Mongołowie nie spełnią tego, co obiecali? Jeżeli zdradzą? Jeżeli przyjdą do Syrii nie dla ratowania chrześcijan, których tak niedawno rozgromili nad Sayo, ale po prostu, by rozszerzyć granice swoich podbojów? Nie mogło mu wyjść z pamięci spotkanie z mnichem Rubrukiem, wysłannikiem króla Ludwika. Rubruk wracał z Karrakorum, Hettum właśnie tam jechał. Minoryta, siedząc na ziemi, jak przystało prawdziwie wiernemu uczniowi św. Franciszka, opowiadał Hettumowi, co widział. „Cały namiot — mówił — wybity był złotogłowiem, wielki chan ubrany we wspaniały połyskujący płaszcz, ozdobiony futrem, siedział na łożu, z nogami podwiniętymi. Był dla nas grzeczny i łaskawy. Ale powiedział: ja, wielki chan, pan świata z rozkazu przedwiecznego Tengri — tak oni nazywają swego boga — wzywam twego króla, największego władcę arkağudów — to znaczy chrześcijan — aby uznał mnie swym panem. Tak powiedział. Bo oni mówią, że ich Tengri, a nasz Jezus Chrystus — to to samo; że jeden jest Bóg, jak jedna dłoń, a różne religie — jak poszczególne palce. Potem chciał, aby jego posłowie pojechali ze mną do króla Ludwika i powiedzieli królowi o jego żądaniu. Ale ja prosiłem, aby posłów nie wysyłał, a jego słowa ja sam królowi powtórzę. Po co Mongołowie mają do nas przyjeżdżać? Zobaczają, jak się kłócimy, opowiedzą o tym chanowi, a wtedy Tartarzy gotowi na nas wyruszyć z wojenną wyprawą”.

Po tej rozmowie Rubruk pojechał na zachód, do Acre, zaś Hettum — na wschód, do Karrakorum. Jechał zaciskając desperacko zęby. Myślał ciągle w czasie długich dni wędrówki: czego zażąda ode mnie wielki chan, jeśli zażądał hołdu od króla Francji? Po dwóch tygodniach jazdy przez królestwo mepe Dawida, łańcuch Kaukazu i obóz Sartaka, Hettum stanął przed oblizaniem Batu. Syn Dżioczego nie witał łaskawie przybysza z Zachodu. Od razu zażądał, aby Hettum padł przed nim na twarz. Gdy tłumacz powtarzał wolno to życzenie, Batu patrzył na gościa złośliwie zmrużonymi oczami. Kochany przez swoich, nazwany przez nich sain-chanem — dobrym chanem — był najstraszniejszym ciemiężcą podbitych ludów. Franków nie cierpiał i nie miał dla nich szacunku. Widywał ich przecież obalonych, a głowy ich władców — polskich, ruskich, węgierskich, niemieckich — pozatykane na piki. Ale Hettum stanowczo odrzucił to żądanie. „Nie — powiedział patrząc prosto w oczy Batu — ty jesteś królem i ja jestem królem. Możemy się witać jak równi”.

Dziki błysk zapalił się w oczach chana. On, który zwał dynastię Ogotaja, by wprowadzić na tron syna, Tułuja, czuł się równy, jeśli nie wyższy od kagana. Jego smągła dłoń spadła na głowę zatkniętego za pas kindżału. Przesunął dolną szczękę w prawo, potem w lewo, jakby ostrzył zęby. Wydał gardłowy krzyk, na dźwięk którego tłumacz przysiadł, śmiertelnie wystraszony. Hettum stał nieulekły, tylko nagle ogarnięty najstraszniejszymi wątpliwościami. Pełna napięcia chwila przedłużała się w wieczność. Aż wreszcie pękła wybuchem śmiechu. Batu rżał. „Dobrze — chichotał — nie padaj na twarz. Jedź do kagana, oby wielki Tengri czuwał nad nim, niech on postanowi, co będzie z tobą. Jedź i patrz. Patrz dobrze. Patrz na wszystko, co zobaczysz. Ach, wy, Frankowie, wam się zdaje, że potęga Mongołów jest jak wasze królestwa, które goniec na rozstawnych koniach przeleci w jeden dzień”.

A potem jechał, zda się bez końca, przez kraj gór, pustyń palonych słońcem w południe, ściskanych mrozem nocą, pustyń o ziemi płowej i gliniastej, pokrytej z rzadka żółtą trawą, otulonych płaszczem wiecznej mgły niby tumanem delikatnego kurzu; przez kraj wydm czerwono-żółtego piasku otaczających słone jeziora, porośniętych u podnóża kępami karłowatych drzew. Miesiącami tak jechał nie przestając bić się z myślami: czy słusznie robi? Nie docenił przestrzeni. Kiedy wyruszył, wydawało mu się, że jedzie do sąsiada, któremu chce ofiarować sojusz, jak jeździł do Kildż-Arslana, by go zjednać przeciwko sułtanowi Damaszku, lub do Jussufa, gdy chciał,

by go ten wsparł w walce z Seldżukami. Ale tutaj przestrzeń pochłonęła go, podobna oceanowi, który połyka rzeczną rybę. Czymże było całe wybrzeże Morza Śródziemnego wobec tych przestrzeni bez końca? Jechał i jechał, ciągle dalej, coraz bardziej upokorzony, coraz mocniej świadomy, że porwał się na czyn przerastający go swą wagą. Lecz mimo to jechał. Nie zawrócił znad brzegów Irtyżu, z przełęczy Altaju, ze stepów najmańskich. Dojechał — i wypowiedział swoją sprawę w skromnym, żołnierskim namiocie wielkiego chana. Nie kazano mu padać na twarz. Ale nie chciałby, aby jego syn musiał kiedykolwiek podejmować tak straszne przedsięwzięcie. Więcej nawet: nie chciałby, aby Lewon miał być odpowiedzialny za to, co jego ojciec zrobił. Ta myśl umacniała się w nim w czasie drogi powrotnej. „Gest, który podejmuje, jest wielki, brzemienisty w następstwie, może błogosławiony, ale jeśli zawiedzie, ja tylko chcę ponosić całą odpowiedzialność za niego — myślał. Ojciec złożył zbyt wielki ciężar na moje barki. Nie chcę, aby mój syn wstępował na tron z nowym, jeszcze większym brzemieniem. Wyrosłem ponad dziedzictwo Lewona Wielkiego, ponad schedę dwóchsetnej walki Rupenów o wolność, ale zapłaciłem za to drogo, nie chcę, aby mój syn musiał rosnąć dalej. Chrześcijaństwo, jeśli je Mongołowie ocala, będzie zabezpieczone na kilka pokoleń. Królestwo Armeńskie, z którego wyszła myśl ocalenia, umocni swój byt”.

Lecz czy już można powiedzieć, że gest nie zawiódł? Prawda, że Damaszek, który niegdyś oparł się zespolonym wysiłkom królów: francuskiego i niemieckiego, otworzył swoje bramy z samego łęku przed strasznymi przybyszami. A gdy ruszą, za trzy, cztery dni mogą stanąć pod murami Jerozolimy. Czy i wówczas nie potwierdzi mu nikt jego przekonania, że jest to wielki triumf. Czy i wówczas nikt mu z bark nie zdejmie niepokoju, że zrobił rzecz złą?

— O czymże się tak zamyśliłeś, teściu? — zapytał Julian. Siadł na ośmiokątnym hebanowym stołku, jakby na koniu, z szeroko rozstawionymi nogami; gładził palcem jego powierzchnię, wykładaną perłową masą. — Wcale piękna sztuka — śmiał się — bagdadzka robota. Widzę, teściu, że to niezły interes, taka wyprawa z Tartarami. Zostaję z tobą. Chyba nawet poślę po tych pątników z Europy, co przyjechali razem z rycerzami teutońskimi. Chłopy, jak się zdaje, bitne, a że niezbyt rozgarnięci, może uda się im wytłumaczyć, że Tartarzy tutejsi są inni niż ci, którzy zniszczyli ich kraj. Pątnikom z Europy wszystko można wmówić: Sam widziałem, jak templariusze pokazują im w Wielkim Tygodniu czarę z Krwią Chrystusa Pana, a tamci beczą z za-

chwytu, niczym zarzynane prosięta. Teraz Bérard sprzedał tę Krew za grube pieniądze Henrykowi angielskiemu.

Tak wielka była jego niechęć do Juliana, że usłyszane słowa tym bardziej umacniały go w wątpliwościach. Dobra sprawa nie może zyskać uznania w oczach takich ludzi jak Julian! Nie ma nic wielkiego, tam gdzie pan z Sydonu węszy korzystny interes. Mocno, zawzięcie zaciął usta i nic nie powiedział.

— Nie jesteś zbyt rozmowny, teściu — stwierdził Julian. Zmrużył ironicznie oczy. — Wiem, że ze mną nie chcesz mówić o tym, co ciebie dręczy. Licho wie, dla kogo chowasz swoje tajemnice. Bądź zdrow. Idę do Bohemunda. — Powstał, obciągnął kusy kaftan, nałożył na głowę kapelusz z piórem. Wyszedł z namiotu krokiem jednocześnie leniwym i zawadiackim.

8

Karawana ciągnęła spokojnie drogą. Najpierw szły wielbłądy, kołysząc obwisłymi szyjami, potem dwa sznury osłów, dźwigających wielkie paki, wreszcie toczył się nakryty budą wóz. Jadącym kupcom towarzyszył mongolski żołnierz z jedwabnym jarłykiem zawieszonym na pice, na którym była pieczęć chana i napis zezwalający na wjazd karawany na teren zajęty przez armię mongolską. Hettum zjechał z drogi i ze wzgórza patrzył na jadących. Dwa wspaniałe szare psy tybetańskie — dar Kitbuki — kręciły się obok konia.

Kupcy szli za karawaną tocząc ze sobą ożywioną rozmowę. Za nimi o parę kroków szła dziewczyna. Słońce świeciło jej w twarz, lecz ona, jakby nie obawiając się jego promieni, trzymała głowę podniesioną w górę. Hettumowi wydało się, że gdzieś już widział te spokojne, dziecinne rysy. Odruchowo pochylił się na siodle patrząc na nią, jednocześnie szukał w pamięci. Poczula na sobie jego wzrok, odwróciła głowę i uśmiechnęła się. Skreśliła ku niemu. Była ubrana jak mahometanka w fałdziste spodnie, ale na piersiach miała zawieszony duży grecki krzyż.

Stanęła obok konia. Psy obwąchały ją, ale ponieważ nie okazywała lęku, odeszły bez zainteresowania. Skłoniła się. Powiedziała po grecku:

— Witajcie, panie. Dzięki św. Symeonowi, że spotykam was i mogę wam podziękować.

— Podziękować? — zdziwił się. — Kto ty jesteś?

— Nazywam się Zoe, jestem córką kupca Brochamiosa z Aleppo. Ocaliście mnie, panie, gdy Tartarzy napadli na nasz kościół.

— Ach, więc to ty tam byłaś? Twoja twarz wydała mi się od razu znajoma. Cieszę się, że żyjesz.

— Żyję dzięki tobie, panie. — Zbliżyła się i prędko dotknęła ustami jego ręki. Pochyliwszy się z konia pogładził dziewczynę po głowie. Pomyślał, że jest starsza niż jego młodsze córki: Rita i Maria.

— Biegnij za swoimi — powiedział — patrz, jak się oddalili.

Poruszyła lekceważąco dłonią.

— Nie ujadą daleko. Mamy się zatrzymać w mieście. Ojciec i stryjowie chcą wymieniać towary.

— A potem wracacie?

— Nie, potem chcemy jechać na południe. Jeśli Tartarzy puszcza...

Spojrzała pytająco. Hettum wzruszył ramionami. Nie wydawało mu się to możliwe, aby Mongołowie pozwolili karawanie jechać za al-Arish na teren sułtanatu Kutuza, wtedy gdy lada chwila podejmą w tamtym kierunku uderzenie. Ale chan i Kitbuka mieli czasami pomysły, których nie rozumiał. Ostatnio np. Hulagu rozmawiał wiele z Grekami i kilka razy wzywał do swego namiotu Eutymiusza, usuniętego jeszcze przez Bohemunda V, greckiego patriarchę Antiochii, który teraz niespodziewanie pojawił się w obozie mongolskim.

— Nie wiem — powiedział widząc, że czeka na jego odpowiedź. — Kto wie, czy nie będzie wojny.

— Z sułtanem Egiptu?

— Być może.

— Ty przecież, panie, wiesz wszystko. To ty, mówią, sprowadziłeś tutaj Tartarów.

Roześmiał się.

— Kto ci o tym powiedział?

— Wszyscy o tym mówią. Mój ojciec, jego bracia, kupcy greccy, syryjscy, armeńscy. Armeńczycy z Aleppo dziwili się nawet, że ty, panie, broniłeś naszego kościoła. Oni nas nie lubią. Jeszcze więcej niż Saraceni.

Słuchając tego paplania patrzył z góry na jej twarz. Miała delikatne rysy, nos niewielki, z lekka spiczasty, górną wargę podniesioną, jakby zrosniętą

i podciągnięta w górę przez osadę nosa. Zielonkawobure oczy patrzyły prosto i śmiało. Zwrócił uwagę na jej dłonie: drobne, lecz mocne, pełne spokoju, nie miotające się w gwałtownej gestykulacji. „Zabel zresztą — myślał — ma także dłonie spokojne; zbyt może nawet spokojne; niechętnie dotknęciu”.

— Gdzie się zatrzymujecie?

— Na bazarze — odpowiedziała. — Mamy dużo towaru.

— Przybywacie prosto z Aleppo?

— Tak.

— A nie baliście się puszczać w drogę w czas wojny?

— O, nie — powiedziała. — Teraz, kiedy Mongołowie pilnują dróg, można po nich wędrować bezpiecznie. Nawet Beduini boją się zaczepiać.

Karawana znikła w bramie miejskiej. Zostali oboje sami na opustoszałej drodze. Z lewej strony ciągnął się brzeg leniwie płynącej Barady porośniętej zielonością. Z przeciwnej rozpoczynało się poprzedzielane niskimi murami pasmo ogrodów, prawdziwy las krzewów winnych, drzew oliwnych, palm, pomarańczy, cytryn, ciągnący się aż do Dareja. Takie same ogrody, wybujałe na rozlewisku Barady i Tory, otaczały miasto od wschodu. Białe skupisko domów zdawało się tonać w masie zieloności.

— Chodź — powiedział — podprowadzę cię do bramy.

Zeskoczył z konia. Ogier szedł za nim posłusznie w cieniu drzew, tylko raz po raz podnosił głowę i chwycił pyskiem liście. Psy biegły przodem strasząc ludzi pracujących między krzewami. Hettum wyjechał dziś z obozu dla rozrywki. Nudził się. Spodziewał się, że ruszą na Jerozolimę, a tymczasem Mongołowie z niezrozumiałych powodów przedłużali swój postój pod Damaszkiem. Pojedyncze minggany, a także mniejsze oddziały przetrząsały kraj, nie spotykając nigdzie oporu. Tartarzy zajęli Baalbek, Paneas i Subaidę, przeszli przez Samarię, wtargnęli do Napluzy. Kuszług, wódz jednego z tumanów Kitbuki, dotarł ze swoimi aż do Gazy — która leżała już na ziemiach sułtanatu egipskiego. Inny z wodzów pewnego dnia przyprowadził do obozu schwytanego koło Belke sułtana Damaszku, al-Nasir Jussufa. Przerażony prawnuk Saladyna, który uciekając wpadł w ręce Kurdów i przez nich został wydany Mongołom, sądził, że wybiła już jego ostatnia godzina. Tymczasem Hulagu najnieoczekiwaniej przyjął go łaskawie i pozostawił na wolności. To sprawiło, że w namiocie Hettuma doszło do hałaśliwej kłótni między panem Sydonu a sułtanem. „Na Allacha! — krzyczał Jussuf — oddaj mi moje pieniądze! Oszukałeś mnie! Dziś, gdy wszystko straciłem...” „Szyi

nie straciłeś— drwił Julian. — A zresztą — przybrał ton chłodny, odpychający — nie jesteś sojusznikiem chana. Jesteś zwyciężonym wrogiem, któremu darowano życie. Co straciłeś — straciłeś słusznie. Nie ma zwycięzcy, który by zrezygnował z łupu.” „Co? co? — pinił się Jussuf. — Ty tak do mnie mówisz? Ty? Zawsze opowiadałeś, że jesteś moim przyjacielem! Ty także nie jesteś sojusznikiem chana!” „Nie jestem? Przekonasz się o tym.”

Poza tym żołnierze mongolscy pilnowali, aby we wszystkich miastach rozwalane były fortece i mury obronne. To było słuszne — sądził Hettum — chan widać nie chce, aby po rozpoczęciu wyprawy pozostały na tyłach jakieś gniazda oporu. Wreszcie kazano wojsku robić przygotowania do drogi: suszyć mięso, reperować broń, siodła i odzież. Hettumowi wydawało się to zbyt ostrożnością. „Po co to wszystko? — pytał Kitbuki. — Idziemy przecież do kraju, który nas będzie karmił.” „Tak chan kazał” — odpowiadał nojon.

Listu z Sis nie było ciągle, Acre — po wysłaniu Juliana — milczało. Wśród pełnych woni ogrodów Damaszku ogarniał Hettuma smutek i tęsknota każdego dnia większa. Sam, w towarzystwie tylko swoich psów, włóczył się wokół miasta, patrzył na wjeżdżające i wyjeżdżające karawany, na wędrujących ludzi. Myślał często o Zabel. Ani nie przyjeżdża, ani nie pisze... Czyżby nic jej nie mówiło zniszczenie sułtanatu Jussufa? Ciągle odradzała się w nim nadzieja, że jednak Zabel potrafi w końcu zrozumieć jego dzieło. Pamiętał tak dobrze ich noc poślubną. W półmroku wielkiej komnaty leżała obok niego milcząc. Pochylił się nad nią i powiedział: „Zabel, ja naprawdę nie chciałem, naprawdę... Ale przysięgam ci... nie będziesz żałowała.” Urwał stropiony jej śmiechem, suchym, bez krzty wesołości. Odsunął się pełen żalu, że tak źle zrozumiała jego słowa. Potem śmiech się urwał i Hettum usłyszał: „Czemu się tak tłumaczysz, jakbyś nie był mężczyzną? Mężczyźni cieszą się, gdy widzą, że ich czeka walka. Zdobyłeś mnie i już od ciebie nie ucieknę. Ale pamiętaj tylko tyle: nigdy nie dorośniesz do wielkości mego ojca!” Znowu zachichotała w ciemnościach złym, odpychającym śmiechem. „Ojca koronował legat papieża i cesarza zachodniego” — dorzuciła z dumą. To zapamiętał: legat papieża i cesarza. Przesunął się na sam brzeg posłania. „A jednak przekonam cię...” — zapewnił cicho, lecz stanowczo po długiej chwili milczenia. Nie odpowiedziała. Leżał bezsennie patrząc w rozpinające się nad nim łukami sklepienie, oświetlane raz po raz cichymi błyskawicami. Za oknami z grubych gałek szklanych szumiał wiatr. Ona także nie spała; słyszał jej nierówny oddech koło siebie. A jednak nie powiedziała nic do

niego ani on do niej. Tak trwali do rana. Wówczas dopiero, w mlecznym przedświcie, uświadomił sobie, jak mało stała mu się ona żoną. Obok niego leżała obca dla niego kobieta.

Posłyszał nagle koło siebie śmiech i od razu otrząsnął się z tych wspomnień. Zapomniał zupełnie, że idzie obok tej małej Greczynki. Dziewczyna chichotała przykładając po dziecinnemu dłoń do ust. W pierwszej chwili ogarnęła go złość. Ale to uczucie ustąpiło zaraz. Nawet w tym śmiechu dziewczyna miała tyle wdzięku! Zresztą jej śmiech nie brzmiał złośliwie. Był jakiś przyjazny, budzący ufność. Jakiś czas jeszcze przyglądał się jej uważnie; często odnajdywał w śmiechu ukrytą drwinę. Ale tym razem nie było jej na pewno. Roześmiał się także.

— Zamyśliłem się — powiedział.

Pod nisko zwisającymi gałęziami panował miły cień. Dalekie głosy ludzkie dochodziły spoza zieloności niby spokojne brzęczenie pszczół.

— O czym? — zapytała podnosząc na niego wzrok. — O Tartarach?

Popatrzył w jej oczy. Znowu chciał być pewny, czy na dnie jej pytania nie kryje się nieprzyjemna myśl. A może to tylko wdzięczność się? Wobec zaczepek kobiet zdarzało mu się nieraz być bezradnym. Właściwie — nauczył się przyjmować wszystko tak okropnie poważnie.

— O Tartarach — rzekł — i o różnych innych rzeczach... Cóżś taka ciekawa, moja mała?

Zerwała liść i tarła go w palcach.

— Ciekawe jest wiedzieć — powiedziała — co myśli człowiek jak wy...

— Ciekawe są myśli każdego człowieka.

— Nie — zaprzeczyła — ale wasze, panie, ciekawe...

— Moje? Cóż ty wiesz o mnie? Dlaczego właśnie moje?

— Jesteście inni... — powiedziała cicho, spuszczać wzrok.

„Wdzięczy się!” — pomyślał gniewnie. Nagle poczuł w sercu głęboki żal i niechęć. Nie rozumiał swych uczuć, nie wiedział, dlaczego go drażnią słowa dziewczyny. Brama wyrosła przed nimi, wąska, ciemna, pod półkolistym, wykładanym kolorowymi kamieniami łukiem. Paru żebraków z głowami nakrytymi płachtami siedziało w słonecznym żarze i jęczało żałośnie: „Bakczysz! Bakczysz!” Chudy osioł przywiązany do palika smagał ogonem po zapadniętych bokach odpędzając obsiadające go muchy.

— Bądź zdrowa — powiedział. Odwrócił się do konia. Przerzucił wodze w tył, oparł dłoń na łęku. Wydało mu się, że jej głos zdrzął, gdy odrzekła:

— Bądź zdrow, panie! — Siedział już na koniu, gdy zapytała: — Czy nie zechcesz, panie, odwiedzić kiedy naszego sklepu na bazarze? Mamy piękne towary.

— Może zajdę — rzekł. Był jednak przekonany, że nie pójdzie. Nacisnął wierzchowca, koń wyskoczył gwałtownym szczupakiem. Pogałopował w zieleń gajów palmowych. Psy biegły przodem szczekając hałaśliwie, nisko zwisające gałęzie uderzały go po głowie i zmuszały do pochylania się na siodle. Zanim zwolnił, skończył się cień drzew i Hettum wyjechał znowu na rozżarzoną słońcem przestrzeń. Pomiędzy ogrody okalające miasto, długim językiem aż pod same mury wślizgiwała się od południa płowa pustynia, pofałdowana, podobna zamarłemu pod księżycem morzu. Tędy prowadził jakiś szlak, bo na zarzuconej kamieniami równinie widać było ślady nóg ludzkich i wielbłądzych. O kilkadziesiąt kroków przed sobą zobaczył samotną, ciemno ubraną figurkę ludzką, pochyloną, jakby człowiek, nie bacząc na upał, czegoś szukał na rozpalonej glinie. Hettum skierował konia w jego stronę. Poznał tamtego od razu. Bosonogi franciszkanin stał wpatrzony w ziemię, ze złożonymi jak do modlitwy rękami. Jego łysą głowę nakrywał wielki liść, spod którego widać było bulwiasty nos i pokryte twardą szczecinią policzki. Hettum zatrzymał konia. Zapytał:

— Cóżes tu na ziemi wypatrzył, bracie Wilfrydzie?

Zakonnik podniósł wzrok spod liścia. Miał oczy szare, koloru dalekiego, północnego morza.

— Ach, to wy, królu — powiedział, jakby go zaskoczyło pojawienie się Hettuma. Potem uśmiechnął się podobnie jak dziecko, które pełne jest niekończącego się zdumienia wobec spraw świata. — To tu — powiedział pokazując palcem ziemię — tu — powtórzył. Widząc zdziwiony wzrok Hettuma wyjaśnił: — Tu na Szawła spadł piorun z nieba, a on stał się Pawłem.

9

— No, więc po coś tu przyjechał?

Julian siedział rozwalony na miękkim tobole obwiązany w rogożę i leniwie dłubał w zębach. Rozrosła figa, o którą opierał się plecami, rzucała na niego cień. Ten, do którego się zwracał, był człowiekiem ogromnej po-

stawy. Wspaniały olbrzym o szerokich barach ubrany był nędznie, jak zwykły rzemieślnik lub jak sługa niezbyt hojnego pana. Przykucnąwszy na ziemi rozplątywał sznury innego tobołu. Miał na głowie turban, pod nim zaś na twarzy złotą opaleniznę. Na niej odcinały się jasne półkola brwi i błękitne oczy.

Przyciskając kolanem, nad którym przeżył się potężny muskuł uda, rulon rozwijającej się materii, podniósł oczy na Juliana. Błysnął zębami.

— Lubię — powiedział — widzieć sam. — Bez trudu posługiwał się językiem Franków. — Ale ty — dodał po chwili podnosząc ostrzegawczo palec — masz milczeć. Rozumiesz? Gdybyś się ośmielił pisać...

— Po co mi grozisz?! — oburzył się Julian. — Jestem rycerzem, nie boję się żadnych pogrózek.

Tamten nie przestając z rozmachem odplątywać sznura, jakby z lekką drwiną popatrzył na pana Sydonu.

— Słusznie — przyznał. — Ale jesteś moim przyjacielem i... chyba nie zależy ci na tym, bym wpadł w tartarskie ręce. Nie moglibyśmy już nigdy potem handlować ze sobą ani rozmawiać.

Julian zaśmiał się.

— Istotnie. Wszystko by się stało niemożliwie nudne, gdyby nie to złoto, które mogę zdobyć, i gdyby nie mądre rozmowy. Znasz mnie chyba? Jak mówi Koran: gdy rycerz pełen bohaterskiej sławy odejdzie między aniołów Nakira i Mukira, czekają tam na niego pieśni, hurysy i złoto.

Człowiek rozwiązujący toból wzruszył pogardliwie ramionami.

— O Koranie i o aniołach pomów z imamami, nie ze mną! — Wyciągnął długi kawał sznura i ze świstem rzucił go za siebie. — Nie jestem Saladynem, abyś mnie miał na to nabrać! O interesach — to co innego. O nich możemy mówić. Kto wie, czy nie miałbym nawet dla ciebie okazji dobrego łupu.

— Jeżeli jest to okazja, z której mogę skorzystać...

— Tylko takie proponuję chrześcijanom.

— Więc, o co idzie?

— Dziś ci jeszcze nie powiem. Ale pamiętaj — twoje milczenie...

— Dobrze, dobrze. Ha, ha, ha! — Julian począł się śmiać uderzając się raz po raz po brzuchu. — Tartarzy daliby ci pieprzu, gdyby się dowiedzieli,

że tu jesteś. Ha, ha, ha! Ale masz tupet no, no. Wleźć między nich... — pokręcił głową.

— Nie gadaj tak dużo — burknął tamten. — Jeszcze kto usłyszy. — Rozejrzał się. — A ty po co tu jesteś? Przyjechałeś wspierać teścia?

— Przyjechałem, bo nasi w Acre chcieli wiedzieć, co się tu naprawdę dzieje. Ty przecież także przysyłałeś do mnie po nowiny. A wspierać teścia będę, czemu nie? Pokazuje się, że on ma całkiem niezłe w głowie. Popatrz tylko: zerznęli skórę Jussufowi, że trudno lepiej.

— Ale Jussuf jest znowu tutaj.

— Jest i wyobraź sobie, ten śmierdzący chan obiecał mu, że go na nowo posadzi na tronie w Damaszku, skoro tylko skończy z wami. Ładne rzeczy!

— Więc mają się wziąć do nas?

— Tak gadają. Wtedy byście dostali!

Kłęczący na ziemi olbrzym znowu cisnął za siebie sznurem, jakby sma-gnął biczem.

— Ci wasi Mongołowie — powiedział trochę przez zęby — to jedną ręką biją, a drugą głaszczą.

— I tylko nigdy nie wiadomo, kiedy będą bić, a kiedy głaszać.

— W każdym razie dziś głaszczą twego teścia, króla Hettuma, twego szwagra, księcia Antiochii, twego przyjaciela, sułtana Jussufa...

— Chcesz powiedzieć: wszystkich, tylko nie mnie? Głaszczą i nie głaszczą. Bohemundowi kazali sprowadzić z powrotem do Antiochii patriarchę greckiego. No, a kiedy nojon Bajdu ze swoimi pojechał na ziemie księstwa, działy się tam dziwne rzeczy: wiele wsi poszło z dymem, a masę kobiet doświadczyło, co to są pieszczoty Tartarów. Teraz tam ani pojechać — wszystkie będą pachniały starymi baranami!

— Pisałeś o tym do Acre?

— Pewnie! Taki temat! Odmalowałem im ten najazd wybawicieli, jak-bym wszystko widział na własne oczy. Nasi panowie będą mieli o czym gadać, a nasze panie — czego zazdrościć.

— A cóż teraz Mongołowie?

— Jak to co? Ach, widzę, że się już zaczynasz niepokoić o swoją skórę. Pójdą, pójdą na Egipt, kochaneczku. Dadzą wam bobu. Już tam Hettum wy-wierca o to chanowi dziurę w brzuchu.

Człowiek zatrzymał się w swej robocie. Gniewnie zagryzł wargę.

— Na szejtana! — zaklął cicho. — Ten człowiek wie, czego chce. Nie dla zabawy sprowadził tutaj tych Tartarów.

— Myślisz? — z drwiącym powątpiewaniem zapytał Julian.

— Na pewno — stanowczo potwierdził tamten. — On nie jest jak wy. On... — teraz patrzył złośliwie na pana Sydonu — on dziś chce Tartarami zwyciężyć Islam. Ale jeśli mu się to uda, zobaczysz, z tartarską pomocą popędzi was z powrotem do Europy! Jestem przekonany, że chce tu, na Wschodzie, zbudować wielkie królestwo. To rozumiem. Ale właśnie dlatego...

— Mówisz, że weźmie się do nas? Ech! Zdaje ci się. Ci Armeńczycy leżą przed nami plackiem. Powiedz któremu z nich, że przypomina Franka, to się nadmie jak indyk. Taki dumny z pochwały. Ale jeśli cię Hettum złości, to przecież masz na to sposób. Poślij tylko do szejka al-Jebal.

— Dziękuję ci za radę. Już to wy, chrześcijanie, umiecie, jak widzę, szukać sposobów! Ale ja nie mam zwyczaju usuwać przeciwnika takiego jak Hettum nożem Haszyszydów. Zresztą tamtych zdjął teraz także strach przed Tartarami. Słyszałeś przecie, że Hulagu wydusił ich w Alamut. Ci, przed którymi drżał cały Islam, trzęsą się teraz razem z innymi. Ach! — zawołał z niezrozumiałą gwałtownością — chwilami myślę — zacisnął pięści — że inaczej powinienem postępować! Ale nie, nie, nie! Warto być pierwszym, nigdy drugim. Wszystko lepsze... — Niespodziewanie zerwał się z miejsca. Drapieżnym skokiem dopadł pana Sydonu. — Wstań! — syknął. Julian zerwał się z miejsca. Zbladł. Porwał za rękojeść noża, który mu wisiał przy pasie.

— Coś ty? Czego chcesz? Co cię ukąsiło?

— Nic — burknął. Gwałtowność w głosie opadła, jak opada morze po przejściu fali. — Muszę rozwiązać tę pękę. — Jedną ręką podniósł tłumok, na którym siedział Julian, i wyciągnął go z cienia na słońce. Porywczco wziął się do roboty. Julian oparty o pień figi, z ręką na nożu, patrzył na niego czas jakiś w milczeniu.

— Jesteś zupełnie szalony — powiedział wreszcie kiwając pogardliwie głową. — Już myślałem, że chcesz mnie zabić.

— Przyjdzie na to czas — mruknął olbrzym, targając węzeł opasującego tłumok sznura.

— Do licha — zauważył Julian — nie jesteś przyjemny. Z sułtanami dawniej milej było gadać. Barbarzyńca... — powiedział z pogardą patrząc

na człowieka, który z jakąś pasją szarpał sznury. — Co będę z tobą gadał! — przemawiał do siebie, bo tamten zdawał się nie zwracać uwagi na jego słowa. — No, już pójdę. Dzikus! — rzucił jeszcze ze złością. — Ale, ale — zatrzymał się. — Słuchaj, ty... — podszedł do olbrzyma i pochylony nad nim zapytał: — A ten interes, co mówiłeś? Stoi?

— Stoi. Powiem ci o nim w swoim czasie — odburknął przez zęby zapytany.

— No, to pamiętaj...

Przeciągnął się leniwie i wolnym krokiem wyszedł z podwórka, na którym rozmawiali. Hałaśliwa ulica miasta toczyła się przed nim gęstą falą ludzi, wrzaskiem przepychających się, nawoływaniem sprzedawców, brzękiem oślich dzwonek. Julian z przyjemnością zanurzył się w ten nurt. Lubił tak chodzić wypatrując w tłoku ładne dziewczęta i zatrzymując się przed straganami. Stał przed koszem z daktylami. Ciemna, prawie czarna na twarzy Arabka zachwalała ich słodycz: „Tylko spróbuj, panie, tylko spróbuj.” Obok przystanęli dwaj mali żołnierze mongolscy. Zdawali się namyślać, czy kupić owoce. Julian poczuwszy zapach ich kaftanów ruszył dalej. Arabka krzyczała za nim: „Kup, panie, kup! Słodkie daktyle... Tylko spróbuj!” Gdzieś niedaleko rozległo się bicie dzwonu. Ludzie podnosili głowy na ten dźwięk. Widać było wściekłość na twarzach mahometan. „Aha — przypomniał sobie Julian — to ten meczet, który Hettum z Kitbuką zamienili na kościół...”

10

Hettum chodził po swoim namiocie wymachując gniewnie długim kawałkiem rzemienia. Był zniecierpliwiony i coraz bardziej zły. Tygodnie upływały za tygodniami, a wojska wciąż stały po staremu pod Damaszkiem. Najgorsze przypuszczenia poczęły wyrastać w myślach Hettuma. Był zawsze człowiekiem wyobraźni. Tartarzy coś postanowili, lecz to coś ukrywają przed nim. Nie chcą iść zdobywać Jeruzolimy... Niechęć pogłębiała się. Po prostu unikał Kitbuki. „A gdyby tak — przychodziło mu coraz częściej do głowy — pewnego dnia zabrać swoich i odjechać? Niech sobie Tartarzy robią potem, co się im żywnie podoba! Niech nawet napadną na Acre! Dlaczego nikt stamtąd nie przyjechał? Gdyby tu było całe rycerstwo syryjskie, nie Hulagu, ale oni decydowaliby, czy mają stać, czy walczyć.

Z nim Tartarzy się nie liczą. Uważają go za swego wasala, któremu nawet nie warto mówić o planach wojennych!” Znowu czuł, jak palące żądło dotyka jego serca: Tak było w nim zawsze: ilekroć ofiarowując miłość doświadczył zawodu, jego gotowe na wszystko uczucia przesiąkały gniewem, że sam już nie umiał powiedzieć — kocha jeszcze, czy tylko nienawidzi.

Tam i z powrotem, tam i z powrotem spacerował po namiocie. Znajdował się właśnie plecami do wejścia, gdy usłyszał za sobą ciche kroki. Zatrzymał się gwałtownie i odwrócił. Chciał wybuchnąć gniewem myśląc, że to ktoś ze służby. Ale zobaczył przed sobą Wilfryda. Pohamował się. Smagnął się tylko rzemieniem przez plecy.

— To ty, bracie? — powiedział. — Nie widziałem cię od paru dni. Gdzie tak znikasz?

Wilfryd zatrzymał się i powoli zsuwał z głowy kaptur. Nie usiadł. Zwykł był spędzać długie chwile w pozycji stojącej, mówiąc lub słuchając. Przypominał wtedy bociana czyhającego na żaby. Rzeczywiście nie było go ostatnio w obozie. Myszkował po Damaszku, spotykał się z chrześcijanami różnych wyznań, przesiadywał w zamienionej przed stuleciami na meczet starej greckiej bazylice Theotokos, która teraz stała się na powrót kościołem. Kitbuka oddał go chrześcijanom różnych wyznań na wspólną własność. „Pamiętasz, anda — powiedział do Hettuma — cośmy mówili, że obecnie walczymy, a dopiero po zwycięstwie będziemy się zastanawiali, która wiara najlepsza. Teraz trzeba tylko, by wszyscy mogli czcić I-sę.”

— Tak, to prawda — uśmiechał się Wilfryd. — Ciągnie mnie nowe... — powiedział, jakby przyznawał się do winy. — Nie lubię miasta ani obozów. Najmilsza jest droga, byle dalej. Czy byłem ci potrzebny, tagawor?

— Nie — mruknął podejmując swoją wędrówkę po namiocie — nie... — A przecież nie pragnął, aby franciszkanin sobie poszedł. Tylko ten mały mnich, przed którym otwierał sumienie, mógł mu jeszcze coś pomóc. Nagle zatrzymał się przed nim. — Słuchaj, Wilfrydzie — powiedział porywczo, jakby od razu chciał zrzucić z siebie ten ciężar nie do utrzymania — ja dłużej nie wytrzymam...

— Z czym, tagawor? — zakonnik podniósł głowę i utkwiał w Hettumie spojrzenie swych szarych oczu.

— Z nimi! Z Tartarami! — wybuchnął. — Odjadę!

— Wtedy także chciałeś odjechać — zauważył.

W jakimś zaułku Karrakorum spotkali się po raz pierwszy. Hettum miał

następnego dnia rozmawiać z Mongką, więc pełen podniecenia i niepokoju błąkał się bez celu po mieście. Było to olbrzymie skupisko glinianych domków, szałasów, bud, namiotów, a między tym wszystkim pałaców o ścianach z różnobarwnej laki. Wąskie ulice ujęte płotami pełne były czerwonego pyłu i błota. Krzykliwa masa ludzka przewalała się środkiem wśród gardłowych wrzasków i ciągłego klaskania nieodstępnych taszurów. Włókł się zaciskając zęby, porażony tym samym co w tej chwili pragnieniem, by porwać się i uciec w rodzinne góry. Gdy przechodził przed jakąś budą, usłyszał niespodziewanie obok siebie: „Niech Pan nasz, Jezus Chrystus i Jego Matka Przenajświętsza, Niepokalana Maryja, strzegą cię rycerzu...” Odwrócił się zdumiony, że usłyszał frankońskie słowa. Niemłody mnich stał przed wejściem do budy i zapraszał go gestem jak wędrowny kramarz. „Ktoś ty?” — zapytał. — „Brat mniejszy” — odpowiedział tamten. — „I co tutaj robisz?” — Wilfryd zaśmiał się swobodnie, jakby był chłopcem. — „Łowię” — rzekł.

Tego wieczoru rozmawiali długo. Początkowo przed budą, która okazała się kościołem nestoriańskim. Hettum wszedł do środka i nie bez zdumienia oglądał wśród niezdatnych malowideł tubylczych piękną rzeźbę Matki Boskiej. „Któż to zrobił?” — zapytał zdziwiony mnicha. — „Mamy tutaj mistrza złotnika — objaśniał Wilfryd — nazywa się Wilhelm i pochodzi z Paryża. Pracuje na dworze wielkiego chana. Dziwi cię to, panie? Są tu i inni, którzy przybyli z Europy. Jest żona Wilhelma, Paquette, jest mistrz budowniczy, Iwan, Rus z miasta Moskwy, jest kupiec Bazyli, który pochodzi z Anglii, a przybył tu z Węgier... Kręcą się tu także kupcy italscy”.

Poczuł się zawiedziony. Więc nie on pierwszy tu dotarł? — „Słuchaj, bracie — powiedział — nie spodziewałem się zastać tutaj chrześcijan. Czy uzyskali oni wiele od chana?” — Pogodny uśmiech franciszkanina utracił nieco ze swej promienności. — „Nie wiem, co masz na myśli panie — rzekł. — Jeżeli chodzi ci o korzyści, wszyscy ci, którzy służą chanowi, nie narzekają na brak jego szczodroblewości. Ale żaden z nich nie zdobył chana dla sprawy największej...” — „O czym ty teraz myślisz?” — zapytał. Wyłamując palce i poruszając swą niekształtną łysą głową począł mówić: — „Widzisz, panie, świat nie kończy się na Portugalii, Rusi i Bizancjum. Za tamtym światem jest inny, jeszcze większy. Wiele miesięcy jechałeś tutaj, prawda? A przecież nie doszedłeś jeszcze do końca. Tam dalej — machnął ręką w stronę przeciwną niż ta, w której za mgłą pyłu zachodziło czerwone słońce — żyją ludy Kin, Song i wiele, wiele innych na ładach i na wyspach. Tysiące tysięcy ludzi. Czy nie wydaje ci się straszne, że żyją oni nie usłyszawszy nic o praw-

dziwym Bogu? Tutejsi nestorianie niewiele o Nim wiedzą. Tyle, że Pana Jego własnym Imieniem umieją nazwać. Kiedyś Apostołowie wędrowali w tę stronę. Św. Tomasz Niewierny spoczywa gdzieś tam nad morzem, w ziemi Indów. Ale to wszystko są dawne historie. Od dziesiątków lat przestaliśmy wędrować na wschód. I dlatego — cofamy się. Saraceni porywają ziemie cesarza Bizancjum i Królestwa Jerozolimskiego. A tymczasem ludzie tutaj czekają, czekają na próżno... Co będzie, jeśli nie zechcą dłużej czekać?”

Wracali z nestoriańskiego kościoła do namiotu Hettuma. Noc ogarnęła miasto i leżała na nim niby wenecki puchar odwrócony do góry dnem. Pod wpływem usłyszanych słów Hettum czuł, jak w nim budzą się nieznane, oszałamiające myśli. Nie — nie pamiętał o tych sprawach, gdy tygodniami wędrował przez bezdroża Azji. Jechał tutaj z własnym planem; nagle wydało mu się, że ten plan rozpada się w rękach, by zamienić się w inny, ogromny, przerastający wszystko, o czym kiedykolwiek marzył. „Ten mnich jest szaleńcem — myślał patrząc na małą figurkę idącego obok niego człowieka o głowie jak wypolerowany kamień. — Trzeba by być Aleksandrem...” Przypomniały mu się książki, które czytał jako chłopiec w szkole katedralnej. I nagle pod wpływem tych wszystkich uczuć zażądał od tamtego spowiedzi. Długo klęczał w mroku namiotu odkrywając mu wszystko, co spięrzyło się w nim, a co od lat starał się na próżno z siebie zepchnąć. Mówił nie tylko grzechy: spowiadał się ze swych wątpliwości, niepokojów, trosk.

— Wtedy także chciałeś odjechać — powtórzył franciszkanin.

— Tak — przyznał. — Bałem się rozmowy z wielkim chanem i bałem się, że uczyniłem rzecz złą i grzeszną. Chciałem uciec. Kiedy wyruszyłem, sądziłem, że tylko oni zdołają ocalić chrześcijaństwo. Lecz kiedy dojechałem do Karrakorum, wydało mi się że się omyliłem. Tartarzy nie mogą być obrońcami wiary.

— Lecz pamiętasz, tagawor, do czegośmy wtedy doszli?

Zanim odpowiedział, zrobił kilka kroków w jedną, potem w drugą stronę. Ruchem dłoni rozkręcił ramię, który począł się obracać przecinając ze świstem powietrze.

— Pamiętam, powiedziałeś: „Wiara w Jezusa nie jest nasza. Jest nam dana jak talent z Ewangelii. Nie wolno jej zakopać. Dlaczego Mongołowie nie mieliby być jej wyznawcami? Mają takie samo prawo jak i my! To nasza wina, że jej dotychczas nie poznali. Zawsze gdy ktoś nie wie o dobroci

Jezusa, jest to nasza wina, nas, chrześcijan.” Dobrze zapamiętałem twoje słowa, Wilfrydzie! Zdjęły one wówczas ze mnie ciężar. Zdecydowałem się zostać.

— I dziś także nie wydaje mi się, aby Bóg chciał być wówczas twojej ucieczki, tagawor...

— Tak sądzisz? A przecież gdybym był odjechał, nie byłiby tu przyszli!

— Kto wie... — poruszył głową.

— Ja ich sprowadziłem!

— Nie wyrzucaj sobie tego, tagawor. Nie ty ich sprowadziłeś. Sami tu przybyli. Musieli przyjść. Świat rodzi się na Wschodzie i wciąż wyrzuca nowe ludy, jak źródło wodę. Oni musieli przyjść. — Ściszył głos: — Jak magowie do Betlejemu.

Wzruszył ramionami i uderzył rzemieniem przez plecy.

— Może by i kiedyś przyszli sami. Ale teraz to ja ich sprowadziłem. Ja ich wezwałem, by zwyciężyli Saracenów.

Wilfryd przestąpił z nogi na nogę. Przesunął kłopotliwie dłonią po wypukłym czole.

— Niestety — zauważył gorzko — tylko takich rzeczy umiemy od nich żądać! Czy pamiętasz, tagawor — podjął po dłuższej chwili milczenia — co powiedział Jezus synom Zebedeusza, gdy chcieli wzywać pioruny niebieskie na samarytańskie miasto? Rzekł: „Nie wiecie, czyjego Ducha jesteście.” A my, czy pamiętamy, czyjego Ducha jesteśmy? Chcielibyśmy zawsze zwyciężać naszą prawdą. A potem mamy żal do tamtych, których Duch Św. nie dotknął!

Odwrocił głowę w bok. Hettum widział teraz jego profil: krótki, rozdęty nos i suche usta pomiędzy szczecina zarostu. Kim był ten człowiek? Hettum wiedział o nim bardzo mało, tamten nie opowiadał mu nigdy historii swego życia.

— Dlaczego nie możesz ich znieść, tagawor? — zapytał, znowu kierując na Hettuma wzrok swoich szarych oczu.

— Przecież widzisz, jacy są! — odparł porywczo. — Okrutni, podstępni, bezwzględni. Chwalą się sami, że trawa nie porośnie, gdzie ich koń przeszedł. Przybyli tu jako przyjaciele, jako sojusznicy. Tak mówił Mongka. Ale to były tylko słodkie słowa. Za nimi, jestem tego pewien, kryje się zdrada. Oni coś knują przeciwko nam. Czuję to. Nie wierzę im już! Nie mogę wie-

rzyć! Oburzałem się, gdy nazywano ich diablami. Ale na Grób Święty — to prawda! Są nimi! Wypluło ich piekło!

Urwał zadyszany. Na nowo kilka razy przeszedł tam i z powrotem przez namiot. Potem oplatał dłonie rzemieniem i począł nim targać, jakby był więźniem, który chce zerwać krępujące więzy.

— Czy jednak są inni, tagawor, niż byli wówczas u siebie? — postłyszał.

Przez zaciśnięte zęby rzucił:

— Nie!

— Więc czego od nich oczekiwaleś?

Bez słowa szarpał rzemień, aż jego ręce pokryły się sinymi pręgami.

— Że staną się inni? — podjął zakonnik. — Za dużo od ludzi żądasz, tagawor! I czemu nazywasz ich diablami? Szatan nie zastępuje człowieka — on go tylko namawia. I człowiek sam sobie jest najstraszniejszym wrogiem, gdy walczy i zabija, rozlewa krew, krzywdzi. Lecz ty nie do nich masz urazę, tagawor. Ty przecież wiesz, że mogą być tylko takimi, jakimi uczynił ich step i życie z dala od prawdy. Kto inny ci zawinił.

Zagryzając usta powiedział z wysiłkiem:

— Nie wiem, kto ma słuszość: Tartarzy czy tamci...

— Tylko Chrystus — przerwał mu Wilfyd.

— Na pewno. Ale jak poznać, przez kogo Bóg mówi?

— Bóg może mówić przez każdego. I przez każdego mówi. Słowa Boże słyszy się nieraz w krzyku ludzkim, nawet w bluźnierstwach. Pamiętam... mój ojciec, tagawor, był rycerzem sire Szymona de Montfort. Przybył razem z nim na ziemię Langwedocji, by ją oczyścić z heretyków. Przez długie lata walczyli wspólnie, a gdy Szymon poległ, mój ojciec walczył dalej w poczcie jego syna. Od dzieciństwa nawykłem do oglądania wojen i do zapachu stosów, na których ginęli katarzy. Nie budzili we mnie litości, tak byłem pewny, że cała prawda jest po mojej stronie. Aż pewnego dnia... Pewnego dnia zrozumiałem, że coś z prawdy i oni posiadają. Nie myśl, że chcę bronić ich nauki! Nie, nie! To straszna wiara! Ci nieszczęśliwi wyobrażają sobie, że mogą uczynić coś doskonałego. Drugą wieżę Babel. Ale i my tak przecież myślimy nieraz. I nam się zdaje, że to, co my robimy — Bóg przez nas robi. A i my mamy tylko swoją część prawdy. Czy jest ona duża, czy mała — nie nam sądzić. My powinniśmy pamiętać, że choćby była bar-

dzo duża, jest w nas także coś naszego, tylko naszego. A to, co jest nasze — to...

Urwał. Zamiast mówić dalej, poruszył się, zrobił parę kroków i stanął przed ciężkim krucyfiksem znajdującym się w kącie namiotu na małym stoliku. Krucyfiks ten Hettum dostał od kupców weneckich po zawarciu z nimi umowy o handel w porcie Lajas i odtąd woził go stale ze sobą. W odróżnieniu od krzyżów armeńskich, które były nagie, tutaj na niskim palu, skręcało się w potwornym bólu ciało ludzkie. Wzniesione nad głową ramiona zakończone były otwartymi, rozczapierzonymi dłońmi. Głowa zwisała a pół zakryta opadającymi włosami. Otwarte usta zdawały się wymiotować krzykiem. Wiszący miał tułów przełamany, chude nogi podkurzone jak ktoś, kto umarł w spazmach głodu. Hettum nieraz z niepokojem spoglądał na rozdartą w dramatycznym geście Postać. Wobec tego krzyża trudno było zachować spokój: w miarę jak się na niego patrzyło, rodziło się w człowieku gwałtowne pragnienie, aby Chrystus inaczej, spokojniej wisiał. Ale Wilfryd brał właśnie ten krzyż do odprawiania mszy i zwykł był przed nim długo się modlić. Teraz patrzył na niego jakby z wyrazem ciekawości: można było myśleć, że zobaczył coś, czego przedtem nie widział.

— Nie jesteśmy ani lepsi, ani gorsi — skończył cicho. — Ten prawy gwóźdź przybili obcy, ten lewy — my, chrześcijanie...

Hettum poruszył się niespokojnie.

— Więc dla ciebie każda wojna jest zła? — zapytał. — Lecz przecież... Co by było, gdybyśmy się nie bronili? Saracenowie, Tartarzy zrobiliby z nami, co by chcieli. Mówisz jak ten trubadur-templariusz, którego słyszałem niedawno śpiewającego, że szalony, kto walczy z muzułmanami, gdy Jezus z nimi nie chce walczyć; i kiedy oni zwyciężają wszystkich — On zasnął...

Wilfryd stał dalej naprzeciw krucyfiksu i patrzył na niego. Nie odwracając się powiedział:

Jezus zasnął? Tak może śpiewać tylko trubadur z Prowansji. Nie zasypia się na krzyżu. Pytasz się, tagawor, czy każda wojna jest zła. Ja myślę, że każda. Przecież powiada Pismo: nie zabijaj, a Jezus dodał, że nawet ten, kto się gniewa na drugiego, już bliski jest zabójstwa. Mamy się bronić? Na pewno... Nie wolno zabijać także samego siebie. Ale jak będziemy się bronili?

— Zapomniałeś już spraw rycerskich. Na wojnie trzeba wyjść naprzeciw nieprzyjaciela. Wtedy się go powstrzyma i najpewniej zwycięży.

— Dobrześ powiedział, tagawor. Zwyciężyć wroga — to wyjść mu na przeciw. Z prawdą i miłosierdziem. Zaufać, że pokój jest lepszy niż wojna, nawet gdyby wojna wydawała się jedynym rozwiązaniem. Trzeba się modlić o pokój, nie o wojnę! Nie powinniśmy sądzić, że Bóg tylko mieczem potrafi dochodzić na ziemi swoich praw. Jesteśmy dumni nazywając siebie Krzyżowcami. Ale krucjata — to wojna najtrudniejsza, a najtrudniejszy jest zawsze pokój. Łatwo jest przekonać drugiego o swojej prawdzie, zabijając go. Jezus powiedział: nie przyniosłem pokoju, ale miecz. Ten miecz jednak mierzy w nas samych, nie w drugich. Uderzmy nim śmiało, a pokój Jezusa przyjdzie.

— Uległeś jednak nauce katarów, bracie Wilfrydzie — powiedział. — Przecież to oni podobno nauczają, że walczyć nie wolno.

— Nie byłoby katarów, gdyby chrześcijanie postępowali po chrześcijańsku — odparł ze smutkiem w głosie. Ciągłe był wpatrzony w krzyż. — Tak, tagawor — westchnął — chwalimy się, że walczymy za Niego. A tymczasem krew, którą wylewamy, jest zawsze Jego krwią. Mamy ją na rękach wszyscy.

Hettum zmarszczył czoło. Ogarnął go gniew na tego mnicha, który głosił tak niewykonalne nauki. Nie walczyć nigdy? Nie zabijać? Przecież on właśnie tego chciał. Nic nie miał wspólnego z zabójstwem Filipa. Ojciec nie wtajemniczył go w swoje plany. Działał sam: bez próżnej gadaniny, stanowczo, po męsku. Hettumowi nawet nie przyszło do głowy, że może dojść do śmierci króla. Na tajemnym zebraniu baronów w nocy wykrzykiwano wprawdzie przeciwko Filipowi. Ale wszyscy w Armenii narzekali na frankońskie rządy. Hettum pozostał naiwny. Nie wiedział, do czego zmierza ich postępowanie, nawet wtedy, gdy szli zbrojnie przez korytarze pałacu zabijając po drodze strażę. Wreszcie Konstantyn gwałtownym uderzeniem pięści rozwarł drzwi. Spoza pleców baronów Hettum zobaczył dwie głowy obok siebie, uniesione znad pościeli. Pan z Lampronu brutalnie zerwał z leżących nakrycie. „Bierzcie go” — rozkazał. Ciemne, wielkie łapy baronów spadły na kark Filipa. Ale Zabel wczepiła się z drugiej strony w ciało męża. Nie pamiętała o swej nagości. Krzyczała: „Nie zabierajcie go! Nie! Nie! Proszę was... Słyszycie? Każę wam...” Patrzył na to, co się działo, szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Konstantyn ogarnął wpół kobietę, oderwał ją od męża mocnym szarpnięciem, jak niedojrzałą cytrynę z gałęzi. Potem przed oczami Hettuma mignęła skrzywiona strachem twarz Filipa. Baronowie wyprowadzali go z łożnicy. Zabel pozostała dławiąc się płaczem, z gło-

wą wciśniętą w pościel. Konstantyn położył na ramieniu syna swą ciężką rękę. „Teraz już będziesz królem — powiedział. Otarł policzek, na którym paznokcie Zabel pozostawiły ślad. — Musisz tylko osiodłać tę dziką kotkę”. Zabel szlochała. Po jej smagłych, odkrytych plecach przebiegały dreszcze: łopatki zbiegały się, to znów rozbiegały. Hettum milczał. Cicho wyjąkał: „Ale ojczec, jemu się nic nie stanie...?” Ciężka dłoń kilkakrotnie uniosła się i opadła na ramię chłopca. „Niech cię o nic głowa nie boli. Zostaw wszystko mnie”.

Nigdy, nigdy nie chciał przemocy, gwałtu, rozlewu krwi. Ojciec siłą narzucił mu tę koronę, córkę zmarłego króla, królestwo. Wbrew woli stał się wszystkiemu winien. Ten mnich ma rację — i na jego rękach jest krew. A potem wezwał Tartarów. Nie myślał, że spadną na Syrię niby wszystko pożerająca szarańcza. Nie oczekiwał, że ich przybycie wywoła taki sprzeciw chrześcijan. Teraz jednak za późno się cofać. Trzeba iść dalej, do końca... Konstantyn nie byłby się wahał. Raz tylko wybrałby Tartarów albo ludzi z Acre. Lubił wielkie rozwiązania, a kiedy się zdecydował, nie znał już wahań. To jego krew kazała Hettumowi wędrować przed laty do Karrakorum. Skąd więc dziś ta słabość? „Po kim — myślał z gniewem — mam tę duszę giermka?”

Gwałtownie rzucił się na zydeł. Wilfryd stał jak poprzednio, odwrócony. Ponad jego ramieniem Hettum widział schyloną ku ziemi twarz i naprężoną rękę z dłonią rozwartą niby gwiazda.

— Skoro każdy z nas ma krew na rękach — powiedział chrypliwie — wybór jest prosty. — Uderzył dłonią w stół. Jego oddech był głośny, jak kogoś, kto długo biegł. — Nie można uciec od swego losu...

— Nie! — Wilfryd odwrócił się spiesźnie — nie, tagawor...

— Nie mam wyjścia — mówił Hettum twardo. Ściągnął brwi. — To ja ich sprowadziłem. Nie mogę od tego umyć rąk. — Twarz mu stężała, stała się twarda i nieustępliwa. Gdyby ją zobaczył, nie poznałby siebie. Był teraz naprawdę podobny do starego barona z Lampronu. — Pójdę z nimi. — Zaufam im... Zmuszę się... Lecz jeżeli oni dotrzymają słowa i zwyciężymy.

Zwarł zęby, zacisnął dłonie. W namiocie zrobiła się cisza. Gdzieś z daleka dochodziły krzyki Tartarów i wesołe szczekanie psa. Wilfryd skierował oczy na krzyż. Cicho poruszał ustami. Może się modlił.

Ulice pełne były kolorowego rozkrzyczanego tłumu, który wolno spływał na plac i kłębił się wokół bazaru. Słysząc tu było rozmaite języki. Kupcy zachwalali posiadane towary, wychylali się spoza swych lad i chwytali za poły idących. Targowano się hałaśliwie skacząc sobie do oczu. Nad targowiskiem wisiał przetkany słońcem tuman pyłu podniesionego setkami nóg, w którym niby we mgle miotwały się figurki ludzkie. Można było pomyśleć, że jest się na polu bitwy.

Zaszedł kramy od tyłu. Piętrzyły się tutaj stosy koszów, pak i tobołów, między którymi uwijała się służba. Pierwszy z ludzi zapytany o kupca z Aleppo pokazał mu olbrzymiego Saracena, który leżał z założonymi wysoko nogami, na stercie wiklinowych mat. Poruszając do taktu stopą, na której kiwał się pantofel o zadartym nosie, człowiek gwizdał jakąś melodię. Była ona dźwięczna, szeroka, nieco smutna. Hettum stanął nad wielkim mężczyzną, ten jednak wpatrzony w górę gwizdał dalej. Na dźwięk głosu króla nie zerwał się nagle, ale wolno obrócił głowę, potem spokojnie powstał. Naga jego pierś była gładka i biała, dłonie duże i muskularne.

— Jesteś służącym Brochamiosa z Aleppo?

Potwierdził to skinieniem głowy. Twarz mężczyzny pod zachodzącym głęboko na czoło turbanem była złota; oczy miał niebieskie jak niezapominajki. Stojąc przed Hettumem patrzył na niego z uwagą i jakby z ciekawością. Nie było w jego postawie lękliwej uniżoności sługi.

— Czy jest tu Zoe, córka kupca?

— Jeśli chcesz, zawołam ci ją.

Schyliwszy głowę zniknął w drzwiach prowadzących do sklepu. Zgiełk cisnącego się z drugiej strony kramów tłumu brzmiał tutaj jak pomruk niewidzialnego morza. Postawiwszy nogę na stercie mat Hettum zastanawiał się nad swoim przyjściem tutaj. Po co to zrobił? Czego chce od tej małej? Miał ciągle w pamięci jej słowa: Ciekawe są wasze myśli... Ciekawe? — uśmiechnął się z goryczą. Jak dla kogo...

Dziewczyna stanęła w drzwiach. Spozrzegł, że szybko zdjęła i zrzuciła w kąt fartuch z ciemnego płótna. Pośpiesznymi ruchami rąk poprawiała włosy. Z uśmiechem szła ku niemu.

— Ach, to wy, panie!? Jaki to zaszczyt i jaka radość, żeście zechcieli przyjść.

Zaśmiał się, usiłując nadać swoim słowom ton swobodny i lekki.

— Tak — powiedział — chodziłem po bazarze i przypomniałem sobie, że tutaj, jak mówiłaś, macie swój stragan. Zjrzałem więc, aby go zobaczyć.

— Doskonale! — klasnęła w dłonie. — Achmedzie — przywołała wielkiego służącego — idź, zawołaj mego ojca. Powiedz mu, żeby tu zaraz przyszedł powitać naszego wybawcę, wielkiego króla Armenii.

Olbrzym spojrział szybko na Hettuma i odszedł tym samym co przedtem spokojnym krokiem.

— Niezwykłego macie niewolnika — zauważył patrząc za odchodzącym.

— On nie niewolnik — powiedziała pośpiesznie. — Najął się dobrowolnie na służbę do nas. Ojciec przyjął go, gdyśmy tutaj mieli jechać. Bardzo go lubi. Achmed jest silny. Piękny mężczyzna — prawda?

— Może — przyznał. Bacznie popatrzył na dziewczynę chcąc wykryć, co jej podyktowało tę uwagę. — Wygląda — rzekł — jakby był panem, nie sługą.

— Mógł być panem — zapewniła. — Ale teraz po zwycięstwie Tartarów wielu Saracenów tak zbiedniało, że najmują się na służbę.

Powiewając szeroką szatą podszedł ku nim kupiec. Choć Brochamios nie był w tej chwili podobny do tamtego obdartego, wystraszonego śmiertelnie zbiega, Hettum poznał w nim człowieka, który wówczas błagał go o ratowanie napadniętej kaplicy. Pełne jego usta bulgotały prędkimi słowami, pulchne dłonie robiły szybkie, mające wyrażać szacunek gesty.

— Witaj, witaj, tagawor, w moim domu. Witaj, kyrie, łaskawy i miłosierny.

Przyklęknął, by kilkakrotnie pocałować rękę Hettuma. — Witaj — nie przestawał mówić — nasz dobroczyńco, nasz wybawco. Nie śmiałem iść do ciebie, by ci podziękować za to, coś dla nas uczynił. Ale modliłem się za ciebie i moja córka modliła się, i moi bracia, i cały mój dom. Codziennie prosiliśmy cudowną przenajświętszą Maryję Theotokos, żeby ci była pomocna w każdej potrzebie.

Znowu cmoknął kilka razy dłoń Hettuma. — Ale nie oczekiwałem tak wielkiego szczęścia, że sam przyjdiesz do nas. Czym mogę ci służyć, panie? Wszystko, co mam, jest twoje, wszystko składam u twoich stóp.

Wziął go za ramię, by przerwać ten potok wymowy.

— Dobrze, dobrze, Brochamiosie. Nie mówmy więcej o tamtym. Przyszedłem zobaczyć, co można kupić w twoim kramie. Mówił mi ktoś, że masz najpiękniejsze rzeczy na całym bazarze.

— Nędzne to są towary, niegodne bogactw, które masz, tagawor, w swych zamkach. Wszyscy mówią, że odkąd bazileus stracił swój tron, ty jesteś tutaj najmożniejszym władcą. Większym niż frankoński cesarz w Bizancjum i niż król Morei. Lecz jeśli tylko chcesz, pokażę ci, co posiadam. Achmedzie i wy wszyscy! Prędko przynieście najpiękniejszy dywan i poduszki. Rozłóżcie, by mój pan miał na czym siedzieć. Spieszcie się! I parasol, i wachlarz. Biegnijcie. Potem będziecie tu przynosiли towary, które wam wskażę. Nie proszę cię, tagawor, do środka mej budy, bo tam ciemno, duszno i ludzie napierają z targowiska. Zoe! Przynieś naszemu panu słodkich daktyli i najlepszego wina z korzeniami. Niech nie zawstydzi się mój dom, gdy taki gość go odwiedził.

Do pomocy olbrzymiemu Achmedowi nadbiegli inni służący, bracia i synowie Brochamiosa. Szybko uprzątnięto kawałek placu, zamieciono, rozciągnięto na ziemi dywan, a na nim ułożono stertę kolorowych poduszek. Kupiec sam rozpiął wielki zielony parasol. Zoe powróciła z dzbanem wina: za nią szła służąca niosąc płaski kosz pełen fig, daktyli i bananów.

— Teraz, Achmedzie — komenderował Brochamios — weź klucze. — Wyciągnął zza pasa pęk kluczy i wręczył go wysokiemu służącemu. — Idź z ludźmi do składu i przynieś najdroższe materie, jakie tam mamy. Tylko żywo. Niech dostojny gość nie czeka.

Hettum usiadł na poduszkach. Zoe wzięła kosz z owocami z rąk dziewczyny i trzymając w rękach przyklekła u jego stóp na dywanie. Miał tuż koło siebie jej twarz o rysach drobnych, jakby dla zabawy wyrzeźbionych przez cierpliwego rytownika. Odruchowo począł porównywać. Tkwiła mu w pamięci Zabel — jej równe półkola brwi nad dużymi oczami, nieskazitelnie prosty nos, wąskie usta, które umiały się stulić w kamienną szparę. To była twarz kobiety i królowej. W porównaniu z nią twarz dziewczyny pełna była dziecinnych grymasów. Śmiejąc się Zoe marszczyła zabawnie nos i potrząsała głową. Jej policzki były różowe, włosy miały naturalną barwę ciemnego brązu. Najwięcej różnic odnajdywał w ustach: wargi dziewczyny układały się miękko, odchylały się jak płatki kwiatu, które zniszczyć może każde silniejsze dotknięcie.

— Patrz, panie — Brochamios zręcznym gestem kupca rozrzucił przed Hettumem płat złotogłowiu. — Oto materia prawdziwie królewska. Z niej

miewał suknie sam bazileus autokrator, gdy jeszcze przebywał w Bizancjum. Nikomu na jego dworze nie wolno było z tego materiału szyć sobie odzieży. Cesarz Baldwin takiej nie kupi. A to, panie, zobacz: to także złotogłów. Ale cieńszy. Posłałem niedawno całą sztukę tej materii do Nicei dla despiny Marii. Mówią, że wyjdzie wkrótce za mąż. A to adamaszek. Czy nie piękniejszy niż najpiękniejsze adamaszki włoskie? Kupcy italscy są chciwi zysku i zachwalają byle co, aby się tylko świeciło. Chcieliby wszystkich przekonać, że tylko oni posiadają piękne rzeczy. Ale porównaj, panie, a sam przyznasz, czy mają rację. Spójrz także na ten jedwab. Całą sztukę przeciągniesz przez pierścień, taki cienki. To prawdziwy jedwab chiński z dalekiego kraju, gdzie wschodzi słońce... Lecz komuż to mówię!? Przecież ty, panie, sam jeździłeś do ziemi najdalejszego wschodu.

Przesunął dłonią po podawanych mu materiałach, przyznawał skinieniem głowy rację wymownemu kupcowi. Ale naprawdę te złotogłowie i brokaty niewiele go obchodziły. Napatrzył się na nie dosyć, nie brakło mu ich w komorach zamków w Sis, w Tarsie, w Adanie, w Lajos, w Mamistrze. Nic nowego nie miał mu do pokazania Brochamios. Nie dla materiałów tu przyszedł. Bacznie obserwujący go kupiec zauważył to. Kazał Achmedowi odnieść towary. Powiedział:

— Przynies teraz skrzynię z wyrobami ze złota i z kości słoniowej.

— Ufasz, widzę, temu pachołkowi — powiedział Hettum widząc, jak ogromny Achmed odchodzi z nowym pękiem kluczy.

— Ach, to perła nie służący! — wykrzyknął Brochamios. Ale gdy to mówił, jego oczy pół ukryte za ciężkimi worami powiek dziwnie błysnęły. Hettum nie zauważył tego jednak: pochylił się właśnie ku Zoe.

— Czy nie przeszlabyś się jutro ze mną po podmiejskich ogrodach?

— Zawsze, ile razy chciałbyś tego, panie — powiedziała z uśmiechem.

— Nie jestem chłopcem, z którym rozmowa może cię bawić. Mam córki w twoich latach Mógłbym być twoim ojcem.

Powtórzyła:

— Zawsze pójdę, ile razy chciałbyś tego, panie...

— Popatrz, tagawor, na te cacka — przerwał im rozmowę Brochamios, przyklękając przed Hettumem i podsuwając mu przed oczy w swych długich, ruchliwych palcach garść kościanych figurek. — Czy nie piękna ta gazela? A ten słoń? A ten bożek pogański? Albo zobacz te perły. Pięknie wyglądają na kobiecej szyi. Spójrz! — Zręcznym ruchem zarzucił sznur

perle na szyję córki. — Prawda? Ciało kobiety przy perle wydaje się gładkie i miękkie jak aksamit. A teraz pokażę ci nóż z pięknej damasceńskiej stali napuszczonej złotem, z rączką z kości słoniowej.

Służba przynosiła skrzynie, paki, kosze. Brochamios z niewyczerpującą się gadatliwością rozkładał przed Hettumem swoje bogactwa. Ale wzrok króla wciąż obojętnie ślizgał się po oglądanych przedmiotach. Znudziła go ta wystawa. Znowu myślał: „Po co tu przyszedłem? Przecież nie po to, aby oglądać jakieś towary kupca-Greka”. Miał prawie ochotę odprawić Brochamiosa i wrócić z targowiska do obozu. Ale znowu powracały do niego tamte słowa: ciekawe są twoje myśli, panie... „Jak to ona powiedziała?” — zastanawiał się. Z ukosa patrzył na twarz dziewczyny: delikatny zarys nozdrzy i miękkie, ruchliwe usta. „Może tylko — snuł swoje myśli — mówi jak kobieta, która chce przywabić mężczyznę ku sobie. Jestem królem i rycerzem — to jej pochlebia. Czy jednak byle bosonogi chłopak, który siedzi w pyłe targowiska, nie pociąga jej bardziej?”

— A może, tagawor, chciałbyś zobaczyć pięknego konia? — pytał Brochamios. — Mam cudnego! — przytknął do ust dwa złożone palce. — Pochodzi ze stadniny sułtana Tunisu, Abu Zakariyi. — Skinął na pacholców, którzy przyprowadzili rzeczywiście wspaniałego ogiera, białego jak kreda, o różowym pysku barwy ciała niemowlęcego. — Patrz, panie — zachwalał kupiec — jakie oczy, jakie wygięcie szyi. A nogi! Co za pęciny! Wśród najpiękniejszych koni sułtana Damaszku nie było takiego. Łagodny jak owca, miękki w pysku, a szybki, że ptak go nie dogoni.

— Rzeczywiście ładny — przyznał Hettum. Koń wydał mu się nieco bardziej wart uwagi. Wyciągnął rękę, a ogier wydłużywszy szyję dotknął pyskiem jego dłoni, jakby szukając w niej czegoś. Potem nie zginając kolan sięgnął do koszyka, który trzymała Zoe. Dziewczyna pogładziła konia po nosie i podała mu figę.

Zapytał:

— Ile chcesz za tego konia?

— Ile ja chcę? Cóż ja mogę chcieć? Tyś, panie, ocalił życie moich dzieci.

— Powiedziałem: nie mówmy o tym. Przyszedłem tutaj, żeby coś kupić, a nie po prezenty od ciebie. Ile chcesz za tego konia?

— Spójrz, panie, na jego zęby — kupiec odwinął czarne wargi konia i pokazał szerokie, wysunięte do przodu zęby. — A jaka grzywa... — zebrał palcami falę ostrego włosa. I ogon, patrz tagawor...

— Dobrze, dobrze. Widzę to wszystko. Ile chcesz za niego?

— O panie, czyż wypada mi go tobie sprzedawać?!

— Wypada. Powiedz wreszcie cenę!

— Ach, panie... Taki koń.. Szejk Mohamed chciał go kupić. Czy mi jednak wypada? Ale jeśli chcesz koniecznie...

— Chcę koniecznie.

— Więc... dwa tysiące bezantów saraceńskich.

Cena była ogromna. Nawet w Europie nikt by za konia takiej sumy nie zażądał. Ale Hettum nie myślał się targować. „Ten koń — wydawało mu się — przejął coś z wdzięku tej dziewczyny.” Patrzył, jak ufnie trzymał pysk oparty o jej rękę i delikatnym pociągnięciem górnej wargi zbierał figi z dłoni. Wydawał się jak ona: ufnie, serdeczny, miękki. Nie trzeba go było poskramiać. Hettum nie chciał walki nawet z koniem.

— Dobrze, zgadzam się. Niech twój pacholek przyprowadzi mi go jutro do namiotu. Przyślij mi tego człowieka — wskazał palcem Achmeda.

— Och, kyrie! — zawołał prędko i jakby z lękiem kupiec. — Achmed jest wiernym sługą, ale nie zna się na koniach. Poza tym wysłałam go dziś wieczór. Zresztą gdybyś żądał, nie wysłałbym go. Ale konia to ja sam przyprowadzę ci do namiotu!

„Nie zna się na koniach? To jakieś kłamstwo” — pomyślał Hettum. Zdawało mu się także, że spostrzegł porozumiewawczy błysk oczu między Grekiem a jego sługą. Zastanowił się: „Co to może oznaczać? — Ale po chwili wzruszył obojętnie ramionami. — Może Brochamios boi się, że mu zabiorę służącego, któremu ufa?” Nawet mu to przez głowę nie przeszło. Chciał mu się po prostu przyjrzeć. Powiedziała ta mała: piękny mężczyzna... Ale ostatecznie wszystko jedno. Nie będzie przecież stawać w szranki ze służącym greckiego kupca. Zawsze myślał, że żadnemu niebezpieczeństwu nie warto się przeciwstawiać zbyt wcześnie. Najlepiej zachować spokój i dać pełną szansę przeciwnikowi. Przez chwilę milcząc patrzył na kupca, to znowu na stojącego nieco dalej Achmeda, który spuścił głowę. Potem skierował wzrok na dziewczynę. Uśmiechała się pociągająco, jak wtedy, gdy powiedziała: Ciekawe są twoje myśli, panie... Cóż z tego, że to jest Greczynka, córka małego kupca z Aleppo? Nie jest ważne, kto słucha — ważne jest, jak słucha! Był czas, gdy miał człowieka, z którym się dzielił każdą myślą. Był to zwyczajny wolny góral, imieniem Achot, który służył na zamku Lampron. Objąwszy tron Hettum zabrał go ze sobą do Sis, choć Konstantyn sprze-

ciwiał się temu stanowczo; uważał że jego syn powinien się raczej starać o przyjaźń baronów frankońskich. Ten człowiek znał wszystkie jego myśli i tajemnice. Umiał słuchać, umiał doradzić. Nieoczekiwanie dostał trądu. Tym razem wola Konstancyzna przemogła i odesłano Achota do leprosorium w górach Parcerpert. Hettum nie zobaczył go już nigdy potem. Nawet nie wiedział, czy jeszcze żyje.

— Jak chcesz — powiedział obojętnie — przyprowadź konia sam. — Podniósł ręce zgięte w łokciach i przeciągnął się. Teraz dopiero spostrzegł, że w pewnej odległości od dywanu stoi kręgiem tłum i patrzy na niego ciekawie. — Więc gdy będą dzwonić na nonę, przy bramie południowej — powiedział do Zoe. Wziął garść fig z kosza. Powstał. — Bądź zdrow, Brochamiosie. Dziękuję za gościnę.

— O panie, pozwól, że cię odprowadzę do bramy. To był zaszczyt dla nas, panie, żeś chciał tu przyjść. — Skinął na służbę, by zrobiła przejście między ludźmi. — Wielka jest twoja łaskawość, tagawor... Zechciej pamiętać, panie, że jesteśmy twoimi niewolnikami. Wszystko ci zawdzięczamy. Ocaliłeś przecież moją córkę, moich synów, mego brata. Wszystko, co mamy, należy do ciebie.

Mówił tak dochodząc aż do płotu otaczającego targowisko. Tu jeszcze raz przyklęknął i pocałował dłoń królewską. Hettum opuścił targowisko ścigany na poły lękliwymi, na poły niechętnymi spojrzeniami tłumy. Zanurzył się w falę ludzi sunących ulicami, niby w leniwie płynącą rzekę. Ocierając spocone czoło Brochamios wrócił przed sklep. Krzyknął na służbę, by sprzątnęła dywan i poduszki. Sam siadł ciężko na jakiejś pace wachlując się połą płaszczą. Jego brat Jazites podszedł do niego. Zapytał:

— I jak myślisz, po co on przyszedł?

Brochamios sapał i parsknął jak człowiek zmęczony długim pływaniami.

— Po co? Po co? Czy ja wiem? — wybuchnął. — Nie po towary, na pewno. Bóg nas łaskawie ocalił. Gdyby nie patrzył w dziewczynę jak sroka w gnat, domyśliłby się wszystkiego. A wtedy... Tartarzy obdarliby nas żywcem ze skóry. Dwie świece zapalę przed świętym Mikołajem cudotwórcą, cztery świece, sześć świec.

Obaj popatrzyli na Achmeda, który wyciągnął się znowu na stercie mat. Zoe stała obok i coś mówiła do niego.

— A gdyby tak... — zaczął Jazites.

Brochamios nie dał mu skończyć. Gwałtownie położył mu dłoń na ustach.

— Cicho! Na miłość Boską! Gdyby usłyszał, pchnąłby nas nożem lub podpalił kram.

— Gdyby jednak cicho i prędko — młodszy z braci był bardziej stanowczy. — Tartarzy są mocni...

— Są — przyznał Brochamios nie spuszczać oczu z leżącego pacholka.

— Ale widzisz... — przyciągnął brata blisko do siebie. Z podniecenia połykał słowa. — Ja myślę, co będzie, jak Tartarzy zwyciężą? Pozwolą ci handlować? Co? Akurat! Kupcy italscy złapią wszystko w swoje łapy. Jak Bizancjum...

— Żeby pioruny spaliły ich faktorie! — zaklął Jazites. — Żeby morowa zaraza!

— Więc widzisz — ciągnął Brochamios. — Każdy z nas zejdzie wtedy na dziady. Za Saracenów nie było tak źle. Nazywali nas psami, ale kupowali. Mogłeś żyć...

— Można było... — przyznał młodszy. — Ale jak złapią?

— Nawet nie mów! — jęknął Brochamios. — Spać nie mogę, gdy o tym myślę. Straszne... A wszystkiemu winien ten Hettum! Kto go prosił, by sprowadzał tutaj tych świńskich Tartarów?! Przekłęci Frankowie! Wszystkie nieszczęścia przez nich. Wpychają człowieka w nędzę, a jeszcze ich po rękach trzeba całować. Gdyby ci Tartarzy byli mądrzy, wzięliby się za nich.

— Za papieżników?

— Za tych fałszerzy wiary! Dałby Bóg, aby wyrznęli ich wszystkich, a przede wszystkim Wenecjan, jak wyrznęli Saracenów w Aleppo. A potem, żeby zwrócili zrabowany tron trzykroć świętemu autokratorowi.

— Zbyt to piękne — pokręcił głową Jazites.

— Myślisz? — Brochamios na chwilę zapomniał o swym gniewie i strachu. Uśmiechnął się tajemniczo i przymrużył oko. — To wcale nie takie niemożliwe... Ja coś wiem...

Jazites gwizdnął z uznaniem. Ale obaj zasępił się znowu, gdy ich wzrok spoczął na postaci rozwalonego na matach człowieka.

— Skoro tak — mruknął Jazites — musimy go ukrywać. Jeśli nie będzie nieszczęścia, zyskamy jego wdzięczność.

Ale Brochamios parsknął z nową irytacją.

— Wdzięczność?! Od takiego Mameluka niczego nie jesteś pewny! Powiedział mi jeszcze wczoraj: każdy z was, Greków, to zdrajca, kiedy tu powrócimy trzeba was będzie skończyć co do jednego. Święty Onufry! Nie wiadomo, kpi — czy mówi prawdę..

12

Aromatyczna woń pomarańcz płynęła od drzew, których gałęzie zwisały aż do ziemi ciężkim naręczem liści. Chropowaty, podobny do kolczugi pień palmy chrząścił nad nimi. Psy pokładły się w cieniu i dyszały otworzywszy pyski, z których zwisały długie jęzory. Hettum siedział oparty o drzewo, objąwszy rękami kolana. Dziewczyna przysiadła obok, podwinęła pod siebie nogi. Jej krótki, wyszywany kaftan nie sięgał pasa: widać było, jak na brzuchu koszula porusza się równomiernym oddechem.

— I skąd trafił do was?

— Jak ci mówiłam, panie, ojciec przyjął go do służby, gdyśmy mieli tu jechać. Zgłosił się sam. Wielu Saracenów szuka teraz pracy u chrześcijan.

— Zastanawiają mnie jego oczy...

O mało nie powiedziała: ładne oczy. Ale kobiecy instynkt nakazał jej tym razem ostrożność. Poprzez spuszczone rzęsy patrzyła na Hettuma. Jego lśniące czarne włosy były tu i tam przetkane siwizną, jakby zakurzone. Na czole nawet przy uśmiechu nie zacierały się zmarszczki. Lecz to zdawało się jeszcze podnosić urok mężczyzny. A poza tym to był król! Często zdarzało się jej myśleć z dumą: król walczył dla mnie, król ocalił mnie z rąk Tartarów. A teraz chce ze mną rozmawiać. Ogarniał ją zachwyty. Idąc na spotkanie wykapała się i wymyła włosy w wonnym odwarze ziół. W nocy nie mogła spać. Wyobrażała sobie tę rozmowę. Gdy już miała iść, zawołał ją ojciec. Podał jej piękne nausznicę i cały pęk neapolitańskich koralii. Powiedział nakazujące: „Włóż to...” Kiedy nakładała korale przed zwierciadłem, przyglądał się jej uważnie, Potem kazał Jazitesowi odprowadzić ją aż do bramy miejskiej.

Lecz oczy, które utkwily Hettumowi w pamięci, nie wydawały mu się ani piękne, ani brzydkie. Były dziwne. Nie widywał takich nigdy pod nasuniętym na czoło turbanem. Po głowie chodziła mu kiedyś przeczytana zapiska kronikarza księstwa antiocheńskiego o tym, jak dziwnie wyglądał pod

koniec swego życia księżę Tankred — zdobywca Jerozolimy, kiedy już zapuścił brodę i ubierał się po arabsku. Miał bowiem oczy niebieskie, koloru Jeziora Galilejskiego. Ten olbrzym wygląda na mieszańca albo na Mameluka. Jeszcze zapytał:

— Czy pracowity? I wierny?

Już ją znudziło to wypytywanie o Achmeda. Był wprawdzie niezwykłym pacholkiem. Czy jednak naprawdę nie mogli mówić o czym innym?

— Czy chcesz go, panie, wziąć do swojej służby, że się o to pytasz? — zaśmiała się. — Leniwy... — wydeła znacząco usta. — Ale ojciec mu ufa. — Czasami ją samą dziwiło to zaufanie, jakie Brochamios okazywał pacholkowi, który nadto często, zamiast pracować, wylegiwał się godzinami na słońcu lub wóczył po mieście i tracił czas na niezliczonych pogwarkach z rozmaitymi ludźmi. A wymagający i surowy dla służby kupiec nigdy go nawet nie skrzyczał! Tak, Achmed jest także ciekawym człowiekiem. Takim — mocnym... To było słowo, które określało go najlepiej. — Ty, panie — powiedziała — pewnie masz w zamku tysiące służących.

— Mam — przyznał. Posiadał ich rzeczywiście wielu, więcej niż którykolwiek z chrześcijańskich władców Syrii. Zdjął dłonie z kolan i wyciągnął się na trawie. Gdy leżał, głowa jego była blisko dziewczyny. Pomimo silnego aromatu owoców i trawy czuł zapach jej włosów i ciała. Myślał: „Co by ona powiedziała, gdybym przybliżył się jeszcze bardziej i położył jej czoło na piersiach? Czy cofnęłaby się?” Nie... Tego się nie spodziewał. Choć właściwie — może byłoby tak lepiej... Był w nim niepokój oczekiwania, oczekiwania nie na gest, ale na prawdziwość gestu. Ileż by dał, by móc się położyć koło niej i nie żądając niczego, zadowalając się tylko jej bliskością myśleć! Myślenie, które było w nim ciągłą szarpaniną, stałoby się wtedy na pewno spokojnym, cichym nurtem. Wydawało mu się, że sama bliskość rozwiązałaby wszystko. Leżąc twarzą do ziemi, nie widział jej twarzy. Wystarczał mu widok małej, półrozwartej dłoni, ręki o smągłej skórze, wychylającej się z rękawa, poddanego nieco w tył ramienia, mocno zarysowanych piersi, na których martwą czerwienią ciążył bicz korali.

— Jesteś tylko jedna u ojca?

— Tak, panie.

— Ile masz lat?

— Czternaście.

— Jesteś już w wieku, kiedy dziewczyna powinna iść za mąż. Masz narzeczonego? Kochasz kogoś?

Bawiła się naszyjnikami; korale chrzęściły pod jej palcami.

— Nie jestem jak dziewczęta z zamków, które wychodzą za mąż, kiedy są jeszcze dziećmi. Ojciec nikogo mi dotąd nie wybrał. Kocha mnie i nie chce się ze mną rozstać. Zresztą powiedział, że mogę sobie sama męża wybrać.

— Widać, twój ojciec wierzy twemu rozsądkowi.

— A ty, panie, nie pozwalasz córkom, aby same sobie wybrały mężów?

— Nie. Czyż dziewczęta, jak one, mogą wiedzieć, gdzie będzie ich szczęście?

— Szczęście dziewczyny jest tam, gdzie kocha.

— Może... Moje córki muszą jednak wejść w rody: baronów, królestwa lub władców. Nie żyjemy tylko dla siebie.

— Mówisz teraz surowo, tagawor.

— Teraz? Czy zwykle mówię inaczej?

— Nie wyglądasz na surowego. Przecież to ciężko, nie móc wybrać tego, kogo się kocha...

Zrobił ruch ręką, jakby chciał powiedzieć: cóż na to można poradzić? Jego myśl powędrowała ku córkom. Nie wiedział, jak one się zapatrują na małżeństwa, które dla nich postanawiał. Były długo dziećmi i wydawało mu się, że ciągle jeszcze nimi są. Nie zauważył, kiedy stały się kobietami. Niedawno obiecał rękę Rity rycerzowi Ottonowi, najmłodszemu z synów Guya de la Roche, seniora Aten. To był ważny związek: władcy Peloponezu wydawali się mocniejszym oparciem niż bezsilny cesarz Bizancjum i republika Ibelinów. Z Ibelinami związał się zresztą także, obiecawszy paroltniemu zaledwie synowi Baldwina, seneszala Cypru, swą najmłodszą Marię. Żonę dla Lewona upatrywał w Alix, córce Henryka Antiocheńskiego i Izabelli Lusignan, żonę dla Torosa — w Joannie, wnuczce ostatnio zmarłego pana z Arsuf. W ten sposób wszedłby w związki z wszystkimi dworami na frankońskim Wschodzie. Nieomal nie wiedząc o tym, wypełniał ambitny plan Konstantyna. W tej chwili jednak po raz pierwszy uderzyła go myśl: robię z nimi to, co mój ojciec zrobił ze mną...

Poczuł na sobie dotknięcie jej wzroku. Spojrzał: dziewczyna uśmiechała się. Podźwignął się na łokciach, podniósł głowę. Zajrzał w jej oczy. Ale

i tym razem nie odkrył na jej delikatnej twarzy nic, co by dla niego było bolesne.

— Jesteście, panie, często daleko myślami — powiedziała. — Jakbyście musieli ze swoim myśleniem odchodzić...

„Jak ona to wyczuła!” — pomyślał z uznaniem. Nawet nie umiałby wytłumaczyć, dlaczego tak jest, że jego myśli nie tkwią przy nim, ale wiecznie uciekają gdzieś daleko. „Jak ta zwykła grecka dziewczyna mnie rozumie! Lepiej niż...” Wszystkie rzeki spływały w jedno morze. Zaciśnął zęby. Podciągnął się lekko na łokciach jeszcze bliżej dziewczyny. Miał uczucie, że gdy oprze głowę na jej piersi, odzyska siły. To było, jak w tej pogańskiej bajce greckiej, którą gdzieś w dzieciństwie mu opowiedziano: o synach Gai.

— Czy ciągle — zapytała — myślisz o Tartarach?

— O nich — przyznał. — Zawsze o nich. Widzisz... — nagle przyszło mu do głowy: „Może ona mnie zrozumie?” — Myślę, czy dobrze się stało, że oni tutaj przyszli.

Powiedział i zaraz spojrzął jej w oczy. Były szeroko otwarte, jakby nieco zdziwione.

— Gdybyś ich był, panie, nie wezwał, nie zdobyliby Aleppa, Hamy, Homsu, Damaszku...

— To prawda.

— Bez nich nie uwolniłby nikt Ziemi Świętej. Przyszli i zwyciężyli Saracenów.

— Mało przy tym ciebie nie zabili!

— Och, wcale tego nie żałuję! Nie byłbyś mnie, panie, obronił A teraz pójdziesz z nimi dalej — prawda? — i uwolnicie święte miasta, Jerozolimę i Betlejem. Słyszałam, że jeden z królów, którzy przyszli pokłonić się w stajence Panu Jezusowi, pochodził od Tartarów. I to on nauczył ich chrześcijaństwa. Czy to prawda?

— Nie wiem. I ja to słyszałem. Tak, pójde z nimi i zdobędziemy Jerozolimę.

Wydała okrzyk podziwu:

— Jesteś, panie, największym rycerzem chrześcijańskim! Jak drugi Herakliusz! Jak bazileus Cymisces! Ale — zatrzymała się spłoszona — może gniewasz się, że cię porównuję do cesarzy greckich?

Położył dłoń na jej dłoni.

— Nie, nie, nie gniewam się o nic. Na ciebie...

To dotknięcie było jak iskra przeskakująca ze strzechy na strzechę albo jak ból. Ale nie odjął ręki. Przesunął palce z dłoni na przegub, odsuwając srebrne i kościane bransolety.

— Masz rację — zaczął mówić zduszonym głosem — z nimi zdobędę Jerozolimę. Tylko z nimi... Nikt tego nie rozumie. Nikt tego nie chce zrozumieć.

Puścił jej dłoń i usiadł, ale jednocześnie przysunął się do niej tak blisko, że prawie opierał się ramieniem o jej biodro.

— Nikt tego nie chce zrozumieć — powtórzył. Ciągnął coraz bardziej gorączkowo: — Dla nich Tartarzy to tylko smród albo — wysłańcy piekła! Najmądrzejsi z nich nie umieją patrzeć. Ibelinowie, de Montfort. Jeden Ludwik to rozumiał. On o tym myślał. Ale dopiero ja to zrobiłem. Ja po nich pojechałem. Ich wielki chan mnie przyobiegał... To było daleko, w ich mieście, które się nazywa Karrakorum. Nie wiedziałem, jak mu powiem... Bałem się...

Uderzył dłonią po ustach. Gwałtownie zaprzeczył samemu sobie:

— Nie, nie bałem się! Nie! — Znowu zajrzał podejrzliwie w jej oczy, ale było w nich tylko oszołomienie i podziw — Nie bałem się. Ale nie wiedziałem, czego on ode mnie zażąda. Pomyśl — wziął ją za ramię — taki władca! Cesarz rzymski, cesarz Bizancjum i król Francji nie mają razem tyle ziemi, co on. Jadąc, każdego dnia poznawałem bardziej jego potęgę.

Zacisnął palce na ramieniu Zoe.

— Ale on był grzeczny i łaskawy. Pytał mnie o władców chrześcijańskich, najwięcej o Ludwika, bo słyszał już o nim, że to największy z naszych królów. Potem powiedział, że pošle na Saracenów swego brata Hulagu, jeżeli mu przyrzeknę w imieniu wszystkich...

Lecz wydobywane z samego dna serca słowa zerwały się jak struna. Uświadomił sobie, że trzyma dłoń na ramieniu dziewczyny. Poprzez palce, dłoń i ramię płynął w niego żar. Gorący strumień zgasił tamten poryw. Wstrząsnął się cały. Zaczerpnął powietrza jak człowiek, który daje nurka. Były w nim dwa odruchy: jeden — cofnąć rękę i odejść od dziewczyny, wrócić do namiotów wielkiego chana, drugi — zostawić dłoń i pozwolić, aby się działo, co ma się dziać. W uszach poczęło mu dzwonić: wszystko jedno, wszystko jedno... Jej wzrok wyrażał miękkość i uległość. Odruchowo pochylił się nad nią. Oczy dziewczyny zmatowiały. Porywczym ruchem

chwycił ją w pól. Nie broniła się. Przeciwnie poddawała się całym ciałem. Krew poczęła mu pulsować w skroniach. Coraz bliżej przysuwał twarz do jej twarzy. Znowu dzwoniło mu w uszach: wszystko jedno, wszystko jedno... Ich zdyszane oddechy nabierały wspólnego rytmu. Wyszepiała:

— Jaka jest szczęśliwa...

— Kto? — zapytał. Przed oczami przelatowały mu czerwone płyty.

— Twoja żona, panie...

— Dlaczego? Dlaczego szczęśliwa?

— Gdy zwycięzysz — szepiała z oczami zamkniętymi — wrócisz do niej... — Nie wypuścił jej z objęć, ale miał uczucie, że niezrozumiała sztywność, niby jad trucizny, która dostała się w ranę, paraliżuje jego ruchy. Bezwładnie poddana dziewczyna wysuwała mu się z rąk jak woda. Nagle wszystko: ciężar ciała Zoe, obudzona namiętność i pokusa ucieczki wydały mu się trudem nad siły. To było tak, jakby ta mała Greczynka powiedziała o kilka słów za dużo. „Może to ja tylko — myślał gorzko — zbyt pilnie nasłuchuję? Może czytam w jej słowach, czego tam nie ma?” Zagryzł wargi. Był w nim ból, ukryty w potwornym zmęczeniu. Przekonał się wcześniej, zanim mógł w nim umrzeć poryw zmysłów, że nie są to drzwi, którymi można uciec. Zobowiązanie z tamtej nocy w Tarsie trwało. Palce Hettuma ześliznęły się po haftach kaftana Zoe. Dziewczyna osunęła się miękko na trawę.

— Kto wie — powiedział głosem, który jemu samemu wydał się nawoływaniem w noc wiatru i zamieci — czy to jest szczęściem...?

Dziewczyna nie patrzyła na niego. Jej półprzymknięte oczy zwrócone były w niebo, na twarzy zastygł wyraz oczekiwania. Nigdy jeszcze jej usta o lekko podniesionej górnej wardze nie wydawały mu się równie świeże, delikatne i pociągające. Ale jednocześnie dalekie — jak sen po obudzeniu. To nie ciało straciło wdzięk. Pociągało go dalej z równą siłą. Ale za jego pokusą odkrył niepokój — przewidywanie klęski. „Człowiekowi — myślał strzępami, niby ktoś, kto dźwiga ciężar — daję wszystko, ale i chcę wszystkiego. Inni nic nie dają i zrywają tylko kilka najbardziej zielonych liści. Ja tak nie umiem”.

— Kobieta — podjął — chce mężczyzny, nie jego chwały.

Milczała i tylko popatrzyła na Hettuma, jakby na jego twarzy działo się coś dziwnego. Z tym swoim pytającym wzrokiem i miękkimi, bezbronnymi ustami wydawała mu się istotą godną współczucia. „Ona — myślał — także

pewnie szuka mężczyzny, chce go kochać. Czy potrafiłaby mnie pokochać?” Zaprzeczył sam sobie. Nie... nie... Miłość — wydawało mu się coraz częściej — jest to coś ogromnego, coś, czego nie można otrzymać nigdy od drugiego człowieka.

— Czy nie podobam ci się, tagawor? — posłyszał szept.

Odwrócił głowę ciężko, jakby ten ruch wymagał ogromnego wysiłku.

— Jesteś miła — nawet w jego głosie było zmęczenie, jakby u kogoś, kto długo krzyczał. — Przyjemnie jest rozmawiać z tobą.

Odwróciła głowę i ukryła ją w zgięciu ręki. Bąknęła jak mała, naburmuszona dziewczynka.

— Lepiej by było, aby mnie Tartarzy byli zabili.

— Naprawdę? — próbował żartować. Chciał ją łagodnie poklepać po ramieniu, ale ona nagłym skrętem ciała wysunęła się spod jego ręki. Powtórzyła swoje:

— Lepiej, żeby mnie Tartarzy byli zabili.

Nie próbował jej więcej dotknąć. Siedział zatopiony w myślach. „A może jednak...?” — przebiegło mu przez głowę. Ale już zwątpił i nie miał siły, by budzić w sobie na nowo nadzieję. „Za dużo żądasz od drugich” — powiedział mu podczas spowiedzi Wilfyd. Może i miał rację tak mówiąc? Kto wie, czy ta dziewczyna jest gotowa dać mu wszystko, co zdolny jest ofiarować człowiek człowiekowi? Ale czuł się zanadto zmęczony i zniechęcony. Był jak ci umierający na pustyni, którzy się nie ruszą z miejsca, choćby im pokazano z daleka dzban z wodą. Po co? Gdy się tak często spotyka fatamorganę — czy istnieje w ogóle prawdziwa woda? Czuł gniew do siebie za to, że tu przyszedł i że tak się zachował. Jeden z psów ziewnął przeciągle, rozdziawiając szeroko różowy pysk. Iluż rycerzy jak on, myślał, nie zastanawiałoby się nawet przez chwilę, widząc przed sobą piękną dziewczynę? Grzech byłby dla nich zapomnieniem. Potem wypełniliby nałożoną pokutę, jakby płacili słuszną cenę, i szliby dalej walczyć o Święty Grób. „We mnie jednak — rozważał — nie ma zapomnień. Dlatego też cena, którą ja bym musiał zapłacić, byłaby większa niż dla każdego innego”.

Zdawało mu się, że upłynęło już niezmiernie dużo czasu od chwili, gdy tu usiedli w cieniu drzew. Ogarnęła go potrzeba wędrowania przed siebie mimo upału, byle naprzód. Był smutny: miał poczucie, że coś obok niego przeszło, minęło go i przepadło. Tak zupełnie jak w tych opowieściach trubadurów, w których dwoje kochanków szuka się i nie może się znaleźć. Ra-

dość, jaką mu sprawiał widok dziewczyny, zniknęła do reszty. Jakby ją ktoś zgasił, a on nie miał siły, by się temu przeciwstawić. Ogarnęło go zmęczenie, zmęczenie splecione z niepokojem, na które nic nie może pomóc żaden odpoczynek.

— Mówiłem ci — powiedział głosem zgaszonym — że nie jestem młodym chłopcem, z którym mogłabyś wesoło rozmawiać.

Dalej milczała, tylko pogardliwie skrzywiła usta.

— Skwar już opadł — ciągnął. — Trzeba wracać...

Nie poruszyła się. Leżała jak przedtem wygięta z głową odwróconą, z oczami nakrytymi wierzchem dłoni. Widział grymas na jej ustach, a teraz także drzenie brody. Podniósł się. Psy znudzone długim bezruchem zaczęły kręcić się, biegać w tę i w tamtą stronę, szczekać.

— Wstań — starał się mówić prawie wesoło. Wyciągnął rękę: — Wstawaj, mała. Czy zasnąłaś?

Nie odpowiedziała, nie drgnęła. Stał pochylony nad nią czując coraz większy bezwład w ramionach.

— Czemu nie wstajesz, Zoe?

Po raz trzeci powiedziała nie odwracając głowy:

— Lepiej, żeby mnie Tartarzy zabili...

Powstrzymał westchnienie. Chwilę stał niezdecydowany przemagając słabość.

— Wiem — powiedział wreszcie — dotknąłem cię. Nie powinienem był...

To było głupie, że on, człowiek dojrzały, król Armenii, tłumaczył się, i to jeszcze tak niezdarnie, wobec byle dziewczyny. Nie miał jednak w tej chwili poczucia, że Zoe jest tylko córką greckiego kupca.

Tym razem jego słowa podziałały. Usiadła. Szepnęła:

— Zaraz. — Z głową opartą na kolanach trwała jakiś czas nie ruchomo, jakby zbierała siły. Gdy wstała, oczy jej były próżne, patrzyły gdzieś w przestrzeń, poza Hettumem.

Bez słowa poszli. Psy biegły przodem. Gęsta masa połyskujących liści zwieszających się z drzew wydawała się kaskadą. Potem znaleźli się na drodze. Zatrzymali się.

— Bądź zdrowa — rzekł. Potrząsnął jej dłonią, jakby była mężczyzną.

Zastanawiał się przez chwilę usiłując sobie przypomnieć coś, co mu uciekło z pamięci. Potem zsunął z palca pierścień.

— Weź to ode mnie. Gdy będziesz wybierała sobie męża, dasz mu...

— Nie, nie! — odsunęła spiesznie jego dłoń. — Nie. Dziękuję ci, panie.

— Czemu odmawiasz? Weź. To piękny pierścień. Dostałem go od rodziny mojej matki, panów z Butrenton.

— Nie — broniła się. Ale on przytrzymał jej rękę, włożył w dłoń pierścień; po czym zacisnął jej palce.

— Bądź zdrowa — powtórzył. Odszedł, jakby miał ciężary u nóg. Psy ujrzawszy przed sobą pustą przestrzeń pomknęły naprzód z głośnym szczekaniem. Kiedy obejrzał się, stała na tym samym miejscu, gdzie ją zostawił. Pozdrowił ją podniesieniem ręki. Nie odpowiedziała mu na ten gest.

Dopiero gdy zniknął za zakrętem, poszła wolno w stronę miasta. Wsunęła pierścień za stanik na piersi. Jej dłoń opadając natrafiła na korale. Kilka razy palce przesuwaly się po nich obojętnym ruchem. Potem nagle gwałtownym targnięciem Zoe zerwała sznur. Czerwone kulki posypały się w piasek, niby krople krwi. Nawet nie spojrziała za nimi. Szła dalej. Przy bramie nie było nikogo — upał zagnał ludzi do domów. Nie patrzyła zresztą uważnie. W załomie zarysował się kształt ludzki: człowiek jakiś siedział tam nieruchomo. Była przekonana, że to musi być żebrak. Odruchowo sięgnęła do torebki u pasa, wydobyła parę dirhemów. Chciała włożyć w rękę tamtego. Ale człowiek nagle odezwał się znanym jej niskim głosem:

— I cóż? Jakżeż twój król?

Ogromny służący na poły leżał, na poły siedział na piasku. Odpowiedziała mu z nagłym wybuchem gniewu:

— Po coś tu przyszedł? Nie masz się już gdzie wylegiwać i próżniaczyć? Nic nie robisz od rana do wieczora! Na miejscu ojca kazałabym ci zerznąć skórę i przegnałabym cię ze służby natychmiast...!

— Ohoho — zauważył złośliwie, ale spokojnie. — Widzę, że ci się twoje spotkanie nie powiodło.

— Nie twoja sprawa!

— A może i moja... — odpowiedział, ale takim tonem, że nie było wiadomo, drwi, czy mówi poważnie. — Nie złość się. Twój ojciec kazał mi przyjść tu po ciebie. Bał się, widać, że gdy będziesz wracała z ramion króla, nie trafisz do domu.

Przerwała mu okrzykiem:

— Milcz!

Podniósł wysoko swe jasne brwi.

— O! Więc król nie okazał się łaskawy dla twojej piękności?

W bezsilnym gniewie zacisnęła pięści. Miała prawie ochotę uderzyć zuchwalego pachółka. Ale zaraz przeważył w niej smutek. Poczula, jak płacz podchodzi jej pod gardło i lzy napływają do oczu. Mocno przycisnęła do ust wierzch dłoni. Gdyby jeszcze powiedział słowo, wybuchnęłaby płaczem. Ale Achmed nie odezwał się więcej. Wstał, przeciągnął się podnosząc ręce nad głowę, że wyglądał przez chwilę jak olbrzymi łuk. Wyraz drwiny zniknął z jego ust. Gdy ruszyła, on postępował za nią o krok z tyłu, jak przystało na sługę towarzyszącego córce swego pana.

13

Stali przed namiotem Hulagu, zdumieni nagłym wezwaniem.

— Czego on może chcieć od nas? — zastanawiał się Dawid. — Coś się tu złego gotuje.

Młody książę Gruzji żywił głęboką nieufność do przybyszów z Azji. Nie rozwiła jej nawet niespodziewana łaska chana, który rozkazał, by dotychczasowy władca Gruzji, syn królowej Russundy, podzielił się z Dawidem władzą nad królestwem. Nieufność tę dzielił z innym wasalem chana Persji, księciem rizańskim Obaj uważali, że Hettum zbyt pochopnie wierzy każdemu słowu Tartarów.

— Co tam złego! Pewnie chce was obdarzyć godnościami — rzekł Julian mrugając prędko prawym okiem, co mu się zdarzało, gdy zaczynał drwić. — Wy, książę, będziecie mogli nosić za nim berło z końskich chwostów.

— Co? Co? — Dawid źle rozumiał język grecki, nie pojął dowcipu, ale wyczuł szyderstwo w słowach pana z Sydonu.

— Daj spokój, zięciu — wtrącił się Hettum, by zapobiec kłótni. — Sprawa musi być niewątpliwie ważna. Czy nie zauważyliście, że od wczoraj obóz jest w ruchu?

— Gońcy latali całą noc — przyznał Dawid.

— Wygląda tak, jakby Tartarzy mieli się lada chwila poderwać i ruszyć.

— I mnie się tak wydaje.

— Jestem pewny, że pójdziemy wreszcie na Jeruzolimę — głos Hettuma drżał lekko. Był podniecony tym nieoczekiwanym wezwaniem. Julian począł się śmiać.

— Zapalasz się, teściu. Upały rozpoczną się lada dzień, a Tartarzy mieliby ruszać na wojnę? Przestali czas najlepszy.

— Nie zapalam się. Potrafią oni, gdy chcą, wyruszyć w największy skwar.

— Ich konie nie będą miały wody, gdy wyschnie każdy potok.

— Nie znasz Tartarów. Przemkną jak błyskawica, z wodą w workach. Nie potrzeba im wielu dni, by dobiec do Nilu.

— A Saracenowie? Sądzisz, że będą czekali, aż Hulagu przyjdzie i pocina im głowy?

— Stratuje ich, gdy spróbują się mu opierać!

— To nie o wyprawie będzie mowa — wtrącił nieoczekiwanie Bohemund. Piękny książę wydawał się zły i zdenerwowany. Tam i z powrotem spacerował po rozrytym, błotnistym placu przed namiotem chana, uderzając się mongolskim taszurem po łydkach obciśniętych w misiurowe spodnie.

— A o czym?

— Oczywiście o Eutymiuszu! — wybuchnął władca Antiochii. Z nienawiścią zacisnął wąskie usta.

— Więc Hulagu chce, abyś go przywrócił na stolicę patriarchszą? — zapytał Julian.

— Chce — to mało! Żąda! Wczoraj odwiedził mnie znowu nojon Bajdu. Ten stary, nawet gdy udaje grzecznego, mówi tonem, jakby każde jego słowo miało być dla mnie rozkazem. Skarżyłem mu się na gwałty, jakich dokonali żołnierze tartarscy u mnie w księstwie. Wiecie, że popalili mi wieś, uprowadzili bydło, pogwałcili kobiety, jakie im wpadły w ręce. Słuchał i — tylko kiwał głową. Potem powiedział, że ukarze winnych. Ale zaraz kazał tłumaczowi zapytać mnie, kiedy dam listy Eutymiuszowi, aby mógł uroczystie wjechać do jego stolicy w Antiochii. Rozumiecie: jego stolicy! Odpowiedziałem, że na prośbę chana gotów jestem pozwolić Eutymiuszowi na powrót do mojego miasta, ale patriarchą być nie może, ponieważ w Antiochii jest już patriarcha rzymski. Udał zdziwionego. Powiedział, że on nie wie, co to znaczy Grek lub Rzymianin — dla niego wszyscy jesteście Fran-

kami i chrześcijanami. A Hulagu życzy sobie, aby patriarchą w Antiochii był Eutymiusz.

— Co znaczy ta nieoczekiwana przyjaźń z Grekami? — dziwił się Dawid.

— Oczywiście, odpowiedziałem, że cenię sobie przyjaźń chana, ale Eutymiusza jako patriarchę nie przyjmę. Cóż do licha, nie jestem wasalem tartarskim! Dość miałem kłopotów z Grekami.

— Mówią — powiedział niedbale Julian — że chan przygotowuje poselstwo do bazyleusa z Nicei.

— Skąd wiesz o tym? — zapytał Hettum.

— Opowiadali mi... greccy kupcy na bazarze.

— Utrzymujesz z nimi stosunki?

— A co? Czy nie można? Kupcy są po to, aby z nimi utrzymywać stosunki. Zresztą ty także, teściu, nimi nie gardzisz. Wiem nawet, że ci wpadła w oko córka jednego z nich.

— Nie będziemy o tym mówili!

— Jak chcesz. Bądź zresztą spokojny — nie miałem ci zamiaru przeszkadzać. Dziewczyna mała, chuderlawa...

— Przestań!

— Już przestałem. Ale jesteś drażliwy! Czyżbyś się bał, że cię obgadam wobec twojej małżonki?

Hettum z gniewem tupnął nogą. Ten przeklęty Julian — gdy się czegoś uczepi, nie można go oderwać, jakby był kolczastą kulką ostu wplątana w sierść. Ale na szczęście odezwał się znowu Bohemund. Mówiąc wywijał batem.

— Poselstwo nie poselstwo. Tym bardziej Eutymiusza nie przyjmę!

— A jeśli się będą upierać? — spytał Dawid. — Co wtedy?

— Nie przyjmę, choćby nie wiem co!

— A jeśli ci zagrożą wojną?

— Niech zagrożą! Zresztą nie zagrożą. Idą na Saracenów. Na grób św. Piotra klnę się...

— Poczekaj — przerwał mu Hettum. — Nie zaklinaj się. Rozważmy spokojnie. Czy naprawdę nie możesz przyjąć Eutymiusza?

— Żartujesz, teściu! Oczywiście, że nie!

— Dlaczego?

— Dlatego przede wszystkim, że nie chcę! Dość się nauzeralem, aby mieć wreszcie ład u siebie. Kiedy obejmowałem władzę, miałem uczucie, że całe księstwo trzęsie się w posiadach: Grecy szarpali w jedną stronę, Rzymianie w drugą, Armeńczycy w trzecią, templariusze... A jeszcze i ci bandyci z Gibelet! Wreszcie jednak wziąłem wszystko w garść i trzymam. Nie popuszczę nikomu, boby mi się cała historia zaczęła od nowa. Gdybym pozwolił mieć Grekom patriarchę, zaraz by mi wlaźł na głowę Fieschi z upomnieniami, ostrzeżeniami, może z kłáwtami. Nie chcę!

— Lecz przecież — zauważył Hettum — sam papież pozwolił, a nawet polecił twemu ojcu i dziadowi, aby w Antiochii było dwóch patriarchów, dla łacinników i dla Greków.

— Łatwo jest papieżowi o tym decydować, gdy sam siedzi w Italii. Ale niechby zobaczył, co się tutaj dzieje! Gdy było dwóch patriarchów, bili mi się codziennie na ulicach Grecy z Italczykami i z Frankami. Nawet kuzyni mojej matki, choć pochodzą z papieskiego rodu, wojowali z Grekami. Nie, nie! Nie pozwolę, aby mi w Antiochii urządzono wojnę o św. Sabę! Antiochia to nie Acre!

— Aleś się zacietrzewił — śmiał się Julian. — Sprawa, widzę, nielá-twa. Trudno będzie z niej wybrnąć. A może by tak jak Salomon: każdego patriarchę przez pół... Co?

Grupa dworaków chana szła w ich stronę. Było wśród nich kilku wodzów w długich tułubach, Pers w turbanie z kosztowną spinką nad czołem i dwóch Chińczyków w obuwiu na wysokiej drewnianej podeszwie. Zbliźali się człápiąc w gęstym błocie pomieszanym z końskim nawozem. Podszedłszy podnieśli ręce w górę na znak powitania.

— Mendu! Mendu! — mówili. — Chan prosi, byście weszli do geru. — Otoczyli Franków i poprowadzili ich w stronę białego namiotu, przed którym stał nieruchomo rząd gońców obok swych koni. Co pewien czas Chińczyk w żółto-zielonym kaftanie wychodził z namiotu, podawał najbliźszemu z brzegu gońcowi pakiecik owinięty w miękką jagnięcą skórę mówiąc przy tym kilka słów. Żołnierz wpychał pakiecik do worka na piersi, jednym skokiem siadał na siodle, rozkręcał nad głową bat o drewnianej rękojeści: po czym zniknął w galopie. W progu powitało gości dwóch szamanów, którzy wrzeszczeli i bili ogłuszająco w małe bębenki dla odstraszania złych duchów.

Julian, który po raz pierwszy był w obozie mongolskim, patrzył na nich z zainteresowaniem.

Hulagu siedział w kucki, nie jak zwykle na barwnych poduszkach, ale na twardej włosianej macie. Zamiast wyszywanego chałatu miał na sobie zwykły kaftan żołnierski, rozpięty na piersiach. Zdjął z siebie wełniany pas i zawiesił go na szyi. To — Hettum już wiedział — było oznaką najwyższej żałoby. Otaczający chana dworacy mieli również porozpinane tułuby, pozdejmowane pasy, potargane włosy. Głowy niektórych były posypane ziemią. Dwóch innych szamanów lamentowało głośno i potrzasało grzechotkami, a obecni, jakby przytakując ich krzykom, kiwali rytmicznie głowami.

Rycerze zatrzymali się w progu nie wiedząc, jak mają się zachować. Ale ujrzawszy ich Hulagu skinął na szamanów, aby się uciszeli. Służba podsunęła Frankom niskie stołeczki inkrustowane drzewem i kością słoniową.

— Siądźcie — powiedział — siądźcie i wysłuchajcie tego, co powiem. My, Mongołowie, obchodzimy dziś wielką żałobę. Stało się nieszczęście — podniósł ręce w górę i opuścił żalonym gestem. — Z woli wszechmocnego Tengri poszedł między duchy ojców wielki chan, pan świata, król królów, boski Mongka, syn Tułuja...

Pozostali przez chwilę w milczeniu, ciągle nie wiedząc, jak należy się zachować wobec tej wieści. Ale zaraz Hettum powstał i zwróciwszy się do towarzyszy wezwał ich, by odmówili modlitwę za spokój duszy kagana. Wilfryd nauczył go franciszkańskiego hymnu, który wydał mu się na tę chwilę najstosowniejszy: *Dies irae, dies illa, solvet saeculum in favilla: teste David cum Sibylla...* Powtarzali za nim słowa pełne ponurego rytmu, niby wybijane dzwonem: *Recordare Jesu pie, quod sum causa Tuae viae, ne me perdas illa die...* Ale nie przestając odmawiać słów modlitwy Hettum czuł, jak w nim narasta troska i niepokój. Ani Bohemund, ani Dawid nie pojmowali niewątpliwie w pełni powagi chwili, którą spowodowała śmierć wielkiego chana. On jednak znał Mongołów i wiedział już, co oznacza opróżnienie tronu Czynggis chana. Gdy kagana zabrakło, wojny przerywały się lub kończyły, wyprawy zawracały z drogi nie dosięgnąwszy celu, dawne sojusze upadały, dawne nieprzyjaźnie znikwały, między potomkami Temudżyna zgromadzonymi na kuryłtaju na stepie między rzekami Onon i Kerulen powstawały spory, kłótnie, często nawet walki. Kto wie, czy Hulagu nie zechce sam sięgnąć po tron? W każdym razie zgodnie z obyczajem musi natychmiast porzucić Syrię i wrócić w głąb Azji. Kończąc słowami: *Pie Jesu, Domine, dona eis requiem...* — patrzył z trwogą na Hulagu. Ten siedział z głową

opadła na piersi, a w całej jego postawie był wyraz opuszczenia i smutku. Może naprawdę i szczerze opłakiwał brata — Kitbuka wiele razy zapewniał Hettuma o wielkiej miłości, jaka wiązała trzech najstarszych synów Tułuja: Mongkę, Hulagu i Kubilaja. Lecz co postanowi? To lękliwe pytanie pchało się samo na usta Hettuma. Od odpowiedzi zawisło wszystko.

Skończywszy modlitwę powiedział po mongolsku: „Boże, przyjmij do swojej chwały duszę wielkiego chana”, na co wszyscy znajdujący się w namiocie chrześcijanie odpowiedzieli „amen”. Hulagu podniósł głowę i skinieniem podziękował Frankom za ich modlitwy.

— Siądzcie — rzekł. — Wezwałem was, chcę bowiem z wami porozmawiać. Jak wam zapewne wiadomo, jest naszym mongolskim obyczajem na wieść o śmierci kagana porzucić wszelką walkę i powrócić do rodzinnych stepów. Postąpię, jak każe obyczaj. Jutro ze świtem moje wojsko odwróci bieg swych koni pod blask słońca.

Hettum czuł, jak w miarę spokojnych słów Hulagu zaczyna, mu braknąć tchu w piersiach. To była katastrofa: zawalenie się wszystkich planów, nadziei, oczekiwań. Przyszła niespodziewanie, jak piorun w pogodny dzień. Jutro już zabraknie Mongołów. Na placu pozostaną Ibelinowie, okręty włoskich republik, skłócone ze sobą zakony, de Montfort. Z taką obroną Syria, cały Wschód chrześcijański są bezbronni, skazane na zagładę. Zdawało mu się, że widzi wielki dom, który pod wpływem trzęsienia ziemi sypie się w gruzy.

— Odchodzę — ciągnął Hulagu. — Nie myślcie jednak, że zapomniałem obietnic, jakie uczynił wam kagan. Gdy skończy się kuryłtaj, wrócę tu lub przyślę moje wojsko pod wodzą syna. Tadżykowie będą zwyciężeni, wasz szaman z Rumu otrzyma z powrotem swoje święte Królestwo. Czy chcesz coś powiedzieć, szoggunie? — zapytał widząc, że Hettum podnosi się ze swego stołka.

— Tak — głos Hettuma zabrzmiał jak trącone metalowe naczynie.

— Mów więc.

— Słuchaj, chanie... — zaczął. Czuł w całym ciele gorąco i zimno. Miał wrażenie, że jest znowu w namiocie Mongki w Karrakorum i rzuca na szalę sprawy największe. Robił to po raz drugi i tym razem chwila wydawała się nieporównanie groźniejsza. Myśli przelatywały mu przez głowę, szybkie tartarskie konie: „Znowu biorę wszystko na siebie.” Losy całego chrześcijaństwa: papieża, patriarchów, kardynałów, królów, książąt znowu znajdo-

wały się w jego rękach. Gdyby tu stał legat papieski! Ale nie — to on sam mówił do chana. „Muszę mówić — przekonywał siebie w duchu. — Dotrzy- małem obietnic, byłem sojusznikiem wiernym i oddanym.” Nie oglądał się na Bohemunda, Juliana, Dawida, ale czuł wlepiony w siebie wzrok wodzów mongolskich. Tuż przed nim stał Kitbuka. Oczy nojona przyciągały i pło- nęły; zdawały się wypowiadać zaklęcia. „On myśli jak ja!” — przebiegło przez głowę Hettuma. Powiedział krótko, z wielką mocą:

— Nie odjeżdżaj...

— Chcesz, szogunie, abym nie jechał na kuryłtaj?

— Tak. Nie jedź. Zostań — i skończ wojnę. Wiem, że ciebie mogą tam wybrać wielkim chanem. Ale sprawa tutaj jest bardzo ważna. Jeśli odjedziesz, nie wiem, czy będziesz już miał do czego wrócić. Jesteśmy słabi, a świat chrześcijański nie da nam dziś pomocy. Królestwo Jerozolimskie jest zagro- żone, a gdy ono padnie, padną za nim z kolei Antiochia i Armenia. Gdy wró- cisz — zastaniesz tu już może tylko gruzy.

W namiocie panowała cisza i tylko głos Hettuma rozbrzmiewał w niej przeraźliwie niby krzyk rogu. Usta Hulagu poruszyły się pod sznurkami wąsów.

— Wiem, że będzie wam ciężko. Ale wasze ziemie jako ziemie sojusz- ników pozostają pod opieką kagana. Ktokolwiek się na nie porwie, będzie jak ten, kto napadł na ziemie mongolskie. Nojon Bajdu, który zostanie ze swoim tumanem w Karsie, będzie mógł wam śpieszyć z pomocą. Musicie wytrzymać.

— Nie wytrzymamy! — zapewnił żarliwie. — Zbyt już dawno jesteśmy w walce, my i Saracenowie, abyśmy się mogli czymś wzajemnie nastraszyć. Oni znają naszą słabość. Siła Franków zbladła i jest nas mało. Nie oprzemy się, gdy uderzą.

— Zbierzcie siły i wytrwajcie. Zjednoczcie się. Powrócę za dwa, za trzy najdalej lata.

— Dwa czy trzy lata to czas bardzo długi!

— Lecz gdy znowu przyjdę, przyprowadzę większą armię. Nic jej się nie oprze.

— Siła, którą masz dzisiaj, wystarczy, by dojść do Kairu i dalej. Nie po- trzeba więcej wojska. Lecz czas stracony — nie wróci..

— Na wielkim kuryłtaju muszą być wszyscy bracia z rodu Temudżyna.

— Poślij im wieść, że się spóźnisz. Niech zaczekają z wyborem. A sam tymczasem uderz.

— Nie mogę się spóźnić. Zbyt nas jest wielu, potomków Czynngis chana, a każdy chciałby być kaganem. Muszę tam być, aby brat Kubilaj dostał tron.

— Lecz czy sprawa sojuszu z chrześcijaństwem nie jest sprawą dość ważną? — wykrzyknął.

— Może... — odpowiedział. Oparł brodę na rękę i zdawał się namyślać. Po chwili milczenia podjął: — Gorąco mnie przekonujesz. Nie wypada mi zostawić twoich słów bez odpowiedzi. Byłeś w boju dzielny i wiernym towarzyszem. Pokazałeś, że to nieprawda, co opowiadano o was, że wy, Frankowie, jesteście podstępni, fałszywi, kłótniwi i nierozumni. Twoje sprawy, szoggunie, stały się naszymi sprawami. Ale mówisz o sojuszu z chrześcijaństwem... Tak samo mówiłeś wtedy — pamiętasz? Zapewniałeś kagana, że to nie tylko ty, ale że wszyscy tego chcecie. Czy zaprzeczysz temu?

Czarne oczy błysnęły w wąskich, skośnych szparach. Hettum poczuł dreszcz, który go przebiegł wzdłuż całego ciała. Nie mógł zaprzeczyć. Gruby Mongka pochylił się ku przodowi i wyciągając swą żółtą, połyskującą dłoń nad palącym się piecykiem powiedział: „My, władcy świata, zwracamy swe konie tam, gdzie są nasi nieprzyjaciele — lub nasi przyjaciele. Nieprzyjaciół zwyciężamy — przyjaciółom ofiarowujemy pokój i dary. Nie cenimy jednak ludów, które nie mają ani serca do walki, ani serca do kochania. Jeśli mam posłać moje tumany na pomoc władcom arkagud — czy możesz mnie zapewnić, że wszyscy oni będą jak ty?” Odpowiedział: „tak” — lecz nigdy nie myślał spokojnie o tym zobowiązaniu. Teraz Hulagu żądał tego samego.

Z ciężkim sercem zaczął mówić:

— Nie zaprzeczam swoim słowom. Chrześcijanie i Mongołowie — to wielki sojusz. Trzej książęta wielkiego rodu są tu ze mną.

— Nie tylko trzech władców jest między wami. Cóż o sojuszu myślą szoggunowie z Acre, z Tyru, z Jaffy, z wyspy Cypr — i tamci inni z ziemi za morzem? Czy także chcą być naszymi przyjaciółmi?

Wyszło mu w gardle, musiał zakaszleć, by sprowadzić do ust ślinę. Przrzekać za drugich — cóż za brzemię! Ale jeszcze raz zapewnił:

— Tak. Oni wszyscy chcą również...

Hulagu nie odpowiedział. Patrzył w skupieniu na Hettuma, a jego chude palce o mocno zarysowanych przegubach przesuwały się po wąsach podob-

nych do czarnych, wywleczonych ze świec knotów. „Czemu on tak na mnie patrzy?” — pytał siebie Hettum. Czuł sztywność w ciele jak ktoś, kto zbyt długo pozostawał w jednej pozycji. „Nie wierzy mi?” W gruncie rzeczy miał prawo nie dowierzać jego słowom. Mongołowie wiedzieli przecież wszystko. Ich szpiedzy nasłuchiwali wszędzie. Nie brakło ich w Acre, w Tyrze, w Sydonie. Musieli stamtąd przynosić Hulagu słowa pełne kpiny i oburzenia, jakich nie szczędzono Hettumowi i tartarskiej wyprawie. Niedawno widział list, jaki Bohemund otrzymał od swojej matki. Księżna Łucja w żalonych słowach zaklina syna, by przez miłość do wiary, jaką mu wpoila, porzucił wstrętne pogaństwo, które, jak wszyscy głoszą, zaczął wyznawać. Czy to prawda, zapytywała, że Mongołowie każą mu sobie służyć i bić czołem przed skrzywionym krzyżem? „Pamiętaj, pisała namiętnie, że jesteś kuzynem Ojca świętego, namiestnika Pańskiego, i nie wolno ci uniażać głowy przed pogańskim władcą! Wiesz, że cię kocham, ale wolałabym cię widzieć na łożu śmierci niż w sojuszu z pogaństwem. Nie zapominaj o wzorze, jaki mi dała świętobliwa córka księcia Andechs, która sama wysłała swego syna przeciwko Tartarom”.

Równocześnie z listem księżnej Tripoli przyszedł list biskupa Pawła, adresowany do Hettuma. Wuj Bohemunda tłumaczył Hettumowi, że najważniejszą sprawą, którą należałoby jak najszybciej załatwić, jest uzyskanie zgody chana na oderwanie od sułtanatu Homsu miasteczka Miryamin i na oddanie go biskupowi. „Jest mi ono koniecznie potrzebne — pisał Paweł. — Nie mnie oczywiście, ale Kościołowi... Załatwcie to, tagawor, będziecie mieli zasługę. Rozsądek mówi, że trzeba, póki można, ciągnąć z tych diabłów. Na was obu wszyscy się tutaj oburzają, jeśli jednak postępować będziecie rozsądnie, to się jeszcze może zmienić.” Oburzenie baronów syryjskich zwracało się zresztą mniej przeciwko Hettumowi — raczej przeciwko Bohemundowi. Hettum wiedział, dlaczego to także budziło w nim gniew i gorycz. Mimo sojuszków, mimo małżeństw, mimo wszystkiego, co zrobił, nie był uważany za Franka! Zdrada Armeńczyka wydawała się rzeczą zrozumiałą. Ale co za hańba, powiadano w Acre, by księżę krwi normandzko-frankońskiej nie tylko dopuścił do upadku Aleppo, ale jeszcze, o wstydzie, sam przyjmował na kark tartarskie jarzmo.

To niemożliwe, aby Hulagu nie wiedział o tym wszystkim. Czyżby nie doszło do niego, że baronowie w Acre uważają miasta sułtanatu Jussufa za „zdradzone” i „opuszczone”? Niewątpliwie dlatego milczy. „Za kogo on mnie ma? — myślał Hettum. — Za głupca czy za kłamcę, który chce oszu-

stwem zjednać sobie Mongołów? A jednak ja nie kłamię! — miał ochotę się bronić. — Wiem dobrze, jacy oni są. Ale chrześcijaństwo to nie tylko baronowie. Chrześcijaństwo trzeba ocalić niezależnie od tego, jakimi są panowie z Acre, Jaffy, Arsuf, Toronu”. Z nową siłą przeciwstawił swój wzrok spojrzeniu dwóch czarnych skośnych szpar. Ze zdziwieniem spostrzegł, że choć Hulagu patrzy uważnie, nie ma w jego oczach gniewu ani niedowierzania. Teraz odwrócił głowę i potoczył spojrzeniem po swoich wodzach, którzy stali za nim półkregiem, a każdy z nich, gdy go dotykał wzrok chana, klękał i pochyliwszy głowę, kornie czekał na rozkaz z jego ust. „Jak Haszyszydzi” — uświadomił sobie Hettum. Był kiedyś w Kadmus u Starca z Gór i widział scenę, jaką przywódca sekty lubił popisywać się wobec Franków, każąc swoim fidaism skakać na rozkaz w przepaść. „Ci są także gotowi — rozważał Hettum — rzucić się na rozkaz chana w ogień”.

Znowu poczuł na sobie wzrok Hulagu. Chan siedział z dłońmi opartymi o kolana, pochylony w przód, jakby gotując się do powstania na nogi. W tym sprężeniu była siła. Nagle zaczął mówić. Słowa leciały prędko, zdawały się świstać jak kamienie wyrzucone z balist.

— Skoro tak mówisz, szoggunie — dobrze. Zawierzę twoim słowom. Słuchaj więc, co postanowiłem. Ja odjadę na kuryłtaj. Ale dla ciebie, tylko dla ciebie i na twoje słowo zostawiam tutaj dwa tumany i mego największego wodza — nojona Kitbukę. To nie jest wiele. Ale tyle dał mój dziad swoim najdzielniejszym bahadyrom, oni zaś, goniąc za sułtanem Charyzmenu, przebiegli pół świata, dotarli aż nad rzekę I-til, do waszych ziem, Frankowie, i wstawili bardziej niż ktokolwiek inny imię władcy świata. Kitbuka nie mniejszy jest rozważą niż Subutaj, a równie szybki jak Dżebe. To, co oni zrobili, on potrafi także. Pójdzie i zdobędzie Bogda Balasun — święte wasze miasto. Odda je wam, bo taka jest moja wola, a potem ruszy dalej na kraj tadżyków nad wielką rzeką, którego nie mógł zdobyć najznakomitszy z waszych wodzów...

— O, chanie... — zdołał tylko wyszeptać Hettum. Ogarnął go zapal i zachwyty. Jeszcze przed chwilą wydawało mu się niepodobieństwem, aby jego słowa odniosły skutek. A tymczasem... Jego towarzysze poruszyli się obok; nie oglądając się wiedział, że są także porwani. Doszedł go szept Juliana: „Sprytnieś to załatwił, teściu...” Miał ochotę odpowiedzieć gniewnie: tu nie chodziło o spryt! „Ale to tylko Julian — pocieszał się. — Bohemund i Dawid rozumieją mnie, na pewno mnie rozumieją. A zresztą, gdyby nawet...!” Spojrzał na Kitbukę i zobaczył blask, jaki bił z żółtej, porzniętej zmarszcz-

kami twarzy nojona. Po raz pierwszy od dnia walki o Aleppo opadła z niego cała niechęć do Mongołów. „Gryzę się, że mnie nikt nie rozumie — zastanowił się — a Kitbuka?” Dotychczas zawsze chciał się czuć Frankiem. W tej chwili wydało mu się, że istnieje większa bliskość myśli między nim a tym Tartarem. „Pogardzają nimi, pogardzają mną — myślał. — A przecież to ja, Armeńczyk, i on, Mongoł, uratujemy chrześcijaństwo. Uratujemy je wbrew nim, wbrew tym głupcom! Ja i Kitbuka — Jerozolima musi być zdobyta!”

— Zbliź się, nojonie — Hulagu skinieniem przywołał do siebie swego wodza. Ten podszedł spieszenie, padł na twarz i prędko, dziewięć razy uderzył czołem o ziemię. — Słyszałeś, co powiedziałem? — Chan wyciągnął rękę i dotknął końcami palców głowy Kitbuki. — Masz być tutaj mną: moim mieczem, łukiem, tarczą. Masz zdobyć święte miasto chrześcijan i masz zwyciężyć tadżyków. Zostawiam ci mój tuk. Podajcie mi go. — Dworzanie z szacunkiem wyjęli ze stojaka i przynieśli przed chana jego znak: okuty srebrem drag, z którego zwisało dziewięć ogonów końskich. Hulagu powstał i podniósłszy tuk w obu rękach w górę wymawiał nad nim przez chwilę jakieś słowa — może wzywał opiekuńczego ducha Sulde, by nadał zsyłał na niego zwycięstwa. Potem podał tuk Kitbuca. Nojon, zanim go ujął w dłonie, uderzył przedtem czołem w drzewce.

— Twoja wola, eczige — powiedział.

— Masz zwyciężyć.

— Gdy każesz — zwyciężę, eczige.

Znowu zwrócił się do czterech Franków. Stał przed nimi mały i chuderlawy, z nagą piersią, na której rysowały się kości. Wydawał się jednocześnie śmieszny i wspaniały. Powiedział:

— Na prośbę szogguna Hettuma zostawiam wam moich żołnierzy. Będą oni walczyć. Ale nie sami! Możemy wam pomóc w zdobywaniu świętego miasta, nikt jednak nie będzie tego robił za was. Zrozumieliście, co chcę przez to powiedzieć? Trzeba, aby wszyscy wodzowie chrześcijańscy ruszyli do walki. Mongołowie nie potrzebują ich wsparcia. Ale ja chcę zobaczyć ich przyjaźń, ich dobrą wolę i godność. Jeśli wszyscy wystąpicie, oddam wam nie tylko ziemię I-sy. Wtedy... Ale gdyby wasi bracia nie poszli z wami, gdy przyjdę, ukarzę ich, tak samo jak tadżyków. Powiedzcie im to! Ja chcę zobaczyć, jakimi oni są...

Usiadł z powrotem na matach i dał Frankom ręką znak, aby także usie-

dli. Tylko Kitbuka stał dalej wyprostowany, trzymając w obu rękach święty tuk chana.

— Usłyszeliście moje słowa — powiedział — i chciałbym, abyście je dobrze zapamiętali. Wojna nie jest zabawką, trzeba o niej myśleć poważnie i spokojnie. Wy, Frankowie, bijecie się często bez zastanowienia. Ale tym razem to mój tuk idzie przed wami. Nie zapominajcie o tym. Gdy wyjadę, trzeba, abyście się rozjechali do waszych zamków i sprowadzili tutaj swoich. Są podobno mężni jak tygrysy stepowe i wytrzymali, jakby byli ludźmi z żelaza. Niech odłożą na bok swoje spory, o których słyszałem. Nie szukajcie wodzów: Kitbuka ma być waszym wodzem. Nie zwlekajcie, wasi wrogowie nie śpią...

— Upprzedzimy ich — powiedział spiesznie Hettum. Hulagu wolno pokręcił głową.

— Jeśli chcecie zamysły wroga upprzedzić, musicie je znać. Wy zaś niewiele wiecie. Trzeba wam także strzec się zdrady. Wódz Saracenów, Bajbars, przeszedł tędy w przebraniu...

— Bajbars!? — wykrzyknął Hettum.

— Tak — ciągnął Hulagu przesuwając palce po ziarnkach buddyjskiego różańca. — Przeszedł tędy. Nie byłby przeszedł, gdyby mu ktoś nie pomógł. Nie popłynąłby do chana Berke, gdyby go nie wzięt na swój pokład okręt chrześcijański.

— To ci łotrzy, Genuieńczycy! — zawołał Bohemund. — Bezczelni zdrajcy. Ale co Bajbars mógł chcieć od chana Berke?

— Wiele mógł chcieć. — Hulagu powiedział to takim tonem, jakby tłumaczył sprawę dziecku. — Nie gorączkuj się, szoggunie. O tych sprawach trzeba myśleć spokojnie i mówić spokojnie. Pewnie wiecie, że gdy ja jestem wam przyjazny, chan Berke jest życzliwy dla tadżyków. Podobno nawet wyraził chęć przyjęcia ich wiary. O tym nie wolno wam zapominać. Ten Bajbars jest człowiekiem o wielkiej głowie. Jeśli będziecie zwlekali, on gotów wam rozpalić wojnę ze wszystkich stron. Wiem, że widział się z Berke, a potem z posłem cesarza greckiego z Nicei.

Hettum szeroko otworzył oczy oszołomiony usłyszaną nowiną. Bajbars u chana Berke? Bajbars u bazyleusa z Nicei? Nikomu w Syrii nie było obce to imię, choć Bajbars Bandukari był tylko atabekiem i wodzem Bahrirów. To on zawrócił pod Manssurah rozgromioną armię sułtańską, on wywołał bunt Mameluków i rzucił się z mieczem na sułtana Turanszaha, on kręcił,

jak chciał, sułtanką al-Dorr i jej synem, on jest najbliższym towarzyszem Kutuza. Ogromny, jak mówiono, wzrostem, przewyższał także innych wodzów mameluckich odwagą i chytrą. Tylko w jego głowie mógł się zrodzić zuchwały pomysł związania Berke z Paleologiem. Gdy Hettum ściągnął Tartarów i gotuje wyprawę na Egipt, Bajbars odpowiada na to sojuszem, który zagraża jednocześnie Bizancjum, Armenii i Antiochii. Skąd się znalazł w przegniłym Egipcie taki wódz? W Syrii opowiadano, że gdy był chłopcem, kupili Bajbarsa kupcy pizańscy w Tanie, a potem sprzedali w Aleksandrii. Z niewolnika doszedł do największego po sułtanie stanowiska.

— Ja jednak czuвам — mówił dalej Hulagu. — Oburzyłeś się, szogunie Bohemundzie, gdy ci nojon Bajdu z mego rozkazu powiedział, byś wprowadził do swego miasta z powrotem greckiego szamana Eutymiusza. A czy wiesz, dlaczego tego chcę? Bo Eutymiusz pojedzie w poselstwie ode mnie do cesarza Nicei i będzie go prosił o rękę jego córki dla mego syna. Dość jest pięknych kobiet w stepach Mongolii i Abaga nie musi szukać sobie żony wśród córek władców chrześcijańskich. Ale — pojmujecie — w ten sposób przecinam węzeł, który splątał Bajbars!

Umilkł, a w namiocie zrobiła się wielka cisza, której nikt nie śmiał przerwać. Hettum przesunął dłonią po czole. „Wiec to tak — myślał — wygląda wielka gra...? Jeszcze raz widzę, jak bardzo się łudziłem sądząc, że Tartarzy służą moim planom. Wydawało mi się, że jestem już człowiekiem wielce śmiałym, gdy pragnę zmienić losy Syrii. Ale oni dążą ku zmianie losów całego świata”. Doznawał uczuć człowieka, który stanął na skraju przepaści, nad pionową skalną ścianą „Trzeba zaryzykować” — uświadomił sobie. Gdzieś w dali, niby cień na oświetlonym murze, przesunęło się w pamięci imię Zabel. Bez trudu je usunął. Cóż ono teraz znaczy?! — uśmiechnął się wewnątrz niemal z politowaniem.

— A teraz was żegnam — chan przerwał ciszę. — Zobaczymy się, gdy powrócę i będę oglądał wasze zwycięstwa. W darze ode mnie przyjmijcie, szoggunowie, stadninę koni, którą moi żołnierze zabrali sułtanowi Damaszku. Konie przydadzą się wam w wojennej wyprawie.

Zwrócił się do Hettuma:

— Ciebie zaś, szoggunie, chcę prosić... — zamyślił się, jakby mu było trudno wypowiedzieć swoją myśl. — W waszym świętym mieście jest grób waszego Boga, który zmartwychwstał. Wiem o tym. Moja matka, katum Sorgaktani, była chrześcijanką. Ja sam jako dziecko byłem przez nią wykąpany w świętej wodzie i słuchałem, jak mi mówiła o I-sie. Więc choć nie

wiem, czy On jest Bogiem, chciałbym Mu okazać przychylność. Weź tę skrzynkę, szoggunie. Są w niej klejnoty, łupy zebrane w różnych wojnach. Jest tam także łańcuch, który mi dał dziad Temudżyn, gdy wracał z ostatniej swej wojennej wyprawy, a ja wybiegłem mu naprzeciw, by go pierwszy powitać. To jest największy mój skarb. Weź to. Gdy już zdobędziesz święte miasto, idź na grób I-sy i złóż Mu ofiarę z tego złota.

— I mam nakazać księżom, by się modlili za ciebie?

— Tak, niech się modlą...

— A o co mają prosić?

— Po cóż o tym mówić? Tengri sam zna serca ludzkie...

CZEŚĆ TRZECIA
WIELKA SZANSA

1

Pij, pij i opowiadaj — prosiła Hodierna dolewając mu do kubka. Czerwone wino sydońskie przyskało na stół, po którym ślizgał się płatami blask wschodzącego słońca. Nocny zaduch gospody parował wolno znad kałuż rozlanego wina i znad potarganych czupryn ludzi, którzy przesiedzieli tu całą noc. Jakub, przewany „Kragła Głowa”, giermek szlachetnego rycerza Meilora de Radoudal, jednego z wasali pana Sydonu, przeciągnął się i ziewnął hałaśliwie. Potem sięgnął do pasa i popuścił sprzączkę. Odetchnął lżej, gdy ucisk zelżał. Znowu ziewnął. Gdy ci wszyscy, którzy siedzieli z nim przy jednym stole, mieli za sobą tylko noc przegadaną przy winie, on był nadto zmęczony długą galopadą i tylko marzył, aby się gdzieś zwalić i spać. Ława była twarda, a wytłuczony na siodle zadek bolał go. Popił wina i wsparł się całym ciężarem na ramieniu Marii. Ta przygnieciona niespodziewanie jego ciałem przewaliła się na Iwonę. Siedzący przy stole goście wybuchnęli śmiechem.

— Ale ci ciężki chłop — żartował Beppo, Genuńczyk, siedzący po przeciwnej stronie stołu — dwie na raz dziewczyny rozgniótł.

— Nie ma tak ciężkiego, żeby go dziewczyna nie utrzymała — powiedział inny z pijących wino.

— Im cięższy, tym większa dla dziewczyny radość — przygadał Lodovico, marynarz z genuńskiego okrętu. Chłopak był młody, zadzierzysty; pierwszy raz na dalekiej wyprawie za morzem.

— Och! Też ci się znalazł mądrala! Patrz, Mariette! — parsknęła zza stołu Hodierna. Była najbardziej wygadana z dziewcząt i żaden z mężczyzn przesiadujących w gospodzie Mateusza z Sens nie potrafił jej zmusić do milczenia. — Próbowaleś? — drwiła z chłopaka.

— A ty coś myślała! — nadał się.

— On to może próbował, tylko dziewczyna jego nie próbowała... —

powiedział któryś z mężczyzn, a inni poczęli zaraz porykiwać, walić się po plecach lub bić pięściami w stół, aż kubki i dzbany podskakiwały w górę.

— Coście zgłupieli — Lodovico był czerwony i zły. — Ona jest dziewczyną, nie ja!

— Kto cię tam wie, czy nie jesteś — szydziła Hodierna. — W biodrach szerokiś i w siedzeniu zwalisty.

— A głos to masz jak kura, gdy znosi jajo — zaczęła także dogadywać Maria. Tylko najmłodsza z sióstr, Iwona, siedziała cicho na końcu ławy i nie odzywała się.

— Obie jesteście głupie! — wrzasnął wyprowadzony z równowagi marynarz.

— A on to mądry? Widzicie go! Morze przepłynął i już mu się zdaje, że pieprz znalazł...

— Czego się mnie czepiasz?

— To nie udawaj zucha. Drze się jak kogut. Jeszcze, powiada, przyjemniej dziewczętom.

— Ale się uwzięła!

— Pyskate macie córki, Mateuszu... — zauważył Beppo. — Pyskate... Człowiek powie tak, a one zawsze obróćą. Pilnujcie ich dobrze, bo jak dziewczka wyszczekana, to zawsze...

— Co zawsze? Widzisz — drugi się znalazł...

— Drugi kogut!

— No, dosyć już — Mateusz uciszył w końcu rozgadane dziewczęta. — Cicho bądźcie. Jakubie, opowiadaj. Więc jak to było? — Ech, już zasypia... Trząchnijcie nim żywo.

Jakub rzeczywiście o mało nie usnął. Oczy mu się kleiły i znowu oparł się mocno na Marii, ale ona objęła go teraz ramieniem i podtrzymawała. Hodierna siedząca z drugiej strony chłopaka chwyciła go za ramię i potrząsnęła mocno.

— Co nim tak targasz? — oburzyła się Maria.

— Żeby nie spał. Nie słyszysz, co gada ojciec?

— Sama go obudzę. A ty go nie szarp! — spojrzała gniewnie na siostrę. Maria i Hodierna były sojuszniczkami, gdy im przychodziło wojować na języki z obcymi, ale wobec Jakuba stawały się rywalkami. Ale bo też Jakub

był giermkim rycerza i sam wolnym człowiekiem; mógł się na wojnie dorobić, a równocześnie był chłopakiem miłym, ładnym, dzielnym i wesołym.

— Myślisz może, że on twój? — powiedziała Hodierna zaciskając swe małe usta.

Jakub dźwignął się i krzywiąc się począł trzeć spocone czoło.

— Ależ gorąco... — mruknął. Upał robił się rzeczywiście ogromny. Nocny powiew znad morza już ustał, słońce wędrowało w górę napełniając żarem uliczki miasta; odbijało się w szybach, w które nowym obyczajem były zaopatrzone okna dostatniejszych domów. Sydon odbudowany po wydarciu go z rak muzułmańskich i otoczony przed kilkoma laty nowym murem stał się miastem bogatym. Zamieszkiwała go, obok ludności greckiej, armeńskiej, syryjskiej i arabskiej, także duża grupa Włochów oraz przybyszów z Francji. Ci ostatni należeli do tych, którzy opuścili Francję razem z królem Ludwikiem, by osiedlić się w nowozdobytych ziemiach na Wschodzie. Większość z nich przekonawszy się, jakimi niebezpieczeństwami grozi życie tutaj, powróciła do Europy, klnąc krucjatę, Saracenów i żeglarzy włoskich, którzy kazali sobie słono płacić za przeprawę przez morze. Inni pozostali — jak właśnie Mateusz. Sprzedawszy w Sens posiadany tam kawałek ziemi, nie miał już do czego wracać. Żona mu umarła na Cyprze, został sam z trzema córkami. Założył w Sydonie gospodę i wiodło mu się niezgorzej. Gości w gospodzie nigdy nie brakło. Zachodzili tu chętnie i giermkowie, i żołnierze, i kupcy, i marynarze znęceni urodą dziewcząt, a zdarzało się, że pojawiali się także rycerze. Hodierna, Maria i Iwona były ładne, a to, że dwie starsze przekomarzały się z gośćmi i nie dawały się im przegadać, zjednywało tylko sławę gospodzie. W porcie mówili ludzie nawet, że jeśli kto chce dobrze zjeść i wypić, a przy tym naśmiać się, niech idzie do trzech córek starego Mateusza.

Jakub przeciągnął się i jeszcze raz ziewnął.

— Tam do licha... — ziewanie pochłonęło resztę przekleństwa. — Zmęczony jestem jak pies. Czego chcecie?

— Skończ gadać. Jesteśmy ciekawi.

— Wieczorem będę gadał. Teraz chce mi się spać.

— Gadaj teraz. Hodierna, daj mu wina.

Dotykając chłopaka łokciem dziewczyna naląła wina do kubka Jakuba. Z drugiej strony czuł, jak jego ramię opiera się o pełną pierś Marii. Sam nie wiedział, która z dziewcząt podoba mu się bardziej: czuł podświadomie, że

najlepiej robi odwlekając wybór. Zresztą to, że dwie ładne dziewczyny ubiegają się o niego, zaspokajało jego próżność.

— Co wam powiedzieć? Więc kiedy Beduini przynieśli wiadomość, że wielkie stada emira Homsu pasą się na łąkach koło Paneas, nakazał sire Julian wyprawę. Pociągnęliśmy nocą. Byli z nami jacyś rycerze cudzoziemscy, którzy przybyli do Beaufort. A no — udało się. Spadliśmy na kark Saracenów, jakbyśmy wyskoczyli spod ziemi. Ani im w głowie było spodziewać się nas. Wytłukliśmy pastuchów i tych, co stad pilnowali, i zaraz ciągniemy z powrotem. Ale był taki upał, że w południe trzeba się było zatrzymać i czekać wieczoru.

— No i Saraceni was doścignęli?

— Nie Saraceni, ale Tartarzy. Może dziesięciu...

— Tartarzy? A czegoż oni...?

— Kto ich tam wie! Był z nimi jakiś starszy, ale młody chłopak.

— A jacy są ci Tartarzy? — pytał Beppo.

— Jak wam rzec? Jak mały. Małe to, krzywe, brudne. Śmierdzą. Pan Julian, jak ich tylko zobaczył, wziął się za nos i powiada do nas: Oj Tartarzy jadą, będę musiał wyrzygać, co zjadłem.

— Ha, ha, ha! Nasz senior zawsze wesoły.

— Zwłaszcza kiedy walka. Co powie, to się wszyscy za boki biorą od śmiechu. Ale słuchajcie... Więc ten młody, jak przyjechał, od razu chciał gadać z panem Julianem. Były tam takie wysokie dęby, a pod nimi cień — widziałem, jak się nasi rycerze i ci Tartarzy zjechali. Gadali niedługo. Nagle, słyszę, robi się krzyk. Chwytają za miecze. Krzyknąłem na naszych i biegniemy. Ten młody Tartar wrzeszczy. A wtem przyskoczył do niego jeden z tych cudzoziemskich rycerzy i mieczem go przez łeb! Zawołał tylko „Isa” czy jakoś tak i zleciał z konia. Inni Tartarzy porwali się do walki. Ale wtedy myśmy skoczyli na nich.

— I co? I co? — zapaliły się dziewczęta.

— Ja sobie wybrałem jednego Tartara. Walę w niego mieczem, a on zasłania się swoim.

— Dał się zrybać?

— Dał. Dostał po szyi i poleciał z konia.

— Słyszycie? Znaczy, można ich zabijać.

— Mówili ludzie, że ich ani mieczem, ani oszczepem nie zabijesz, chyba święconym nożem.

— Albo trzeba ich przeżegnać relikwią świętą. Byle mocną.

— A ty jak go zabiłeś?

— Mam ja wprawdzie w tarczy relikwie: kawałek płaszcza Najświętszej Pani i ząb świętego Józefa, także grudkę ziemi z tego miejsca, gdzie Pan Jezus wstąpił w niebo. Sprzedali mi to wszystko bracia templariusze z Safed. Ale nie było czasu o tym myśleć, kiedy go rąbnął.

— Może oni i nie diabły... — zauważył jeden z gości.

— Albo słabe diabły...

— Każdy diabeł jednakowy. Nieczysta siła.

— Nie, kumie, nie. Są mocni i są słabi...

— W każdym razie zawsze grzech, gdy się kto z diabłem sprzymierza.

— Jak księżę Antiochii, co? Diabłem diabła chce wypędzać...

— A może oni nie diabły...

— Wiecie co — rzekł Lodovico — niech nam brat Stefan powie, co o nich myśli. Zaprośmy go do stołu. — Zgodzili się chętnie i zwrócili głowy w kąt izby, gdzie przy mniejszym stole podrzemywał kiwając się nad dzbanem wina tłusty mnich. — Hej, bracie Stefanie! — zawołali — chodźcie tu do nas...

Mnich obudzony z nagłą, łypnął oczami w ich stronę, potem wolno wstał i podszedł do dużego stołu.

— *Laudetur Jezus Christus...*

— *In saecula saeculorum.* Siądźcie tu z nami — zapraszał Mateusz. — Hodierna, lej wina bratu.

Ruszyła się niechętnie po dzbanek, oglądając się na Jakuba, który na nowo zmorzony snem leżał z głową na kolanach Marii, przesuając półsennym ruchem dłoń po łydce dziewczyny.

— Powiedźcie no, bracie — zwrócił się do mnicha Beppo — co myślicie o Tartarach?

Siedzący wlepili w zakonnika oczy zachodzące mgłą od upału i od wina. Po całonocnym picu i gadaniu nie chciało im się ruszyć z miejsca. Słuchały byle pleciugi, żeby tylko nikt im nie kazał wychodzić na rozprazną

ulicę. Mnich mrugał oczami, jakby nie rozumiał pytania, ale zaraz jego twarz nabrała powagi i pewności siebie.

— To diabły — powiedział tonem przecinającym jakikolwiek sprzeciw.

— O widzicie...

— No, a dlaczego ten chłopak zabił jednego? I nasi rycerze zabijali...

— Diabły — powtórzył brat Stefan.

— Podobno jednak to sam książę Antiochii sprowadził ich tutaj przeciwko Saracenom.

— Wielki grzech — oznajmił zakonnik sięgając do dzbanka.

— To samo mówiłem — zauważył Mateusz.

— Więc ci Tartarzy nie mają duszy?

— Nie mają.

— A czy za Tartara można się modlić?

— Kto by się tam modlił za Tartara!

— Próżny trud!

— Może i grzech nawet...

— Za Tartara, jak go zobaczysz — sapał brat Stefan — możesz zawsze zmówić „wieczne odpoczywanie”.

— Hi, hi, hi! Słusznie...

— Będzie przynajmniej pożytek.

Iwona wstała i podeszła do drzwi. Mierzyła ją pijacka atmosfera gospody. Gdy przy dużym stole toczono nie kończącą się dyskusję, inni goście pozasypiali na ławach lub na ziemi. Po kilku stopniach wychodziło się z izby na ulicę. Jasna plama słońca zsuwała się po białej ścianie domu naprzeciw, a jej blask kłuł boleśnie oczy. Na ulicy było pusto, szło tylko parę kobiet z dzbanami na głowie i stary nosiwoda z wiadrami na obu końcach drewnianych nosideł. Miasto budziło się leniwie do życia. Zresztą przed paru godzinami wszyscy byli na nogach, obudzeni tupotem bydła, które przypędzili wracający z wyprawy rycerze. „Będzie co jutro kupować na targu — mówiły z zadowoleniem mieszczki — mięso stanieje”. Iwonę potrafił jeden z gości; wyszedł niepewnie z gospody, stanął pod murem i kołyszając się, jakby miał uderzyć czołem o ścianę, zaczął się odlewać. Odwróciła głowę. Z drugiej strony włókł się Piotr, żebrak, którego widziała często pod kościołem św. Gertrudy. Pozdrowił ją słowem Bożym i zatrzymał się wyczekująco.

— Poczekaj — powiedziała.

Skoczyła w dół. Izba, do której niewiele ściekało słońca, wydała jej się całkiem ciemna, gdy wróciła do niej z rozblyszczanej ulicy. Tamci przy stole ciągle gadali przez nos, niewyraźnie, każdy o czym innym. „Diabły — słyszała głos grubego mnicha. — Mówię wam: diabły”. Sięgnęła po chleb, odkroiła pół bochenka.

— Znowu niesiesz swoim dziadom? — doszedł ją syk Hodierny. Najstarsza z córek Mateusza siedziała na ławie, z nogami na niskim stołeczku. Miała usta ściągnięte i złe. — Cały dom byś wyniosła! — Iwona nie odpowiedziała. Gdy Hodierna była w kiepskim humorze, lepiej jej było unikać. Prędko wróciła na ulicę.

— Masz — wetknęła chleb staremu. — I to... — wyłowila zza paska monetę.

— Niech cię Najświętsza Panna i św. Hilary biskup mają w swej opiece — powiedział żebrak.

Odszedł kusztykając i postukując kijem. W pobliskim kościele zaczął bić dzwon na ranną mszę. Iwona wzięła szal, który jej zwisał z ramion i założyła go na włosy. Chciała iść, gdy nagle uświadomiła sobie, że od strony murów miejskich słychać krzyk. Początkowo myślała, że to jakaś kłótnia. Ale krzyk rósł, potężniał, rozlewał się coraz szerzej. Ponad poszczególne zmieszane głosy wybijać się zaczęło ostre wycie, niby stada wilków w księżycową noc. Stała nie mogąc pojąć, co się tam dzieje. W tej chwili dwaj ludzie ukazali się na końcu uliczki. Biegli prędko w jej stronę, minęli ją śpiesznie, jakby uciekali. Co się tam stało? Uniósłszy się na palcach patrzyła w stronę, skąd tamci nadbiegli. Wydało jej się, że wśród krzyku i wycia słyszy zgiełk walki. Bitwa? Co to jest? Poczula niepokój. Czyżby Saracenowie? Z drugiej strony, od miejskiego rynku doszedł ją ostry dźwięk alarmowego dzwonu. Teraz już było jasne — ktoś napadł na miasto! Szybko zbiegła po schodach na dół. Tamci nic nie słyszeli. Bełkotali trzymając siebie wzajem za kaftany i wymachiwali jedni drugim przed nosem rękoma. Jakub spał na dobre z głową wciśniętą w piersi Marii. Hodierna, jak przedtem, siedziała na ławie i z zimną wściekłością patrzyła na siostrę. Gdy Iwona krzyknęła: „Toksin dzwoni! Saracenowie!” — w pierwszej chwili nikt się nie ruszył z miejsca.

— Co? — powiedział wreszcie Mateusz podnosząc na córkę półprzy-
mknięte oczy.

— Ojcie! Dzwon dzwoni! Saraceniowie napadli na miasto!

— Co ty pleciesz? Upiłaś się... Idź spać...

— Diabły — powiedział stanowczo mnich, jakby kogoś przekonywał, po czym ciężko oparł głowę na rękę i zapadł w bezwład.

— Wstawajcie, ojcie! — szarpała Mateusza. — Mówię wam: w toksin biją. Saraceniowie!

Któryś z mniej upitych mężczyzn poderwał się z ławy.

— Ruszcie się! Dziewczyna mówi, że toksin dzwoni.

— Saraceniowie!

— Jakub! Jakub! — Hodierna rzuciła się ku giermkowi. Szarpnęła go za rękę i mimo oporu Marii poczęła nim trząść. — Jakub! Obudź się! Saraceniowie!

— Hę...? — tarł oczy. — Co wy wygadujecie? Nagle jakiś głos wrzasnął od progu gospody:

— Ludzie! Ratuj się kto może! Tartarzy!

— Tartarzy?!

Poczęli trzeźwieć. Ten i ów skoczył na ulicę. Wołali z góry:

— Bitwa przy bramie...

— Wszyscy uciekają...

— Widać dym...

— Ludzie krzyczą, że Tartarzy...

Mateusz wstał i pokręcił siwą głową, jakby się otrząsnął z wody. Głos miał jeszcze bełkoczący, ale już był przytomny.

— Skąd znowu Tartarzy? Tartarzy są sojusznikami księcia Antiochii. Są nam przyjaźni...

— Tartarzy z nami — potwierdził Beppo. — To na pewno Saraceniowie...

Dzwon bił jak oszalały zwołując całą ludność pod broń. Z domów zaczęli się wysypywać uzbrojeni mieszczanie. Ale nie śpieszyli pod mury. Szli wolno, oglądając się jedni na drugich.

— Ktoś krzyczał, że Tartarzy...

— Bajki! Tartarzy są z nami...

— Tartarzy! Tartarzy!

— Chodźcie, kumie. Co tak przystajecie?

— Jak Tartarzy, to nie ma się co bić. Oni i tak każdego zwyciężą...

Jazda mongolska podszedłszy skrycie pod miasto spadła na nie tak niespodziewanie, że zdołała wdrzeć się do środka przed zamknięciem bramy. Wśród dzikiego wycia mordując każdego, kto się nawinął pod rękę, żołnierze parli ku rynkowi. Ale już nadjechał Julian z garścią żołnierzy i kilku rycerzami. W ciasnych uliczkach nawet mały zastęp mógł stawić czoło wielkiej sile napastników. Rozpoczęła się zawzięta rąbanina. Julian wezwał towarzyszących mu ludzi do szarży. Wąski, długi miecz wił się w jego rękę podobny wężowi. Wspiął konia i rzucił się pierwszy w największą gęstwę przeciwników. Roztrącał ich, obalał, tratował. Ustępowali przed nim. Tak dotarł do samej bramy. Próżno Mongołowie starali się stawić mu opór. Nie mogli mu sprostać, ani w pojedynkę, ani całym tłumem. To nie był teraz bawidamek pań syryjskich, ale rycerz zuchwały i nieustępliwy. Widząc, że się wysforował przed swoich, podniósł przyłbicę i począł wołać na nich: „Prędeż, panowie! Natrzyjcie mocno, a wypchniemy tę hałastrę za mury!” Lecz w tej chwili koń Juliana wspiął się chrapiąc upadł na kolana, trafiony strzałą. Ze zręcznością, której nikt by po nim nie oczekiwał, pan Sydonu stanął na nogi. Był teraz sam w środku nieprzyjaciół. Ale bronił się dzielnie, na każdy cios odpowiadał ciosem. Zwalił z siodła najbardziej naciskającego Mongoła. Wreszcie rycerze przedarli się ku swemu seniorowi. Podano mu konia i otoczono go, gdy wsiadał. Musieli się jednak cofnąć pod gradem strzał tartarskich, od których padło kilka wierzchowców. Ale tylko na chwilę. Julian znowu zebrał swoich wkoło siebie. Powiedział:

— Uderzmy jeszcze raz, panowie. Musimy ich koniecznie wyrzucić za bramę. Wcale nie są tacy straszni, ci Tartarzy. Naprzód więc! Jeszcześmy na taką zwierzynę nie polowali. Warto spróbować czegoś nowego. Śmierdzą wprawdzie, ale będzie potem o czym opowiadać damom.

Dźgnął konia ostrogami i z okrzykiem „Garnier!” popędził na Mongołów. Cofali się przed nim doświadczywszy wpieryw niezawodności jego ciosów. Idąc za Julianem rycerze przedzierali się przez zbitą masę nieprzyjaciół jak stado turów przez podszyty gęsto las. Długie, lekko wygięte mongolskie szable nie mogły sprostać uderzeniom ciężkich mieczów. Wielkie konie Franków obalały przeciwników razem z ich wierzchowcami. Żelazna gromada wypierała Mongołów i krok za krokiem popychała ich ku otwartej bramie.

Ale ogromny wysiłek w walce z przeważającym nieprzyjacielem wyczerpał siły rycerzy. Byli zresztą zmęczeni nocnym marszem, po którym żaden

z nich nie wypoczął. Nad nimi był także upał, który rósł z każdą godziną walki — straszliwy lipcowy pożar syryjskiego słońca. Pławiąc się w pocie poczęli ustawać w natarciu. Mongołom udało się podpalić kilka najbliższych domów i żar ognia jeszcze bardziej utrudniał walkę. Coraz ciężej było ruszać się ludziom w żelaznych garnkach na głowie. Zasypywały ich strzały, konie padały. Kiedy wreszcie padł koń Juliana przygniatając jeźdźca, siła natarcia Franków była już całkiem załamana. Wydobyto pana Sydonu spod trupa wierzchowca i rycerze wsparłszy się o siebie ramionami i zetknąwszy brzegi swych tarczy zaczęli się cofać. Mongołowie z wyciem szli za nimi. Strzelali z łuków, rzucali krótkie dzidy, doskakiwali z mieczami w rękę, cis-kali arkany. Tym przybyszom z dalekiej Azji ani upał, ani żar ognia nie odebrały siły. Zwyciężani w starciu — pozostali niezwycciężeni. Odepchnięci, wracali rozzarci jak brytany. Chcieli przerwać łańcuch rycerzy. Ci jednak trzymali się mocno, ustępując tylko krok za krokiem.

Wtedy zza szeregów mongolskich wyjechał mały wózek zaprzężony w trzy konie rwące wściekłym galopem. Na wózku siedział żołnierz mając między szeroko rozstawionymi nogami żelazne pudło w kształcie smoka z długą szyją sterczącą niby trąba. Woźnica smagał konie batem, a one leciały jak szalone. Wóz wypadł przed linię cofających się rycerzy. Nagle zawrócił w miejscu, aż wybuchnął spod kół i kopyt tuman pyłu. Trąba smoka sterczała teraz na wprost twarzy rycerzy. Człowiek siedzący na pudle zrobił jakiś ruch — i z trąby z hukiem strzelił długi jęzor ognia. Płomienie ogarnęły kilku najbliższych, reszta rozbiegła się z okrzykiem zgrozy. Jedni uciekali, inni padli na kolana zakrywając twarz rękoma. Tych natychmiast zarąbano. Tylko kilku ludzi obok Juliana zdołało się cofnąć pod mur. Linia obrony była przerwana. Mongołowie włali się do miasta.

Wybuchnął dziki popłoch i panika. Odważni wobec Saracenów mieszkańcy Sydonu stracili zupełnie głowę, przekonawszy się, że mają przed sobą Tartarów. Prerażające wieści o okrucieństwach i bezwzględności Mongołów rozsiewane przez ludność arabską sparaliżowały wolę obrony. Tłum mężczyzn, kobiet i dzieci popędził do portu. Popychano się, przewracano, tratowano. W Sydonie nie było cytadeli, więc gdy wróg dostał się za mury, jedynym ratunkiem mogła być tylko ucieczka na wyspę Kalat al-Bahr, na której znajdował się zamek. Nikt już nie walczył. Kto żyw uciekał popychając i odpychając drugich, a dopadłszy morza rozglądał się pilnie za jakąś łódką, barką czy tratwą. Te, które były, napełniły się natychmiast po brzegi. Ludzie, którzy zdołali wsiąść, wrzeszczeli: „Precz! Precz! Już dosyć! Wszys-

cy potoniemy...” — i odpychali innych. Ci jednak napierali, czepiali się burt. Przeładowane łodzie zagłębiały się po wręby. Jedna z barek przechyliła się i nagle fiknęła kozła, wysypując ludzi w wodę i nakrywając ich swoim pudłem. Inne odbijały czym prędzej, ludzie siedzący w nich stracali wiosłami czepiających się. Kobiety wrzeszczały, mężczyźni walczyli ze sobą wśród przekleństw. Ci, co nadbiegali, wzmagali jeszcze powszechny popłoch przynoszonymi wieściami:

- Wszystkich mordują.
- Kobiety gwałcą...
- Znęcają się...
- Napadli na zakonnice...

Każda taka wiadomość była witana wielkim krzykiem. Część ludzi cisnęła się do księży stojących na pomoście, prosząc ich o rozgrzeszenie; inni nie mogąc się docisnąć, spowiadali się jedni drugim lub po prostu wykrzykiwali na cały głos swoje grzechy. Gdzie indziej grono młodych kobiet poczęło błagać stojących obok mężczyzn, by nie pozwolili dostać się im żywym w ręce Mongołów. Rozdzierały suknie i odkrywając nagi bok wołały: „Uderzcie! Uderzcie... na honor chrześcijański...” Wycie Mongołów zbliżało się. Jeden z mężczyzn, chłopak o rozgorączkowanych oczach, ulegając błaganiu dziewczyny, gwałtownym ruchem wyrwał miecz z pochwy i pchnął ją w odkryty bok. Nie zabił jej jednak, tylko zranił. Dziewczyna padła chrapiąc, rżąc, miotając się wśród fontanny krwi. Na ten widok dwie pozostałe porwały się i poczęły na ślepo uciekać przed siebie wydając dzikie okrzyki. Z boku wyskoczyło kilku jeźdźców mongolskich i w pełnym galopie rzuciło się na stłoczonych nad brzegiem ludzi...

Dwóch Mongołów wpadło do gospody. Był tu jeszcze gospodarz, kilku ledwo trzymających się na nogach gości, Lodovico i dziewczęta. Na widok małych, pokracznych postaci brat Stefan wysunął się przed innych, podniósł w górę ręce. Począł mówić głosem przerywanym przez czkawkę:

- Zgiń, przepadnij, duchu nieczysty...

Jeden z napastników uderzył go w brzuch piką. Mnich chwycił obu dłońmi za drzewce, otworzył szeroko usta. Zamiast krzyku wydal tylko głośnie sapnięcie. Upadł twarzą naprzód, aż grot piki wyszedł mu przez plecy. Drugi Mongoł chciał ciąć mieczem Mateusza. Na pomoc ojcu skoczyła Hodierna. Silna, zręczna dziewczyna wykręciła rękę żołnierzowi. Sama chwyciła nóż od chleba leżący na stole. Ale zanim zdołała go użyć, drugi Mongoł

raǳnął ją przez twarz. Upadła ze strasznym krzykiem. Na nią zwałił się Mateusz z rozwaloną głową. Lodovico zasłaniając się toporem przedzierał się ku drzwiom. Za nim biegła Maria, za Marią Iwona. Obie dziewczyny ogarnęły paniczny strach. Jeden z Mongołów mordował innych mężczyzn, drugi popędził za dziewczynami. Lodovico i Maria zdołali wypaść na ulicę. Ale Iwona potknęła się na schodach i upadła. Mongoł przygniótł ją. Jedną ręką ścisnął jej gardło, aż poczęła się dusić, drugą począł zdzierać z niej ubranie. Ale ona nadludzkim wysiłkiem zdołała się wyprężyć i odepchnąć go uderzeniem kolan w piersi. Zerwała się na nogi, dopadła drzwi. Teraz Mongoł potknął się na progu. Słyszała, jak się przewraca. Wybiegła na ulicę powtarzając nieprzytomnie: „Boże... Boże... uciec... pozwól... Boże!” Jacyś ludzie biegli, ona zaczęła biec razem z nimi. Nie widziała już Marii i Lodovica. Gnała na ślepo, przekonana, że Mongoł za nią goni. Uniosła suknię obu rękami i pędziła ile sił, niby ścigana sarna. Przed oczami przemknęła jej wizja ojca leżącego na poprzek ciała Hodierny, z wytrzeszczonymi oczami, z białą głową, która zatoneła w potokach krwi. Czowała także na gardle rękę Mongoła. „Boże! Tylko nie to... nie... nie!” — Od dzieciństwa było w niej zawzięte pragnienie czystości.

Nagle uświadomiła sobie, że przebiega obok kościoła. Bez zastanowienia skoczyła w bok, pchnęła drzwi i wpadła do środka. Był tu kolorowy półmrok przetkany pasmami blasku. Nic nie widziała, szła jak ślepiec z ręką wyciągniętą przed siebie. Zwolna dopiero wzrok począł się przyzwyczajać do ciemności. Nie spostrzegła nikogo. Przyciskając dłoń do piersi, w której szarpało się serce, szła główną nawą ku ołtarzowi. Z boku była kaplica, w której przechowywano Najświętszy Sakrament. Skierowała się tam. Miała uczucie, że tutaj znajdzie bezpieczeństwo. Na stopniach ołtarza klęczał rząd pochylonych postaci. To były tutejsze klaryski. Klęczały podwójnym sznurem, jakby w niemej adoracji. Żadna nie ruszyła się, nawet nie obejrzała słysząc kroki Iwony. Wydało się tylko dziewczynie, że z ust którejś przy końcu szeregu wyrwał się cichy okrzyk. Ale zaraz znowu zapanowała cisza.

Nad ołtarzem wisiał stary krzyż, przed który Iwona często przychodziła się modlić. Podniosła głowę. W nagłym porwywie pragnienia, by być bliżej ołtarza, wcisnęła się między dwie zakonnice.

— Boże... Jezu, Jezu... ratuj mnie! — poczęła szeptać.

Siostry, między którymi ukłękła, podniosły na nią wzrok. Wtedy zerwała się z kolan z dzikim krzykiem i rzuciła do ucieczki. Modlitwa uleciała z jej ust. Spod kwefów spojrzwały na nią dwie potworne maski bez warg i nosów.

Oparła się o ścianę i ukrywszy twarz w dłoniach jęczała w niemej grozie. Ktoś dotknął delikatnie jej ramienia. Odpowiedziała na to przeraźliwym krzykiem: „Nie!” Potem ucichła. Łętkliwie odsłoniła oczy. Ale musiała znowu krzyknąć. Przed nią stała krwawa maskara okryta zakonnym czepcem. Pozbawione warg usta coś mamlaly niezrozumiale. Gest powiedział więcej niż słowa: zakonnica trzymała w wyciągniętej dłoni otwartą brzytwę.

— Nie! Nie! — wołała Iwona. — Nie. Tego nie zrobię!

Tamta coś jeszcze mówiła, potem wzięła dłoń dziewczyny i wetknęła w nią ostrze. Sama powróciła do szeregu klęczących. Brzytwa wysunęła się z palców Iwony i z brzękiem upadła na podłogę.

— Nie — łkała — nie mogę... nie...

Obejrzała się rozpaczliwie. Wyjść stąd, uciekać! Ale przez nie domknięte drzwi kościoła wpadał w mroczną głębię, razem ze strzałami słońca, krzyk walki, zgiełk ucieczki, wycie Mongołów. „Tam nie mogę wrócić — uświadomiła sobie. — Tam...” — Znowu ujrzała ojca wytrzeszczającego oczy, wijącą się na ziemi siostrę, Mongoła, który szedł ku niej z rozczapierzonymi palcami. „Nie! Ale tutaj także...” Z drzeniem patrzyła na klęczące nieruchomo siostry. Trzymała ręce w pogotowiu, by zasłonić oczy, jeżeli któraś z tych upiornych twarzy odwróci się ku niej. — Nie, nie, nie, to nie... — powtarzała gorączkowo.

Wzrok jej szukając ratunku powędrował w górę. Na ciemnoczerwonym tle wisiał krzyż duży i ciężki, znikający prawie pod ciemną postacią Jezusa. Ciało Przybitego skręcało się boleśnie, twarz wykrzywiona cierpieniem zwiśla nisko. Spojrzenie ciemnych oczodołów przykuwało dziewczynę do miejsca. Ugięły się pod nią kolana. „Jezu, ratuj!” Nic poza tymi słowami nie mogła wymówić. Ale w zbolałym obliczu przed sobą nie mogła odnaleźć żadnej pociechy. Jego przerażający wygląd zdawał się łączyć w sobie okropność wszystkich tamtych twarzy: Hodierny, ojca, Mongoła, mniszek... Iwona dygotała coraz mocniej. Nagle pojęła to wszystko, co tyle razy mówił ojciec Hugo o Męce Chrystusa, a co było dla niej dotychczas takie obce. Tu była droga ucieczki. Pod ogromem strachu narodziła się w dziewczynie jakby iskra wdzięczności. Nie odrywając wzroku od krzyża poszukała na ziemi brzytwy. Lecz dotknięcie metalu sparzyło jej palce. Cofnęła rękę. Trwoga i rozpacz wróciły. Pojęła, że nigdy nie zdoła uczynić z sobą tego, co zrobiły zakonnice. Siodełko nosa, tuż pod brwiami, poczęło ją piec, jakby tam już była rana. A jednocześnie czuła, że jeżeli się nie pośpieszy, za chwilę będzie za późno. Krzyk Mongołów rozlegał się prawie w drzwiach kościoła. Serce

biło, jakby jej pierś była dzwonem. Chwilami zdawało się jej, że czuje na gardle dłoń żołnierza. „Nie mogę dostać się w ich ręce — myślała. — Nie mogę, nie! Ale nie mogę także zrobić tamtego...” „Więc się zabij” — wydało jej się, że usłyszała głos dobry i miłosierny. „O, tak! — prawie krzyknęła. — Sam Bóg zsyła mi radę.” Zabić się! To było jedyne, najlepsze rozwiązanie. Śmierć nie przerażała jej, wydawała się czymś najłatwiejszym. Obejrzała się. „Jak się zabić? Wbiegnę na chór i skoczę. Albo na wieżę.” Porwała się z klęczek. Myśli tętniły w niej szybko tysiącem odkryć. „To one źle postępują — myślała zawracając ku środkowi kościoła. — Kto wie, czy Mongołowie mimo tych ohydnych okaleczeń nie podniosą na nie ręki?” Dla niej Mongołowie mogli już przyjść. Przestała się ich lękać. Tak, śmierć uwolni ją naprawdę z rąk Tartarów!

Była już na środku kościoła, pod kazalnica. Jeszcze raz obejrzała się na krzyż. I wtedy przeniknęła ją nagle świadomość, że ciemna twarz pod olbrzymią, podobną do kosza koroną z cierni wiedzie za nią niespokojnym wzrokiem. Niespokojnym? Zatrzymała się. Była teraz blisko drzwi, słyszała wyraźniej tupot kopyt i przeciągły, podobny gwizdowi wiatru krzyk Mongołów. Aby uspokoić siebie i Jego, szepnęła: „Zabiję się dla Ciebie, Chryste, by nie wpaść żywa w ich ręce.” Patrzyła na ciemną głowę, jakby czekała na odpowiedź. Lecz znowu widziała wzrok, który szedł za nią. „Dla Ciebie...” — upewniła. Nie widziała już nawet potrzeby pośpiechu. „Choćby Mongołowie wpadli do kościoła — myślała — wcześniej niż oni wbiegnę na chór”. Ale im mniej było niepokoju w Iwonie, tym więcej zdawało się go być w twarzy Umęczonego. „Przecież to dla Ciebie...” — przekonywała.

W kościele zrobiło się nagle zupełnie ciemno, jakby słońce, które biło w kolorową rozetę nad drzwiami, zgasło lub zaszło za chmurę. Przez uchylone drzwi poczęły się wciskać czarne kłęby dymu. Zrozumiała: miasto paliło się... I o tym myślała bez zgrozy. Wiedziała, że zaraz może wspiąć się na chór i skoczyć. Zginie. Mongołowie może nawet do kościoła nie wejdą. Lecz ona nie będzie czuła ognia. Ucieknie mu, jak uciekła Mongołom. Jedno z wysokich i wąskich okien pod samym łukowatym sklepieniem pękło i czerwony jęzor wwinął się do środka. Cofnął się zostawiając czarny ślad na murze. Ale zaraz wtargnął powtórnie. Patrzyła na to niby na ciekawe widowisko.

Przed kościołem zaklekotały mocniej kopyta końskie. Posłyszała głosy Mongołów. Serce, ale tylko wbrew woli, zabiło mocniej. „Zdążę...” — zapewniła siebie. I wtedy nagle poczuła wstrząs. Był tak silny, jakby kościół

zawalił się obok niej. Przerazona, położyła dłoń na ustach. Wyszpełała blada i dygocąca: „Komu chce uciec?”

Głosy Mongołów huczały przed drzwiami. Ale ona odwróciła się od schodów prowadzących na chór. Powlokła się z powrotem do kaplicy, w której klęczały siostry, niby posągi pokutników w przedsionku kościoła. Upadła na kolana. Ten głos — rozumiała teraz jasno — był pokusą. Podstępna, ubrana — niby w anielski blask — w pozór miłosierdzia. Ale ona pojęła: nie ucieka się z ręki Boga...

Jęcząc z trwogi podniosła brzytwę. Ogarnęła ją słabość, palce drżały jej jak w febrze. „Nie, nie mogę — wyszpełała. — Ty widzisz, że nie mogę... Ale chcę, chcę...” Ciężki zwał ognia, niby szkarłatna pierzyna, wywalił okno i runął do środka kościoła zagarniając suche festony liści. Pojęła, że za chwilę wszystko będzie płonęło, że nie potrzebuje już przed nikim uciekać. W poczuciu wdzięczności osunęła się twarzą na posadzkę. Bała się strasznie — ale ten strach zdolna była znieść. Pęk płonących liści upadł na ołtarz zapalając po drodze świecę. Zakonnice nie drgnęły — modliły się w kamiennym bezruchu...

Dwie genueńskie galery wolno podpływały do brzegu. Uderzenia wiosel były coraz delikatniejsze. Wzdłuż burty stali żołnierze z kuszami gotowymi do strzału. Tłum, w którym odżyła nadzieja, cisnął się do brzegu i krzyczał. Śmielsi lub niecierpliwsi rzucali się w wodę i płynęli ku statkom. Ci, którzy bezradnie wyczekiwali śmierci z rąk Mongołów, wrzeszczeli teraz o ratunek. Matki unosiły dzieci w górę, jakby przez nie żebrały pomocy.

— *Amici... To ja... Soccorso...!*

Lodovico przedzierał się przez tłum ku wodzie wymachując gwałtownie rękami. Maria wciąż biegła za nim. Nie wypuściła z rąk poły kaftana marynarza. Za wszelką cenę chciała żyć. Za nimi płonęło miasto, o parę kroków od nich umierali ludzie. Ale ona nie myślała o tym, jak nie myślała o ojcu i siostrach. Chciała żyć. Ten głupi Lodovico mógł ją uratować. Dlatego nie puszczała go. Ciągłe biegła za nim, zadyszana, mokra od potu, z twarzą usmarowaną pyłem i popiołem. Galera była coraz bliżej. Tam, gdzie miała dotknąć pomostu, tłum napierał z coraz większą siłą. Stojących nad samym brzegiem spychano do wody. Ciężkie brzemie ludzkie, splątane, przechylone nad chlupiącą powierzchnią morza, czekało, by runąć na pokład, gdy tylko

burta galery znajdzie się dość blisko. Ale tamci zatrzymali się w odległości opartych o pomost wiosła. Jakiś człowiek spoza pleców kuszników wołał:

— Cofnąć się!

Odpowiedział mu krzyk. Zamiast cofnąć się, napierano jeszcze mocniej. Kilka osób spadło w morze. Spoza ciżby słychać było wycie Mongołów i jęki zabijanych.

— Cofnąć się! — powtórzył tamten. — Nikogo nie zabierzemy, póki nie ocalimy sire Juliana. Przepuście swego seniora...

Pan Sydonu był także w tłumie. Wyszedł z walki okrwawiony, ale cały. Wraz z kilkoma towarzyszami przedarł się do portu.

— Miejsce dla szlachetnego rycerza de Garnier! — wołał Genuńczyk.

Drżący z niecierpliwości i trwogi ludzie zrobili jednak przejście. Z okrętu wysunięto deskę. Julian z towarzyszami przeszedł na pokład. Za nimi dopiero po jednym poczeli przechodzić ludzie

— Witajcie, panie — powitał Juliana kapitan. — Cieszę się, że zdążyłem.

— Zdążyliście, ale po prawdzie w ostatniej chwili.

Mongołowie usiłowali zaatakować galere, ale widząc ich zbliżających się kusznicy poczeli strzelać. Szyli gęsto strzałami nie oszczędzając ludności, za którą kryli się Tartarzy. Robili to spiesznie i sprawnie: po każdym wystrale żołnierz przydeptywał nogą głowicę kuszy, schylał się i obrotem dłoni nakręcał cięciwę. Ludzie wciąż przedostawali się na pokład. Cisnęli się i gnietli, a mimo to wciąż na brzegu znajdował się wielki tłum. Nie było już prawie gdzie stać na statku.

— Dosyć! — wydał komendę kapitan. — Odbijamy! Zdjąć deskę!

Marynarze chwycili za deskę chcąc ją wciągnąć. Ale ludzie z brzegu zauważwszy to schwycili drugi jej koniec. Ciągnęli okręt do brzegu. Wtedy kapitan kazał marynarzom puścić. Tamci upadli zadzierając nogi do góry. Odbita pchnięciem wiosła galera poczęła wolno oddalać się od pomostu. Ryk tych, co pozostali, napełnił powietrze. Słychać było także spazmatyczne szlochanie kobiece. Z obu stron wyciągnęły się nad wodą ręce. Ludzie, których rozdzielała woda, wołali do siebie:

— Ojczy! Moje dziecko! Zuzanno! Ratujcie nas! Szymonie! Nie odpływajcie...

— Przyplniemy po raz drugi! — darł się kapitan usiłując przekrzyczeć

zgiełk. Nikogo to jednak nie mogło pocieszyć — każdy zdawał sobie sprawę, że zanim galera przybije do brzegów wyspy, pozostała w porcie ludność zostanie wymordowana.

— *Soccorso!*

Lodovico z uczeptioną u ramienia Marią pozostał na brzegu. Próżno starał się przepchnąć. Tłum go nie puszczał. Usiłował jeszcze krzykiem i gestami zwrócić na siebie uwagę. Maria wołała także wspinając się na palce:

— Na pomoc!

Kapitan zauważył ich wreszcie.

— Nasz majtek. Trzeba go zabrać.

Nie było to jednak łatwe. Obciążona galera oddaliła się o parę łokci od brzegu.

— Skacz do wody! Wyłowimy cię!

— Ona utonie! — krzyknął.

— To ją zostaw! Znajdziesz inną! Skacz!

Widać było, że chłopak nie wie, co ma robić. Maria trzymała go z wszystkich sił za szyję przywarłszy do niego całym ciałem. W końcu z nagłą determinacją ogarnął ją ramieniem w pół i dopadł brzegu pomostu. Nie puszczając jej — skoczył. Polecieli niby dwa wyrosłe na tej samej łodydze jabłka. Dziewczyna tuż nad wodą wydała krótki miauk wystraszonego śmiertelnie kota. Oboje dali nurka, lecz za chwilę ich głowy ukazały się na powierzchni. Chłopak usiłował płynąć, dziewczyna czepiała mu się szyi, wspinała na ramiona; niewiele brakowało, aby utonęli. Z pokładu rzucono im kawał korka na linie. Marię pierwszą wciągnięto na okręt. Potem Lodovica. Oboje stali na pokładzie mokrzy. Chłopak dyszał i kaszłał łyknąwszy tęgo wody. Twarz miał podrapaną paznokciami dziewczyny. Maria wyżywała brzeg spódnicy. Nagle poczęła chichotać, jakby ją kto łaskotał. Ludzie popatrzyli na nią niby na szaloną. W miarę jak okręt oddalał się od brzegu, widać było w całej grodzie płonące miasto, a na pomoście nad brzegiem czarny tłum ludzi i uwijających się obok Mongołów.

— Maria! — z tłumu uratowanych wysunął się Jakub. Zdołał się przebrześć do portu razem ze swym panem w poczcie sire Juliana.

— Jakub! — krzyknęła. Rzuciła mu się na szyję i przycisnęła mocno. Lodovico, ciągle jeszcze dysząc po walce z morzem, tępo spoglądał na rywala. Ludzie nie zwracali na nich uwagi: patrzyli ze zgrozą na brzeg. Mon-

gołowie wdarli się właśnie między ostatnią gromadę ludzi stłoczoną nad samą wodą. Widać było, jak zabijają mężczyzn i wywłóczą z tłumu kobiety. Powiew wiatru rzucił kłąb dymu i na chwilę przysłonił im ten widok. Spoza dymu, niby zza czarnego woalu, widać było krąg bezlitośnie rozpalonego słońca.

— Straciłeś swoje miasto... — ktoś powiedział obok Juliana. Pan Sydonu obejrzał się zdumiony. Któż mógł tak do niego powiedzieć? Obok pomostu, na którym się znajdował, stał wysoki człowiek w ubraniu marynarza, z założonymi na piersiach rękami. Czyżby to ten chłystek ośmielił się odezwać?

— Coś powiedział? — zapytał gniewnie.

Tamten podniósł głowę. Julian ze zdumieniem poznał twarz pod szeroko-skrzydłym kapeluszem marynarskim.

— To ty?

Mężczyzna mrugnął porozumiewawczo.

— To ja.

Zapytał ściszym głosem:

— Wracasz od chana Berke?

— To moja sprawa, skąd wracam. Patrz lepiej, jak ginie twoje miasto... — Skurcz jakiegoś uczucia sprężył twarz olbrzyma: jego nozdrza rozděły się, nos naciągnął w łuk, a usta zacisnęły. — Ładny widok, co? — powiedział. — Nie ma to jak rycerze chrześcijańscy! U was zawsze najmniejszy niszczy to, co zrobił największy.

2

Noc już była, gdy Hettum przybył do Acre. Było mu jednak tak spieszo, że odesławszy ludzi na kwaterę do klasztoru braci mniejszych, gdzie zwykł był stawać, sam udał się niezwłocznie do pałacu patriarchy. Wiedział zresztą, że arcybiskup ślęczy długo w noc nad księgami i nie powinien jeszcze spać. Jakoż istotnie brat trynitarz, który wyszedł do niego na dziedziniec, upewnił go, że Jakub nie śpi i chętnie będzie z nim rozmawiał. Z pochodnią w ręku poprowadził go przez ciemne korytarze i kręte schody na górę. Zapukał, a potem wprowadził Hettuma do wielkiej izby o łukowym sklepieniu. Izba tonęła w mroku, bo oświetlała ją tylko jedna gruba świeca w żelaznym

lichtarzu. Arcybiskup siedział na wysokim stolku przed pulpitem, na którym leżał potężny foliał oprawny w drewnianą okładkę. Ale na widok Hettuma powstał z uśmiechem.

Witaj, synu — powiedział. — Cieszę się, że cię widzę. Myślałem ostatnio dużo o tobie. Siadaj — wskazał mu inny zydel. W izbie były tylko twarde drewniane sprząty. — Coś cię chyba bardzo ważnego sprowadza do mnie, że przychodzisz o tak późnej porze. Ale dla mnie to czas dobry. Stary człowiek jak ja najlepiej się czuje i myśli w nocy.

Odprowadził braciszka i zostali sami. Hettum nie był tu nigdy na górze. Na dole dworzec był wspaniały, jak przystało na pałac dostojnika Kościoła. Tu jednak było surowo niby w klasztornej celi. Oprócz zydli i ław bez pokrycia znajdował się w izbie jedynie pulpit, tapczan oraz wielka, otwarta w tej chwili skrzynia, w której leżało kilka ksiąg.

— Przerwałem waszej dostojności czytanie — rzekł Hettum.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. Książki mogą czekać. Człowiek nie powinien. Choć to ciekawe jest dzieło...

— A cóż to takiego, wasza dostojność?

— Księga św. Augustyna „De civitate Dei”. Dla naszych czasów napisana!

— Św. Augustyn żył przecież dawno.

— Bardzo dawno Ale żył w podobnych jak my czasach. On także widział, jak na świat, który już poznał chrześcijaństwo, szły ludy nowe, dzikie, barbarzyńskie, nie znające nauki Chrystusowej, a przecież odczuwające wobec niej jakby szacunek. Słyszał, że Germanowie zdobywszy Rzym i zniszczywszy go z całym okrucieństwem, ocalili przecież kryjących się w świątyniach ludzi. To go natchnęło myślą napisania tej księgi. Wielki biskup wiedział, że Kościół — Państwo Boże — ma dziwną moc przyciągania ku sobie ludzi i zmieniania ich. I patrz, synu, co się stało. Germanowie, którzy wydawali się zagładą chrześcijaństwa, stali się jego siłą. Frankońscy królowie przyszli po koronę do Ojca świętego. Karol Młot rozgromił Saracenów, gdy wtargnęli do Europy. Krzyżowcy, którzy przyszli odbierać z rąk niewiernych Grób Pański, pochodzili z rodów germańskich. Nieprawdaż?

Głos starego arcybiskupa zdawał się podzwaniać o łukowe sklepienie izby.

— Czemu mi to wasza dostojność mówi? — zapytał nagle Hettum.

— Pytałeś, tagawor, o księgę....

— Nie! Nie! To nie dlatego mówicie mi o tym. Ja wiem...

Pantaleon uśmiechnął się.

— To prawda — przyznał — nie dlatego. Nie powinienem cię, tagawor, oszukiwać. Wydało mi się, że księga św. Augustyna odpowiada nie tylko na moje myśli.

Podniósł na arcybiskupa roziskrzony nową nadzieją wzrok. Zerwał się z miejsca, na którym siedział.

— Wasza dostojność naprawdę o tym myśli? Wasza dostojność.. Przecież ja właśnie z tym... To...

Łagodnie dotknął ramienia Hettuma. Dobrotliwym gestem wskazał mu zydeł.

— Siądź, tagawor. Rozumiem twój zapał. Na pewno, wierz mi, nie jesteś sam ze swoimi myślami. Tylko wy, ludzie świata, chcecie być bardzo szybcy. A my, ludzie Kościoła, musimy być powolni, sto razy rozważający sprawę, którą wyście dawno już rozstrzygnęli. Nie zawsze możemy być czynami z najspieszniejszymi spośród was. Ale zawsze jesteśmy z nimi sercem.

— Sprawy świata nie czekają — zauważył. — Sprawy świata wymagają odpowiedzi szybkich i zdecydowanych.

Po suchej twarzy Pantaleona przemknął wyraz smutku. Nieznacznie zacisnął chude palce splecione jak do modlitwy i omotane różańcem.

— Wiem... — przyznał.

— Choćby teraz — podjął Hettum. — Patrzcie, wasza dostojność: stało się jak w waszej księdze. Barbarzyńcy przyszli. Gdy w nas siła osłabła, oni przychodzą z potęgą. I ta potęga stać się może mocą Kościoła! Chwila jest stosowna. Chan Hulagu odjechał pozostawiając władzę nojonowi Kitbuce. Kitbuka jest chrześcijaninem.

— Mówiono mi — przerwał Jakub — że niewiele wie o prawdziwej wierze.

— Być może. Lecz, wasza dostojność, czy i wśród nas nie brak ludzi, którzy źle wierzą? Zarzucaliście moim księżom w Armenii, że błędnie nauczają. Ale nie potępiście ich. Powiedzieliście, że błędy to rzecz ludzka. A Kitbuka chce być chrześcijaninem! Czy to nie najważniejsze?

— Zgadzam się z tobą, mój synu — powiedział patriarcha.

— Kitbuka pójdzie i zdobędzie Jerozolimę — ciągnął z zapalem Hettum. — Potem zniszczy cały Islam. Zniknie największy wróg chrześcijaństwa. Zapanuje pokój...

Widział, jak twarz arcybiskupa, rozjaśniając się stopniowo w miarę jego słów, zasepiła się znowu. Poczul jakby zimną rękę na sercu. Stary dostojnik wydał mu się ślimakiem: wysunął głowę ze swej skorupy i cofnął ją z powrotem.

— Lecz czy wówczas Tartarzy... — zaczął.

— A co się stało z Germanami? — wybiegł mu naprzeciw. — Samiście, wasza dostojność, powiedzieli!

— Powiedziałem — przyznał — ale...

— Musi być tak samo! — gorączkował się. — Czyżbyście, wasza dostojność, i wy wierzyli — wybuchnął — że oni nie są ludźmi, lecz szatanami?!

Pokręcił głową.

— Nie, naturalnie, że nie. Na ziemi żyją tylko ludzie i dla nich wszystkich zstąpiło z Chrystusem Królestwo Boże. Czy są żółci, czy czarni...

— Więc wszyscy — wykrzyknął porywczo — na swojej drodze idą ku Bogu!

Zapadło milczenie, w którym słychać było tylko pykanie płomienia świecy i pryskanie wosku. Hettum oddychał prędko. Grał w nim zapach. Tym razem droga od namiotu chana była krótsza, nie sposób było na niej ostygnąć. Pantaleon zmarszczył brwi. Zaciśnął dłonie; ciężki różaniec z oliwkowych rzeźbionych pestek chrząścił mu w palcach.

— Powiedziałeś wielkie słowo, mój synu — przyznał z powagą. — Chyba ci je Duch Św. podszepnął. To prawda: każdy ma swoją drogę, by nią szedł do Boga. Żeby tylko chciał iść! Niestety — westchnął — wielu z tych, którzy przeczytali księgi św. Augustyna, pojęli z nich tylko tyle, że są dwa królestwa: Boże i ziemskie. Pierwsze święte, drugie grzeszne — więc między nimi muszą być drzwi zamknięte na siedem spustów czy może na ów klucz mądrości, o którym mówi ewangelia. A tymczasem tak nie jest i tak nie napisał święty biskup. Pomieszane są ze sobą oba królestwa i nie nam rozdzielać, czego Bóg nie rozdzielił, nie nam powstrzymywać wzrost zboża, by wypielić kłokol. Pamiętaj, synu, jak powiedział Chrystus, że nikt nie leje młodego wina w stare bukłaki? Człowiek musiał urosnąć, by móc pojąć Jego naukę. Ale to wino fermentuje dalej i ciągle trzeba nam rosnać, by nas nie

rozerwało, jeśli się zestarzejemy. Wielu myśli, że Kościół już dorósł i dalej rosnać nie będzie; jest już tym, czym się miał stać; że mu przynależy władza nad światem, zaszczyty, honory, bogactwa, posłuszeństwo... Że nie musi już nikomu służyć! Są nawet tacy, którzy marzą o jakiejś nowej epoce, nie męczącej pielgrzymki, ale piorunujących triumfów. Ja tak nie myślę. Mnie się zdaje, że my ciągle jesteśmy młodzi i ciągle mamy być młodzi. Nie wolno się nam zestarzeć, jeśli mamy być tym, czym Chrystus być nam kazał. Ciągłe nam trzeba iść, dalej i dalej, zawsze naprzód, jak idzie młody czeladnik w poszukiwaniu najlepszego mistrza.

— Wasza dostojność... — zaczął zdumiony.

— Rozumiem twoje zdziwienie — ciągnął. — Widzisz, są chwile, gdy nawet biskup nie mówi jak z ambony, ale odkrywa drugiemu człowiekowi niepokoje swego serca. Ja wiem — minął wzrokiem Hettuma, popatrzył gdzieś w mrok osnuwający ściany izby — że jestem człowiekiem lęklwym. Niech Bóg mi będzie miłościwy... Gdybym był świętym — umiałbym zawieńczyć. Święci się także mylili, lecz święte były ich pomyłki. Świętemu przebaczona jest zuchwałość i lekkomyślność. Ale kiedy się raz odmówiło Bogu, człowiek traci swobodę... — Odwrócił głowę z powrotem ku Hettumowi, a na oświetlonej ścianie zarysował się jego wyrazisty, suchy profil: głowa ptaka o garbatym zwisającym dziobie. — Wiem, synu — wyznał z rozdzielającą serce żalnością — że brakło mi odwagi, by stanąć obok ciebie...

Wolno dźwignął się ze swego stołka. Podszedł do skrzyni, wyjął z niej małe okute pudełeczko, zamknięte na misterny zamek. W pudełku był rulon opatrzony pieczęcią. Ze czcią dotknął ustami czarno-czerwonego, niby zaschła krew, laku. Podał także pieczęć do pocałowania Hettumowi.

— To pismo apostoła... — powiedział.

Rozwinął je starannie. Blask świecy padł na żółty płat pergaminu, na którym złotem, czerwienią i wielu jeszcze barwami był wymalowany ozdobny inicjał przedstawiający świętych Jerzego i Marcina walczących ze smokiem. Litery, niby źle ociosane kolki, wysuwały to w dół, to w górę swoje kanty. Głosem nieco drżącym przeczytał tytuł:

— *Aleksander, episcopus, servus servorum Dei, Hulagu, Tartarorum Principi, salutem et apostolicam benedictionem...*

Jakby nagłym porywem wyrzucony w górę, Hettum zerwał się ze swego zydła.

— Ojciec święty — wykrzyknął — napisał do Hulagu?!

— Tak.

— Co pisze?

— Pozdrawia go i winszuje zwycięstwa nad wspólnym wrogiem. Wzywa go, by dopełnił swej obietnicy i przyjął chrześcijaństwo...

— Obietnicy? Hulagu takich obietnic nie robił!

— Tak jednak doniesiono Ojcu świętemu.

— Skłamano!

— Niestety, ludzie skłonni są widzieć samo zło lub samo dobro. Ten, kto taką wiadomość przesłał apostołowi, więcej pragnął triumfu niż prawdy.

— Lecz wy sprostowaliście, wasza dostojność? — zapytał głosem zmatowiałym.

— Napisałem Ojcu świętemu...

— A on?

— Odpowiedział, abym sam zdecydował, czy mam wobec tego oddać list chanowi, czy też nie.

Smutek przydusił jego poryw, jak kaptur gaśnika — płomień świecy. Gorycz przesączyła się poprzez słowa:

— Wyście jednak, wasza dostojność, list schowali...

— Schowałem — odpowiedział, jakby w grubych murach odezwało się echo — schowałem... Nie pojechałem z nim do chana...

— Boże! — powiedział ze straszliwym żalem — a przecież gdyby pod Aleppo przybył patriarcha Jerozolimy z listem od Ojca świętego, nawet powołującym się na tamtą nieprawdziwą obietnicę... Boże... Byłoby całkiem inaczej! Nie musiałbym tam stać sam, świecąc oczami za całe chrześcijaństwo!

Ręce mu opadły, aż dłonie uderzyły z hałasem o uda.

— Sądziś mnie surowo, niewątpliwie... — powiedział Jakub. — A jednak, mój synu, nie ty jeden uginasz się pod ciężarem największych decyzji. Wydaje ci się, że człowiek okryty kapą biskupa przestaje być kimś, kto musi walczyć ze słabościami i wahaniem. Wierz mi, w tiarze czy w mitrze, jak i w koronie — jesteśmy tylko sobą. Wielkie gesty, wielkie śmiałe przemiany — któż z nas o nich nie marzy, gdy go Bóg powoła na tak wysokie stanowisko? Czy sądziś, że obejmując tron patriarchów Świętego Grobu nie pragnie się czegoś więcej poza prawem do używania wspianego tytułu?

Wielu z nas może nosi w sobie plany i wezwania mające, jak nam się zdaje, odmienić świat. Ale równocześnie pozostaje lęk... Byle wiatr w oczy, a już zaczynamy sobie tłumaczyć, że nasz plan byłby wykonalny w innych czasach, przy innych ludziach. Zaczynamy mierzyć dzieła Boże nędzą ludzką! Składamy ręce i mówimy: Panie, my chcemy, ale Ty uczyń cud... Bóg jednak nie lubi cudów. Nie lubi. Woli poprawiać naszą niedołężność.

Wyprostował się, odchylił głowę w tył. Położył obie dłonie na pulpicie niby na instrumencie muzycznym. W izbie była tak wielka cisza, że poprzez okiennice i uśpione miasto słychać było grzmot morza.

— Mówi Paweł apostoł — podjął znowu — że są ludzie, których dzieło ginie, ale oni sami są zbawieni, „jakoby przez ogień”. Oby bodaj tak było z nami, z nami cośmy tyle napsuli! Chrześcijanom, mój synu, grozi wielkie niebezpieczeństwo, gdy chcą widzieć zawsze triumf swojej sprawy. Tymczasem dzieła Boże dokonują się wśród klęsk i zawodów, z trudem i oporem, przy pomocy rąk niegodnych i nieumiejętnych. Takie są tajemnice Pańskie. Czy mamy się o to obrażać? Czy mamy mówić: Panie, zmień ten świat, a wtedy będziemy wykonywali Twoją wolę?

Rozdęte w stawach palce stuknęły w pulpit.

— Baronowie tutejsi — mówił dalej — znasz ich... Ciężka to rola być głową w Kościele, gdy ma On takich obrońców. Czy wolno mi ich jednak opuścić i zamienić na pogan? Jedna uratowana dusza warta jest wielkiego zachodu — mówi ewangelia. Lecz nie straty innych dusz! Czy wolno mi dla jednej nie odnalezionnej jeszcze duszy ryzykować stratę tych, które już mam, a raczej, które się jakoś koło mnie trzymają? Wierz mi, synu, to nie są sprawy łatwe! Poprzedni patriarchowie mieli robotę łatwiejszą. Byli tylko sumieniem królów. Dziś króla nie ma. Dziś nikt nie rządzi królestwem, a raczej wszyscy nim rządzą, jak chcą. Gdy nie ma króla, patriarcha winien sprawować rządu. Więc rządzę, czy też łudzę się tylko, że rządzę. Ale na kim może się wesprzeć moja władza? Na nikim! Na nikim! Ostatnia broń, ekskomunika, stępieła mi w rękach od nadmiernego użycia. Nie boją się jej nawet rycerze zakonni. Jedna wojna trzyma tych ludzi jako tako w gotowości. Gdy czują niebezpieczeństwo — stają przy mnie. Ale kiedy zapanuje pokój, wymykają mi się z ręki. To strasznie brzmi, co ci powiem: ale bez wojny cały ten świat rycerski stałby się nie do zniesienia! Jestem synem szewca, nie znam się na honorze rycerskim. Ale dla nas, biedaków, rycerz był tylko wtedy dobry, gdy odchodził walczyć w dalekie kraje!

Ze spuszczoną głową osunął się na stołek. Wydawał się zmęczony dłu-

gim mówieniem, niby wyczerpującą pracą; oparł czoło na rękę i oddychał głośno. Głosem cichszym, jakby złamanym, kończył:

— A przecież nie mogę się ich wyprzeć! Muszę ich ganić, karcić, napominać, ale nie wolno mi od nich odejść. Niechbym ich opuścił — staliby się heretykami, jak tamci w Langwedocji... — Westchnął. — Powiedziałem ci: Bóg nie lubi cudów. Oby mi był litościwy, że mówię o Nim jak o towarzyszu z jednej celi. Nie robi baronów aniołami. Chyba, że ja...

Westchnął i nie skończył. Przesunął wierzchem dłoni po oczach, jakby zbierał łzy. Znowu posapywał i kiwał się nad leżącym na pulpicie rulonem. Ani się spostrzegli, że za oknem pojaśniało i poza kręgiem żółtego blasku rozsiewanego przez świecę stała już nie ściana mroku, ale nieśmiały, oprószony szarością dzień. Dzwon od dominikanów począł bić na laudesy. Pantaleon drgnął; zrobił ruch ramionami, jakby z nich zsuwał niewidzialny płaszcz. Nagle zwrócił się do Hettuma.

— Chcę stanąć przy tobie, tagawor — powiedział. — Tak! — potwierdził widząc błysk niedowierzania w oczach króla. — Odkryłeś rzecz ważną: to Tartarzy czekają na nas, byśmy im dali, co się im należy. Ten list — wskazał na pergamin, na którym kolorowa plama inicjału zmatowiała w półtonach dnia i nocy — winien zobaczyć Kitbuka.

— Zgodzicie się go pokazać, wasza dostojność? — zapytał.

— Tak... — zdawał się zmagać z kimś niewidzialnym. — Pokażę mu ten list. Przeczytam go także baronom...

— Wtedy — zawołał — nie będą się opierali! Pójdą! — Wstąpił weń nowy entuzjizm. — Wasza dostojność, dziś lub nigdy! To się już nigdy nie powtórzy! Bóg tak chce!

Nagły poryw powietrza przygasił świecę. Jej płomień sycząc szarpał się u knota. Potem drzwi zamknęły się, rozkołysany żółty jęzor powrócił do równowagi. Jakub zwrócił się do stojącego ze schyloną głową trynitarza:

— Przeszedłeś, bracie, obudzić mnie na modlitwy?

— Tak, wasza dostojność. A także...

— Co jeszcze, bracie?

— Wieści przyniosłem ważne, wasza dostojność. Rycerz Julian de Garnier przybył przed chwilą do miasta...

— I cóż w tym ważnego?

— Wasza dostojność, Sydon zdobyty, spalony, ludzie wycięci.

- Święty Jakubie Apostole! Sydon zdobyty? Saracenowie?
— Nie, wasza dostojność, Tartarzy...

3

Po zszarzałym niebie leciały prędko czarne i strzępiaste kłaki chmur. Pędził je wiatr poświsując nad płaskimi dachami domów. Morze za barierą murów huczało i przelewało się niespokojnie. Na pustych ulicach stukot kopyt końskich rozlegał się niby dźwięk bębna. Hettum jechał stępą wsparłszy się obu rękami o przedni łęk. Chwilami wicher spadając w ciasne uliczki smagał go po twarzy i rozwiewał na nim płaszcz, by znowu ulecieć w górę. Jego myśli były jak ten wiatr: dopadały go, okręcały, szarpały nim niby setki rąk, by nagle odbiec — pozostawiając go w pustce. Jak we śnie wyszedł od arcybiskupa, jak we śnie jechał przez miasto. Chwilami nachodziło go uczucie, że jest kimś drugim, kimś, kto patrzy z boku na samego siebie, słyszy własne słowa wypowiedane szeptem, równie obco jak metaliczny dźwięk kopyt na wykładanej płaskimi głazami ulicy. Potem z piekącym bólem — wracała w nim świadomość jedności. To nie on kierował myślami, to myśli robiły w nim, co chciały. Właściwie — czy to były myśli? Nie było w nich początku ani końca, nie było odkryć czy rozwiązań; tylko osuwająca się spod nóg krawędź, zawrót głowy niby we śnie, gdy wydaje się, że spadamy. Hettum spadał, lecz nie budził się. Jechał dalej wąską, kamieniami wyłożoną ulicą, mając tuż nad głową dachy — tarasy. Tu i tam na górze spali ludzie: spoza krawędzi zwisała bezwładna dłoń lub wystawała stopa o żółtej stwardniałej podeszwie. Czasami zatrzymywał się — ulicę zagradała brama; poszczególne dzielnice miasta były na noc zamykane. Pacholek zsiadał z konia, krzykiem i waleniem budził strażników. W końcu brama otwierała się, ukryty za nią wiatr uderzał niespodziewanie w twarz. Hettum jechał dalej, ciągle wyprostowany na siodle, ciągle zawieszony między snem a rzeczywistością. Okryta prześcieradłem kobieta z wielkimi kołami w uszach, spadającymi aż na ramiona, wyjrzała zza muru. Uśmiechając się zachęcająco zrobiła gest, jakby chciała przywołać jadącego rycerza. Ale wzrok Hettuma zsunął się po niej jak strzała po gładkim murze. Widział ją, a jednocześnie nie widział. Świat jego przeżyć był niedostępny dotknięciom z zewnątrz. Nie wiedział, czy jedzie od dawna, czy też dopiero przed chwilą półsennie przekładał nogę nad wysokim oparciem tylnego łęku. Jeszcze miał w uszach bełkot trynitarza: „Tak, tak, na pewno, tagawor... to Tartarzy... Opowiadał

mi o tym giermek rycerza de Radoudal... Spadli niespodziewanie rankiem na miasto... Wycinali, palili..." Tartarzy? — zapytał siebie jadąc. Skąd Tartarzy? Dlaczego Tartarzy? To jakaś pomyłka, nieporozumienie... Odruchowo skręcał stopy piętą ku bokom konia. Przyśpieszał chód wierzchowca, bo chciał przekonać innych i siebie, że to tylko nieporozumienie. Ale potem znowu pozwalał koniowi zwalniać. Czymżeż mógł się przeciwstawić wymowie wydarzeń? A mimo to nie było w nim urazy do Kitbuki. Po roku wspólnych walk zawiązała się między nim a wodzem Tartarów jakaś więź... Co to było? Przyjaźń? Choć zdawał sobie sprawę z powagi chwili — żal, który był w jego sercu, nie zwrócił się przeciwko Mongołom. Tym razem — był po ich stronie...

Jadąc podnosił oczy i patrzył na gwiazdy z rzadka rozsiane wśród archipelagu chmur. Kiedy pytał: dlaczego — patrzył w górę. Nie było w nim gniewu, tylko smutek. Czy tak będzie zawsze? Prosto widział świat stary pan z Lampronu, gdy mówił: „Dziewczyna, synu, wszystko zapomni. Pokaż jej tylko siłę i stałość...” Ale Zabel nie zapomniała. Zawsze pamiętał jej wzrok sięgający poza jego ramię, odpychający jak klinga miecza. Taki sam jak wówczas, pierwszej nocy w Tarsie. Mijały lata i nic się nie zmieniało. Najpierw mówił: wytrwam — ale potem stawało się coraz trudniej. Kiedy jednak zdradził żonę, dokonał równocześnie odkrycia, że taka sytuacja jest jeszcze trudniejsza. W oczach kobiety wyczuwał drwinę: ach, więc słabnieisz? Pojął, że jeśli istnieje w ogóle jakaś szansa zwycięstwa, zawiera się ona tylko w nieustępliwej walce bez wytchnienia. Nie o takiej sile myślał niewątpliwie sire Konstantyn. Ale Hettum czuł: „Jest coś we mnie, że tylko tak mogę zwyciężyć”.

Jechał wybrzeżem wzdłuż niskiego muru, poza którym huczało morze. Fale nadciągały rosnącym szumem — szszszszuh! — który kończył się głuchym uderzeniem o kamienną zapórę. Czasami fala goniła falę, a czasami narastający dźwięk nie kończył się stuknięciem, lecz rozpląwał się i cichł. Wiatr świstał przedzierając się przez wyziory w murach. Z wysokości siodła Hettum mógł widzieć nad wrębami muru połyskującą powierzchnię morza i ogień na wieży Much, jak zachodzącą za horyzont gwiazdę. Z pachnącej krwią dzielnicy Rzeźników przejechał do dzielnicy Weneckiej, potem wzdłuż muru zbliżył się do wielkiej posepnej budowli, spadającej z jednej strony pochyłymi nieco murami w morze. Gdy wiatr cichł i tylko fale waliły o kamienie, od strony zamku, słyhać było śpiew, niski, głuchy, groźny. Stanąwszy pod bramą mógł nawet rozróżnić słowa:

*...Bo Bóg to Bóg wielki,
wielki Król nad wszystkimi bogami.
Bo w jego ręku są wszystkie krańce ziemi,
Jego są szczyty gór.
Jego jest morze, które stworzył,
i ład uczyniły Jego ręce...*

Otworzono mu szybko; strażnicy widać nie spali. Dziedziniec zresztą pełen był osiodłanych koni, okrytych barwnymi kapami spadającymi aż do ziemi. Pachołcy oprowadzali je wkoło. Rycerz w białym płaszczu z czerwonym krzyżem na piersi zbliżył się, by powitać Hettuma.

— *Laudetur Jesus Christus*. Witajcie, tagawor... Przybyliście do Acre? Cóż za nieoczekiwana wizyta. Wszyscy baronowie są teraz u nas i słuchają opowieści seniora Sydonu.

Dwóch czarno ubranych pachołków przytrzymało konia. Z otwartych drzwi kaplicy płynął ciągle śpiew, zlewając się w jedno z hukiem morza, które targało się za grubymi murami. Pieśń rozbrzmiewała równo, bez pośpiechu, jak hymn śpiewany przed bitwą. Oprowadzane konie parskały; ich kopyta uderzały miękko o ziemię, czasami trzaskały o kamień. Hettum wyjął stopę ze strzemienia i uściśnął dłoń rycerza de Ryet.

— Przybyłem właśnie do jego dostojności arcybiskupa, gdy opowiedziano mi wieść niewiarogodną, którą miał przywieźć mój zięć.

— Zaraz usłyszycie o wszystkim z jego ust, tagawor. — Ryet zawołał pachołka i kazał mu pobiec przodem, by zawiadomić wielkiego mistrza o przybyciu Hettuma. Drugi pachołek z pochodnią w ręku prowadził ich kamiennymi korytarzami i krętymi schodami. Groźne i tajemnicze mury, rozjaśnione światłem, zdawały się usuwać. Stąpania i głosy rozlegały się pośród nich echem, a potem nagle cichły jakby przygniecione dłonią. W pewnej chwili gdzieś z samej głębi zamczyska doleciał rozpaczliwy, pełen przerażenia głos ludzki i zaraz zamarł. Ale rycerz de Ryet nawet nie drgnął, szedł obok Hettuma pobrząkując ostrogami, pełen surowej grzeczności.

Masywne, nabijane gwoździami drzwi uchyliły się przed nim i Hettum usłyszał głos, który zapowiadał:

— Jego dostojność król Armenii i Cylicji.

Izba była wielka. Na środku stał stół zastawiony dzbanami i kubkami. Kagańce na długich drągach paliły się wzdłuż ścian, powtykane w żelazne

uchwyty. Przy stole siedziało wielu rycerzy, którzy teraz powstali. Tomasz Bérard podszedł do Hettuma i skłoniwszy się powiedział w imieniu wszystkich:

— Witamy was, tagawor, jako miłego i nieoczekiwanego gościa. Choć to noc, przybywacie w samą porę, aby wysłuchać opowiadania rycerza de Garnier. — Trzasnął w palce, a służba podsunęła zaraz Hettumowi wyściełaną ławę i naląła mu wina.

— Witajcie, czcigodni panowie. Od paru godzin zaledwie jestem w mieście, a już się dowiedziałem, z czym tu przybył mój zięć. Choć naprawdę, trudno mi uwierzyć... — Spojrzał uważnie przez stół na Juliana. Siedział naprzeciw pana Sydonu. Julian wydawał się bledszy niż zwykle i miał obandażowane ramię. Nie było w nim także tej co zawsze pewności siebie. Obok niego siedzieli rycerze de Sargines, stary Ibelin pan Jaffy, Balian Ibelin, sire Jan Alaman, rycerz Hartmann de Heldrunen, komtur zakonu teutońskiego zastępujący w Syrii wielkiego mistrza Anno von Sanershausen, który zmienił ostatnio miejsce swego stałego pobytu, przeniósłszy się do Europy na ziemię oddaną zakonowi przez księcia Mazowsza, wreszcie kilku innych rycerzy zakonnych i świeckich. Z podnieceniem w głosie zwrócił się do Juliana: — Czy to prawda? Jak to się stało?

— A no, prawda... — przyznał Julian chmurnie. — Sydon płonie, ludzie pomordowani. Twoi Tartarzy, teściu, okazali się zdrajcami i łotrami. Radzę tutaj właśnie, aby wezwać wszystkich pod broń. Rano możemy ich już mieć pod murami.

— I zdaje mi się, że to słuszna rada — zaskrzypiał Ibelin z Jaffy.

— Ale jak się to mogło stać!? — wykrzyknął Hettum. Ta niepewność w głosie Juliana umacniała go w przekonaniu, że na dnie wszystkiego kryje się jakaś tajemnica. — Tartarzy uderzyli na Sydon bez żadnego powodu?

— No... — Pan Sydonu przyglądał się swym długim palcom, spod oka rzucając spojrzenia na Hettuma. — Powodu do napadu nie mieli... Wynikło jednak małe zajście...

— Co za zajście?

— Ach, to cała historia. Mówiłem ci, teściu, jeszcze tam, w obozie pod Damaszkim, że przyjechało do mnie, do Beaufort, kilku pobożnych pielgrzymów z Europy. Dwóch z nich jest tu właśnie. Oto — wskazał ręką — rycerz Arnold von Malberg i rycerz Jaśko ze Śremu. Dzielni rycerze, oby takimi byli wszyscy pielgrzymi. — Hettum szybkim spojrzeniem obrzucił

ich obu: Arnold miał twarz długą, pociągłą, włosy jasne i falujące, Jaśko — niebieskie oczy pod chyrą złotobiałych włosów. — Walczyli oni już przed laty z Tartarami w wielkiej bitwie, w której zginął książę Śląska. Toteż dziwili się nawet, że ty, teściu, żyjesz w zgodzie z wrogami chrześcijaństwa.

— Dobrze, dobrze... — niecierpliwie położył rękę na stół. — Mów o tym, co było!

— Co było? Rycerze przebywali na moim zamku, lecz martwili się, że nie mogą ku chwale Chrystusa Pana i Jego Matki, którą wielce czczą, rozgromić nieco pogan. By ich ucieszyć, a zarazem zaspokoić ich pobożne chęci, umyśliłem dokonać małej wyprawy na ziemię malika Homsu.

— Napadłeś na ziemię, które są pod jassakiem chana?! — wybuchnął. — Jak śmiałeś?!

— To za dużo, teściu — Julian rozejrzał się po obecnych, jakby szukał u nich oparcia. Potakiwali mu kiwaniem głów, szmerem i gniewnymi chrząknięciami. — My, rycerze chrześcijańscy, obrońcy Świętego Grobu, walczymy z poganami zawsze, gdziekolwiek ich spotkamy.

— Lecz wiedziałeś, że chan przyjął hołd od malika!

— To są sprawy Saracenów i Tartarów. Mnie one nie obchodzą. Ja walczę z poganami. Ziemię koło Paneas należały do senioratu Sydonu. Tartarzy nie powinni byli w to wtykać nosa. Ja z nimi nie chciałem sporu. Ale oni zaczęli pierwsi. Kazali nam oddać bydło, które było wojennym łupem. Powiedziałem starszemu, który był z nimi, żeby sobie szli swoją drogą i nie wtrącali się do nas. To był ten mały Senang...

— Syn Kitbuki?!

— Tak, on...

— I co on na to?

— Myślałem, że będzie mądry. Ale on zaczął kłótnię. Rycerze z Europy nawykli są do walki, a nie do gadania z Tartarami...

Uczucie dalszego beznadziejnego spadania ogarnęło niby woal głowę Hettuma. Ale chciał już wiedzieć wszystko, choć najgorsze przeczucie każało bić gwałtownie jego sercu.

— I co się stało?

— Doszło do walki. Tartarzy dzielnie stawali — to im trzeba przyznać.

— Rozbiliście ich?

— Co do jednego...

— A Senang?

— Wiem, że przyjaźnisz się, teściu, z Kitbuką, więc go chciałem ocalić... Ale rycerz Jaško tak się zacietrzewił...

Szybkim spojrzeniem ogarnął raz jeszcze rycerza z Europy. Musiał nie rozumieć słów Juliana, a jednocześnie domyślając się, że to o nim mówią, uśmiechnął się chętnie. Jego mocne, twarde dłonie leżały na krawędzi stołu, szerokie ramiona rozpięły skórzany kaftan odgnieciony przez karacenie. „Teraz już wszystko jest jasne” — myślał Hettum. Senang zginął. Syn wodza padł z ręki chrześcijan. Czyż można się było dziwić Kitbuce, że obrócił broń przeciwko Sydonowi? Krew syna, krew Mongoła i złamany jassak kazały mu to uczynić. Tak się nagle załamują wielkie plany... Hettum położył oba łokcie na stole, wsparł głowę na dłoniach. Bezmyślnie patrzył na nierówną, źle zheblowaną powierzchnię stołu. Zrobiła się cisza — nikt nie mówił; tylko na dole słychać było komendę, a potem równy krok wracających z kaplicy braci. W tym milczeniu otaczających go rycerzy Hettum poczuł niechęć, prawie nienawiść. Tak się nagle załamują wielkie plany... — wróciło ku niemu gorzkie niby echo dawno słyszanej piosenki. „Koniec, teraz już koniec — myślał. — Ach, głupcy...” Jeżeli go nienawidzili, on ich nienawidził jeszcze mocniej. Czy dla siebie tylko chciał zmiążdżenia islamu? Głupcy, głupcy! Tam Bajbars snuje swoje plany, a oni naradzają się, jak walczyć z Kitbuką. Głupcy! Jeżeli Kitbuka rano stanie pod bramą Acre, niezależnie od tego, czy wedrze się, czy nie wedrze do miasta, oznaczać to będzie koniec królestwa! Dwieście lat krwi i wysiłków zostanie straconych. Dwieście lat? Nie od dwustu lat walczy Armenia, ale od pół tysiąca! I to wszystko ma przepaść przez kilku głupców? Ale co robić? Co robić? Odejść od nich, stanąć u boku Tartarów przeciwko chrześcijanom, kościołom, chrześcijaństwu? Opuścić Kitbukę i zasłaniać Juliana, Ibelinów, baronów frankońskich, którzy nim gardzą? Mocno zacisnął zęby, aby najmniejszym westchnieniem nie zdradzić nurtujących go uczuć. Tamci trwali nadal w ciszy, słychać było tylko szcęknięcie kubków i dzbanów. Gdy podniósł wzrok, zobaczył, że patrzą na niego, ale spuszczają oczy, gdy zatrzymał na nich spojrzenie.

— Coście zdecydowali, panowie? — zapytał.

— Będziemy się bronili, tagawor — odpowiedział pan z Jaffy. — Bramy są zamknięte, stráže wzmocnione i pobudzone. Do rycerzy Szpitala — zwrócił się do Bérarda — posłałem swego giermka. Waszego pacholka byliby zatłukli, zanim zdołałby wypowiedzieć, z czym przyszedł.

— Więc gotowi jesteście walczyć? — zapytał przez zaciśnięte zęby.

— Oczywiście. Czyżby was to dziwiło, tagawor?

— Sądzicie — mierzył nienawistnym wzrokiem starego; nie ukrywał już, nie mógł ukryć swoich uczuć — sądzicie, że tak będzie dobrze? Że wobec Kitbuki, który mści śmierć swego syna, należy odpowiedzieć mieczem?

— Rycerz wobec wroga zna jedną tylko odpowiedź — sucha twarz twórcy praw królestwa zdawała się szeleścić, podobna do szarego gniazda os.

— A pokój?

— Cóż może być za pokój z Belialem? — zapytał sentencjonalnie stary rycerz wysuwając dolną wargę i rozglądając się po obecnych. Potakiwali zadowolonymi chrząknięciami. Hettum zagryzł wargi. Gniew ogarniał go coraz większy, jak płomień, który się pnie po suchym pniu.

— Tartarzy byli w prawie — rzekł twardo, jakby stuknął pięścią w stół.

— Na tej ziemi — zauważył z godnością Ibelin — istnieje tylko jedno prawo: prawo Chrystusowe.

Nie mógł powstrzymać się dłużej. Wybuchnął:

— To są kpiny!

— Kpiny? — w skrzypiącym niby nienasmarowany wóz głosie pana z Jaffy było zgorzenie. — Kpiny? Nie rozumiem...

— To są kpiny! — powtórzył pochylając się do przodu. Twarze baronów pobladły. Widział, jak ich ręce szukają rękojeści mieczów. Pochrząkiwanie przeszło w rumor. — Zaslaniacie się Chrystusem jak tarczą! Prawa Chrystusowe, Grób Chrystusa, rycerze Chrystusowi... Nie ma prawa Chrystusowego, gdzie nie ma w pierw prawa uczciwości ludzkiej! Potrzebny wam jest Chrystus, by się za Nim kryć. Ale was nie obchodzą Jego sprawy. Sprzedalibyście Chrystusa za trzydzieści lenn!

Odpowiedział mu coraz głośniejszy pomruk. Potem zerwały się krzyki, tupania, uderzenia mieczami o kamienną posadzkę. Leciąły ku niemu strzępki zdań:

— Jak śmie...? Armeńczyk... Tartarski pachoł... Zamknąć mu gębę! Armeńczyk...

„Głupcy — dławił w sobie — głupcy! Ja dla was... A wy?” Znowu odezwał się stary Ibelin. W naładowanym godnością głosie grzechotała groźba.

— Słuchaj, tagawor. Tego, co mówisz, nie chcemy słuchać. Uważaliśmy

cię za jednego spośród nas. Twoja siostra była moją żoną. My, rycerze frankońscy, cenimy nakharark armeńską tak prawie jak równych sobie, choć ludziom przybywającym z Europy wydaje się to dziwne. Ale twoje dzisiejsze zachowanie każe nam przypomnieć ci, że nawet będąc królem nie jesteś jednym z nas. Twoje postępowanie o tym świadczy. Sprowadziłeś tutaj tych Tartarów nie pytając nikogo z nas o radę. Skorzystałeś z młodości księcia Antiochii, by go namówić do złożenia hołdu chanowi barbarzyńców i do wypędzenia na jego rozkaz patriarchy łacińskiego z Antiochii.

— To nieprawda!

— Czy nieprawda, zobaczymy! — zachnął się. — Złamałeś dawny obyczaj chrześcijański. Wobec pogan stawaliśmy zawsze zjednoczeni. Nawet zakon rycerzy Templum występował obok rycerzy Szpitala, choć sam wiesz, ile ich uraz dzieli. Tymczasem dziś, gdy Sydon stał się ofiarą tych szatanów, ty mówisz o prawie Tartarów i o pokoju z nimi!

— Prawa Tartarów mamy gdzieś! — wrzasnął któryś z rycerzy.

Zerwały się znowu krzyki, ale zaraz ucichły, gdy Hettum wyrzucił pięścią w stół. Zadzwończyły dzbanki i kubki, z przewróconego pucharu popłynęło wino czerwoną strugą.

— Ach tak...!? — Porwał się z ławy i stał opierając się obu dłońmi na jelcu miecza. Rozpierała go wściekłość. Pod wpływem gniewu jego oliwkowa twarz stała się prawie czarna. Zaczął głosem niskim, jakby wydobywającym się ze studni. — Wiele nieprawdy powiedziałeś, sire Ibelinie. Bohemund nie składał hołdu chanowi, choć gdyby go nawet złożył, nie byłoby w tym nic haniebnego, wszak książęta Antiochii byli nieraz wasalami bazi-leusa! Nikt nie wypędzał patriarchy łacińskiego z Antiochii. To obok niego jest teraz patriarcha grecki, jak tego zresztą życzył sobie niegdyś papież. I o tym wy powinniście wiedzieć — nie ja! Powiedziałeś, że wobec pogan byliście zawsze zjednoczeni. To także nieprawda! Gdybyście byli naprawdę zjednoczeni, Saraceni nie byliby was pobili pod Hattim i nie zabraliby wam trzy razy Jeruzolimy! Siedzielibyście teraz w Kairze, nie w Acre! Powiedziałem o pokoju z Mongołami. To prawda. Potrzebny nam jest pokój z Tartarami, a wojna z Egiptem. Wtedy tylko chrześcijanie będą mogli wrócić do Jeruzolimy, do Betlejem, może do Damietty... Ale jeśli rozpoczniecie wojnę z Kitbuką, będziecie zamiast tego mieli ruinę Acre, Bejrutu, Jaffy... To wam mówię, ja, Armeńczyk!

Posypały się krzyki i wyzwiska. Hettum cofnął się o kilka kroków, jak-

by chcąc ogarnąć lepiej wzrokiem miotających się przeciwników. Potrącona ławka upadła z hukiem na podłogę. Wodził spojrzeniem po ich twarzach, podobny do wilka, który błyskiem ślepiów onieśmiela napadające go psy. „Głupcy — miał wciąż na ustach — ach, głupcy! Gdy ja dla was...”

Obrócił się na pięcie i wyszedł z izby. Ledwo minął próg, usłyszał za sobą hałas wielu głosów i stukot odsuwanych gwałtownie ław. Przez chwilę myślał, że wybiegną za nim z mieczami, by go zarząbać. Głupcy — wciąż żuł w sobie to jedno słowo, w którym był gniew, nienawiść, pogarda i palący żal. — „Przyszedłem ratować królestwo... — myślał. — Tylko ja, tylko ja i Tartarzy mogli to zrobić... Ale niech ginie!”

Szedł pustym, huczącym krzykami i stąpieniem korytarzem. Nagle pośłyszał za sobą spieszne kroki. Odwrócił się. Zobaczył Juliana w towarzystwie Bérarda i rycerza de Pignans.

— Zaczekaj chwilę, teściu — zawołał za nim pan Sydonu. Ciągłe mówił tym samym nieco zakłopotanym głosem. — Wyszedłeś tak nagle. Chciałem ci jeszcze powiedzieć... — Podszedł do Hettuma, stał przed nim w postawie dość pokornej. Obaj templariusze trzymali się nieco z tyłu. — Jest mi naprawdę bardzo przykro, że tak się stało. Ci przybysze z Europy są zawsze postrzeleni. Naprawdę...

— Nie pokazałeś tam, w izbie, po sobie, że ci żal twego postępuku.

— Sądziłem, teściu, żeś sam to wyczuł. Wiesz przecież, że my, pullanie, nie lubimy szaleństw...

W mroku korytarza usiłował dojrzeć twarz Juliana. Czyżby ten ulubieniec wszystkich naprawdę żałował swego postępuku? I czy można mu zaufać? Julian wydawał się żywym wcieleniem wszystkich baronów syryjskich.

— Jeżeli tak sądzisz — powiedział wolno — rozumiesz chyba, że wojna z Tartarami to koniec królestwa.

— Być może... — zgodził się posłusznie.

— Zamiast drażnić Kitbukę oporem, należało mu zaproponować ugodę.

— Jestem tego samego zdania. Wiesz jednak, teściu, że tylko ty możesz to zrobić. Zawarłeś przyjaźń z wodzem tartarskim. Jeśli posłucha, to tylko ciebie.

O tym wiedział aż nadto dobrze. Znowu on jeden mógł powstrzymać groźbę wiszącą nad miastem i nad królestwem. Zaciśnął usta. „Gdy chcę

zrobić coś wielkiego — myślał — każdy mi staje na drodze; ale gdy jest źle, to tylko do mnie”.

— Lecz pamiętaj, że ty jesteś winien. I o ile Kitbuka zgodzi się na wykup...

Pan Sydonu rozłożył ręce.

— Zapłaciłbym każdą kwotę, o jaką się ułożysz. Ale wiesz, że nic nie mam. Moje miasto zniszczone. Właśnie nawet chciałem cię prosić, byś mnie poratował w kłopotcie... — Obejrzał się na templariuszy, którzy się zbliżyli. — O ile pamiętasz, rycerze Templum pożyczycy mi niegdyś pewną niewielką kwotę pod zastaw Sydonu. Obecnie, gdy Tartarzy spalili Sydon, wielki mistrz żąda, abym zamiast długu oddał im wszystkie prawa do miasta.

— Tak — stwierdził Bérard skłaniając głowę — tak. Sire de Garnier winien jest bankowi Templum wiele pieniędzy. Nie płaci ani długu, ani... kosztów ryzyka. Brat de Pignans może wam podać, tagawor, dokładną sumę. Dziś, po zniszczeniu miasta przez Tartarów nie będzie miał już z czego zapłacić. Dlatego oczekiwaliśmy, że zgodnie z umową zastaw stanie się naszą własnością. Tymczasem rycerz de Garnier...

— Chcieli mieć Sydon jako zastaw, więc dla świętego spokoju zgodziłem się na to. Ale oddawać im... To jest lenno królewskie!

— Zakon — rzekł surowo Bérard — potrafi być nie gorszym wasalem niż każdy rycerz; zwłaszcza tak nieszczęśliwie grający w kości!

— Cóż mi zostanie, gdy zabierzecie Sydon?

— Macie, sire zamek Beaufort.

— Beaufort to maleńka twierdza, której utrzymanie wiele kosztuje, a nie przynosi żadnego dochodu!

— Klóćcie się o dymiące ruiny — zauważył z ironią Hettum. Miał ochotę wzruszyć ramionami i odejść. Cóż go obchodzą spory Juliana z templariuszami? Cóż go obchodzi, kto będzie właścicielem ruin Sydonu? Sprawy, ku którym dążył, przerastały tamte spory. Coraz bardziej miał chęć iść sobie, nie słuchać tej kłótni. Ale rycerze obstarali go. W półmroku korytarza, rozświetlonego na dwóch końcach zawieszonymi na drągach świecznikami, nie widział prawie twarzy otaczających go ludzi; tylko ich purpurowe krzyże na jasnym tle płaszczy odcinały się ostrym konturem. Resztkę niewygasłego gniewu rzucił w twarz Bérardowi:

— Dziwię się wam, wielki mistrzu, że występujecie ze swym żądaniem w takiej chwili.

— Istotnie, tagawor — głos Bérarda był grzeczny, gdy zwracał się do Hettuma — chwila nie jest stosowna. Nie mamy jednak wyboru. Nie wolno nam zapominać, że pieniądze nie są nasze. My, zakon krzyżowy, nie szukamy bogactw. Pieniądze, które znajdują się w naszym banku, pochodzą od pobożnych chrześcijan, którzy je nam zawierzyli. Krzywda banku byłaby ich krzywdą.

— Stajecie się czasami dziwnie troskliwi o te pieniądze — zjadliwie zauważył Julian. — Mówiono mi, że w Damietcie pewien rycerz króla Ludwika musiał siekierą rozbijać wasz skarbiec, by wydobyć z niego złoto na wykup armii krzyżowej.

Oddech obu templariuszy stał się dyszący. Układny Pignans umiał swój gniew ukryć, ale w głosie Bérarda zabrzmiał on niby pierwszy wiosenny grzmot spoza szumu deszczu.

— Złoto naszego banku nie jest po to, by nim płacić za czyjekolwiek szaleństwa. Ani król, ani cesarz, ani nikt inny nie ma do niego prawa! Służąc pod wodzą króla Ludwika nasi najdzielniejsi bracia wraz z wielkim mistrzem de Sonnac ponieśli śmierć, a gdy w rok później Ludwikowi nie spodobał się postępek brata de Jouy, kazał naszemu poprzednikowi, czcigodnemu Ronaldowi de Vichiers, na kolanach siebie przepraszać. Póki zakon istnieje, nie zapomnimy tego, jak nie zapomnieliśmy zamysłów króla Amalryka! Służymy tylko Bogu — nie królom! — Zmienił ton. Znowu mówił spokojnie i grzecznie — Tak więc niestety, tagawor, musimy się upominać. Nie wolno nam szafować cudzym mieniem. Sire Julian w ciągu pięciu lat nie zmniejszył swego długu ani o jednego bezanta.

— Macie moje słowo rycerskie — krzyknął rozzłoszczony pan Sydonu — że wam zapłacę!

— Słowo rycerskie nie jest mincernią — zimno stwierdził Bérard.

Znowu miał ochotę iść, odejść jak najdalej od tej kłótni. Budziła w nim wstręt. Domyślił się już, po co go zatrzymali i dlaczego targują się przed nim. Chcą, aby zapłacił za Juliana. Oczywiście! Któż inny miałby zapłacić jak nie teść, król bogatej Armenii! Stary pan z Jaffy tylko dlatego namówił go na ślub Femy z Julianem, że chciał uwolnić rodzinę Ibelinów od konieczności płacenia długów lekkomyślnego kuzyna. Jego bezanty dane w posagu córce przegrywał Julian do malików i emirów saraceńskich. I ten człowiek

miał być sojusznikiem w ciężkiej grze, jaką Hettum prowadził? „On niczego nie żałuje — myślał. — Chciałby tylko wykręcić się od kłopotów”.

— Zatrzymujecie mnie, panowie — powiedział. — Jadę naprzeciw nojona Kitbuki. Wbrew zamiarom baronów będę się starał z nim ułożyć. Sprawy Sydonu — zrobił grymas — nie uciekną..

Miał już odejść pozostawiając ich w mrocznym korytarzu, gdy Bérard położył mu dłoń na rękę.

— Pozwólcie, tagawor, na chwilę na osobność.

Julian i de Pignans zostali; oni obaj poszli dalej korytarzem, aż do niskich drzwi, w których trzeba się było schylić, aby przejść. Za drzwiami była mała izba, oświetlona szarym blaskiem przecierającego się dnia, który wlewał się przez okienko wybite w tak grubym murze, że aby przez nie wyjrzeć, trzeba byłoby wczłogać się całym ciałem w wykusz. Na ławach i na ziemi leżały rulony ksiąg oraz grube tomy w ciężkich drewnianych oprawach; na stole stały gliniane, cynowe i szklane naczynia nieznanymi kształtów, których zawartość wydawała ostrą, dziwną woń. Biała tablica z namalowanym na niej kręgiem zodiaku i greckimi oraz hebrajskimi literami wisiała na ścianie. Hettum rozejrzał się po izbie nieco zdziwiony; od razu przypomniał sobie opowieść o diable w ampulce. Bérard zgadł to widać, bo odezwał się z uśmiechem:

— Szukacie pewnie, tagawor, szatana Asmodeusza, o którym plecie gawiedź, że go więżą w butelce? Nie ma go tu — upewniam was. To izba, w której nasz brat, medyk, przygotowuje lekarstwa, robi gojące maści i dekokty na wszelkie bóle. Oto zioła — pokazał miseczkę z suchym pokruszonym zielskiem — które cierpiący na niestrawność winien pić przez trzy dni w białym winie. To znowu inne, od bólu zębów...

— Chcieliście mi coś powiedzieć — przerwał mu Hettum. — Wybaczcie, ale dzień wstaje, muszę się śpieszyć.

— Słusznie. — Bérard mówiąc pochylił się nad stołem i przesunął dłoń po dziwnym szklanym naczyniu, niby butli o cienkiej szyjce, która jednak wygięta była od dołu. — Słusznie... Powiem krótko: wy, tagawor, macie rację...

— W czym mam rację?

— W tym, co czynicie. Mądrze zrobiliście sprowadzając tutaj Tartarów, mądrze postępujecie starając się uspokoić ich gniew wywołany postępkami tego głupca.

Coraz szerzej otwierał oczy. A to niespodzianka! W kim jak w kim — ale w templariuszach nie spodziewał się znaleźć sojuszników.

— Nie mówiliście tam nic podobnego — zauważył nieufnie.

— Nie było dla kogo — Bérard bawił się małym moździerzem, w którym znajdował się żółty proszek. — Ibelinowie? Ich pogróżki niewiele znaczą. Gdy Tartarzy podejną do Acre, pierwsi rozpoczną z nimi układy. Z Ibelinami nie ma co gadać, póki się im nie pokazało pięści.

— Chcecie mi więc, wielki mistrzu, w ciszy przyznać rację?

— Nie. Wiem, tagawor, że wam takich sojuszników nie potrzeba. Chcę wejść z wami w układ: zakon templariuszów stanie także u boku Tartarów.

— Och! Lecz sądzę, że chcecie, bym wam za to zapłacił dług mego zięcia? — nie mógł się powstrzymać od gorzkich słów; gdyby usłyszał propozycję Bérarda na początku tej nocy, byłby ją na pewno inaczej powitał.

Nieoczekiwanie Bérard potrząsnął głową.

— Nie — rzekł. — Chciałbym tylko, abyście się nam nie sprzeciwiali, że zabierzemy rycerzowi de Garnier Sydon. Po cóż mu on? Chyba tylko, żeby łupić ze skóry mieszczan. Nam zaś port w Sydonie może się okazać potrzebny. Mamy zamki, nie mamy własnego portu. Przecież wy, tagawor, myśląc o odbudowaniu królestwa, myśleliście niewątpliwie, kto nim będzie władał.

Zrobił nieokreślony ruch dłonią. Naprawdę nad takimi rzeczami nie zastanawiał się nigdy.

— Znowu król? — zapytał Bérard, jakby nie zauważywszy tego gestu. Spod oka patrzył podejrzliwie. — Chyba nie... A może wy sami chcieliście być królem przy Świętym Grobie?

Zaprzeczył pośpiesznie.

— Albo może dla którego z synów przeznaczycie koronę Lusignanów?

Potrząsnął głową. Nigdy o tym nie myślał. On — i królestwo Jerozolimskie? Już królestwo Armenii wydawało się czymś zbyt wielkim. Bérard uśmiechnął się z wyrazem zadowolenia na twarzy.

— W tym także macie rację. Sto razy rację. Tron Armenii wzbogaconej Edesą, Harranem, może Antiochią, to rzecz zgoła inna. Ale król Świętego Grobu — to głupstwo! Wyrastają potem szaleńcy, jak ten Amalryk. Miał w rękę Egipt i wypuścił go Chciał nas rozwiązać... — z gniewem podniósł ze stołu szklane naczynie i postawił je znowu, ale tak mocno, że aż zadzwię-

czało opalizujące szkło. — Dość tutaj królów! — syknął. — Król w Jerozolimie, to zabawka w ręku papieża, cesarza i Europy! Każdy chciałby się do niego wtrącać. Jeden żąda od niego hołdu, drugi posuszeństwa legatom. Dość królów przy Świętym Grobie. To jest miejsce święte, świętsze niż sam Rzym. Królestwo Jerozolimskie powinno być królestwem zakonu. Rzecz jasna, że nie joannitów. Ci są dobrzy tylko do obdzierania chorych. Zresztą szpitalnicy są stronnikami cesarza. Tylko Templum nie zna nad sobą władzy świeckiej.

— Królestwo zakonu...? — powtórzył Hettum. Nie wierzył własnym uszom.

— Tak — potwierdził mocno Bérard — królestwo braci, którzy nie znają nad sobą ani króla, ani pana... Nikogo, prócz Boga! Wy, tagawor, wolelibyście chyba mieć takiego sojusznika niż całą armię Ibelinów — nieprawdaż?

Milcząc kiwnął głową. Naprawdę jednak nie wiedział, czy ma się cieszyć usłyszaną nowiną, czy też lękać się jej. Bérard wyciągnął rękę.

— Więc układ stoi? — zapytał.

Niepewnie podał mu swoją. „To jest jednak sojusznik — myślał — sojusznik dość potężny, by wspomóc tumany Kitbuki”. W pamięci wyliczył wszystkie zamki templariuszów: Safet, Saffran, Athlit, Toron de Chevaliers w królestwie, Arima, Chastel Blanc, Tortose w księstwie Tripoli, Gaston, Port Bonnel i la Roche de Roissel w księstwie Antiochii. Gdy będzie trzeba, templariusze razem ze swymi wasalami mogą wystawić ze dwa tysiące ludzi: rycerzy i szeregowych. Czy jest się więc o co spierać? — pośpiesznie zadawał sobie pytanie. Templariusze będą lepsi niż jacyś nowi Lusignanowie. „Ta umowa wprawdzie — pomyślał — zwraca się przeciwko małemu Hugonowi. Ale czy dziecko będzie żyło? Mówiono ostatnio, że ciągle choruje. Zresztą...” Wolno zaciskał dłoń. Na ich splecionych dłoniach Bérard położył z góry lewą rękę, niby gestem błogosławieństwa.

— Niech Wszchemogący Sabaoth o tysiącu imion... — powiedział z namaszczeniem — umocni i błogosławi ten układ. A teraz, tagawor, śpiesz prędko do Kitbuki. Załagodź sprawę. My zaś będziemy czekali na twoje wezwanie.

Synowie powiedzieli matce dobranoc i wyszli z izby. Gdy już byli za progiem, zawołała młodszego. Dziewczyna służebna zdjęła z głowy królowej

wyszywany perłami czepiec i chciała jej rozpleść włosy, ale Zabel odprawiła ją ruchem ręki. W izbie pozostali tylko we dwoje: ona i Toros. Kobieta siedziała na niskim stołku przebierając palcami po zwisających na kolana warkoczach. Migotliwy blask oliwnej lampy ogarniał ją delikatnie niby objęcie ramion. Nie była już młodą kobietą, a przecież w połysku zębów, w spokojnym zarysie czoła nad równymi łukami brwi, w prostej, nieco nawet surowej linii nosa zachował się wdzięk młodości. Także jej kształty pozostały nienaruszalnie dziewczęce; pas z czworokątnych srebrnoczarnych płytek zsuwał się ze szczupłych bioder. Zdawała się namyslać. Jej palce skubały koniec warkocza, w który wpleciona była wstążka.

— Czy chciałaś jeszcze czegoś ode mnie, matko? — zapytał.

Stał z dala od niej w mroku pod ścianą, wysmukły, tym smuklejszy, że ubrany ciemno niby kleryk. Jego głos był dla niej głosem dzieciństwa: tak samo mówił Mleh, jej brat. „Kiedyś — myślała — będzie mówił jak dziad; w rysach, w dźwięku mowy, w ruchach był całkiem Rupenem. Gdyby tak było z Lewonem...” Ale Lewon był wykapanym ojcem.

— Tak — powiedziała cicho — jeszcze raz proszę cię, zastanów się nad tym, co chcecie zrobić. Boję się... Przyjechałam tu, by nad wami czuwać. Ta cała historia z Tartarami od razu wydawała mi się bez sensu. A już teraz, po napadzie na Sydon...

Przerwał jej spokojnie. Miał głos opanowany, równy.

— Czemu, matko, mówisz to mnie? Powiedz Lewonowi.

— Wiesz, jaki jest Lewon — owijała koniec warkocza na palcu. Jej ciemnopłowe włosy rozjaśnione dziedzictwem krwi frankońskiej, włosy Rupenów, były takie same jak włosy Torosa. — Skoro się uprze...

— Jest moim starszym bratem — zauważył — dziedzicem korony. On decyduje.

— Prosiłam, przekonywałam. Przecież słyszałeś.

— Ojciec nas wezwał.

Poruszyła się gwałtownie. Odrzuciła warkocz w tył.

— Ojciec...? — Ze zmarszczonym czołem patrzyła w czarny kąt izby. — Ojciec — powiedziała wydymając usta — często postępuje bez zastanowienia.

— Nie mów tak, matko — poprosił łagodnie. — I nie żądaj ode mnie, abym się sprzeciwiał jemu lub Lewonowi. Lubię posłuszeństwo. — Uśmie-

chnął się, jakby się dopraszał względności dla swoich słów. — Przekonuj Lewona, nie mnie. Przecież nie zależy ci na mnie więcej niż na nim?

Znowu sięgnęła do warkocza. Poczęła z niego wymotywać wstążkę. Po co on się pyta o rzecz tak oczywistą? Wyprostowała się. Nie patrzyła na syna, ale w jakiś nieokreślony punkt na posadzce. Powiedziała:

— Jesteś, wiesz o tym, moim dzieckiem najukochańszym...

— Po co to mówisz?

— Bo tak jest...

— Jeżeli tak jest, matko, to niedobrze. — Założył ręce za siebie i przeszedł parę kroków wzdłuż ściany. Stojąc pod przeciwną ścianą izby powiedział: — Nie powinno tak być. Nie możesz mnie kochać więcej niż brata.

Poruszyła się na swym stołku, zdziwiona.

— Dlaczego? Skąd te skrupuły? — zaśmiała się. Był dla niej zawsze płowowłosym chłopcem, który trzymając się jej kolan podnosił w górę głowę i mówił: „Ale ty kochasz mnie najwięcej, prawda? Najwięcej, najmocniej, najbardziej”. Odpowiadała mu: „Tak, Torosie” — a on odchodził zadowolony, pewny swego. To była jego siła i jej siła. Myślała nieraz, że są jak sojusznicy: ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy. Dzięki sojuszowi powoli odzyskiwała stracone pozycje. Odchyliła się w tył. Spokojnie powiedziała: — Nie rozkazuje się sercu. Niedługo przekonasz się o tym sam.

— Może... — potrząsnął głową. — Młody jestem, to prawda. Ale wydaje mi się, że miłość musi być szeroka, szeroka — szukał porównania — jak morze... Coraz szersza! — Wyciągnął ręce w bok, zacisnął pięści. Jego opanowany dotychczas głos zabrzmiał nagle ostrym porywem.

Ruchem głowy przywołała go bliżej. Lubiała, gdy zaczynał mówić mocno, z głębi serca, mniejsza z tym, co mówił. Ton wydał się jej ważniejszy niż słowa.

— Chodź tu do mnie, Torosie. Mówisz jak chłopcy, którym się zdaje, że wstrząsają całym światem.

Postąpił ku niej, ale nie podszedł całkiem blisko.

— Czy nie wydaje ci się matko — zapytał — że tylko tak warto myśleć?

Uśmiechała się z wyrozumiałością: — Chłopcy mogą tak mówić... — Uniosła ręce, aby je położyć na ramionach syna. On jednak trzymał się ciągle z dala, można by pomyśleć, że nie dojrzał jej gestu. Nie pokazała po sobie,

jak bardzo ją dotknął; głos jej tylko stał się chłodny. — Chłopcy — zauważyła — poświęcają miłość człowieka dla miłości do ludzi.

— Tak, to prawda — przyznał zamyślony. — Lecz wydaje mi się, że zawsze coś trzeba poświęcić. Tylko święci nie poświęcają nikogo.

— Mówisz teraz jak ksiądz — zaśmiała się sucho. — Powinieneś się zastanowić — mówiła — czy nie byłoby warto, abyś przyjął święcenia i został patriarchą.

— Nie! Nie! — zaprzeczył żywo. — Patriarchą? Nigdy! To za wiele.. Nie umiałbym rozkazywać. Księdzem, mnichem, misjonarzem — prędzej... Ale gdy skłaniani się ku temu, myślę jednocześnie, że chciałbym być rycerzem, który walczy o Grób święty. Może templariuszem — powiedział ciszej.

— Ja zawsze pragnęłam, abyś był królem. — Gdy był dzieckiem, odpowiadał: „Ja także”. Nie miał innych marzeń niż ona. — Rozmawialiśmy raz, jaki będziesz miał tron, dwór, bogactwa... — sięgnęła do tych wspomnień niby do przywołującego zaklęcia. — Zawsze byłeś zabawny. Pytałeś: „Czy w moim królestwie nie będzie biedaków?”

Zaśmiał się. Na poły poważnie, na poły przybierając ton chłopięcy powiedział:

— Mógłbym nosić koronę tylko takiego królestwa.

Znowu poczuła ochotę przyciśnięcia jego głowy do swojej piersi. Był i tak jej — a przecież chciała jeszcze dotykać, wdychać zapach włosów i skóry. Przypomniała sobie jednak jego niezrozumiały chłód. Zestawiła to teraz z pewną niedawną sprawą. — Ale, ale... — podjęła — chciałam cię zapytać: gdzie to jeździłeś ostatnio przed naszym wyjazdem z Sis? Przyznaj się — zdobyła się na wyrozumiały uśmiech — masz dziewczynę?

Potrząsnął głową.

— Nie dziewczyna? — To wyznanie nie uspokoiło jej. Przeciwnie, bardziej niecierpliwie zapytała: — Więc gdzie jeździłeś? Ociągając się wyznał:

— Jeździłem do Parcerpert.

Zerwała się ze stołka. Piers jej unosiła się szybko i opadała pod wyciętym prostokątnie stanikiem. Przerazenie zapaliło się w jej spojrzeniu.

— Po coś tam jeździł, Torosie?

— Chciałem rozmawiać...

— Z kim? — pełna niepokoju szła ku niemu; on cofał się delikatnie w głąb izby.

— Och, z nikim poważnym... — starał się zapewnić. — Z jednym z dawnych dworzan...

— Z Achotem? — zawołała. Małe usta kobiety zacisnęły się w wąską szparę.

— Tak — potwierdził. Zatrzymała się. Jej wyciągnięte ręce opadły. Na twarzy kobiety klóciło się wiele uczuć; nad wszystkimi górował chłodny gniew i smutek.

— Przecież ty jego nie pamiętasz! Byłeś dzieckiem, gdy on musiał tam iść.

— Tak, nie pamiętam go — przyznał. — Zresztą gdybym go nawet pamiętał... — Zatrzymał się przed powiedzeniem reszty. Matce nie była potrzebna wizja człowieka, który wyszedł ku niemu z groty z twarzą odkrytą, podobną do plastra miodu. Zapach zgnilizny bił z ust niby z leja wyrwanego przez wodę w twardym gruncie. Miał przed oczami niekształtne, ociekające ropą palce. Kiedy ich dotknął ustami, tamten krzyknął: „Co robisz, książę? Jestem nieczysty!” — Ale on jeden — rzekł teraz — mógł mi powiedzieć — odruchowo ściszył głos — o moim ojcu...

— O ojcu? — zdawało się, że nie rozumie jego słów. — O ojcu? — powtórzyła. — I po to jeździłeś do trędowatych?

— Tak.

— Cóż takiego mógł ci tamten o nim powiedzieć?

Uśmiech Torosa był jak uśmiech chłopca, który ukrywa cenną tajemnicę, a jednocześnie nie potrafi ukryć przed drugimi, że ją ma.

— Różne rzeczy... — rzekł wymijająco. — Niewiele wiem o naszym ojcu. Dla jednych jest on wielkim królem — wzdrygnęła się, jakby usłyszała zgrzyt noża o nóż — dla drugich szaleńcem, który we wszystkim zaufał Tartarom. Ty, matko...

Przerwała mu. Położyła rękę na piersi.

— Nie byłam nigdy niesprawiedliwa dla waszego ojca. Starałam się przyznawać mu słuszość i zachowywać posłuszeństwo.

— Sprawiedliwość, nawet Boża, nie wystarcza dla człowieka.

— Wasz ojciec nigdy niczego innego ode mnie nie potrzebował!

Nie odpowiedział nic, a to milczenie dotknęło ją do żywego. Syn był dziś dla niej zagadką: mówił rzeczy bolesne i cofał się, gdy się zbliżała ku niemu. Pozostawał w cieniu, nie mogła mu nawet spojrzeć w twarz. Była zaskoczona i gniewna. Pamiętała o chłopcu, który wychowywał się zawsze przy niej i któremu, jednemu z dzieci, mówiła tak wiele o sobie. Stał się dla niej nie tylko synem, ale powiernikiem i przyjacielem. Prawda — dorósł. Czowała, że w końcu pójdzie za jakąś dziewczyną. Z tym ostatecznie gotowa się była pogodzić może dlatego, że wiedziała, iż nie ma na świecie kobiety godnej Torosa. Od każdej kobiety wraca się do matki — pocieszyła się. Była pewna, że nikt tak nie rozumie Torosa jak ona. Lewon... Oddała go bez wahania i żalu Hettumowi, Sempadowi, Konstantynowi, sprawom państwa. Toros był poza tym wszystkim i tak już powinno było pozostać. Toros był tylko jej dzieckiem. „Po cóż więc — myślała — jeździł do leprosorium? Mógł się zarazić!” Nie była zdolna znieść nawet myśli, że ta przerażająca choroba mogłaby dotknąć jej dziecko. Zwłaszcza Torosa. Drżała nad nim, gdy był mały i gdy przed bramą zamkową lubił rozdawać jałmużnę żebrakom, wśród których były straszliwe stwory w workach na głowie bijące w kołatkę, gdy ludzie podchodzili do nich zbyt blisko. A teraz milczy? Ciągle jeszcze oczekiwała, że się odezwie. W końcu podjęła nową próbę. Powiedziała:

— Idź, zawołaj Femę...

Poruszył się wolno, a w tej powolności wyczuła wahanie. Więc jednak — odetchnęła. Chłopiec o płowej czuprynie ojca i brata powinien był zapytać: „Dlaczego wołasz Femę, Ritę lub Sybillę? Czy ja ci nie wystarczam?” Jeśli nie mówiła, po co woła, to była zawsze zasadzka, podstęp, by wywołać te słowa. Nagle zabrakło jej tchu. Toros stał przy drzwiach. Zrozumiała, że jeśli wyjdzie, zerwie się więź między nimi. Lecz nie zwykła była ustępować. Wzrok jej przyklepiony był do palców, palce poruszały koniec warkocza. Nie patrzyła na niego, słuchała stapań.

— Chcesz, matko, teraz rozmawiać z Femą?

— Tak... — Zrozumiała, że on także boi się zerwania. Znali się tak dobrze, poza wszelkimi słowami. Czekwała na to: „Czy ci nie wystarczam?” Ale on znowu milczał, jak człowiek, który skupia i natęża siły.

— Noc już — zauważył.

— Powiedz jej — rozważnie dobierała słowa — niech przyjdzie i śpi ze mną. Chcę z nią spokojnie porozmawiać. Ty i Lewon jesteście dziećmi...

„Marszczy teraz czoło — myślała nie patrząc na syna. — Pasuje się ze sobą. Wszystkie męskie głupstwa, które sobie wbił w głowę, chwieją się i tracą znaczenie”. Jeszcze chwila, a powróci do niej. Jeszcze chwila... Oczekiwała tego powrotu. Pragnęła go aż do bólu. Wiedziała jednak, że go o to nie poprosi. Choćby naprawdę miał odejść.

— Zawołam ją — powiedział ciężko, jakby z olbrzymim wysiłkiem. — Bądź zdrowa, matko. Dobrej nocy. Pan z tobą.

Nie odpowiedziała mu, nie drgnęła. Wsłuchiwała się w kroki odchodzącego korytarzem. Ale gdy ich stukot połknęła cisza zamku, zrozumiała, że stało się coś, co nie zdarzyło się nigdy a czego nadejścia podświadomie obawiała się od dawna. Syn odszedł, Toros odszedł. Siedziała skulona. Łzy wypełniły oczy, niby szklane bańki. Nie spłynęły jednak. Usta miała zaciśnięte, nie zaszlochała ani razu. Była w swym bólu cicha. Cierpienie stapało się ze złością — urazy i gniewy formowały jej życie.

On tymczasem szedł wolno korytarzem. Krew biła mu w skroniach, czarne płachty przelatywały przed oczami. W pewnej chwili oparł się ręką o chropowaty zimny mur. To go otrzeźwiło. W piersi czuł ból, jakby w niej tkwił oszczep i ciężarem drzewca rozdzierał ranę. Nie znał pociechy gniewu. Niemożność ustąpienia czyniła go podwójnie nieszczęśliwym. A przecież nie mógł, nie mógł... Tyle rzeczy się w nim zmieniło. Właściwie wszystko — prócz serca. „Czy dorasta się — myślał — w ciągu kilku bezsennych nocy? Czy dojrzewa się po jednym odkryciu?” Jak bardzo znała go matka, gdy mówiła, że chłopcy kochają ludzi, rzadko człowieka. Naprawdę tak myślał. Ale nagle przestał być chłopcem. Widocznie... Bo pewnego dnia słowo mnicha wstrząsnęło nim. Wiedział, że kocha biedaków sterczących od wczesnego ranka pod bramą zamku, którym rozdawał jałmużny i których sprowadzał do kuchni na posiłek, a czasem, gdy nikt tego nie widział, szedł z najędźniejszymi do łaźni i tam ich mył. Ich kochał. Nie brzydził się ciał brudnych, pokrytych wrzodami, odrażających w swej chudości i nieoczekiwanie rozdętych. Dawniej, na początku, gdy pomagał żebrakowi zdejmować jego łachmany, czuł lęk przed tym, co zobaczy. Każda z tych pomiętych nagości odkrywała swoją obrzydliwą tajemnicę. Ale teraz tamte doświadczenia były już za nim. Gdy bez najmniejszego wstrząsu pochylał się nad otwartymi wrzodami, dumą napełniała jego serce. Przygiął się. Przeciwstawił się grzechowi. On, syn zbrodni, odrabiał ją tysiącem gestów miłosierdzia. Wyobrażał sobie, że matka jest damą, a on jej rycerzem i na jej cześć zabija smoki;

każdy wymyty, nakarmiony żebrak odchodzący ze sztuką srebra w suchej dłoni, która po umyciu stawała się żółta jakby ulepiona z wosku, był zwyciężonym smokiem.

Ale to, co mu niedawno powiedział mnich, zaniepokoiło go. Klęczał obok ławy, na której siedział mały zakonnik. W kościele było cicho, woń spalonego kadzidła wydobywała się z załomów muru, niby woń dawno użytego olejku zachowana w fałdach sukni. Franciszkanin siedział głęboko na ławie, a jego bose stopy, ku którym skradały się kolorowe plamy blasku, wisiały w powietrzu. Ptak wleciał do kościoła, kołował i bił skrzydłami wysoko pod półkolistymi łukami sklepienia. Szept spowiadającego się był jak rozmowa ścian.

Gdy powiedział o tej łatwości, mnich kazał to sobie powtórzyć i zastanowił się. Bulwiasty nos zdawał się kiwać nad wydatnymi ustami obrośniętymi bezbarwną szczecią. Jakby mu to miało pomóc w myśleniu — bujał nogami. „Więc nie czujesz nigdy żadnych trudności opatrując tych nieszczęśliwych?” — zapytał, jak gdyby nie mógł temu uwierzyć. Potem rzekł: „zastanów się raz jeszcze, ale uważnie, abys sam sobie nie kłamał, dlaczego to robisz?”

Trzy noce bezsenne. Pierwsza noc buntu: dlaczego służenie nieszczęśliwym ma przychodzić zawsze z trudem? Świeci... święci męczennicy, Atom Gnuni i Manadzir Rechtuni, całowali wrzody ubogich i mówili, że pachną one jak płatki róż. Niepokój sięgnął głęboko, wbił się w mózg. Ile jest prawdy w słowach świętych? Czy nie przeinaczają prawdy w porywie uczuć do Boskiego Mistrza? Myśli splatały się z czasem jak dwa pędy winne. Słyszał dzwon wzywający kolejno na matine, laudesy, na primę. Siedział na posłaniu i patrzył w gwiazdy, które rozsypały się po niebie niby pył wodny na czarnym aksamicie. „Boże — pytał — czy to ja jestem tak blisko Ciebie, że aż tego nie mogą zrozumieć inni, czy też przeciwnie, znajduję się dalej, niż mnie samemu to się wydaje? Czy ofiara przemieniona w radość nie jest już ofiarą? Czy ofiara, która jest radością, jest ofiarą nie przyjętą! Boże, więc niczego nie chcesz ode mnie?”

Rano wyszedł przed bramę, a potem prowadził za sobą do kuchni sznur postaci podobnych drzewom poszarpanym w walce z wiatrem. Między nimi był mężczyzna w worku na głowie, z grzechotką za pasem. Gdy go wziął do łaźni, tamten nie chciał zdjąć z siebie burej, sztywnej jak skorupa szaty. Mdląca woń biła przez rękawy, lepiały się do twarzy worek zdawał się skrywać nieprawdopodobną ohydę. Odruch zgrozy podniósł się w Torosie. Ale

razem z nim spłynęła na niego radość. Więc jednak, cieszył się, nie wszystko jest łatwe! Musiał się przemóc, by nie krzywiąc się ani wymiotując zdzierać strzęp za strzępem łachmany z żywego ciała. Wreszcie czerwona, pozbawiona skóry postać stanęła przed nim. Wyciągnął do niej dłonie, by zdjąć worek. „Nie, nie” — bronił się upiór. Ale on, łagodnie przekonując, ściągnął nakrycie głowy. Nad rozpląniętą twarzą leżały skołtunioną masą biało-żółte włosy polepione w strąki. Oczy bez powiek patrzyły z przepaścistych dziur. Znowu czuł, jak w nim zamiera wszystko. Podsunął bliżej nieckę z wodą, zanurzył w niej gałgan. Nagle postłyszał, że człowiek mamle jakieś słowa: „...nigdy... chciałem zobaczyć...” Podniósł głowę zdziwiony. „Kogo chciałeś zobaczyć?” Tamten stał rozkołysany, z głową opuszczoną nisko w geście wyrażającym winę i pokorę. „Mego króla... króla Hettuma...”

Toros nie wiedział, dlaczego te słowa wywołały w nim taki wstrząs. Klęcząc obok człowieka i zmywając jego ciało strumieniami ciepłej wody myślał wciąż o ojcu. Ten dawny dworzanin, który przywędrował z gór Parcerperu na swych przegniłych nogach, by narażając się na kary zobaczyć raz jeszcze swego pana i przyjaciela, wywołał w nim dziwne uczucia. Rzeczy oczywiście traciły swoją jasność. Drugą noc myślał o ojcu. Znowu była to noc bez snu, noc długa, pełna gwiazd i wątpliwności. Nitka Ariadny zamiast ku wyjściu — wiodła gdzieś w głąb. Niepokój wciągał, nie pozwalał zatrzymać się na skraju przepaści. „Jakże ciężki jest los błędnych rycerzy! — rozważał. — Walczyć samemu, samemu wyznaczając sobie nieprzyjaciół, to zadanie nad siły! Nie każdy smok jest smokiem. Smoki bywają ludźmi, a my uderzając w nich poświęcaną włócznią nie ich zabijamy, ale świętość”.

„Boże — modlił się drugiej nocy — jeżeli chcąc służyć Tobie jak krzyżowiec skrzywdziłem kogoś, pozwól, niech wyrównam swój błąd. Ty wiesz, że tak mało rozumiem, ale niech Ci moja wola starczy za mój rozum. O Jezu, który przez chorobę ciała pokazujesz choroby duszy, spraw abym nie pokładał Twego dobra w jednym człowieku, ale bym był szeroki w miłości, jak szeroki jesteś Ty”.

Trzecia noc była nocą marzeń przerywanych myśleniem. Sny pojawiały się krótkie i wyraziste, łączące się w jedno z wysiłkami umysłu i serca. Raz po raz widział w nich ojca, jak idzie między baronami, którzy na palcach, z mieczami w rękach skradają się, by zabić Filipa. Ale ojciec włócił się ciężko z głową opuszczoną, niby skazaniec... Czy to zaropiałe oczy Achota zatarły w jego myślach wizję stworzoną przez wspomnienie matki? Jak wyglądała naprawdę zbrodnia, którą pragnął okupić? Znowu sen, niby obraz przemys-

kający się pod powiekami, pokazał mu ojca pochylonego nad niecką, w której Toros zwykł był kapać swoich biedaków. Ciało Hettuma było jedną rozdartą i buchającą ropą raną. W zniekształconej dłoni trzymał grzechotkę, taką, jaką otrzymuje się ze słowami: „Weź ją na znak, iż nie wolno ci mówić do nikogo poza trędowatymi jak i ty...” Ojciec patrzył na Torosa i zdawał się prosić: wykap mnie. Lecz syn nie wiedział, jak ma postąpić. „Każdy żebrak wymyty i nakarmiony — pamiętał — jest dziełem walki ze zbrodnią ojca. Jest walką z ojcem. A teraz sam ojciec...?” Obudziwszy się myślał: „A gdyby naprawdę ojciec przyszedł pokryty trędem?” Tkwiła w nim zawsze trwożna świadomość, że pewnego dnia sam Chrystus może przyjść pod postacią nędzarza. Nie, to niemożliwe, aby ten żebrak miał wtedy twarz ojca!

Zeszedł na dół. W sieni, przez którą przechodziło się do wielkiej izby jadalnej, po drugiej stronie były drzwi prowadzące do sypialni dworek. Wywołał jedną z dziewcząt i kazał powiedzieć Femie, żeby do niego wyszła. Żona Juliana musiała się już położyć, bo zobaczył ją ubraną w długą białą szatę, na którą narzuciła granatowy płaszcz podbijany futerkiem.

— Czego sobie życzysz, Torosie?

— Matka chce, abys poszła do niej i dzieliła z nią posłanie. Pragnie z tobą rozmawiać.

— Myślałam, że jest zmęczona drogą i będzie wołała spać; dlatego oddałam jej łożnicę. Ale już idę. Mówisz, że chce ze mną rozmawiać?

— Tak.

— Wielka to dla mnie niespodzianka. Pamiętasz, u nas w zamku gdy nie było ojca, matka ciebie wołała do łożnicy i długo w noc rozmawiała tylko z tobą. Gniewało nas to nawet. — Smutny głos kobiety nagle się ożywił. — Ale to były piękne czasy, u nas w Sis... — Westchnęła. — Wołałabym tam być znowu z Lewonem, z Ritą, z tobą, Torosie. — Wyciągnęła ku niemu czule rękę, ale on się cofnął. — Czemu się cofasz? — zapytała z akcentem żalu. — Czyż byś miał do mnie jakąś urazę?

— Nie! O, nie... — zaprzeczył.

— Nie widzieliśmy się trzy lata, całe trzy lata, a nawet mnie nie pocałowałeś, gdy przyjechaliście.

Teraz nie odpowiedział. Stali naprzeciw siebie w mroku sieni. Za drzwiami sypialni kobiecej jazgotały dworki, z podwórza dochodził gwar obozującego wojska. Jadalnia ziała zaduchem skończonej uczty. Gdzieś w kącie

pies ogryzał kości warcząc groźnie. Ogień palił się jeszcze na palenisku, nad nim na rożnie zwiślał obrany z mięsa szkielet barana. Plamy blasku skakały po podłodze niby żywe istoty.

— Zmieniłeś się, Torosie — zauważyła. Ciągłe milczał, choć miał ochotę powiedzieć, że niczym wydaje się jego zmiana wobec jej zmiany. Przed trzema laty wyjechała z Sis jako młoda dziewczyna pełna sił, radości, zapалу. Dziś miał przed sobą kobietę niemal starą, nieskończenie smutną, mówiącą z tęsknotą o latach panińskich. — Możesz ty chory? — zapytała.

Miał na ustach odpowiedź: „Wszyscy jesteście chorzy”, ale pojął, że nie byłaby zrozumiała. Zrobił tylko ruch ręką. Wolno, odwracając się kilkakrotnie, poszła na górę. Mignął jej biały cień, potem słyszał oddalające się kroki. Stał dalej w środku sieni na wprost drzwi, spoza których dochodziła rozmowa dziewcząt. Ogarnęło go wielkie współczucie dla siostry. Biedna Fema. Życie przewalało się przez nich jak fala morska, która bierze pod siebie kamienie, trze, miazdzy i rozgniata. Żałował jej, lecz nie miał dla niej ani słowa. Jak jej powiedzieć to, co sam dopiero odkrył?

Wolno przeszedł do jadalni. Pies zawarczał w ciemności. Nocny powiew przelatował przez izbę i rozpędzał woń pijatyki, niby mgłę. Toros usiadł na końcu ławy, tuż przy ogniu. Poruszył żelaznym kolcem żarzące się bierwiona, one zaś strzeliły płomieniem. Zdawał się namyślać jak rzemieślnik przed zabraniem się do ciężkiego wysiłku. Potem nagle stanowczym gestem wyciągnął przed siebie rękę. Uważnie odszukał na grzbiecie dłoni kilka białych plamek. Zacisnąwszy zęby sięgnął po długą szpilkę, którą przed chwilą zabrał ukradkiem matce. Jej końcem trafił w płamkę. Nacisnął. Jeszcze nie wierzył. Pochylił się, zanurzył ostrze szpilki w ogień. Począł, aż zadymiwszy się najpierw szernieje, potem zbłękitnieje, a w końcu błysnie czerwienią. Wtedy szybko raz jeszcze uklął białą płamkę. Woń przypalonego ciała wydawała się czymś niezrozumiałym przy zupełnym braku bólu. Próżno pchał szpilkę coraz głębiej. Ból odnalazł dopiero gdzieś głęboko, przy kości. Był przekonany. Podniósł głowę w górę, jakby szukając nieba na ciężkiej, zadymionej powale z cedrowych belek. Usta mu drżały. Wysiłkiem usiłował ułożyć je w kształt uśmiechu

Gdzie szukać Kitbuki? Na szczęście nie pojawił się dotąd pod murami Acre. Mijając bramę, której zakończona zębami krata unosiła się ze zgrzy-

tem nad jego głową, Hettum zastanawiał się. Jeżeli Tartarzy nie przybyli dotychczas z Sydonu do Acre, znaczyć to mogło tylko jedno, że nie idą wybrzeżem morskim, ale okrążają ziemie senioratu Tyru i Toronu i zachodzą ku stolicy od południa. Jeżeli rozumowanie takie było słuszne, trzeba było jechać na południowy wschód od Acre w okolice Taboru. Popatrzył pod blask słońca w tamtym kierunku; ale półkolisty szczyt był niewidoczny za zielonym wałem nadbrzeżnych wzgórz, w którym niby bramy w murach miejskich czerniły się ujścia wadich. Pogodne niebo leżało nieskalanym błękitem na czubkach Tell Ayadiya, Tell Keisan i Tell Da'wuk. Zarosłe trzciną i pokryte zieloną rzęsą jezioro Nahr al-Namain odbijało blask słońca jedynie środkiem swej znieruchomiałej powierzchni. Hettum skierował konia na południe i pojechał wzdłuż brzegów. Wyruszył tylko w towarzystwie giermka. Za nim w mieście były dzwony w kościołach, a ich dźwięk splatał się z szumem morza wtaczającego się na płaski brzeg. Przed sobą miał zrab Karmelu odcinający się ostro na tle migocącej wody. U stóp góry białe mury Kaiffy. Słońce paliło, dzień zapowiadał się upalny. Daleko, na biegnącej łukiem plaży widział grupę jeźdźców wlokących się leniwie po samej linii zalewu: były to patrole utrzymujące łączność między obu miastami. Za Tell Kardana skręcił na wschód. Słońce ziało mu teraz prosto w twarz, niby przyginane wiatrem ognisko. W miarę jak oddalał się od morza, upał zdawał się rosnąć. Równocześnie rósł w nim niepokój: a jeżeli rozminie się z Kitbuką? Rozumowanie, że Mongołowie nie chcieli wkraczać na ziemie pana de Montfort, wydawało się słuszne. A jednak... Mimo to jechał w raz przyjętym kierunku. Musiał przebyć szmat drogi, zanim znalazł się w cieniu wąwozu. Wyschłe łożysko strumienia zasypane białymi kamieniami wywiodło go między wzgórz. Tutaj było łatwiej oddychać. Kraj był pokryty bujną zielonością. Wadi prowadził go ciągle w górę. Wreszcie wyjechał na falistą równinę pokrytą tu i tam kępami drzew. Droga to się wznosiła, to znowu zsuwała w dół; z daleka była widoczna niby kawałki białej taśmy przecinającej zielone zbocza. Każde wzniesienie odkrywało nowy widok: wtedy także można było spostrzec osady jak sterty białych kamieni rozsypane na zboczach. Tępy szczyt Taboru górował nad wszystkim, podobny ogromnej kopie siana. Dalej za nim czerwieniły się wzgórza Gilead skrywające wąwóz Jordanu.

Koło południa, aby przeczekać najgorętsze godziny, zatrzymał się w cieniu kępy tamaryszków. Rozsiodłane konie poszły paść się w trawie. Hettum wyciągnął się na ziemi, z siodłem pod głową. Po bezsennej nocy czuł zmę-

czeniu, ból głowy i ociężałość. A przecież nie mógł spać. Myśl pracowała gorączkowo, oczy nie chciały się zamknąć. Nad nim gałęzie wisiały nieruchomo w powietrzu bez najbliższego powiewu. Z dala dochodził słaby dźwięk piszczałki pastucha. Przestrzeń zdawała się drgać, dokuczliwy pot zlewał czoło, spływał czasami na kark wielką kroplą. Ileż razy przebiegał myślą wszystkie wypadki tej nocy! Rozmowę z patriarchą, burzliwą kłótnię u templariuszy, wreszcie nieoczekiwaną propozycję wielkiego mistrza. To były trzy ogniwa nie dające się w żaden sposób spiąć w jeden łańcuch. Czy nie powinien był jeszcze raz pójść do Pantaleona? Zrezygnował z tego dla pośpiechu, a może także i dlatego, że nie chciał widzieć, jak się załamuje sojusznik. Wolał pozostać z przekonaniem, że w Acre jest człowiek, który mu wierzy i który usprawiedliwia jego postępowanie. Powiedział tylko Bérardowi, by zawiadomił patriarchę o ich porozumieniu; wielki mistrz obiecał to zrobić. Jeszcze raz rozważał w myśli wszystkie możliwości wynikające z nowej sytuacji. Templariusze, oceniał, to jest jednak naprawdę ktoś. Gdy chcą, potrafią zyskać sobie sojuszników. Rycerze teutońscy pójdą na pewno za nimi. Również na Wenecjan można będzie liczyć. Wielu rycerzy z Syrii jest dłużnikami banku Templum. Dalej — rycerz de Sargines o niezbyt może lotnym umyśle, ale bezwzględnie uczciwy. Bohemund powinien wpłynąć na Plezencję. „Sytuacja nie jest beznadziejna — myślał — nawet po tym, co się stało. Pod warunkiem jednak, że Kitbuka nie napadnie na Acre”. I znowu ogarnął go lęk, czy wybierając drogę na Seforis nie rozminie się z Mongołami.

W trawie cykały koniki polne. Giermek zasnął i chrapał oparty o pień drzewa. Hettum zagubił się w końcu w swych rozważaniach. Upał i zmęczenie odbierały mu jasność myśli. Przymknął oczy i leżał patrząc w niebo. Nieoczekiwanie usłyszał obok siebie stukot kopyt końskich. Leniwie odwrócił głowę przypuszczając, że to jego konie wyszły na drogę. Lecz zobaczył kilku jeźdźców mongolskich z pikami w rękę.

Na chwilę odżyło w nim wspomnienie tamtego dnia w Aleppo. Zdawało mu się, że widzi w spojrzeniu Mongołów złośliwość i dziką drapieżność. Rzeczywiście, otaczali Hettuma półkolem, jakby gotowi rzucić się na niego. Spieszna myśl przeleciała mu przez głowę: może śmierć Senanga zniszczyła przyjaźń i zemsta dokonana na Sydonie jest początkiem walki z wszystkimi chrześcijanami? Odruchowo oparł dłoń na rękoejści leżącego obok w trawie miecza. Mongołowie patrzyli na niego ciągle milcząc. Najstarszym wśród nich był dziesiętnik — harbanunojon. Miał twarz bardziej brązową

niż żółtą, połyskującą, o wydatnych ustach i małym nosie. Na jego szyi wśród kolorowych paciorków i wiszących na kolorowych sznurkach torebek z talizmanami połyskiwał miedziany krzyż nestoriański. Rzekł głosem gardłowym nie robiąc żadnego gestu:

— Mendu.

— Mendu — odpowiedział Hettum. Mongołowie musieli go poznać. — Witajcie — powiedział wspierając się na mieczu niby na kiju. — Chcę zobaczyć nojona Kitbukę. Czy podąża za wami?

— Tak. Gur nojon jedzie za nami o sześć li.

— To blisko.

— Gur nojon zatrzyma się. Tam za wzgórzem jest Białe Miasto, które beki polecił zniszczyć.

Hettum skrzywił się, Kitbuka szukał widać dalej zemsty. Jadąc pocieszał się, że wódz po spaleniu Sydonu ostygnie z gniewu.

— Dobrze — powiedział — jadę mu naprzeciw.

Podszedł do giermka, obudził go szarpnięciem. Kazał siodłać konie. Mongołowie chwilę jeszcze stali patrząc; potem dziesiętnik wydał krótki rozkaz i za jego przykładem ruszyli w drogę. Hettum popatrzył za nimi. Bezmyślnie gapiący się przed chwilą żołnierze stali się znowu czujnymi zwiadowcami. Dwóch rzuciło się szybkim galopem i dopadło najbliższego wzgórza; reszta posuwała się za nimi wolniej, nie drogą, ale wzdłuż linii drzew.

— Jedziemy — rzekł Hettum podchodząc do osiodłanego już konia. Powoli podniósł nogę do strzemienia. Był zadowolony, że nie rozminął się z Kitbuką, a jednocześnie już się zastanawiał, jak będzie z nim mówił. Jadąc tutaj nie brał pod uwagę samego spotkania. Wszystkie jego myśli pochłaniała troska, aby zdążyć i aby się nie rozminąć. Ale teraz tamte niepokoje mogły już odejść. Spod nich, niby kamień z dna wysychającego strumienia, wyrastała obawa: jak będzie wyglądała rozmowa?

Lecz zaledwie znalazł się na siodle, nagłe odkrycie zapaliło mu się pod czaszką z taką gwałtownością, że oparł się obu dłońmi o tylny łęk. Jezus, Maryja! Zdawało mu się, że grom jeszcze straszniejszy niż wszystkie poprzednie zsuwa mu się na głowę. Zawołał głosem przeraźliwym: „W konie!” — i z siłą wbił ostrogi w boki wierzchowca. Koń zachrapał, wspiął się, a potem pocwałował w dół kamienistą ścieżką. Ciągłymi uderzeniami Hettum zmuszał go do dalszego szaleńczego biegu. Nie zwrócił uwagi na to, że gier-

mek, który miał gorszego konia, pozostał w tyle. Ścieżka wyniosła go na mały pagórek. Przed nim wyrosły zielone wzgórza niby grzbiety leżących obok siebie zwierząt. Znowu galopował w dół, potem znowu w górę. W uszach mu dzwoniło: „Bylebym tylko zdążył! Jeżeli nie zdążę...” Niebo nad nim było pogodne; żaden obłok, żadna chmurka nie zaciemniały jego gładkiego tła rozpiętego po obu stronach kopuły Taboru. Barki konia pokryły się potem, z pyska rwała się kawałami piana i spadała na nogi Hettuma. Trzeba było przejść w stępa. Był sam — giermek zgubił się. Ciągle z niepokojem patrzył na niebo. Mijał właśnie małą wioskę w dolinie. Spalony na ciemny brąz mężczyzna kosił łan owsa koło drogi. Hettum zatrzymał konia i zawołał. Człowiek na dźwięk głosu rzucił się do ucieczki; dopiero obejrawszy się i zobaczywszy, że Hettum jest sam, lekko i nieufnie zawrócił. Czarne włosy wzywały spod turbana, gęsta, niebieska prawie broda okalała długą twarz.

— Czego chcesz, panie? — pytał językiem syryjskim, używanym także przez Arabów.

— Czy daleko jeszcze do Białego Miasta?

— Nie — zapewnił chłop. Wyciągnął rękę: — Leży za tamtym wzgórzem.

Hettum sięgnął do trzosa i wydobywszy monetę rzucił ją chłopu. Obdarowany schylił się nisko.

— Dzięki ci, panie. Masz dobrego konia, za parę chwil tam dojedziesz.

Znowu gwałtownym uderzeniem ostróg zmusił konia do biegu. Lecz galop był ciężki, zwierzę musiało już być zmęczone. Pot rozlewał się na jego skórze coraz większymi plamami.

Wreszcie był na wzgórzu. Gdy dojeżdżał, biło mu serce. Obawiał się, że zobaczy dolinę pełną dymu, pod którym miotają się języki ognia. Ale miasteczko leżało spokojnie w połowie zielonego wzgórza. Było białe jak jego nazwa lub jak kępa lotosów. Otaczały je wieńcem drzewa, między którymi widać było pasące się stada. Panowała tu cisza i atmosfera zdumiewającego spokoju. Jakby nic się nie działo i nic się nie miało stać. Jakby życie z całą gorączką zmagania, walk i niepokojów pozostało po drugiej stronie grzbietu Nebi Sa'in. Cisza sprawiła, że Hettum zatrzymał konia. Patrzył na domy o płaskich dachach i na ciężki, szary złom kościoła nieco niżej. Drugi raz był tutaj. Poprzednio odwiedził miasteczko razem z Ludwikiem. Orszak króla Francji jechał tą samą drogą do Acre. Gdy stanęli na szczycie wzgórza

i jeden z księży powiedział: „Oto, wasza dostojność, Nazaret” — Hettum posłyszał, jak Ludwik poczyną posapywać i prędko pociągać nosem. Stali w tym samym miejscu, gdzie stał obecnie Hettum, czekając, aż Ludwik da znak do dalszej jazdy. On jednak zamarł bez ruchu na siodle. Tylko jego usta poruszały się — widać się modlił. Dla niego to nie było pełne ciszy miasteczko na zboczu wzgórza, ale święte miejsce. Nagle uniósł się w strzemionach i zeskoczył na ziemię. Przyklęknął. Prędko zaczął ściągać buty. Zanim służba nadbiegła, on już stał znowu, wysoki, bosi, z przetkanymi siwizną włosami opadającymi na ramiona. Wyciągnął przed siebie ręce jak ślepiec, który rusza w drogę. Ktoś, chyba rycerz Joinville, powiedział: „Sire, jesteście słabi, a to jeszcze daleko. I piasek pali”. Odwrócił głowę z uśmiechem. „Krewniaku — powiedział łagodnie — czy sądzisz, że wypada mi deptać butem ziemię, po której chodzili bosą stopą mój Zbawca i Jego Matka?”

Wtedy wszyscy zdjęli buty i powolną procesją szli ku świątyni Zwiastowania. Hettum szedł wtedy także z innymi. Rozgrzane kamienie, pamiętał, przypalały stopy. Otaczający króla księża zaczęli śpiewać hymn wodza pierwszej krucjaty, biskupa Adhemara: *Salve Regina...* Ludwik, baronowie, rycerze, żołnierze, giermkowie podjęli pieśń. Hettum zrozumiał wtedy po raz pierwszy, że w armeńskim wyznaniu jest jakaś ogromna luka, którą zdolne byłoby zapełnić tylko to śpiewanie. Bóg w katedrze w Sis unosił się niezmiernie wysoko; był niedosięgalny, niedotykalny, za surowy dla rąk ludzkich. Tutaj było inaczej. Tutaj Bóg zdawał się czekać na nich na skraju drogi w tłumie żebraków i ciemnocnych chłopców trzymających się sukien matek. Jakby przez pamięć dla tamtej chwili zsunął się teraz ze spoconego, ciężko robiącego bokami konia. Szedł patrząc na kościół daleko przed sobą. Przypominał sobie: *Mater misericordiae, vita, dulcedo et spes nostra, salve.* „Ludwik — myślał — z taką samą żarliwą wiarą szedłby tą drogą, gdyby był wrócił zwycięzcą. A przecież nic nie przyszło z jego świętości! Przyjechał król, którego uważano za świętego, i wszystko stracił. Ja — schizmatyk, jak oni mówią — mam wszystko odzyskać i więcej jeszcze?” Czuł, jak odradzają się w nim wszystkie obawy. „Nie, nie — bronił się — los Ludwika nie może być losem zwykłym!” Nie odrywając wzroku od coraz wyraźniej rysującego się na tle miasta kościoła przekonywał siebie: „On jednak jest wielkim królem wielkiego królestwa. Przegrał, ale nie stracił wszystkiego. Nie jest sam. Ma przyjaciół, ma żonę, która jest wiernym towarzyszem jego planów. Ja, gdybym przegrał, straciłbym wszystko! Gdybym przegrał, byłby

to znak... To nie może być, abym nie zwyciężył! — Zaciskał zęby: — Muszę zwyciężyć!”

Był już blisko zabudowań, kiedy wydało mu się, że w dzwoniącej ciszy zawirował jakiś dźwięk. Nastawił uszu. Czyżby...? Pulsująca w skroniach krew utrudniała słuchanie. Znał ten długi krzyk rozpoczynający się nisko, a potem poprzez wszystkie tony przechodzący w wysokie, zwierzęce wycie. „Może mi się zdaje — uspokajał siebie — może to ryczą krowy lub wyją psy”. Obejrzał się za koniem. Ale zmęczony wierzchowiec pozostał przy kępie soczystej trawy. Nie zawrócił ku niemu. Począł biec ile sił ku miastu. Wycie rozbrzmiewało naprawdę, dochodziło coraz wyraźniej spoza wzgórze. Nie mylił się: groźni przybysze wtargnęli w dolinę świętego ustronia. I to on ich tutaj sprowadził!

Minął źródło w kamiennym ocembrowaniu. Od zabudowań pędziła gromada ludzi. Słysząc było wrzask dzieci, które nie mogły nadążyć za dorosłymi. Wycie wypędziło wszystkich z domów. Gnali ile sił ku gęstym krzewom. Z białej wirującej masy ktoś krzyknął: „Gdzie biegniesz? Tartarzy!” Ale ludzie już popędzili w dół, on zaś dobiegał do placu przed kościołem. Kilku zakonników kręciło się bezradnie przed wejściem. Gdy dopadłszy muru kościoła łapał z wysiłkiem oddech, słyszał, jak wykrzykują:

— Zaprzeć drzwi i bronić się!

— Przed Tartarami nikt się nie obroni!

— Ojcze Pawle, ojcze Pawle! Trzeba ukryć Najświętszy Sakrament!

— Koniec świata, bracia kochani...

Mongolski okrzyk zabrzmiał gdzieś z bardzo bliska. Kilku jeźdźców wypadło spoza domów, wywijając nad głową arkanami. Franciszkanie wydali krzyk przerażenia. Część z nich wcisnęła się przez małe drzwi do wnętrza kościoła. Słyszał, jak je za sobą ryglują. Inni w ślepym popłochu rzucili się do ucieczki. Żołnierze już nadlatywali. Wtedy podnosząc ręce w górę krzyknął na nich po mongolsku ile sił:

— Stać!

Był bez zbroi, bez konia, bez miecza, w rozpiętym kaftanie, z włosami zwichrzonymi i polepionymi potem. Nie mogli go poznać. W jego krzyku musiała być jednak siła, skoro zamiast gonić za uciekającymi, zatrzymali konie. Wolno podjechali i otoczyli go kręgiem. Poczł znowu wokół siebie zapach tartarskich kaftanów. „Zginę — pomyślał. — Zginę nie jak rycerz w walce, ale zduszony na mongolskim arkanie”. Gdyby miał broń! Bez

miecza wydawało mu się, że był niczym. „Zginę i wszystko przypadnie” — przeleciało mu przez głowę niby gorzki wyrzut. A mimo to stał w ich kole nieulekłe. Poczuł się znowu tak jak wtedy w namiocie Batu. Może jeszcze inaczej. Świadomość nieoczekiwanej siły napłynęła ku niemu z głębi, niby woda z przypadkowo odkrytego podziemnego źródła. Wtedy — tam, w zaułku Aleppo — miał wobec przeciwników tylko swój miecz. Teraz uświadomił sobie: „Miecz jest nędzną bronią. Zarąbałbym może jednego z Tartarów, zanim reszta rozdarłaby mnie pikami”. Może właśnie jest lepiej, że stoi wobec nich bezbronny z odkrytą piersią?

— Szoggun Hettum! — posłyszał nagle. To była niespodzianka, że znowu został poznany. Pomoc nadeszła. Sprawa musiała być słuszna i on był jej potrzebny. Prędko, rozkazująco zapytał:

— Gdzie nojon Kitbuka?

— Nadjeżdża właśnie — powiedział jeden z żołnierzy. Krąg Mongołów rozstąpił się. Na plac wkraczała gromada jezdnych. Na ich czele jechał mały człowiek na znanym Hettumowi łaciatym koniu. Hettum ruszył mu naprzeciw. Zatrzymali się parę kroków przed sobą.

— Anda... — powiedział Hettum.

— To ty, szoggunie?

Chciał dalej mówić, ale Kitbuka dał mu znak, by zaczekał. Kłaśnięciem taszura przywołał jednego ze swej świty. Wydał mu krótki rozkaz. Człowiek zeskoczył z konia, jakby go wiatr zdmuchnął. Pospiesznie przetaił gałganem siodło i podprowadził wierzchowca Hettumowi.

— Wsiądź, anda — powiedział nojon. — Wódz, jak ty, nie może stać, gdy całe wojsko siedzi na koniach.

Hettum dosiadł mongolskiego konika, choć miał uczucie znalazłszy się na jego grzbiecie, że siedzi na psie.

— Skąd się tu znalazłeś? — pytał Kitbuka.

— Przyjechałem z Acre. Pędziłem ile sił, by cię spotkać.

— Mnie? — Wąskie oczy wodza zabłyśły. Wpatrywał się uważnie w Hettuma. — Czy wiesz — zapytał nagle — co twoi bracia uczynili?

— Wiem...

— Czy wybiegłeś na moje spotkanie, by ich ocalić?

— Kitbuko...

— Nic z tego, anda! Acre musi być ukarane, jak ukarałem Sydon. Dlaczego zatrzymałeś moich żołnierzy?

— Kitbuko — powtórzył. Podjechał bliżej. — Kitbuko! Nie przyjechałem tutaj, by prosić cię o litość dla Acre. Spieszyłem, by ci przypomnieć... Chodzi o chrześcijaństwo...

— Senang był lepszym chrześcijaninem niż są twoi bracia. Chrześcijaństwo to nie oni, ale my!

Oparł dłonie na podniesionych zbyt wysoko kolanach. Cóż odpowiedzieć Kitbuce? Ta myśl była nowa, zrodzona przed chwilą. Jak to mówił Pantaleon? „Nigdzie nie ma chrześcijaństwa, a jednocześnie jest ono wszędzie”. Nawet Ludwik to nie chrześcijaństwo.

— Ani my, ani oni, anda; chrześcijaństwo jest tam, gdzie Chrystus. A ty chcesz zniszczyć Jego święte miasto.

— Święte miasto?

— Przecież to jest Nazaret. Dlatego zatrzymałem twoich żołnierzy!

— Więc to jest Nazaret? — Kitbuka rozejrzał się wokół. Na jego twarzy ukazało się wzruszenie. — To Nazaret? Nie myślałem, że tak wygląda. Niewiele go wasi chrześcijanie ozdobili. Zwiadowcy powiedzieli mi, że to jest Białe Miasto. Zostaną ukarani. Na czas przybyłeś, anda.

Odwrócił się ku swoim i rzucił parę słów. W wojsku, które stało nadal gotowe, poczęły przebiegać jakieś rozkazy. Oddziały łączyły się i zjeżdżały w bok. Rozległ się pisk gwizdków setników. Zsiadano z koni.

— Sam widzisz, że przybyłem na czas — powiedział Hettum.

— Owszem — przyznał Kitbuka — by ocalić Nazaret. Miasto I-sy jest święte i nie może mu się stać żadna krzywda. Ale Acre nie będzie oszczędzone. Oni nie zasłużyli na to, by mieć w swoich rękach pamiątki po Bogu. Są podli i bezmyślni. O, anda, oceniałem ich wszystkich wedle ciebie!

— Nie mów tak!

— Sądziłem, że są do ciebie podobni.

— Nie, Kitbuko, słuchaj. Czy ty rozumiesz, czym by było zniszczenie Acre? Dla zwycięstwa nad tadzykami musisz powstrzymać swoją zemstę.

— Nie powstrzyma jej nic! To niemożliwe. Raz tylko darowana być mogła krew Błękitnych Mongołów.

— Nie wolno ci uderzyć na Acre!

— Uderzę! Wiem, że tam są święci kapłani. Wszystkich ich wezwę, by wyszli z miasta, i daruję im życie. Daruję także tym, których ty wskażesz.

— W Acre są rycerze, którzy nie dadzą się wymordować bez walki.

— Mongołowie nie przegrali nigdy!

— Lecz oni mieli iść z nami na tadżyków!

— Na tadżyków? Na przedwiecznego Tengri — nie! Zabójcom syna mam do ofiarowania tylko śmierć.

— A jednak, Kitbuko...

— Tak mówisz, anda, bo Senang nie był twoim synem. Gdybyś miał jego jednego i gdyby ci go zabito...

Na żółtej, połyskującej twarzy pojawił się wyraz bólu. Chwilę trwał, potem skrył się znowu i przebijał tylko poprzez nieruchome oblicze niby blask z chińskiej lampy oblepionej matowym papierem. Dreszcz przebiegł Hettuma po plecach. Gdyby zabrakło nagle Lewona i Torosa... Pojawiło się w nim jednak zaraz uparte przekonanie: tak się nie może stać. Nie, nie. Zawsze wydawało mu się, że klęski drugich są czymś zrównoważone i tylko jego klęska byłaby klęską nad wszelki obrachunek.

— Rozumiem twój ból — skinał głową. — I nie wiem naprawdę, jaki byłbym, gdyby to na mnie przyszło. Ale widzisz — położył dłoń na zwichrzonej grzywie konia Kitbuki — nie ocalimy chrześcijaństwa jeżeli sami nie potrafimy być chrześcijanami.

Wódz nie odpowiedział. Siedział zamyślony na grzbiecie łaciatego rumaka gnąc w palcach rękojeść swego taszura. Potem nieznacznym gestem przywołał pachołków. Dał im znak, że chce zsiąść z konia. Jeden z nich natychmiast rzucił się na ziemię, tworząc ze swych pleców stopień dla nóg wodza. Oddziały mongolskie równymi szeregami zjeżdżały drogą w dół, ku studni. Ośmielona zachowaniem przybyszów ludność zaczęła wyglądać spoza krzewów i murów. Uchyliła się także furka w drzwiach kościoła i w szparze ukazało się kilka ogolonych głów. Hettum i Kitbuka szli obok siebie w tamtą stronę. Milczeli. Dopiero tuż przed drzwiami kościoła nojon powiedział:

— Niedawno nie chciałeś wierzyć, że jesteśmy chrześcijanami, a teraz tak wiele chrześcijaństwa żądasz ode mnie.

To prawda — zgodził się w duchu ze słowami Kitbuki. Przesunął rozpostartą płasko dłoń po chropowatym murze, w miejscu gdzie poprzednio

wysapywał zmęczenie. — Tak — przyświadczył — wiele trzeba czasami dać naszej wierze...

Twarz Kitbuki pozostała nieruchoma, ale jego palce znowu zgięły trzonek bata. Sucho zauważył:

— Mnie, anda, nie potrzebujesz o tym przekonywać. — Małe, szczupłe palce z nieoczekiwaną siłą skrzyły grubą trzcinię w łuk. — Nie znalazłem chrześcijaństwa pod nogami mego konia, jak sobola, którego ktoś inny ustrzelił.

Furtka skrzypnęła, golone głowy schowały się. Zamiast nich wysunęło się na zewnątrz dwóch zakonników. Ubrani byli w bure habity. Niepewnie i lekliwie zbliżali się ku rozmawiającym. Postać Hettuma widocznie ich ośmieliła. Zwrócili się ku niemu:

— Niech będzie pochwalony Pan nasz Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

— Witajcie, szlachetny rycerzu! Wam, niewątpliwie, zawdzięczamy ocalenie. Niech Najświętsza Panna, Opiekunka Nazaretu, stokrotnie wam zapłaci.

— Co oni mówią? — zapytał Kitbuka.

— Błogosławią cię, żeś nie zniszczył miasta. — Zwrócił się do mnichów. — Wódz wojsk tartarskich, wielki nojon Kitbuka, jest także chrześcijaninem.

— Niech będą dzięki Pani naszej! — wykrzyknął starszy z zakonników. — Więc nic nam nie grozi?

— Nic.

Drugi z franciszkanów pobiegł ile sił zanieść braciom i przeorowi pomyslną wiadomość. Za chwilę z drzwi kościoła szarym tłumem wysypali się mnisi. Między nimi szedł przeor w szatach liturgicznych z krzyżem w ręku. Zwrócił się do obu wodzów z gorącą przemową po grecku, po czym przeżegnał ich swym krzyżem zawierającym cenne relikwie. Otworzono szeroko odrzwia i ceremonialnie wprowadzono do środka Kitbukę i Hettuma. Zakonnicy idąc śpiewali, w ich głosach czuć było radość, że groza niebezpieczeństwa minęła. Po błogosławieństwie Przenajświętszym Sakramentem przeor zaprosił wodzów na posiłek do refektarza klasztornego.

— Skromnie u nas — mówił uśmiechając się — jak przystało na braci żebrzących, aleśmy radzi... — W jego słowach także słyhać było entuzjazm. Gdy zwracał się do Kitbuki, skłaniał się nisko, jakby przed najwyższym

władcą. Jego ugrzecznienie zdawało się nie mieć miary. Z wdzięczności i zapału gotów był klęknąć i całować ręce nojona. — Bądźcie łaskawi, panowie...

Kitbuka potrząsnął głową. Swoim chrapliwym głosem zapytał:

— Powiedz mi, szamanie, gdzie tutaj żył boski I-sa?

— Wódz pyta — Hettum objaśniał przerażonemu pytaniem przeorowi — gdzie jest dom Pana naszego, Jezusa.

Wzrok przeora pobiegł nagle wystraszony po twarzach otaczających go mnichów i zawisł na ustach Hettuma. Zakonnik był w rozterce. Nie ufał zbyt tym przybyszom. A jednocześnie lękał się odmówić ich żądaniu. Zmagał się ze sobą. Jego usta poruszały się bezdźwięcznie. Hettum wyczuł skrupuły przeora.

— Możecie zawierzyć wodzowi — powiedział uspokajająco. — Nie bójcie się. Pokażcie mu dom Pański, jak pokazywaliście go królowi Ludwikowi.

Niepewność na twarzy przeora zmniejszyła się nieco. Ciężko przełknął ślinę i dał znak jednemu z braci. Z ukłonem powiedział:

— Chcę zaufać... Oby Panna Najświętsza Niepokalanie Poczęta strzegła zawsze bezpieczeństwa świętej relikwii! Pójdźcie, panie, pokażę... Czy wódz Tartarów zgodzi się, by nikt poza nim i wami, panie, nie schodził do podziemia?

Hettum przetłumaczył prośbę przeora Kitbuca i wyjaśnił mu powody, jakie nakazywały mnichom strzegącym świętego domu w niebronionym mieście ukrywać go przed okiem przybyszów. Wódz skinął głową na znak zrozumienia. Bracia trącając się wyjęli świece i zapalili. Z Hettumem i Kitbuką pośrodku mała procesja ruszyła w głąb zabudowań kościelnych. Minęli kruchtę, potem małymi, ukrytymi drzwiczkami przedostali się do ciemnego ponurego korytarza schodzącego w dół. Jeszcze raz trzeba było przejść przez ukryte pod nawisłą skałą drzwi. Zrobili to tylko Hettum, Kitbukę, przeor i dwaj bracia ze świecami — reszta została w korytarzu. Po tamtej stronie znaleźli się w ciasnym półciemnym wnętrzu, oświetlonym jedynie blaskiem przyniesionych świec oraz błękitnym strumyczkiem dnia, który sączył się z małego zakratowanego okienka pod samym stropem. Izba była częściowo zbudowaną a częściowo wyżłobioną w skale grotą. Zamiast posadzki miała twardą polepę udeptaną w dwa poziomy, wyższy w głębi, niższy — przy wejściu. Pod otworem w dachu znajdowało się palenisko, obok wielka kadź

na wodę i kamienne żarna. Na ścianie malarz-zakonnik wypisał napiszczonym żywymi barwami gotykiem: *Hic Verbum Caro factum est*. W smutnym wnętrzu barwne słowa zdawały się płonąć i przebijać mur. Były niby gwiazda odbita w głębi czarnej studni. Woń pustki i wilgoci rozpinała się podobna pajęczynie. Gdzieś na zewnątrz wiatr poruszał gałęzmi palm, a ich szelest spływał łagodnie do wnętrza.

Trzej ludzie zatrzymali się w progu. Ich myśli nie były sobie bliskie. Przeor wzdychał i modlił się w duchu, aby wódz Tartarów nie zdradził okazanego mu zaufania i nie wydał istnienia świętego domku. Jak mogli, ukrywali jego istnienie, drżąc, że Saraceni mogą wpaść do niebronionego miasta i zniszczyć świętą pamiątkę, której nie zniszczyli, nie wiedząc o niej, w ciągu paru wieków. Zakonnik był już zmęczony takim życiem pełnym obaw i ciągłego kłamstwa. „Gdyby tak — marzył nieraz — przenieść domek gdzieś do Europy i tam w bezpieczeństwie być jego strażnikiem, zbierając za to cześć i poważanie!” Obok niego Hettum myślał: jest tu po raz drugi i po raz drugi odkrywa niezrozumiałą nędzę tego miejsca. Ale za każdym razem inaczej... Czarne ściany, w które wżarły się sadze i wilgoć, wydawały mu się już poprzednio bardziej ubogie niż mur lepianki najędzniejszego żebraka w jego królestwie. Ludwik ukląkł i całował w zapale miejsce koło miejsca na gliniastej ziemi. Potem jeden z księży towarzyszących królowi powiedział kazanie o tym, jak pokorny był Zbawca świata, że w takiej to ciasnocie chciał w ciągu lat mieszkać. Ludwik słuchał go ze wzrokiem wlepionym w otaczające go ściany. Jakby ze wstrętem dotykał swej adamaszkowej szaty. Na Hettumie kazanie zrobiło także wrażenie. Ale potem o nim zapomniał. Dziś zdało mu się, że słowa księdza wracają z nową siłą. Teraz dopiero dotarło do niego to, na co przed laty nie zwrócił uwagi: że nędza tej lepianki jest w jakimś stosunku do jego bogactwa. Drgnął. Nieczęsto zdarzały mu się w życiu równie nieoczekiwane odkrycia. Nieraz myślał: Bóg był na ziemi nędzarzem. Dziś uświadomił sobie: Bóg wybrał ubóstwo, samotność, krzyż. To była sprawa nie losu, ale woli.

Kitbuka postąpił krok naprzód. Nagle padł ciężko na kolana, zniżył głowę i czołem dotknął polepy. Zgarbiony, zamarł bez ruchu. Wiatr szeleścił liśćmi, jakby pod sklepieniem topotały gołębie skrzydła. Daleko, niby z innego całkiem świata dolatywały krzyki pojących konie Mongołów. Nojon klęczał nieporuszony. W woniejącym kadzidłem wnętrzu brutalnie cuchnął jego wytłuszczony kaftan. „Więc to naprawdę było tu...” — niespodziewanie przebiegło przez głowę Hettuma. Otaczające go wnętrze ze znierucho-

miałą postacią Kitbuki pośrodku wydawało się jądrem odkrytej tajemnicy. Odzież królewska wonieje pachnidłami. Ale ten człowiek w brudnym kaf-tanie lepiej zdawał się dostosowany do nędznego wnętrza, niż gdyby był ubrany w cenny adamaszek. Rozciągnięty na ziemi niby zwierzę, wydawał się czymś pozostałym z tamtych czasów. Skąd mi to przyszło?” — zasta-nowił się Hettum. Była w nim świadomość nadchodzących rozwiązań niby zakrętu drogi, ku któremu idziemy i który także zdaje się zbliżać ku nam. Gdy Kitbuka dźwignął głowę znad polepy, wiedział od razu, że nojon prze-zwyciężył swój gniew i pragnienie zemsty. Królestwo, plany wojny były jeszcze raz ocalone. „On mówi, że ja jestem inny... — przypomniał sobie. — Ale to on daje mi naukę. Jeżeli przerosną siebie — myślał — to tylko dzięki niemu”.

CZEŚĆ CZWARTA

BITWA POD AIN-DŻALUD

1

Dzwony w mieście rozśpiewały się ponurym zawołaniem. Dźwięk ich spadał na rozżarzone miasto razem z białym słonecznym blaskiem. Miałki pył sypał się wszędzie: bielił lśniąco czarno-zielone mięsiste liście fig i granatowe brzemiona winogron. Morze było nieruchome niby oliwa; nie widać było na nim ani jednej zmarszczki. Acre wydawało się jak wymarłe. Ludzie leżeli na ziemi w cieniu i sapiąc wydychali spiekotę. Para sępów kołowała w górze nad domami rozsypanymi wśród trawy i podobnymi do wielkich kości do gry.

Lecz nawet wrześnieowa spiekota nie powstrzymała baronów przed zebraniem się w katedrze. Ich poczty oczekiwały w cieniu otaczających plac uliczek, a giermkowie sennym powiewaniem witek odpędzali gzy pchające się koniom pod brzuchy. Dźwięk dzwonów to się wzmacniał, to słabł jak głos ogarniętego sennością człowieka: spoceni dzwonnicy porzucali sznury, by połknąć parę łyków wody z wiadra.

W kościele byli wszyscy wasalowie królestwa, brakło tylko rycerza de Sargines, który wyprawił się przed paroma dniami w pogoń za bandą zuchwałych złodziei bydła. Patriarcha dyszał ciężko w swym fotelu. Żar wygnał zwykły chłód nawet z kościoła i napełnił wnętrze dławiącą duchotą. Pachołkowie gwałtownie wachlowali swoich panów. Szelest piór i wachlarzy mieszał się z dudnieniem dzwonów.

— Więc jak wygląda sprawa? — pytał Jakub.

Pan z Arsuf powstał, by mówić. Pot perlił mu się na czole i spływał spod włosów na szeroki kark. Balian wyglądał źle ostatnimi czasy. Martwił się chorobą Plezencji. Królowa była słaba od czasu poronienia syna — ich syna. To dziecko, Ibelin żywił skrytą nadzieję, mogłoby zostać władcą. Mały Hugo, senior królestwa, słaby i chorowity, nie był do życia. Jego śmierć osierociła dwa trony, uwolniła dwie korony.

— Poważnie, wasza dostojność — powiedział. — Bardzo poważnie. Sułtan z całą potęgą Egiptu wkroczył w granice królestwa. Pod Gazą doszło do starcia z oddziałem Tartarów, którzy nie mogli go powstrzymać. Zostali rozbici i wycofali się na północ. Mniejsza jednak o Tartarów! Gdybyśmy byli pewni, że sułtan wyruszył wyłącznie przeciwko nim! Ale armia egipska zamiast iść wprost na Galileję, gdzie przebywa Kitbuka, podeszła pod Jaffę, przemaszerowała pod samymi murami, a nawet zatrzymała się obozem na noc. Rano odeszła, by stanąć pod Arsuf. Kazałem zamknąć bramy, lecz zabroniłem wszczynanie walki. Znowu rozbito obóz. Z wieży widziałem namioty sułtana i atabeka. Wieczorem przyplłynął stryj. Zdecydowaliśmy się przybyć tutaj. Zostawiłem miasto na opiece rycerzy Szpitala i jestem.

— Czy nie wiadomo, co się potem stało?

— Nie.

— Pozwólcie, wasza dostojność — w ciszy, jaka się zrobiła, zagrzechał głos starego pana z Jaffy. Rycerz wstał wsparty na ramieniu syna. — Pozwólcie... Sprawa jest rzeczywiście poważna. Jest tak, jak powiedział Balian. Nie wiemy, z kim sułtan przyszedł walczyć.

— Z Tartarami! — zawołał jeden z rycerzy w ciżbie.

Ibelin skierował głowę w tamtą stronę, jakby chciał zobaczyć tego, kto krzyknął; potem powoli odwrócił się znowu ku Pantaleonowi. Wiek począł mu już dokuczać boleśnie: ręce trzęsły się, wzrok zawodził. Mówił głosem, który coraz bardziej przypominał skrzypienie przygniecionej pulpitu.

— Balian powiedział — podjął znowu — że gdyby chodziło tylko o Tartarów, sułtan maszerowałby wprost na Napluzę. Dlaczego jednak zatrzymuje się przed naszymi zamkami?

— Dlaczego? — powiedział nagle Bérard. — To jasne. Chce nas zastraszyć.

Balian wzruszył ramionami. — Mamy z Egiptem pokój — powiedział.

— Pokój został zerwany.

— Myśmy go nie zrywali!

— Ale od roku toczy się wojna. Król Hettum i książę Bohemund walczą wspólnie z Kitbuka.

— Walczyli z Damaszkiem, nie z Egiptem.

— Wojska tartarskie przeszły rzekę Krokodyłów i zajęły Gazę.

— To nas nic nie obchodzi. Ani król Hettum, ani książę Bohemund nie są lennikami królestwa.

— Saraceni uważają Tartarów za naszych sojuszników.

— Ładni mi sojusznicy! — syknął Julian i zaśmiał się zgrzyliwie. Wokół niego powstał szmer, ale zaraz się uciszył.

— Mylicie się, wielki mistrzu — stary Ibelin osunął się na ławę, bo mu ciężko było mówić stojąc. — Sułtan nie przychodzi walczyć z nami. Gdy stał pod murami Jaffy, posłałem do niego posłów z zapytaniem, z czym przybywa. Powiedział, że z pokojem.

— To podstęp! — zawołał Bérard. — Kutuz i Bajbars są chytry. Mijają małe zamki, by prędzej dopaść Acre.

— Ja wam powiem, panowie — wtrącił się Julian. Wyciągnął przed siebie swoje chude nogi i włożywszy dłonie między kolana kiwał się w tył i naprzód. — Sułtan przychodzi walczyć z tymi, którzy zdeptali czarną chorągiew kalifa, spalili biblioteki w Bagdadzie, Damaszku i Aleppo... Z barbarzyńcami z Azji.

— Z diabłami! — krzyknął spoza jego pleców kapelan Szpitala, Hue des Barre.

— Z diabłami — powtórzył z naciskiem pan Sydonu — z diabłami, którzy grożą kościołom i meczetom. Pismu świętemu i Koranowi.

Zrobiła się cisza, ale przerwał ją zaraz Bérard. Zapytał szyderczo:

— Odkąd to Saraceni gotowi są walczyć w obronie chrześcijaństwa?

Julian zmrużył oczy z nienawiścią:

— Saraceni o chrześcijaństwo bić się nie będą. To jest nasze zadanie. Sułtan spodziewa się jedynie, że moglibyśmy wspólnie wystąpić w obronie wiedzy, sztuki i religii zagrożonych przez dzikusów. Chyba że ktoś woli śmierdzący kozuch od jedwabiu i kobyle mleko od wina.

— Krótko mówiąc — z końca ławy zapytał Revel — sądzicie, sire, że sułtan ofiarowuje nam sojusz przeciwko Tartarom?

— Nie inaczej. Ofiarowuje go nam lub... lub ofiaruje go hrabiemu Tyru.

— Co?! Co?! — podniosła się gwałtowna burza głosów. Ludzie zerwali się napelniając tupotem kościół. — Coście powiedzieli, panie?! Hrabia de Montfort z Saraceni? Filip z sułtanem?

— Uciszcie się! — zawołał Balian. Zwrócił się do Juliana: — Jak to rozumiesz?

Pan Sydonu uśmiechnął się z poczuciem wyższości:

— Niech ci stryj odpowie. Jego posłowie spotkali się z posłami Filipa w namiocie Bajbarsa.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na starego Ibelina.

— Tak — zaskrzyphiał — tak. Posłowie Tyru byli w obozie sułtana.

— Zdrada! — ktoś krzyknął.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Julian. — Zaraz: zdrada! Nie gorączkujcie się. Filip jest po prostu mądry. Chce być w Acre. Ma nadzieję, że wy dacie się wpakować w sojusz z Tartarami!

— A wy byście chcieli nas wpakować w sojusz z sułtanem! — wybuchnął nagle Bérard. Postąpił krok naprzód i stał wśród baronów i rycerzy jak kamienny biały posąg. — Saracenowie wtargnęli w granice królestwa, turecka jazda kręciła się wczoraj koło Atlith. To nie są zabawki! Nie wiem, czy uważacie się za posła sułtana, ale wasze słowa nie brzmią przekonywająco. Sto pięćdziesiąt lat walczyliśmy tutaj z Saracenami. I dziś, gdy dzięki Tartarom możemy zgnieść potęgę niewiernych, wy nam proponujecie sojusz z niewiernymi przeciwko Tartarom! A co potem?

— Widzę, że i wam przypadły do gustu plany mego teścia — śmiech Juliana zgasł, mówił teraz sucho, nie kryjąc nienawiści. — Pewno więcej się wam podoba, gdy Tartar dmie w trzcinę, niż gdy wam kto czyta poemat. Lecz my sojusz z Tartarami uważamy za zdradę!

Kilka głosów podtrzymało Juliana:

— Tak! To zdrada! — Kapelan Hue wrzasnął: — Przyjaźń z Gogiem i z Magogiem! — Bérardowi wydało się, że Revel spogląda porozumiewawczo na ławę Ibelinów. Zmarszczył brwi i śledził teraz uważniej. Gromada rycerzy Szpitala stała kręgiem wokół swego wielkiego mistrza, każdy w czerwonym lśniącym płaszczu, niby fontanna krwi czy wina. Z wilczych błysków w ich oczach zrozumiał, że pamiętają dobrze krwawą rozprawę sprzed paru miesięcy. „Odrośli w siłę” — pomyślał ze złością. Na pozór obojętnie powiedział:

— Ja sojuszu z Tartarami za zdradę nie uważam. A zresztą, Tartarzy zwyciężali wszystkich. Co będzie, gdy teraz zwyciężą sułtana? Sułtan niezbyt siebie pewny, skoro u nas węszy pomocy. Stańmy przeciwko niemu,

a zwycięstwo Tartarów będzie pewne. Saraceni przestaną istnieć, Tartarzy będą nam wdzięczni.

— Słusznie — przyznało kilka głosów.

— Za naszą pomoc odzyskamy Jerozolimę! — zawołał Bérard.

— Za pomoc przeciwko Tartarom — spieszenie krzyknął Julian — sułtan gotów jest nam zwrócić zajęte ostatnio ziemie!

— A Jerozolima jest ciągle w jego rękach — zauważył Revel.

— Nic nie wiemy o tych obietnicach!

— Wyślijcie mnie do niego — Julian gestykułował żywo — a przywiozę wam zapewnienie zwrotu Jerozolimy i nowy pokój na dziesięć lat.

— Dobra myśl — ktoś powiedział.

— Zła! — krzyknął Bérard wyprowadzony z równowagi. — Zła! Sułtan gotów wszystko obiecać, bo wie, że gdy Tartarzy wygra, będzie im musiał oddać także Kair, Aleksandrię i Damiettę. Łatwo obiecywać to, czego się nie jest pewnym.

— To prawda... — przyznano.

— Sułtan w strachu gotów obiecać granice pierwszego królestwa.

— A jeżeli sułtan pchnie przeciwko nam hrabiego de Montfort i Genuńczyków? Albo może i Greków? — Zapytał nagle Julian.

Głosy się zmieszały. Nie były zgodne. Ludzie z otoczenia baliusa Wenecji, którzy dotychczas siedzieli cicho, nagle zaczęli przekonywać otaczających ich rycerzy, że nie ma gorszego wroga Acre i królestwa jak Genuńczycy.

— Dostojni rycerze — rozległo się krakanie starego pana z Jaffy — trzeba, aby sire de Garnier jechał w poselstwie do sułtana. Musimy wiedzieć, czego mamy oczekiwać od Saracenów.

— Nie czas na poselstwa, gdy wróg w królestwie — przeciwstawił się temu Bérard.

— Owszem! — Pan Sydonu był tego dnia duszą antymongolskiego stronnictwa. — Owszem! Nie chcecie się wiązać z sułtanem, zanim się nie przekonacie o rezultacie walki? Dobrze. Pozwólcie tylko, aby z częścią swych wojsk przeszedł koło Acre i zaszedł Tartarów od tyłu. Jestem przekonany, że nie będzie niczego więcej żądał.

— To nie po rycersku! — zawołał z patosem komtur de Heldringen.

— Rycerze teutońscy nie będą nas uczyli rycerskich obyczajów — powiedział z przekąsem Balian Ibelin.

De Heldrungen cofnął się nagle, zgaszony. Ale Bérard podjął zaraz:

— Komtur ma rację. — Wielki mistrz opanował gniew i mówił znowu na pozór spokojnie. Lecz pod słowami ostrymi jak cięcia miecza gorzała pasja. — Nie było u nas dotąd zwyczaju, by otwierać przez swój kraj drogę wrogowi, choćby ten szedł rozprawiać się z innym naszym wrogiem.

— Mylicie się, tak bywało — zachrypiał Jan Ibelin.

— Ale to nie po rycersku — powtórzył Heldrungen.

— Więc co!/? — krzyknął Julian. — Mamy dla templariuszowskich fanaberii dać się wyróżnić jak pod Manssurah? Niech mnie, kto chce, nazywa „pullanem”! Cieszę się, że nie jestem szaleńcem, trubadurem, błędnym rycerzem! Mam głowę na karku. Biję się, kiedy wiem dlaczego...

— Chyba dzisiaj wiemy?!

— U boku Tartarów?

— Z Saracenami!

— Z diabłem przeciwko szatanowi!

— Czy tak wam, wielki mistrzu, doradził wasz nauczyciel z ampułki? — zapytał zjadliwie Balian.

Bérard zagryzł wargi. Gniew nim znowu począł miotać, aż wsparł się na jelcu miecza.

— Dość żartów! — syknął groźnie. — Kim są Saraceni, wiemy. Tartarzy...

— He, he, he! — Julian zarechotał złym, napastliwym, a jednocześnie pewnym siebie śmiechem. Odwrócił się ku ławie Ibelinów.

— Prędko idzie, co? Odkąd bracia Templum zabrali mi ruiny Sydonu, już i Tartarzy są im przyjaciółmi.

— Lecz ten ich wódz, Kitbuka, jest podobno chrześcijaninem? — zapytał ktoś z tłumu.

— Ile ci mój teść zapłacił za opowiadanie o tym!/? — wrzasnął Julian i pogroził pięścią w stronę, skąd się rozległ głos. Stał teraz przed ławą Ibelinów żywo gestykułując. Wydawał się igrcem, który odgrywa pantominę. — Jakim Kitbuka jest chrześcijaninem, o tym przekonali się wszyscy, któ-

rzy widzieli pałace się kościoły i klasztory w Sydonie. Dość gadania! Tacy chrześcijanie...

— To wilcy w owczej skórze — odpowiedział brat Hue.

— Właśnie! To wilki, diabły śmierdzące, potępieńcy. Już w księdze Apokalipsy można przeczytać o nich.

— Słusznie! — Kapelan szpitalników odgarnął za uszy mokre od potu włosy i podniósł w górę palec. — Księga powiada, że będą mieli pancerze ogniste, hiacynctowe i siarczane, a głowy ich koni buchać będą ogniem i dymem.

— Prawda! Prawda! — rozległy się głosy. — Widzieliśmy.

— Widzieliście — zawołał Bérard — „ogień grecki”, którym także Saracenowie i żołnierze bazileusa strzelają.

— Poganie i heretycy — zauważył Balian. — Prawdziwie chrześcijańscy rycerze tego paskudztwa by nie używali.

— Próbowali i nasi, sire...

— Nie wychodziło im bez zakłęb.

— Mają, czy nie mają „ognia greckiego” — zawołał Julian — nie przełkniemy się ich. Dla diabelskiego ognia nie będę się kłaniał śmierdzącym kozuchom. Cóż to, wielki mistrzu, czyżbyście zapomnieli swej przysięgi, że nie ustąpicie z placu, choćby przeciwników było więcej niż trzech?

— Wątpicie w odwagę rycerzy Templum? — gniewnie przeciągając głos zapytał Bérard.

— Braku odwagi wam nie zarzucam — zmrużył oczy. On także zdawał się czaić jak zbierający się do skoku ryś. — Wydaje mi się jednak, że chcielibyście z pomocą Tartarów zebrać ładne bogactwo. Tartarzy spalili Sydon, a wyście mnie z niego ograbili! Może zamysłacie i innych baronów wysadzić z ich włości? Najpierw bank, potem lichwa, potem Tartarzy... — Machnął w powietrzu otwartą dłonią i uderzył nią w udo. Liczne głosy zawtórowały jego słowom. Bérard gniewnym wzrokiem powiódł po twarzach wykrzykujących. Wszystko to byli dłużnicy banku. Uświadomił sobie, że niewielu jest w Syrii rycerzy, którzy nie są jego dłużnikami. Te okrzyki świadczyły o wrogości. Ale wielki mistrz nie znał wahań ani wobec wroga, ani w obliczu raz podjętej decyzji.

— Tartarzy — podjął sucho, pomijając milczeniem zarzuty Juliana — są chrześcijanami. Natomiast Saracenowie lżą Imię Chrystusa Pana.

— Czczą Go jako Proroka! — Julian spiesznie zacytował Koran: — Jest w ich świętej księdze tak: „Jezus mówił — ten świat mostem; przechodź, ale nie buduj na nim domu”.

— A co Saladyn kazał zrobić z krzyżem na Palatium Salomonis? — prze-rwał Julianowi de Pignans wysuwając się zza pleców Bérarda.

— A co zrobili Tartarzy z krzyżami w Sydonie?

— Wielki mistrz Templum zapomniał chyba także — Revel odmierzał każde słowo — o spalonych kościołach na Rusi, w Polsce i królestwie węgierskim. Także o rycerzach zakonnych, którzy polegli w Europie w walce z Tartarami.

— Mówicie tak — głos Bérarda pełen był warkotu jak niosąca burzę chmura wynurzająca się zza lasu — jakby żaden z rycerzy zakonnych nie poległ nigdy w walce z Saracenami.

Zapanowała cisza pełna sprężonej nienawiści. Argumenty wyczerpały się — po oplecionych skórą rękojeściach mieczów sływał pot. Dzwony były bez przerwy, ciężka, nie pozwalająca odetchnąć atmosfera rozpinała się na nieruchomych pasmach słonecznego blasku. Pantaleon oderwał od rzeźbio-nego fotela głowę, w której huczało. Czuł, że nadszedł jego czas. Nie prze-rwał ani razu toczącego się sporu, chciał, aby wypowiedzieli wszystko do końca. Długie słuchanie znużyło go. Znowu przygniotły go starość i zmęcze-nie. Nitka nadziei pękła. Ten świat uraz, zawiści i dumy zdawał się ciężyc jak gęste, nabite żarem powietrze pod łukami nawy. Z tęsknotą myślał o mie-ście przylepionym do stóp góry, na której stoi wielki kościół, miście ocię-żających, opitych piwem mieszczan i wilgotnej, a tak rozkosznej mgły rozsnu-tej nad limburskimi łąkami. Wrócić tam nareszcie! Wrócić w serce chrześci-jaństwa z tej rubieży walk, konfliktów, nieporozumień i wynaturzeń! Być znowu żołnierzem w masie, a nie harcownikiem na przedpolu. Uciec do łatwiejszego, bardziej zrozumiałego życia. Do łatwiejszego? Chciał oprzeć głowę, ale drewniane rzeźby na fotelu ugniatały mu czaszkę. Równocześnie z myślą o powrocie nachodziło go wspomnienie pustelnicy Ewy. Odszedł stamtąd, odszedł od jej żądania i zawędrował aż tutaj. Uciekł... Teraz chciał wrócić. Tamte trudy wydawały mu się obecnie niczym. Wtedy był przera-żony oporem biskupów, archidiakonów, prałatów, opatów, zakonników lubu-jących się w swych zamkniętych w mroku kaplic nabożeństwach. Wszyscy oni wzruszali gniewnie ramionami, gdy się im mówiło o żądaniu rekluzji. Bóg przychodzący do ludzi? Bezbożne zuchwałości! To ludzie, mówili, po-winni przychodzić do Boga. A jeśli nie przychodzą, są niedowiarkami, here-

tykami i zasługują na odtrącenie. Dość chyba, że Kościół nakazał księżom po Konsekracji podnosić w górę Hostię i kielich. Tej zwariowanej babie wydaje się, że Bóg będzie chodził za ludźmi, którzy nie wypełniają Jego przykazań! Wprawdzie On może przybrać postać żebraka, ale bluźnierstwem jest powtarzać to, co ona gada, że Jezus jest żebrakiem!

Oparł swe stare dłonie na pokrytych szkarłatem poręczach fotela. Kardynałowie, przypomniało mu się, ubierają się w czerwień przez pamięć na krew, którą, gdy potrzeba, powinni przelać. Ale to zbyt proste: wylać krew. Wtedy myślał: „Pójdę do ziemi uświęconej Męką Pana”. Ale nie krwi żądano tutaj od niego. Musiał natomiast wybierać. Decydować. Nie należał do ludzi, którzy decydują się łatwo. Każdy, kto zaczynał mówić wobec niego, miał rację. Był kiedyś u niego mnich, który twierdził, że wędruje wraz z towarzyszem z Paryża do Egiptu, by nawracać Saracenów. Rozmawiał z innym, który go drżącym z przejęcia głosem przekonywał o konieczności ochrzczenia Tartarów. Kapelan Hue wykladał mu uczenie, że księga Apokalipsy mówi właśnie o Tartarach. Kto z nich ma rację? I czy tylko jeden z nich ma mieć rację?

A przecież musiał teraz rzucić swój głos na chwiejącą się szalę. Co im doradzać? Wtedy w nocy już wszystko wydawało się jasne. Ale po nocy przyszedł ranek. Szkatułka z listem powędrowała z powrotem na dno okutej skrzyni; nie śmiał jej otworzyć. Dziś wydobył ją znowu. Przyniósł ze sobą i trzymał pod płaszczem. Otworzyć — nie otworzyć? W katedrze było duszno, krew zdawała się zastygać w żyłach. Ciało było bezwładne, myśli rwały się niby gałgan szarpiący się u drąga. Wydobyta z pamięci nazwa wczepiła się w myśl nie do wyrwania: puszka Pandory: A jeżeli...? Chrząknął. Głowy zwróciły się ku niemu. Spór utknął tak bezpłodnie, że nawet jego zdania byli ciekawi.

— Dostojni rycerze! — zaczął. — Sprawa wydaje się poważna i myślę, że nie wolno nikomu z nas podejmować zbyt spiesnych decyzji. Znamy Saracenów, walczymy z nimi nie od dziś. Nie znamy Tartarów. Prawda, zniszczyli oni królestwo węgierskie, spalili teraz Sydon. Ale król Hettum i książę Bohemund zapewniają nas, że są wśród nich chrześcijanie, tacy, którzy chcą być nimi. Niestety — i chrześcijanie palą kościoły, gdy walczą wzajemnie ze sobą. To wojna jest straszna — to wojna jest przeciwko chrześcijaństwu.

Urwał. Zbierał siły i myśli. Dzwony biły, jakby ktoś umarł i jakby za chwilę miało wybuchnąć: *Dies irae, dies Illa*. Mocniej zacisnął palce na

szkatułce. Znowu nie mógł się zdecydować: sięgnąć do niej — nie sięgnąć? W kościele leżała cisza, w której nie sposób spać ani czuwać. Wolno krążyły w niej lunatyczne muchy. Ciszę przerwał skrzek pana z Jaffy:

— Więc co nam doradzacie, wasza dostojność? Paktować z Saracenami?

Chciał zawołać: nie! — i prędko sięgnąć po pergamin. To była pokusa zobaczyć, jak się porwą z krzykiem: „Bóg tak chce!” Nie był jednak przekonany, że tak zrobią. Święta władza, którą dzierżył, zbyt często bywała lekceważona. Całkowicie odeszła go pewność siebie. Myślał: „Wojna jest rzeczą straszną. Święta wojna jest także wojną”. Przez tyle lat zachęcał: walczcie i zwyciężajcie. Dziś zabrakło mu siły na wypowiedzenie tej zachęty.

— Zgodzicie się chyba, wasza dostojność — odezwał się Julian — że wobec Saracenów trzeba dochować pokoju.

— Nie ma pokoju z niewiernymi! — zimno przerwał mu Bérard.

— Nie może być sojuszu z szatanem! — zawołał kapelan szpitalników.

„Wielkie słowa” — myślał boleśnie. Nienawidził ich. Wielkie słowa, za którymi ukrył się człowiek. Coraz częściej przychodziło mu do głowy: „To my jesteśmy temu winni, to my nauczyliśmy ich tak mówić. Zasłoniliśmy ewangelię retoryką. Ewa mówiła inaczej. Jezus przemawiał do niej zwyczajnie, jak człowiek, który przekonuje, prosi, błaga.”

Przełknął ślinę. Otworzyć — nie otworzyć? Coraz ostrzej czuł swoją nędzę, swą nieumiejętność powzięcia decyzji. Gdyby tu był Hettum! Miał dla niego tyle sympatii.. Hettum nie był jak oni wszyscy. Patrząc na niego nie zawahałby się: rozwinąłby rulon, przeczytałby list, jak obiecał. Czemu Hettum nie wrócił od tamtej nocy? Przysłał Bérarda. Ale Bérard to jeden z nich.

— Jestem tylko sługą Kościoła, nie do mnie należy sprawa, jak bronić królestwa. Sądzę jednak, panowie, że mimo smutnej historii z Sydonem, Tartarzy okazali chrześcijaństwu życzliwość. Kto wie, czy nie uda się ich zdobyć dla wiary? To byłaby wielka rzecz.

Jakub wpatrywał się przez chwilę w płamę słonecznego blasku, która leżała między ławami, i gdy potem podniósł wzrok, nie widział nic, jakby mu ktoś zawiesił przed oczami mieniącą się zasłonę. Nie mógł dostrzec twarzy rycerzy. Słyszał tylko coraz głośniejszy szum głosów, ponad który wybijało się piskliwe wołanie kapelana Szpitala: „Tartarzy są wysłańcami

piekła: Gog i Magog!” Gdy w końcu odzyskał zdolność widzenia, zobaczył wielką niebieską muchę, która bucząc krążyła wokół pastorału.

— Saraceniowie są coraz silniejsi — ciągnął z rozpaczą. — Sami to przyznajecie. Dziś nam ofiarowują pokój, bo im grożą Tartarzy. Ale potem...

— Wasza dostojność ma słuszość — Revel głosem ostrym przeciął bąkania Pantaleona. — Nie jesteśmy pewni ani Saraceniów, ani Tartarów. Skoro idą przeciwko sobie, nie przeszkadzajmy im w tym ani nie pomagajmy. Człowiek mądry umie czekać. To tylko rycerze Templum zwykli się gorączkować — ale nigdy z tego nic dobrego nie wyszło.

— Lecz Tartarzy... — starał się wrócić do swojej myśli Pantaleon.

— Tartarzy mogą tym razem nie wygrać — ciągnął z energią Revel. — Zresztą jakkolwiek będzie los walki, zawsze zwycięzca zostanie tylko jeden. I stać będzie na jednej tylko nodze.

— Widzę, do czego zmierzacie — przerwał mu Bérard. — Lecz nawet osłabiony zwycięzca będzie dla nas dość groźny.

— Jesteście dziś bardzo ostrożni, wielki mistrzu! — szyderczo zawołał Julian.

— Przypuśćmy — uśmiech Revela był pełen pewności siebie. — Lecz mądrość nasza powinna polegać na tym, aby w chwili gdy rozstrzygnie się los walki między sultaniem a Tartarami, w Acre stała już nowa krucjata.

— Nowa krucjata!? — zawołało wiele głosów. W półciemnej, przetkanej smugami blasku, niby zalanej oliwą nawie kościoła zrobił się ruch. Nowa krucjata — to słowo budziło z uspienia.

— Nowa krucjata? — zapytał Jakub. — Skąd ją wziąć?

— Wy ją, wasza dostojność, sprowadzicie — odparł Revel.

— Ja?

— Wy. Nie mieszajmy się, jak słusznie radzicie, do sporu Tartarów z Saraceniami. Ale skorzystajmy z czasu. Wezwijmy na pomoc chrześcijaństwo. Wy, wasza dostojność, powinniście zaraz wyjechać do Italii, do Rzymu. Wasze słowa będą tam należycie zrozumiane.

— Moje słowa?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Myśl była nowa, zaskakująca. Gdyby już nie był układał sobie w głowie, że stąd odjedzie, odrzuciłby od razu propozycję Revela. Ale Italia, Rzym, Europa wołały go. Kiedyś jechał tutaj jak na ostatni kraniec żywego chrześcijaństwa. Dziś zdawał sobie sprawę, że

jest to już stracona placówka. „A może jednak mój głos zaważy — myślał — i pomoc nadejdzie?” Łatwo przychodziło uwierzyć w to, w co chciał wierzyć. Pamiętał, że Ludwik lądując w Aigues Mortes powiedział: Wróciłem, ale krzyżowcem jestem nadal. „Może się da przekonać i przyplynie jeszcze raz? Zwrócę się do niego. On będzie wiedział, jak postąpić, będzie umiał — politykować.”

— Wielki mistrz Szpitala dobrze radzi — stwierdził stary Ibelin.

— Jedźcie, wasza dostojność — powiedział pan z Arsuf.

— Jedźcie, przywieźcie krucjatę — poczęły rozlegać się głosy.

— Pośpieszcie się tylko.

— Póki Lucyfer walczy z Belzebubem...

— Jedźcie!

Tylko Bérard z gniewem zawołał:

— Źle wam radzą, wasza dostojność! Nowa krucjata to gruszki na wiezbie. Cesarze i królowie o czym innym myślą, nie o Ziemi Świętej! Nikt tutaj nie przyplynie. Sami sobie radźmy. Sojusz z Tartarami może ocalić królestwo.

Pan z Jaffy podniósł wzrok i jego przygasłe oczy napotkały zimne spojrzenie Revela. Rycerze popatrzyli na siebie i porozumiewawczo skinęli głowami. Głos Ibelina zaskrzypiał:

— A wy co myślicie, komturze de Heldrungen?

Niemiec spojrział bystro w krąg. Głupia pozycja! Templariusze znaleźli się osamotnieni. Oni mogą sobie na to pozwolić; Ale gdy się tylko ogryza kości u pańskiego stołu, trzeba dbać o pańską łaskę. Nienawidził ich wszystkich jednakowo: Ibelinów, szpitalników, templariuszy. Mieli zamki, bogactwa, lenników. Mieli także jakąś inną, bardziej słoneczną duszę. Nawet grabili z wdziękiem. Nie troskali się, jak on, ciągle i o wszystko. Lecz jak się tu nie troskać? Czuł, że kaftan ugniata mu szyję, utrudnia oddech. Każda odpowiedź musiała być wyrokiem. Znowu oczy biegały prędko od białej postaci Bérarda do siedzącego między synami i kuzynami pana Jaffy. Wy rzucił z siebie chrypliwie i twardo.

— Myślę jak i wy, sire...

Schylił głowę i przyglądał się uważnie swoim ostrogom wygiętym do dołu niby szpony. Bérard chrząknął, jakby zrzucił obliczoną sumę z drewnianych liczydeł.

— Jedźcie, wasza dostojność — powtarzały coraz liczniejsze głosy.

— Właśnie wysyłamy naszą najlepszą galereę — rzekł balius Wenecji uśmiechając się przymilnie do Ibelinów. — Wstrzymamy jej odpłynięcie do jutra, aby dostojny patriarcha mógł się na nią zabrać.

— Jedźcie prędko — Julian zacierał dłonie.

— Ocalicie królestwo..

Bérard skrzyżował ręce na piersiach. Nie powiedział już nic więcej. Ale wyraz chłodnej pogardy nie schodził z jego zaciśniętych ust. Nie potrzebował pytać swego Asmodeusza; wiedział, czego ma teraz oczekiwać. Przez zwarte zęby rzucił krótki rozkaz rycerzowi de Pignans, a ten nieznacznie wycofał się z tłumu. Ściskając w ręku szkatułkę Pantaleon powstał. Na chwilę zamajaczyła mu przed oczami postać Hettuma. „Czy go aby nie zdradzam?” — zaniepokoił się nagle. Hettum był mu zawsze droższy niż oni wszyscy. Ale rycerze powtarzali: „Jedźcie, jedźcie...” „Pojadę — pomyślał — sprowadzę Ludwika. Hettum... Ludwik będzie wiedział, jak mu pomóc.”

— Jeżeli trzeba — powiedział — pojedę.

— Jedźcie! — zawołał Julian. — Jedźcie! — przytwierdził Revel. Stary senior Jaffy skinął głową. — Jedźcie! — powtórzyło wiele głosów. Posepna twarz Bérarda wyrażała zimną pogardę. Komtur de Heldrunge był biały jak jego płaszcz. Jakiś senny głos — niby kogoś obudzonego ze snu — z tylnych szeregów rycerstwa, spoza smug blasku, które padały między ławki ciężkimi kolumnami żaru, zapytał:

— A jeżeli Saraceni, zamiast na Tartarów, ruszą na nas?

— A gdybyśmy tak zamiast na Tartarów ruszyli na nich?

Atabek powiedział to niedbale, lecz sułtan wiedział, że ton głosu Bajbarsa nie zdradza nigdy wagi wypowiedzianych słów. Podniósł głowę i uważnie popatrzył na tamtego. Olbrzymi Mameluk przypominał mu leniwie wyciągniętą, lecz zawsze gotową do skoku panterę.

— Byłoby lekkomyślnością — zauważył — uderzać na małego wroga, gdy czeka nas rozprawa z wielkim.

Bajbars nie odpowiedział. Może tym milczeniem przyznał rację sułtanowi. Byli sami, atabek nie czuł się skrzepowany etykietą: leżał na niskiej sofie trzymając nogi na pokrytym inkrustacjami stoliczku. Cicho pogwizdywał. Kutuz pochylił się nad nim.

— Zapachniała ci krew chrześcijan? — zapytał z uśmiechem.

Niechętnie mruknął: — Zapachniało mi ściwierem...

Nocny wiatr szedł górą i poruszał sklepienie namiotu, po zwisającej kolorowej materii biegły fale. Obóz wokoło nich rozbrzmiewał hałasem ludzi i zwierząt.

— Myślisz o ich postach?

Twarz Bajbarsa wyrażała wstręt. Splunął z pogardą.

— Och! — Kutuz zaśmiał się. — Obyśmy mieli zawsze takich wrogów! Wiemy teraz, że się nie ruszą, a nawet gotowi są nam tanio sprzedać tartarskie konie, które po walce rozproszą się po łąkach Galilei. Ten koński handel to już na pewno pomysł emira Sydonu.

— Wszyscy oni są gotowi wszystko sprzedać i wszystko kupić! — wybuchnął Bajbars. — Bydło! — syknął. Usiadł. — A ci posłowie od starego Ibelina? Przynieśli dary z podziękowaniem, że nie uderzyłem na Jaffę! W języku szlachetni i nieustępliwi — a gdy ich nastraszysz, gotowi są na wyścigi lizać twój but. Zrobią więcej niż będziesz od nich wymagał!

— Toteż obyśmy zawsze mieli takich wrogów! — powtórzył Kutuz.

— Nie! — krzyknął. Zeskoczył z sofy jednym susem na środek namiotu. Kutuzowi wydał się naprawdę panterą. Szybko, gorączkowo zatoczył krąg. Potem zatrzymał się gniewnie, położył rękę na alabastrowej wazie o smukłych kształtach stojącej na niskim stołeczku. — Niechby szejtan sam się rozprawił z nimi! — rzucił. Zmrużywszy oczy zapatrzył się w przestrzeń. Powiedział, jakby dotknął starej rany: — Pamiętasz, kiedyśmy ich pierwszy raz...

Kutuz skinął głową. Wielka rzeka o ledwie widzialnym drugim brzegu płynęła poprzez ich wspomnienia. Na żółtawej fali kołysała się dwumasztowa nawa z czerwonymi żaglami. Ten widok wżarł się w ich pamięć. Ci, którzy ich przywlekli związanych, prowadzili na brzegu targ. Potem, gdy jeden za drugim po wąskiej kładce przechodzili na pokład, wydawało im się, że zostali przeniesieni z paszczy wilka w krainę szczęśliwości: ich gorzka niewola miała się zamienić w wolność. Czarnoocy ludzie na pokładzie mówili do nich przyjaźnie językiem dziwnym i melodyjnym. Wydawali się aniołami. Odpływając z nimi, bez żalu żegnali się z płaskimi brzegami swej rodzinnej rzeki, podbitej w niewolę. Ale na końcu drogi morskiej, gdy się znaleźli w rozkrzyczanym kolorowym porcie, pełnym ludzi i oszalałego słońca, spotkał ich straszny zawód: targ powtórzył się. Zanim pojęli, co się

stało, znowu szli po wąskiej kładce, by stać się własnością ludzi o ciemnych twarzach i głowach okręconych białymi zawojami.

— Zawsze oszukiwali — przyznał. — Lecz ich oszustwa odwracają się przeciwko nim samym. Bliska jest chwila, gdy złapię ich za gardło i potrząsnę...

— I cóż chcesz z nich wytrząsnąć? — Bajbars wciąż patrząc przed siebie wykrzywił drwiąco usta.

— Złoto — zaśmiał się Kutuz. — Złoto.

— Ach, to tylko... — zauważył gorzko.

Kutuz wstał także, przeciągnął się, poklepał obu dłońmi po brzuchu, zaszedł z tyłu Bajbarsa. — Złoto, mój drogi, to dużo — powiedział. — Złoto to władza... Nie myśleliśmy płynąc po Wołdze, że ja będą sułtanem, a ty atabekiem, że będą drzeć przed nami królowie i cesarze. Prawda? — Po przyjacielsku objął ramieniem Bajbarsa. — Rozchmurz się, bracie. Jeżeli zwyciężę teraz Mongołów...

Ruchem ramion Bajbars strząsnął z siebie rękę sułtana.

— Będą zwyciężeni, jeżeli ja ich zwyciężę — powiedział z naciskiem.

— Jesteś wodzem wojsk — zauważył z urazą w głosie Kutuz.

— Jestem, kim chcę być! — rzucił wyzywająco. Dłoń Bajbarsa zamknęła się porywczo na cienkiej szyjce wazy. „Jeszcze ją zgniecie — pomyślał Kutuz. — A szkoda! Wpadła w oczy Julianowi z Sydonu i mógłbym wiele za nią od niego otrzymać.” Ale nie powiedział tego głośno. Gdyby nie ta dłoń, pamiętał, nie byłby sułtanem. To ona usunęła obu jego poprzedników, władców Egiptu. Ale i jego mogła usunąć. Poczul dreszcz. Kiedyś siedzieli przy jednym wiośle. Potem Bajbars wezbrał jak fala, a on wypłynął na jego grzbiecie. Straszny człowiek... I właściwie nie wiadomo, czego chce. Ma przecież po nim największą władzę. On, Kutuz, traktuje go jak przyjaciela. Z wyrzutem popatrzył na olbrzyma, który podszedł do sofy i znowu rozwalil się na niej.

— Czego ty chcesz? — zapytał. — Nigdy nie wiem...

— Gwiazdy z nieba! — parsknął atabek. — Czegoś wielkiego, czego nie złapiesz garścią. Gwiazdy z nieba! — począł się śmiać głucho, okrutnie.

— Zastanów się dobrze — powiedziała.

Izba była mroczna, nisko sklepiona, podobna do lochu. W głębi okien powybijanych w grubym murze słońce gorzało jak ogień. Zabel siedziała przed ramą, na której rozpięta była robota. Nie przestawała coś wyszywać.

— Zastanawiałem się wiele razy — zapewnił.

— Znowu gonisz za nowym...

— Taka już widać moja natura.

— O, to wiem... Ale tym razem chcesz wziąć ze sobą chłopców.

Wolno powstał z zydła, z rękami założonymi z tyłu przeszedł się wzdłuż izby. Pochylona nad swoją robotą nie patrzyła na niego. Ale czuł, że gdy znajduje się poza nią, jej ciało kurczy się gestem oporu. „Zawsze tak samo” — pomyślał.

— Dlatego ich wezwałem — zaczął. — Cóż chcesz? Są dorośli. Trzeba, aby się zaczęli zaprawiać w walce i dowodzeniu.

— Czyż jeszcze nie stworzyłeś im dość mocnej pozycji?

W zapytaniu nie było słyhać ironii, ale ją wyczuł. Odpowiedział spokojnie:

— Wiesz sama dobrze: gdy się zrobiło długi krok, nie można się potem zatrzymać.

— Skądże mogę to wiedzieć? — wyskubywała kolorową nitkę. Przyciśnięwszy palcami robotę przyglądała się jej mrużąc oczy.

— Jestem tylko twoją żoną.

— Tylko! — podchwycił.

Tym razem odwróciła głowę. Popatrzyła na niego z chłodnym wyzwaniem w spojrzeniu.

— Czy chciałeś czegoś innego?

Westchnął w duchu. Ona pamiętała każde słowo wypowiedziane przed laty. „Bądź moją żoną, Zabel...” — mówił. Byli wtedy sami w wielkiej izbie zamku Selefke, która poprzednio służyła szpitalnikom za refektarz. Siedziała w kącie z twarzą wyrażającą nieugięty upór. Pod oknami słyhać było kroki strażników.

— Prosiłem cię... — powiedział pojednawczo.

Zamiast odpowiedzi wyduła usta i powróciła do swej roboty.

— Prosiłem cię wiele razy — powtórzył. — Myślałem, że zechcesz zrozumieć. Przyznaję: skrzywdziłem cię. Ale tyle już lat minęło od tamtego czasu. Wydaje mi się, że zrobiłem dużo. Nie dla siebie. Dla królestwa. Musisz przyznać: Rupenowie, nawet twój ojciec, nie osiągnęli tyle.

— Gdyby nie Rupenowie — powiedziała sucho i ostro — nie byłbyś tym, kim jesteś.

— Być może...

— A ja — ucięła — jestem ich córką!

Zapanowała cisza. Znowu powoli chodził tam i z powrotem po pokoju, ona zaś wbijała igłę w napięte płótno.

— Kiedy dowiedziałem się, że przyjechałaś także do Beaufort — zaczął po chwili — ucieszyłem się. Pomyślałem sobie: nareszcie Zabel wybaczyła mi i przychodzi pomóc...

— Kancona? — przerwała mu zjadliwie. — Przyjechałam, boś wezwał Lewona i Torosa — ciągnęła dalej chłodno. — Nie wtrącam się zwykle do twoich spraw, sam wiesz o tym. Ale tym razem chciałam cię przestrzec...

— Przestrzec? — zdziwił się.

— Tak — mówiła, wciąż wyszywając. — Rupenowie inaczej umacniali królestwo.

— Inne były czasy — zauważył.

— Nie wszyscy są zdania, że czasy są aż tak inne.

— Myślisz o Tartarach? — zapytał.

— Mój ojciec — powiedziała z naciskiem — był wasalem cesarza; ale nigdy się nie poniżył, by być wasalem chana!

Twarz Hettuma pobladła. Chciał coś powiedzieć, ale zaraz zagryzł usta. Zacisnął dłonie.

— Wasal... — rzekł głosem stłumionym. — Kładąc dobrowolnie ręce w dłonie seniora przyrzekamy wierność. Ale nie jemu tylko. W prawie lennym człowiek zastępuje Boga. I nasza wierność dotyczy przede wszystkim Jego.

— A honor? — rzuciła znad roboty.

— Honorem jest służyć dobrze — powiedział. Szybko zaczerpnął powietrza. Kiedyś, gdy rzekł coś podobnego, cisnęła mu w twarz rękawicę:

„Masz duszę giermka!” Ale dziś nie odezwała się. Jej palce przesuwały się po napiętym płótnie, które pod tym dotknięciem wydawało głuchy dźwięk niby dudnienie. Na nowo podjął swój spacer po izbie; chodził ciężko z pochyloną głową, z rękami w tyle, jak więzień po swej celi. Kamienna posadzka chrzęściła cicho pod stopami.

— To, co jest dzisiaj — mówił znowu — zaczęło się dawno. Przed laty. Wtedy i przez cały ten czas musiałem decydować sam. Nie chciałaś mi w niczym doradzić, nic pomóc. Twoja sprawa, jak mówisz... Każda pokuta wobec Boga ma swój koniec. Tylko ty nie chcesz końca naznaczyć. Dlaczego mnie jednak dzisiaj zatrzymujesz?

Wolno wyciągnęła nitkę.

— Boś przywołał chłopców.

— Lewon jest moim następcą. Już dziś powinni go widzieć lennicy królestwa, dowodzącego w boju.

— Więc dobrze — Lewon... Po coś jednak wezwał Torosa?

Rozłożył ręce.

— Przecież Toros... Czy sądzisz, że zgodziłyby się zostać w domu, gdy całe rycerstwo armeńskie wyrusza w pole?

— Toros zrobi dla mnie wszystko — zapewniła stanowczo. Odłożyła robotę, odwróciła się do męża. — Ja nie chcę, aby on szedł na tę głupią wyprawę! To jest moje jedyne dziecko! Żadnego z nich tak nie kocham. Każ mu wrócić do Sis. Proszę cię...

— Prosisz? — powtórzył z niedowierzaniem.

— Proszę — powtórzyła. — Lewon ma być po tobie królem. Niech idzie z tobą. Ale Toros nie ma żadnych obowiązków. On sobie zdobędzie królestwo. I mnie zabierze.

— Gdzie chcesz, aby ciebie zabrał? — podszedł do niej bliżej. — Jesteś moją żoną, Zabel.

— Nie urodzę ci już dziecka, więc nie jestem potrzebna. Chciałaś mnie, by się wspiąć na tron i by twój syn mógł także nosić koronę. Masz tron, masz Lewona. Ale Toros... On jest tak mało twoim synem. Ma twarz Rupenów. Zostaw mi go. Niech nie będzie tartarskim wasalem.

— Po prostu: niech nie idzie za mną, prawda? O to ci chodzi. Przypuścimy, że się zgodzę. Ale co będzie, jeśli w walce z Saracenami ja i Lewon zginiemy? Wtedy przecież na Torosa przejdzie korona.

— Lewon nie zginie! Tobie się wszystko udaje!

Zaśmiał się do siebie, cicho, boleśnie.

— Więc chcesz, by Toros powrócił do Sis?

— Tak. Odeślij go tam.

— I on zgadza się na to? W przeddzień walki?

— Każ mu wrócić. Proszę cię... Chłopcy są nierozsądni.

— Ach, więc on nie chce! A mówiłaś przed chwilą, że zrobi dla ciebie wszystko.

— Zrobi, oczywiście, że zrobi! — wybuchnęła. — Ale walka jest pokusą dla każdego chłopca. Odeślij go. Dość mi chyba zabrałeś. Chciałbyś jeszcze jego?

Wolno wrócił do zydlu, na którym siedział poprzednio, ciężko na nim usiadł.

— Niczego ani nikogo nie chciałem ci zabierać — rzekł głosem zmęczonym. — Ale nie rozumiemy się. Ty ciągle: ja — ty, moje — twoje. A ja powiadam: sprawa.

— Mężczyźni lubią tak mówić — rzuciła zgryźliwie. — Zawsze: to nie ja, to królestwo, to wolność, honor, chrześcijaństwo...

Wyrwało mu się westchnienie. Zapytał: — A... Toros?

Spuściła głowę i zagryzła wargi. Nie wyszywała. Siedzieli milcząc, z dala od siebie jak para zapaśników przed następnym natarciem. Spoza grubych murów dolatywały głosy. Zamek był pełen ludzi.

— Cóż Fema? — usiłował skierować ster na spokojniejszy nurt. — Nie widziałem jej jeszcze.

Wzruszyła ramionami.

— Rozpacza. Stracili Sydon. Jej mąż pisał, że zdradziłeś chrześcijaństwo, a jego pozbawiłeś lenna.

— Głupiec! — syknął z niechęcią.

— Dla ciebie wszyscy są głupcami.

— Bronisz Juliana? Wiesz przecież, jaki jest: utracjusz, hulaka, rozpustnik.

— Ma tylko zwyczajne wady męskie — rzekła zaczynając na nowo robotę. — Takie można znieść...

Cisza wróciła. Czasem tylko zadudniło napięte płótno pod palcami Zabel, czasem głośniejsz rozległy się głosy. W wielkiej klepsydrze w kącie izby z cichym szmerem przesypywał się piasek. Czas biegł nic nie przynosząc. Tyle lat czekał, że coś się jednak zmieni. Nie mógł pozbyć się nadziei, że znajdzie rozwiązanie na końcu rozmowy.

— Zabel... — powiedział, jakby ją wołał z niezmierniej dali.

Nie drgnęła. Nie odwróciła głowy. Wyszywała.

— Czy tylko w ten sposób mamy zawsze rozmawiać? — zapytał. — Nie zgadzasz się ze mną — dobrze. Ale przeżyliśmy obok siebie lata... Mamy dzieci. Czy nigdy tamtego nie zapomnisz? Bóg mi wybaczył. Ty nie chcesz. Kochałem cię przecież przez cały czas.

Zaśmiała się drwiąco.

— Kochałeś? Cały czas? I nigdy nie szukałeś innej?

Opuścił głowę i wyłamywał palce.

— Biłem się o ciebie — powiedział znowu cicho.

— Julian także szuka jednej w stu — szydziła — a nazywasz go rozpustnikiem. To także męskie gadanie. Słyszałam, że nawet ostatnio, w Damaszku była jakaś grecka dziewczyna. Och, nie myśl, że jestem ciekawa! To są twoje sprawy. Tylko po co mówić o kochaniu?

Milczał. Już żałował swoich słów. Nie zmieniło się nic. Wszystko pozostało jak dawniej. Myślał o brutalnym geście ojca wtedy w Selefke, gdy ją wreszcie dogonili. Skończywszy targ ze szpitalnikami obaj weszli do izby, w kącie której siedziała Zabel. Na jej bladej twarzy malowały się gniew i nienawiść. Konstantyn klepnął syna po ramieniu. „Weź ją! — powiedział. — Z babami tylko tak: siłą”. Ale on, gdy zostali sami, skłonił się przed nią dwornie i stał na poły onieśmielony, na poły pełen współczucia. Podniecenie opadało z kobiety, wzrok jej stawał się zimny i pogardliwy. „Nie uciekaj. Zostań moją żoną...” — poprosił niezgrabnie. Patrzyła mu w twarz. Uśmiechnęła się pogardliwie. „Kto nie może wybierać — odrzekła — ma tylko jedną drogę. Ale daje tylko tyle, ile musi”.

Czy umiała ocenić, że tyle razy jej ustąpił? Rzeka żalu spływała wartko, gdy się bodaj na chwilę podniosło stawidła. Wraz z jej biegiem rosło w nim znowu gorzkie przekonanie, że bezwzględność jest jednak skuteczniejsza. To zabawne — zawsze chciał widzieć w przeciwniku istotę doskonałą, zdolną odpowiedzieć na szlachetny gest, istotę, która walczy, gdy się z nią walczy, ustępuje, gdy się jej ustępuje.

— Więc zostawisz mi Torosa? — zapytała.

Zmarszczył brwi. Odpowiedział głosem nienaturalnie podniesionym.

— Zostawię ci go, jeżeli on się na to zgodzi.

Gniewnym szarpnięciem stargała jakąś nić.

— To się obejdzie! — syknęła. — Bierz go więc! Niech jedzie z tobą wysługiwać się Tartarom. Będzie kładł się plackiem przed tym twoim Kitbuką, przesiąknie smrodem jego kozucha. Ale pamiętaj...

Zobaczył oczy palące się ponuro i zawsze jeszcze piękne, rozchylone usta, spod których błyskały zaciśnięte zęby.

— Pamiętaj — mówiła gwałtownie. — Jeżeli mu się coś stanie... Zawsze cię nienawidziłam... zawsze! Ale wtedy gotowa byłabym cię zabić!

Odepchnęła od siebie robotę, aż rama z trzaskiem spadła z podpórki.

— Gdyby Toros zginął, zniszczyłabym wszystko... Słyszysz? Wszystko! Ciebie, Lewona, królestwo. Potrafiłabym się wtedy zemścić. Znalazłabym takich, co by mi pomogli. Nie wszyscy są podli jak szpitalnicy!

3

— Więc to są twoi synowie, anda? — Kitbuka podchodził kolejno do Lewona i Torosa, kładł ręce na ich ramiona i długo patrzył w twarz. — Są na pewno dzielni i szlachetni. Twoi synowie muszą być do ciebie podobni. To szczęście, gdy własna krew płynie w nowym ciele. To wielkie szczęście... — Gdy to mówił, twarz jego zmalęła i jak zeschnięte jabłko pokryła się siecią zmarszczek. Hettum spuścił wzrok, unikał spotkania oczu Kitbuki. Ale żółta, błyszcząca twarz wygładziła się znowu; wydatne policzki uniosły się w górę w życzliwym uśmiechu. — Cieszę się, że was mogę wszystkich gościć w moim namiocie.

Z kolei nojon witał Sempada, Bohemunda i innych rycerzy.

— Przybyliście bez zwłoki. Chan będzie zadowolony, dowiedziawszy się o waszej gotowości. — Zwrócił się do Hettuma: — A rycerze-mnisi z Acre nie przybyli?

— Na pewno przybędą — zapewnił. — Ich mistrz dał mi słowo, a to jest słowo rycerza.

— Ufam więc jego słowu. — Wskazał na leżące w krąg na ziemi po-

duszki. — Siadajcie, dostojni szoggunowie, i przyjmijcie nędzne jedzenie, jakie niegodny wasz gospodarz ośmiela się wam podać. — Skinął na służbę. Razem z nią weszło trzech grajków z piszczałkami i zasiadło w kącie namiotu. Kolejno, jakby każdy dla siebie, nadymali usta. Ale trzy dźwięki zlały się w jeden: monotonny, żalony, przejmujący, wiszący pod pułapem namiotu niby wielobarwna wijąca się nić. Dwóch pacholków wniosło wielki gliniany sagan pełen pieniacego się kumysu. Kitbuka zaczerpnął i podniósłszy czarkę w obu dłoniach utkwiał oczy w górze. Powiedział: — Bądź uczczony Tengri, którego Imię jest I-sa. Ześlij swą łaskę na nasze głowy, błogosław nam i naszym synom. — Wylał kumys na węgle. Ostry, niemiły zapach spalonego mleka rozszedł się po namiocie. Kitbuka po raz drugi zaczerpnął czarkę. Podał ją siedzącemu obok Hettumowi. — Pij, anda — rzekł. — Za przyjaźń, za sojusz, za braterstwo wobec wroga.

Gliniana płaska czarka obiegała krąg siedzących. Służba przyniosła tymczasem duszoną baraninę w długich płatach i ryżową wódkę w oplatanych glinianych butelkach. Muzykanci nie przestawali dąć w swoje piszczałki. Dźwięk wibrował podobny krzykowi przerażonego ptactwa. Uczta odbywała się w milczeniu. Zmrok zapadał. Równy z trzecim daniem, którym były tłuste kawały słoniny opiekane w cieście, wniesiono do namiotu oliwne kaganki na wysokich trójnogach.

— Podobno urodził ci się syn, szoggunie? — Kitbuka zapytał Bohemunda.

— Tak. Właśnie gdy odjeżdżałem z Antiochii.

— Na szczęśliwą wróżbę! — zawołał rycerz de Saint-Lo.

— Syn to wielkie szczęście — Kitbuka powiedział to z szerokim uśmiechem. — Pozwolisz, że uczcimy tę nowinę zaraz pierwszego dnia po zwycięstwie? Dziś cieszymy się wyłącznie radością ze spotkania.

Hettum pochylił się ku Bohemundowi:

— Jak się czuje Sybilla?

— Dobrze.

— Wydajesz się jednak czymś strapiony.

— Ach! — Bohemund zrobił desperacki ruch ręką — Sybilla nie chciała mnie puścić.

— Tak robią często kobiety kochające — powiedział z przekonaniem

w głosie. — Zwłaszcza gdy pozostawiamy je same w czasie słabości. Ale dziś już pewnie wydobrzała i myśli o zwycięstwie, nie o smutkach.

— Sybilla nie niepokoi się walką. Tylko list...

— Jaki list?

Przerwał im Sempad wzywając wszystkich, by wypili zdrowie Kitbuki. Rycerze powstali z kubkami w rękach. Rzuciwszy wzrokiem na ich twarze Hettum wyczytał w nich bojowy zapał, ale nie sympatię dla żółtego wodza. Stał w ich kole z oczami zmrużonymi bardziej niż zwykle, z szerokim uśmiechem na ustach odsłaniających rząd żółtych i nierównych zębów. Oni byli grzeczni i chłodni, Kitbuka — szczerze wzruszony. Może nie widział ich uśmiechów. Sempad podszedł do nojona i trącił swoim kubkiem w jego kubek. Oblicze konetabla Armenii nie zdradzało fałszu. Hettum wiedział, że Sempad bardziej jeszcze niż on sam zaufał sprawie sojuszu z Mongołami. To on właściwie, starszy syn Konstantyna z Lampronu, powinien był otrzymać tron armeński. Ale w tamtym czasie wyglądało na to, że Sempad zostanie duchownym. Konstantyn widział go w swoich zamysłach patriarchą Armenii. Tymczasem Sempad nauk kościelnych nie skończył i zamiast przygotowywać się do objęcia biskupstwa, wstąpił do klasztoru. Ale i tam długo nie pozostał: po roku opuścił klasztor, wrócił na zamek, zagrzebał się w księgach. Czytał wiele, nabierał wiedzy, stawał się człowiekiem uczonym. Nie zenił się. Gdy było trzeba, wyrecał brata w rządach. Hettum miał w starym dziwaku oddanego i zaufanego pomocnika, ale nie przyjaciela. Mrukliwy Sempad zdawał się być niedosięgly żadnym uczuciom. Jego przyjaciółmi były książki. Bracia współpracowali ze sobą, nie byli jednak sobie bliscy. Z polecenia Hettuma Sempad przed laty pojechał do Mongolii dla zbadania gruntu przed wyjazdem samego króla. Konetabl dotarł aż do Karrakorum, rozmawiał z chanem Gujukiem. Wrócił z podróży ogarnięty podziwem dla państwa kagana. To on pierwszy mówił Hettumowi o nestorianach, o ich kościołach, o świętych obrazach, które widział. O swych odkryciach pisał wiele listów, a także nosił się z myślą napisania książki. Jego również posłał Hettum na Cypr do Ludwika, a Sempad tyle naopowiadał królowi Francji o Mongołach, że wywołał jego żywe zainteresowanie.

Dopiero gdy Kitbuka podziękował za toast i rycerze usiedli, mógł powrócić do przerwanej rozmowy. Zapytał:

— O jakim to liście mówiłeś?

Bohemund strzepnął palcami.

— Akurat zbierałem się do drogi, gdy przyszedł list od matki i od wuja. Niemiły list...

— Co pisali?

— Zaklinali mnie oboje, abym tu nie jechał.

— Abyś nie jechał? Dlaczego?

— Matka biada znowu, że zdradzamy chrześcijaństwo. Pisze, że Tartarzy są wysłannikami piekła. Już podobno w księdze Apokalipsy była o nich przepowiednia.

— Brednie! Spójrz na Kitbukę, czy wygląda na szatana?

— Matka twierdzi, że oni nas czarują. Podobno diabeł, gdy chce kogoś oszukać, przebiera się za anioła.

— Twoja matka nasłuchiwała się różnych mąciocieli, może nawet nasłanych przez Saracenów. Lecz biskup powinien był jej przecież wytłumaczyć. Tyle razy nazywał nas ludźmi rozsądnymi, a raz nawet, pamiętasz, powiedział, że i diabła można użyć do dobrej sprawy.

— A teraz pisze, że rozsądek nakazuje zerwać sojusz z Tartarami.

— Cóż to znów nowego?

— Całe chrześcijaństwo jest przeciwko Tartarom. Rozsądne jest, tak pisze wuj, to, co robią wszyscy. Sultán obiecał Plezencji zwrot Jerozolimy.

— Nie wierzę w obietnice sultana! Zawsze gdy stajemy na progu zwycięstwa, mahometanie rozbrajają nas obietnicami, z których potem nic nie wychodzi. A o chrześcijanach to nieprawda! Ojciec święty...

— Właśnie wuj pisze, że Ojciec święty napomniął surowo króla węgierskiego za zawarcie układu z Tartarami.

— To niemożliwe!

— O czym mówicie, anda? — Kitbuka zwrócił się w ich stronę.

— Nic... nic ważnego. Bohemund opowiadał o liście swojej matki, hrabiny Tripoli.

— Matka szogguna cieszy się niewątpliwie wnukiem?

— Jeszcze o nim nie wiedziała wówczas.

— Syn — to wielka łaska. Miałem tylko jednego i dlatego może kochałem go nad wszystko... Lecz Tengri nie pozwolił mu żyć. Niech będzie błogosławione Jego Imię. Byłem pełen bóleści i gniewu. Ale gdy wszedłem do domu I-sy w Nazarecie, zrozumiałem... Nie buntujemy się wobec woli cha-

na, nie wolno nam się buntować wobec woli Tengri. On ma w swoim ręku nasze życie i naszą śmierć, nasze zwycięstwo i nasze klęski. Już nie żałuję Senanga. Wiem zresztą, że jest tam... — podniósł w górę żółtą dłoń. — Był dobrym chrześcijaninem.

Przy stole zapanowała cisza, tylko z piszczałek płynął ciągle ten sam jednostajny żaloszny dźwięk.

— Nie trzeba się smuć — powiedział Kitbuka. Uśmiechnął się szeroko: — Cieszymy się, uczujmy. Czy tylko jedzenie, które ośmieliłem się podać dostojnym szoggunom, jest możliwe do przeknięcia?

Gdy opuszczali namiot wodza późno w noc, Kitbuka zwrócił się do Hettuma.

— Poczekaj, anda, jeszcze chwilę. Chciałbym z tobą pomówić.

Służba pozostawiła płonące kaganki i oświetlony nimi namiot wydawał się wielki jak kościół. Szary wojłok ścian układał się w grube fałdy przypominające kolumny. Ale zapachy mięsa, tłuszczów, kumysu ciążyły nad wnętrzem, zdawały się je pomniejszać. Z kątów wysunęły się psy i wzięły się do ogryzania kości powarkując na siebie.

Kitbuka wskazał Hettumowi pęk skór.

— Siądź, anda. Jest już późno, ale musimy porozmawiać przed jutrem. Czas biegnie jak goniec z ważną wieścią. Tylko jeden dzień dzieli nas od spotkania z sułtanem.

— Jest już tak blisko?

— Tak. Moi zwiadowcy śledzą jego wojska. Skręciły one do wybrzeża koło Kakun.

— Masz więc słusność: pojutrze tu będą. Nareszcie! — przeciągnął się zaciskając pięści, jakby obudzony z głębokiego snu. Był już zmęczony czekaniem i staraniami, aby ta wojna wreszcie przyszła. Ciągłe powstawały w nim nowe obawy, że coś w ostatniej chwili przeszkodzi decydującej rozprawie. Nareszcie jednak stało się! — Sułtan — rzekł — pośpieszył się. Uderza pierwszy. Tak jak to przewidywał Hulagu.

— Chan wiedział, jak wielkim to będzie niebezpieczeństwem — w głosie wodza była troska.

— Czyżbyś się czuł słaby? — zapytał. Ufność, jaką pokładał w potędze Tartarów, nie nasuwała dotychczas żadnych obaw co do wyników starcia.

— Walka nie będzie łatwa — powiedział Kitbuka — Sułtan wiedział, kiedy ma uderzyć. Moje siły są rozproszone po całej Syrii. Poza tym nadejście sułtana podniosło na duchu tadżyków. Usłyszawszy o jego zbliżaniu się, rzucili się na chrześcijan w Aleppo, w Damaszku, w Hamie... Musiałem tam posłać Bajdara z czterema mingganami.

— W przeddzień bitwy? To lekkomyślność!

Nie podnosząc głowy mruknął:

— Może... Nie mogłem jednak dopuścić, aby złamany został jassak chana. Zresztą, czy chciałbyś, anda, śmierci ludzi, których sam kiedyś broniłeś z narażeniem życia?

Kłopotliwie przesunął dłonią po kolanie. W jego pamięci pojawiła się na moment postać dziewczyny o drobnych rysach i uśmiechu bez złośliwości.

— Lecz — zaczął. Niespokojnie spojrzał na nojona. — Nie wątpisz chyba, Kitbuko, w zwycięstwo?

— Mongołowie nie przegrali nigdy — zabrzmiało jak hasło czy zaklęcie. — Zwyciężaliśmy nieraz wielokrotnie silniejszego przeciwnika — ciągnął. — Nasza siła tkwi w naszej wierności, nie w liczbie tumanów.

Hettum przyglądał się uważnie przyjacielowi. Zwolna poczęły się w nim podnosić obawy, niby woda przesączająca się przez zmurszałe stawidło. Więc i los walki miałyby być niepewny? Nie! Nie! — zaprzeczył sobie z całą stanowczością. Nie! Nie możemy przegrać! Chodziło tylko o to, aby doszło do tego spotkania. Skoro ono jednak nastąpi — musi się skończyć zwycięstwem. Przegrana byłaby czymś równie kończącym wszystko, jak sąd ostateczny. Nie mógł nawet myśleć o tym, co by się stało, gdyby przegrali.

— Los chrześcijaństwa zawisł od twego zwycięstwa — powiedział z mocą. — Musimy zwyciężyć. Musisz zwyciężyć! Kitbuka uśmiechnął się z poślizgniętą dobrocią.

— Mówisz, anda, jak chłopiec, który tupie nogą i woła: muszę mieć gwiazdę! Tak, chan kazał zwyciężyć, więc trzeba nam zwyciężyć. Lecz czy I-sa potrzebuje naszych zwycięstw? Dziś znowu byłem w Jego domu. Leżałem długo na glinie, po której On stapał. Może każdy mały dołek zrobiły w niej Jego palce? Ty, anda, znasz lepiej niż ja chrześcijaństwo. Ty wiesz, że On żył jak człowiek; lecz nie musi zwyciężać jak człowiek.

„On mnie wciąż uczy chrześcijaństwa” — znowu pomyślał Hettum. A przecież nie mógł się zgodzić ze słowami Mongoła. „Bóg może zwyciężyć

bez walki — to prawda. Lecz nawet Bóg — myślał — nie zwycięża przegrywając. Istnieją wojny, których wynik jest znakiem”.

Gwałtownie przerzucił rozmowę na sprawy konkretne:

— Czy masz plan bitwy?

— Mam. Chciałem ci go właśnie pokazać. Patrz, anda — sięgnął za siebie, podniósł z ziemi skórzany woreczek. Położył sobie na kolanach deskę i na nią wysypał z worka miękkiej, tłustej piasek. Wygładził go dłonią. Wziął pióro i twardym końcem począł rysować na piasku. — Patrz... Ta linia, to wąwóz rzeki. Tadżykowie nadchodzą od południa. O, tędy. My zaraz jutro wyruszymy im naprzeciw. Byłem tam wczoraj. Koło wsi Ain-Dżalud jest piękna szeroka równina. Na niej stoczymy walkę.

— Dlaczego właśnie na niej?

— Tadżykowie będą chcieli jak najprędzej wyjść z wąwozu i dotrzeć do rzeki, aby w czasie południowego skwaru ich konie miały wodę. My będziemy bronili tego wyjścia. Wielu z nich padnie. W końcu pozwolimy im się rozwinąć. Ale wtedy część naszych sił, które ukryte będą na drodze do Acre, uderzy na ich skrzydło.

— Plan dobry — przyznał Hettum. — Aby się udał, musisz najlepszy oddział przeznaczyć na to uderzenie z boku.

— Przeznaczyłem na to twoich rycerzy, anda.

— I nic więcej?

Kitbuka spokojnym gestem zanurzył palce w kudły psa.

— I tak, i nie — powiedział zagadkowo. Znowu uśmiechnął się łagodnie w przestrzeń. — Widzisz, anda, jest tak, jak ci powiedziałem: sprawa nie będzie łatwa. Mam naprawdę bardzo mało sił. Zaledwie jeden tuman Kutłuka i parę mingganów. Właściwie nie powinienem przyjmować tutaj bitwy, ale wycofać się aż na granice twego królestwa i sprowadzić pomoc od Bajdu. Wiesz jednak, co wtedy będzie? Tadżykowie rzucą się na chrześcijan, a sultan skorzysta z czasu, by uderzyć na Acre, może nawet na Antiochię. Przyszliśmy tu bić się o chrześcijaństwo i nie możemy zostawić twoich braci samych. Ja wiem, że oni nie lubią Mongołów. Ale tyle razy mówiłeś słusznie: chodzi o chrześcijaństwo. Prawda? Musimy wystąpić razem. Tak zresztą kazał chan. I dlatego ja powstrzymam sultana, ty zaś musisz na skrzydło wroga sprowadzić twoich braci. Ilu tylko zdołasz. Chcę, abyś to zrobił ty, bo wiem, że nie zgodziliby się pójść pod moje rozkazy. A tak — to nie ja im przyjdę w pomoc, to oni mnie...

Kaganki poczęły syczeć, przyskać i dymić — oliwa musiała już być w nich na ukończeniu. Płomienie chwiały się, jakby targane wiatrem, łopoczący blask skakał niespokojnie po kolumnach z wojłoku. Kitbuka zamilkł; bawił się karkiem psa. Hettum zagryzł usta.

— Templariusze przyjdą na pewno... — mruknął.

— Więc uderzysz z nimi. Ale byłoby lepiej, anda, aby przyszli i inni. Wszyscy. Niech przybędzie nawet mąż twojej córki, zabójca Senanga. Pomyśl! Moglibyśmy potem powiedzieć chanowi: całe chrześcijaństwo stanęło razem. To nie jest zwycięstwo Mongołów. To zwyciężył I-sa...

— Masz rację — przyznał. Przesunął ręką po czole zbierając rozproszone myśli. — Masz rację. Tak trzeba. Dobrze. Słuchaj, jeszcze raz pojedę do Acre. Moi rycerze zostaną pod dowództwem mego brata. Jeszcze raz do nich przemówię. Muszą zrozumieć. Muszą przyjść! Oszczędziłeś ich, choć miałeś prawo... Zmuszę arcybiskupa, aby im przeczytał list!

Uśmiechnięty pogodnie odwrócił głowę ku niemu.

— Tak, anda, tak — powiedział. — Zrób, jak mówisz. Jedź, przemów do nich, sprowadź ich wszystkich... Między chrześcijanami nie może być uraz ani nienawiści.

— Żeby tylko patriarcha się zgodził! Gdy przeczyta list, o którym ci mówiłem, wszyscy baronowie będą musieli wyruszyć przeciwko Saracenom.

— Szkoda, że go nie przeczytał wcześniej...

— Może nie szkoda! Może właśnie lepiej, gdy to spadnie na nich jak grom.

— Poznałeś ich już przecież: wtedy są najlepsi, gdy się nie namyślają.

— Rzeczywiście — przyznał. — Ich chrześcijaństwo nie chodzi w parze z rozwągą.

Odchylił się w tył, wsparł głowę o ścianę namiotu. Kaganki migotały coraz gwałtowniej, potem zaczęły jeden po drugim gasnąć. W namiocie robiło się ciemno, w górze za to nad paleniskiem z każdą chwilą wyraźniej odcinał się otwór dymnika.

— Może to dlatego, że do nich chrześcijaństwo przyszło dawno i nie potrzebują się już trudzić, by do niego sięgnąć? Jak sądzisz, anda? Ich wiara jest łatwa.

Ostatni kaganek zgasł. Kitbuka zastanawiał się czas jakiś z twarzą podniesioną ku szarobłękitnemu pyłowi dnia, proszącemu z otworu w górze.

— Ale ty i ja — podjął — musimy dobywać naszą wiarę z krwi. Nic nie jest dla nas łatwe. Dlatego możemy być braćmi. Mówiłem ci zawsze, anda, że jesteś inny. Jesteśmy inni. Wciąż szukający... niesyści...

Brzask spłynął niżej wydobywając z mroku postać nojona siedzącego nieruchomo pod ścianą namiotu. Opadające wąsy pogłębiały cienie wokół jego ust wyciskając na twarzy Mongoła niby piętno śmierci. Cisza wisiała długo, wreszcie przerwał ją głos Kitbuki:

— Jedź, anda, i wracaj z nimi.

— Pojadę. — Hettum dźwignął się z miejsca. Wiew płynący z góry rozpraszał woń napęliającą namiot. — Bądź zdrow, Kitbuko. Przybędę z nimi, z relikwią Krzyża św., która towarzyszy każdej wyprawie rycerzy królestwa. Aha! Chcę cię o jedno prosić: moich rycerzy poprowadzi aż do mego powrotu mój brat. Ale moich synów zostaw przy sobie. Dobrze?

— Cieszę się, że chcesz tego. Twoi synowie są moimi synami.

— Więc miej ich obok siebie. No — i żegnaj. Gdy się zobaczymy, będzie już wiadomo, czego chciał los.

W szarym mroku jego dłoń spotkała małą twardą dłoń Kitbuki.

— Czego chce I-sa — poprawił nojon.

4

Pod wieczór armia Kitbuki idąc szeroką ławą, jak zwykli byli maszerować Mongołowie przyzwyczajeni do bezkresnego stepu, znalazła się na łąkach Ezdrelonu. Środkiem pełnej puszystej zieloności równiny, białą krętą linią leniwie sączył się potok. Przednie straże już wcześniej tu dotarły i obsadziły Sili i Zerín — dwa wzgórza na przeciwległym skraju równiny zamykające wylot drogi z Napluzy. Również Sempad z Armeńczykami odszedł na zachód i zapadł między wąwozy okalające Fula.

Kitbuka jechał na czele swego pocztu rozmawiając z Lewonem i swoim zastępcą, Kutłukiem. Gońcy od straży przedniej i tylnej dopadali co chwila do pocztu wodza przynosząc nowiny, które przekazywali szybko Chińczykowi Yu-pej-wu poważnie kołyszącemu się na grzbiecie rudoburej klaczy. Tylko rzeczy naprawdę ważne sekretarz zanosił nojonowi, inne załatwiał sam krótkim, dostojnym słowem lub gestem dłoni, swymi długimi, ostrymi paznokciami przypominającymi szpony drapieżnego ptaka.

Na końcu pocztu, z dala za innymi stąpał kary koń Torosa obok muła Wilfryda. Młody książę pochylony nad grzywą wierzchowca słuchał opowiadania mnicha. Gdy tamten przerywał, Toros przynaglał go niecierpliwie:

— I co potem? I co potem? Proszę cię, mów, bracie...

Mały zakonnik uśmiechał się smutnie do swych wspomnień.

— A no, ściągnęliśmy do stóp skały, na której stoi Montségur. Prawdziwie orle gniazdo, dostępne tylko z jednej strony. Wielu heretyckich rycerzy i „doskonałych” katarskich ukryło się za murami twierdzy. To z Montségur przybyli ci, którzy zamordowali inkwizytora Wilhelma Arnaud i towarzyszących mu braci. Nasz wódz, sire Hugo d’Arcis, zapowiedział, że musimy zdobyć zamek prędko, bo już po kraju chodzą wieści, że hrabia Rajmund wspierany przez rycerzy i cesarza Fryderyka przyjdzie heretykom z pomocą. Od dziecka widywałem walki z katarami, nigdy jednak ich opór nie był równie zaciekły. Mówiono, że w Montségur znajduje się ich świętość: księgi zawierające tajemnice ich wiary, i że bronić się będą aż do ostatka. Cały rok staliśmy pod murami. Ale w końcu pewnego dnia przyszli do mnie górale okoliczni, którzy znali mnie i mego ojca. Powiedzieli, że mogą wprowadzić kilku rycerzy pod mury zamku ścieżką po niedostępnej ścianie od północy. Z tamtej strony, zapewniali, nikt Montségur nie pilnuje. Nocą poszliśmy...

— I co? Zdobyliście zamek heretyków?

— Rano katarzy zrozumieli, że są zgubieni. Dotrwali jeszcze do następnej nocy i w ciemnościach spuścili na sznurze czterech swoich, którzy zabrali z miasta tajne księgi. Udało się im uciec. Gdy wzeszło słońce, rycerze poddali zamek, wydając wszystkich „doskonałych” z ich biskupem Bertrandem Marty w nasze ręce. Sire d’Arcis kazał na zboczu zbudować stos, a na nim jak gdyby ogromną klatkę. Wprowadzono do niej po jednym z „doskonałych”. Każdego z nich, zanim tam wszedł, usiłowali przekonać księża i bracia zakonni, że wpadł w błędy i że powinien się ich wyprzeć. Ale żaden nie uległ. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, wchodzili nieulekłe na stos. Także niektórzy zwykli „wierzący” szli za „doskonałymi”, przytrzymując w obliczu ognia ich consolamentum. I wtedy...

— Co wtedy?

Mała twarz Wilfryda pełna była obudzonego bólu. Nie wspominał nigdy o tamtych przeżyciach. To tylko dziś uległ nastrojowi zbliżającej się wielkiej chwili. Może także wysłuchana spowiedź chłopca zrodziła w nim potrzebę odkrycia również swoich tajemnic. Nieraz zdarzało mu się myśleć,

że spowiadanie drugich przychodziłoby łatwiej, gdyby można było penitentowi nawzajem opowiedzieć wszystko o sobie.

— Wtedy... — głos mu zasychał, musiał chrząkać — wtedy także Esklarmonda... córka kasztelana zamku de Perille... pobiegła do tamtych... — Pociągnął nosem. — Biegłem za nią, wołałem... Na próżno. Odkrzyknęła mi już spoza krat, że chce przyjąć ich ducha i wyrzec się szatańskiej materii... — Chrząkał coraz częściej. — Wołałem, płakałem... Podpalono stos. Zasłonił mi ją dym, a potem płomień poszły w górę. Tamci najprzód śpiewali, kiedy jednak ogarnął ich ogień, zaczęli krzyczeć...

Urwał i jechał dalej w milczeniu, z pochyloną głową; muł wstrząsał długimi uszami i starannie stawiał nogi na kamiennej ścieżce. Lecz Toros był po chłopięcemu niecierpliwym. Pochylając się nad małym mnichem, zapytał:

— Więc to zrobiłeś dla niej?

— Dla niej i dla nich... — odpowiedział. — Wiele w życiu widziałem stosów katarskich — podjął nie podnosząc głowy. — Budziły jednak we mnie tylko gniew, że ci ludzie nie chcą uwierzyć w Prawdę. Ale wtedy pojąłem więcej. Oni nie umierali dla złota czy dla władzy. Chcieli naprawdę dobra drugich. Ale złoto i władza nie są złem. Świat materii nie jest dziełem Lucibela, jak oni mówią. Zła jest myśl ludzka, gdy pogardza darami Boga. Nawet nędza...

— Nawet nędza — powtórzył Toros. Ale głos jego zabrzmiał jasno, pogodnie, niby hejnał witający świt.

Wrześniowe słońce ślizgało się łagodnie po łąkach i wzgórzach, cienie drzew stawały się coraz dłuższe. Góra Tabor, niby wielki stóg siana, została za nimi. Mijali właśnie długi płaskowyż zbiegający wąskim, ostrym klinem na południe. Jakaś osada bieliała się wśród gęstwiny drzew na końcu klina. Wilfryd odwrócił się ku Torosowi; wskazując ręką w tamtym kierunku powiedział swym zwykłym, nieco nosowym głosem:

— To Ain-Dżalud. Tak je nazywają teraz. Ale my znamy to miasteczko z Ewangelii. Nazywało się wówczas Naim.

— Naim?! — zawołał Toros. Gwałtownie skręcił konia w bok. — Dogonię was — krzyknął nie odwracając głowy i pogalopował przez pole. „Naim — myślał, dotknięciem ostrogi popędzając konia do szybszego biegu — Naim! Muszę zobaczyć to miejsce!”

Koń tupał kopytami po wąskiej ścieżce, która wspinała się ostro w górę. Skręciwszy poza kępą szeroko rozpostartych krzewów jeździec znalazł się

na grzbiecie wzgórza. Osada leżała przed nim: kilka białych domów i szare ruiny w pół rozsądzone przez czerniejącą zieleń. Ludzi nie było widać — pewno przeczuwając wojnę ukryli się w pobliskich wąwozach. Zatrzymał konia pod dwiema bezkształtymi, niby zżartymi trądem resztkami muru łączącymi się ze sobą w górze. Wyglądało to na resztkę bramy i Toros zapragnął uwierzyć, że to właśnie była kiedyś brama, z której pewnego dnia wynoszono mary ze zmarłym chłopcem. Pełen wzruszenia patrzył na ruiny. Zsiadł z konia, zsunął na tył głowy drucziany czepiec. Dzieje Ewangelii wydawały się nicią zagubioną w trawie, którą jemu dopiero udało się znaleźć. Powoli zbliżał się do muru obrośniętego zielonością, niby podwodna skała wodorostami. Obejmował go wzrokiem, po ustach chłopca błąkał się uśmiech. Rozmyślał: Chrystus trzy razy podczas swego pobytu na ziemi przemógł śmierć. Inne miejsca podobnych cudów znajdowały się w ręku wroga. I tylko o nich się pamiętało. Ciche Naim aa uboczu drogi nie ściągało pielgrzymów. Zapominano o nim. Walcząc o Jerozolimę, Betlejem, Nazaret nie pamiętano o miejscu, gdzie dokonało się jedno z największych Bożych zwycięstw. A raczej... Znowu uśmiechnął się. Raczej to nie było zwycięstwo Boga. To było zwycięstwo ludzkiego serca: Bóg zdradził się przed czasem. Zdradził swą miłość.

Ptak jakiś piszczał w gąszczu, świerszeczki cykały wśród rozgrzanych kamieni. Toros stał pod samym murem. Wyciągnął dłoń i położył ją na szorstkim głazie. Ruinę zżerał rozkład: I jego dłoń, pomyślał, będzie niedługo taka sama: szorstka, porowata, odarta ze skóry. Nie mógł opanować dreszczu. Ale to drzenie skóry wywołane niby dotknięciem niewidzialnych drobnych nóżek nie dotykało serca. Ono biło równo. Myśli także płynęły spokojnie, podobne obłokom w dzień bezwietrzny. Nie wkradło się między nie pragnienie, aby w tym miejscu Łaski błagać o nową Łaskę. Po co? „Najradośniejsze — myślał — jest to, co przychodzi samo. Nawet nędza... To, co jest dane — jak rozkaz...” Pieszczotliwym gestem przesuwając palcami po murze. Na grzbiecie dłoni było coraz więcej białych plam: zlewały się ze sobą tworząc małe placki. Ale dłoń pozostała mocna. Jutro potrafi dźwignąć miecz i obrócić nim wiele razy. Czyż to także nie jest szczęściem? Pierwszy raz ma walczyć — i właśnie ten pierwszy raz walczyć będzie o uwolnienie Jerozolimy. Zaśmiał się po chłopięcemu do swoich myśli. Lękał się nieraz, że będzie musiał bić się za sprawy niegodne krwi. To tak ciężko doszukiwać się wielkich, dalekich celów w małych, nędznych rozgrywkach! Ale jutro... Potrzaśnął radośnie głową i odwrócił oczy ku polom w dole, na których wi-

dać było półksiężyc ciągnącego wojska. Równina Jezrael leżała u jego stóp, szeroka, barwna niby dywan, zamknięta na horyzoncie murem żółtych skał. Jutro między różowe anemony wsiąknie czerwona krew. Nie czuł żadnej nienawiści do ludzi, z którymi miał walczyć. Nie mieli jednak dla niego ludzkiego oblicza. Byli czymś, co trzeba zmóc. Nie myślał z radością o zabijaniu. Natomiast z nieśmiałą czułością myślał o możliwości śmierci.

Choroba nie przeszkodziła królowi Baldwinowi zgnieść Saladyna. Historia zwycięstwa trędowatego chłopca należała do świętych tradycji chrześcijaństwa. Śpiewali o niej trubadurzy. Ale Baldwin zapłacił za to zwycięstwo straszną śmiercią. Gdyby trzeba było jeszcze raz to samo... — Toros uśmiechał się ciągle. Cokolwiek będzie dane — to będzie najlepsze. Wszystko, wszystko, cokolwiek On zsyła, jest błogosławione! Życie czy śmierć, zdrowie czy choroba, siła czy słabość! Uśmiech nie ustępował z jego twarzy. Jak to dobrze niczego nie pragnąć, niczego nie oczekiwać. Służyć z zamkniętymi oczami. Być spokojnym jak drzewo, które wie, że przyjdzie dla niego słońce i deszcz.

Na twardej ścieżce rozległ się znowu stukot kopyt końskich. Pojedynczy jeździec wjeżdżał pełnym galopem na wzgórze. Podkowy uderzały o kamienie, koń sapał ciężko.

— Toros! — posłyszał wołanie — Toros! Gdzie jesteś?

— Tutaj! — krzyknął.

Spoza krzewów wyskoczył Lewon na swym pięknym dereszcu. W biegu zsunął się z wysokiego siodła. Zmęczony biegiem koń przytupywał nogami i rozdymał chrapy. Nieufnie patrzył na konia Torosa. Ale poznawszy go, parsknął i uderzył go w szyję łbem.

— Przyjechałem także zobaczyć — powiedział. — Możemy się nie śpieszyć z powrotem: Kitbuka zatrzymał pochód. Widać ich zresztą stąd. — Rozejrzał się. — Więc to jest Naim? Jakież to wszystko jest nędzne i małe!

Tyle razy pełni zdumienia robili to odkrycie. Dla nich Ewangelia była czymś ogromnym jak horyzont. Ale Ewangelia na ziemi traciła swoją wielkość. Jej ślady wydawały się śladami dziecka

— To prawda... — przyznał Toros.

— Namawiałem Bohemunda, aby tu także przyjechał — mówił Lewon. — Ale nie chciał. Ciągłe stęka nad tym listem, który mu przysłała hrabina Tripoli. Lecz wyobraź sobie, musiałem go upewnić słowem rycerskim, że

tu jadę za tobą tylko po to, by zobaczyć Naim. Sądził po prostu, że chcemy uciec.

— Co? — krzyknął Toros. Jego pogodna i spokojna twarz nagle pobladła z gniewu. — Jak śmiał? Sądzi, żeśmy stchórzyli!?

— Nie, tego nam nikt nie zarzuci. Ale jemu się wydaje, że Tartarzy są diabłami z Apokalipsy, a my ulegamy złudzeniom. Gdy dowiedział się o wyjeździe ojca do Acre...

— Nie daruję mu! — wybuchnął młodszy z braci zaciskając pięści. — Nie daruję. On waży się posadzać ojca, że chce złamać słowo dane Tartarom! — Dłoń Torosa spadła porywczo na rękojeść sztyletu wiszącego u pasa. Ale zdawać się mogło, że dotknięcie zimnego żelaza zgasiło gniew. Wyraz oburzenia spłynął z twarzy chłopca. Toros spojrział na brata i uśmiechnął się, jakby przepraszając go tym uśmiechem za swój wybuch.

— Wybacz — powiedział. — To ty masz rację, że nie dajesz unosić się gniewem przeciwko krewniakowi. Bohemund nie chciał na pewno obrazić ani ojca, ani nas.

— Tak myślę...

— Jest dzielny rycerzem, zawsze nieustępliwym w boju i wiernym danej obietnicy. Ten list wytracił go tylko z równowagi. Za to ja, patrz, jestem złośliwym gotowym sięgnąć po sztylet. O ile jesteś rozsądniejszy i lepszy ode mnie, Lewonie.

— Wyrośniesz... — Lewon powiedział to tonem lekkiej wyższości. Lubił brać górę nad bratem zagłuszając tym zwycięstwem zazdrość, jaka powstawała w nim zawsze na widok jego beztroski. W nim samym było od dzieciństwa zbyt wiele powagi i pamięci o czekających go obowiązkach. — Bohemund nauczył się nikomu nie ufać. Wszędzie koło siebie widzi zdradę.

— Nawet tam — dokończył młodszy — gdzie jej nie ma. Biedny Bohemund! Pamiętasz, co nam mówił?

Starszy brat kiwnął głową. Przed paroma dniami rozmawiali z Bohemundem o Bertrandzie z Gibelet. Nie tak dawno, ulegając naciskowi i perswazji całego rodu, krnąbrny rycerz ukorzył się i przeprosił swego seniora. Bohemund przyjął go z powrotem do łask, a obecnie pozwolił mu towarzyszyć sobie w czasie wyprawy. Zdawać by się mogło, że dawny spór został nareszcie zakończony. Toteż ze zdumieniem słuchali, gdy Bohemund powiedział do nich z zawziętością w głosie: „Bertrand udaje niewiniątko. Ale nasze rachunki nie są jeszcze wyrównane”. Równocześnie podnieśli głowy

i spojrzeli pytająco na szwagra. — „Wszak ukorzył się, a tyś mu przebaczył?” — zauważył Toros. — „Dla łotrów jak on nie ma przebaczenia!” — syknął Bohemund.

Tego nie mogli pojąć. Nawykli do patrzenia z szacunkiem i podziwem na rycerzy frankońskich nie śmieli wypowiedzieć głośno swego zdania. Spojrzeli tylko na siebie porozumiewawczo.

— Słyszałem dziś rano, jak polecił swoim ludziom śledzić Bertranda — rzekł Lewon. — Mówił, aby ani na chwilę nie spuszczała go z oczu.

— Nie myślę, żeby Bertrand chciał zdradzić! — zawołał młodszy.

— Ja także. Ale gdybym mu tak nie ufał, nie brałbym go ze sobą na wyprawę. I nie dałbym się przeproszać.

— Biedny Bohemund — powtórzył Toros. — To straszne nie ufać nikomu. Pomyśl: gdyby ojciec nie zaufała Tartarom...

Obaj równocześnie spojrzeli w pokrytą barwnymi plamami dolinę, na której leżała czarna półksiężyc mongolskiego wojska.

— Dzięki nim — przyznał Lewon — zwyciężymy. Kitbuka jest wspaniałym wodzem — mówił z uznaniem. — Im bliżej na niego patrzę, tym bardziej jestem pewny, że go nikt nie potrafi pobić. Pod jego rozkazami każdy Tartar wart jest dziesięciu Saracenów. Jutro walcząc, będziemy mogli zdobyć sławę godną sławy króla Ryszarda. Pomyśl, byłoby pięknie, aby o jutrzejszej bitwie śpiewali truverzy, jak o tamtej, w której zginął ów Roland. Dla takiej chwały warto jest zginąć, prawda?

Toros nie powiedział nic. Patrzył na wynurzającą się z zieleni ruinę bramy i uśmiechnął się miękko. Sława rycerska, pieśni truverów... — ile razy o nich myślał. Ale dławiący zapach lepierek na zboczu Parcerpert zabił w nim te marzenia. W każdym z braci żył błędny rycerz. Ale Lewon wyrzekł się go dla ciężaru tronu. On zaś — razem ze wszystkim...

— Ciekawy jestem, kogo ojciec przyprowadzi? — zastanawiał się głośno Lewon.

— Templariusze mają przybyć na pewno. A jeżeli arcybiskup wezwie rycerzy i wyruszy sam z drzewem Krzyża świętego, nikogo nie zabraknie, nawet szpitalników.

— Dlaczego sądzisz, że szpitalnicy są ostatnimi, którzy zechcą przyjść? Tej historii z zakonem św. Jana nigdy nie rozumiałem. Dlaczego ich nie ma

u nas w królestwie? Ojciec nigdy mi tego nic wyjaśnił. Czy wiesz coś o tej sprawie?

— Niewiele. — Oparł się o ruiny, poddał twarz łagodnej pieszczocie słońca. — To stara historia, wiesz, z tamtych czasów Mówiono mi o niej. Dziadek Lewon bardzo ich podobno lubił, udzielał im licznych lenn i zamków.

— Więc opuścili Armenię dlatego, że ojciec...?

— Nie. Nastąpił jakiś układ między nimi a ojcem. Sprzedali mu wszystkie swoje lenna. Nie znam tego dokładnie. Wiem natomiast, że między matką a nimi panuje nieprzyjaźń.

— Zauważyłem to: matka ich nie znosi.

— Mówi o nich z pogardą. O ile wiem, prosiła ich kiedyś o coś...

— A oni naturalnie odmówili! To było do przewidzenia! Są równie nieużyteczni, jak templariusze. Lecz o co matka mogła ich prosić?

Młodszy milczał. Odwrócił głowę i dotknął policzkiem chropowatego muru. Pamiętał, gdy kiedyś powiedział matce: „Chciałbym być rycerzem zakonnym”. Krzyknęła na to w niepojętym podnieceniu: „Tylko nie szpitalnikiem! Są podli, podli, podli!” Ale potem usłyszał słowa, które odmieniły pogląd na wszystko. Jak wobec nich wyglądał stosunek matki do zakonu rycerzy św. Jana? Lewon patrzył na brata wyczekująco, zdawał się zgadywać, że Toros wie więcej, niż powiedział.

— Matka szukała u nich pomocy przeciwko ojcu — powiedział wreszcie z wahaniem w głosie.

Starszy kiwnął głową na znak, że rozumie. Nie pytał o nic więcej. Spory rodziców były zawikłanym węzłem, powiększającym brzemię, które ciążyło na jego barkach. Wybrać między ojcem a matką nie przychodziło łatwo. Trudno jest wybierać, gdzie nie ma wyboru. Rzucił z niechęcią:

— Ech, ojciec... — Zaśmiał się sucho. Tonem człowieka, które mu wolno krytykować, dodał: — Zawsze był jak trubadur...

— Nie mów nic przeciw ojcu — zaprotestował cicho Toros. — Gdybyś wiedział, co o nim mówi Ahot...

— Ahot? A ty skąd wiesz, co on może mówić? Byłeś dzieckiem, gdy go zabrali do leprosorium.

— Rozmawiałem z nim niedawno...

Lewon cofnął się, odepchnięty odruchowym lękiem.

— Byłeś w Parcerpert?

Młodszy bez słowa skinął swą ciemnopłową głową.

— Ale nie mów o tym nikomu — powiedział. — Musiałem tam pojechać. Nie mogłem znieść dłużej tajemnicy ojca.

— Nie bałeś się?

Łagodny uśmiech pojawił się na twarzy Torosa.

— Za dobrą wieść trzeba płacić... — odpowiedział.

Zapadła cisza. Po dłuższej dopiero chwili Lewon zapytał:

— I cóż on takiego mówi?

— On... — Toros potrząsnął w powietrzu otwartą dłońią. — On wierzy w ojca. Rozumiesz? Mówi... Powiedział, że gdyby ozdrowiał i dla ojca trzeba by było zachorować po raz drugi — zgodziłby się. — Głos Torosa zadrział lekko. Ciekawość kazała Lewonowi zapomnieć o niepokoju i zbliżyć się do brata.

— A co on ci mówił o tamtych? Jak to było naprawdę?

Toros cofnął się. Założywszy ręce za plecami, przybrał na chwilę postawę ojca.

— Jak to było? Achot opowiadał mi dużo... — Pamiętał, że nie czuł godzin spędzonych na słońcu na kamiennej ławie przed wejściem do lepianki. Człowiek w worze, na którym tu i tam ciemniały mokre zacieki, siedział obok. Mówił głosem chrypliwym: stwardniałe od ropy płótno poruszało się koło otworu na usta. Historia rodziców ukazywała mu się inna, niż ją znał z tyłu relacji. Zdawało mu się, że odkrywa nieznanego człowieka. To nie był rozsądny polityk, który wziął pewną ręką chwiejący, się ster władzy królewskiej; to nie był zręczny baron, który wysforował się przed innych; to nie był wreszcie ten wieczny przeciwnik z opowiadań matki. Achot odkrył mu człowieka, który wahał się, błądził, grzeszył, cierpiał, zdobywał się na gesty. Słuchając przez wiele godzin tej historii, dorastał. — Trudno powtórzyć ci wszystko — powiedział... — To pewne: dziad Konstantyn sięgnął po koronę wbrew prawom Boskim i ludzkim, a ojciec...

— Sądziś pewnie, że powinien się być jej zrzec?

— Nie... Zresztą nie wiem... Nie umiem ci powiedzieć, jakbym postąpił, gdybym to ja znalazł się w jego skórze. Ale wydaje mi się, że uczynił słusznie, gdy postanowił przerosnąć zbrodnię. Teraz go rozumiem. A przez lata myślałem o nim bez miłości!

— Matka nie pozwoliła ci go kochać.

— Nie ma co mieszać w to matki. To ja go nie kochałem. Żał mi tamtych dni. Chciałbym...

Lewon zmarszczył brwi. Chwilę milczał zwalczając w sobie niechętnę uczucia. Pozostała w nim pamięć dawnego chłopięcego podziału: on jest matki, a ja ojca. Podział był nierówny: Toros miał matkę. Zdarzało się, że Lewon bił młodszego brata powtarzając złośliwie: „Matka cię nie obroni”. Ale była to gorzka pociecha. Gdyby teraz jeszcze ojciec... Bracia marnotrawni mają szczęście do ojców.

Lecz odepchnął od siebie te myśli. Zapytał prawie spokojnie:

— Chciałbyś mu to powiedzieć? Ale Toros mocno potrząsnął głową.

— Nie, nie! — zapewnił. — Po co mówić? Chciałbym...

W tej samej chwili od łąk w dole doleciał ostry, przeciągły gwizd. Obaj chłopcy poderwali się i nastawili uszu. Gwizd przedłużał się, przechodził w krótkie, rwane dźwięki przypominające szarpnięcia struny. Wiele piszczałek rozległo się jednocześnie.

— Wracajmy! — zawołał Lewon; znał już znaczenie niektórych mongolskich sygnałów. — Ruszają. I gwizdzą na alarm!

Dopadli koni, które podniosły łby. Kręciły się niespokojnie. Pierwszy Lewon pogalopował w dół ścieżką, która jaśniała niby pręga blasku między jednolitą czernią traw. Toros zawracając konia na zakręcie obejrzał się raz jeszcze na ruinę bramy. Rysowała się ciemnym konturem na tle nieba. Była niby początek drogi — w inny świat.

5

Tą samą drogą co niedawno, lecz w odwrotnym kierunku, dojeżdżał do Acre. Faliste galilejskie wzgórza kończyły się zboczem zarosłym gęstwiną wybujałych krzewów, między którymi schodziły w dół wadi — suche koryta potoków. Kiedy zanurzył się w jedno z nich, początkowo płytkie, potem coraz głębsze, noc już objęła niebo, noc bezchmurna, ale jasna, migocząca poświatą gwiazd. Skrzyły się nad jego głową, niezliczone i dziwnie chłodne. Oddał koniowi wodze, pozwolił mu samemu szukać sobie drogi po osypisku obtoczonych przez wodę kamieni. Powierzył się myślom niby prądowi rzeki. Te dwa sprzeczne uczucia: pośpiechu w podążaniu do kresu, a jedno-

cześnie pragnienie odwołania ostatecznego rozstrzygnięcia, były w nim znowu. Zdawał sobie sprawę, że to rozstrzygnięcie jest tuż, tuż, rozstrzygnięcie niepokojące, mimo że od tak dawna oczekiwane. Myśl pracowała równo i jasno. Nieomal mógł śledzić jej działanie, niby bieg zwierzęcia obok siebie. Teraz pojmował: nie można już było niczego cofnąć. Wobec gwiazd sprawa była rozstrzygnięta, choć on jeszcze wyniku nie mógł dojrzeć.

Koń zstępował coraz niżej w głąb wąwozu pod dach liści. Jeździec czuł, jak ostrożnie dotyka kopytem kamieni, nim postawi na nich nogę. Czasami zniżał łeb i głośno poruszał chrapami. Za Hettumem, o parę kroków z tyłu jechało dwóch giermków. Dla pośpiechu nie wziął nikogo więcej. Czas wymierzono mu skąpo na to, by dojechać do Acre, porozumieć się z templariuszami i patriarchą, zwołać rycerzy, przekonać ich o konieczności natychmiastowego działania — noc nie była zbyt długim okresem. Wszystko musiało być dokonane przed świtem. Rano powinien tędy wracać razem z całym rycerstwem; jakie zastanie w mieście.

Koń wyrywał nogę z obsuwającego się żwiru, a drobne kamienie rozpryskiwały się podobne do kropel wody. Przez czarny dach gałęzi błysnęło wybrzeże. Wadi kończył się w tym miejscu.

Jeszcze raz zastanowił się nad kolejnością tego, co trzeba będzie zrobić. Przede wszystkim pojedzie do Bérarda. Musi się przekonać, co zrobili templariusze. Potem do Jakuba. Przymrużywszy oczy widział przed sobą starą, zmęczoną twarz arcybiskupa. Zawsze czuł przychylność z jego strony. Ta część zadania wyglądała najprościej. Ale potem, uświadomił sobie, trzeba się będzie zwrócić do Ibelinów. O tym myślał z odrazą. Czy ci „drewniani ludzie” dadzą się przekonać, że chwila jest naprawdę najważniejsza? Miał co do tego wiele wątpliwości. Dawny podziw, jaki żywił dla rycerzy frankońskich, rozpraszał się niby dym i nie wiadomo, kiedy zniknął. Jechał, by ich wezwać, lecz trudno mu było uwierzyć, że pójdą za nim z dobrej woli. Był znowu sam z brzemieniem swych decyzji na ramionach.

Grzechot kopyt na kamieniach ustał: z wąwozu niby z tunelu wyjechał na równinę. Wydawała się niezmiernie rozległa. Gwiezdna poświata unosiła się nad nią jak mgła nad czarnymi łąkami. Dalej, za kępami drzew i małymi obrośniętymi zielenią wzgórkami podobnymi do stogów, równina przechodziła w morze. Górowało ono nad nią swą wypukłą powierzchnią, która zdawała się wydymać aż ku gwiazdom. Szum fal bijących o płaski brzeg rozlewał się szeroko w ciszy nocnej. Był podobny do jednostajnego turkotu lub do rozlegającej się w dali muzyki. Acre leżało przed nim jak czarna bryła.

Jedno i drugie słabe światelko migotało na murach: z boku, nieco za miastem, niby utopiona gwiazda palił się ogień na wieży Much.

W pierwszym odruchu ściągnął wodze, ale zaraz dotknął wierzchowca ostrogami i koń wrócił do poprzedniego długiego stępa. Cel drogi był już niemal dotykalny. Ten widok kazał Hettumowi zapomnieć o układaniu planów działania. Poczul się teraz, jakby klękał przed spowiednikiem: nie myślał już, co powie i jak powie; wszystko wyrażał gestem. Troska o sprawy najbliższe i ta wieczna obawa o słuszność zamierzeń ustąpiły w nim miejsca wielkiej ciszy i spokojowi. Blask gwiazd nie był mniej chłodny niż zazwyczaj i takie same jak zawsze było przelewanie się morza. Ale on ani w gwiazdach, ani w łomocie fal nie szukał odpowiedzi. Dotychczas zawsze oczekiwał, że otaczający go świat weźmie udział w jego pragnieniach i w jego niepokojach. Oczekiwał odezwania się Boga! Dziś po raz pierwszy nie było w nim niecierpliwości. Bóg, który wobec niego zawsze milczał, tym razem będzie musiał swą wolę wyjawić. Nie pochwalił go ani zgał na ryzykanczkiej drodze. Ale ta droga dobiegała końca i koniec musiał okazać jej słuszność. „To, co się stanie jutro — myślał Hettum — będzie odpowiedzią Boga. Zwycięstwo stanie się zwycięstwem Boga.”

Podążał więc niby na sąd Boży. Lecz jeśli tak jest — chodzi o to, czy był dostatecznie czysty w swych intencjach. Przebiegł myślą swe życie jeszcze raz, z całą surowością, od tamtej sprawy z Filipem aż po dzień ostatni. Pomyślał o Zabel. „Czy nie uczyniłem tego dla niej?” — badał siebie. Potrząsnął głową. Jeżeli to nawet ona sprawiła, że rozpoczął się w nim proces przerażania, to potem szedł już swoją drogą sam, nawet jakby pozostawiając za sobą ją i jej miłość. Dzieci — kochał je, ale nie dla nich pracował. Narzucał swą wolę córkom, nie oglądając się na ich uczucia. Naprawdę bliski mu był tylko Lewon. Kontynuator sprawy. A kto poza tym? Przyjaciele? Uświadomił sobie, że miał w życiu jednego tylko przyjaciela, ale i jego pozwolił sobie zabrać, gdy go dotknęła straszna choroba. Nigdy nie próbował z nim później rozmawiać. A przecież Achot był jedynym człowiekiem, który siedząc w kącie izby na niskiej ławie, swym prostym, chłopskim językiem znajdował klucz do jego pragnień i myśli. Rozumieli się, choć Hettum był królem, a tamten góralem spod Butrenten.

„Ty, tagawor — słyszał nieraz zmatowiały głos chłopca — chciałbyś stać się wyższy od swego serca. U nas w górach powiadają ludzie: serce leży między głową a brzuchem; ani go zjesz, ani wymyślisz. Zostaw je tam, gdzie

jest! Nie kładź go na przełęczy, na trawie, bo już tam pozostanie do sądnego dnia. Połóż je na grani, wtedy spłynie w obie strony”.

Dobrze mówił Achot. Odkąd miał pod nogami grań wąską jak ostrze miecza, jego serce spływało w „obie strony”. Wydawało się szersze i bliższe ludziom. Niechęci wygaszały. Nauczył się ufać. Jeszcze tylko oni: Ibelinowie, Julian, gdy pojawiali się w jego pamięci, wydawali się kimś nie do zniesienia. Ale i wobec nich chciał się zdobyć na wielkoduszność. Wiedział dobrze, jacy są. „Jedynie umierać potrafią jak należy” — sarkał Pantaleon. Tak, byli wielcy jedynie w geście. Gdy gest zamierał, pozostawała drapieżna chciwość ziemi, władzy, złota. Nie umieli żyć jak rolnik, każdym dniem. Nie umieli wracać od gestu do życia, od życia, znowu do gestu.

On to umiał. Na drodze między Tell Berwe a wieżą Przeklętą wydało się Hettumowi, że wreszcie zaczyna pojmwować Ludwika. Prawda — nie zwyciężył. Ale on sam był zwycięstwem gestu nad życiem, życia nad gestem. Dotąd miał w oczach to pole pod murami Sydonu zasłane ciałami. Słodkomiłący odór unosił się w powietrzu przytłumiając aromat gajów pomarańczowych. Spłoszone ptactwo poderwało się niechętnie w górę kołując w powietrzu w oczekiwaniu na powrót do ściernia. Przestrzeń była pełna brzęczenia wielkich niebieskich much. Jadąc zatykali sobie nosy i usta połami płaszczy. Lecz poczet zatrzymał się nagle. Jakaś rozmowa toczyła się na czele kolumny. Rycerze zaczęli wołać: „Prędszej! jechać tam! Na czepiec Boży, nie wytrzymamy w tym smrodzie!” Niespodziewanie Hettum zobaczył długą postać króla, który zsiadłszy z konia szedł ku trupom, wyprostowany, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. O parę kroków za nim włókł się Julian, skulony, zielony na twarzy, zasłaniając sobie usta jedwabną chustą. Ludwik pochylił się, dźwignął pierwsze, obrzmiałe, zzieleniałe ciało. Mignęła twarz wydziobana przez ptactwo: sina miska, z której sterczały kości. Jedna z rąk odebrała się jak uschła gałąź i została. Lecz Ludwik niósł kadłub w ich stronę. Na haftowanym liliami płaszczu zrobiła się tłusta plama. Zdumione ptaki polatywały nad głową króla. Zawołał w stronę oniemiałych baronów i rycerzy: „Czcigodni panowie, chodźcie mi pomóc. Nie możemy zostawić zwłok chrześcijańskich bez pogrzebu na pożarcie sępom.” Przez dwa dni zbierali rozkładające się i cuchnące ciała. Ludwik nie pozwolił do tej roboty nikogo przymuszać, ani spośród służby, ani niewolników. Sam pracował prawie bez przerwy: włókł trupy do wykopanych dołów, dysząc i mrucząc słowa modlitwy. Chcąc nie chcąc, musieli go naśladować. Wymiotowali, poza winem nie mogli nic wziąć w usta. Każdego wieczoru palili swe „szkaplerze”,

do których przywarła trupia woń, oczyszczali zbroje dymem jałowcowym. W końcu wszystkie ciała zostały złożone do ziemi, pokropione święconą wodą. Nad zwłokami odprawiono trzy msze żałobne, ale w białych kolorach, gdyż modlono się za dusze poległych w obronie wiary. Ludwik słuchał mszy klęcząc. Po ostatniej wezwał do siebie baronów. Spokojnie i pogodnie — jakby tamte dwa dni nie istniały — kazał przedstawić sobie plany odbudowy miasta. Julian musiał bardzo szczegółowo wyliczyć, ile będzie kosztowała zwózka kamienia, ile robota, ile straż nad pracującymi. Ludwik słuchał go uważnie, kiwał lub potrząsał głową, poprawiał jego obliczenia, wykazywał błędy w rachunkach. Umniejszał wydatki, które wydawały mu się nadmierne. Każdy funt, który kanclerz miał wypłacić seniorowi Sydonu, był skrupulatnie wyliczony. Zdawać by się mogło, że wielki król żałuje każdego grosza, on, który nie pożałował tyle razy swego życia.

A przecież nie zwyciężył — powtórzył w Hettumie jakiś głos. Wszystko stracił... Wątpliwości wypełzły pośpiesznie, jedno za drugim. „A ja chciałbym zwyciężyć, ja, król małego, górskiego kraiku, człowiek, który siłą zagarnął tron, wtedy, gdy nie zwyciężył największy władca chrześcijaństwa, święty w mniemaniu wszystkich, którzy na niego patrzyli? — Znowu powrócił do tamtego rozumowania: — On wiele otrzymał, ja nic. Więc może dlatego...” Ale to tłumaczenie wydało mu się w tej chwili śmieszne. Nie istnieje jedna miara, na pewno! Kiedyś pojawiła się w nim wątpliwość, dlaczego człowiek z ewangelicznej opowieści, który dostał pięć talentów, nie otrzymał dziesięciu; byłby przecież zarobił drugich dziesięć. Zwierzył się z tym Wilfydowi. Mnich uśmiechnął się: „Czy sądzisz, tagawor — zapytał — że pan z Ewangelii potrzebował naprawę tego zysku?”

Ścieżka, którą jechał, zbliżyła się do samego brzegu jeziora Nahr al-Na-main. Las trzciny oddzielający brzeg od gładkiej powierzchni wody szumiał wtórując dalekiemu pomrukowi morza. Miasto było po drugiej stronie, gdyby nie noc, widziałyby już na tle nieba grube, zębate mury.

Nagle zdarł konia tak gwałtownie, że aż wierzchowiec przysiadł na zadzie. Ludzie za nim zatrzymali się także. Przez chwilę siedział nieruchomo na siodle, jakby nie śmiać wyrzeć ponad niższe w tym miejscu trzciny. Ale napięty czujnie słuch chwycił odgłosy nocne: huk morza, trzepotanie trzciny i ten trzeci dźwięk podobny do buczenia pszczelnego roju. To nie było złudzenie! Wolno podciągnął się w strzemionach, wpił wzrok w ciemność. Za wąskim w tym miejscu jeziorem, a przed murami miasta leżało coś niby... Chyba mi się śni” — powiedział do siebie półgłosem. Ale szpiczaste kształ-

lty górujące ponad trzciniami z tamtej strony jeziora nie znikły. Syknięciem przywołał do siebie swoich.

— Trzymaj konia! — rzucił wodze jednemu z giermków. Zsunął się z siodła, lecz wziął ze sobą miecz. Powoli, ostrożnie zeszedł między trzcina aż do miejsca, gdzie stopy zaczęły lgnąć w błocie. Teraz posuwał się brzegiem patrząc ciągle ku przeciwnej stronie. Pamiętał, że sam kraniec jeziora był oczyszczony z zielska, by można w nim było poić i pławić konie. Gładka powierzchnia wody, w której przeglądały się gwiazdy, zwięzła się coraz bardziej i załamywała. Trzciny skończyły się równocześnie z brzegiem, który rozciągał się teraz niski i odkryty, prostopadle do poprzedniego swego kierunku. Z tego miejsca Hettum mógł widzieć wszystko. Obóz leżał rzeczywiście u stóp pagórka Tell Fukhar, prawie pod samą bramą św. Antoniego. W przeciwieństwie do murów, na których panowały cisza i ciemność, między namiotami paliły się liczne ogniska i słychać było gwar ludzki.

Ukryty między trzciniami Hettum obserwował namioty i ludzi. Kto to mógł być? Pierwszą jego myślą było: Saracenowie. Lecz po chwili wydało mu się to rzeczą niemożliwą. Mongolscy wywiadowcy tak zawsze dokładni w swych wieściach mówili wyraźnie, że armia sułtana skręciła od Arsuf ku Napluzie i idzie wprost drogą na Nazaret. Skąd by więc Saracenowie mogli się znaleźć tutaj? Zresztą czy to możliwe, aby miasto spało spokojnie, gdy Saracenowie stoją pod samymi murami? Wobec tego — może jakaś krucjata nadpłynęła i zamiast w mieście obozuje pod gołym niebem, gotowa z pierwszym świtem ruszyć na pomoc Kitbuca? Gdybyż tak było! W nagłym porywie wdzięczności za samą taką myśl podniósł głowę ku wygwieźdżonemu niebu. Wprawdzie nie było ostatnio słychać o żadnych przygotowaniach do krucjaty. Chyba gdyby to — serce Hettuma zaczęło bić gwałtownie — chyba gdyby to miał być znowu Ludwik. Obiecał przecież. Obiecywał: wróć... Od życia do gestu. — „Ludwik... — wypowiedział gorącym szepem — król Ludwik... Ten człowiek tyle go nauczył! — Jeżeli to jest Ludwik — zdecydował — powierzę się całkowicie jego decyzjom.”

Doświadczonym okiem ocenił obóz. Nie obejmował wielkiej armii. Ale im masa nie jest potrzebna. Kilkuset rycerzy spadających z boku na skrzydło armii sułtana zapewniłoby ostateczne zwycięstwo. Ale jakież olbrzymie byłoby znaczenie faktu, że król Francji, pierwszy senior chrześcijaństwa, łączy swe wojsko z wojskami chana! Już nie obraz Jerozolimy, ale horyzont rozległy jak cała Azja zamigotał przed oczami Hettuma. Stepy, stepy, stepy, przez które kiedyś jechał, miasta namiotów, niekończący się zębaty mur

uczepiony wzgórz, żółto-czerwone miasta pełne skośnookich ludzi, miasta ciągnące się, jak mówiono, aż do ciepłego mulistego morza. Oszałamiająca wizja przykuła go do miejsca. Była silniejsza niż rzeczywistość. „Ludwik — myślał — jest do tego zdolny. Nie na próżno rozmawiał tak dużo z wysłańcami chana na Cyprze, nie dla zwykłej ciekawości kazał wiele razy opowiadać Sempadowi o kościołach i chrześcijanach, których konetabl spotykał w całej Mongolii. Ludwik miał umysł szeroki, lotny. Świat dla niego nie kończył się na Bizancjum. Och, jeżeli to jest Ludwik...”

Oszolomiony swoimi myślami wysunął się spoza trzcin. Niby w natchnieniu szedł wybrzeżem nie odrywając oczu od blasku ognisk. Nareszcie nadchodziła odpowiedź. Ludwik miał nią być. Więc wybaczone mu. Bóg mu wybaczy, przyjął jego pracę za jego grzech...

Lecz w tejże chwili doszedł go dźwięk, który był jak kamień wpuszczony w kruche i drogocenne naczynie z weneckiego szkła. Spomiędzy namiotów, pod rozgwieżdżonym niebem podniósł się głos śpiewny, ciągnący się, żalony i straszny. Znał dobrze słowa, które dobiegły jego uszu:

— *La illaha il Allah u Muhammed arrasul Ullah!*

Nie mógł uwierzyć. Nie chciał uwierzyć. Stał dysząc jak człowiek, który przebiegł wielką przestrzeń i nie może schwytać oddechu. Głos śpiewał między namiotami przedranną modlitwę Sabach. W obozie zrobiła się cisza, słysząc było tylko, gdy cichły fatihy Koranu, pomruk morza. Nie ruszył się z miejsca, aż się śpiewanie skończyło, a gwar głosów powrócił. Ani spostrzegł, gdy dwaj ludzie zbliżyli się do niego. Spod turbanów widać było gęste czarne brody. Jeden z nich odezwał się do Hettuma po arabsku. Nie słysząc odpowiedzi podszedł bliżej. Musieli w nim poznać chrześcijanina, lecz zamiast rzucić się na niego lub ostrzec krzykiem obóz, skinęli mu życzliwie dłońmi.

— *Saalem alejkum.*

Nie odpowiedział, zacisnął tylko dłoń na rękojeści miecza. Nie użył go jednak. Zbyt był zaskoczony niezrozumiałym dla siebie odkryciem. Znajdował się jakby w półśnie. Ci ludzie obok wydawali się cieniami, żalobnymi chorągwiami targanymi przez wiatr. „Co się dzieje w tym zwariowanym mieście? — myślał — Czy wszyscy tam pomarli dotknięci zarazą, czy tylko posnęli i nie widzą stojących pod murami Saracenów? Dlaczego nikt nie bije w toksin?” Arabowie nie doczekawszy się odpowiedzi na swe grzeczne powitanie roześmiali się. Ale i teraz nie napadli na Hettuma. Jeden z ich po-

wiedział niezdarnie po grecku: „Przyjaciel”. Ciągłe się śmiejąc poszli dalej, minęli Hettuma, skręcili w stronę wody, rozplynęli się w mglistej poświacie, jakby ich nigdy nie było. Dlaczego nie rozpoczęli z nim walki? — tego także nie mógł zrozumieć. Ale nie pozwolił sobie na żadne domysły. Marzenia wyprzedzały w nim często jawę, ale instynkt kazał mu czuwać, by jawa nie wyprzedzała najczarniejszych przeczuć.

Cofnął się do miejsca, gdzie stali jego ludzie. Szybko znalazł się na siodle. Skręcił wierzchowca i od razu ruszył ostrym galopem. Począł zataczać wielki łuk poprzez osadę cypla, na którym leżało miasto. Mknął w srebrnym półmroku, powierzwszy się całkowicie instynktowi konia, który skakał przez niewidoczne wykroty, rowy, rozpadliny, mijał kępy ostrych cierni. Nie potrzebował długiego czasu, by znaleźć się na wybrzeżu. Piaszczysta płaska plaża zdawała się lśnić. Z czarnej dali nadbiegały długie pasy piany i wślizgiwały się na nią ze świergotliwym szumem. Miasto z tej strony było równie ciche i nieruchome jak z tamtej. Za murami wchodzącymi głęboko w morze leżało przedmieście. Montmusart. Przed sobą miał bramę św. Łazarza. Podjechał i uderzył w nią kilkakrotnie rękojeścią miecza. Chwilę trwała cisza, potem z góry odezwał się głos.

— Kto tam stuka po nocy?

— Hettum, król Armenii i Cylicji. Otwieraj prędzej!

Ale strażnik nie był widocznie skłonny wierzyć słowom byle człowieka, wypływającego na powierzchnię nocy. Znowu przez jakiś czas było cicho, potem otworzyła się jakaś zawora i przez okratowane okienko wyjrzało kilka twarzy. Rzucił w ich stronę niecierpliwie:

— Prędzej! Słyszeliście?

Może rozkazujący ton głosu, a może to, że był w towarzystwie tylko dwóch ludzi, skłoniło strażników do decyzji. Rozległ się szcęk zamków, sztab i zawiasów: z boku bramy otworzyła się mała furtka, przez którą jednak jeździec na koniu mógł się precyzyjnie.

W podbramiu oczekiwał Hettuma dowódca wieży otoczony strażnikami trzymającymi zapalone pochodnie. Był to człowiek opasły, poruszający się ciężko na rozstawionych szeroko nogach. Niezliczone podbródki spadały na skórzany kaftan, którym się okrył po wierzchu, widać spieszenie wyciągnięty z łóżka.

— Pan z wami, panie — witał Hettuma głosem dość niepewnym. Nie wiedział, czy rzeczywiście ma przed sobą króla bogatej Armenii. Małe jego

oczka pospiesznie taksowały rząd na koniu i płaszcz na ramionach przybyłego. Widać ocena wypadła dobrze; grubas schylił się niezdarnie, aż sterczący brzuch spoczął mu na udach. — Witajcie... Gdzie chcecie udać się, panie? Dam wam strażników z pochodniami.

— Nie trzeba. Znam miasto. Lecz cóż to się u was dzieje?

— Jak zwykle, panie. Rycerze św. Jana...

— Nie o nich pytam. Saracenów macie pod murami!

— A tak — zasapał dowódca straży — a tak. To atabek Bajbars przybył ze swoimi o zmierzchu.

— A w mieście wszyscy śpią?

— Z zamku ogłosili, żeby się nie lękać, bo Saraceni nie przybywają w złych zamiarach. Nam kazali nikogo nie wypuszczać z miasta i pilnie baczyć, by nie doszło do jakiejś walki z poganami. Może to naprawdę Duch Święty oświecił Saracenów, że już przeciwko nam nie będą występowali.

— Oszalałeś! — krzyknął ostro, a przerażony grubas cofnął się o kilka kroków. Pas, który opinał jego wielki i sterczący brzuch, począł dygotać.

— Kiedy naprawdę z zamku... — począł bełkotać — z zamku.. kazali... Jeszcze wczoraj rano. Zapowiedzieli, że Saraceni przyjdą wieczorem...

Boże Miłosierny! — przeleciało Hettumowi przez mózg. Zapowiedzieli? Więc wszystko było ukartowane? Ale co? Co to znaczy, że Bajbars jest tutaj? Czyżby nie ufając rycerzom frankońskim chciał ich strzec, podczas gdy Kutuz mierzyć się będzie z Kitbuka? Nie wyglądało to prawdopodobnie. Jeśli nawet Saraceni znają szczupłość sił tartarskich, nie wydaje się, aby ośmielili się zaryzykować los bitwy, pozbawiając się swego najlepszego wodza i jego gwardii. Nie, nie, w tym się musi kryć coś zupełnie innego. Zwłaszcza gdy Bajbars macza w tym palce. Nie bez powodu nazywają go Tartarzy człowiekiem o wielkiej głowie.

Nie zastanawiał się jednak dłużej. Pchnął konia i roztrzając strażników pomknął przez uśpione miasto. Koń grzmiał podkowami po płytach, którymi wyłożone były ulice, robiąc tyle hałasu, że z okien i z dachów poczęły wyglądać wystraszone głowy mieszkańców. Z trudem powodując galopującym koniem w ciasnych i krętych uliczkach minął szpital lazarystów, dom trynitarzy; koło zamku przejechał bramę właściwego miasta. Warownia joannitów leżała tuż obok. W przeciwieństwie do całego miasta, cichego i uśpionego, zamek pełen był światła i gwaru. W szeroko otwartej bramie stali strażnicy i w czujnej gotowości patrzyli w mroczną ulicę, pełną końskiego tętentu.

Hettum chciał przemknąć koło nich nie zatrzymując się, ale w ostatniej chwili spostrzegł łańcuchy przeciągnięte przez ulicę. Osadził konia. Wtedy obkoczyli go ludzie z oszczepami w garści. Huknął na nich z góry.

— Odpinajcie! Prędej! Spieszę się!

Ale oni stali groźni i nie spieszyli się z wykonaniem rozkazu. Podniósłszy w górę pochodnie przypatrywali się Hettumowi. Stojąc na wprost bramy zobaczył, że podwórzec zamkowy pełen jest ludzi i koni. Panował tam ożywiony ruch: giermkowie oprowadzali konie, pacholki nieśli pęki włócznie, z długiego wozu zdejmowano leżące bezwładnie ciała ludzi wyglądających na rannych. Jakieś drzwi otworzyły się na chwilę w głębi dziedzińca; buchnął przez nie gwar wielu podnieconych i jakby rozradowanych głosów. Można by pomyśleć, że u szpitalników odbywa się jakiś festyn. Tymczasem pomiędzy strażników wyszedł ku niemu rycerz w czerwonym lśniącym płaszczu, na którym rozpiął się w gwiazdę biały krzyż joannicki. Był to prawie chłopiec, o ruchach pewnych siebie i nieco zawadiackich. Jeszcze nie podszedł blisko, a już krzyknął kogucim czupurnym głosem:

— Z konia!

Porywczo chwycił za miecz.

— Do kogo śmiesz tak mówić? — zawołał Hettum. Tamten jednak już poznał króla i od razu zmienił ton i zachowanie.

— Wybaczcie! To wy, tagawor? Wybaczcie pokornemu zakonnikowi. Nie wiedziałem, że jesteście w mieście. Zakazaliśmy przejazdu tędy. Ale wobec was, oczywiście, nasze zakazy nie obowiązują. Zdejmujcie łańcuchy, prędko! — wrzasnął na swoich. — Droga dla króla Armenii! — Strażnicy poczęli spiesźnie odwiązywać łańcuch od haków wbitych w mur. — Jeszcze raz chcecie wybaczyć. Nikt was nie mógł poznać po nocy. Spieszycie się gdzieś, tagawor?

— Spieszę. A u was, widzę, święto?

— Wielkie święto — zaśmiał się szpitalnik — święto spełnionej zemsty. — Mówił prosto w twarz Hettumowi, a w jego oddechu był zapach wina. Także włosy spod kاپicy pachniały olejkiem. — Wielkie święto...

— A tymczasem Saracenowie stoją pod bramami!

— Naprawdę? — zapytał obojętnie.

— Jak to? Nie wiecie o tym? — pochylił się ku młodemu rycerzowi.

— Coś mówili, rzeczywiście. Nie zwróciłem uwagi. Skoro jednak balius

nie kazał bić w dzwon, to widocznie... widocznie przybyli tu jako przyjaciele.

Powstrzymał się przed rzuceniem tamtemu w twarz przekleństwa. Ale skoro tylko łańcuch opadł, nawet nie skinąwszy głową szpitalnikowi pomknął prosto przed siebie. Chciał być jak najszybciej u templariuszy. Na krzyż św. Saby! Oni przynajmniej muszą natychmiast stanąć pod bronią. Północ minęła. Tam już Kitbuka każe pewnie obrokować konie, by z pierwszym świętem przyjąć natarcie Kutuza, który zechce wyjść z wąwozu. Templariuszy trzeba wysłać zaraz, a resztą uderzyć na Bajbarsa,

Wciąż galopując dopadł wybrzeża. Tu także panował spokój: barki, galeasy, karawele i karaki ze zwiniętymi żaglami drzemały wsparte o siebie bokami niby stado śpiących kur. Morze cmokało cicho między palami. Musiał wstrzymać konia, by nie upadł potknąwszy się o poprzeciągane liny i cumy. Tu i tam na okręcie paliła się mdłym blaskiem latarnia. Czerwony ogień z wieży strażniczej kapał się w morzu i drżał drobnymi prążkami na spokojnej wodzie zatoki. Minęło go dwóch strażników w czerwono-żółtych strojach republiki weneckiej, z toporami na długich trzonkach w ręku. Cały port należał teraz do Wenecjan z wyjątkiem przystani na zachodnim wybrzeżu, którą pozostawiono statkom pizańskim. Objechawszy ją, Hettum zobaczył przed sobą zamek templariuszy. Ogromna budowla podobna do urwistej skały nad brzegiem morza wyglądała dziko i posepnie. Była ciemna i cicha, jakby w niej wszyscy, nawet straż, spali w najlepsze. W żadnym z okien nie widać było światła. Na ten widok Hettuma ogarnął gniew. „Cóż oni sobie myślą? — warczał w duchu podjechawszy pod sam mur. — Bajbars stoi pod miastem, decydująca bitwa za kilka godzin — a oni śpią! Czujni rycerze zakonnici! Oto co znaczy zaufać rycerskiemu słowu jednego z nich! Jestem tylko Armeńczykiem i schizmatykiem. Popeliłem wiele grzechów. Ale staram się za nie odplącić służbą. Dotrzymuję zobowiązań. Niech i mnie ktoś ich dotrzyma! Błagam Cię, Boże, proszę o to... Czy znowu muszę zostać sam?”

Szepcząc swoje skargi objeżdżał mury otaczające zamek. Z wież i spoza blanków nie dochodził nadal żaden dźwięk. Brama była po drugiej stronie. Zbliżając się do niej nie słyszał nawoływania straży. Tknięty przeczuciem popędził szybciej wierzchowca. Ten nagle odskoczył w bok. Osadził go; naciskiem obu ostróg zmusił, by podszedł do leżącego przedmiotu. Był to nieżywy koń z wyciągniętą szyją, w której tkwił bełt, i z wyprężonymi nogami. Rozwarte szeroko oczy zwierzęcia pełne były drobniutkich gwiazd.

Wierzchowiec Hettuma cofnął się i strzygł uszami. Zwrócił go znowu ku bramie. Ale nie ujechał dwóch kroków, gdy koń powtórnie skoczył w bok. Jakiś człowiek leżał twarzą do ziemi Siwek przebierał nogami, szedł bokiem, wyrzucał łbem. Znowu natknęli się na trupa. Psie wycie doleciało z głębi ulicy. Wreszcie miał przed sobą ciężką niszę bramy. Ale bramy w niej nie było. Połamane odrzwia leżały na ziemi, reszta wisiała na jednej tylko zawiasie skrzypiąc żałośnie. Gdzieś po raz drugi zawył pies. Obciążone gwiazdami niebo opadło nisko, zdawało się wspierać na wieży zamku. Koń nie przestawał chrapać i podrywać się do ucieczki. Wzrok Hettuma zaostrzał się i wpelzał coraz dalej w podwórzec. Na skopanej, stratowanej ziemi leżały jakieś ciała jedno na drugim. Tu i tam bielił się płaszcz, niby płat śniegu. Ktoś niedaleko od Hettuma jęczał: „Wody! Wody! Na miłosierdzie Boże!” Podjechał w tamtą stronę. Koń drżał stąpając wśród trupów. Podkova dźwięknęła na głównej złamanego miecza. Człowiek stękał w ciemności: „Przez miłosierdzie Boże, wody!” Bez cienia litości pochylił się z siodła nad tamtym.

— Ktoś ty — zapytał.

— Wody! — majaczył leżący. — Wody...

— Kto jesteś?

Umierający zrozumiał. Wystękał:

— Rajmund de Pignans, wielki preceptor Templum. Wody...

Ale Hettum nie ruszył się, by spełnić jego prośbę. Wyprostował się na siodle i podniósł głowę w górę, ku gwiazdom. Czuł łaskoczący ból, ogarniający korzonki włosów na głowie. Potem nagle wybuchnął w jego uszach huk morza rozbijającego się o schodzący w wodę mur zamku.

6

Twarda, aksamitna czerń nocy zwiotczała, jak wiotczeje lina od żagla, gdy wiatr poczyna cichnąć. Gwiazdy straciły także swój szklany połysk. Niskie, dotykalne niemal wyciągniętą ręką niebo dźwigało się w górę. Przeszczeń wydłużała się. Toros nie miał wrażenia, że zrobiło się jaśniej; wydawało mu się po prostu, że jego wzrok przyzwyczaił się lepiej do mroku. Nie przeszkadzało mu także blask wielu ognisk, które żołnierze mongolscy mieli rozkaz rozpalić i podtrzymywać w ciągu nocy. Obecnie ognie przygasały, kulily się w małe różowe kępy. Ponad nimi widział coraz wyraźniej długi

rząd łbów końskich zanurzonych w workach. Słychać było chrząkanie i pomlaskiwanie zagłuszone chwilami przez głosy ludzi kręcących się przed końmi. Czasami w mroku rozlegał się krótki, ostry okrzyk, któremu towarzyszył świst i klaśnięcie tartarskiego taszura; przestraszone konie poczyły się szarpać na uwięzi i tupać; po chwili jednak wracały do spokojnego mlaskania — to sprawdzający swoich żołnierzy setnicy karali tych których znaleźli śpiących.

Przed nimi w mroku, w odległości, która zdawała się nie dalsza niż jakieś kilkadziesiąt kroków, paliło się również mrowie ogni. Niewątpliwie i one fałszowały prawdziwą liczbę wojska. Z tamtej strony dochodziły krzyki, nawoływania, rzenie koni. Plan Kitbuki okazał się słuszny: odcięci od wody Saraceni nie mogli przed bitwą napoić swoich wierzchowców.

Torosowi tak zdrętwiały nogi od długiego klęczenia, że aby wstać, musiał się podeprzeć ręką. Dłoń zanurzyła się w chłodny, wilgotny po wierzchu piasek. Nie mógł i nie chciał się już więcej modlić. Przemógł w sobie lekką potrzebę powtarzania słów, których znaczenia nie można śledzić. „Nie o to przecież chodzi — myślał — aby do końca wypowiadać słowa. Wszystko powinno być modlitwą”.

Czuł sztywność w stawach, więc zszedłszy z pagórka począł wolno spacerować tam i z powrotem wzdłuż linii pysków końskich. W chłodnym powietrzu przedrannym rozwiały się wszystkie zapachy. Za to dźwięki stały się jakby bardziej wyraziste: konie żuły owies, parskały, kłapały zębami, usiłowały uderzyć zadem niemiłego sąsiada. Trzymający wodze poważnie milczeli, czasem tylko zniecierpliwieni zachowaniem koni pokrzykiwali gniewnie. Były to dwa dzaguny dobranych żołnierzy stanowiących przyboczny keszik nojona. Na każdym pięć koni był jeden Mongoł. Reszta żołnierzy zносиła gałęzie na ogień, a obecnie, gdy już pozwolono im tę robotę przerwać, siedziała obok koni i opatrywała broń. Uderzali palcami w cięciwy wsłuchując się w ich ciche brzęczenie, doświadczonym dotknięciem dłoni sprawdzali rzemienie arkanów. Nie byli podnieceni. Przeszedłszy zwycięsko pół świata, nie niepokoili się nadchodzącą bitwą.

Może z ośmiu Mongołów pieszo, z arkanami na ramionach i krótkimi łopatkami za pasem przeszło obok Torosa. Prowadził ich setnik Nikipaj. Był to człowiek wyróżniający się zachowaniem wśród Tartarów. Gdy inni w swej chciwości łupów pozostawali jednak dziećmi nagle i niespodziewanie umięjącymi zrezygnować z najbardziej pożądanego skarbu, Nikipaj niczego się nigdy nie wyrzekął, nigdy niczego drugiemu nie ustąpił. Gdy mu się jakaś

rzecz spodobała, był po prostu chory, dopóki jej nie otrzymał. Kiedyś przyszedł do Torosa i uśmiechając się przymilnie ofiarował się sprowadzić mu dziewczynę arabską w zamian za sztylet o nabijanej kolorowymi kamieniami głowni, który Toros nosił u pasa, a który Tartarowi wpadł w oko. Toros odprawił go, ale Nikpaj nie dał za wygraną. W parę dni później zaproponował za sztylet ładne, z czerwonej skóry siodło arabskie. Torosowi obcy był wszelki handel — zamiast więc przyjąć propozycję Mongoła, po prostu ofiarował mu tak bardzo pożądaną broń. Nikpaj początkowo był tak zdumiony, że nie mógł powiedzieć słowa; potem wpadł w zachwyt; cmokał, klepał się po udach i całował otrzymany nóż. Odchodząc z namiotu Torosa zapewnił go, że odplaci mu się równie wspaniałym darem. Teraz przechodząc koło chłopca uśmiechnął się i podniósłszy obie dłonie potrząsnął nimi. Rzekł:

— Niech szoggun będzie pewien, że otrzyma od Nikpaja piękny dar. Piękny! — złożył palce przy ustach, a potem je rozcapierzył i cmoknął.

Tartarzy zniknęli w mroku. Toros chodził dalej. Czas włókł się wolno, ale on chciał jego leniwy bieg przyjąć tak samo, jak wszystko, co na niego przychodziło. Pozostał, kim był przedtem, zanim spędził tych kilka godzin nocy na nagiej, pokrytej rzadkimi trawkami wydmie. Klęczał tam oddzielony namiotem mroku od trzasku ognisk i dalekiego wycia szakali. Tam także musiał stoczyć nieoczekiwaną walkę. Nie spodziewał się nigdy takiej nocy. Wszystko było przecież od dawna zdecydowane, ułożone, przyjęte. Bunt wygasł, zanim zdążył się zapalić. Tymczasem stan bezpiecznego spokoju zawalił się nagle niby mur, pod którym dokonano podkopu. Wobec ruin Naim wszystko było jeszcze proste. Ale przestało być proste z nadejściem nocy. Był jak człowiek zagnany w uliczkę, której oba wyjścia opanował nieprzyjaciel. Nie było dla niego ocalenia, nie było drogi, którą można było przyjąć. Wola mdlała. Ten stan pojawił się równo ze zmierzchem. Pamiętał wygląd nieba, w chwili gdy z armią Kitbuki przekraczał potok Kison. Ciężka chmura na zachodzie, która w ciągu dnia groziła deszczem, pękła na strzępy, spoza nich wyrzsało niebo zalane czerwienią. To było tak, jakby kotarę nieba ogarnął od dołu pożar i trawil powoli, bez łapczywości. Po powierzchni wody pełzały krwawe pręgi. Piasek nadbrzeżny zróżnowiał, cienie leżały na nim brunatne i mechate. Promienna rezygnacja ustępowała miejsca dokuczliwemu uczuciu zimna. Potem niebo spopieliło się, a na serce zwałił się ciężar. Był z każdą chwilą większy. Aż wreszcie pod jego brzemieniem ustąpiła z serca cisza.

„To wszystko na nic — słyszał teraz w sobie. — Czy masz jakąś pew-

ność, że się nie ludzisz? Leniwym ludziom wystarcza mierzenie się z tym, z czym się spotykają. Ale człowiek mocny musi podejmować swój własny, przez siebie zamierzony czyn. Cóż ty postanowiłeś i czego dokonałeś?”

Nie postanowił nic, nawet przeciwko tym myślom. Klęczał tylko i modlił się. Mijały godziny, aż wreszcie przyszła chwila, że już dłużej modlić się nie mógł. Rozpacz ukryła się w zmęczeniu. Wszystko było nowe, nieoczekiwane. Żył dotąd jakby niedostrzeżony. Lecz nagle dojrzano go. Musiał zapłacić za wszystkie godziny niewzruszonego spokoju... Mimo chłodnej nocy poczuł na skroniach pot. A jednak nie chciał ustąpić. Nie chciał wybrać własnej woli. „Wielkość gestu — myślał uparcie — nie idzie w parze z wielkością daru. Wielki gest może być małym darem. Nie chcę domagać się ani zdrowia, ani choroby, ani śmierci. Niczego, niczego! To prawda: ciężko jest działać i przegrać. Ale nie mniej ciężko jest czekać i nie doczekać się. A jednak — niech będzie. *Fiat voluntas...* Czy otrzymamy kamień, gdy prosimy o chleb?”

Uderzył wiatr i począł rozwiewać noc. Falowała ona wokół Torosa niby namiot w skrętach samumu. Kształty ludzi i koni traciły chwilami swoją realność, zdawały się cieniami w głębinie morskiej. Dwaj ludzie przeszli obok. Gdyby nie strzępek usłyszanej rozmowy, nie zwróciliby na nich uwagi. Doleciał go znany dźwięczny głos szwagra: „Skoro wiem, że jesteś rycerzem bez lęku.. ” Drugi człowiek — wysoka i barczysta sylwetka — odpowiedział: „Cieszy mnie wasza łaskawość...” Chwilę szukał w pamięci, do kogo mógł należeć ten drugi głos niski, nieco gardłowy. Nagle przypomniał sobie: Bertrand z Gibelet. Rozmawiali ze sobą niedawno: czarnooki i smagły na twarzy rycerz mówił z gniewem: „Książę Bohemund ma słodycz w ustach, ale nienawiść w sercu!” A teraz ci dwaj ludzie szli obok siebie ztopieni w przyjacielskiej rozmowie, ku skrajowi pozycji mongolskich. Może więc doszło w końcu do zupełnego porozumienia między żądnym władzy seniorem a krnąbrnym wasalem? Toros uśmiechnął się myśląc o tym. Martwił go ten spór. Gdyby był starszy, może umiałby go zgasić. Ale i tak coś się chyba odmieniło. Chwała Bogu...

Tamci zagubili się w mlecznym mroku. Uśmiech na ustach Torosa zgasł i rozpułnął się. Zapomniany na chwilę niepokój powrócił. Znowu rozpoczął modlitwę: *Pater noster, qui es in coelis...* Ale słowa przelatywały przez jego umysł niby woda przez otwory sita. Nie miał naprawdę nic, co mógłby przeciwstawić niepokojowi. „Gdzież jest Wilfryd? — pomyślał z tęsknotą i zniecierpliwieniem. — Dlaczego nie przyjdzie tu do mnie? Pewnie spowiada

innych. Lecz powinien wiedzieć...” W sercu Torosa odezwało się nagle tysiąc żalów do ludzi, że nie przeculi chwili jego słabości i pozostawili go samego. Nocny strażnik przeżuwał urazę do śpiących, nad których bezpieczeństwem czuwał: ja cierpię — a oni? Nie przejmowała go świadomość, że może inni cierpią obok tak samo. Wszystko ustąpiło wobec własnego bólu.

Znowu cień nadpłynął w jego stronę: jakiś potwór zamajaczył w mrocznym żywiole. Była to niska kwadratowa postać o rękach obwisłych, opadających prawie do samej ziemi. Gdy tamten otarł się o niego, poznał, że ma przed sobą Kitbukę.

— To ty, szoggunie, synu mego andy? — powiedział wódz kładąc na ramieniu Torosa swą małą dłoń. — Cieszę się, że cię widzę. — Zatrzymał się i stojąc przed chłopcem zdawał się weń wpatrywać. — Samotnie, widzę, czekasz na dzień. Nie jesteś wprawdzie — dodał po chwili — podobny z twarzy do swego ojca. Lecz myślisz jego myślami.

— Skąd wiesz o tym, nojon?

— Wiem. I ja byłem ojcem... — odpowiedział. Dłoń, którą trzymał wciąż opartą na ramieniu Torosa, zacisnęła się lekko, niby dając jakiś znak. — Jesteś także taki sam jak Senang — podjął miękko. — Znam daleko widzące oczy chłopców. Senang... — pozwolił dłoni zsunąć się z ramienia. Musiał ciągle jeszcze żyć słowami i scenami z życia tamtego, tym wszystkim, co wracało, podobne fali morskiej. Zgarbił się, zmalął. Znowu przypominał potwora z kościelnego portyku wędrującego przez mleczną wodę. Lecz po chwili wyprostował się. Jego dłonie musnęły łagodnie ręce Torosa. — Słuchaj, szoggunie — powiedział niespodziewanie — a gdybyś tak zgodził się odjechać ze mną?

— Odjechać? Gdzie, nojonie? Teraz, przed bitwą?

— Nie, potem. Gdy zwyciężymy. Każdy z nas, Mongołów, gdziekolwiek by zawędrował, powinien, jak stary Sutbutaj, na końcu wrócić do rodzinnej jurty. I ja może kiedyś do niej wrócę... To daleko, tam — ruchem głowy wskazał falistą linię gór odcinającą się coraz mocniej od tła nieba. — Step się tam ciągnie szeroki bez końca, nie tak jak tutaj, a na stepie stada, jurty i kurenie. Jedziesz, jedziesz, a drogi ani miasta nie napotkasz. — Ton głosu wodza stał się ciepły. — Jedź ze mną, szoggunie! Wy, młodzi, jesteście pełni tęsknoty. Może na stepie odnajdziesz to, czego tutaj odnaleźć nie umiesz. Może spodoba ci się która z księżniczek mongolskich i zechcesz postawić swój ger między gerami najmańskiego ułusu. Wtedy wszystko, co zdobyłem,

będzie twoje: namioty, stada, klejnoty, niewolnicy. Będiesz dla mnie jak Senang. Ale gdybyś nie chciał, starczy u nas stepu, by po nim galopować dalej, i dalej przez całe życie. Czy chciałbyś tego, szoggunie?

Uśmiechnął się do tej wizji wędrowki bez końca. Tak, właśnie czegoś takiego pragnął od dzieciństwa. Jechać, jechać, ciągle jechać... Księżniczka mongolska? A może ma czarne oczy lekko zmrużone, jakby się śmiała cicho i serdecznie. Namiot ze skór i wojłoków rozbity na gliniastej ziemi, suche trawy, którymi szeleści wiatr, słone jeziora, ślady kopyt na piasku, noce wysokie jak kościół, pełne ciszy gwiazd i Boga. O mało nie zawołał: dobrze! Dobrze! Pojadę z tobą! Ale zamiast tego zapytał:

— Jestem młodszy. Czemu, nojonie, nie powiesz o tym Lewonowi?

— Właśnie dlatego, że jesteś młodszy. Twój brat, szoggunie, pójdzie za ojcem. Ale ty jesteś wolny, możesz jechać...

— Mogę... — powtórzył jak echo.

— Jedź — podjął na nowo Kitbuka — jedź. Ja wiem, wy, rycerze zachodni, lubicie wasze drogi, miasta, zamki, uprawne pola, a nie kochacie stepu. Ale step trzeba poznać, aby go pokochać. Dla was Mongołowie są dzikim ludem ubranym w śmierdzące kozuchy. Och, nie mów, że tak nie jest! Ja wiem... Lecz cóż — takimi jesteśmy, takimi chciał nas mieć Tengri. Chińczykom wy wydajecie się barbarzyńcami. Taki jest świat, szoggunie. Trzeba go poznać i pokochać, aby móc coś dla niego zrobić. Jedź ze mną! Powinniście do nas przyjeżdżać, wy najlepsi. Bo zamiast was, przyjeżdżają tacy, którzy kłamią I-sie. Sprzedają nam łuki, miecze, wino, bursztyn, cenne materie, a kradną naszą tęsknotę. Pojmujesz, szoggunie? Naszą tęsknotę. To tak, jakby ktoś za złoto zabrał ci twoje pragnienie innego życia. Co by ci wówczas zostało, powiedz?

— Nic — szepnął z głębokim przekonaniem.

— Więc widzisz. Trzeba, abyś pojechał. Jedź. Na stepie każda słabość tężeje w siłę. Jedź... Jeśli nie będziecie przyjeżdżali, kupcy wykupią dusze Mongołów. I wtedy nie przyjdziemy tutaj, by ratować Bogda Malagsun. Skradziona tęsknota zamienia się w rozpacz. Jedź, mały szoggunie, ze mną!

Poczuł dreszcz na całym ciele. To było wezwanie — tak przejmująco nie potrafi wołać własne serce. Odnalazł w mroku rękę Kitbuki. W nagłym porwywie przycisnął ją do ust.

— Pojadę, eczige — szepnął.

Dwaj idący zatrzymali się przy kopcu wykopanej ziemi. Dół podobny do świeżego grobu pachniał wilgotnym piaskiem. Bertrand przystanął na jego skraju jak koń przed przeszkodą. Spod czarnych brwi nieufnym wzrokiem śledził swego seniora. Cóż to znowu nowego wstąpiło w Bohemunda? Książę Antiochii stał obok w pełnej zbroi, jedynie bez hełmu. Wyhaftowane na płaszczu lilie przypominały Ludwika, który w swoim czasie pasował Bohemunda na rycerza. Jakiś grymas na pięknej, już widocznej w przedświecie nadchodzącego dnia twarzy księcia niepokoił Bertranda. Także ton głosu. Cóż znaczą te obietnice, których tyle wysłuchał? I dlaczego, aby mu o nich powiedzieć, Bohemund wyciągnął go na ten nocny spacer poza linię straży mongolskich? Czyżby żywił jakieś zbrodnicze zamiary? Lecz Bertrand, stary wróbel, zanim oddalił się na nocną przechadzkę, upewnił się wprawdzie, że nikt ze straży księcia nie został nigdzie posłany. Wszyscy czuwali przy koniach. Może więc Bohemund myśli, że rozprawi się z nim własnoręcznie? No, niech spróbuje tylko! Pewnym siebie gestem dotknął palcami rękojeści miecza. Powiedział:

— Dziękuję wam, książę, za wszystko, coście mi obiecali. Istotnie, nie byłem dobrym wasalem. Ale teraz będę wam służył wiernie.

Bohemund milczał, więc Bertrand urwał. Miał poczucie zbędności wszystkich słów. Nie wierzył, aby Bohemund zaczął mu ufać. On sam zresztą nie ufał sobie. Wiedział, że gdyby książę poległ w dzisiejszej walce, on nie zdobędzie się na wielkoduszność bronięcia sprawy jego syna. A mimo to rzekł:

— Wy i wasz syn możecie liczyć na mnie.

W tej chwili zakotłowało się w ciemności. Gromada ludzi w śmierzdzących kozuchach zwała się na kupę wykopanego piasku, miotając się i szarpiąc. Żaden jednak głos poza zduszonym chrapaniem nie dobiegł spośród walczących. Walka toczyła się w ciszy. Nie trwała zresztą długo. Gdy napastnicy podnieśli się, na ziemi został tylko Bertrand z głową nakrytą workiem, przyciśnięty kolanami dwóch Tartarów. Nikipaj pochyliwszy się nad rycerzem odpiął mu miecz i zdarł z szyi krzyż wykładany mozaiką. Bohemund zrobił pośpieszny ruch ręką. Wtedy żołnierze popchnęli ciało, ono zaś stoczyło się do dołu. Teraz nogami i łopatami zaczęli zsypywać piasek. Człowiek w dole miotał się pod przykrywającą go falą. Usiłował wstać. Ale wtedy jeden z Tartarów zeskoczył do dołu. Szybko zaczął udeptywać ziemię. Inni zrobili to samo. W głuchoj ciszy cała gromada kudłatych stworów podskakiwała w miejscu, niby odprawiając rytualny taniec. Trwało to, póki dół

nie został wyrównany, Bohemund stał nieruchomy patrząc na to widowisko. Wreszcie zawrócił i powoli ruszył w stronę obozu.

Robiło się coraz jaśniej. Dzień nadchodził z nie dającą się powstrzymać gwałtownością. Mgła rozplynęła się i wszystko stało się widoczne niby przez przetartą szybę. Wieko szarego nieba uniosło się pozwalając wynurzyć się spoza wzgórz skrawkowi tarczy słonecznej. Czarnobłękitny ton nocy w jednej chwili ustąpił miejsca różowości i zieleni. Czarne trawy ożyły.

Był jeszcze dość daleko od swoich, gdy chłodnym powietrzem wstrząsnął krzyk. Zobaczył, jak barwna ława jeźdźców wysuwa się z wąwozu i rozwija na równinie. Gwizdki mongolskie brzmiały przejmująco. Bohemund przyspieszył kroku, w końcu zaczął biec w stronę swoich.

7

— Wasza dostojność nic mogę, doprawdy nie mogę. Mam rozkaz...

— Otwieraj!

— Wasza dostojność...

— Otwieraj! Ile razy mam ci powtarzać?

Czuł, że jeszcze chwila, a płatnie mieczem ten gruby, sterczący brzuch, na którym podskakiwała sprzączka pasa. Za każdym okrzykiem dowódca straży mrużył oczy i wstrząsał się. Jego nogi w białych gaciach dygotały. Przyciskał pulchną dłoń do piersi.

— Na honor, wasza dostojność, nie mogę. Dałbym gardło.

— Wypuścisz tylko mnie!

— Nikogo nie mogę. Regent zakazał.

— Spiesz się!

Nalane policzki poczęły drżeć załóżnie.

— Wasza dostojność, nie gubcie biednego człowieka... Zlitujcie się...

Z gniewem odtrącił rękojęć miecza. Odwoływanie się do litości czyniło go zawsze słabym. A przecież ta słabość groziła strasznym niebezpieczeństwem. Templariuszy wycięli, patriarcha odpłynął do Europy. Nie prowadzi dla Kitbuki żadnej pomocy. A ten głupiec jeszcze go zatrzymuje!

Szary, chłodny świt leżał w uliczkach, lecz po morzu błędziły już złote smugi. Pełen żalu wobec własnej bezsilności wyjechał z miasta. Pozosta-

wało tylko jedno: udać się do zamku, prosić regenta o zmianę rozkazu. To wymagało czasu, nieskończenie długiego czasu. A tam za murami Bajbars przygotowuje się już pewnie do drogi. W ciągu nocnych wędrówek po mieście wydało mu się, że zrozumiał szatański plan atabeka: tą samą drogą, którą miała nadciągnąć pomoc rycerzy chrześcijańskich, nadejdą na pole bitwy nowe siły Saracenów. Na ich drodze stoi ufna, nie spodziewająca się z tej strony niczego mała armia armeńska.

A mimo to nie wypuścił konia w cwał. Jechał stępa, zgarbiony, zniechęcony. Miał poczucie próżności każdego gestu. Nie wierzył w szybkość swego wierzchowca, w skuteczność działania. Raczej zrodziło się w nim pragnienie zamknięcia oczu i czekania biernie aż się wszystko dokona. Nic im nie niesie poza wieścią o zdradzie. Może lepiej, aby wróg przybył pierwszy, wyręczył go w tej misji? W uliczkach budziło się życie: ludzie wychodzili z wiadrami po wodę. Dźwięk dzwonów kołował w górze razem ze stadami gołębi. Dojeżdżał właśnie do zamku, gdy natknął się na gromadę jezdnych mijających bramę. Na ich czele dostrzegł pana z Jaffy i Baliana Ibelina. Giermek jadący za starym rycerzem wiózł pod pachą ogromny modelitewnik w drewnianej oprawie. Na widok Hettuma obaj rycerze zatrzymali konie.

— To wy, tagawor? Witajcie. Skądżeście się wzięli w mieście?

— Wypuście mnie! — powiedział z obudzoną na nowo gwałtownością. Ich widok poderwał go znowu do działania. — Każcie mnie natychmiast wypuścić!

Spojrzeni na siebie, jakby sądzili, że oszalał.

— Ależ... Przecież nikt was nie więzi, tagawor!

— Kazaliście nie wypuszczać nikogo z miasta. A ci głupcy...

— Nie sądziłem — Balian mówił z chłodną grzecznością — że ten zakaz może was zatrzymać. Nie było was, tagawor, w Acre. Ale natychmiast...

— Tylko pamiętajcie, że tam są Saraceni — zazgrzytał głos starego rycerza.

— Wiem o tym. Dobrze wiem o tym! — wybuchnął.

— My wprawdzie — klekotał dalej stary Ibelin, jakby nie czuł podniecenia w słowach Hettuma — mamy z nimi pokój. Ale do was mogliby może żywić pretensję. Idą bić się z Tartarami.

— Już odjeżdżają, stryju — Balian przerwał baronowi Jaffy. — Widziałem przed chwilą z murów.

— Więc pędź! — krzyknął Hettum. Przez zaciśnięte zęby począł powtarzać: — Muszę się spieszyć, muszę się spieszyć.

— Gdzie to się tak spieszycie? — zapytał sire Jan.

— Gdzie? — Znowu gniew go poniosł. — Tam się toczy w tej chwili walka... O Syrię! O królestwo! O Jerozolimę! O wasze zamki! O was! A wyście przepuścili Bajbarsa na tyły Mongołów A teraz pytacie. Pędź! Wydajcie rozkaz, aby mi otworzyli bramę!

— Oczywiście. Balian to zaraz zrobi. Pchnij giermka — stary rycerz zwrócił się do bratanka. — Lecz wam, tagawor, choć gniewne są wasze słowa, nie radziłbym wyjeżdżać teraz z miasta.

— Nie potrzebuję rad!

— Powstrzymajcie waszą porywczość. Już raz rzucaliście mi w oczy gniewne słowa. Ale ja pragnę wam wszystko po chrześcijańsku wybaczyć. Przez pamięć mojej małżonki, której dziś rocznica śmierci... Nie jedźcie, tagawor. Niech się Tartarzy rozprawiają sami z Saracenami.

— Dość gadania, sire!

— Nie chcecie słuchać, co wam powiem?

— Nie! Dajcie mi pędź giermka z rozkazem!

— Zastanówcie się, tagawor. Po chrześcijańsku...

— Nie mam czasu!

— Szkoda słów, stryju — powiedział zimno Balian. — Król Hettum spieszy do swoich sojuszników z Tartarii.

— Tak, spieszę się! Każcie otworzyć bramę! Natychmiast!

Ibelinowie spojrzeli na siebie. Ich wzrok wyrażał gniew i po gardę. Stary pan z Jaffy powiedział:

— Giermek już jedzie. Lecz zanim się rozstaniemy, chcę was ostrzec, tagawor. Byliście dla was życzliwi. Ale pamiętamy, że nie macie żadnych praw do korony armeńskiej. Siłą i gwałtem zawładnęliście tronem.

— Dość! Możecie się nie trudzić!

— Wiele ryzykujecie...

— Wy także, sire... jeśli mnie jeszcze dłużej będziecie wstrzymywali.

Cofnęli się przed jego rozgorzałym wzrokiem. Ibelin z Jaffy zaskrzy-
piał:

— Zawsze z was w końcu wyjdzie... barbarzyńca!

Zatoczył koniem. Miał ochotę krzyknąć jeszcze raz: głupcy! — lecz zdu-
sił w sobie słowa. Wbił ostrogi w boki wierzchowca i po cwałował w kie-
runku bramy

8

— Ile stawiasz?

— Dwanaście.

— Mało. Nie przyjmuję

— Piętnaście.

— Do licha, nie ma z tobą o co grać. Prędejj, decyduj się! Patrz — już
się rąbią.

Leżąc na ziemi Piotr, giermek Bohemunda, i Roger, giermek rycerza de
Sourdeval, zabawiali się stawianiem na walczących przeciwników. Rów-
nina przed nimi pełna była krzyku i zgiełku, przelatujących koni, tumanów
kurzu, ścierających się z sobą jeźdźców. Uderzenie Saracenów załamało się
nie doszedłszy do potoku. Teraz masa ludzka rąbała się w środku pola, co
jakiś czas ustępując w tę lub w tamtą stronę.

— Patrz, zwałił go, przegrałeś! — zawołał Roger.

— Jeszcze nie. Tartar dostał, ale się broni.

— To twarde sztuki. Mówią, że każdego z nich trzeba dwa razy zabijać.

— Dobrze, że są z nami.

— Pewno. I z szatana widać może być jakiś pożytek. — Poczec rycerza
de Tirel przemknął obok nich wśród ciężkiego łomotu kopyt, pochrapywa-
nia koni i chrzęstu uzbrojenia. Wielki wzrostem rycerz nie zdążył uderzyć
razem z całym rycerstwem antiocheńskim wskutek pęknięcia popręgu. Spie-
szył się więc teraz ile sił w nogach końskich, aby go ktoś nie posądził o brak
odwagi. Mierzył prosto w ogromną kupę Saracenów, którzy również dopie-
ro teraz weszli do walki. Ich liczba nie zatrzymała rycerza. Z zawołaniem
rodowym na ustach wbił się, podobny olbrzymiemu klinowi, w tłum prze-
ciwników. Splątana grupę ogarnął tuman kurzu.

— A gdzież to Bertrand z Gibelet? — zapytał Piotr.

— Pewnie dawno w boju.

— Właśnie, że nie. Podawałem strzemię księciu i widziałem wszystkich, którzy z nim ruszali. Bertranda nie było.

— Dziwne. Przecież nie stchórzył.

— Na pewno nie. Panów z Gibelet nikt w odwadze nie prześcignie.

Tuman opadł, widać było, jak de Tirel stratował dwóch Saracenów, a resztę pognął przed sobą niby stado kur. Jego poczet rozproszył się także w pogoni za uciekającymi. W pobliżu swego wasala z ciżby walczących wynurzył się na chwilę Bohemund. W jego tarczy pokrytej znakami króla Ludwika i baronów normandzkich tkwiło kilka strzał i ułamana dzida. Ale książę nie był ranny. Jakaś gromadka Saracenów oceniwszy po pięknej zbroi, że mają przed sobą kogoś znacznego, uderzyła na księcia. On jednak odparł ich atak młyńcem miecza, po czym otworzył sobie drogę między nimi. W pobliżu Bohemunda walczył Kutłuk. To on swoimi oddziałami odrzucił pierwsze uderzenie armii Kutuza. Mały Tartar na zwinnym koniku siał spustoszenie. Jego wygięta szabla pracowała jak sierp. Ścinając wrogów pomrukiwał z zadowoleniem lub wydawał radosne okrzyki. Dwaj Tartarzy jechali tuż za nim. Co chwila któryś z nich wyskakiwał galopem z tłumu walczących i gnał w stronę obozu prowadząc zdobytego konia lub wioząc zbroję pośpiesznie zdartą z zabitego przeciwnika.

W walce nie wzięły dotychczas udziału główne siły saraceńskie ukryte nadal w głębi wąwozu. Zdając sobie z tego sprawę Kitbuka trzymał w pogotowiu resztę swoich mingganów. Także keszik wodza stał beczynnie za małą wydumą, z której nojon przyglądał się toczącej się bitwie. Lewon i Toros znajdowali się obok wodza. Co chwilę odwracał się od nich i pokazywał im taszurem jakiś szczegół na polu walki. Gdy rycerze antiocheńscy mieli uderzyć, obaj chłopcy zwrócili się do Kitbuki z prośbą, aby im pozwolił ruszyć także. Ale on uśmiechając się potrząsnął głową.

— Wasz ojciec — powiedział — szogunie, chciał, abyście widzieli, jak się kieruje bitwą. Pozostańcie więc przy mnie i patrzcie. Wódz rusza sam do walki dopiero wtedy, gdy już powziął ostatnią decyzję.

Obok wodza wbity w ziemię i pilnowany przez czterech żołnierzy stał tuk chana. Kapryśny podmuch potrząsał dziewięciu ogonami końskimi, w których mieszkał Sulde — duch opiekuńczy. Odwracając chwilami wzrok

od bitwy nojon z czułością spoglądał na powierzony sobie znak. Tuk chana — to była dlań miłość z ziemskich największa.

— Patrz — Roger pokazał palcem towarzyszowi — Saint-Lo zjeżdża z pola...

Rzeczywiście pełnym galopem przycwałował w ich stronę rycerz Saint-Lo w towarzystwie kilku swoich. Trzymając się za brzuch zeskoczył z konia. Sparła go nagła potrzeba, więc chociaż obyczaj rycerski nie zezwalał nikomu wycofywać się przed wezwaniem z bitwy, musiał na chwilę oddalić się na bok. Gorączkowo krzyczał i wywijał rękami, podczas gdy giermkowie odpinali mu pas i podwijali misiurkę. Pochylny i stękający — rycerz był nadal w bitwie. Wykrzykiwał i machał ręką, drugą podtrzymując ciężkie nogawice z żelaznych kółek. Jego koń, szeroki w piersiach bachmat bojowy, był również niecierpliwy. Choć pacholek podprowadził go do koryta z wodą, które ustawili Mongołowie na skraju równiny, i gwizdał nad nim uspokajająco, raz po raz odrywał się od picia i podnosił głowę. Parskał groźnie i toczył wzrokiem za jeźdźcami, którzy przemykali się w pobliżu.

— Chytrzy są ci Tartarzy — zauważył Piotr przyglądając się korytu, do którego co pewien czas kilku niewolników przynosiło wodę z potoku. — Naszym nigdy nie wpadłoby do głowy, żeby coś takiego urządzić. I proste, i mądre. — Co chwilę po paru jeźdźców mongolskich wyrывało się i dopadłszy koryta poilo w nim konie. Niekiedy człowiek i koń byli ranni, wtedy jeden z trzech starych Tartarów siedzących w cieniu kępy tamaryszków podchodził, by zrobić opatrunek. Koło koryta czuwała gromadka żołnierzy z łukami w rękach; ich zadaniem było osłanianie pojących konie towarzyszy. Wspierali także nadjeżdżających z pola wiązkami strzał, nową cięciwą lub niezerwanym arkanem. Kiedy już słońce podniosło się wysoko i walczącym poczał doskwierać upał, przy korycie pojawił się Chińczyk z zielonym parasolem w ręku i wydał jakiś rozkaz. Zaraz też gromadka niewolników pilnowana przez żołnierza przyniosła od taborów długi skórzany bukłak oraz kilka koszów. Bukłak odsznurowano i biały pienisty płyn buchnął do podstawionych czarek.

— A teraz znowu kobyle mleko przynieśli — dziwił się Piotr.

Chińczyk wziął pierwszą napełnioną czarękę i pełnym godności krokiem zaniósł ją Kitbuce. Ale wódz tylko umoczył w niej usta, po czym stanowczym gestem kazał tamtemu odejść. Znowu paru Tartarów przygalopowało

z pola walki. Gdy ich konie piły, niewolnicy podawali Mongołom kumys. Każdy z nich łyknął spiesznie swoją czarę, chwycił z podsuniętego kosza wąskie pasemko wędzonego mięsa i znowu zawracał konia ku bitwie.

— Niechrześcijański spryt w tych bestiach — przyznał Roger. Słońce szło coraz bardziej w górę, robiło się ładnie. Pożółkła trawa była rozgrzana. Giermkom odeszła ochota do robienia zakładów. Leżeli obaj brzuchami do góry i obojętnie patrzyli na walkę, niby na interesujące, ale zbyt długo już ciągnące się widowisko. Obaj poczuli, że są głodni.

— Słuchaj, gdybym tak poszedł do Tartarów, może by dali coś chapnąć? — pytał Piotr towarzysza.

— Dać, to by dali. Tyle, że co od nich dostaniesz? Kobyle mleko i mięso nie wiadomo z jakiego zwierzęcia. Będiesz to jadł?

— Głodny jestem. — Piotr usiadł i począł patrzeć w stronę koryta — Ci nasi panowie to durnie — zawyrokował. — Do licha z walką na pusty brzuch! Wielki mi honor dla rycerza, że nie weźmie nic w gębę, póki nie zwycięży! A Tartarzy i biją się, i żrą. Popatrz, zaczęli coś nawet gotować.

Rzeczywiście, żołnierze rozpalili obok koryta ogniska i zawiesili nad nimi na drągach płaskie gliniane kociołki.

— Pójdę zobaczyć. Może coś dobrego.

Piotr podniósł się. Roger zawołał za nim.

— Tylko tartarskiego mleka nie pij! Mówili, że to grzech śmiertelny.

Z pola walki wlekli się ranni, czasem po dwóch, po trzech podpierając się wzajemnie. Błędnie zataczając się szedł Tartar z ręką przyciśniętą do siebie, jakby miał coś w podołku. Kiedy się zbliżył, Piotr spostrzegł, że człowiek trzyma rozplątany brzuch Między zaciśniętymi kurczowo palcami wydymały się błękitne wnętrzności. Szybko, ze świstem chwycił oddech. Doszedłszy do plamy cienia rzucanego przez tamaryszki, upadł na ziemię. Jeden z medyków tartarskich poszedł do niego. Chwilę przyglądał się uważnie leżącemu. Potem sięgnął w zanadrze i wydobył małą zielonkawą gałkę. Włożył ją rannemu w usta. Piotr patrzył na to ciekawie, przechyliwszy głowę i podparłszy się pod boki. Twarz człowieka była skurczona bólem, usta poruszały się ciężko, żując lekarstwo. Ale zwolna poczęła się wypogadzać. Oczy zamykały się. Można było pomyśleć, że przestał cierpieć i zasypia.

Piotr odwrócił się od leżącego i pociągnął nosem. Od kotłów zalatywało kaszą i smakowitą wonią mięsa. Poczul się jeszcze bardziej głodny. Ale miał

skrupuły: czy tylko picie kumysu jest grzechem? A może nie wolno jeść niczego, co przygotowują Tartarzy?

Znowu dwóch rannych przeszło obok niego. Szli jak para dzieci bawiących się w wyścigu „na ślepo” — z zamkniętymi oczami: obaj trzymali głowy odchylone w tył. Stawiali ostrożnie nogi. Jeden miał rozciętą głowę, więc odchyłał się, by mu krew nie spływała na twarz, w oku drugiego utkwiała strzała. Stary Mongoł podszedł do nich. Pierwszemu szybko położył na czoło opatrunek z garści konopi. Drugiemu jednym szarpnięciem wyrwał strzałę razem z resztą poszarpanej gałki ocznej. Ranny nawet nie syknął. Gdy medyk zawiązywał mu buchający krwią oczodół, już podprowadzano świeżego konia, by mógł wrócić do boju.

Brzuch tak długo nie dawał Piotrowi spokoju, że w końcu zdecydował zwrócić się o jedzenie do Mongołów. Kiedy jednak ruszył w tamtą stronę, usłyszał nagle, że ktoś go woła. Trzech Tartarów niesło na płaszczu pana de Tirel. Rycerz był zrąbany okrutnie: jego głowę i pierś pokrywała krew, tak że wydawał się rzeźbą z czerwonego marmuru. Oddech rycerza rozlegał się jak stękanie. Tartarzy położyli go na ziemi w cieniu drzew. Medyk, niski stary Mongoł z rzadkimi, zwisającymi z brody włosami, podszedł do Tirela. Przyglądał się, zachodząc to z prawej, to z lewej strony, potrząskanej klatce piersiowej, rozbitej głowie, odwalonemu ramieniu. Wreszcie wydobył taką samą gałkę, jaką dał Tartarowi z rozprutym brzuchem, i chciał ją włożyć w usta rycerza. Ale de Tirel potrząsnął głową.

— Nie chcę... — sapał. — Co on mi daje? Zapytaj! — rzucił Piotrowi.

Giermek próbował się rozmówić z Mongołem łamanym językiem składającym się ze słów tartarskich, arabskich i greckich. Tamten odpowiadał podobnie:

— Dobry lek... dobry lek... — powtarzał potrząsając brodą. — Nokud zaśnie... Nirwana...

— Nie chcę spać! — zawołał de Tirel. Ból znowu wrócił, bo począł stękać, krzyczeć i zgrzytać zębami. Między spazmami bólu wyrzucał z siebie: — Zasnę, a tymczasem diabli wezmą duszę... Odpędź Tartara... Księdza...

— Nokud zaśnie... Zaśnie do nowych bojów... bahadyr nokud... — przekonywał Mongoł.

— Precz... precz z tym diabłem... — rzeził rycerz — księdza...

Piotr rozejrzał się. Ale na wzgórzu nie zobaczył Wilfryda, którego po-

przednio widział koło książąt armeńskich. Może mnich pobiegł do innych rannych.

— Polecę szukać, panie.

— Nie... — zachrapał de Tirel prężąc się — nie... zaraz umrę... nie ma księdza, to ty... Jesteś chrześcijaninem?

— Tak, panie.

— Słuchaj... — głos czał spomiędzy zalanych krwią warg — spałem na modlitwach porannych...

— Nokud zaśnie — Mongoł stał nad konającym i przekonywał głosem monotonnym. — Będzie walczył i zwyciężał we śnie.

— Odpędź diabła, prędejsz... — Dźwięk podobny krakaniu wydobył się z gardła konającego. — Słuchaj... popełniłem grzech nieczysty — z Saracenką... trzy razy...

Mongoł położył swoją galkę na trawie i odszedł do innych rannych, których zebrała się cała gromada. Rycerz razem z krwią wypluwał swoje grzechy:

— Skrzywdziłem biedaka... chłopca... zabrałem jego pole... i kobietę... wdowę... Przyrzekałem dawać jałmużnę co piątek... i nie dawałem... Zabrałem biskupowi wieś... Zabiłem pachołka... bo mnie zniecierpliwiał... Pyszniłem się... wynosiłem nad drugich...

Słowa rwały się i były coraz cichsze. Z ust spływała krew.

— Czy żałujecie, panie? — zapytał Piotr uklękawszy i pochyliwszy się nad konającym.

— Głupiś... nie jestem... już panem... — ciche słowa bulgotały na powierzchni oddechu — grzesznik... grzesznik... żałuję... jak trzeba... nie piekło... ale... źle służyłem...

De Tirel umarł z oczami wzniesionymi w górę, z ustami otwartymi, w których widać było spiczaste zęby. Piotr pomodliwszy się wstał i zamknął rycerzowi oczy. Zdjął mu z szyi krzyż, otarł go z krwi połą płaszczą i położył na zgniecionej piersi. Głód mu dokuczał coraz bardziej. Krokiem całkiem już zdecydowanym powędrował ku tartarskim ogniskom.

Kitbuka stał na wzgórzu wciąż śledząc walkę w dole. Dzień rozlał się już w pełni po szarobłękitnym niebie zasnutym sinymi obłokami. Słońce czasami przygasalo, czasami paliło. Godziny mijały. Los bitwy wciąż pozo-

stawał w zawieszeniu. Połowa wojsk walczyła ze sobą zażarcie na równinie, ale druga połowa po obu stronach pozostawała nadal w odwodzie.

Ruchem ręki przywołał do siebie braci. Rzucając na nich badawcze spojrzenie i znowu powracając do widoku bitwy, zapytał:

— Cóż myślicie o tym, szoggunowie?

— Saraceni wydają się załęczni — zrobił spostrzeżenie Lewon.
— Nie ośmielają się uderzyć. Jakby na coś czekali.

— Słusznie zauważył to syn mego andy. Cóż by więc należało zrobić?

Lewon namyślał się chwilę.

— Cofnąłbym wojsko, by wywabić Saraceniów z wąwozu.

— A ja — zawołał Toros — wysłałbym resztę naszych, aby przez wzgórze zajechali na tyły wąwozu i wtedy ścisnąłbym Saraceniów z dwóch stron!

W oczach Kitbuki odmalował się zachwyt.

— Tak, tak zawsze walczą Mongołowie! — powiedział gorąco. Patrzył z miłością na chłopca. — Radzisz, szoggunie, jakbyś był Mongołem. Nie inaczej należałoby postąpić. Wydusilibyśmy tadżyków w wąwozie jak ślepe szczenięta. Lecz widzisz, inaczej umówiłem się z twoim ojcem. Chcę, aby on i wasi bracia przybyli do boju — i żeby to oni zwyciężyli. Już powinni tu być. Lecz gdy spóźniają się, tym większa nadzieja, że jadą tu wszyscy.

— Cóż więc rozkażesz, nojonie?

— Zrobię tak, jak doradził szoggun Lewon: cofnę wojsko, by tadżykowie mogli się rozwinąć.

Trzaśnięciem taszura przywołał do siebie pisarza Chińczyka i począł dyktować rozkaz, który tamten zapisywał prędko na płatku jedwabiu.

Obaj giermkowie wyjadali z garnka tłustą kaszę, kiedy rozległy się ze wszystkich stron hałaśliwe mongolskie świstawki. Rozejrzeli się. Jedząc nie zauważyli, że poczet Kitbuki zjechał ze wzgórza i oddalił się. Tartarzy pośpiesznie rozbijali obok koryto. Starcy-medycy gdzieś znikli. Pod tamaryskami pozostało tylko kilka nieruchomych ciał i imponujący ogromem trup rycerza de Tirel.

— Co się dzieje? — Roger wstał i rozglądał się ciekawie na wszystkie strony. — Patrz. Chyba Tartarzy uciekają.

Rzeczywiście, wojownicy mongolscy usiłowali wyrwać się z cizby walczących. Ale odczepienie się od Saraceniów nie przychodziło łatwo: cała

splątana masa koni i ludzi poczęła się toczyć w stronę, gdzie dotychczas bez trosko siedzieli giermkowie.

— Tak wygląda — przyznał Piotr. — Ale jestem pewien, że to tylko jakaś sztuczka. Trzeba jednak stąd umykać.

Był już czas najwyższy, bo ustępująca, lecz odgryzająca się naporowi Arabów jazda Kutłuka wraz z rycerstwem antiocheńskim zbliżała się do wzgórza, na którym niedawno stał Kitbuka. Podczas gdy rycerze cofali się w porządku, część ich służby, która dla łupu popędziła za panami do boju, czując, że w odwrocie nie nadążą za jeźdźcami, porwała się do spiesznej ucieczki. Piotra i Rogera ogarnęła fala spoconych, okrwawionych, zadyszanych ludzi w kolorowych strojach, którzy bieгли popychając się, lecz nie wypuszczając z garści zdobytych płaszczy, mieczy, rzędów końskich, misiuerek. Niektórzy byli tak obładowani bogactwami, że ledwo mogli się poruszać. Ten i ów krzyczał żałośnie do biegnącego swobodniej towarzysza: „Pomóż mi! Już nie mogę!” — „A podzielisz się ze mną?” Brzuchaty, niemłody giermek rycerza de Loges upadł, a przedmioty, które niósł, rozsypały się na piasku „Pomóżcie mi zebrać, bracia!” — stęknął i stojąc na czworakach usiłował pozbierać upuszczone rzeczy. Ale ręce mu drżały, wszystko leciało z powrotem na ziemię. Nagle poczuł, że jest sam, bo inni już odbiegli, więc z dzikim krzykiem porwał się do ucieczki zostawiając wszystko. Biegł dysząc i płacząc jak mały chłopiec, wielkimi łzami, spadającymi niby groch po grubych policzkach.

Bitwa przetoczywszy się odkryła pobojuwisko pełne ciał ludzkich i końskich. Ranni, nad których głowami walczone od wielu godzin tratując i deptając, pokryci kurzem, paleni słońcem, wydawali bolesne jęki. Leżeli tu jedni na drugich — Tartarzy, Saracenowie, Frankowie, wzywając różnymi słowami Istoty, od której jedynie oczekiwali pomocy: „Tengri, Koko Tengri!” „O, Allah!” „Jezu, Jezus Maryja!” Umierając obok siebie nie pamiętali już o wzajemnych urazach i nienawiściach. Trwoga śmierci leżała na gardle każdego z nich jednakowo ciężko. W środku pobojuwiska stał koń. Skręcone siodło wisiało mu pod brzuchem, z szyi tryskała strumykiem krew. Podnosił niespokojnie głowę, rozglądając się cicho rżał. Można było myśleć, że chce obudzić jednego z leżących obok siebie ludzi, podzielić się z nim swoim niepokojem. Przesępował z nogi na nogę. Głowa opadała mu coraz niżej, pysk dotykał prawie ziemi, jakby zwierzę wachało stratowaną trawę. Potem nogi ugięły się. Ciężko padł na przednie kolana, ze stęknięciem obalił się

na bok. Jeszcze się poderwał, przestraszony ogarniającą go słabością, ale znowu opadł. Kilka razy poruszył się niby dogorywająca na trawie ryba.

Człowiek w odzieniu koloru pyłu, podobny do wielkiej ropuchy skakał od ciała do ciała. Miał na szyi zawieszony skórzany wór z wodą. Dopadłszy rannego przytykał szyjkę buklaka do czarnych, spalonych warg, podnosił głowę leżącego. Gdy tamten pił wielkimi hałaśliwymi łykami, człowiek mówił coś szybko. Znał widać języki Arabów, Franków i Tartarów, bo nie robił wyjątków między rannymi. Umierający uspokajali się, gdy poszeptał nad nimi swoje zaklęcia. Niektórzy jednak chcieli, aby został przy nich dłużej. Zwłaszcza Frankowie. Czepiali się jego rąk. „Jeszcze — szeptali — jeszcze nie powiedziałem wszystkiego. Jeszcze mam grzech...” Dla nich ten mały mnich przynoszący wraz z wodą rozgrzeszenie był wybawicielem od trwogi straszniejszej niż agonia. Można było zatonać w rozpacz, gdy się tak leżało w nędzy ciała czekając na śmierć. Spiesznie wysłuchiwał ich grzechów, a potem czołgał się dalej. Zostawiał ich ze słowami: „Módl się teraz... Jezus także umierał w ranach i w męce. Pamiętaj, co powiedział łotrowi z prawej strony.” Zaczynali oddychać lżej. Prawda, myśleli, śmierć jest zawsze taka sama. Przez całe życie bez względu na to, jakie ono było, zbliżali się do tej chwili. Pamięć o wieczności nigdy ich nie opuszczała. Nigdy, nawet grzesząc, nie wątpili w jej nadejście. Zakochani w gestach, oczekiwali tylko, że spotkają ją godniej: nie leżąc w bezsilności, podobni do rozdeptanych robaków, zapoceni, oddający kał. Ale skoro takie jest ciało... Przystawali myśleć o nim. Jego nędza umierała w nich, jak umierały przy słowach mnicha ich grzechy.

Ranny, którego teraz poił wodą ze swego worka, patrzył spokojnie w niebo. Uśmiechnął się do brodatej twarzy franciszkanina pochylonego nad nim.

— Chan zwycięży, szamanie... — powiedział.

— Czy znasz I-sę? — zapytał zakonnik.

Obojętnie potrząsnął głową.

— Chan zwycięży...

— Patrz, to jest I-sa — podsunął mu przed oczy krzyż z rozpiętym na nim Ciałem. — I-sa kocha cię. Wie, żeś dobrze i wiernie służył chanowi... I-sa...

— Chan zwycięży... — szepnął po raz trzeci Tartar. Zamknął oczy. Leżący obok muzułmanin w okrągłym hełmie wyciągnął usta ku wodzie. Kiedy pił, mnich mówił nad nim:

— Czy wierzysz, że gdy umrzesz, Allah zabierze cię do swego rajy?

Tamten uśmiechnął się pomimo osłabienia.

— Tak — potwierdził. Z rozjaśnionym wzrokiem szeptał: — Tam czekają na dżahida ucztą, hurysy, woda ze źródła Es-Selsebil...

— Tam czeka cię sam Allah — rzekł zakonnik — a Allah to Issa. — Ponad bulgoczącym workiem ukazał umierającemu krzyż.

Na twarzy Araba odbiło się zgorzenie.

— Niewierny, kto mówi, że Chrystus, Syn Maryi, jest Bogiem... — wymruczał surę Koranu. — Jesteś bezbożnikiem i wyznawcą wielu bogów. — Znowu uśmiechnął się do swoich myśli: — W rajy są hurysy... Nagroda dżahida jest większa niż pielgrzymka i tego, co wodę pielgrzymowi podaje...

— W rajy czeka cię Allah, który cię kocha.

— Wilfrydzie, bracie Wilfrydzie! — wołał go jakiś głos.

Na rękach i kolanach poczołgał się w tamtą stronę.

— Umieram — jęczał człowiek.

— Tak chciał Bóg. Każdy umiera wtedy, gdy mu umrzeć jest najlepiej.

— Czy senior zatroszczy się o moje dzieci?

— Szamanie, daj wody! — słyszał. Głosy odzywały się ze wszystkich stron. — Wody! Wody! — Miał wrażenie, że słyszy wśród nich także tamte głosy młodości. Ze stosów, spoza drewnianych ogarniętych płomieniami krat dochodził jęk: wody... „Boże — myślał wtedy załamując ręce — oni, którzy pogardzili materią, ciałem, człowiekiem, obrazem Boga w człowieku, wołają teraz o zwyczajną wodę ze źródła czy studni! Wołają o nią umierając dla swej posepnej, z pychy zrodzonej wiary. A jedyne Źródło zdolne zaspokoić ich pragnienie stoi nietknięte.” Teraz także czołgając się między ciałami ze swym coraz bardziej wiotczącym worem myślał: „Tamten Napój powinien płynąć przez całą ziemię jak rzeka. Dlatego złamał kiedyś swój miecz i przyszedł tutaj. Niewiele dokonał. Nic prawie. Ale zrozumiał: nie my działamy. To tylko On, Woda Żywa, niewidzialna niewidzialnie...”

Nagle przywarł do najbliższego ciała, znieruchomiał. Na pobojowisko wbiegła z krzykiem gromada służby z obozu sułtana. Szli zbierać łupy i dobijać rannych wrogów. Wiedział, że jeśli go odkryją, zapłaci za swoją wodę nie tylko życiem. Ale ludzie wołali go. Więc znowu, tylko ostrożniej, począł się czołgać ku umierającemu Saracenowi, by mu powiedzieć, że Allah go kocha.

— Patrz, nojonie, stało się, jak przewidywałem! Saraceni wychodzą z wąwozu! — bardziej jeszcze rozgorączkowany walką, odkąd jego plan został przyjęty, Lewon pokazywał Kitbuca rozlewającą się po równinie jazdę arabską.

Wódz w milczeniu przypatrywał się ruchom przeciwników. Było ich bardzo wielu, więcej, niż można było przypuszczać. Występowali i ustawiali się w szeroką linię, przed którą przebiegali jeźdźcy w pięknych zbrojach: malikowie, emirowie i bekowie. Żółty sztandar sultana łopotał u wylotu wąwozu, pewnie stał tam sam Kutuz, stąd jednak niewidoczny na migotliwym tle przeciągających wojsk. „Zaczyna się właściwa rozprawa” — myślał Kitbuka. Jego spokojny, choć pełen czujności wzrok spoczął na tuku na nowo zatkniętym w miejscu, skąd obecnie zamierzał śledzić bitwę. Chan po raz pierwszy powierzył mu swój znak, gdy przyszło do uderzenia na Bagdad. Nie zawiódł wtedy zaufania Hulagu. Podniósł wzrok w poszarzałe niebo i powiedział w duchu: „O I-sa Tengri, nie mnie daj chwałę, ale pozwól, niech rozszerzę chwałę mego chana!” Gońcy, których wysłał do poszczególnych mingganów, nadlatywali galopem, w biegu zeskakiwali z koni i dopadłszy Chińczyka Yu-pej-wu podawali mu przyniesione wieści, on zaś przekazywał je nojonowi. Wojsko było gotowe niby strzała na naciągniętej cięciwie. Wódz namyślał się teraz, jaki kierunek nadać natarciu. Zdecydował uderzyć klinem, rozbić środek armii sultana, przeciąć ją, zostawić prawe skrzydło Kutlukowi i Bohemundowi, a lewe zepchnąć na drogę do Acre pod kopyta nadciągających Franków. Wskazując kierunek taszurem dyktował swój rozkaz pisarzowi. Gońcy znowu dopadli koni, wypuścili je w cwał biegnąc obok; potem jednym skokiem wślizgali się na siodło.

Nieprzyjacielskie wojska wciąż wysuwały się z wąwozu. Ale doświadczony oko Kitbuki umiało rozróżnić między dobrze zbrojnymi oddziałami sultańskiej jazdy nieruchliwą masę pieszych, która mimo swej liczebności nigdy nie byłaby w stanie wytrzymać tartarskiego natarcia. Teraz na równinę pchała się już sama piechota kordując wyjście z wąwozu. Żaden dobrowolny oddział nie mógł pozostać na jej tyłach. Nie było wątpliwości: miał przed sobą całą armię sultańską. Mrużąc oczy i przechyliwszy głowę obliczał ją. Była olbrzymia, nieporównanie liczniejsza niż jego minggany. Ale nojon znał wartość swoich. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem linię postępujących wolno oddziałów nieprzyjacielskich. Słońce wymknęło się spod wysokiego kopca obłoku i rozpałiło hełmy, tarcze i pancerze saraceńskie. Gdzie

są guny Bahridów Bajbarsa? — zadał sobie pytanie. Nie mógł odnaleźć pośród wojsk czarnych turbanów tych najlepszych żołnierzy sułtana. Lecz jeśli zostali w wąwozie, nie zdołają wziąć udziału w bitwie. Gdy runie natarcie mongolskie, piesza masa do reszty zatka wąwóz.

Pchnął łaciatego konia i podjechał do szeleszczącego włosiem tuku. Wziął go w rękę i szybko podniósł w górę. To był znak. Nad polami Ezedronu rozległo się zawodzenie świstawek. A potem podniósł się krzyk mongolski, niski, przechodzący w coraz wyższe tony, zakończony nieludzkim skowytym. Szara ćma jeźdźców poderwała się do pędu, pozostawiając za sobą rudy kłęb pyłu. Już w galopie Mongołowie wyciągnęli się w długi szpic podobny do rycerskiej kopii. Wobec saraceńskich tłumów małańka tartarska armia wydawała się strzałą lecącą ku olbrzymiemu cielsku. Ale ta strzała miała siłę i niosła śmierć. Ogłuszające wycie Tartarów było potężniejsze niż grzmot bębnow i chrapliwy dźwięk trąb arabskich. Zmiatając przed sobą na drodze pojedynczych jeźdźców saraceńskich, którzy wysforowali się przed swoich, Mongołowie dolatywali już do głównych sił przeciwnika. Jeszcze moment, a czoło atakującej kolumny wbiło się w szeregi sułtańskich. Błysk setek wzniesionych do uderzenia mieczów był jak iskra przelatująca nad polem. Potem buchnął słup pyłu. Krzyk, trzask, wycie, oszałamiający hałas starcia doleciał z opóźnieniem do uszu stojących na wzgórzu. Trójkąt jazdy mongolskiej rozsadził niby klin bryłę mahometan i zanurzył się w niej aż do podstawy. Wtedy wszystko zwarło się ze sobą i splątało. Tysiące ludzi i koni stały się jednym miotającym się, potwornym kłębem.

Pachołcy, giermkowie i kucharze należący do wojsk księcia Antiochii stali przed obozem i przysłoniwszy oczy dłońmi przyglądali się bitwie. Z wozów zeszyły także kobiety, które mimo narzekania duchowieństwa wlokły się za rycerzami pod pozorem służenia praniem i umiejętnością iskania. Ich widok obudził śmiechy. Trącano je łokciami, usiłowano szczypać w pośladki. Dziewczyny odpowiadały na to złym jazgotem. Nie miały ochoty na gżenie się z pachólkami, gdy wiedziały, że czekają je dzisiaj twarde uściski rycerzy. Tak było zawsze, że z bitwy wracali pokrwawieni, brudni, spoceni, ale pełni wigoru do jadła, picia i pieścizot. Przynosili łupy, które w rozrzutnej szczodroblowości skłonni byli ofiarowywać za byle co. Nie zważając na wyśmiewających się mężczyzn, rozpoczęły toaletę. Wytrząsały koszule i szarawary, czesały jedna drugą. Potem siedząc w kukki z lustrem na kolanach malowały sobie twarze. Los bitwy nie obchodził je wcale. Ostatecznie, sądziły, ktokolwiek zwycięży, przyniesie im to samo: pieścizoty i łupy.

Brama zamknęła się za nim z trzaskiem; podniósł się w strzemionach i rozejrzał. Słońce stało nad falistą linią wzgórz galilejskich głaszcząc czarnozielony szpic Karmelu i białe mury Kaiffy w głębi zatoki. Morze szkliło się niby polewa na garnku. Nie widział stąd obozu saraceńskiego, zakrywało go wzgórze Tell Fukhar. Ale nie potrzebował w tamtą stronę patrzeć: wąż jeźdźców wśliznął się już w dolinę i tylko jego ogon widoczny był jeszcze na wybrzeżu jeziora. Armia Bajbarsa była w drodze do Fula. Przycisnął ostrogi do boków wierzchowca, a biały ogier, kupiony niegdyś u Brochamiosa, z zapalem rzucił się w galop. Hettum pamiętał, że koń jest zmęczony. Nie oszczędzał go jednak. W kilka chwil stał już nad brzegiem jeziora. Obóz był zwinięty, tylko ślady ognisk, wydeptana trawa i żółte kupy nawozu mówiły, że stał tu w nocy. Ogon srebrnobiałego węża zsuwał się tymczasem do wadi u stóp Tell Kardana, czoło kolumny zakreślało za rozłożyste zbocze Dżebel Kharruba. Znowu popędził konia. Galopując cały czas prześcignąłby Bajbarsa. Ale wiedział, że nie może tego wymagać od wierzchowca, a poza tym droga była zatarasowana przez armię saraceńską. Trzeba było wydstać się pierwszym z brzegu wadi na wyżynę galilejską, a potem nakładając drogi, wyprzedzić tamtych. Zamiar taki wymagał nie lada wysiłku. Hettum odwrócił się ku giermkom i uważnym spojrzeniem otaksował ich konie. Nie miały na pewno zalet siwego ogiera, ich zmęczenie było widoczne. Mimo to wybrał lepiej wyglądającego. Gestem kazał chłopakowi zsiąść.

— Daj mi swego konia — powiedział. — Wezmę go na zmianę. Wy obaj wracajcie do miasta.

— Pozwólcie, tagawor — prosili jeden przez drugiego. — Weźcie mnie. Nie jedźcie sami.

Uśmiechnął się melancholijnie. Byli wierni i oddani. Małomówny i zamknięty w sobie, doceniał każdy przyjazny odruch. Przywołał ich do siebie i każdego z nich pocałował w czoło. Ale rozkaz powtórzył:

— Wracajcie! Muszę jechać bardzo prędko.

W lewą rękę wziął wodze idącego luzem konia i rzucił się galopem w zacięzioną gardziel wadi. Nie zważał na kamienie, które chrzęściły i przetaczały się pod kopytami wierzchowców, na ostre gałęzie bijące go po twarzy. Raz po raz uderzał konia ostrogami, a za każdym razem siwy ogier zrywał się do ostrzejszego biegu. Ale zaraz słabł. Po jego czarnej skórze pod siwą sierścią przebiegały dreszcze. Galop stawał się ociężały. Koń począł kuleć.

Na szczęście był to tylko kamień, który utkwiał w podkowie. Hettum musiał zsiąść i wybić kamień głowicą noża. Wyjechał wreszcie z wąwozu i przesiadł się na konia giermka. Był to twardy kasztan, na którego ukłucia ostróg prawie nie działały. Dopiero smagnięty po zadzie ułamaną gałęzią ruszył żywiej. Ale potykał się. Siwek galopował obok trzymając swój różowy nos tuż przy kolanie Hettuma. Na jego bokach, w miejscu dotknięcia ostróg widać było brunatnoczerwone koliste ślady krwi.

Hettum natrafiwszy na drogę do Seforis galopował nią, przesiadając się kilkakrotnie z konia na konia, aż do miejsca, gdzie droga skręcała na wschód. Nie spotkał nikogo. Osady przydrożne, które mijał, były jak wymarłe. Także nie widać było ludzi w polu. Tylko jakiś pies zaszczekał groźnie na jego widok, lecz zaraz uciekł z podkulonym ogonem i tchórzliwym jazgotem. W pewnej chwili zobaczył dwa wielkie cienie, które przemknęły przez drogę. Podniósł wzrok — to leciała na południe para sępów. „Walka musiała się już zacząć” — pomyślał.

Z drogi zjechał prosto w pole kierując się pod blask słońca. Fula, sądził, powinna była leżeć tuż przed nim, za szeregiem grzbietów oddzielonych od siebie głębokimi jarami. Konie stękając i chrapiąc wdzierały się na gliniasty stok, a potem po drugiej stronie zsuwały się w dół na zadach. Ciągłe nie było nikogo, kto by mógł mu powiedzieć, czy dobrze jedzie. Kasztan giermka stawał się coraz oporniejszy, musiał go smagać ze wszystkich sił przed każdym wzniesieniem. Ciągłe z galopu przechodził w trzęsący kłus. Oba konie były zgrzane, plamy potu przechodzące w zetknięciu z pasami od siodła w białą pianę rozlewały się szeroko na bokach i szyi. Głowy trzymały coraz niżej.

Wdzierając się na trzeci już czy czwarty z kolei grzbiet od chwili opuszczenia drogi do Seforis poczuł niepokój, czy nie zbłądził. Ale znalazłszy się na szczycie, mógł od razu stwierdzić, że jechał dobrze: u stóp wzgórza płynął Kison, a wzdłuż niego ciągnęła się biała droga. Zobaczył na niej kolumnę jezdnych. Jej czoło miał wprost pod nogami. Poznał tamtych. Gwałtownie zdarł konia, aby im zniknąć z oczu. Lecz krzyki, jakie rozległy się w dole, ostrzegły go, że sylwetka jego na tle nieba została dostrzeżona. Gwałtownymi uderzeniami gałęzi zmusił kasztana do szalonego biegu. Cwałował wzdłuż wyniosłości. Siwek nie utrzymywał się na równi z koniem giermka, zostawał w tyle. Kiedy i jego uderzył, ogier zachrapał jakby przerażony, przyspieszył, ale stękał przy każdym skoku. Odjechawszy kilkaset kroków pozwolił koniom zwolnić i zbliżył się do grzbietu. Spojrzał w dół.

Kolumna została w tyle, lecz drogą pędziło równoległe z nim kilkunastu jeźdźców, którzy patrzyli w górę i krzyczeli teraz na jego widok. Znowu cofnął konie. Spojrzawszy jednak za siebie przekonał się, że inna gromada Saracenów wydobyła się tymczasem z wąwozu na grzbiet i pędzi jego śladem.

Na nowo począł bić gałęzią po zadach koni. Gnał dalej równoległe do drogi myśląc z przerażeniem, że w ten sposób nie wymknie się tamtym. Lecz zawrócić na północ — znaczyło zrezygnować z uprzedzenia Sempada i Kitbuki o nadchodzącym z boku nieprzyjacielu. Konie pędziły stękając boleśnie. Kasztan potykał się ciągle, trzeba go było trzymać krótko przy pysku i co chwilę podrywać. Z dołu słyszał głosy — tamci ścigali go wytrwale. Obejrzawszy się widział, jak jeźdźcy, którzy wydobyli się na grzbiet, pędzą za nim w trop. Ich wypoczęte konie zbliżały się coraz bardziej. Kasztan potknął się znowu tak mocno, że aż upadł na kolana. Usłyszał za sobą okrzyk radości. Ale zdołał postawić na nogi konia i rzucić go do dalszego biegu. W kasztanie stukały wnętrzości jak kamień w grzechotce. Nad głową przeleciała mu strzała, druga świsnęła koło ucha. Koń potknął się znowu.

Ustawał. Nawet kłując go nożem nie mógł zeń wydobyć szybszego galopu. Jeszcze raz się potknął uderzając bezwładnie pyskiem o ziemię. Głosy goniących były coraz bliżej. Strzały przelatywały. Jedna wbiła się w wysoki łęk siodła, inna zraniła konia w ucho. Hettum powziął decyzję: wyrzucił stopy ze strzemion, wsparł się mocno na przednim łęku. Siwy ogier, wiedział, był szlachetnym zwierzęciem gotowym biec do końca. Może doniesie go do wojsk armeńskich, które powinny przecież być już gdzieś blisko? Pode-rwał się, przerzucił nogi na jedną stronę siodła, a potem spadł na siodło galopującego obok siwka. Odrzucił wodze kasztana. Koń został w tyle. Przez chwilę wydało mu się, że już wszystko dobrze: ogier czując na sobie jeźdźca gnał ile sił, bez popędzania. Sam czuł niebezpieczeństwo. Ale jego galop stawał się wolniejszy. Ścigający ciągle się zbliżali, ich strzały przelatywały koło głowy Hettuma. Nie było łatwo pędzić po wąskim grzbiecie. Nieoczekiwanie otwarła się przed uciekającym poprzeczna rozpadlina. Koń widząc ją — ocieczał. Jeździec zrozumiał, że zwierzę lęka się skoku. Ale goniący byli już o kilka kroków. Ich konie mogły bać się skoku, a za rozpadliną grzbiet pokryty był krzewami. Mocniej wcisnął się w siodło, zanurzył ostrogi w dziury na bokach konia. Przez zaciśnięte zęby krzyknął na niego — krzyknął imieniem dziewczyny: Zoe! Poczul, że zwierzę zbiera nogi. Stęknął i sko-czył. Na chwilę zawiśli w powietrzu. Szczerba w grzbiecie obnażająca ka-

mienne żebra była szersza, niż się wydawało w pierwszej chwili. Spadli na małą płaszczyznę położoną niżej niż przeciwległa krawędź rozpadliny. Łeb koński uderzył o ziemię między przednimi kopytami. Hettum poczuł, że wylatuje z siodła. Przetaczając się przez głowę końską słyszał zgrzyt kopyt na krawędzi skalnej. Gdzieś za nim kamienie posypały się w dół. Błyskawicznie poderwał się na nogi. Koń był już połową ciała w rozpadlinie. Przednie kopyta czepiały się rozpaczliwie płaszczyzny, wygrzebując spod czarnej gliny żwir. Z różowych chrapów spływała tasiemka krwi. Hettum zobaczył utkwione w sobie wypukłe oczy zwierzęcia. Nie było w nich strachu tylko wierność. Goniący z krzykiem osadzili konie na drugim brzegu. Nie czekał, aż siwy ogier stoczy się po osypisku. Skoczył między krzewy. Biegł na ślepo roztrzając sobą gałęzie, biegł długo. Kiedy wreszcie padł bez sił i tchu, nie słyszał już głosów ścigających ani tupotu ich koni. Krew waliła w skroniach, w gardle była mdląca czczość. Ciało pożałowało w tej chwili dwóch rzeczy: kawałka chleba i czyjejs czułości. Ale leżał twarzą w kępie wrzosów, niezdolny nawet do zmiany położenia. Zdawało mu się, że pragnie jeszcze jednego — chciał płakać. Chciał — ale nie mógł. Była w nim żałość wciąż głębsza, niezdolna do przelania się przez brzegi. Ustami przytulonymi do zielska powiedział: „Czemuś... czemuś mnie opuścił?” Poprzez łomot krwi w skroniach niby echo wróciły do niego te słowa, jakby je powiedział ktoś inny...

10

— Patrz jak ten goniec pędzi do Kitbuki.

— Widzę. Aż kobyła jedzie brzuchem po ziemi.

— Coś ważnego chyba, Piotrze?

— A no, tak wygląda.

— Eczyge! Tam... — Żołnierz już z daleka krzyczał pokazując na prawe skrzydło toczącej się bitwy. Ale Kitbuka pogardliwie strzepnął taszurem i odwrócił się od niezdiscyplinowanego gońca. Ten chwilę stał niezdecydowany, potem pobiegł wyłożyć sprawę Chińczykowi. Na twarzy pisarza nie odbiło się żadne uczucie. Wysłuchawszy cierpliwie żołnierza i zganiwszy go za zwracanie się bezpośrednio do wodza, z powagą i wolno podszedł do Kitbuki.

— Wojsko jakieś nadciąga od zachodu — nojon podzielił się przyniesioną wieścią z Lewonem i Torosem.

— Ojciec! Templariusze! Stryj! — zawołali. Skinął oczami, uśmiechając się.

— Jeżeli tak chce Tengri...

Walka toczyła się od wielu już godzin, zawzięta i wyczerpująca. Oba wojska, jedno dzięki swej liczebności, drugie dzięki męstwu i umiejętności bojowej, tkwiły w zwarciu nie ustępując na krok. Walczono na coraz wyższym stosie trupów, w ostatecznym wyczerpaniu, które zamieniło się w ślepą zawziętość. Może przed godziną Kitbuka powiedział do Torosa:

— Siły nasze i tadżyków są u kresu. Teraz zmagają się nie ciała, ale duchy. Nie trzeba nawet, aby wasi bracia z Acre uderzyli. Wystarczy, że przyjdą.

Obecnie wszyscy trzej zwrócili głowy w stronę, z której nadchodziła pomoc. Daleko z boku wznosił się słup różowego pyłu, prześwietlony blaskiem zniżającego się słońca. Ciężki dzień walki przechylił się już na drugą stronę. Hałas bitwy ścichł, ludzie rąbali się bez krzyku, z zaciętymi zębami, z oczami zalanymi potem.

„Więc przybyli? — myślał Toros. — O Boże, jak łatwo dajesz, o co Cię prosimy!” Ulegając nagłemu pragnieniu zsunął rękawicę i spojrzał na swą dłoń. Białe cętki były na niej nadal widoczne. Strząsnął z siebie pokusę zawodu. To właśnie one, to właśnie przyjęta sercem choroba zadecydowała. Nie miecz zwyciężył. Widział już wszystko, widział siebie z ustami przy kamiennym łożu, na którym kiedyś przez trzy noce leżał jego Pan, a potem odchodzącego w szarej szacie, w worku na głowie, z drewnianą miseczką u pasa, z kołatką w rękę. Właśnie tak. On, książę, mógłby pozostać w pałacu pod opieką lazarystów. Ale nie zostanie. Piękne są skały Parcerpert, po których spływa słońce niby miód po pnium. Piękne muszą być dni, gdy choroba pożera ciało, a ono opada jak zbutwiały łachman skrywający ducha. Pochylił się i prędko pocałował własną dłoń. Błogosławione znaki! Błogosławiona choroba, która unicestwia wszelkie wątpliwości. „O Boże — mówię znowu zmrzywszy oczy, zacisnąwszy dłonie na przednim łęku — o to Cię tylko proszę: daj mi Twoją służbę tak, by ona nie była ciężka, twarda, niewdzięczna, nie ukazująca mi Ciebie. Nie daj mi nic z Twoich radości, z Twoich słodyczy. Potrzebny mi jest tylko Twój rozkaz. Reszty się wyrzekam. Nawet jeśli tego chcesz, dotknięcia Twego grobu, ucałowania posadzki

w Twoim wieczniku, kamienia, na którym odbiły się Twoje stopy, gdy odchodziłeś... wszystkiego...”

Modlitwę przerwał mu krzyk ogromny, rozlewający się niby fala nad polem bitwy. Otworzył oczy. Na prawym skrzydle powstał zgiełk, jakby nowe siły wstąpiły w śmiertelnie wyczerpanych ludzi. Wojsko, które nadeszło, uderzyło. Linia żołnierzy mongolskich zasłaniających pole walki nagle ustąpiła. W wyłomie ukazała się masa czarnych turbanów pod zygzakami szabel.

— Jezus Maryja!

— Święty Hilary!

Giermkowie i służba biegli w stronę obozu antiocheńskiego. Panowało tam nieludzkie zamieszanie. Ludzie chwyтали dobytek, wskakiwali na konie i na muły, zderzali się ze sobą, popychali wzajemnie, wyrwali sobie przedmioty, walczyli z sobą. Jeden z kucharzy z długim nożem w ręku dopadł do namiotu księcia. Gwałtownym ruchem przeciął materię i wpadł do środka. Strażnik zagroził mu drogę do skrzyń książęcych. Ale kucharz, na którego pchali się już inni, odepchnął go brutalnie.

— Głupcze! — wrzasnął. — Bierz i ty! Wolisz, żeby to wszystko zabrali Saracenowie?

Kamienna twarz Kitbuki pozostała niewzruszona. Spokojnym gestem przywołał Chińczyka, wydał mu krótki rozkaz. Pisarz również pozostał opanowany i spokojny. Swym zwykłym dostojnym krokiem zeszedł z pagórka, dał znak dłonią Barakowi, dowódcy kesziku nojona. Ten włożył w usta kościany gwizdek. Dwa dżaguny, ostatni odwód Kitbuki, wydały okrzyk wojenny.

Tymczasem wódz kazał sobie podać tuk. Trzymając go w lewej ręce, prawą wyciągnął spod kolana swą długą, cienką i zakrzywioną szablę. Na ten widok Yu-pej-wu skrzyżował ręce na piersiach i schyliwszy głowę postąpił krok naprzód.

— Czy pozwolisz — rzekł — powiedzieć coś swemu głupiemu i nieużytecznemu słudze? Tengri dał zwycięstwo tadżykom. Zginiesz!

— Trzeba zginąć... — odpowiedział Kitbuka gładząc dłonią tuk. — Tuk chana nie schodzi z pola nigdy!

— A arkağud...? — zapytał ciszej Chińczyk.

Zamiast odpowiedzi podniósł wzrok w górę. Łaciaty konik zarżał i wspiął

się. Podrzucił łbem. Spod spadającej na oczy grzywy błyskały złe, małe oczy.

— Słuchaj, setsen — zawołał Kitbuka — rozkazuję ci: chroń się i wracaj do chana. Powiedz mu: nie martw się, eczige, stratą twoich żołnierzy. Niech ci się wydaje, że tego roku twoi ludzie nie zapłodnili swoich żon, a twoje ogiery nie pokryły klaczy. Żyj szczęśliwie!

— Nojonie! — Lewon i Toros podjechali do wodza. — Ruszamy z tobą!

— Synu mego andy i synu mego serca, zostańcie... Nie trzeba waszej śmierci...

— Musimy iść! Pozwól...

— Weź nas!

— Więc chodźcie! Tengri i chan!

— Grób Święty i Lampron!

Wyjąc niby stado biegnących nocą wilków garstka Mongołów z Kitbuką, Torosem i Lewonem na czele ruszyła w cwał przeciw Mamelukom Bajbarsa.

— Rogerze! Rogerze!

Szkarłatny zmierzch czepiał się gałęzi jak pajęczyna. Bitwa została za nim. Piotr biegł drogą, co chwilę oglądając się z przerażeniem za siebie. Ale jeźdźcy, którzy go mijali, byli to albo Tartarzy, albo ludzie z antiocheńskiego wojska. Wołał za nimi, by go wzięli na konia, oni jednak przelatywali jak szaleni nie widząc go. Każdy z nich chciał być jak najdalej od pola klęski. W pewnej chwili posłyszał za sobą tupot wielu kopyt. Uskoczył w bok między ciernie, żeby nie zostać stratowany. Drogą pędził poczet Bohemunda. Książę był bez hełmu, z twarzą czarną od pyłu, oblepioną potem, z wytreszczonymi oczami. W jego rozłamanej tarczy, w misiurce, w kapie konia tkwiły jeszcze strzały. Otaczający go rycerze mieli również żaloszny wygląd. Ich poszarpane pióropusze zwisały z pogiętych hełmów. Jeden z nich w galopie coś krzyczał do księcia. Uszu Piotra doszło tylko kilka oderwanych słów: „...z Mongołami... kara Boża...”

— Poczekajcie! — wrzasnęła wyskakując spomiędzy krzewów.

— Zabierzcie mnie!

Ale oni nie zatrzymali się — pognali ile sił w koniach.

CZĘŚĆ PIĄTA

CIBUS VIATORUM

1

Więc mi nie wybaczył...

Niewidzialna w ciemności gałąź uderzyła go po oczach. Dalekie wycie wtórowało zawodzeniu wiatru wysoko w czubach drzew. Jeszcze trochę wyżej leżała noc podobna płaskiemu wieku trumny. Szedł ciężko, coraz ciężej, z nieustępliwym jednak postanowieniem, że musi dojść i zobaczyć. Był jak ktoś, kto boi się zajrzeć do grobu, a jednak mocuje się z kamieniem nagrobnym. Ciemność była nieprzebita. Nie wiedział, kiedy mu zagrodzą drogę ostre ciernie lub twarde sprężyste gałęzie. Póki był dzień, kierował się według słońca, potem jakiś czas widocznymi, porozganianymi po niebie gwiazdami. Odkąd jednak gwiazdy zmył mrok, jedynym drogowskazem był skowyt szakali.

Czuł głód i pragnienie, a jednocześnie jakby okrutną radość, że nie może ich zaspokoić. Przyjąłby w tej chwili każdy ból. Nie było cierpienia, którego by nie pragnął. Gdy potykał się na korzeniach i upadał na kolana, przyjmował bolesne zetknięcie z ziemią jak pocałunek. Potem dźwigał się na nogi i brnął dalej w noc.

„A już sądziłem, że mi wybaczył...”

Ten głos rozlegał się w nim jak dzwon kołysany wiatrem. Każde jego odezwanie wydawało się czymś nowym, na nowo wszystko odkrywającym. Spośród uczuć, jakie się w nim kłębiły, zdziwienie wydawało mu się uczuciem najmocniejszym. Dlaczego? Dlaczego? Rozumowanie zbudowane i umocnione w ciągu lat sypało się w gruzy. Był innym człowiekiem, a przecie spotkał go taki sam los. Nie przypominał w niczym Ludwika. Tamten był świętym... W stosunku do siebie nie miał żadnych złudzeń. Nigdy się nie czuł nikim lepszym, jedynie grzesznikiem, który musi odrabiać swój grzech. Prawda — łudził się, że Bóg mu wybaczył. Ale to nie ze względu na niego. Ze względu na sprawę. Skoro jemu ją oddał w ręce — to był znak...

„Jeżeli uśmiechnie się, to znaczy, że mnie kocha”. — Tak zdarzało mu się nieraz myśleć, gdy był chłopcem. Także potem — wobec Zabel. „Jeśli wielki chan nie zażąda hołdu — znaczy to, że mogę ich wezwać.” Całe jego życie było systemem takich znaków i odpowiedzi. Ale system uległ skruszeniu. Wszystko od samego początku mogło być teraz fałszem. Nie będzie lepszym królem niż Filip, nie zdobędzie miłości Zabel, nie posiada szans, by ocalić Syrię. Bóg, przyszło mu do głowy, decyduje sam o wszystkim i odsuwa z pogardą ludzi usiłujących Go wyręczyć.

Jakiś drobny zwierz wyskoczył mu spod nóg i nurknął w gąszcz krzewów. Szelest łąp słyszał długo, jakby stworzenie nie uciekało, ale gotowało się do obrony między gałęziami. Powłókł się dalej. Nawet nie pamiętał o tym, że jest bezbronny, że może napotkać coś większego niż polnego liska lub kunę odprawiającą nocne łowy. Szedł wciąż powracając do swej myśli, niby wół pociągowy do swego jarzma:

„To dlatego, że mi nie wybaczył...”

Przesunął dłonią po brodzie i po policzkach. Skaleczona uderzeniem gałęzi skóra paliła, ostry, niegolony od dwóch dni zarost wydawał chrzęst. Rzeczywiście... Przecież zrobił wszystko, co potrafił. Przypuszczenie, że Bóg mógłby nie chcieć działania człowieka, wydawało mu się, po krótkiej rozwadze, czymś niedopuszczalnie heretyckim. „Bóg żąda — myślał — aby mu służono, aby Go wyręczano. Gdy człowiek działa, zawsze, czy chce, czy nie chce, współpracuje z Bogiem. Gesta Dei... Nawet służąc Mu, posługujemy się Nim!”

Mocniejszy podmuch wiatru uderzył go w plecy. Począł iść prędzej poddany w tył i jak rozpięty żagiel — tym silniej popychany, im mocniej stawiał opór. Nogi wbijały się silnie piętami w syпки grunt. Teren obniżał się. Żadne drzewo ani krzak nie rosło teraz na drodze. Natomiast w pewnej chwili poczuł pod stopami twardą ziemię i usłyszał cichy bełkot płynącego strumienia. Zatrzymał się, począł przed sobą macać wyciągniętymi rękami. Dźwięk słyhać było wyraźniej, wilgotny powiew dotknął jego nozdrzy. Szakał zawył gdzieś bardzo blisko, a potem słyhać było jak warczy groźnie. Ręce Hettuma natrafiły na pęk roślin. Rozgarnął je. Czuł teraz wyraźnie zapach wody. Potok płynął środkiem szerokiego łożyska. Stąpając po oślizgłych kamieniach, niespodziewanie i z pluskiem wszedł w wodę. Nie cofnął się, ale pochyliwszy się zaczerpnął jej w złożone dłonie. Była ciepła, mdła, miękka od gliny. Wypił kilka łyków, potem obmył sobie twarz. Ślad uderzenia znowu go zaczął piec. Dotknięciem palców odkrył, że ma obolałą gałkę

oczna. Wyszedł z wody, namacał kawałek suchego terenu. Usiadł ciężko. Ale zaraz poczuł ucisk kółek misiurkowych spodni. Odpiął rzemienie i pół leżąc na kamieniach począł je ściągać. Koszulkę od misiurki zrzucił jeszcze wcześniej w drodze. Uwolniwszy się od reszty zbroi wyciągnął się na ziemi.

Ciało miał jak zbite. Obliczył zrobioną drogę: z Nazaretu do Acre, całą noc biegania po mieście, dobijanie się do drzwi tych, którzy nie żyli, lub którzy odjechali, ucieczka przed Saracenami, błędzenie wśród wertepów. Był głodny: nie jadł nic od wieczora w namiocie Kitbuki. Nie spał dwie noce.

Wycie szakali przeszło w rozdzierający spazm, przypominający miaukot wielu kocic w marcową noc. Wydawało się, że zwierzęta są tuż obok, może przywlekły swój łup do wodopoju. Woda obok Hettuma płynęła z cichym uspokajającym szemraniem. Leżąc na kamieniach słyszał, jak ktoś — chyba nie on sam? — powiedział twardo:

„Nie, nie przebaczył...”

To była jedynie zrozumiała odpowiedź. Dzieła Pańskie musimy pełnić, lecz można być ich pełnienia niegodnym. Jak Oza... Zawsze go przerażała ta biblijna historia. Podtrzymał lejącą na ziemię Arkę — i trafił go grom. „Tak, Boże, rozumiem — myślał trzymając twarz ukrytą w dłoniach — nie wystarczy chcieć. Trzeba, abyś Ty także chciał naszej służby. Rzecz jasna: powinienem był się zrzec wszystkiego, co dla mnie zagrabił mój ojciec. Lecz wtedy — zbuntowało się w nim poczucie rzeczywistości — nie dokonałbym był żadnej próby. Czyż więc próba była zła? A może oni naprawdę są wysłannikami piekła? Boże — jęknął — teraz wydaje mi się, że nie wiem już nic... Nic nie rozumiem. Mieliby więc mieć rację Julian i Ibelinowie? — zapytał siebie z przerażeniem. Boże, Boże — toczył niby targ wobec milczącego i jakby nieobecnego Boga — a jednak patriarcha mówił. I Wilfryd. A papież napisał list. I Mongka obiecał. Dlaczegooby nie mieli dotrzymać swoich obietnic? A jeśli nawet — czyż nie jest naszym obowiązkiem ufać? Chrześcijanin powinien zawsze ufać, jak Chrystus zaufał Judaszowi. Choćby były wszelkie pozory zdrady. Cóż za sztuka wyznawać Boga wśród tych, których się jest pewny? Kościół to nie spokojna ojczyzna odcięta górami od sąsiadów. Siedzieć czy klęczeć w kościele — za mało! Trzeba wstać, wziąć go na barki jak św. Krzysztof i nieść!”

Krzewy zaszleściły; oderwał dłonie od twarzy. Przez ten czas, kiedy rozmyślał, przestrzeń przestała być workiem nabitym czernią. Niby po odsłonięciu się zasłony wystąpiły plamy drzew, jasny pas wadi, bliskie, prawie

dotykalne ręką grzbiety wzgórz. Znowu posłyszał mocniejszy szelest. Szary pas zarośli falował. Na jego tle pojawił się ciemny kształt, który zastygł w bezruchu. Można było myśleć, że to uschłe drzewo podmyte jesiennym rozlewem. Ale Hettum miał poczucie, że czarnej sylwetki nie było przedtem. Czekał, co się stanie. Nie spuszczał wzroku z rzekomego pnia. Nagle ostry znajomy zapach uderzył jego nozdrza. Choćby żył tysiąc lat, nie zdołałby go już zapomnieć Zapytał półgłosem po mongolsku:

— Kto tutaj?

Wypowiedziane słowa były jak zaklęcia wróżki: ożywiły drzewo. Ciemna postać poruszyła się, podeszła kocim krokiem do Hettuma niosąc ze sobą swoją woń. Człowiek przykucnął, zająknął Hettumowi w twarz.

— Szoggun Hettum... — powiedział.

— To ja. Kto jesteś?

— Dżaununojon Nikpaj...

— Co tu robisz?

Tamten stał przed nim mały, nieruchomy, znowu przypominający uschłe drzewo.

— Czy szoggun nic nie wie? — zapytał.

— Mów wszystko.

— Nieszczęście! — jęknął cicho, ale tak przejmująco, że jego jęk wydał się krzykiem. — Nieszczęście! — Uniósł ręce nad głowę, niby szaman wykrzykujący straszną wieszczbę. — Tuk chana dostał się w ręce tadżyków... Biada! Biada!

Hettum zacisnął zęby. Ostro przerwał zawodzenie Tartara.

— Co z nojonem Kitbuką?

— Odszedł w kraj duchów. Biada! Biada! — setnik jęczał znowu poruszając rękami. — Walczył jak ranny tygrys, tadżykowie uciekali przed nim w popłochu. Jego szabla błyskała nad głową niby piorun w górach, a jego agfa gryzł i kopał nieprzyjaciół, że wydawał się kitajskim smokiem. Tak walczył wielki bahadyr za swego chana. Lecz oni, nędzni mordercy swoich władców, otoczyli go wielkim tłumem. Upadł, a z nim upadł tuk... Wtedy twoi synowie, szoggunie...

Nie drgnął. Najgorsze wieści nie mogły już niczym dopełnić jego nędzy. Synowie? Był pewny, że nie zobaczy żadnego. Wydawało mu się nieomal dziwne, że jeszcze słyszy o ich czynach — jakby na moment wrócili do ży-

cia, by tym boleśniej po raz drugi umrzeć. Wolały już zostawić ich śmierci. Lecz mimo to słuchał bez ruchu słów Nikpaja. Zmusił się, by wypić jeszcze i ten łyk.

— Twój synowie — setnik stał przed nim, kudłaty śmierzdzący trubadur, wyśpiewujący walkę Tristana z potworem z Weisefort — zaczęli wołać: „Spieszcie na ratunek nojona!” Ale Mongołowie uciekli. Gdy tuk chana upadł, nie może być zwycięstwa. Zgrzeszyliśmy i Sulde nas opuścił. Po cóż bić się jeszcze? Biada! Biada nam, żeśmy zawiedli, chana!

„Mnie On także nic przebaczył...” Z odrobiną zdumienia uświadomił sobie, że jego myśli biegną tą samą drogą co myśli Tartara. Bóg ani chan nie wyszli zwyciężeni z tej klęski. Człowiek dalej poruszał rękami, jakby strzeżywał coś z dłoni. Dzień rósł z każdą chwilą. Zawodzenie szakali cichło. Przed jego oczami stanął Ludwik, taki, jakim go widział wysiadającego z genuńskiego okrętu, zeszczipały, z żółtą twarzą, z oczami podsiniawymi łzami, w zielonej sukni podarowanej przez sułtana, niby w płaszczu Antypasa.

— Wtedy twój synowie, szogunie — ciągnął Mongoł — z wielkim krzykiem uderzyli sami na tych, co tratowali wielkiego nojona. I oni walczyli jak dwa tygrysy, a ich konie wspinały się i biły kopytami po koniach przeciwników. Ale tadżykowie naciskali tłumem.

— Dość! — przerwał. Musiał wstać i chodzić po usuwających się spod nóg kamieniach. Oddychał prędko. Za mało było mu powietrza w chłodzie świtu. — Wiem już — mruknął. Wszystko było tak jak w rycerskiej pieśni truweru: góra trupów w wąwozie ronsewalskim, bohaterstwo niby krzyk rogu. Tylko on pozostał na drugim brzegu. Sam. Jak zawsze... Kto ginie, nie potrzebuje myśleć, co z nim ginie. Ale ci, którzy przeżyją, znają cenę klęski.

— Gdzie są żołnierze mongolscy? — zapytał zatrzymawszy się.

— Leżą tam — wskazał ręką kierunek, gdzie już całkiem ucichło wycie szakali, ale gdzie teraz leciały zataczając się na swoich nieruchomych skrzydłach sępy — albo uciekli...

— A ty czemuś nie uciekłeś?

Zamiast odpowiedzi wskazał na tłumek, który pozostawił obok trzciny.

Pieśń skończyła się. Pozostało życie. Z poczuciem pogardy dla samego siebie usiadł na kamieniu. Odkrył, że głód skręca mu wnętrzności, a mdląca czczość podchodzi aż pod gardło.

— Daj mi coś zjeść.

Mongoł spiesznie skoczył do swego tobołka. Przyniósł kawał wędzonego mięsa i opiekaną rzepę. Pierwszy łyk przekonał Hettuma, że był bliski omdlenia z głodu. Mięso, które żuł, było jak oliwa wylewana na morze wzburzonych uczuć. „Umierający — myślał z rozpaczą — mają bohaterstwo; żyjący — jadło...”

Słońce pojawiło się nagle. Wytrysnęło spoza wzgórz smugami blasku. Cos zaśniło w rękach Mongoła. Hettum spostrzegł piękny wykładany mozaiką krzyż.

— Jesteś chrześcijaninem? — zapytał.

— Nie — zaprzeczył Nikpaj.

Wyrwał mu z ręki krzyż.

— Zrabowałeś?

— Nie, nie — bronił się. — Szoggun Bohemund pozwolił wziąć. To było dla twego syna, szogguna Torosa. Nikpaj chciał mu dać piękny podarek.

Dla Torosa? Ręce Hettuma znowu opadły bezwładnie. Po co to wskrzeszanie? Dosyć! Dostyć! Nie sposób bez końca wracać do umarłych, gdy ciało chce jedzenia, snu, odpoczynku. Jeszcze raz spojrzął na złożony krzyż włoskiej roboty. Potem zwrócił go Tartarowi.

— Bierz — powiedział widząc, że tamten nie wyciąga ręki. Mongoł z wahaniem wziął z powrotem krzyż. Starannie schował go do worka. Hettum pomyślał: „Co się teraz stanie z poświęcanym znakiem? Zawędruje pewnie do dalekiej Mongolii i pozostanie na długie lata w jakimś zadymionym gerze. I to będzie jedyny ślad spotkania z chrześcijanami! Kitbuka miał rację: nestorianie nie zdołają przechować i tak już zniekształconego dziedzictwa. Ta klęska oznacza nie tylko koniec Królestwa Jerozolimskiego”.

Miał uczucie, że nad zwłokami synów i Kitbuki urasta mogiła ponura i wielka jak kopce czaszek na drodze marszu Temudżyna.

2

— Czy nie chcielibyście, teściowo, mówić z rycerzem, który przyjechał do Beaufort tylko po to, by z wami rozmawiać?

Zabel podniosła znad roboty zdziwiony wzrok. Julian nie patrzył na nią; z zajęciem zeszkrobywał paznokciem jakąś plamę z pięknej alabastrowej

wazy, która stała na stołku. Przywiózł ją ze sobą i nie mógł dla niej znaleźć miejsca. Już po raz trzeci, sam, nie pozwalając się wyręczyć pacholkom, prznosił ją z kąta do kąta. Jakby zapomniawszy o poprzednim pytaniu wskazał ręką wazę.

— Prawda, że piękna? Co za linia, jaka robota... Przypatrzcie się, teściowo. Tylko ludzie na Wschodzie umieją robić podobne cuda. Zawsze zazdrościłem tej wazy. Ale mam ją nareszcie! Tylko gdzie ją postawić? W tym zamczysku bez kwiatów, marmurów, kolumn i wodotrysków wygląda jak królewna w dziadowskiej norze. No, ale może kiedyś będę mógł rozwalić te ponure mury i zamiast nich postawić sobie pałac jak pałace sułtana. Byłoby przyjemniej w takim mieszkac, teściowo, prawda? Woda szemrze, niewolnice tańczą, służba obnosi sorbety i wino. Oczywiście, wino także. Mahomet nie miał racji z winem. To mi życie...

— Co to za rycerz?

— Więc zgadzacie się z nim mówić?

— Musisz mi wprawdzie powiedzieć, kto to taki.

Zaśmiał się i popatrzył na nią jednym ze swych spojrzeń, które nigdy nie zawodziły. Może jej włosy posiwiały pod bananową farbą? Jej twarz była nadal świeża, rzekłbyś, nietknięta latami.

— Jesteście kobietą pełną uroku. Na proroka Saracenów, żałuję, że Fema jest tak mało do was podobna. A ten rycerz — rzucił niedbale — to wielki mistrz de Revel...

— Co? — zawołała. — Wielki mistrz szpitalników?!

Starł się nie widzieć jej oburzenia.

— Tak... Przyjechał tylko, aby się zobaczyć z wami...

Gniewnie pochyliła się na nowo nad robotą.

— Nie chcę mówić z żadnym szpitalnikiem — powiedziała. Odcięła zębami koniec kolorowej nitki.

— I dlaczego? — patrzył na nią ponad krzywizną wazy. — To dzielni rycerze.

— Niech wraca, skąd przyjechał! — ciągnęła nie podnosząc wzroku. Oddaliła od siebie ramę, na której rozpięta była robota, na długość ręki i jak poprzednio on swojej wazie, tak teraz ona, przekręcając głowę w prawo i w lewo przyglądała się swemu dziełu. Środkowy haft ornatu był wykończony. Złoty kielich unosił się w kole czerwonych i złotych róż.

— Nieśluszenie robicie — podjął po małej chwili. — Revel ma do was sprawę. — Widząc, że nie drgnęła, sięgnął głębiej do swego arsenału: — A także przywozi nowiny. O walce z Tar tarami...

Tym razem odrzuciła robotę i gwałtownie odwróciła się ku Julianowi.

— Więc odbyła się?

— Tak.

— I... i co?

Miał na ustach zwycięski uśmiech mężczyzny, któremu kobieta odkryła niebacznie swą słabość.

— Revel przybył, by sam wam wszystko opowiedzieć. Nie wypada mi zdradzać jego tajemnic.

— Lecz kto zwyciężył? — wodziła za nim wzrokiem.

— Rozsądek, rozsądek, jakby powiedział czcigodny biskup Tripoli... — Wskazał dłonią na drzwi: — Revel czeka, teściowo

— Toros? — zapytała oddychając spiesznie.

— Revel coś wie... — zachęcał.

— Lecz żyje? Powiedz!

Rozłożył ręce i uśmiechnął się tajemniczo. Zrozumiała, że nic się od niego nie dowie. W piersi niespokojnie tłukło się serce. Jeszcze zmagala się ze sobą i zagryzała usta. Nie ustępowała nigdy, ale tym razem uległa. Wykręciła się na stołku, podniosła z ziemi opuszczoną ramę. Powiedziała głosem, który mógłby zmylić niejednego:

— Dobrze... Niech wejdzie...

Nie czekała długo. Wielki mistrz musiał być w przyległej izbie, Wyrósł przed nią w swym czerwonym połyskliwym płaszczu, z białym rozszczepionym na końcu krzyżem na piersiach niby widmo z dawnych lat. Nie zmienił się bardzo przez ten czas. Twarz mu się wypełniła i zwiotczała, oczy przygasty, Wąskie wargi uwydatniały mocniej grymas, który kiedyś był zaledwie cieniem.

— Pozdrawiam was, królowo — powiedział skłaniając się nisko.

Siła wspomnień była tak wielka, że poczuła się znowu tamtą osaczoną kobietą, raczej dzieckiem skrzywdzonym, w którym ból i nienawiść stapiają się w jedno.

— Witajcie — odrzekła krótko — Podobno macie wieści o moim synu...

Skłonił się powtórnie.

— Tak jest, dostojna pani.

— Więc... żyje? — Głos Zabel drżał tylko nieznacznie. Czekwała chwilę na odpowiedź. Potem dorzuciła: — Nie cedźcie tak wolno waszych wiadomości.

Odchrząknął.

— Jeden z waszych synów, dostojna pani, żyje.

— Jeden... — Wybuchnęła: — Który? Mówcie prędzej! — Zerwała się z miejsca i podbiegła do niego. — Toros? Czy Toros żyje?

Opuścił głowę, a gdy ją podniósł, po jego gładkich policzkach błąkał się uśmiech pełen niejasnych obietnic.

— Na to wam, niestety, nie umiem odpowiedzieć. — Podjął żywo: — Otrzymałem jedynie wieści, że Saracenom udało się zgnieść barbarzyńców z dalekich stepów. Ich wódz poległ. Jeden z waszych synów, królowo, żywy znajduje się w rękach atabeka.

Wolno wróciła do swego stołka. Jej wzrok zdawał się szukać czegoś na murze, na ciemnej plamie wilgoci.

— Drugi więc... — szepnęła bezdźwięcznie.

Złożył dłonie końcami palców i podniósł oczy w górę.

— Wszechmogący i litościwy Pan zechce mu niewątpliwie nie policzyć grzechu jego ojca, który ten popełnił, ściągając na chrześcijan szatańskich Tartarów.

Usiadła na stołku.

— A mój mąż? — zapytała.

— Prawdopodobnie żyje — stwierdził sucho. — Nie było go na polu walki. Zginął jedynie konnetabl Sempad.

Nie pytała o nic więcej. W izbie przez długi czas panowało milczenie. Beż westchnienia podjęła swoją robotę. Przyglądała się kielichowi, jakby go widziała po raz pierwszy. Z godnością królewską rzekła:

— Dziękuję wam, wielki mistrzu.

Jeszcze raz skłonił się nisko.

— Jestem wam zawsze oddany. Choć wy, dostojna pani, zachowaliście urazę.

Zapatrzona w płamę na murze, uniosła ironicznie brwi.

— Urażę? To małe słowo... — Patrzyła na niego przez ramię. — Za tamto...?

Postąpił ku niej krok. Położył rękę na piersi.

— Za tamto, co się wtedy stało — powiedział — przynoszę wam dzisiaj...

— Wieści? — przerwała mu.

— Propozycję — zakończył tonem miodowej słodyczy.

Zmierzyła go dumnym spojrzeniem. Potem wybuchnęła złym uśmiechem.

— Może taką jak wtedy?

Nie wydawał się dotknięty. Śmiał się także ukazując w tym śmiechu krótkie, jakby przypłowane zęby.

— Ha, ha, ha... Lata już wprawdzie minęły — chichotał. — Ale wy jesteście nadal, dostojna pani, piękną kobietą. Dlaczego by więc nie? — Wydał pierś. — Chrześcijaństwo...

— Co z tym ma wspólnego chrześcijaństwo? — zapytała ostro mrużąc oczy.

— Owszem — Ton głosu rycerza stał się również poważny i twardy niby szcęk miecza. — Chrześcijaństwo zostało zdradzone. Uczynił to wasz mąż, dostojna pani. Zawarł sojusz z wysłannikami piekła. — Spod płaszcza wysunął dłoń z podniesionymi w górę palcami. — Nie wolno dopuścić do tego, aby wrócił na tron Armenii!

Popatrzyła na niego zdziwiona, jakby nie rozumiejąc jego słów.

— Chcielibyście pozbawić nas tronu? — zapytała oddzielając słowo od słowa.

— Och, nie was! — Revel zaprzeczył żywo i znowu zaczął się uśmiechać. — Nie was. Wy byliście prawowitą następczynią wielkiego Lewona, którego dusza oby cieszyła się wiecznym szczęściem za łaskawość, jaką król okazywał zakonowi św. Jana. Nie was. — Odczekał chwilę. — Przecież ślub był na was wymuszony...

— Tak — przyznała. I zaraz dodała ze złym błyskiem oczu: — Wy, wielki mistrzu, także wzięliście w tym udział.

Skrzywił usta, jakby natknął się na gorycz w kielichu wina.

— Musiałem ustąpić... — warknął.

— Nie kłamcie! — Odwróciła się i patrzyła mu w oczy wyzywająco. — Przypomnijcie sobie dobrze jak to było. Uciekłam Konstantynowi do was, do Selefke, sama, bez jednej dworki, pieszo. Prosiłam was: ratujcie! Nie oddawajcie mnie tamtym! Obiecaliście... Szumne słowa: wasz ojciec, pani, był naszym dobroczyńcą. Ale kiedy tamci stanęli pod murami, wszystko się zmieniło. Wymknęliście się na rozmowę. A po powrocie usłyszałam: Wydać was nie wydają... ale baron Lampronu proponuje mi wykup całego zamku razem z wami. Jego prawo — jest regentem... Ofiarowuje mi piękną sumę... Za nią można by w Syrii zbudować zamek o wiele potężniejszy i lepiej służyć chrześcijaństwu... Jesteśmy tylko ubogimi mnichami... Więc muszę się zgodzić... Chyba gdybyście zamiast syna barona Lampronu woleli rycerza de Revel...

— Mówiłem szczerze! — wybuchnął. — Na rycerski honor! Patriarcha unieważniłby śluby... Dla dobra sprawy...

Wybuchnęła gorzkim śmiechem.

— Dosyć, dosyć, wielki mistrzu. Nie kłamcie więcej. Mówcie uczciwie: dla korony armeńskiej może dlatego i dziś można unieważnić moje małżeństwo? A wy — gotowi jesteście powtórzyć waszą propozycję...?

Zapadło milczenie. Revel stał ze zmarszczonymi brwiami i pod płaszczem tarł dłonie. Prawa stopą postukiwał raz po raz o ziemię. Jego ostrogi podzwaniały cicho.

— Możecie sądzić podług swojej woli — powiedział chmurnie. — Nie ma do czego wracać. — Szerzej rozstawił nogi, głos jego stał się suchy: — Inaczej rzecz dziś wygląda. Ja wam powiedziałem: wasz mąż zdradził chrześcijaństwo. Nie zgodzimy się, aby był dalej królem Armenii. Królową jesteście tylko wy!

— Mówicie jak sędzia, który wydaje wyrok — zauważyła.

— Wszyscy baronowie królestwa są tego samego zdania co i ja. Hettum miał tylko jednego sojusznika: rycerzy Templum. Ale oni nie pomogą mu teraz. Nieprędko podniosą się z poniesionej klęski. Zostali ukarani za swoje matactwa. Cały ich dom w Acre wycięty. Bérard uciekł w przebraniu.

Twarz mu się rozjaśniła. Gotów był śpiewać swoją zemstę i zwycięstwo. Ale Zabel przerwała mu to upojenie.

— A mój syn? — zapytała.

— Wasz syn, dostojna pani — mówił teraz, jakby naśladował głos starożytnego Ibelina — mógłby wrócić do was. Sułtan zgodzi się wam go wydać,

oczywiście za okupem i wtedy, gdy mu złożycie przyrzeczenie, że nie będzie już nigdy stronnikiem Tartarów. Cóż wy na to?

Zabel siedziała na swym stołku pochylona nad haftem. Jej cienkie palce przesuwały się bezmyślnie po złotej wypukłości kielicha. „Oto zemsta... — myślała. Ale były to słowa goryczy, nie radości. — Syn mógłby do mnie wrócić” — powtórzyła w duchu. Który z synów? Czy jednak trzeba czekać na wyjaśnienie? Miała świadomość, że znała prawdę — świadomość tak silną, że wątpiłaby, gdyby jej zaprzeczono. Wiedziała, który z nich zginął, a mimo to nie krzyczała, nie szarpała włosów. Nawet nie chciała płakać. Syn mógłby wrócić... Po co? Do czego? Do niej? Cóż by ona mu dała? Jej serce było jednym pragnieniem, ale to pragnienie zgasło i wszystko zawałiło się jak podmyty dom. Z przerażającą dla samej siebie obojętnością myślała: dlaczego nie zginęli obaj? Dlaczego nie zginęli wszyscy trzej? I dlaczego ona także nie zginęła? Z niechęcią zastanawiała się: „Strasznie jestem młoda. Moja matka żyła aż do pięćdziesiątego drugiego roku.” Stańło przed nią, pytanie lodowate w swej rozwadze: czy człowiek nie może więcej spać? Spać całe dnie i całe noce?

De Revel powtórzył:

— Cóż wy na to, dostojna pani?

Obojętnie wzruszyła ramionami.

— Jeśli ten plan wydaje się wam słuszny — znowu mówił miękko — pomożemy wam chętnie.

— A jeśli — powiedziała głosem dalekim i znużonym — a jeśli go odrzucę?

— Jak to? — poderwał głowę zdumiony. — Nie chcielibyście syna? Nie chcielibyście zemsty? Jak to?

Dłonie Zabel znowu spacerowały błędnie po zahaftowanej materii. Myśl przesuwała się po postaciach jej najbliższych, których rzeczywistość tak nagle zbladła. Toros... Lewon... Hettum. Każdy zajmował w jej sercu swoje własne, odrębne miejsce. Czy można miejsca zmieniać, przesuwać pionki na tej szachownicy? Czy można kochać tego, kogo się nie kocha? Z całą wyrazistością stanęły przed nią jej własne słowa: Zemszczę się! Gotowa jestem zabić! Tymczasem nienawiść spopieliała się w bezwład, w marzenia o śnie bez przebudzenia. Miała rację: jemu się zawsze udawało. Lewon ocalał — Torosa nie ma. Poniósł klęskę. Lecz cóż znaczy taka klęska wobec zwycięstwa nad nią?

— Może nie chcę... — powiedziała.

— Ostrzegam was, dostojna pani — głos Revela brzmiał jak trąby całej Syrii. — Ostrzegam. Nie zgodzimy się nigdy na powrót Hettuma na tron Armenii. A sułtan nie wyda wam syna inaczej jak za naszą poręką.

— Precz! — krzyknęła zrywając się ze stołka. — Precz! Ty... — szukała słowa, które najmocniej go ugodzi — ty handlarzu!

Tupnął nogą i oparł ręce na pasie rycerskim.

— Obrażacie mnie!

— Precz!

— Ostrzegam...

W porywie gniewu chwyciła szyjkę alabastrowej wazy. Piękne naczynie zachwiało się i pękło w mocno zaciśniętej dłoni.

3

Nad Nazaretem w nieruchomym powietrzu unosił się aż pod samo niebo słup ognia zakończony tylko niewielkim pióropuszem dymu. Ciepłe podmuchy niosły ku galilejskim wzgórzom kawały żużla. Płomienie przebiły dach kościoła i tańczyły na nim niby tłum złoto i czerwono ubranych bajader; inne lizały fronton, strącały tynk i powlekały mur czerwienią. Na szczycie bazyliki, jak na stosie, umierali po raz drugi kamienni święci w pełnej godności ciszy. Nie tak jak ludzie w dole, których wrzask wyskakiwał ponad dudnienie pożaru.

Bajbars siedział na rozścielonym dywanie. Sam kierował kaźnią. Z pogardliwą bezwzględnością patrzył na ciało o naciągniętych do ostateczności włóknach mięśni. Ciemna, prawie czarna i gęsta krew zastygała strumieniem wzdłuż chudego biodra. Człowiek umarł wśród krzyku, z otwartymi oczami, językiem wywalonym, klatką piersiową wydętą. Dwaj kaci, wielcy, muskularni Murzyni o błyszczącej skórze odwrócili się i patrzyli pytająco na atabeka. On zaś przesuwał palcem po wargach, jakby się zastanawiał, dlaczego ci starcy umierają tak prędko.

— Dalej! — rzekł wskazując następnego. Nagi mężczyzna z siwą brodą i włosami tworzącymi jakby aureolę wokół tyłej czaszki trząśł się cały. — Gadaj, ty! — Bajbars zwrócił się do niego. Ale tamten nie mógł wydobyć głosu z zaschniętych ust.

— Dajcie mu wody, niech gada — rozkazał. Człowiek przypadł żółtymi, zeskorupiałymi wargami do kubka. Dano mu jednak tylko pociągnąć dwa łyki. — Teraz! — rozkazywał atabek. — Prędzej! — popędział. — Mów: gdzie jest ten dom?

— Panie... o Panie! — dyszał człowiek. — Daj umrzeć!

— Nie umrzesz, póki nie powiesz.

— Ooo!... — z suchej piersi dobywał się dygocący jęk — ooo... Jezu, daj... daj umrzeć...

— Mówię ci, że nie umrzesz, póki nie powiesz.

— Panie — skomlał starzec — Panie... pomóż... Nie daj, abym powiedział! Panie...

— A ja ci radzę: powiedz. Zaczynajcie!

Wrzask wybuchnął pełen drżenia. Lecz wtedy właśnie jeden ze służących zbliżył się do Bajbarsa i padłszy na kolana coś mu powiedział. Wódz zmarszczył czoło i podniósł pytająco brwi.

— Tu przyjechał? — zapytał.

— Tak jest, panie. Czeka, czy zechcesz z nim mówić.

— Dobrze. Idź, powiedz mu, że zaraz przyjadę. Konia! — skinął. Pod rękami oprawców starzec krzyczał z siłą, jakiej nikt by się nie spodziewał po tak wątłym ciele: „Jezu! Jezu!” Wkładając nogę w szerokie strzemię Bajbars przywołał jednego ze swoich: — Dopilnuj tutaj wszystkiego — powiedział. — Pamiętaj, że macie się dowiedzieć. Nie spieszcie się.

— Tak będzie, panie — tamten skłonił się nisko składając ręce na pierśsiach. — Niech Allah strzeże twoich kroków.

Spoza noża dobywał się kwik zwierzęcy. Bajbars nie spojrzał nawet za siebie. Ruszył, a za nim w milczeniu pojechał gun Bahridów w czarnych turbanach z nagimi szablami w rękach. Podążali przez miasto pod deszczem żużlu, między domami o rozwalonych szeroko drzwiach. Ludność Nazaretu została wyrżnięta. Nie oszczędzono nikogo poza młodymi dziewczętami. Z drzew zwisały ciała; brudne bose stopy kołysały się pomiędzy liśćmi. Za nimi kościół płonął wśród huku i trzasków.

Za ostatnimi domami miasta, przy drodze stał otoczony strażami namiot wodza. Przybyły poseł spacerował leniwie i rozglądając się na wszystkie strony czekał na Bajbarsa. Pachołkowie trzymali jego konia, który bił no-

gami i rzucał się niespokojnie, przestraszony widokiem ognia. Ujrawszy nadjeżdżającego atabeka rycerz wyszedł mu grzecznie naprzeciw.

— Witaj, wodzu! — powiedział.

— Witajcie, rycerzu! — Bajbars zrobił niedbały ruch ręką i zeskoczył z siodła. Człowiek, który stał przed nim, miał odzież podróżną, ale nie wojenną. Szeroki pas rycerski opinał mu biodra, u pasa zwisał miecz. Na żółtej bluzie wyhaftowany był srebrny lew z rozwartą paszczą i rozdwojonym ogonem — znak rodowy hrabiów de Montfort. Był to rycerz Piotr Francart, wasal seniora Tyru.

Atabek wprowadził gościa do namiotu. Służba przyniosła im zaraz wodę z sokiem i owoce. Siedząc na poduszkach niskiej sofy, z garścią daktyli w rękę zapytał: — Co mi przywozicie, rycerzu?

Francart poprawił się na swym stołku.

— Mój senior Filip, pan Tyru, hrabia Leicester, Castres, Lombers i Montfort przesyła wam, dostojny atabeku, swe pozdrowienia i życzenia z powodu osiągniętego nad barbarzyńcami zwycięstwa.

Ostry, rozdzierający krzyk doleciał od strony miasta.

— Podziękujcie ode mnie sirowi de Montfort. — Po twarzy Bajbarsa przewinęła się półuśmiech. — Czy to już wszystko? — zapytał po chwili milczenia. Uśmiech na stulonych ustach zdawał się zdradzać, że Bajbars domyśla się dalszej treści poselstwa niedopowiedzianego przez posła.

— Nie. Lecz resztę chciałbym wam, panie, wyjawić bez świadków — rycerz wskazał spojrzeniem dwóch służących stojących w sztywnej gotowości za plecami atabeka.

— Mówcie spokojnie, nie rozumieją po frankońsku. Cóż takiego chce mi powiedzieć emir Tyru?

— Mój senior — zaczął wolno Francart — sądzi, że teraz, po zwycięstwie, które, jak mówią, jest wyłącznie waszym dziełem, dostojny atabeku, zechcecie rozprawić się z Acre.

— O...? — Bajbars wypluł pestkę i spojrzał na posła z twarzą wyrażającą zdziwienie pomieszczone z rozbawieniem — Tak wam się zdaje?

— Czyżby było inaczej? — rycerz miał minę zaskoczoną. — Przecież, jak widzę, stoicie w Nazarecie, które należy do miast królestwa?

— W Nazarecie stał poprzednio obóz Kitbuki. — Bajbars gryzł owoce spoglądając spod oka na rycerza.

— Właśnie na terenie królestwa!

— O ile was pojmuję, chcecie mnie przekonać, że Acre działało przeciwko mnie?

Rycerz Francart począł się śmiać.

— Ha, ha, ha! Was przekonywać? Sami wiecie, dostojny atabeku, kto jest waszym przyjacielem, a kto wrogiem.

— I ja mogę się czasami omylić... Ale mniejsza z tym. Powiedzcie mi: po co wam wiedzieć, jakie są moje zamiary wobec Acre?

Tajemniczo ścisząc głowę odpowiedział:

— Gdybyście chcieli rozprawić się z królestwem, senior Tyru miałby dla was propozycję.

— Czemu nie zwracacie się z tym do sułtana?

Odrzekł przypochlebnie:

— Mówi się u nas: sułtan jest władcą Egiptu, lecz nad sułtanem jest atabek.

— Zbyt wiele się u was mówi — zauważył sucho. — Lecz dobrze: być może, że zechcę się rozprawić z Acre. Co macie mi wtedy do zaproponowania?

— Sojusz — ostrożnie rozmotywał swe poselstwo Francart

— Do walki z chrześcijanami z Acre?

— Do walki z Ibelinami, templariuszami, Wenecją, Pizą, regentami, siostrą księcia Antiochii.

— Widzę, macie całą masę wrogów. Lecz sojusz jest sojuszem. Co możecie mi dać?

— Błogosławieństwo biskupa Tripoli...

— Ilu to odpowiada, według was, uzbrojonym okrętom?

— Och, to jest rzecz cenna! Zwłaszcza teraz, gdy patriarchy Pantaleona nie ma i już nie wróci do Syrii. Obrano go, wyobraźcie sobie, papieżem!

— Mimo to nie szacuję błogosławieństwa biskupa Tripoli nawet na tyle, ile dać może w walce jeden okręt.

— Cała flota genueńska z Tyru i z Tripoli uderzyć by mogła od morza...

— To już rzecz warta rozważenia. A co w zamian?

Francart przesunął parę razy dłońmi po udach, jakby wecował nóż.

— Sire de Montfort przypuszcza, że Paneas z okolicą nie są wam niezbędnie potrzebne.

— To ziemia, która należy do wyznawców prawdziwej wiary — sucho rzucił Bajbars sięgając po nową garść daktyli. — Wierny wyznawca Proroka nie oddaje dusz na zaturę!

— Lecz otrzymalibyście w zamian Acre. Jeden z najpiękniejszych portów na wybrzeżu. Miasto, które wydał Saladynowi Ryszard Lwie Serce.

Bajbars skończył jeść. Kazał służbie podać miskę do opłukania rąk. Nie spiesząc się starannie mył każdy palec.

— A wy do Acre nie macie żadnych roszczeń? — zapytał.

Posel rzucił podejrzliwe spojrzenie na atabeka i zastanowił się nad właściwymi słowami.

— Zrezygnujemy z nich... powiedział z lekkim ociąganiem. — Sire Montfort oczekuje jedynie, że oszczędzicie kościoły i ludność chrześcijańską. — Widząc niecierpliwy, szybki gest, z jakim Bajbars oddalił miseczkę z wodą, dodał prędko: — Fondaco weneckie może być zniszczone całkowicie.

Po twarzy Bajbarsa przelatywały krótkie błyski: gniewu czy może drwiny. Ale ton głosu pozostał poważny, jakby czający się.

— Czy nie żądacie zbyt wiele, rycerzu Francart? — zapytał.

— Zbyt wiele, dostojny atabeku? — z godnością uniósł ramiona. — Nie sądzę. Pomagamy wam uderzyć w samo serce królestwa.

— Lecz na wybrzeżu pozostaną nadal w ręku chrześcijan Kaiffa, Cezarea, Arsuf, Jaffa... — powiedział Bajbars tonem wyrzutu.

Francart przelknął ślinę i zastanowił się.

— Nie jestem upoważniony — rzekł — mówić o sprawach dalszych niż Acre. Sądzę jednak, że hrabia de Montfort nie będzie stawiał sprzeciwu, abyście sobie tamte miasta, bez naszego już oczywiście współdziałania, zabrali.

Popatrzył na atabeka, ten jednak nie wydawał się zadowolony. Z ubolewaniem w głosie podjął:

— Lecz chrześcijanie będą mieli jeszcze Bejrut, Gibelet, Tripoli, Antiochię...

Francart poruszył się niespokojnie na stołku.

— Chcielibyście zdobyć je wszystkie? — zapytał.

— Być może... — mruknął Bajbars poruszając palcami, jakby chcąc im przywrócić obieg krwi.

— Jestem przekonany — poseł stwierdził ze sztywną nieco powagą — że sire de Montfort zgodziłby się na to tylko wówczas, gdyby miał zagwarantowany udział w zdobyczach. Także republika genueńska...

— Ha, ha, ha! — Bajbars wybuchnął nagle hałaśliwym śmiechem. — Ha, ha, ha — każda nowa fala kończyła się sykiem, jakby śmianie się sprawiało atabekowi ból. — Szerokie mamy dzisiaj plany rycerzu. — zauważył — Ha, ha, ha! Słuchajcie: zastanowię się nad waszą propozycją. Wracajcie do hrabiego Montfort i podziękujcie mu za jego życzenia. Powiedzcie mu o mojej życzliwości dla niego — i o tym wszystkim, coście tu widzieli... Za parę dni wyślę do niego posłów z odpowiedzią.

Francart powstał, by się pożegnać.

— Jeżeli chcecie, rycerzu, możecie pojechać obejrzeć miasto — zapraszał Bajbars ze złośliwym uśmiechem. — Wy, chrześcijanie, uważacie je, zdaje się, za święte... Ach, właśnie! Chciałem was o coś zapytać. Pewno wiecie, gdzie się tu znajduje dom Proroka Issy i Jego Matki Miriam?

Poseł przymrużył oczy, namyślając się.

— Ten dom mieli gdzieś ukryty tutejsi mnisi. Ale dokładnie, na honor, nie wiem... Nigdy go nie widziałem.

— Szkoda.

— Chcielibyście go znaleźć?

— Tak.

— Sądzę, że nie po to, by go zniszczyć?

— My, rycerzu Francart, także czcimy Proroka Iszę — rzekł Bajbars. — Wy zaś nie jesteście chyba zbyt przywiązani do tej pamiątki.

— Jednakże... to dom Chrystusa...

— Chrystus jest w niebie, nie na ziemi. Wierzymy w to jednakowo, nieprawdaż? — Stali w progu namiotu. Pożar strawiwszy już dach kościoła bił w niebo coraz wyższym słupem. Dym wijący się przedtem w górze delikatną mgiełką rozmazał się teraz szeroko, tworząc na tle zbocza plamę, przypominającą kształtem grzyb. Szeleszczący deszcz żużlu padał im pod stopy. Spoza zabudowań, niby zza płotu rzeźni, dolatywał skowyt.

— Wielka szkoda, że nie wiecie, gdzie jest ten dom — powtórzył atabek.

— Mnisi mogą wam o tym powiedzieć — podsunął Francart.

— Poleciałem się ich spytać. No, bądźcie zdrowi, rycerzu. Zawieźcie pozdrowienia hrabiemu de Montfort.

Blask słońca przebijając się przez coraz gęstszą chmurę stawał się rudy i posepny, jak podczas zaćmienia. Nieokreślone powiewy potrząsały gałęziami palm. Bajbars stał przed namiotem przyglądając się siadającemu na konia rycerzowi. Czuł, jak w nim wzrasta dziki i okrutny gniew. Niby pieśni słuchał ludzkiego krzyku. Ale wrzask urwał się. Chciał cofnąć się do namiotu, gdy nagle zobaczył na drodze jadącego w stronę Nazaretu człowieka, któremu towarzyszyło dwóch strażników. Tamten wymijał właśnie Francarta i Bajbars widział, jak rycerz tyryjski gwałtownie odwrócił głowę i wlepił oczy w jadącego. Atabek przyłożył dłoń do czoła, wyteżył wzrok. Czyżby? Zdawało mu się, że poznaje sylwetkę w płaszczu z prostym krzyżem na piersi. Człowiek siedział sztywno wyprostowany w głębokim rycerskim siodle. Nie zauważył Francarta, przejechał obok niego jak rycerz zakonny, który ślubował nie odwracać oczu od kierunku Jerozolimy. Zatrzymał konia naprzeciwko namiotu. Ciężko przełożył nogę przez tylny łęk.

Bajbars cofnął się do namiotu, powrócił na swe poduszki. Nagle zniknął w nim spokój: nie wiedział, co ma robić ze sobą przez cały ten czas, póki nie wejdzie strażnik i nie powie mu, kto przyjechał. W mieście na nowo zaczął się krzyk wkręcający się w przestrzeń niby świder. Atabek siedział trąc niecierpliwie ręce, potem wstał — i znowu zmusił się do siedzenia. Żołnierz wszedł do namiotu, złożył ręce na piersi:

— Panie... — zaczął.

Przerwał mu porywczym gestem

— Wiem. Wprowadźcie go.

Jeszcze raz wstał i jeszcze raz usiadł. Za kotarą zasłaniającą wejście zachręściły kroki, brzęknęły ostrogi. Człowiek stanął na progu. Bajbars powstał i zbliżył się do przybyłego. Skłonił się.

— Witajcie, tagawor, w moim namiocie — powiedział.

— Witajcie, atabeku — Hettum stał ogarniając wzrokiem olbrzymią po-

stać Mameluka; — Spotykamy się po raz pierwszy — zauważył — a przecież, gdy was widzę, wydaje mi się, jakbym już kiedyś z wami mówił.

— Być może — błękitne oczy atabeka spoczęły na dywanie zaścielającym namiot. — Allach krzyżuje nieraz drogi ludzkie. Siadźcie...

Znad potraw, które Bajbars kazał przynieść, lecz których Hettum nie tknął, patrzyli na siebie długo, milcząc.

„Gdzie ja widziałem tego człowieka?” — ta myśl przewijała się w mózgu Hettuma. To był w nim jedyny ślad życia. Wszystko inne wydawało się zamarle lub dotknięte bezwładem. Cokolwiek robił — dokonywał tego najwyższym wysiłkiem woli. Nie było sprawy, o którą chciałby walczyć bodaj słowem. A przecież po to tu przyjechał. Wciąż brakło powietrza jego płucom. Oddychał głęboko, powoli, oszczędnie.

Niecierpliwie, jakby nie mogąc się doczekać wyjaśnienia wizyty swego gościa, Bajbars przerwał ciszę:

— Czy wolno wiedzieć, z czym przyjeżdżacie do mnie?

Miał uczucie, że jest siłą wyrwany ze snu. Powoli odpowiedział

— Z propozycją, atabeku...

Widział, jak skurcz przebiegł po twarzy Bajbarsa. Wzrok Mameluka ściemniał, stał się podobny do zopotniałej klingi miecza

— Dużo teraz propozycji otrzymuję... — powiedział głosem stłumionym. To nie była już ta sama twarz, z jaką witał Hettuma. — Powiedzcie, tagawor...

— Mój syn jest w waszym ręku.

— I owszem...

Ciągnął dalej niby opowieść o wydarzeniu dawnym i zapomnianym.

— Przyjeżdżam ofiarować wam za niego okup.

— O ile słyszałem — głos Bajbarsa stał się znowu przyczajony, zawieszony na włosku drwiny, pod którą leżał nastawiony miecz groźby — jakaś propozycja była już składana sułtanowi.

— Wiem o tym. Ale nie ja ją składałem.

— Może więc wasza małżonka...

— I nie ona. — Kiedyś byłaby to radość móc tak powiedzieć. Ale dziś wszystko wydawało się dalekie i obojętne. Uciał krótko — Powiedzcie: ile chcecie?

— Ile? — na twarzy Bajbarsa pojawiło się zdziwienie, w oczach zapalił się płomyk niedowierzania. — Myślicie o okupie w złocie?

— Tak. A wy?

— Propozycja tamta była przede wszystkim przyrzeczeniem...

Coś w nim drgnęło. Gniew zapalił się na moment na nieruchomym obliczu Hettuma. Ale spłynął z niego jak woda z marmurowej rzeźby. Głosem równym, może odrobinę tylko drżącym, poprosił:

— Czy możecie mi powiedzieć, atabeku, jak dostał się mój syn w wasze ręce? Czy sam prosił o życie?

— Nie! — potrząsnął żywo głową. — Obaj wasi synowie walczyli, nie jak walczą chłopcy, ale jak pustynne lwy przyparte do skały. — ciągnął patrząc w oczy swego gościa. — O młodszym wołali moi ludzie, że musi być „żelaznym człowiekiem”, jak ten wasz Tankred, Baldwin trędowaty czy Ryszard, o których śpiewają derwisze. My, wyznawcy Proroka, cenimy męstwo. Wasz starszy syn, tagawor, walczył równie dzielnie, ale koń jego upadł i przywalił go.

— Wzięliście go więc, atabeku, bez walki?

— Prawie...

— Więc mogę wam jeszcze do okupu, który wyznaczycie, dodać przyrzeczenie, że gdy go uwolnicie, spotkacie go niedługo znowu na polu walki przeciwko sobie.

Nozdrza Bajbarsa rozděły się, a na jego brązową twarz spłynęło złote lśnienie. Wykrzyknął:

— Przychodźcie z tym do mnie?!

— Tak — odparł, jakby zatrząskiwał drzwi. Tylko w ten sposób był zdolny stawiać sprawę: otwarcie, bojowo, bez żadnego targu.

Coraz więcej niedowierzania narastało w słowach Bajbarsa. Gdy się odezwał, głos jego utracił swą złowieszczą nutę, był prosty jak klinga odpierająca klingę.

— Więc nie kapitulujecie? — zapytał niby ostatnim tchem — Ponieśliście klęskę...

— To nic — Hettum znowu mówił sennie. — Tartarzy wrócą...

— Jeżeli wrócą, to dopiero za parę lat! — zawołał. Począł mówić namiętnie: — I kiedy wrócą, nie będzie już między nimi chrześcijanina — Kitbuki.

To była wielka wasza szansa. Gdyby Kitbuka był zwyciężył, islam zostałby zdeptyany. Ale teraz, jeżeli nawet Hulagu powróci, gdy się dowie, że jego wódz został przez chrześcijan zdradzony, nie będzie się kwapił z ofiarowaniem wam przyjaźni i sojuszu. Zresztą, nic tu już wtedy nie znajdzie. Uczynię, jak każe Koran, gdy mówi: zabijajcie nieprzyjaciół waszej wiary wszędzie, gdzie ich spotkacie, wypędzajcie zewsząd, niebezpieczeństwo zmiany wiary jest gorsze niż morderstwo!

Umilkł, patrzył jednak pilnie w twarz Hettuma. On zaś znowu poczuł ból odtającego uczucia. Złodowaciałe serce nie było całkiem martwe. To prawda, co on mówi, myślał. Tartarzy wróca... Ale jacy będą, gdy przyjdą po raz wtóry? Gdzie znaleźć drugiego Kitbukę, poszukiwacza prawdy? Może nie należałoby już pragnąć ich powrotu? Rubruk miał rację: przyszli i zobaczyli, jakim chrześcijaństwo być nie powinno. Postawiono im wielkie żądanie: by zamiast swoich kozuchów ubrali się w białą koszulę katechumenów. Ale w co my sami jesteśmy ubrani? Nie myślał: oni — myślał: my. „Ja i tamci — uświadamiał sobie — jesteśmy jednym. Grzesznik nie powinien wynosić się nad grzesznika. Błędem jest obwiniać Juliana lub Ibelinów, wyszukiwać w nich zło. Zło jest w każdym z nas. Każdy z nas psuje dzieła Boże, Nie, nie *gesta Dei*... nie...” Z trudem dźwignął głowę, jakby ciężar leżał mu na szyi.

— Będziemy więc walczyć... — zaczął.

Spojrzał w twarz Mameluka i nagle doznał wstrząsu. Już wiedział, skąd zna tego człowieka. Te błękitne oczy, złota, połyskliwa opalenizna, olbrzymi wzrost, kocie ruchy... Ach, więc to był wtedy on! Cóż za szaleństwo, że nie zainteresował się dziwnym służącym. Byłby uciął głowę niebezpieczeństwu. Tak niewiele było trzeba. Ale był zaślepiony. „Boże — jęknął w duchu — to znowu moja słabość przekreśliła wielkie plany. To ja sam. Bajbars skorzystał tylko. Czy mam go obwiniać, że okazał się ode mnie przebieglejszy? Wzrok Hettuma zsunął się w dół z twarzy na rękę atabeka. I znowu poczuł, jakby weń trafił piorun. Oczy przywarły do pierścienia, który Bajbars miał na najcieńszym palcu. Na św. Sarkisa! A jednak — czyż powinien był być tak lekkomyślnie ufający? Słusznie mówią: mężczyzna głupieje, gdy kocha pierwszy i ostatni raz. Spoza żółkłej, nieruchomej twarzy syna między świecami na katafalku, spoza twarzy, która mu tkwiła w pamięci i pozostała chyba na zawsze zacierając wszystkie inne wspomnienia, mignęły delikatnie rzeźbione, jak na pięknej kamei, rysy. „Więc znowu zostałem zdradzony? — pomyślał. — Lecz czyż każda nowa zdrada w moim życiu nie powi-

nna być czymś spodziewanym? Nie ma błędu, nie ma słabości, za które nie byłbym natychmiast ukarany. Trzeba od ludzi oczekiwać bardzo mało, a ja chcę tak dużo: trzeba od Boga żądać bardzo wiele, a ja nie proszę o nic”.

— Będziemy walczyć — powtórzył. Nie było w jego słowach zapалу ani energii, jedynie świadomość nieustępliwego nakazu trwania.

— Będziemy — odpowiedział Bajbars. Nie spuszczał wzroku z twarzy swego gościa. — Trzeba rozciąć ten węzeł... Będziemy się bili — my dwaj! Ale nie oni! — z wyrazem miażdżącej pogardy spojrzął na zasłonę namiotu, jakby poprzez nią mógł zobaczyć powracającego do Tyru rycerza Francart. — Ich nie stać na walkę! — wybuchnął. — Są zdolni tylko do najpodlejszej zdrady, a gdy się za nią domagają zapłaty, biorą to, co i tak jutro przestanie być ich własnością. Podli, nędzni, plugawi...

— Nienawidzicie chrześcijan? — zapytał. Może byłoby lepiej — mignęła mu myśl — aby ten człowiek w porywie swego fanatyzmu pchnął go nożem? Ież czekających go trudów oszczędziłby mu taki gest! Ale Bajbars osadził swój wybuch jak rozhukanego konia.

— Nienawidzę — przyznał — takich jak oni... A wiesz, tagawor, dlaczego? — Nagle przysunął się do Hettuma, dotknął prawie jego ramienia swoim ramieniem. — Są jak ci muslim, którzy czekają tylko na rajskie łóżce z brokatu i na hurysy, jak niewyęglę jajka, których ani anioł, ani człowiek nie dotknął. Kochają obietnice i zapłatę. A walczyć trzeba za nic! Za to, co będzie, czego my sami nie tkniemy! Tak wychowuję moich Bahridów. Mówię im: musicie się wyrzec nadziei na kobiety, na lenistwo. Tylko wtedy zwyciężycie. I zwycięstwo, które przyjdzie po was, będzie wam jedyną zapłatą.

Porywcze słowa Mameluka upadły aż na dno jego serca. Drgnienie przebiegło po omdlałych mięśniach. Lecz zaraz zgasło. I teraz także nie było w nim mocy do walki. Dłoń atabeka leżała blisko, mógł widzieć i rozpoznać swój pierścień. Nie mylił się — to był tamten, wciśnięty w dłoń dziewczyny, którą oszukał i wobec której stehórzył.

— Gdybym w nich nie urabiał obojętności, zdradziliby mnie — ciągnął Bajbars — jak baronowie zdradzili ciebie, tagawor...

— Nie, to nie oni... — zaprzeczył martwo. Chwilę milczał zmagając się z ogarniającym go na nowo bezwładem. — Czy oddacie mi syna? — zapytał.

— Tak — usłyszał.

— Jakiego okupu żądacie?

— Już go dostałem: mam waszą obietnicę, że wasz syn stanie przeciwko mnie. To mi wystarczy. Nie myślcie, że tylko Ajubici mieli naturę rycerzy. Nie jestem barbarzyńcą. Za parę dni odeślę go wam prosto do Sis.

— Jesteście naprawdę szlachetni. Czy tylko waszą decyzję uzna sułtan? To on obiecał baronom w Acre...

— Niechby spróbował nie uznać! — wykrzyknął. Skrzywił usta ukazując zaciśnięte zęby. — Syn wasz powróci do Sis, bo ja tak chcę. Na Allacha o dziewięćdziesięciu dziewięciu imionach, powróci z równą chwałą, jak powracał z Egiptu wasz Ludwik.

— Dziękuję wam, atabeku.

— Nie dziękujcie. — Już ostygł. — Zmierzymy się. Wiem, przewaga jest po mojej stronie. Ale po waszej jest coś, co nie tak łatwo zwyciężyć.

— O czym mówicie?

— Nie umiem tego nazwać. U nas człowiek walczy marząc o biodrach hurysy i ginie, jakby zasypiał u jej boku. Z was każdy, najpodlejszy, choćby taki jak Montfort, potrafi się nagle obudzić...

Wyszli przed namiot. W powietrzu było cicho, krzyki torturowanych nie rozlegały się już od dłuższego czasu. Pożar przestał huczeć: płomienie przypadły do ziemi i ukryły się w poczerńiałej trawie. Z okopconych ruin wywalał się gęsty drapiący gardło dym i kłębił nisko nad płaskimi dachami domów, niby czarny sztandar kalifa ponad spoczywającym wojskiem. Słońce przechyliło się ku zachodniej stronie nieba i staczało się po niej szybko, prosto na urwisko Karmelu. Wezwana przez Bajbarsa służba podprowadziła Hettumowi konia.

— Bądźcie zdrowi — powiedział siadając na siodło. — Niech was Jezus i Maryja mają w swej opiece.

— I wam zdrowia, tagawor. Oby Allah prowadził was w drodze.

Patrzył długo za odjeżdżającym. Dym dolatywał aż pod namiot, podobny górskiej czołgającej się mgłę, która przysła z dolin. Całe stado sępów krążyło cierpliwie wielkim kołem nad wymarłym miastem. Dźwięk głosów ludzkich, prychanie koni, stuk kopyt o kamienie rozlegały się przejmująco w sprężonej ciszy oczekiwania i smutku. Opuścił głowę i wtedy przypomniał sobie o pierścieniu na palcu. Zapomniał go oddać królowi Armenii — pierścień zdjęty z martwej ręki. Zwykł był śmiercią płacić zdrady, z których

korzystał. Lecz ci, co zabijali Brochamiosa, zabili i ją, niewinną... Szkoda... Była ładna. Nie pragnął jej dla siebie. Wyrzekł się kobiet — dla zwycięstwa. Ale jemu oddałby ją żywą, jak Lewona, jak odesłał zwłoki Torosa. Może — może jeszcze i wiele innych rzeczy, gdyby mógł... Gdyby mógł mu powiedzieć: bracie...

— Panie... — posłyszał. Człowiek giął się w niskim, lęklwym ukłonie.
— Panie... wszyscy poumierali...

— I co? Powiedzieli? — zapytał.

Głos Mameluka zaczął się trząść.

— Nie, panie... nie oszczędzałem... ale nie powiedzieli...

Bez słowa odwrócił się i wszedł do namiotu. Zatarł ręce. Poczul zimno w całym ciele. Rzucił się na poduszki w to miejsce, z którego powstał, by odprowadzić Hettuma. W namiocie szarzał mrok, na pustym stołku po przeciwnej stronie stołu leżała kolumna cienia. Jakby miał przed sobą rozmówcę, powiedział półgłosem w tamtą stronę: „Będziemy jeszcze walczyć...”

4

Głos wielkiego mistrza rozległ się tragicznie pod rozjaśnionym słońcem sklepieniem katedry wśród stłumionych oddechów zebranych:

— Nasi bracia walczyli nieustępliwie czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Robiono codziennie wypady, ponieważ Saracenowie nie przestawali robić podkopów. Ten szatan, sam razem ze swoimi, z łopata w ręku wgryzał się w ziemię i wspinał na mury. Jego katapulty obrzucały miasto i zamek nieprzerwanie gradem kamieni. Atakował dniem i nocą, w święto i w dzień powszedni. Zatruto naszym wodę. Nie mieli co jeść. W mieście szalała zaraza. Dziewięćdziesięciu braci poległo, reszta ledwo trzymała się na nogach. Nie mogli bronić się dłużej. Zwrócili się do sułtana z propozycją poddania miasta oraz zamku. Zgodził się, zapewniając życie wszystkim rycerzom i żołnierzom Szpitala, którzy opuszczą Arsuf. Ale gdy nasi wyszli za bramę, kazał swoim uderzyć na nich. Stu siedemdziesięciu braci zdradziecko napadniętych zginęło pod mieczami Mameluków. Ich ciała nie pozwolił pogrzebać. Kazał uciąć im głowy, a tułowia zostawił dla sępów i szakali. Oto jest cała prawda o zdobyciu Arsuf. Wasza dostojność, czcigodny patriarcho, wasza dostojność, książę, krew naszych braci woła o pomstę i bije jak toksin! Ten potwór nie szanuje żadnego układu. Zawzjął się na chrześcijaństwo

i grozi mu zagładą. Jeżeli mu się nie przeciwstawimy, za miesiąc najdalej rozpocznie szturm do bram Acre. Ten Bajbars to bestia zapowiedziana przez świętą księgę Apokalipsy! To prawdziwy Gog, król Magogu! Panowie, baronowie królestwa, radźcie, co czynić, by powstrzymać jego piekielne zapędy. Chrześcijaństwo w niebezpieczeństwie!

W śmiertelnej ciszy, w której zastygły oddechy obecnych, Revel usiadł z powrotem na ławie. Oczy zebranych od postaci wielkiego mistrza pobiegły ku regentowi obu królestw, księciu Hugonowi Antiocheńskiemu. Na jego poważnej, pełnej opanowania i rozwagi twarzy malowała się troska. Przybył na zebranie baronów wprost z okrętu, na którym przyplłynął z Cypru. Był szybki w swych decyzjach: zaledwie doszła go wieść o upadku Cezarei i Kaiffy, natychmiast odpłynął z Limassol. Ale wypadki biegły szybciej: w Acre powitała go wiadomość o zniszczeniu przez Saracenów Atlith i zagładzie Arsuf, które przed rokiem zostało sprzedane przez Baliana Ibelina szpitalnikom.

— Czy pozwolicie, wasza dostojność... — zwrócił się do patriarchy.

Arcybiskup Lentino skinął głową.

— Mówcie, książę, słuchamy z niecierpliwością waszych słów. Oczekujemy od was rady i pomocy. Chwila, którą przeżywamy, jest równie straszna jak ta, kiedy Saladyn po zwycięstwie pod Hattim zajmował miasto za miastem.

Książę Hugo powstał. Rozłożył dłonie, a potem splótł je jak do modlitwy. Miał oczy spuszczone, dolną wargę wysuniętą. Potem podniósł głowę i powiódł wzrokiem po zebranych. Stali tu przed nim murem seniorowie i wasale nie istniejących już obszarów królestwa. Bezdomna rodzina Ibelinów zgromadziła się cała w Acre, by przeżuwać swą dawną wspaniałość i zazdrościć swym kuzynom, którzy w czas postarali się o lenna na Cyprze. Półślepy, stary Jan Ibelin z Jaffy, którego miasto z niezrozumiałych powodów Bajbars dotychczas oszczędzał, siedział pośrodku w głębokim karle z dłonią wygiętą przy uchu, aby lepiej słyszeć. Obok niego stali: balius królestwa Balian Ibelin, tytułarny już tylko senior Arsuf, smutny i niepokieszony od czasu śmierci królowej Plezencji, oraz Julian, senior Sydonu, któremu za długi templariusze zabrali zamek Beaufort. Hugo widział także innych Ibelinów, a wśród nich rycerza Alemana, seniora Cezarei. Godfryd de Sargines siedział na ławie z głową okręconą bandażem, był bowiem ranny w starciu z Mamelukami, którzy się niedawno zapędzili aż pod bramy Acre. Po obu jego stronach zajmowali miejsca wielcy mistrzowie Szpitala i Templum,

pierwszy w krwawoczerwonym, drugi w białym płaszczu. Z przeciwnej strony w otoczeniu swych synów i wasali rozpiął się na ławie senior Tyru, Filip de Montfort. Wszyscy ci baronowie zjechali się tutaj, by radzić nad niebezpieczeństwem, które większość z nich wyгнаło z ich zamków. Wszyscy oczekiwali od Hugona cudu. Ale on nie uważał się za cudotwórcę. Był człowiekiem energicznym, zaradnym i ofiarnym. Gotów był podjąć się ostatniej próby obrony resztek królestwa. Opanowanym głosem rozpoczął swoje przemówienie:

— Dostojny patriarcho, dostojni biskupi, dostojni rycerze! Gdy przyjmowałem z waszych rąk ofiarowane mi zaszczytne stanowisko regenta, miałem w pamięci świadomość czekających mnie obowiązków. Usłyszawszy o niebezpieczeństwach, które zagroziły królestwu, natychmiast przybyłem tutaj, a moi rycerze są już w drodze. I na Grób Święty! Nie odjadę, póki nie uradzimy skutecznych środków obrony. Lecz zanim będzie o nich mowa, zastanówmy się z całą szczerością i męską otwartością nad sytuacją, jaką mamy przed sobą. Teraz jest już chyba dla każdego rzeczą jasną, że sułtan Bajbars zdecydowany jest zepchnąć chrześcijan do morza i zagarnąć całą Syrię. Nie o jedno miasto mu chodzi, ale o wszystko. Odkąd opanował sułtanat damasceński i zamordował Kutuzę, zmierza ku temu z żelazną wytrwałością. Nie wiemy, gdzie uderzy. Ma szerokie plany. Jak mi pisze mój kuzyn, książę Antiochii, przed miesiącem po raz trzeci Saraceni próbowali zająć miasto przez nagłe zaskoczenie. Chodzą wieści, że w Aleppo robione są ogromne przygotowania oraz zbierane zapasy żywności, z czego należy wnosić, iż armia sułtańska stamtąd rozpocznie swój atak kierując go albo na Antiochię, albo na królestwo Armeńskie. Nie powinno nas to uspokajać ani odwracać naszej uwagi. Każde miasto stracone przez chrześcijan osłabia pozycje wszystkich pozostałych. Zresztą Bajbars jest przeciwnikiem podstępny i nigdy nie można być pewnym, czy przygotowując się do uderzenia na Antiochię nie myśli o spadnięciu na Acre. W Kaiffie, już stąd widać, jest zbyt wiele okrętów. Niewiele trzeba, aby je załadować i wtargnąć do portu. Wciąż mówię, pamiętajmy, że mamy do czynienia z człowiekiem odważnym do zuchwalstwa, bezwzględny i nieustępliwym. Wielki mistrz de Revel nazywa go szatanem. Być może, że nim jest. W każdym razie żyje on myślą zdrzutowania chrześcijaństwa. Jeśli chcemy mu się oprzeć, musimy mu przeciwstawić całą naszą siłę i całą jedność. Jedność! Szkoda nawet mówić o opozycji, póki są między nami kłótnie. Panowie! Odkąd sięgam pamięcią, nie było tutaj zgody. Owszem, panowała ona na chwilę, gdy trzeba było zwyciężyć

Filanghierich, a także przez cztery lata, gdy panował król Ludwik. Ale to były tylko krótkie przerwy w tej wojnie wszystkich ze wszystkimi. Dość tego! Na miłość Boską, panowie, czy nie wydaje się wam grzechem oczekiwanie na pomoc Bożą, gdy każdy z nas ma w sercu tylko nienawiść i gniew? Baronowie królestwa! Byliśmy i jesteście odpowiedzialni przed Panem Wszechmocnym za losy Ziemi Świętej wydartej z rąk niewiernych przez naszych wspaniałych przodków: Godfryda, Tankreda, Baldwina, Bohemunda i po raz drugi przez króla Ryszarda. Trzeba nam bronić tych resztek, a jeśli nam Bóg za karę za nasze grzechy pomocy swojej odmówi, musimy tutaj zginąć i krwią okupić swoje winy. Dlatego, jak przystało na rycerzy chrześcijańskich, w przeddzień śmiertelnej rozprawy wzywam was, panowie, wyrzeknijcie się wzajemnych uraz. Sire Ibelinie, hrabio de Montfort, czy nie wypada, abyście sobie podali dłonie, jak przystało na dwóch największych seniorów królestwa? Wielki mistrzu de Revel, wielki mistrzu Bérard, czyż nie powinniście zakończyć zgodą dawnych walk między szpitalnikami a templariuszami? Czcigodny baliusie republiki weneckiej, messer Dandolo, czy nie czas już najwyższy zapomnieć o wojnie o klasztor św. Saby i wpuścić z powrotem do portu flotę genueńską, aby także mogła być pomocna w obronie? Baronowie królestwa, nie liczcie zbyt wiele na mnie! Tylko własna postawa może jeszcze uratować królestwo. Ale chwila jest już ostatnia i daj Boże, abyśmy ją jeszcze mieli. Odrzućmy więc spory i gniewy! Gotujmy się do walki, która będzie dla wielu z nas śmiertelna, a dla tej ziemi decydująca. Baronowie! Jako regent tego królestwa, którego seniorem jest sam Chrystus, żądam, abyście tu, w obliczu Pana, po chrześcijańsku wybaczyli sobie wszystkie urazy!

Skończył, ale nie usiadł. Stał wyprostowany, pełen ognia wypowiedzianych słów. Baronowie tłoczyli się przed nim milcząc ze spuszczoneymi głowami. Nie śmieli wybuchnąć uragliwym śmiechem. On zaś mocno, nieustępliwie naciskał ich spojrzeniem. Wtedy powoli i opornie zaczął się między nimi ruch. Pan Tyru podszedł do seniora Jaffy i podał mu dłoń; zamiótlszy podłogę swym czerwonym płaszczem de Revel zbliżył się do Bérarda; cicho, w swych miękkich o długim szpicu trzewikach balius republiki weneckiej przystąpił do posła Genui, który przybył z Tyru w orszaku de Montforta, i skłonił przed nim głowę.

„Matko Boża! — myślał Lentino. — Oby w tym wytrzymali! Może wówczas będziemy ocaleni! Trzask przybijanych z zamachem dłoni, poklepywanie się po ramionach napęłniły kościół. Tu i ówdzie rycerze całowali

się hałaśliwie. Powstał rumor, który odbił się aż echem za murami katedry i przestraszył czekający na placu tłum. Ludzie porwali się do ucieczki myśląc, że rozpoczyna się nowa walka. Dopiero jakiś mnich wspiąwszy się po murze katedry, uczepony świętej figury począł krzyczeć:

— Nie uciekajcie, ludzie — chrześcijanie! Wielka zgoda zapanowała wśród baronów i rycerzy! Wszyscy razem pójdą przeciwko Saracenom!

— Bajki! — zawołał ktoś z tłumu. — Montfort nie pójdzie z Ibelinami!

— Pan z Tyru całuje się z panem Jaffy... — zapewniał mnich, trzymając się kamiennej postaci Apostoła. — Templariusze ze szpitalnikami...

Zapanowała niedowierzająca cisza. Ludzie wracali wolno przed fronton kościoła spoglądając po sobie pytająco. Czarna sylwetka mnicha miotała się zabawnie pośród wielkich torsów świętych zastygłych w swej kamiennej powadze. Wiatr łopotał proporcami baronów, które giermkowie zatknęli w ziemię przed katedrą. Nagle rozległ się wrzask kobiecy:

— Ludzie! Jeśli się całują, znaczy, że już po nas!

— Już po nas! — zawtórowało kilka głosów. — Widać nie ma ratunku...

— Koniec! Przepadliśmy!

— Boże, zmiłuj się nad nami grzesznymi...

Pierwsze szeregi poczęły klękać. Ludzie bili się w piersi. Szum głosów urastał w modlitwę:

— Boże, odpuść nam... Boże, w godzinę śmierci naszej....

5

Słońce dopalało się czerwono, lecz spokojnie: zasuwalo się za zębaty mur Anti-Taurusu. Nie było wiatru, najłżejszy powiew nie poruszał gałęzmi palm, które zwieszały się niby woale z pochylonych głów kobiet. Dwoje ludzi na tarasie milczało. Kobieta siedziała wyżej. Jej włosy przetykane siwizną upięte były w gładki warkocz widoczny spod niskiego czepca i otaczającej szyję chustki. Jedna z jej rąk opierała się na ramieniu mężczyzny, który przysiadł na niskim stołeczku u jej stóp. Teraz wyciągnęła palce i pieśczołliwie przesunęła nimi po jego kruczoczarnych włosach. Mężczyzna odwrócił się.

— Czy ci nie zimno, matko? — zapytał troskliwie. — Może wrócimy do pałacu? Wieczór...

— Nie — odpowiedziała. — Zostańmy. — Odchyliła się w tył i oparła głowę o gęstwę liści pokrywających mur zamku.

— Chcę być tylko z tobą... Nie mówiłeś mi jeszcze o dzisiejszej rozmowie.

— Tak... — przyznał. — Myślę o niej... Bajdu był grzeczny. — Zdawało mu się, że jeszcze widzi starego Mongoła o siwych nastroszonych brwiach i wąsach, o głowie wciśniętej w ramiona niby wielki dzik, jak szedł ku niemu wśród zapelniających salę tronową rycerzy i dworu. — Dziękował mi w imieniu chana za pomoc, jaką okazał ojciec żołnierzom Kitbuki, którzy po bitwie uciekli do Armenii. Zgodził się wysłać kilka mingganów na pomoc Bohemundowi. Ale nic więcej ofiarować nam obecnie nie może.

— Ani Hulagu?

— Hulagu zajęty walką z chanem Kipczaku.

— Więc jesteś sam, Lewonie?

Chłopięcym gestem potrząsnął głową i odwróciwszy się położył policzek na kolanie Zabel.

— Nie — powiedział. — Przecież ty, matko, jesteś ze mną i wiem, że mnie nie opuścisz. Nie boje się Bajbarsa. Niech przyjdzie tu do nas w góry! Znajdzie nas gotowych. Będziemy się bili i nie damy się. Doczekamy chwili, aż Mongołowie zakończą swoje spory i powrócą.

Czerwień zachodu paliła jej policzki. Zanurzyła głowę głębiej między liście. Zamknęła powieki, zacisnęła usta. Ogarniał ją bezwład i pragnienie żalostnego płaczu. Ale przeciwstawiła się swej rozpacz, swej chęci bronienia się łzami przed ciągłością wysiłku. Wyprostowała się, zwróciła twarz w stronę szkarłatnego blasku i uśmiechnęła się.

— Naturalnie, że jestem z tobą — powiedziała pewnie, jak mówi mężczyzna. — Doczekamy się Mongołów. A cóż ci jeszcze mówił Bajdu?

— Bajdu to nie Kitbuka... — zaszepił się. — Powiedział: „Co chan obiecał, będzie spełnione.” Ale nie chciał przyjąć błogosławieństwa patriarchy. Twierdzi, że woda święcona odbiera ludziom prawość, a chrześcijaństwo osłabia ich wobec zła.

— Czy możesz mieć do niego żal o to, że tak myśli? — zapytała łagodnie.

— Nie — przyznał. — Powiedział jeszcze: „Porzuć, szoggunie, swoją

wiarę, która wiąże cię z umarłymi. Chodź z nami. Podbijemy świat dla kagana.”

— Cóż mu na to odpowiedziałeś?

— Odpowiedziałem: Mylisz się, nojonie. Chrześcijanie nie są ludźmi umarłymi. Wy, Mongołowie, wierzycie, że wasz bóg umiera w jednym człowieku i zaraz rodzi się w drugim. My wierzymy, że tak samo jest z Chrystusem: umiera On w chrześcijanach, gdy zgrzeszą, lecz zaraz rodzi się na nowo...

Przyjaźnie nawinęła na palec kosmyk włosów syna i pociągnęła lekko.

— I patriarsze podobało się takie tłumaczenie?

W odpowiedzi zaśmiał się cicho.

— Nie bardzo. Zganił mnie potem, że porównuję Jezusa i Buddę. On mówi, że Chrystus żył jako człowiek tylko raz i raz umarł. Teraz żyje jako Bóg w Kościele — i już nie umiera.

Znad głowy syna podniosła wzrok wyżej na czarny i groźny łańcuch górski. Słońce było już po tamtej stronie, na zboczach Parcerpert, i tylko spoza szczyrb grzbietu wysuwało na niebo swe czerwone palce, jakby wielką dłoń powiewającą na pożegnanie. Od rozpostartych na skalistych półkach śniegów powiało chłodem.

— Patriarcha na pewno wie lepiej niż my — powiedziała. — Bóg nie umiera... Ale może Bóg — podjęła po chwili ciszej — ukrywa się...? Znika, pozostawiając nas samych w pustce i w samotności? Jakby chciał, abyśmy wszystko rzucili i Jego tylko szukali. Próżno czepiamy się uczuć, niby suchej gałęzi. Gałąź pęka... — westchnęła. Palce słońca obsuwały się niżej, jakby ten ktoś podnoszący dłoń w górę odchodził. — Zaczynam pojmować twego ojca.. — szepnęła.

Poruszył się niechętnie.

— Ojciec zrobił niestuszenie odchodząc — rzekł. — Nie rezygnuje się z walki. Tylko ty, matko — w radosnym poczuciu odzyskanego dobra przycisnął usta do jej ręki — tylko ty zostałeś mi wierna!

Bez słowa poczęła na nowo gładzić jego włosy. Były takie same jak włosy Hettuma. Tamtych nie dotknęła nigdy dobrowolną pieśczołą. Ale dziś, gdy cały świat jej uczuć leżał w gruzach, wydawało się jej, że i ona mocniej czuje dotknięcie miłosierdzia. Wspomagając Lewona, mogła pozostać wierna tamtym dwóm, z których jeden nie żył, a drugi odszedł na zawsze.

Tak, to prawda: Hettum zostawił ich dwoje na dziedzictwie, którego utrzymanie wymagało wielkich wysiłków i pracy. Odszedł porywczo, jak ktoś, kto rzuca rzecz bez wartości dla wielce cennej. Lecz w tym geście nie odnajdywała pogardy. Raczej — ciszę posłuszeństwa. Jej mąż nie mógł być dłużej między nią a sprawa. Za bardzo, myślała, wyrósł... Może dlatego, że był dla niej zawsze wrogiem i obcym, mogła teraz zobaczyć jego drogę pełną szamotań. Tyle rzeczy stało się dla niej jasnych. Zdrada Torosa... Miłosna kancona dobiegła końca. Ale ona nie mogła na nią odpowiedzieć. Przegrała miłość wtedy, gdy ją spostrzegła.

6

Wasza Świątobliwość...

Urban IV przemógł usypiającą go słabość. Jego serce pracowało leniwie, posuwało się ciężko jak wóz zaprzężony w śmiertelnie znużone konie. Ściany pałacu wyłożone ciemnymi draperiami niedostrzegalnie zanurzały się w noc. Złoty krąg blasku, który niby pajęczyna opinał świecznik, drgał od czasu do czasu odpowiadając zaledwie słyszalnym wstrząśnieniom gdzieś w trzewiach budynku i kościoła.

— Czego pragniesz, mój synu?

— Czujecie się źle, prawda? — kardynał Castiglione poprawił poduszki podłożone pod plecy i głowę papieża. — Czy nie należałoby odwołać jutrzejszej uroczystości? I może byłoby lepiej, abyście się jeszcze raz, Ojcze święty, namyślili, czy słuszną rzecz nakazaliście...

Żalonym protestem przeciwko tym słowom Urban dźwignął się na swym fotelu:

— Nie — powiedział — nie. Nie będę się już namyślał, nie cofnę się. Zbyt długo się namyślałem. Bądź spokojny, synu. Jutro będę miał dość sił, by wynieść Jezusa z bazyliki i ponieść Go przez miasto do Matki Bożej Śnieżnej...

— A jednak — kardynał podciągnął osłaniające kolana starca okrycie — czy nie boicie się, wasza Świątobliwość, że jakaś obraza może spotkać Najświętszy Sakrament? Przecież wyniesiecie samego Boga między ludzi grzesznych. Król Jakub Aragoński zabronił stawiania figur świętych przy drogach, by nie uległy sprofanowaniu. Pewno — jutro strażę będą pilnowa-

ty... Ale jak będzie gdzie indziej? Wszak chcecie, by to święto obchodził cały świat chrześcijański!

— Tak, cały świat — potwierdził. Zbierał siły dysząc ciężko, by odpowiedzieć kardynałowi. — Mówisz o obrazie. Więcej, wierz mi, obrażamy Jezusa w sercu, niż obrazić Go można na ulicy. Pan nasz przebywając widomie na ziemi nie bał się ocierać o ludzi złych i grzesznych, wchodzić w tłum, w którym się popychano i ciśnięto, zaglądać do mieszkań pełnych ludzkiej nędzy i słabości. Na pewno Mu tam nieraz nie oddano należytego szacunku. Ale On na to nie zważał. Nie po swoją chwałę przyszedł między ludzi, ale dla nich przyszedł. Przyszedł i pozostał na ołtarzach, by każdej naszej słabości śpieszyć z pomocą. Mamy Go między sobą. I nie obrażamy Go tym, żeśmy nędzni... To nierozsądek wymagać od ludzi, aby najpierw się zmienili, a potem dopiero przychodzili do Niego. Słowo Boże jest wszystkim, jest początkiem. Ono samo przychodzi. Zmieniło się w kawałek chleba i w łyk wina, ale gdy nam groziło zwątpienie, to wino trysnęło żywą krwią na korporal w Bolsena... Czytałeś ten piękny hymn, który ułożył brat Tomasz na jutrzejsze święto? Krew stała się winem, byśmy ją mogli pić, my pielgrzymi... Wierz mi, synu: chciałbym jutro wyjść z kościoła z kielichem nie na Rzym tylko — ale na cały świat! Stary jestem i znam życie. Zjeździłem ziemię chrześcijańską od krańca do krańca. Wozilem poselstwa, wezwania, pochwały i nagany, błogosławieństwa i klątwy. Dziś wiem... Byłoby inaczej, gdybym był szedł do ludzi z Jezusem, tylko z Jezusem...

Głos starca był coraz cichszy. Ostatnie słowa zaledwie można było usłyszeć.

— Sądzicie, Ojczy święty — w słowach kardynała zabrzmiało powątpiewanie — że to święto stanie się cudem odmiany życia chrześcijan?

— A tak... tak... cudem... — znowu dyszał starczy głos. — Tyle jest koło nas cudów! Każda przemiana na ołtarzu. Cud jest zawsze, gdy chrześcijanie są z Nim... Tylko trzeba być bliżej, bliżej... Chrześcijanie chcą za Chrystusa walczyć, bronić Go... Jego nie trzeba bronić... Nie... Jego trzeba...

Kardynał Castiglione poruszył lekko ramionami. Urban mówił coś jeszcze cicho i niezrozumiale, ale on go nie słuchał. Był zmęczony czuwaniem, sądził, że papież majaczy. Szept mieszał się z ciężkim urywanym oddechem chorego. Poprzez mury Lateranu dochodził stukot młotów: to zbijano podniesienie na ołtarz przy zewnętrznej ścianie kościoła.

— Synu... — doszedł go szept bardziej wyraźny. Wstał i pochylił się troskliwie nad leżącym.

— Czy gorzej się czujecie, Ojczy święty? Może wam coś podać? Najlepiej obudzę medyka.

— Nie, nie... — starzec zmagał się ze swą słabością. — Nie... Nikogo nie budź... Czy wiesz, co On jej powiedział? — zapytał nagle.

— Komu, wasza Świątobliwość?

— Ewie, pustelnicy... Mówił: cierpię od niewiernych, ale stokroć bardziej cierpię przez was... Póki byliście mi wierni, miałem związane ręce mej sprawiedliwości... Dziś moja krew leje się bezpożytecznie. Przypomnijcie sobie o niej! Zobaczcie, jak wśród waszych sporów umieram bez końca...

Castiglione otarł chustką czoło starca, na którym perlił się pot.

— To słowa niepewne — zauważył. — Pełno dziś przeczulonych zakonnic, a każdej z nich się zdaje, że słyszy samego Chrystusa. Choćby ta, o której pisał arcybiskup Wilbrand z Magdeburga. Podobno półszalona...

Dotknięcie zimnej dłoni zatrzymało go. Zobaczył, że papież ma szeroko rozwarte oczy.

— A słowa, synu... same słowa... czy ci nie wystarczą? To nieważne, kto je słyszał... Takie słowa... tylko On mógł je wypowiedzieć...

Z trudem, wsparty na rękę kardynała łyknął kilka kropel napoju, który przygotował medyk. Znowu opadł z jękiem. Młoty i siekiery wciąż stukały, płomień świecy drgał, jakby podskakiwał ze strachu. Papież na nowo zaczął mówić, niewyraźnie i bełkotliwie.

— Czy chcecie czego, Ojczy święty? — Castiglione z wysiłkiem wrywał się z objęciem ogarniającej go drzemki.

— ...tylko On... — mówił chory, jakby nie słyszał pytania — tylko On... Im więcej grzechów, tym więcej miłosierdzia... *Felix culpa, felix culpa...* Ludzie gorsi, On — coraz miłosierniejszy. Nie wystarcza Mu, że za nas umarł. Jeszcze siebie... nam przed oczy... My upadamy, błądzimy, odchodzimy, uciekamy, gdy nas woła, nie umiemy Mu zaufać, psujemy... A On naprawia... Lepiej niż było... *Mirabiliter condidisti et mirabilius reformasti...* Dwie historie świata, synu, dwie... Ja do Matki Bożej Śnieżnej... Ale potem... dalej...

Głos zgasł nagle jak zdmuchnięta świeca. Papież zapadł w poduszki. Otwarte usta drżały, pierś poruszała się gwałtownie. Castiglione zerwał się

z miejsca i pochylił się nad chorym. Zastanawiał się, czy już uderzyć w srebrny dzwon zawieszony przy drzwiach na tkanej taśmie. Ale cienkie fioleto-we powieki podniosły się powoli w górę, a na zbielełej twarzy zapaliły się czarne oczy syna szewca z Troyes.

— Ojcie święty, wydajecie się bardzo chorzy... Naprawdę, obudzę lekarza... I jutro trzeba...

Uspokoił go lekkim ruchem głowy.

— Nie... nie... — wyszeptał — to nic... — Niespodziewanie uśmiech ogarnął ściągnięte policzki i zaostrome rysy chorego. — Całe życie uciekałem... — podjął niezrozumiale. — Bóg doścignął... dość sił... dosyć... na jutro...

7

Kolorowy tłum zaczął się wywalać z kościoła i spływać najpierw na szeroką platformę tarasu, a potem po schodach w dół. Pierwsi wychodzący zbiegali szybko, lecz gdy masa stała się gęsta i zwarta, posuwanie jej zaczęło przypominać wahający się i powolny spływ lawy. Nad ciżbą wznosiły się chorągwie, figury świętych, krzyże, obrazy. Straż papieska ustawiała ludzi, tworzyła z nich procesję. Setki dzwonek rozlegało się świergotem. Równocześnie podniosła się pieśń. Ludzie wychodzili i wychodzili z bazyliki, zmieszani początkowo, ale zaraz rozpadający się na grupy cechów, bractw i związków. Gromadka wiernych ledwo znalazłszy się na placu, na znak dany przez człowieka stojącego w ich kole, poczęła zrywać z siebie odzienie. Ledwie inni zrozumieli, o co chodzi, już stał sznur obnażonych do pasa mężczyzn i kobiet z batami z powrozów w ręku. Zanim biczownicy rozpoczęli swój pochód, pośpieszyli żołnierze i rozpedzili ich nie skąpiąc uderzeń. Śpiew rósł, w miarę jak coraz większy tłum wydobywał się z kościoła. Szły zakonnice, zakonnicy z zapalonymi świecami w ręku: buro odziani franciszkanie, czarno-biali dominikanie z mistrzem pałacu papieskiego między sobą, potem benedyktyni, cystersi, augustianie, kanonicy regularni, premonstranci, karmelici przywiezieni przez króla Ludwika z Ziemi Świętej, krzyżowcy z Clair-Lieu z czerwono-białymi krzyżami na habitach, serwiści z Monte Senario, trynitarze od wykupu niewolników z rąk niewiernych i temu samemu celowi służący zakon Najświętszej Maryi Panny de Mercede, szpitalnicy św. Antoniego, lazaryści, szpitalnicy Św. Ducha. Golone głowy płynęły masą

niby banie piany na wzburzonej powierzchni potoku. Pieśń potężniała. Nakryci płatami sukna niewidzialni ludzie nieśli na swych barkach święte figury. Potem jak śnieg rozsypało się po schodach mrowie dzieci w białych sukienkach, z główkami ubranymi w wieńce z kwiatów. Bicie dzwonnów stało się gwałtowne niby rejdach ptaactwa przed odlotem. Były także dzwony z wież — i te nad głowami tłumu dzwony od św. Jana, i inne, z wszystkich bazylik i kościołów rzymskich. Buchnęły kłęby niebieskiego dymu z trybularzy. A wtedy ci, którzy nie szli naprzód, ale zatrzymali się z boków tarasu, zaczęli się wspinać na palce i patrzeć ciekawie wyciągając szyje. Podtrzymywany przez dwóch kłęzących jak i on kardynałów, niesiony na odkrytej i płaskiej lektyce Urban IV ukazał się nad głowami ludzi. Umierający starzec trzymał w drżących rękach kielich, a nad nim Hostię. Na ten widok zapanaowało w tłumie głębokie milczenie, a potem wybuchnął krzyk zagłuszający śpiew. Ludzie nie wiedzieli, dlaczego krzyczą, dlaczego cieszą się, dlaczego wymachują rękami, kapeluszami, chustkami, dlaczego klaszczą w ręce. Po raz pierwszy od setek lat rozgorzałe słońce dotknęło zuchwale białego Płatka, zawsze starannie ukrywanego w mrocznych głębiach kościołów. Dotknęło, prześwietliło go, rozsypało skry wokół kielicha. Krzyk zmieszany z dźwiękiem dzwonnów i dzwonnów nie ustawał. Lektyka zatrzymała się na skraju tarasu, jakby zastanawiając się, czy spłynąć w tłum miotający się niby wzburzone morze. Tymczasem czoło pochodu zakręciło wokół placu przed katedrą, minęło wyzłoconą mozaikami niszę — Triclinio Leoniano — potoczyło się skrajem wzgórza, pod zbutwiałyimi arkadami wodociągu Klaudiusza. Wąż ludzi sunął wypełniając sobą przestrzeń między pałacem a murami szpitala. Stąd widać było miasto: Awentyn osnuty mgłą za garbem Celius, poza szpitalem i okrągłą świątynką św. Stefana, ukrytą wśród drzew: Palatyn — urwiste wzgórze zieloności sięgające nieba stożkami cyprysów, a u jego stóp stłoczoną masę domów i domków, pałaców i lepianek, zamków, luków, kolumn wyrastających z ziemi jak bezlistne drzewa.

Koloseum przypominające kształtem potworny gołębnik; zielony Eskwilin, gdzie drzewa splatają się z ruiną, zakończony rozłożystą sylwetą Santa Maria Maggiore. Ulica szła w dół, ludzie poczuli się nią tłoczyć. Lektyka opuściła wreszcie taras. Nie spłynęła lekko. Ludzie, którzy ją nieśli, schodzili ostrożnie po schodach. Grupa kłęzących z połyskliwym kielichem w górze zdawała się drzeć. Niezgrabne zwierzę stawiało niepewnie nogi, by nie stracić gwiazdy wiszącej nad czołem. Krzyk ludzki ucichł. Przeszedł znowu w pomieszany, zgiełkliwy dźwięk dzwonnów i w śpiew. Zataczając

półkole na placu ludzie powtarzali nową pieśń, której słowa rozpisane na tysiącach kartek papieru rozdane były między uczestników nabożeństwa:

*Lauda, Sion, Salvatorem,
Lauda Ducem et Pastorem
in hymnis et canticis
Quantum potes, tantum aude,
quia maior omni laude
nec laudare sufficis...*

Ten, który był autorem pieśni, gruby spocony brat dominikański, szedł niedaleko za lekturą oddzielony od niej szkarłatną ławą kardynałów i fioletową barierą biskupów. Nad głowami w mitrach i nad głowicami pastorałów widział dłonie trzymające najwyżej wysiłkiem woli biały Krążek — i mógł się weń wpatrywać. Myśl zakonnika pracowała jak zwykle równo, składnie, nieustępliwie logicznie budowała kryształowe schody wniosków i dedukcji o matematycznej precyzji. Zdania, które tworzył, kreślił i znowu zapisywał w ciszy klasztoru u stóp wielkiego krucyfiks, zdawały mu się wciąż nie dość pełne treści. Już teraz nie był pewny, czy nie należałoby powiedzieć jeszcze jaśniej i jeszcze krócej:

*Sub diversis speciebus
signis tantum et non rebus,
latent res eximiae.
Caro cibus, sanguis potus:
manet tamen Christus totus
sub utraque specie...*

Życie, myślał, to wieczna groźba zamierania. W naszym doczesnym ciele musimy odżywiać się chlebem, aby wciąż przeciwstawiać nowe siły rozkładowi materii. Tak samo nasz duch: wlatuje, lecz opada, a najwyższy nawet jego lot skręca w końcu ku ziemi. Nie wystrzelamy w niebo jak cyprys; przeginamy się w piasek jak fontanna. Każda chwila naszego życia grozi załamaniem lotu. W każdej chwili może obudzić się bezwład. I tylko jeden jest ratunek, jeden sposób na to wyczerpywanie się porywu, na gaśnięcie energii, na kończenie się człowieka. Właśnie to:

A sumente non concisus

*non confractus, non divisus:
integer accipitur...*

Tak, myślał i patrzył oczami pełnymi łez, tak... Nic się nie dzieli, nie słabnie. Moc pozostaje i trwa. On jest zawsze cały, wszystek we wszystkim. Nietknięty i wciąż przywołujący. Jak teraz choćby... Idzie nad ulicami najbardziej grzesznego miasta. Nie żałuje siebie nikomu. Chce być dla każdego. I starczy Go dla każdego.

*Sumit unus, sumunt mille:
quantum isti, tantum ille,
nec sumptus consumitur...*

Dla nich wszystkich, dla tego wielotysięcznego tłumu cechów, bractw, zakonów, duchowieństwa, rycerzy, mieszczan, chłopów przybyłych ze wszystkich stron. Procesja, nad którą niby łódka na niespokojnej wodzie płynęła lektyka ze starcem trzymającym Boga, schodziła ze wzgórza. Jej czoło wstępowało już wyżej, niby w bramę, między kościół św. Praksedy i św. Wita. Nowe tłumy stały na tarasie bazyliki Matki Bożej. Ogon pochodu dopiero teraz opuszczał plac przed Lateranem. Na samym końcu wlekli się żebracy, cała armia: owrzodzeni, o kulach, zaledwie ukrywający pod łachmanami swoją odrażającą nagość. Łapczywie zbierali grosze, które idący w procesji rzucali na ziemię. Plac opustoszał.

Tylko dwaj ludzie pozostali po przejściu procesji. Byli bosi, mieli na sobie wyskubane franciszkańskie habity ściągnięte sznurem. Nasunęli na głowy spiczaste kaptury. Niższy odezwał się do towarzysza:

— I cóż, bracie Makary, widzieliśmy wielki dzień, prawda? Ale teraz już pójdziemy. Czas w drogę...

— Czas... — przyznał tamten. Ciężko, jakby już znużony długą wędrówką, ruszył z miejsca. Dzwony łopotały nad wyludnionym placem. — Chciałbym już być na miejscu... — westchnął.

— Och — uśmiechnął się pierwszy. — Pilno ci? Daleką mamy drogę przed sobą i nieraz czekają nas zmęczenie i zwątpienia. Ale tak już jest, bracie. Droga do nieba to nie kosztowanie jego słodyczy już tutaj.

— A jednak... — mnich nazwany Makarym zatrzymał się i mocno zacisnął dłoń na swym kijku podróznym. — Czyż żadnego znaku nie można tutaj otrzymać? Zostawiłem Lewona...

Pod nisko opuszczonym kapturem widać było zaciśnięte boleśnie usta. Z długimi pątniczymi laskami w rękach wyglądali na owczarzy, którzy się oglądają za zgubioną trzodą. Jego towarzysz wziął go za rękę.

— Nie trap się — powiedział. — Zawierz Bogu i staraj się mieć serce lekkie. Chodź. Jest wiele dróg Bożych — ciągnął — a na nich zwycięstwa i triumfy. Ale wszystko może być Bożym znakiem. I o syna się nie martw. Nikt nie jest pozostawiony samemu sobie.

Rozmawiający szli w stronę bramy św. Jana. Ulica była wyludniona, małe lepianki poprzyczepiane niby jaskółcze gniazda do ułamków starych murów wydawały się puste. Wszystko, co żyło w Rzymie, wędrowało teraz w dół i w górę za lektyką papieża. Z dala, ponad ruinami zmagającymi się z drapieżną zielonością, płynęły zwrotki pieśni:

*Ecce panis Angelorum
factus cibus viatorum:
vere panis filiorum...*

— Nie mam lekkości w sercu, Wilfrydzie — wyznał żałośnie. — Wciąż mi się wydaje, że chcąc Mu służyć, przez moją niegodność uczyniłem właśnie przeciwnie.

— A skąd wiesz, czym my Mu służymy najlepiej? I Judasz Mu służył, choć kradł z kieski Apostołów, i Piotr — choć porwał się na Malchusa. Miecz jest grzechem naszej słabości. I tylko świętość okupuje słabość.

Minęli bramę. Biały szlak przecinający szmaragdową campanię rzymską rozwarł się przed nimi i wchłonął ich. Szli teraz prędzej, bez wahań, ale statecznie jak ludzie, którzy mają przed sobą wielki szmat drogi.

— A Tartarzy? — zapytał po chwili. — Ich chrześcijaństwo zginie...

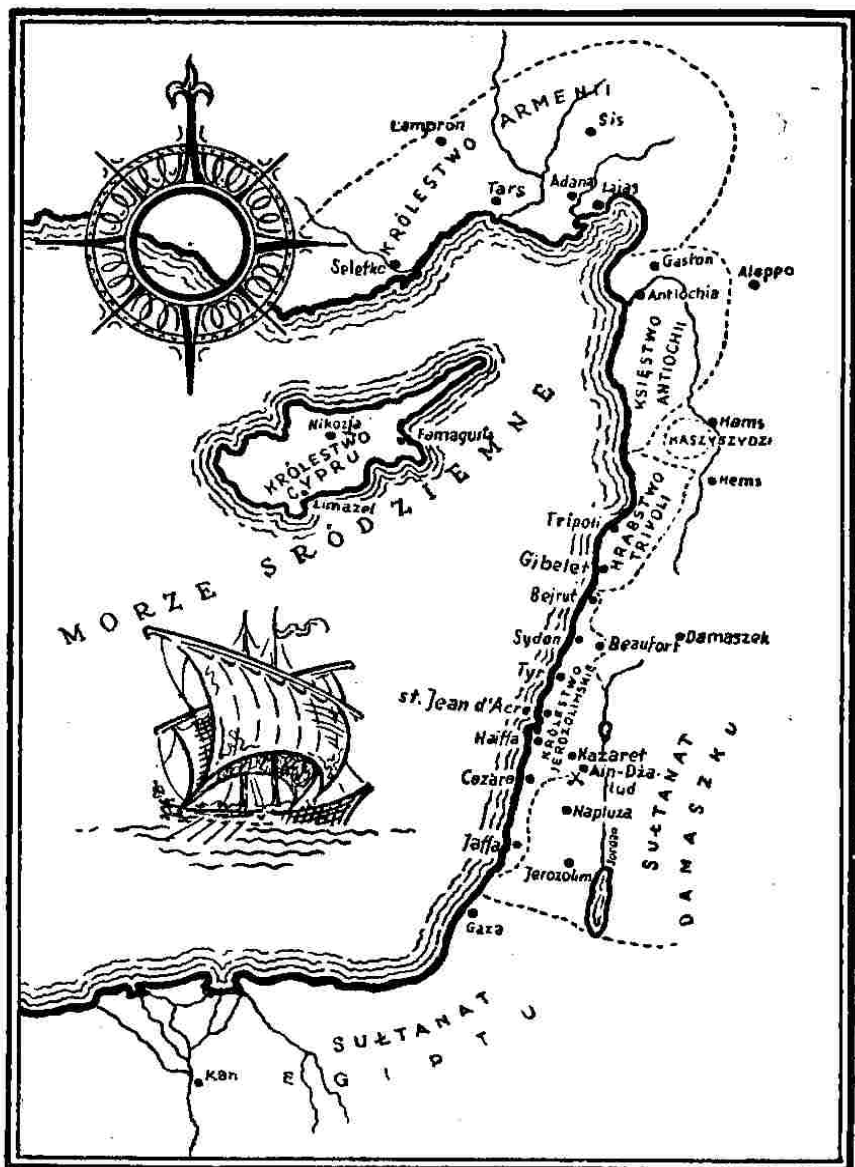
— Idziemy właśnie do nich, by nie zginęło — odparł Wilfryd. Mały zakonnik podniósł w niebo swą brzydką, lecz pełną radości twarz. Nabrał humoru i oddychał lżej, odkąd opuścili stłoczone mury i szli gościńcem, który zdawał się nie mieć końca i prowadzić w bezkresne błękitne niebo. — Będziemy siać...

Nagle w rozdzwonionym mieście, które zostało za nimi, podniósł się taki hałas, że zatrzymali się obaj i odwrócili. Kopuła nieba dygotała od srebrnego dźwięku, który odbiwszy się od niej leciał na pola między cyprysy

i białe nagrobne kamienie starożytnych Rzymian spoczywających w cieniu pinii.

— Słyszysz? — zapytał Wilfyd. — Teraz uderzyły dzwony od Matki Bożej Śnieżnej. Ojciec święty już tam doszedł. Jakie to piękne: zaniósł Syna Matce, by Ona dała Go wszystkim.

Czas jakiś stali nieruchomo wsłuchując się w radosny krzyk dzwonów. Ale gdy twarz Hettuma poczęła się znowu zasepiać, Wilfyd dał znak, by szli dalej. Po białych kamieniach człapały ich stopy i stukały kije. Mały zakonnik zwrócił się do towarzysza. — Czy ci mówiłem — zapytał — co to jest radość doskonała według nauki ojca naszego, Franciszka?



Państwo Krzyżowców w połowie XIII w.

OD AUTORA

Wbrew wielu krytykom, którym nie podobały się posłowania, jakimi opatrywałem swoje powieści historyczne, nie mogę się po wstrzymać, aby przynajmniej kilku słowami nie uzupełnić niniejszej książki. Nie ma w tym akcie chęci „przemagania” cudzych opinii, jest jedynie przekonanie, że czytelnik, który przygląda się jakiemuś mniej znanemu okresowi historii w artystycznej wizji pisarza, chce także wiedzieć, w jakim stopniu ma do czynienia z fantazją, a w jakim z prawdą historyczną.

Otóż pragnę zapewnić tych wszystkich, którzy zechcą z tego zapewnienia skorzystać, że historia Hettuma, króla Armenii, jest historią prawdziwą. Hettum istniał. Ożenił się w 1226 r. z Zabel (Izabel?), córką ostatniego króla z dynastii Rupenów, Lewona (Leona) II Wielkiego, „zlikwidowawszy” przedtem (właściwie zrobił to jego ojciec, balius królestwa armeńskiego) małżeństwo Zabel z Filipem, młodszym synem Bohemunda IV, księcia Antiochii. Ukoronowany w tymże 1226 r. Hettum okazuje się królem dzielnym i mądrym. Opanowany ideą zniszczenia islamu przy pomocy Mongołów, udaje się w r. 1254 do Karrakorum, do wielkiego chana, u którego przedtem, w 1247 r., był jego brat, Sempad. Nie jest wykluczone, że idea szukania porozumienia z Mongołami popierana była także przez króla Ludwika IX.

13 września 1254 r. Hettum jest przyjęty w Karrakorum przez chana Mongkę (Mangu). Wedle relacji mnicha Haytona (*Le Flor des Estoires de la terre d'Orient*) „cesarz Mongka przyjął go bardzo godnie i świadczył mu tyle łask i honorów, że ludzie mówią o tym aż po dziś dzień. Potem, kiedy już król Armenii (Armenii) przebywał przez parę dni, złożył on swe prośby cesarzowi Tartarów Prosił, aby pokój wieczny i miłość były między Tartarami a chrześcijanami. Także prosił, aby we wszystkich ziemiach, jakie Tartarzy zdobędą lub nabędą, kościoły katolickie, księża, kler i osoby duchowne były wolne i zwolnione od wszystkich służb. Wreszcie król prosił, aby Mango Kan pomógł w wyzwoleniu Ziemi Świętej z rąk Saracenów i oddał ją chrześcijanom, dalej, aby polecił Tartarom, którzy są w Turcji, zniszczyć miasto Baldach (Bagdad) i kalifa, który jest nauczycielem fałszywej religii Mahometa. W końcu prosił o to, by mógł otrzymać pomoc od Tartarów przebywających blisko królestwa Armenii, zawsze, ilekroć jej będzie potrzebo-

wał. Kiedy Mango Kan usłyszał żądania króla Armenii, kazał mu przyjść przed swój tron i wobec swoich baronów i całego dworu powiedział: „Ponieważ król Armenii przebył tak wiele ziem, by przybyć do naszego cesarstwa z dobrej woli, słuszną jest rzeczą, abyśmy wypełnili jego prośby. Nakazujemy tedy, by wieczna przyjaźń była między chrześcijanami i Tartarami, ale chcemy, aby chrześcijanie zachowywali tę przyjaźń należycie, tak jak my będziemy ją zachowywać wobec nich. Nakazujemy, by wszystkie kościoły chrześcijańskie, kler wszelkiego rodzaju, jaki jest, zakonny i świecki, był wolny i zwolniony od służby i do niej nie przymuszany. Jeżeli chodzi o Ziemię Świętą, pójdziemy do niej chętnie sami. Ale ponieważ teraz wiele mamy do zrobienia, polecamy naszemu bratu Haloon (Hulagu), aby uwolnił Ziemię Świętą z rak Saracenów i oddał ją chrześcijanom. I niech zdobędzie miasto Baldach, zniszczy kalifa jako naszego śmiertelnego wroga. Co do przywileju pomocy tartarskiej, którego król Armenii się domaga, zgadzamy się na to. Również wyrażamy zgodę, by ziemie, których król Armenii żąda, były mu zwrócone. Rozkazujemy także bratu naszemu Haloon, by oddał królowi Armenii wszystkie ziemie, których on jest seniorem, a także te wszystkie, które zdobędzie na Saracenach”.

Hulagu, buddysta, ale mąż nestorianki Dokuz-Katum i syn nestorianki Sorgaktani (sam ochrzczony w dzieciństwie), wyrusza na Persję. Przedtem niszczy krwawą sektę Haszyszystów w ich orlim gnieździe w Alamut. 22 stycznia 1257 r. pada Bagdad. Ostatni kalif zamknięty we własnym skarbcu umiera z głodu.

Koło Edessy jesienią 1259 r. następuje spotkanie Hulagu z wojskami armeńskimi pod wodzą Hettuma (jak również z wojskami antiocheńskimi pod wodzą Bohemunda VI i gruzińskimi pod wodzą księcia Dawida). 18 stycznia 1260 r. ma miejsce jednodniowe oblężenie Aleppo. Inne miasta sultanatu syryjskiego, Damaszek, Homs, Hama, poddają się bez walki.

Lecz w sierpniu 1259 r. umarł Mongka. Zapowiada się walka o tron między jego braćmi: Kubilajem i Arikboką. Hulagu wraca do Mongolii wspierać Kubilaję, zostawiając w Syrii Kitbukę.

Korzystając ze zmniejszenia się sił mongolskich, a także ze zdrady baronów z Saint-Jean-d'Acres, Kutuz występuje przeciwko Kitbuce. 3 września 1260 r. ma miejsce tragiczna bitwa pod Ain-Dżalud.

Bajbars, który niedługo potem sam został sultanem, załatwiwszy się z Mongołami przystąpił do zniszczenia chrześcijańskiej Syrii. W 1261 r. rozpoczyna oblężenie Antiochii. Jeszcze raz, wsparty przez Mongołów, Het-

tum ocalił zięcia: Bajbars cofnął się. Ale wrócił w r. 1263. Teraz następuje już konsekwentna likwidacja resztek Królestwa Jerozolimskiego. Miasto po mieście, zamek po zamku dostają się w ręce zdobywcy. W r. 1268 pada Antiochia, w r. 1291 Saraceni wdzierają się do bohatersko bronionej przez resztę obrońców twierdzy templariuszy w Saint-Jean-d'Acre. Jeszcze tylko Armenia i Cypr przez cały wiek stawiają czoło zalewowi mahometańskiemu.

Tak wyglądają historyczne ramy powieści. Autor pozwalając sobie na drobne licencje, na ogół ściśle stosował się do tych ram.

Pomysł powieści, a nawet jej pierwotny tytuł „Żółta krucjata” zawdzięcza autor wielkiemu współczesnemu historykowi francuskiemu, prof. René Grousset, członkowi Akademii Francuskiej i kustoszowi Muzeum Cernuschi w Paryżu. Jego dzieła: „Bilan del'histoire”, „Histoire des Croisades”, „L'epopée des Croisades”, „Le Conquerant du monde”, „L'Empire du Levant”, „L'Histoire de l'Armenie”, „L'Empire Mongol”, „L'Empire des steppes” były dla autora nieocenioną pomocą przy pracy. Oczywiście, sięgnął także i gdzie indziej, jak np. do starodawnej „Historii o krucjatach” Ludwika Maimburga S. J., przełożonej na język polski przez Andrzeja Wincentego z Uniechowa Ustryckiego w r. 1707, do niestarzejącego się Michauda „Histoire des Croisades”, do Fleury'ego „Histoire Ecclesiastique”, do surowego Raamera „Kaiser Friedrich II”, do Farala „La vie quotidienne au temps de Saint Louis”, do H. Vallona „Saint Louis et son temps”, do rewelacyjnej książki Belperrona „La Croisade contre les Albigeois” — i do innych.

J. D.

SŁOWNICZEK WYRAZÓW OBCYCH UŻYWANYCH W POWIEŚCI

Agfa (mong) — koń.

Anda (mong) — przyjaciel.

Altan (mong) — złoto.

Arkagud (mong) — chrześcijanie.

Armenia — nazwa tego królestwa jest pewnym nieporozumieniem. Po upadku właściwej Armenii, tzw. Wielkiej Armenii, której obszar obejmował płn.-wsch. część półwyspu Małej Azji oraz podnóże Kaukazu, zdobytej po paru stuleciach zażartych walk przez Greków (ostatni król Gagik II zginął w Kuzistra w 1079 roku), ludność armeńska i niektórzy baronowie armeńscy wyemigrowali z kraju przenosząc się na drugą stronę Anti-Taurusu. Skolonizowali oni dawną Cylicję, nadając jej nazwę Armenii lub Małej Armenii. Ona to ze stolicą w Sis była królestwem Rupenów, Hettumów, w końcu Lusignanów. Ostatni jej władca Leon VI Lusignan oblężony w Sis wpadł w ręce Saracenów w 1375 r. Królestwo po dziś dzień znajduje się w rękach Turków.

Asbed (arm) — tytuł wysokiego urzędnika armeńskiego.

Aspabeth (arm) — tytuł wysokiego urzędnika armeńskiego.

Asz (arab) — modlitwa popołudniowa.

Atabek (arab) — naczelny wódz wojsk sułtana.

Aurasun (mong) — jedwab.

Aukrator (gr) — wszechwładny, jeden z tytułów cesarza Bizancjum.

Bahadyr (mong) — bohater.

Bahrydzi (arab) — gwardia sułtana Egiptu; słowo Bahrydzi oznacza przymiotnik: rzeczni, ponieważ pałac sułtana znajdował się na wyspie Roda.

Bakczysz (arab) — jałmużna.

Balius (łac) — urząd odpowiadający urzędowi regenta państwa; czasami tytuł ten nadawano specjalnym urzędnikom, np. przedstawiciel Wenecji w Ziemi św. miał tytuł baliusa.

Bazileus (gr) — grecki cesarz Bizancjum.

Bek (arab) — tytuł arabski.

Beki (mong) — wódz.

Bezant — moneta średniowieczna; słynne były bezanty saraceńskie.

Bissmilahi Rrahmani! Rrahimi! (arab) — w imię Boga litościwego i miłosiernego.

Consolamentum (łac) — vide: katarzy.

- Czungan* (mong) — Jan.
- Deruga* (mong) — zarządca.
- Despina* (gr) — królowna.
- Dirhem* (arab) — mała moneta grecka.
- „*Doskonali*” — vide: katarzy.
- Dżagun* (mong) — setka żołnierzy.
- Dżahid* (arab) — wierny umierający w walce za wiarę.
- Dżaununojon* (mong) — setnik.
- Eczige* (mong) — ojciec.
- Eutyches* — heretyk z V w.
- Fidais* (arab) — słynny z wierności sługa szejka Haszyszystów.
- Filanghierowie* — Ricardo i Lotario Filanghieri, wodzowie Fryderyka II, starali się podbić dla niego Syrię, lecz zostali zwyciężeni przez koalicję baronów syryjskich.
- Fondaco* (wł) — kantor, szerzej dzielnica.
- Frankoński język* — według R. Grousseta językiem codziennego użytku wśród rycerstwa Ziemi Św. był język Francji płn. (*langue d’oil*). Jedynie w hrabstwie Tripoli mówiono językiem Francji pld. (*langue d’oc*).
- Galeas* (wł) — długi okręt o trzech masztach, popychany także wiosłami.
- Gazzarowie* (wł) — vide: katarzy.
- Ger* (mong) — namiot.
- Giustizia* (wł) — sprawiedliwość.
- Gun* (arab) — oddział wojskowy.
- Gur* (mong) — wielki.
- Harbanunojon* (mong) — dziesiętnik.
- Haszyszyści* — groźna sekta mahometańska „zjadaczy haszyszu” (*Hashishiynn*). Ich szejka al-Jebal, tzw. Starzec z gór, był niebezpiecznym przeciwnikiem, ponieważ jego *fidaisi* potrafili docierać nawet do Europy, by zamordować wskazanego im człowieka. Groźni byli nie tylko zresztą dla chrześcijan (z którymi czasami nawet szukali porozumienia), ale również dla wiernych muzułmanów, wobec których byli heretykami (będąc zresztą semitami). Były dwa ośrodki Haszyszystów: w górach Persji — w Akmut, i w Syrii — w górach Jebal (*Kadmurs*, *Masyat*).
- Hurysy* (arab) — piękne kobiety usługujące w rajku mahometańskiemu wiernemu, który się tam dostał.
- Imam* (arab) — kapłan muzułmański odmawiający w meczecie pięć razy dziennie nakazane modlitwy.

- I-sa* (mong) — Pan Jezus.
- Issa* (arab) — Pan Jezus.
- Jakobici* — sekta monofizyczna w Syrii.
- Jarłyk* (mong) — zezwolenie, przepustka.
- Jassak* (mong) — prawo.
- Joachimo da Fiore* — mistyk średniowieczny, który głosił nadejście „trzeciej ery”, czyli epoki Ducha Św. Jego filozofii uległ między innymi Dante.
- Jurta* (mong) — namiot.
- Kagan* (mong) — wielki chan.
- Kalif* (arab) — głowa religii islamu. Ostatniego kalifa z dynastii Abassydów, Mustaszima, zamorzył głodem w Bagdadzie chan Hulagu w 1258 r.
- Kancona* (wł) — pieśń miłosna śpiewana przez trubadurów; trubadurzy — wywodzący się z Prowansji i Langwedocji układali pieśni miłosne, podczas gdy truwerzy z płn. Francji — pieśni rycerskie, chansons de geste.
- Karaka* (port) — cztero- lub pięciomasztowy okręt.
- Karawela* (wł) — czteromasztowy okręt.
- Katarzy* — (włoskie: gazzari) zwani także potarynami, publikanami lub od miasta Albi albigensami. Była to sekta, która z początkiem XIII w. opanowała Langwedocję. Doktryna katarów opierała się na tym samym co manicheizm w pierwszych wiekach naszej ery: przeciwstawiała ona Bogu dobremu (Jezusowi, który był dla katarów Bogiem, człowiekiem zaś tylko z pozoru) — Boga złego, Jehowę, lub wprost szatana, zwanego przez katarów Lucibelem, który stworzył świat materialny. Materia jest więc zła, człowiek jest stworzeniem szatańskim (jedynie jego dusza jest pochodzenia Boskiego). Człowiek może się jednak wyzwolić od materii czy to drogą samobójstwa (było ono bardzo pochwalane przez katarów, istniała nawet specjalnie święta jego forma, tzw. ENDURA — samobójstwo przez zagłodzenie się), czy też drogą doskonalenia się. Katarzy dzielili się więc na „doskonałych” (stąd nazwa katarów) i „czarnoubranych”, którzy osiągnęli doskonałość przez przyjęcie tzw. consolamentum — tj. sakramentu katarskiego polegającego na wyparciu się Kościoła, przyrzeczeniu unikania rzeczy „nieczystych” (np. mięsa), przyrzeczeniu niekłamania, niezabijania, całkowitej rezygnacji z życia seksualnego (nawet w małżeństwie). Reszta wyznawców zwana „wiernymi” nie miała żadnych obowiązków poza oddawaniem czci „doskonałym”. Wierni mogli się żenić (choć wyżej stały u katarów związki bezślubne), mogli zabijać, mogli jeść wszystko. Każdy jednak z „wiernych”, nawet na progu śmierci, mógł dostąpić CONSOLAMENTUM przez co stawał się „doskonałym” i był wolny od dalszych wcieleń oczyszczających (katarzy wierzyli bowiem w reinkarnację). Ktoś, kto otrzymał CONSOLAMENTUM

w niebezpieczeństwie śmierci, a nie zginął, mógł powrócić do stanu „wiernego” i złożone przyrzeczenia nie obowiązywały go.

Katarów nawracali słowem św. Bernard i św. Dominik. Potem zaczęto ich „nawracać” mieczem. Przez wiele lat pld. Francja była terenem okrutnej krwawej wojny. Wodzem wojsk krzyżowych był sire Szymon de Montfort hr. Leicester (stryj znanego z powieści Filipa, seniora Tyru).

Katholikos — tytuł patriarchy armeńskiego, jakobickiego lub nestoriańskiego.

Katum (mong) — małżonka, dama.

Keszik (mong) — gwardia.

Koko Monggol (mong) — błękitni Mongołowie — szlachta mongolska.

Koko Tengri (mong) — niebieskie niebo — w dalszym pojęciu Bóg, ponieważ u Mongołów pojęcie Boga było równoznaczne z pojęciem nieba.

Kureń (mong) — osada.

Kuryltaj (mong) — zebranie wszystkich książąt mongolskich.

Kyrie (gr) — panie.

La Illaha il Allach u Muhammed Arrasul Ullah — jeden jest Bóg, a Mohamet jego prorokiem.

Laudesy (łac) — modlitwy o trzeciej nad ranem.

Li (chin) — miara długości.

Lucibel — vide katarzy.

Malik (arab) — tytuł arabski.

Matiny (łac) — modlitwy odmawiane o północy.

Mendu (mong) — powitanie.

Mepe (gruz) — król.

Mingghan (mong) — oddział wojska liczący tysiąc ludzi.

Muezzin (arab) — sługa meczetu zwołujący wiernych na modlitwy.

Munggun (mong) — srebro.

Muslim (arab) — wierny muzułmanin.

Nakharark (arm) — rycerstwo.

Nojon (mong) — wódz.

Nokud (mong) — rycerz.

Nona (łac) — modlitwa odmawiana o trzeciej po poł.

Ordu (mong) — obóz.

Prima (łac) — modlitwy odmawiane o szóstej rano.

Pullanie — „Polini dicuntur qui de patre francigeno et matre syriana vel de matre francigena et patre syriano generati sunt” (Suger „Vita Ludovici”). Wilhelm

de Neubrige rozciąga tę nazwę na wszystkich Franków kreolów, których oskarża, że ulegli deprawacji obyczajów miejscowych.

Rok kury (mong) — lata u Mongołów obliczane cyklami po dwanaście noszą nazwę zwierzęcia: konia, barana, małpy, kury, psa, świni, szczura, byka, tygrysa, zająca, smoka, węża.

Setsen (mong) — mędrzec.

Soccorso (wł) — ratunku, pomocy.

Szejtan (arab) — szatan.

„*Szkaplerze*” — płaszcze rycerskie mające kształt ornatu.

Szoggun (mong) — książę.

Szyici (arab) — herezja arabska (rodzaj protestantyzmu w islamie).

Szykse (żyd) — nieczysty.

Św. Saby klasztor — znajdował się w Acre między dzielnicą genueńską i wenecką.

O niego toczyła się przez kilka lat zawzięta wojna między przedstawicielami obu republik. Zwyciężyła Wenecja.

Święto szalonych — niezbyt obyczajny obchód spotykany we Włoszech i we Francji średniowiecznej.

Tadżykowie (mong) — mahometanie.

Tagawor (arm) — król.

Taszur (mong) — bat.

Tengri (mong) — Bóg lub niebo u Mongołów.

Thagadir (arm) — urząd na dworze króla armeńskiego.

Toksin (frank) — dzwon alarmowy w miastach średniowiecznych.

Tuk (mong) — znak chana — drąg z dziewięciu ogonami końskimi.

Tuman (mong) — oddział liczący 10.000 ludzi.

Ulus (mong) — obóz.

Wadi (arab) — wyschłe łożysko potoku.

„*Wierzący*” — vide: katarzy

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA SAINT-JEAN D'ACRE.....	3
CZĘŚĆ DRUGA TARTARZY.....	47
CZĘŚĆ TRZECIA WIELKA SZANSA.....	139
CZĘŚĆ CZWARTA BITWA POD AIN-DŻALUD.....	201
CZĘŚĆ PIĄTA CIBUS VIATORUM.....	278
MAPA.....	318
OD AUTORA.....	319
SŁOWNICZEK.....	322